

A man in a light-colored shirt and dark trousers is walking away from the camera down a narrow, cobblestone street at night. The street is illuminated by streetlights, and the buildings on either side are lit up, creating a warm, atmospheric scene. The man's shadow is cast on the cobblestones.

MARK GREANEY

Twardy, szybki, nieustraszony.

Lee Child

GRAY MAN

BEZ ZAHAMOWAŃ

COURT GENTRY

 **Poradnia K**

MARK GREANEY

**GRAY
MAN**

BEZ ZAHAMOWAŃ

Przełożyła Karolina Rybicka-Tomala

 **Poradnia K**

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty

Rozdział czterdziesty piąty

Rozdział czterdziesty szósty

Rozdział czterdziesty siódmy

Rozdział czterdziesty ósmy

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Rozdział pięćdziesiąty

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Epilog

Podziękowania

The Gray Man. Ballistic

Copyright © 2011 by Mark Strode Greaney

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © for the Polish translation by Karolina Rybicka-Tomala

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2023

Redaktor prowadząca: JOLANTA KUCHARSKA

Redakcja: JOANNA CIERKOŃSKA

Korekta: AGNIESZKA TRZEBSKA-CWALINA, AGNIESZKA ADAMIAK

Projekt okładki: ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ

Zdjęcia wykorzystane na okładce: Kamil Ahmad-Zani/Shutterstock, John/Stock.adobe.com

Wydanie I

ISBN 978-83-67195-46-1

Wydawnictwo Poradnia K Sp. z o.o.

Prezes: Joanna Bażyńska

00-544 Warszawa, ul. Wilcza 25 lok. 6

e-mail: poradniak@poradniak.pl



Poradnia K

Poznaj nasze inne książki.

Zapraszamy do księgarni:

www.poradniak.pl

facebook.com/poradniak

linkedin.com/company/poradniak

instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo

Konwersja: eLitera s.c.

KSIĄŻKĘ DEDYKUJĘ MĘŻCZYZKOM I KOBIECIOM PO OBU
STRONACH GRANICY, KTÓRZY CODZIENNIE CIĘŻKO
PRACUJĄ, ABY TO SZALEŃSTWO WRESZCIE SIĘ
SKOŃCZYŁO.

Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam nie stał się potworem.

FRYDERYK NIETZSCHE, *Poza dobrem i złem*,
PRZEKŁAD STANISŁAW WYRZYKOWSKI

W Meksyku, jeśli ma się problem i zwróci się z nim do policji, to ma się już dwa problemy.

LORENZO MEYER, HISTORYK MEKSYKAŃSKI

PROLOG

Łowca głów przykucnął przy dziobie czółna. Uważnie przyglądał się brzegowi, który wylaniał się zza zakrętu. Zielona gęstwina lasu deszczowego powoli przechodziła w brąz wioski – ciągnącej się wzdłuż rzeki osady z ubitej ziemi, drewna i zardzewiałej blachy falistej.

– To tu?! – zawołał do Indianina sterującego za pomocą doczepionego silnika. Z konieczności przez ostatnie kilka miesięcy jego portugalski znacząco się poprawił.

– *Sim, senhor.* To tutaj. – Łowca pokiwał głową, po czym sięgnął po radio trzymane między kolanami.

Zawahał się jednak. Nie tak szybko – najpierw musiał mieć całkowitą pewność.

Siedem miesięcy. Właśnie tyle czasu minęło od momentu, gdy odebrał telefon w Amsterdamie. Po rozmowie czekała go pośpieszna narada z pracodawcą, lot przez Atlantyk do Caracas, następnie szaleńcza podróż do Limy, a potem dalej na południe.

Ciągle na południe.

Aż skończyła się ziemia i pogoń znów skierowała się na północ.

Ciągle na północ.

Przez ten czas właściwie deptał zbiegowi po piętach. To był najdłuższy pościg w jego jakże świetlanej karierze. Właśnie tu miał dobiec końca. Będzie, co ma być, ale czuł, że to w tym miejscu zakończy się polowanie na Courtlanda Gentry'ego.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nieopodal Quito łowca prawie go miał. Już nawet wezwał ekipę zabójców, ale ścigany gdzieś się rozpląnął. Holender wiedział, że było to nieroztropne z jego strony – falstart mógł ostudzić zapal płatnych morderców przy kolejnej okazji. Postanowił, że już nigdy nie podniesie fałszywego alarmu. Na trop Courtlanda wpadł znów gdzieś w północnym Chile, następnie wyniuchał go dalej na południe, u wybrzeża Pacyfiku, ale po raz kolejny stracił z oczu w okolicach Punta Arenas.

W Rio de Janeiro znowu dopisało mu szczęście. Pewien Duńczyk, adept ju-jitsu, zgubił paszport wkrótce po przyjeździe do Brazylii i poszedł do swojej ambasady wyrobić nowy. Tam zobaczył list gończy Interpolu. Tak się złożyło, że niedługo później w pewnym dojo wśród faweli natknął się na białego cudzoziemca. Niby nic dziwnego, ale Duńczyk znał się na uprawianej sztuce walki, a styl nieznanego wskazywał na to, że opanował niejedną technikę. Był skuteczny, brutalny, wręcz wojowniczy, a swoje umiejętności próbował ukryć przed innymi uczniami. Wtedy Duńczyk przypomniał sobie list gończy. Nie miał stuprocentowej pewności, że cudzoziemiec z dojo to poszukiwany, ale stwierdził, że należy zgłosić to władzom, zwłaszcza że w nieznanym było coś niepokojącego. Mroczne spojrzenie, błysk podejrzliwości w oku, jakby wiedział, że Duńczyk bacznie mu się przygląda.

Łowca dowiedział się o tym spotkaniu i już po kilku godzinach wylądował w Rio na pokładzie prywatnego odrzutowca. Tego dnia podejrzany nie stawiał się na treningu. Łowca mógł jednak liczyć na wsparcie miejscowych – kilkudziesięciu wytypowanych w fawelach chłopaków zaopatrzonych w fotografię i gotówkę, która – jak wiadomo – rozwiązuje języki. Wielu z nich zostało pobitych lub zastraszonych w ciemnych zaułkach slumsów, jeden nawet stracił portfel i został dźgnięty w rękę. Całe to zamieszanie jednak się opłaciło: ktoś puścił parę z ust, ktoś inny wskazał palcem. W końcu znalazł się taki, co podał adres.

Łowca poszedł to sprawdzić. Nie był strzelcem. Broni nie używał od zakończenia służby w Królewskiej Armii Holenderskiej, czyli od lat

siedemdziesiątych, kiedy walczył z Angolczykami. Nie chciał jednak wysłać swoich pozostających w gotowości zbirów na kolejną nieudaną misję, więc zostawił ośmiu uzbrojonych gości na dole i w towarzystwie dwóch udał się na górę. To była naprawdę parszywa okolica. Wokół budynku śmierdziało fekaliami, a wewnątrz na drugim piętrze unosił się smród moczu. Łowca zatrzymał się na końcu korytarza przed ciemnymi drzwiami. Kiedy otwierał je kluczem należącym do innego lokatora, trzęsły mu się ręce. Wsunął się do środka, jego uzbrojeni towarzysze przyczaili się tuż za nim.

Na szczycie piętrowego łóżka dostrzegł zarys jakiejś postaci. Łowca zastygł. Wtedy, w ułamku sekundy, nieznajomy poderwał się z posłania, zarzucił plecak na ramię i wyskoczył przez okno. Holender ruszył za nim. Asystujący mu pomagierzy oddali strzały, rozdzierając pociskami łóżko, ścianę i parapet, na którym przed chwilą widzieli poszukiwanego przez nich mężczyznę. Gdy przeładowywali broń, łowca doskoczył do okna. Zobaczył, że jego cel wylądował na dachu budynku naprzeciwko, przeturlał się, a następnie przeskoczył przez wąskie przejście na kolejny dom niczym latająca wiewiórka. Zeskoczył i zsunął się na parter. Pędził ulicą goniony przez pociski niewielkiego kalibru, ale strzelcy się spóźnili.

Już go nie było. O jego niedawnej obecności w pokoju świadczyło tylko ciepłe zagniecenie w podartym kocu.

To wydarzyło się dziesięć tygodni temu.

W poprzednią niedzielę Holender odebrał telefon z Fonte Boa, kilkaset kilometrów na północ, na brzegu Amazonki. Sporządził listę profesji, których mógł podjąć się ścigany. Było ich mnóstwo, od spawacza po najemnika. W spisie figurowało też ratownictwo morskie ze względu na doświadczenie w nurkowaniu i wręcz nieziemską odwagę poszukiwanego. Doszły go słuchy, że pewne niewielkie przedsiębiorstwo działające w odległym dorzeczu Amazonki zatrudniło jakiegoś białego cudzoziemca, co w brazylijskiej dżungli stanowiło ewenement. Wiedziony tym tropem łowca przedostał się do Fonte Boa, gdzie zdjęcie poszukiwanego pokazał mężczyźnie, który spławiał produkty spożywcze w górę rzeki do odległych osad.

A teraz łowca był właśnie tu.

Przesunął dłonią po radiu trzymanym między kolanami. Wystarczy jedno połączenie, a nadlecą dwa śmigłowce pełne strzelców gotowych do spuszczenia się na linach i natychmiastowej akcji. Misję zaplanowali, korzystając ze zdjęć

satelitarnych okolicy i rozrysowując wszystko na tablicy w pokoju hotelowym łowcy, jeszcze w Fonte Boa. Wyśle sygnał, a ten dziewiczy las stanie w płomieniach. Poszukiwany, którego Holender ściga aż siedem miesięcy, w końcu zniknie z tego świata.

Ale przedtem musi się upewnić.

Usłyszał plusk wody. To pewnie jakiś wyjec. Małpiszon zeskoczył z drzewa do rzeki, wszedł na brzeg i zniknął w gęstych zaroślach.

Czółno zwolniło i obilo się o gumowe opony przymocowane do pomostu. Sternik zaczął wyłączać silnik.

– Nie – odezwał się łowca. – Nie wyłączaj. To nie potrwa długo.

– Ale paliwo się marnuje – jęknął miejscowy. Holender uznał, że to indiański tubylec. – Włączenie zajmie pięć sekund.

– Mówię, żebyś nie wyłączał! – wrzasnął łowca, po czym wygramolił się na brzeg i zaczął się wspinać na pagórek w stronę mężczyzny, który kręcił się przed szalasek stojącym na cienkich balach. Holender chciał się upewnić, że jest we właściwym miejscu, ale nie zamierzał czekać, aż zrobi się gorąco. Owszem, miał na ramieniu kaburę, a w niej wiekowy rewolwer webley top-break, ale to było raczej na pokaz, aby dać tutejszym do zrozumienia, że nie powinni mu wchodzić w drogę. Zabijanie nie należało do jego obowiązków. Jego narzędziem pracy było radio – zaraz go użyje i będzie po robocie. Następnie wróci do Fonte Boa i w hotelu poczeka na wieści.

* * *

Mauro siedział w cieniu. Czekał, aż ojciec wróci z porannego połowu. Chłopiec miał już dziesięć lat i zazwyczaj płynął z nim zbierać sieci. Tego dnia jednak został w wiosce, aby pomóc wujkowi przy domu, i dotarł do przystani dopiero w momencie, gdy dobijał do niej jakiś białas w czółnie z silnikiem. Mauro patrzył, jak mężczyzna wspinał się na wzgórze i zatrzymał przy jakimś pijacynie, do którego zagadał. Wyciągnął z kieszeni na piersi kartkę, pokazał ją ochłajtusowi, a następnie wręczył mu kilka banknotów.

Mauro wstał powoli. Zawahał się.

Nieznajomy kiwnął głową, po czym wrócił do czółna i zbliżył do ust radio.

Chłopiec ruszył ku wąskiej ścieżce prowadzącej z dala od doków i wioski. Kiedy znalazł się pod osłoną dżungli, przyspieszył i popędził co sił w bosych, poharatanych nogach.

ROZDZIAŁ DRUGI

Court Gentry pociągnął linę, żeby ją zluźnić, i ponownie zwrócił się w stronę wraku. Sięgnął dłonią w rękawicy i wyczuł drogę do potężnej żelaznej sterowni zatopionej łodzi parowej. Znajdował się dziesięć metrów pod ochrową powierzchnią ciepłej, mętnej rzeki. O tej porze – późnym rankiem – widoczność w najlepszym razie nie przekraczała trzydziestu centymetrów. Znalazł właściwe miejsce, poprawił latarkę na kasku, po czym podniósł palnik do spawania i zmniejszył płomień tak, że została ledwo tłąca się smużka. Następnie przyłożył gorący ogień do żelaza i naciął.

Poczuł trzy mocne pociągnięcia liny, przez co ręka mu się omsknęła.

– Cholera – przeklął pod nosem, a głos rozniósł się echem po mosiężnym kasku. Wewnętrzne radio nie działało, więc ekipa nurków porozumiewała się pociągnięciami liny. Trzy szybkie, mocne szarpnięcia oznaczały „natychmiast wypłyn na powierzchnię”. Wiedział, że powrót i odnalezienie wśród oleistych glonów miejsca pracy zajmie mu potem co najmniej dziesięć minut.

Ale się nie ościagał. „Wypłyn natychmiast” to nie była komenda, którą można zignorować. Może chodzi o drobiazg, ale równie dobrze o jakiś stanowiący zagrożenie problem ze sprzętem. A może nadciągają krokodyle, węże czy ławica piranii, a to groziło śmiercią lub kalectwem.

Na powierzchnię dotarł w cztery minuty. Sprzęt i obciążniki ograniczały ruchy, więc do brzegu doczołgał się, używając lin. Kiedy woda sięgała mu do pasa, wytarł paskudny zielony śluz z akrylowej przyłbicy. Gęstwinę nadbrzeżnych zarośli dostrzegł dopiero wtedy, gdy rozpiął liczne zaciski i zdjął ciężki kask. Stało przed nim dwóch współpracowników, Thiago i Davi. Obaj byli nurkami doświadczonymi w usuwaniu wraków, jednak żaden z nich nie mógł dziś zejść pod wodę. Działała tylko jedna sprężarka, dlatego we trzech dzielili się zadaniem. Jeden był na dole, a dwóch lustrowało rzekę w poszukiwaniu krokodyli, anakond i piranii.

– O co chodzi?! – zawołał Court. Po portugalsku mówił znacznie gorzej niż po hiszpańsku, ale potrafił się porozumieć. Jeden z nurków wskazał palcem na drugą stronę niewielkiej laguny, która wybijała się z rzeki niczym guz. Na skraju ścieżki prowadzącej z przystani stał Mauro. Chłopak miał na sobie czerwono-czarną koszulkę FC Barcelony z nazwiskiem piłkarza bułgarskiego pochodzenia, który nie grał w klubie od połowy lat dziewięćdziesiątych. Był boso, zresztą Court nigdy nie widział, żeby miał na sobie buty.

Gentry zdziwił się, że wezwali go na powierzchnię tylko po to, żeby pogadał z chłopcem, ale uśmiechnął się i pomachał do niego. Uśmiech jednak niedługo zabawił na jego twarzy. Chłopiec wydawał się spięty.

Coś było nie tak.

Court brnął przez błotniste nabrzeże otaczające lagunę. Zbliżył się do chłopaka i odeszli kilka kroków.

– Co jest? – zapytał.

– Prosiłeś, żebym dał znać, jeśli w okolicy pojawi się inny biały.

– Owszem, prosiłem. – Court się napreżył.

– Widziałem mężczyznę. Był sam. Przy dokach.

– Rozmawiał z kimś?

– Tak. Wypytywał Amada. Pokazał mu jakąś kartkę. Dał pieniądze. A potem powiedział coś przez radio.

– Miał radio? – Gentry już nie patrzył na chłopaka, tylko na ścieżkę prowadzącą kilometr do przystani, której zarys majaczył w oddali. Pośpiesznie zaczął ściągać zniszczony kombinezon nurkowy i rozbierać się do slipów.

Z tyłu dobiegł go głos Thiaga, który wołał go na obiad. Court go zignorował.

– A teraz gdzie jest?

– Nie ma go. Wsiadł do czółna i odpłynął w górę rzeki.

Court pokiwał głową.

– Łowca nagród... – mruknął pod nosem po angielsku.

– *Qual?* Słucham?

– Dobrze. Świetnie się spisałeś, Mauro. Dziękuję.

– Nie ma za co, Jim.

Kilka sekund później Court klęczał przy swoim sprzęcie po drugiej stronie laguny. Chłopak poszedł za nim. „Jim” otworzył wielką torbę, z której wyciągnął czarny obrzyn kaliber .12 z drewnianą rękojeścią. Sięgnął do niej ponownie, wyjął portfel wypchany brazylijskimi realami i podał go chłopcu.

– To dla ciebie – powiedział. – Weź sobie trochę, a resztę zanieś mamie.

Zdziwiony i jednocześnie zakłopotany Mauro szeroko otworzył oczy.

– Wyjeżdżasz?

– Tak, mały. Na mnie już czas. – Gentry pośpiesznie wciągał brudne brązowe spodnie i poplamioną, kiedyś kremową koszulę z długimi rękawami.

– A co z twoim psem?

– To nie jest mój pies, kręcił się koło mojego namiotu. Ale to grzeczna bestia. Zaopiekuj się nim, to i on zaopiekuje się tobą, dobra?

Court zaczął wiązać stare tenisówki na wciąż wilgotnych stopach.

Mauro pokiwał głową, choć tak naprawdę niczego nie rozumiał. Nigdy nie widział, żeby ktoś poruszał się tak szybko. Mieszkańcy jego wioski raczej z niej nie wyjeżdżali, a na pewno nie podejmowali takiej decyzji w mgnieniu oka. Nie oddawali też portfeli dzieciom. Nikt nie wywracał do góry nogami swojego życia tylko dlatego, że nagle pojawiał się jakiś facet w łódce.

Jego wujek miał rację. Ci *gringo* to wariaci.

– Dokąd jedziesz? – zapytał Amerykanina.

– Jeszcze nie wiem, ale na pewno coś wykombinuję... – Court urwał w pół zdania. Przechylił głowę, po czym wyciągnął z torby niewielki pękaty plecak i zarzucił go na plecy.

Mauro też to usłyszał.

– O! Helikopter! – zawołał.

Court pokręcił głową. Wziął do ręki obrzyn i wstał. Przyczepił luparę rzepem z prawej strony plecaka rękojeścią do dołu, aby łatwo było ją wyciągnąć. Po lewej stronie miał już przytroczoną maczetę.

– Nie, to dwa helikoptery. Pędź do domu, młody. Zbierz rodzeństwo i nie wychodźcie na zewnątrz. Zaraz robi się niebezpiecznie.

Gringo zaskoczył Maura po raz ostatni. Uśmiechnął się, poczochnął czarną czuprynę chłopca, bez słów pomachał do kolegów, po czym pognął w głąb dżungli.

* * *

Spod promieni słonecznych, tuż nad koronami drzew wzbily się dwa śmigłowce. Pęd powietrza z wirników zachwiał roślinami. To były helikoptery Bell 212, cywilne wersje wojskowego twin hueya, starej amerykańskiej maszyny kojarzącej się głównie z wojną w Wietnamie.

W całej historii lotnictwa to huey najbardziej pasował do wynurzania się z dżungli.

Śmigłowce należały do policji kolumbijskiej, jednak zostały wypożyczone wraz z załogą przez Autodefences Unidas de Colombia (AUC) – Zjednoczone Siły Samoobrony Kolumbii. Ta quasi-prawicowa, quasi-zdemobilizowana organizacja walczyła czasami z lewicowymi partyzantami z Rewolucyjnych Sił Kolumbii (FARC) oraz z Armią Wyzwolenia Narodowego (ELN). Policja kolumbijska była święcie przekonana, że pożyczony sprzęt wraz z dwudziestoma komandosami miał zostać wysłany w góry do walki z FARC, tymczasem AUC właśnie wykonywało płatne zlecenie na granicy w amazońskiej dżungli.

Co więcej, piloci nie zgłoszą defraudacji, bo otrzymali sowite wynagrodzenie.

Każdy bojownik miał na sobie oliwkowy drelich i nakrycie głowy odpowiednie do akcji w gęstym lesie. Każdy dzierżył potężny karabin HK G3, a do pasa lub przy klatce piersiowej miał przypięte zapasowe magazynki, granaty oraz radio i maczetę.

Dowódca oddziału siedział w pierwszym helikopterze. Usiłował przekrzyczeć silniki turbinowe firmy Pratt and Whitney, przekazując informacje znajdujące się przed nim dziewiątce:

– Jeszcze minuta! Jak tylko ktoś go wypatrzy, strzelać. Kto strzeli, ma zabić! Nie potrzebują go żywego! Nie chcą go żywego! – poprawił się.

– *Sí, comandante!* – rozległ się chór donioślejszy niż silniki.

Dowódca przekazał ten sam rozkaz przez radio mężczyznom w drugim śmigłowcu.

Po chwili śmigłowce się rozdzieliły. Helikopter z komendantem na pokładzie skręcił na lewo, kierując się wzdłuż niewielkiej rzeczki wijącej się na południe.

* * *

Court biegł równym tempem poprzez plamy światła przenikającego pomiędzy liśćmi. Mknął zacienionym szlakiem, nasłuchując odgłosów zbliżających się helikopterów. Wkrótce ich równomierny charkot się zmienił, musiały się rozdzielić. Jeden śmigłowiec wylądował niedaleko za nim, najpewniej na bagnistej polance jakieś sto metrów od miejsca jego pracy. Gentry wiedział, że przybysze zapadną się po kolana w błocie, a on zyska trochę czasu na ucieczkę. Druga maszyna przeleciała nad nim, na lewo, zanurzyła się poniżej linii drzew i sunęła nad wodą. Zamierzała zrzuć desant manewrem blokującym wzdłuż trasy, po której się poruszał.

Z przewagi czasowej nici.

Przyśpieszył. Uśmiech zniknął z jego twarzy, ale trzydziestosiedmioletni Amerykanin czuł się pewnie na silnych i wysportowanych nogach. Adrenalina – z którą od dawna miał niewiele do czynienia – teraz w nim buzowała, pobudzając mięśnie i umysł.

W tej okolicy dane mu było spędzić dziewięć fartownych tygodni. W całym dorosłym życiu rzadko udawało mu się aż tak długo zabawić w jednym miejscu. Ale jak powiedział chłopakowi: nadszedł czas, aby się ulotnić.

* * *

Ekipa komendanta zjechała po linach na brzeg rzeki. Pierwsza czwórka padła na kolana w błoto, po czym wycelowała broń w stronę dżungli, aby osłaniać resztę desantowców. Druga czwórka przedostała się na nieubita drogę i położyła na ziemi, żeby zabezpieczać wszystkie kierunki. Dowódca i jego zastępca wyskoczyli z helikoptera jako ostatni, wbiegli na drogę i wysunęli się na przód kolumny.

Komendant otrzymał informację od ekipy drugiego śmigłowca, że właśnie utknęli w bagnie. Zaklął po hiszpańsku, po czym kazał swoim chłopakom przyśpieszyć.

* * *

Gentry sprawnie poruszał się wokół swojego obozowiska, na które składały się namiot z legowiskiem, wyłożone kamieniami palenisko, własnoręcznie wykopana latryna, hamak otoczony moskitierą oraz kilka tobołków zawieszonych na drzewie. Ucieszył się, że nie zastał tu psa. Zbliżała się pora obiadowa, a więc

dzielna psina pakużytkowała do jedynej garkuchni w wiosce po ochłapy. Później zazwyczaj odpoczywała w cieniu pod drzewami niedaleko rybaków, którzy wracali po połowie. Tam zbierała siły przed walką z innymi okolicznymi czworonogami o wyrzucane z łódek resztki przynęty.

Court zdawał sobie sprawę, że pies miał znacznie bardziej ustabilizowany plan dnia niż on.

W namiocie, w skrzynce zamykanej na kluczyk Gentry trzymał browning, ale nie tracił czasu na wyciąganie go. Z kieszeni w tropiku wyjął zapalniczkę i wziął leżącą nieopodal puszkę paliwa do gotowania. W kilka sekund rozlał płyn po namiocie, dobytku przywiązany do drzewa, a nawet hamaku. Podpalił swój prowizoryczny dom bez zastanowienia, nawet bez cienia żalu, po czym rzucił zapalniczkę na ziemię i ruszył w stronę niewielkiego potoku znajdującego się piętnaście metrów od obozowiska.

Z lewej strony usłyszał krzyk. Z wysokiego, piskliwego tenoru domyślił się, że został zauważony. Zbliżali się.

Gentry wskoczył po łydki w potok, po czym pognął na południe, rozbryzgując wokół wodę.

* * *

Dowódca ześlizgnął się na plecach po zboczu prosto w chłodny strumień. Poczuł grunt pod stopami i podniósł broń akurat w chwili, kiedy cel skręcił w lewo i zniknął mu z oczu. Jego ludzie wyprzedzili go w szaleńczej pogoni, każdy podekscytowany dopadnięciem celu.

Dowódca opuścił karabin i dołączył do pościgu. Wiedział, że nieopodal znajduje się droga prowadząca do głównej rzeki, lecz zdawał sobie sprawę, że biegnąc wzdłuż tego strumienia, nie dotrą bezpośrednio do niej. Podejrzał, że ich cel zmierza do jakiegoś tylko sobie znanego szlaku, pewnie ścieżki za małej, by móc ją dostrzec pomiędzy potrójnej korony dżungli na zdjęciach satelitarnych. Wystarczy jednak, że zbliżą się do niego na tyle, by wypatrzeć, w którym miejscu wybiegł z potoku z powrotem do dżungli, wtedy schwywanie go będzie tylko kwestią czasu. Las był za gęsty, żeby się w nim skryć, natomiast wiejska droga zbyt prosta, aby uciekający nie został trafiony serią z karabinów kaliber 7,62 milimetra.

Dowódca skręcił za oddziałem. Woda wzburzona przez dziesiątkę najemników biegnących potokiem zalewała go aż po klatkę piersiową. W oddali dostrzegł długowłosego mężczyznę o śniadej karnacji. Miał plecak i nic nie trzymał w rękach.

Ktoś biegnący na przodzie strzelił, trafiając w zwisające z drzewa liany wysoko nad głową ściganego. Ten odskoczył na lewo, wbiegł po stromym zboczu i zniknął w cieniu na wąskiej ścieżce. Padł kolejny strzał, ale mężczyzna już rozplynął się w dżungli.

– Tam jest! – krzyknął Kolumbijczyk.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rozległ się wystrzał z karabinu. Pocisk rozdarł gałęzie i liany tuż nad głową Gentry'ego w chwili, gdy zbiegał z niewielkiego pagórka. Zabójcy deptali mu po piętach. Przyśpieszył. Czuł pieczenie w udach – kwas mlekowy uwalniał się z krwiobiegu do mięśni.

Ucieczkę zaplanował w najdrobniejszych szczegółach. Wielokrotnie przeprowadzał jej próby. Wybrał trasę, aby maksymalnie wykorzystać naturalne zagrożenia czyhające w dżungli.

Chwycił rękojęść maczety przytroczonej do plecaka. Uwolnił ją od zapinanych na rzep troków, zamachnął się mocno i przeciął zarośla z prawej strony. Za nimi wiła się wąska ścieżka. Szlak tonął w mroku porośnięty korzeniami i lianami. Court musiał biec na palcach i wysoko podnosić nogi, aby się nie potknąć i nie zaplątać w wystające zewsząd przeszkody. Nie miał wątpliwości, że ścigający go mężczyźni zauważyli, że zbiegł z drogi. Lada moment trafią na jego trop. W biegu porzucił maczetę. Lubił tę broń i wiedział, że wkrótce znów by mu się przydała, ale musiał się skoncentrować na biegu. Odpinając obrzyn z prawej strony plecaka, polegał już wyłącznie na wytrenowaniu. Chwycił drewnianą rękojęść. Po ułamku sekundy trzymał broń oburącz przed sobą, celując do góry, z lufą przyłożoną niemal do twarzy.

Trasa prowadziła w dół, wśród grubych pni drzew. Skupił się na wychwyceniu błysku, po czym na chwilę oderwał wzrok od ścieżki w poszukiwaniu odpowiedniego drzewa i odpowiedniej gałęzi. Znalazł ją.

Z tyłu rozległ się kolejny strzał – usłyszał świst tuż przy lewym uchu. Miał najwyżej trzydzieści metrów przewagi nad pogonią. W miejsce, gdzie teraz się znajduje, tropiący dotrą za siedem, osiem sekund.

Doskonale.

Gentry się nie zatrzymał. Przebiegł pod drzewem, pod gałęzią, której wypatrywał, po czym wystrzelił, wciąż trzymając lufę do góry. Powtórzył strzał,

poczuł odrzut aż w ramionach.

Piętnaście metrów nad nim potężne – wysokie na dwa metry, szerokie na prawie półtora metra – gniazdo pszczół zabójców zostało dwukrotnie trafione u nasady. Spód został rozerwany, potężna konstrukcja urwała się z gałęzi i spadła na ścieżkę z impetem niczym fortepian zrzucony w kreskówce na ulicę.

W chwili, gdy pokieraszowane gniazdo rozbiło się o ziemię, Court był już osiemnaście metrów dalej, na szczycie niewielkiego wzniesienia. Przeskoczył powalony pień.

* * *

Komendant był dobrze zbudowanym trzydziestoparolatkiem, jednak nie mógł dotrzymać kroku najmłodszemu chłopakowi ze swojej drużyny. Kiedy zbiegali ze wzgórza, znajdował się prawie na końcu kolumny. Nagle dostrzegł błysk wystrzału – huk został stłumiony przez wilgotne powietrze dżungli. Gonitwa uwolniła w nim adrenalinę, jednak zachował przytomność umysłu. Skulił się na odgłos drugiego wystrzału, dzięki czemu znalazł się na końcu grupy biegnącej wąską ścieżką. Ledwo wyrównał tempo, kiedy w świetle prześwitującym przez listowie i konary zauważył, że coś wielkiego spada przed nimi.

Nie miał pojęcia, co to może być, i nie miał możliwości, żeby zgadnąć. Gdy to ogromne coś roztrzaskało się o ziemię, otaczając biegnących na czele grupy żołnierzy czarną chmurą, dowódca wydał jednak niezbyt konkretny sygnał ostrzegawczy.

Dopiero po pierwszych okrzykach bólu, przejmującym ukłuciu w przedramię tam, gdzie kończyła się jego rękawica, odsłaniając skórę, gdy grupa ścigających została otoczona bzyczącą czarną mgłą, zorientował się w sytuacji.

Tysiące, dziesiątki tysięcy rozwścieczonych pszczół oblało krzyczących, wijących się z bólu i przerażenia ludzi. Po chwili rozległy się dzikie strzały – żalosne, beznadziejne, zdesperowane próby obrony. Doskonale wyszkoleni żołnierze rozbiegli się po gęstym lesie. Padali na ziemię, machali rękami i nogami, próbując uwolnić się od rozsierzonego roju.

Dowódca został użądlny w twarz i szyję, kilkakrotnie w rękę. Potknął się, odwrócił i rzucił do ucieczki. Biegł z powrotem na wzgórze, próbując wyprzedzić tysiące wściekłych ogników, piekących niczym żar papierosów wbijanych w ramię

podczas tortur, nacierających na niego z każdej strony. Czuł szczypanie, jakby znajdował się pod chmurą kwaśnego deszczu. Usiłował wyrwać się z chmary drobinek palącej lawy.

Zaklął, wcisnął przycisk na krótkofalówce i zaczął krzyczeć. Następnie potknął się, upadł i poczuł, jak żądła wbijają się jeszcze głębiej w jego skórę.

Już prawie zdołał się podnieść, kiedy został powalony przez uciekających w stronę strumienia żołnierzy spanikowanych, obolałych i na wpół oślepionych przez otaczające ich mrowie owadów.

Dowódca podciągnął kolano i miał ponowić próbę, żeby się podnieść, kiedy i on został otoczony przez ciemny bzycający obłok. Piekło go całe ciało. Chwytał pistolet, aby się bronić przed żądzącymi napastnikami.

* * *

Court wciąż biegł, coraz dalej od krzyków i chaotycznych wystrzałów w dżungli. Domyślał się, że ściga go około dwunastu komandosów. Ani razu nie obejrzał się za siebie. Po charakterystycznym warkocie silników rozpoznał hueya, który na pokład zabierał czternastu ludzi.

Rozbrzmiewające w dżungli krzyki zdawały się potwierdzać jego przypuszczenia – mógł doliczyć się około dwunastu źródeł wrzasku. Już wiedział, że w drugim śmigłowcu też było tyle samo ludzi.

Nad dżunglą unosił się dźwięk silników helikopterów. Po desancie czekały na rozkaz, aby wziąć na pokłady żołnierzy.

Gentry wydostał się z gęstwiny na drogę. Skierował się na południe i zwolnił bieg. Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się ekipa z drugiej maszyny. Jeśli udało im się wydostać z mokradeł, mogli dotrzeć do tego miejsca. Możliwe że byli co najmniej kilometr za nim.

Podczas truchtu pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Nie trwała ona jednak długo, bo wkrótce usłyszał nadjeżdżającą z tyłu ciężarówkę. Doskonale wiedział, że w pobliskiej wsi był tylko jeden taki pojazd – stary grat z naczepą należący do jednego z jego współpracowników, używany do przewożenia wyłowionego żelastwa drogą prowadzącą od wraku do doków, z których wywożono je do Fonte Boa.

Court zwolnił i spojrzał za siebie. Spodziewał się, że za kierownicą zobaczy Daviego.

Jakieś sto metrów za nim rzeczywiście jechał znajomy pojazd, tyle że wypełniony uzbrojonymi po zęby mężczyznami w kapeluszach z szerokim rondem. Gentry przyspieszył ścigany serią z karabinów.

– Kuuuurwaaaa! – jęknął, wbiegając na ścieżkę prowadzącą do dżungli. Przedzierał się przez gęste zarośla i palmy o pniach szerokich jak opony ciężarówek. W takiej chwili chciał stać się mniejszy, szybszy i śliski niczym wąż.

Przeciskając się przez parną gęstwinę, opracowywał kolejny plan. Jego poprzednia strategia ucieczki była prosta: niecałe dziewięćdziesiąt metrów dalej znajdował się most, pod którym ukrył zawczasu czółno. Zakładał, że pobiegnie właśnie tą trasą, zsunie się po stromym zboczu do rzeki, po czym ucieknie czółnem, chowając się pod porastającymi brzegi drzewami przed pościgiem z powietrza.

Sęk w tym, że teraz przyjdzie mu dostać się do mostu z drugiej strony rzeki, a z tym wiązała się zasadnicza przeszkoda. A raczej, patrząc na to dokładnie, kilkanaście przeszkód.

Na północ od mostu oba brzegi rzeki były opanowane przez krokodyle. I to nie były jakie.

Przedzierając się przez gęstwinę, Court miał już kolejne rozwiązanie. Wymagało ono umiejętności, której posiadania nie był pewny, perfekcji wykonania, a przede wszystkim szczęścia, lecz czy mógł na nie liczyć?

Ta opcja była lepsza niż skakanie po poboczu, żeby wymknąć się ostrzałowi z ciężarówki pełnej uzbrojonych po zęby żołnierzy.

Napastnicy już weszli za nim do dżungli. Kilku strzeliło na chybił trafił w gęstwinę. Court wiedział, że zarośla się zamykają, gdy tylko się przez nie przecisnie. Przestał się bać ścigających go najemników. Nie mogli go dostrzec, pociski nie mogły go dosięgnąć. Nie oznaczało to jednak, że się nie martwił. Wiedział, że czeka go spotkanie z krokodylami.

Naturalne odgłosy dżungli zburzyła kanonada pocisków. Wydawało się, że ścigający Courta próbują serią z karabinów wytyczyć sobie drogę. Gentry wiedział, że to niemożliwe, na pewno nie przed jego ucieczką. Ale wciąż istniało niewielkie

wprawdzie ryzyko, że jakaś zabłąkana kula przedostanie się przez roślinność i trafi go w głowę.

Court padł na kolana i przemierzał teren na czworakach, ocierając ręce i nogi do krwi. Rozerwał kilka gigantycznych pajęczyn, wielkich niczym sieci rybackie. Lufą obrzyna strącił boa dusiciela z gałęzi – łatwiej było przejść nad bestią, niż ostrożnie przeciskać się pod konarem, uważając, aby wąż nie owinał się mu wokół szyi.

Wreszcie wydostał się z dżungli i wspiał się na wzniesienie rozciągające się nad rzeką. Niecałe czterdzieści metrów od niego po jego lewej stronie promienie słoneczne zachęcająco oświetlały drewniany most. W cieniu konstrukcji unosiło się jego czółno przykryte płachtą. Poniżej, wzdłuż brzegu, na odcinku ponad dwudziestu metrów z prawie czterdziestu dzielących Courta od mostu, wygrzewało się około dwunastu krokodyli, bestii mierzących od dwóch do prawie pięciu metrów.

Z lewej strony dostrzegł grubą lianę. Rozciągała się w poprzek rzeki, sięgając do najwyższego, najdalej wysuniętego konaru ponad sześćdziesięciometrowego drzewa kapkowego, które sterczało na przeciwnym brzegu nad wodą niczym wielkie ramię.

Wiedział, że dostanie się z niego do mostu, albo przynajmniej w jego okolice, w zadowalającej odległości od krokodyli. Zapowiadało się idealnie.

Dziesięć minut wcześniej pozbył się maczety, więc wycelował z obrzyna w miejsce, w którym pnącze łączyło się z ziemią.

Zawahał się jednak. Dyszał z wycieńczenia. Piekły go zadrapania na dłoniach i kolanach, bolały miejsca poranione i pokąsane przez insekty na całym ciele. Stał z bronią gotową do strzału. Nie tak dawno wiele wieczorów spędził, huśtając się na lianach z chłopakami z wioski. Ufał ich wytrzymałości, wiedział, że pomogą mu się dostać do wybranego punktu. Zdawał sobie sprawę, jak jego plan spelza na niczym i zapowiada fatalny koniec.

Długa, wściekła seria wystrzałów z broni automatycznej, dobiegająca z odległości mniej więcej trzydziestu metrów, pomogła mu otrząsnąć się z otępienia i skupić na czekającym go zadaniu. Strzelił w lianę, która się rozpołowiła, i chwycił ją wolną dłonią, zanim pnącze odbiło w drugą stronę. Pośpiesznie przytwierdził broń do plecaka, po czym skoczył i chwycił lianę

najwyżej, jak mógł dosięgnąć. Mocno zacisnął obolałe dłonie, oplótł lianę nogami i poleciał nad głowami potężnych gadów wygrzewających się na brzegu. Wiele osobników leżało z szeroko otwartymi pyskami pełnymi zębisk, chłodząc się nadrzecznym powietrzem. Dla kogoś, kto zwisał nad nimi, nie był to widok napawający otuchą.

Court trzymał się kurczowo liany, choć krzywił się z bólu. Mięśnie nóg zaczęły mu drżeć, ale zacisnął mocno kolana i utkwiał wzrok w miejscu, w którym chciał wylądować, tuż koło mostu.

Liana była gruba, zielona i zdrowa – miał nadzieję, że uda mu się przedostać na drugą stronę.

Gorzej było z gałęzią, z której zwisała ta naturalna lina. Tak się składało, że miejsce, z którego odchodziła od grubego konaru, wybrały na swoją siedzibę termyty, osłabiając jego konstrukcję. Gdyby nie akrobatyczne popisy Gentry'ego, gałąź wytrzymałaby pewnie jeszcze rok, a przynajmniej do najbliższej pory deszczowej, kiedy burzowe wiatry mogły złamać osłabione drewno.

Gałęzi nie dane jednak było przetrwać tak długo. Złośliwy los oraz masa ciała Amerykanina huśtającego się na zwisającej z niej lianie sprawiły, że złamała się właśnie teraz.

Największe obawy Gentry'ego ziściły się w dwóch etapach.

Pierwszym z nich było lekkie poluzowanie się liany przy gałęzi. Nastąpiło gwałtowne szarpnięcie. Lot został przerwany. Court był już daleko od brzegu, mniej więcej trzy metry nad wodą. Leciał z dużą prędkością. Zdołał się utrzymać liany, ale odchylił się znacząco od celu.

Spróbował skupić przerażony wzrok na odległym punkcie po drugiej stronie rzeki i nagle usłyszał złowrogi trzask – gałąź się złamała.

Gentry wywinął fikołka w powietrzu, ale po chwili grawitacja dała o sobie znać i zaczął spadać twarzą w stronę wody, wydając krzyk absolutnego przerażenia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gentry nie miał innego wyjścia, musiał puścić pnące.

Uderzył w powierzchnię wody, zdając sobie sprawę, że wybudzi z sennej drzemki i zapewne rozwścieczy leżące na brzegu krokodyle.

Zanurzył się w ciemną otchłań, nie mogąc złapać oddechu. Próbował zrzucić plecak, ale ten wciąż tkwił na swoim miejscu i ciągnął go w kierunku mulistego dna. W tym miejscu głębokość rzeki wynosiła tylko jakieś dwa, dwa i pół metra. Kiedy w końcu zdołał ściągnąć plecak, wyszarpnął obrzyn. Wiedział, że pływanie z takim sprzętem nie jest dobrym pomysłem, ale zostawienie strzelby w wodzie, kiedy w okolicy roi się od gadów, z których każdy jest rozmiarów czteroosobowej łodzi, byłoby skrajnym brakiem wyobraźni.

Chwyciwszy broń, Gentry odepchnął się od dna ku powierzchni, gubiąc przy tym but. Kiedy jego głowa przebiła taflę wody, pozbył się drugiego. Stracił długie, mokre kosmyki z oczu i zwrócił się w stronę najbliższego brzegu dwadzieścia metrów dalej.

Jak na zawołanie dwa potężne krokodyle zsunęły się do wody i zaczęły zmierzać w jego kierunku. Poza tym brzeg był pusty. Dziwne. Court był pewien, że gdy się huśtał na lianie, widział w tym miejscu pięciometrowego potwora.

Gentry położył się na plecach i gorączkowo kopał wodę nogami, starając się utrzymać głowę na powierzchni, a lufę broni wycelował w stronę brzegu. Była to niezbyt skoordynowana próba zastosowania stylu grzbietowego, dzięki któremu nabrał prędkości. Wynikała ona jednak nie tyle z umiejętności technicznych pływaka, ile z intensywności wykonywanych ruchów.

Krokodyle zazwyczaj nie zjadają ofiar żywcem. Najpierw zabijają przyszły posiłek, chwytając go w paszczę i zaciskając szczęki niczym imadło, a następnie wciągają ofiarę pod wodę, aby ją utopić.

Court zdawał sobie sprawę, że jako słaba istota nie miał szans dożyć utopienia. Znalezienie się w paszczy gada raczej go nie zabije, natomiast podrzucanie

i uderzanie ogonem najpewniej zmiądzży mu kręgi szyjne, złamie kręgosłup w kilku miejscach i zmieni Courta w szmacianą kukłę, zanim jego płuca wypełnią się ciepłą ciemną wodą.

Od celu dzieliło go mniej więcej osiemnaście metrów. Stwierdził, że daruje sobie wychodzenie na brzeg i popłynie prosto do unoszącego się na wodzie czółna, jako że krokodyle są na lądzie jeszcze szybsze niż w wodzie. Był o krok od obezwładniającego ataku paniki, ale nawet nie rzucił okiem na drugi brzeg, żeby sprawdzić, ile głodnych gadów, które z pewnością nie pogardzą szybką i łatwą przekąską, czyha tam na niego.

Skupił się natomiast na białej pianie, która pojawiła się w pobliżu jego bosych stóp. Bo tam właśnie krył się gad. Dotarła do niego pierwsza bestia. Na pierwszy rzut oka wydawało się, jakby z piany wyłaniał się gruby, szary pień, ale tylko do chwili, gdy monstrum otworzyło paszczę kilkanaście centymetrów przed palcami stóp Gentry'ego. Krzycząc z przerażenia, Court rozłożył nogi i wymierzył z obrzyna.

Klik...

Po odstrzeleniu liany nie przeładował broni.

A bestia nacierała.

Court walnął lufą w środek rozwartego pyska. Dwie sekundy bezruchu wystarczyły jednak, że zaczął tonąć. Poczul wzdłuż nogi pazury gada. Przywalenie mu obrzynem sprawiło, że bestia na chwilę się odsunęła. Gentry wykorzystał to, aby wsunąć dodatkowy nabój do komory, równocześnie zanurzając się i gorączkowo próbując utrzymać twarz na powierzchni.

W końcu cały się zanurzył, wystawił broń jak najwyżej, aż wyczuł lufą szyję płynącego nad nim zwierzęcia, i jedną ręką nacisnął spust.

Odrzut sprawił, że znalazł się jeszcze głębiej, dzięki czemu udało mu się uniknąć uderzenia wielkim ogonem bestii miotającej się przy powierzchni. Court się obrócił i popłynął w stronę czółna, trzymając się blisko dna. Po chwili wynurzył się na powierzchnię i załadował nowy nabój do komory. Obok dostrzegł kolejnego krokodyla, który właśnie rozwierał paszczę, szykując się do śmiertelnoścnoego kłapnięcia. Ten miał najwyżej trzy metry, co nie zmieniało faktu, że wciąż mógł Courta ukatrupić.

Gentry strzelił szaremu monstrum między oczy. Podwójny strzał śrutowym nabojem z obrzyna odpowiadał mniej więcej dziesięciu równoczesnym wystrzałom z pistoletu kaliber .32, a oddany w pysk gada, nawet tak potężnego, był najprawdopodobniej śmiertelny. Sęk w tym, że pośmiertne drgawki potężnej bestii są równie niebezpieczne jak jej natarcie, więc Court musiał wykrzesać z siebie nową porcję sił, żeby jak najszybciej oddalić się z tego miejsca.

Wiedział, że świeża krew lada moment zwabi setki piranii, miał więc wiele powodów, żeby jak najszybciej wydostać się z wody. Wyrzucił łuskę, nabił broń, po czym rzucił się w stronę ukrytego pod mostem czółna.

Gdy tylko się go uchwycił, usłyszał pierwsze strzały z karabinów. Chwilowo jednak je zignorował. Wolną ręką odpiął haczyki płachty przykrywającej czółno. Następnie wrzucił do środka obrzyn i wsunął się do łódki. Za nim rozwarła się ogromna paszcza trzyipółmetrowego gada, który oparł się przednimi łapami o czółno. Bestia kłapnęła, ale nie trafiła Gentry'ego. Łapska potwora znalazły się już w czółnie, a ciężar miotającej się bestii sprawił, że lada moment łódka może się wywrócić. Court chwycił obrzyn i jedną ręką strzelił w szyję gada, strącając go z powrotem do wody. Próbował przeładować broń, ale komora była pusta. Amunicja została w plecaku, który leżał na dnie rzeki. Gentry odrzucił strzelbę na bok, po czym odgarnął całkowicie płachtę z czółna i spuścił je do wody. Rzeka zapieniała się od kolejnej serii z karabinu, jednak zanim znajdujący się w oddali żołnierz znów przymierzył się do strzału, skończyły mu się naboje.

Court zanurkował pod trzymetrowe czółno, umocował doczepiany silnik i go uruchomił. Nie tracił czasu, od razu skierował łódkę w górę rzeki, z dala od karabinów, krokodyli i piranii.

Odpłynął na niewielką odległość na wschód od mostu, ale wciąż miał zadyszkę i wycharkiwał wodę z gardła. Spuścił wzrok. Nogawka spodni na lewym udzie była rozdarta. W miejscu, gdzie krokodyl zaatakował go pazurem, ciągnęła się długa rana. Draśnięcie okazało się dość poważne. W najgłębszym miejscu przydałoby się nawet kilka szwów, ale wiedział, że spotkanie z krokodylami zakończyło się dla niego pomyślnie. Wzdrygnął się na wspomnienie nacierającego na niego potwora.

W końcu odetchnął z ulgą. Spojrzał na czółno, które stanowiło praktycznie jego jedyny dobytek. Poza nim miał jeszcze starą latarkę, litrową butlę paliwa do silnika oraz pokryty miejscami rdzą harpun.

Court odgarnął długie włosy z oczu, wolną ręką podniósł harpun, po czym zwiększył obroty silnika i pomknął w górę rzeki, w stronę Fonte Boa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Łowca nagród stał w pokoju hotelowym na pierwszym piętrze. Otarł pot z twarzy i otworzył okno, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza, które choć chłodniejsze niż zatechła atmosfera pomieszczenia, niesło swąd gnijących ryb i oślich odchodów.

Mężczyzna opanował falę nudności.

Wyłączył radio i wrzucił je do walizki. Zapakował już ubranie. Wystarczyło zapiąć torbę i zwijać z tej odrażającej zatechłej dziury. Za dziesięć minut będzie już w porcie, wejdzie po trapie na parowiec do Coari, a po dwóch dniach dotrze do miasta z prawdziwego zdarzenia, przynajmniej w porównaniu z tym zadupiem, które równie dobrze mogło być plamą kawy na pożółkłej mapie.

Nim miną kolejne dwa dni, znajdzie się w Manaus, gdzie – niczym sprinter olimpijski – pobiegnie na lotnisko i polecą do Rio czy São Paulo, a stamtąd wreszcie do domu, do Amsterdamu.

Dopiero tam będzie mógł oddychać swobodnie. Weźmie jeden albo nawet dwa dni urlopu, zajmie się tulipanami w swoim ogrodzie, a następnie wróci do pracy. Znowu namierzy cel.

Był pewien, że uda mu się znaleźć Courta Gentry'ego. Obiecał sobie jednak, że tym razem dobierze ekipę, która nie spartoli całej operacji.

Wciąż nie potrafił uwierzyć w to, co się stało. Z dwudziestu ludzi sześciu zginęło, w tym dowódca, doświadczony członek Zjednoczonych Sił Samoobrony Kolumbii. Pięciu zeszło z tego świata od użądleń jakichś pszczoł, a jeden się poślizgnął i wpadł do rzeki, w której roiło się od krokodyli. To wyglądało jak kadr z kiepskiego filmu przygodowego albo wręcz parodii tego gatunku. Właśnie dostał wiadomość od załogi helikopterów, że wracają do Kolumbii, transportując do domu i żywych, i martwych.

Jego tu zostawili.

Kutasy zasrane.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Sześćdziesięciodwulatka przeszedł dreszcz. Odwrócił się od okna i wyciągnął ze skórzanej kabury stary rewolwer kaliber .32. Trzymał go drżącą ręką.

Powoli podszedł do drzwi z wyciągniętą przed sobą bronią.

– Kto tam?

– Proszę pana, czy potrzebuje pan pomocy z bagażem?

Holender przekręcił klucz w zamku i zdjął łańcuszek. Otworzył drzwi, chowając pistolet za framugą.

Odetchnął z ulgą. To tylko jeden z pracowników recepcji.

– Nie. Poradzę sobie.

– Tak jest. Proszę pamiętać, że prom odpływa za dwadzieścia minut – powiedział, odwrócił się i ruszył na dół po chybionych schodach.

Łowca zatrzasnął drzwi, przekręcił zamek i założył łańcuszek. Wsunął stary rewolwer do kabury i ruszył zamknąć walizkę.

Po drugiej stronie pomieszczenia, przy oknie, stał Courtland Gentry, którego Holender ścigał od kilku miesięcy. Nosił teraz krótką brodę i miał włosy dłuższe niż na jakiegokolwiek fotografii dostarczonej łowcy, ale mężczyzna był pewien, że to on. Amerykanin miał na sobie koszulę: była rozpięta, wilgotna i brudna. Jego brązowe bawełniane spodnie miały głębokie rozdarcie na udzie i były umazane krwią.

W prawej dłoni trzymał harpun.

Łowca z krzykiem przerażenia chwycił rewolwer.

Gorące powietrze przeciął głośny chrzęst sprężyny wyrzutni. Holender poczuł, że leci w tył na drewniane drzwi. Rozłożył szeroko ręce.

Spojrzał w dół, spuściwszy wreszcie oczy z Gentry'ego. Na wysokości brzucha został przeszyty długim grotem, który przybił go do drzwi. Po wewnętrznej stronie nóg powoli spływała krew.

Gdy zorientował się w sytuacji, powoli spojrzał na mężczyznę, którego ścigał. Amerykanin cisnął harpun na łóżko i podszedł do niego. Mimo ogarniającego go osłabienia łowca próbował sięgnąć po rewolwer.

Gray Man delikatnym ruchem odsunął dłoń Holendra i wyciągnął zawartość kabury. Obejrzał rewolwer, wzruszył ramionami, po czym wsunął go za pas z tyłu

spodni.

– Śledzisz mnie od Chile, prawda? – zapytał.

Łowcę zdziwiło, że Amerykanin mówi łagodnie i spokojnie. Życie Holendra od ponad pół roku kręciło się wokół Courta Gentry'ego, ale dopiero teraz, kiedy wreszcie usłyszał jego głos, uświadomił sobie, że nigdy nawet nie próbował wyobrazić sobie jego barwy.

Holender poczuł palący ból w środku. Z minuty na minutę słabł, mimo to odparł:

– Nie, od Quito.

Gentry uśmiechnął się i nachylił nad nim. Mówił łagodnie, prawie poufale, jakby to była rozmowa ojca z synem.

– No proszę. Nawet o tobie nie pomyślałem w Ekwadorze – odparł, podnosząc brew. – Cóż, to był nie lada pościg, prawda?

Holender stracił już czucie w nogach. Jęknął z bólu, którego źródłem był grot tkwiący w jego podbrzuszu. Gray Man chwycił go i mocno przytrzymał, aby ulżyć mu w cierpieniu. Następnie spojrzał umierającemu w oczy.

– Sam wiesz, jak to jest – powiedział. – Z takimi jak ja. Nie możemy zmienić tego, kim jesteśmy. To nie nasza wina. Natomiast ten, kto cię za mną wysłał... On doskonale wiedział, kim jestem. Jakim jestem człowiekiem. To on cię zabił, nie ja.

Oczy łowcy były już prawie całkowicie pozbawione wyrazu. Mimo to pokiwał głową.

– Powiedz mi, kto cię przysłał, a pomszczę twoją śmierć.

Holender otworzył usta. Po brodzie popłynęła strużka krwi. Próbował coś powiedzieć. Wydał jęk.

Court nachylił się jeszcze bliżej.

Mężczyzna skrzywił się z bólu. Jego oczy na powrót niemal ożyły, pobudzone nowym wysiłkiem. Chciał coś powiedzieć.

W końcu mu się udało, choć tak cicho, że Gentry musiał prawie dotknąć uchem ust łowcy, aby usłyszeć:

– Sidorenko...

Amerykanin się odsunął. Stał teraz wyprostowany przed łowcą. Pokiwał głową. Grigorij Sidorenko, szef rosyjskiej mafii, a zarazem były przełożony Courta

najwidoczniej wciąż nie wybaczył mu próby przechytrzenia go poprzedniej wiosny.

– Ukarzę go, że cię na mnie nasłał. Możesz spoczywać w pokoju.

Gentry wyciągnął grot z ciała Holendra. Łowca nie poczuł ani tego, ani że został przeniesiony na łóżko. Patrzył, jak Amerykanin go kładzie, po czym podnosi jedną stopę, potem drugą, i zdejmuje buty. Gray Man pragnął ulżyć mu w cierpieniu, choć łowca niczego już nie czuł. Chciał jedynie odpocząć. Jego powieki stały się ciężkie. Zobaczył jeszcze, że Court otworzył jego walizkę, wyjął z niej portfel, apteczkę i ubrania, a potem wyszedł.

Łowca zamknął oczy i pomyślał o swoich tulipanach.

A jednak już ich nie zobaczy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O trzeciej nad ranem trzydziestoosmioletni major Eduardo Gamboa powoli wynurzył się w zatoce. Najpierw wyłoniło się jego neoprenowe nakrycie głowy, następnie twarz w masce umazana czarną wodoodporną farbą. W ustach miał ciemny aparat do oddychania. Wszystko to sprawiało, że doskonale wtapiał się w czerń wody w Bahía de Banderas. Pięćdziesiąt metrów przed nim kołysał się prawie czterdziestometrowy luksusowy jacht. Za nim w oddali lśnił Malecón, deptak ciągnący się wzdłuż wybrzeża w centrum Puerto Vallarty. Dalej, na lewo, niczym świetliki pobłyskiwały światła hoteli.

Jacht „La Sirena” stał zakotwiczony jedenaście kilometrów od brzegu, z dala od dróg morskich, lecz na tyle blisko mariny, że właściciel i jego goście mogli swobodnie korzystać z uroków kurortu. Łódź była długa, zgrabna i przepiękna. Nad górnym pokładem rufowym znajdowało się lądowisko dla helikopterów, na którym spoczywał dumnie czarny eurocopter. Eduardo Gamboa jednak nie zważał na wygląd jachtu – obchodziła go jedynie jego zawartość. Po czterdziestu minutach pod wodą doskonale widział w ciemności. Gołym okiem dostrzegł dwóch strażników na dziobowym pokładzie słonecznym. Szacował, że pewnie po drugiej stronie będzie ich tyle samo.

Po prawej stronie Eduarda powoli wynurzyła się kolejna głowa. Potem następna. Po lewej pojawiło się jeszcze trzech mężczyzn, a tuż za nim kolejnych dwóch.

W sumie pięćdziesiąt metrów od „La Sireny” było ośmiu nurków. Na znak majora wszyscy wypuścili trochę powietrza z kamizelek nurkowych i jak jeden mąż zniknęli w wodzie, nie pozostawiając po sobie śladu.

Gamboa i jego ekipa należeli do Grupo de Operaciones Especiales, elitarniej jednostki meksykańskiej policji federalnej do zadań specjalnych. O istnieniu tej wyjątkowej ósemki wiedziało niewielu. Stanowiła ona oddzielną grupę GOPES-u, złożoną z najlepszych ludzi wybranych z jednostek policyjnych i wojskowych. Ta

specjalna, tajna grupa szturmowa podlegała bezpośrednio prokuratorowi generalnemu. Ich zadaniem było eliminowanie szefów meksykańskich karteli narkotykowych. Akcje zaś mieli wykonywać z pominięciem wymiaru sprawiedliwości.

Aktualnym celem był właściciel „La Sireny”, Daniel Alonzo de la Rocha Alvarez. W środowisku, gdzie każdy miał jakąś ksywę, de la Rocha określany był inicjałami nazwiska – DLR, po hiszpańsku wymawianymi jako „de ele ere”.

DLR przewodził Los Trajes Negros, Czarnym Garniturom, jednej z czołowych organizacji kryminalnych specjalizujących się w handlu narkotykami i porwaniach.

Po czterech minutach dwóch członków tajnej ekipy wynurzyło się przy rufie jachtu. Martin i Ramses zdjęli sprzęt do nurkowania, maski i płetwy, po czym ostrożnie wspięli się po schodkach na niższy pokład. Kiedy znaleźli się na szczycie schodów, trzymali już w gotowości wyposażone w tłumiki pistolety maszynowe steyr TMP. Dzięki noktowizorom mogli obserwować kambuz i dziób.

– Jesteśmy na pokładzie, ustawiamy się na pozycjach – zameldował Ramses przez zestaw słuchawkowy.

Gamboa wynurzył się przy lewej burcie wraz z dwoma ludźmi.

– *Entendido*. Zrozumiano – wyszeptał przez radio.

Po minucie Martin i Ramses wspinali się bezszelestnie po drabinie prowadzącej na lądowisko helikopterów. Gdy dotarli na miejsce, położyli się po obu stronach śmigłowca, mierząc z broni w czwórkę strażników stojących z przodu jachtu na pokładzie słonecznym, jakieś dwadzieścia metrów od nich. Martin i Ramses mieli za zadanie zapobiec ewentualnej ucieczce eurocopterem komukolwiek z członków załogi oraz – na rozkaz dowódcy – wyeliminować ochronę.

– Ekipa jeden *listo*. W gotowości – szepnął Ramses przez radio.

– *Entendido* – powtórzył Gamboa znad falującej łagodnie wody. Równocześnie ściągał sprzęt. – Ekipo dwa, do dzieła.

– Tak jest – przyszła odpowiedź.

Trójka agentów zaczęła się wspinać po łańcuchu kotwicy przy lewym dziobie, dwanaście metrów poniżej strażników na pokładzie słonecznym.

Po dwóch minutach byli już na pozycji i mierzyli z broni w otwarty kokpit.

– Ekipa dwa. *Listo*.

– Ekipa trzy, *vamos* – powiedział Gamboa, po czym wraz z dwoma pozostałymi agentami podnieśli się przy tylnych schodach i ociekając wodą, wspięli na wyższy pokład, minęli wielką łódź ratunkową przykrytą plandeką, po czym ostrożnie zaczęli kierować się do przodu. Dotarli korytarzem aż do kambuza, z większego pomieszczenia za nim dochodziły dźwięki i można było dostrzec światło. Gamboa i jego dwaj towarzysze podnieśli noktowizory i ostrożnie weszli do środka. Przed pięćdziesięciodwucalowym telewizorem plazmowym na wielkiej, białej skórzanej sofie siedziało dwóch ochroniarzy. Gamboa zajął się tym po lewej: wystarczył jeden strzał w głowę podnoszącego się właśnie strażnika. Odgłos wystrzału został wyciszony tłumikiem i dodatkowo zagłuszony strzelaniną dobiegającą z głośników telewizora.

Agent stojący za majorem Gamboa oddał trzy strzały w klatkę piersiową ochroniarza siedzącego po prawej. Obaj strażnicy osunęli się z powrotem na sofę. Z ich rąk wypadła broń. Strumienie krwi z obu ciał połączyły się na białej skórze kanapy.

Trójka *federales* poruszała się sprawnie. Eduardo spojrzął na ekran telewizora. Strażnicy oglądali *Los Trajes Negros 2*, drugą część popularnej serii meksykańskich filmów idealizujących życie i przygodę Daniela de la Rochy, przestępcy śpiącego nieopodal w kabinie głównej.

„Arogancki *pendejo*”, pomyślał Gamboa. Narcyz Narkotykowy wyświetla na swoim jachcie sławiące go filmy.

Gamboa szedł ostrożnie na czele podążającej za nim rządkiem grupy. Doszli do korytarza prowadzącego do kabiny właściciela. Minęli dwie kajuty dla gości – tymi zajmą się po załatwieniu de la Rochy, choć nie spodziewali się zastać w nich kogokolwiek. „La Sirena” była pod ścisłym nadzorem od czterdziestu ośmiu godzin. Obserwatorzy donieśli, że tej nocy Daniel był na pokładzie wyłącznie z ochroną i załogą.

Dotarli pod drzwi do kabiny właściciela i się zatrzymali.

Po kilku sekundach otrzymali wiadomość z piętra wyżej, od ekipy numer dwa, która znalazła się przed pomieszczeniami załogi.

– No to działamy na trzy. *Uno... dos... tres!*

Spod helikoptera Martin i Ramses wystrzelili po trzy serie ze stejrów prosto w głowy ochroniarzy przebywających na pokładzie słonecznym.

Ekipa numer dwa otworzyła obie kabiny załogi i kajutę kapitana. Jeden z agentów wymierzył w koję, dwóch kolejnych włączyło światło i również wycelowało broń. Mieli tu zastać ośmiu ludzi.

Trzecia ekipa pod wodzą majora Eduarda Gamboa kopniakiem otworzyła kajutę właściciela. Mieli włączone latarki pod lufami pistoletów maszynowych, ale okazało się to niepotrzebne – w pomieszczeniu było jasno. I tu znajdował się włączony wielki telewizor plazmowy. Na ekranie Daniel de la Rocha rozmawiał z dziennikarzem, którego nie było widać. Gamboa nie patrzył na ekran, tylko ruszył w stronę ogromnej koi. Jego celem było potężne wybrzuszenie w jedwabnej pościeli.

Zanim jednak dotarł do pośłania, w które już zdążył wymierzyć, jego uwagę przykuł głos dobiegający z prawej strony.

– Witam na pokładzie, majorze Gamboa. – Usłyszał de la Rochę. Gamboa odwrócił się zdziwiony. Z ekranu Daniel patrzył mu prosto w oczy. Wydawało się, że jest w studiu telewizyjnym, ubrany w charakterystyczny czarny włoski garnitur. – Kto by pomyślał! Wysłany przez rząd zabójca w moich skromnych progach... I po to, aby mnie zabić! *Dios mio!* – Przystojna twarz na ekranie uśmiechnęła się półgębkiem. Pokryte żelazem ciemne włosy, kozia bródka i cienkie wąsiki błyszczały złowrogo, a oczy wciąż zdawały się utkwione w majorze.

Eduardo obejrzał się na drzwi kajuty. Obaj jego towarzysze zdziwieni patrzyli na ekran.

W słuchawce rozległ się głos dowódcy pierwszej ekipy.

– Melduję, wszystkie cztery cele wyeliminowane.

Następnie zgłosiła się druga ekipa:

– Panie majorze, większość koi pusta. Jest ich tu tylko trójka. Nie ma kapitana.

De la Rocha znów przemówił z ekranu do zaskoczonego Eduarda:

– Panie majorze... Mam pytanie... Jeśli pan pracuje dla *federales*, a *federales* należą do mnie, w jakiej sytuacji stawia to pana i pana ludzi?

Gamboa spojrział na wybrzuszenie w pościeli. Odchylił koldrę.

Jego oczom ukazał się plastik. A dokładniej około pięćdziesięciu kilogramów C4 związanych drutem, z czerwonym detonatorem w zestawie.

– ¿*Qué chingados?* Co jest, kurwa? – mruknął Gamboa.

– Czy poznał pan już odpowiedź na to pytanie? Śmierć! Odpowiedzią na moje pytanie jest to, że pan i wasz popieprzony zespół jesteście już *muerto, pendejo!*

Eduardo Gamboa odwrócił się od bomby i wcisnął przycisk radia.

– To zasadzka! Natychmiast skakać z jachtu!

Jego ekipa popędziła korytarzem. Eduardo biegł za nimi. Ledwo opuścili salon i minęli telewizor z filmem wychwalającym pod niebiosa zbrodnię Daniela Alonza de la Rochy Alvareza, za ich plecami pojawił się rozbłysk. Ogarnęła ich kula ognia. Zginęli w wybuchu jachtu, który kosztował trzydzieści trzy miliony dolarów.

* * *

Niecałe sto metrów od wraku luksusowej „La Sireny” Daniel de la Rocha unosił się na wodzie, czekając cierpliwie, aż Emilio i Felipe, jego dwaj ochroniarze, napompują ponton i wciągną go na pokład. Gdy wszyscy trzej znaleźli się już w dmuchanej łajbie, wyrzucili rurki i maski, których użyli, gdy wymykali się z drewnianej szalupy na górnym pokładzie wprost do zatoki. Udało im się odpłynąć prawie sto metrów, zanim zastrzelono czwórkę na pokładzie słonecznym. To był znak dla Daniela, żeby wcisnąć przycisk wodoodpornego pilota i włączyć DVD na pokładzie oraz uzbroić bombę.

Teraz przyglądali się płomieniom na falach.

De la Rocha miał nadzieję, że wkrótce zostaną uratowani przez przybrzeżną straż pożarną. Wiedział, że uchodząc z życiem z zamachu *federales*, stanie się męczennikiem. Miesiącami starał się jak najlepiej wykorzystać tę okazję.

Owszem, będzie mu brakowało „La Sireny”, ale i jacht, i eurocopter zostały odpowiednio ubezpieczone, podobnie jak liczne dzieła sztuki, których nie było już na pokładzie. Przed kilkoma miesiącami upatrzył sobie w Fort Lauderdale czterdziestośmiometrową ślicznotkę. Jego ludzie na pewno zachęcą jej właściciela do sprzedaży.

* * *

Sierzanci Martin Orozco Fernandez i Ramses Cienfuegos Cortillo też unosili się na czarnych falach. Obaj byli ranni. Ramses miał poharatane nogi. Wiedział, że gdy poziom adrenaliny mu spadnie i poczuje pieczenie w słonej wodzie, nie

opanuje krzyku. Martin zwichnął lewy nadgarstek, co uczyni przepłynięcie jedenastu kilometrów wyjątkową torturą. Byli to jednak doświadczeni pływacy. Poza tym mieli na sobie kombinezony nurkowe. Wiedzieli, że nie utoną, choć to marne pocieszenie. Reszta ekipy zginęła. Nie ulegało wątpliwości, że zostali wystawieni przez dowódców, a ci, którzy ich zdradzili, czekali gdzieś tam, na brzegu. Niewiele osób wiedziało o tej akcji. Ramses i Martin zdawali sobie sprawę, że co najmniej jedna z nich dała cynk Danielowi de la Rocha.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Court lubił dworce autobusowe w krajach rozwijających się. Mógł tu spokojnie przyglądać się ludziom, nie zwracając na siebie uwagi. Usadawiał się w pustawym, ciemnym kącie, skąd mógł chłonać cudze doświadczenia. Jego osobiste, niezbyt przyjemne położenie – to, że wiele bardzo niebezpiecznych osób życzyło mu śmierci – wymuszało życie w samotności oraz ciągłą podejrzliwość. Dlatego trzydziestosiedmiolatek podpatrywał zwyczajne życie, rodziny i inne relacje, a obserwacji dokonywał często właśnie na dworcach autobusowych. Patrzył, jak ojciec upomina niegrzeczne dziecko, jak młoda para tuli się do siebie i chichocze, jak jakiś staruszek samotnie je obiad. Życie Courta tak wyglądało przez ostatnie pięć lat, od momentu, gdy jako były funkcjonariusz CIA musiał się ukrywać przed agencją, która wydała rozkaz strzelania do niego bez ostrzeżenia. Prawdę mówiąc, odkąd Gentry pamiętał, jego życie – w różnym stopniu – polegało przede wszystkim na samotnej obserwacji tego, jak żyją inni.

Z Brazylii wyjechał przed dziewięćmioma dniami. Cały czas podróżował łądem – rowerami, autobusami i piechotą – aż do Ameryki Środkowej. Nigdzie nie zabawił dłużej niż sześć godzin. Teraz siedział na dworcu w stolicy Gwatemali i czekał na tak zwany kurczakowy autobus, wycofany z użytku w USA szkolny bus, przemalowany na jaskrawe kolory, który przewozi tyle ludzi, ile uda się do niego wsiąść. Zamierzał pojechać nim na północ, do dżungli na granicy Belize i Meksyku.

Miał przy sobie niewiele gotówki. W Salwadorze sprzedał giwerę ścigającego go do niedawna Holendra, zostało mu też trochę euro wyjętych z jego portfela. W Panamie kupił używaną odzież i zieloną płócienną torbę. Ani to, ani jedzenie i bilety nie były drogie. Gentry potrafił żyć skromnie, ale wiedział, że niedługo zacznie mu brakować forsy.

Na metalowym słupie w rogu poczekalni wisiał czarno-biały telewizor. Nadawano właśnie jakiś meksykański talk-show prezentujący niezrozumiałe dla

niego przekrzykiwanie się osób transpłciowych.

Court nie zwracał zbytnej uwagi na audycję. Gapił się na jedzącego staruszka i jego miskę ryżu. Gentry był tu długo, więc wiedział, że ten człowiek pracuje na dworcu – myje mopem posadzkę i niezbyt starannie czyści toalety. Teraz siedział przy stoliku w dworcowej knajpce i powoli skubał jedzenie. Właściwie głównie wsysał ryż – braki w uzębieniu nie pozwalały mu dokładnie go pogryźć. Ciekawe, czy musi pracować całą noc? Czy ma do kogo wrócić nad ranem?

Court próbował sobie wyobrazić, jakie życie prowadzi ten mężczyzna. Pod wieloma względami zapewne przypominało jego los.

Tyle że Gentry nie spodziewał się dożyć takiego wieku. Poczł dziwną ulgę – nie chciał być ani samotny, ani stary.

Pobyt w amazońskiej wiosce okazał się dla niego przełomowy. Przybył tam po podróży trwającej nieprzerwanie pięć miesięcy. Spędził kilka tygodni w Rio, kilka w Quito, po kilka dni w dwudziestu paru mniejszych miastach. Cały czas rozważał, gdzie się zatrzymać. Myślał, że chce zagrzać gdzieś miejsce: znaleźć pracę, otoczyć się ludźmi – oczywiście nie wiedzieliby, kim jest, ale przynajmniej znaliby go jako człowieka – czyli zaznać czegoś zupełnie innego od ciągłej tułaczki, podczas której nikt go nie rozpoznawał ani nie zauważał.

To wszystko znalazł w amazońskiej wiosce. Jej mieszkańcy byli serdeczni i niezbyt wścibscy. Krok po kroku w każdym stadium podróży rozpoczętej w kwietniu w Caracas trudne warunki życia pomagały mu się skupić i uciec od pokonanego wreszcie uzależnienia od tabletek przeciwbólowych. Kiedy przyjechał do Amazonii, nie brał ich już od dwóch miesięcy. Wysilek fizyczny, ciężka praca i walka z zagrożeniami wyłącznie ze strony natury ułatwiły jego ciału uwolnienie się między innymi od naglącej potrzeby odprężania się za pomocą środków farmakologicznych.

Ten spokojny pobyt miał jednak minusy. Gentry odkrył, że to, do czego tak długo dążył – stabilność, umiarkowane poczucie bezpieczeństwa, rutyna dnia codziennego – nie dają mu satysfakcji. Aż wstyd mu było się przyznać przed samym sobą, że poczuł głęboką ulgę, gdy Mauro doniósł mu o przybyciu łowcy.

Działanie. Adrenalina. Cel.

Court nie był z tego zadowolony, ale nie mógł temu zaprzeczać. Po pobycie w amazońskiej wiosce, po zaznaniu absurdalnego uczucia ulgi na widok

atakujących go helikopterów pełnych uzbrojonych bojowników, zdał sobie sprawę z jednej rzeczy.

Rzeczywiście był Gray Manem.

A Gray Man uwielbia nieziemskie przygody.

* * *

Court siedział na plastikowym krześle, opierając głowę o brudną ścianę, a stopy o płócienną torbę. Podniósł się w końcu, żeby się rozruszać i porozciągać, zwłaszcza lewe ramię, gdzie miał bliznę po zranieniu strzałą. Musiał codziennie ćwiczyć, aby mięśnie zachowały sprawność.

Na ekranie małego telewizora nadawano wieczorne wiadomości. Court słuchał bez większego zainteresowania, nawet nie patrzył na ekran. Pochylił się, wylapywał pojedyncze słowa, koncentrując się przede wszystkim na rozciąganiu mięśni grzbietu.

Nazwa Porta Vallarta ani nawet informacja o eksplozji na jachcie nie przykuły jego uwagi.

Obrócił głowę dopiero na dźwięk słowa *asesinato*. Interesował się zawodowo każdą historią o zabójstwie.

Obejrzał nagraną o świcie relację przedstawiającą dymiący w morzu wrak. Następnie na ekranie pojawiło się zdjęcie przystojnego Latynosa w nieskazitelnym, czarnym, trzyczęściowym garniturze. Prezenter wiadomości powiedział, że to Daniel de la Rocha, który prawdopodobnie miał być celem zamachu meksykańskiej policji federalnej.

Court nie zrozumiał wszystkiego, ale się zorientował, że de la Rocha przeżył, natomiast zginęli wszyscy policjanci, którzy rzekomo podłożyli bombę na jego jachcie.

„O ja cię... – pomyślał Court. – To dopiero spartaczona robota”.

Po co wysadzać jacht, kiedy można zastrzelić jego właściciela na lądzie?

Na ekranie pojawiło się nowe zdjęcie. Tym razem była to fotografia mężczyzny w mundurze policyjnym. Siedział pod flagą Meksyku w odświetnym nakryciu głowy, na jego piersi widniały liczne odznaczenia. Jego gładko ogolona twarz miała wyraz poważny i stanowczy.

Court przechylił głowę i zamrugął. Nawet nie drgnął. Patrzył.

Gentry skupiał się na wypowiedzi prezentera, by niczego nie pominąć.

„Źródła donoszą, że to właśnie major Eduardo Gamboa ze specjalnej grupy operacyjnej policji federalnej przewodził zamachowi na życie Daniela de la Rochy. Przypomnę, że Gamboa i jego ekipa zginęli w eksplozji na jachcie «La Sirena», a wraz z nimi czterech ochroniarzy DLR i trzech członków załogi. De la Rocha i dwóch jego współpracowników przeżyli zamach”.

Eduardo Gamboa.

– Eduardo Gamboa... – szepnął Court. Zdjęcie majora zdążyło już zniknąć z ekranu zastąpione przez reklamę jakiejś sieci komórkowej, ale Gentry wciąż widział tę twarz.

– Eduardo Gamboa – powtórzył cicho. Następnie dodał: – Eddie...

Raz jeszcze zamrugął, po czym zakrył twarz dłońmi. Myślami wrócił wiele lat wstecz, do miesiąca, który spędził w piekle.

LAOS

SIERPIEŃ 2000

Szalała burza. Czterech żołnierzy w zielonych pelerynach wojskowych wyciągnęło Amerykanina z paki ciężarówki i pognało błotnistą ścieżką w stronę rozwalającego się drewnianego budynku. Więzień się potknął – kajdanki na rękach i nogach sprawiały, że nie poruszał się tak szybko, jak chcieliby tego strażnicy, do tego długa, przemoczona deszczem szpitalna koszula i bosa stopy nie ułatwiały poruszania się po mokrych, śliskich kamieniach. Jeden z Laotańczyków uderzył Gentry'ego starym eskaesem, żeby przyśpieszył. Kiedy Court znalazł się na ganku, upadł na kolana, ale strażnicy go podnieśli. Postawili szczękającego zębami z zimna i otworzyli drzwi. Gentry czekał, drżąc. W końcu wprowadzili go do środka.

Żołnierze zdjęli peleryny i powiesili je na wbitych w ścianę kołkach. Zza biurka wyszedł mężczyzna w mundurze i otworzył drzwi na klatkę schodową prowadzącą na dół, w ciemność. Court zachwiał się, niemal się przewrócił, jednak jakieś silne żołnierskie dłonie przytrzymały go za ramiona i poprowadziły po wąskich stopniach. Na dole otworzyli kolejne drzwi i popchnęli Gentry'ego na wyłożoną

ceglanymi płytkami podłogę. Gdy upadł, zdjęli mu kajdanki. Odsunęli żelazną kratę i wrzucili Amerykanina do celi.

Po chwili krata zatrzasnęła się z hukiem. Żołnierze trzasnęli drzwiami, przekręcili klucz w zamku, po czym wyszli z piwnicy.

Gentry wylądował na spleśniałych trocinach. Garść tego paskudztwa wpadła mu do ust. Położył się na boku i splunął. Otworzył oczy i z trudem rozejrzał się wokół. Obok leżał złożony w kostkę niebieski kombinezon. Ledwo go dostrzegł. Zauważył słabą smugę światła dochodzącą spod kratki wentylacyjnej umieszczonej pod sufitem na ścianie naprzeciw. Bynajmniej nie oświetlała pomieszczenia.

Gentry nie widział dalej niż na wyciągnięcie ręki.

– Cholera... – mruknął pod nosem. – No po prostu, kurwa, miodzio.

– Mówisz po angielsku? – Gdzieś w ciemności, może trzy, cztery metry od niego odezwał się pełen nadziei głos.

Gentry nie odpowiedział.

Po chwili usłyszał, że ktoś siada – ubranie otarło się o kamienną ścianę.

– Mówisz po angielsku? – zapytał ponownie nieznamy z amerykańskim akcentem z ledwie uchwytną nutą charakterystyczną dla obcokrajowca.

Court wciąż milczał.

Mimo to uwięziony w piwnicy nie dawał za wygraną.

– Jestem tu od dwóch tygodni. Przez pierwsze kilka dni wybadałem celę w poszukiwaniu kamer czy podsłuchów. Wierz mi, ci *pendejos* nie mają takich rarytasów.

Court powoli się podniósł, aż udało mu się usiąść i oprzeć o pręty. Pokiwał głową i wzruszył ramionami w ciemności.

– Owszem, mówię po angielsku – powiedział. Zdziwił się zachrypnięciem i słabością własnego głosu.

– Jesteś Amerykaninem?

– Aha.

– Ja też.

– Ale dziwnie gadasz – zauważył Court.

Nieznamy się zaśmiał.

– A bo urodziłem się w Meksyku. Do Stanów przyjechałem jako osiemnastolatek.

– A więc jesteś naprawdę daleko od domu.

– Owszem. A ty? Jak się tu znalazłeś?

– Prawdę mówiąc, nie jestem do końca pewny, gdzie to „tu” jest.

– Znajdujemy się kilka godzin na północny wschód od Wientianu. To obóz wojskowy, do którego pakują zagranicznych przemytników heroiny. To nie jest oficjalne więzienie. Nie ma tu żadnego sędziego, procesu, Czerwonego Krzyża czy innych tego typu bajerów. Zwożą tu przemytników na przesłuchania, wyciągają z nich nazwiska kontaktów i dostawców. Kiedy wycisną już wszystko z delikwenta, posyłają go do obozu pracy, gdzie buduje drogi, aż padnie trupem. Mówią, że za trzy tygodnie skończy się pora deszczowa. Drogi znów staną się przejezdne, więc wszyscy tutejsi lokatorzy zostaną tam wysłani.

– A to pech – mruknął Court, opanowawszy kolejny atak kaszlu.

– Ile prochów przy tobie znaleźli?

Court zamknął oczy i oparł głowę o zimną ceglana ścianę. Wzruszył ramionami.

– Nie przemycałem żadnych prochów.

– Jasne. Wystarczy im wytłumaczyć, że to jedno wielkie nieporozumienie.

– Tak się składa, że przyjechałem tu uwolnić jakiegoś debila z DEA, który dał się złapać kretynom, którzy tu rządzą.

Nastąpiła długa przerwa. Następnie ściany ciemnych lochów rozbrzmiały szczerym śmiechem, który wydawał się co najmniej nie na miejscu. W smużce światła przy swojej twarzy Court dostrzegł jakiegoś brodacza. Rzeczywiście wyglądał na Meksykanina. Trochę niższy od Courta, na oko był tuż przed trzydziestką. Miał na sobie błękitny kombinezon. Nawet w półmroku widać było sińce pod oczami. Wyciągnął rękę do Gentry’ego.

– Eddie Gamble, DEA, oddział w Phoenix. Obecnie oddelegowany do wykonania zadania specjalnego do oddziału w Bangkoku.

Court uściśnął mu dłoń. Choć starał się włożyć w to wszystkie siły, ręka prawie musnęła dłoń Gamble’a.

– Siema, Gamble. I jak tam twoje zadanie specjalne?

– A jak tam twoje, *ese*?

Court uśmiechnął się, aż zaboląły go mięśnie żuchwy.

– Cóż, zdaje się, że idzie nam równie dobrze.

– A więc to ty masz mnie uratować?

Gentry pokiwał głową.

Eddie Gamble strącił jakiegoś robaka z czoła.

– Czy to jest ten moment, kiedy reszta twojego oddziału zjeżdża z sufitu na linach i wylatujemy stąd z jet-pakami przy salwie broni automatycznej?

Court spojrział na sufit.

– Mam nadzieję, że tak – odparł.

Nic się nie wydarzyło.

Gentry znów spojrział na Gamble'a. Wzruszył ramionami.

– Chyba jednak nie.

– Dla kogo pracujesz? – zapytał Eddie.

– Nie mogę powiedzieć.

– Mam dostęp do ściśle tajnych informacji.

– Laski na pewno na to lecą – mruknął Gentry. Powoli jego oczy zaczęły przyzwyczajać się do półmroku. Był w stanie rozejrzeć się po celi, ale nie znalazł tu nic poza wiadrzem na odchody, korytem z wodą i kilkoma podartymi kocami.

– Chodzi mi o to, że na pewno możesz mi powiedzieć, dla kogo pracujesz.

– Sorry, bohaterze. Mogę ujawnić tożsamość lub informacje tylko tym, którzy znają hasło.

– Na to na pewno laski lecą.

– Leciałyby, gdybym mógł im to powiedzieć. Ale najpierw musiałyby znać hasło.

Gamble zaśmiał się i z żartu, i z absurdu całej sytuacji.

– Czyli możesz mnie ratować, ale nie wolno ci powiedzieć, dla kogo pracujesz?

– DEA cię szuka. A ja akurat byłem w okolicy, więc moi wysłali mnie, żebym trochę powęszył.

– I?

Court wzruszył ramionami.

– I miałem pecha. Rozchorowałem się. Spotkałem się ze źródłem i zemdlałem. Ocknąłem się w szpitalu. Miałem przykrywkę, ale powierzchowną. Moje papiery

nie były na tyle dobre, żeby nie poznano się na nich w szpitalu. Wezwali więc policję, a gliniarze zadzwonili po wywiad wojskowy. Ci podtarli sobie tyłki moimi papierami, no i cóż... znalazłem się tutaj.

Gamble wyciągnął dłoń i przyłożył ją Gentry'emu do czoła.

– Czy aby nie pogryzły cię komary?

– Tak się składa, że półtora tygodnia temu przekroczyłem Mekong. Cholerstwa zajebiście rypały. Widać białe mięsko to nie lada atrakcja.

– Ból pleców, ból mięśni, ból brzucha, zawroty głowy?

– A do tego zmęczenie, ból stawów i wymioty. – Court dokończył listę objawów.

– Masz malarię – oznajmił grobowym głosem Eddie.

– Wielkie dzięki, doktoru. Wyobraź sobie, że się domyśliłem.

Gamble długo wpatrywał się w Gentry'ego. W końcu powiedział:

– Słuchaj, w takiej dziurze to wyrok śmierci. Potrzebujesz leków. Czystej wody. Porządnego żarcia, i to takiego, w którym nie hasa żaden *cucaracha*. Tu tego nie znajdziesz.

Court wzruszył ramionami.

– Poradzę sobie.

Eddie wstał tak szybko, że Gentry aż się wzdrygnął. Podszedł do krat i zaczął wołać strażników. Court nic nie rozumiał. Nikt jednak do nich nie zszedł. Po chwili Gamble usiadł rozgniewany.

– Trzeba cię zawieźć do szpitala.

– Mówiłem ci przecież, że byłem w szpitalu.

– ¡Pendejos!

– Co to znaczy?

– To po hiszpańsku. Powiedzmy, że mniej więcej „dupki”, tylko jeszcze dosadniej.

Court pokiwał głową.

– A do strażników wołałeś po laotańsku?

– Po tajsku. Niezupełnie to samo, ale ujdzie.

– Myślałem, że DEA wysyła agenta z meksykańskimi korzeniami raczej gdzieś do Ameryki Łacińskiej. Ale skoro mówisz po tajsku, to wszystko jasne.

– Wysyłają mnie wszędzie. Przed tą fuchą przez sześć lat służyłem w marynarce wojennej, w operacjach specjalnych... Z moją grupą byłem wszędzie, przy okazji podszkoliłem języki.

– Czyli byłeś w SEAL?

– Oddział trzeci.

Court pokiwał głową z najwyższym szacunkiem na tyle, na ile było to możliwe, gdy opiera się ją o ścianę.

– Jesteś tu dwa tygodnie. Powinieneś już się stąd wydostać, spędzić tydzień, zabawiając się ze ślicznotkami na plaży, a potem przed czasem stawić się w domu.

Gamble najeżył się w ciemności. Court poznał, że jego współwięźniowi nie podobała się insynuacja, że jest słabeuszem.

– Pewnie, że dałbym radę się stąd wydostać. Każdego ranka dwóch strażników przychodzi po mnie i biorą mnie do chaty na przesłuchania. Owszem, mógłbym skrócić im karki. Mógłbym zabrać broń jednemu z nich i wziąć jakąś brykę. W trymiga uruchomię bez kluczyków każdy silnik. Mógłbym rozbić furą bramę i popędzić w stronę Mekongu.

– Ale tego nie zrobisz, bo dobrze tu karmią?

Na twarzy Gamble'a odmalowało się niedowierzanie.

– Stary... Teraz pracuję dla DEA. Już nie jestem w SEAL, a na pewno nie jestem jakąś przeklętą Sekretną Wiewiórką, mięśniakiem na hasło, jak ty. Nie wolno mi ganiać po dżungli i zabijać laotańskich wojskowych.

Court pokiwał głową. Sam pracował według zgoła innych zasad, ale nie zamierzał się do tego przyznać.

– A ty co? Nie możesz mi powiedzieć, co robiłeś wcześniej? Przecież nie wyszedłeś z mamusi zabezpieczony hasłem, co nie?

– Nie pamiętam nic przed tą fuchą.

– Widzę, że CIA mocno trzyma swoich samodzielnych agentów, nie powiem.

Court nie złapał przynęty. Nie przyznał, że pracuje dla CIA.

Gamble dał mu chwilę, po czym drążył.

– Dobra. A imię? Nazywasz się jakoś?

Siedzący pod ścianą Amerykanin znów wzruszył ramionami.

– Zostałem zdekonspirowany. Możesz mnie nazwać, jak chcesz.

Gamble pokiwał głową i też wzruszył ramionami.

– Dobra, *amigo*. W takim razie nazywasz się Sally.

Court zaniósł się śmiechem, aż zaczął świszczuć, a atak śmiechu zamienił się w kaszel, któremu towarzyszył taki ból, że Court skulił się na podłodze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gentry przestał wspominać dawne dzieje w Laosie. Spojrzał na mogiłę Eduarda Gamboa. Wokół nagrobka leżały grudki ziemi, która choć świeżo wykopana, zdążyła wyschnąć.

Major Gamboa nie żył od ośmiu dni. Wyłowienie jego zwłok z Pacyfiku zajęło trzy dni. Pogrzeb odbył się przed dwoma dniami, a już ktoś zdążył zbeczczyć biały drewniany krzyż farbą w sprayu.

Hijo de puta! Skurwysyn.

Cabrón. Pochodzące od kozy wyzwisko, oznaczające zarówno drań, skurwiel, jak i rogacz.

Pendejo. To słowo namazane na nagrobku Eddiego Court poznał od Gamboa.

Gray Man z gniewu zacisnął mocno szczęki. Nie rozumiał tego. Kto mógł być tak wściekły na Eddiego? Ta historia była bardziej skomplikowana niż to, co usłyszał przez radio w budce z kanapkami w stanie Chiapas. Tam Gentry trafił na dwuminutowe uzupełnienie relacji na temat podłożenia bomby na jachcie. Podano, że przywódca całej operacji Eduardo Gamboa zginął podczas zamachu.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Eduardo Gamboa to ten sam człowiek, którego znał jako Eddiego Gamble'a.

Court nie miał żadnych informacji o Eddiem od zakończenia ich spotkania w Laosie. Nie miał pojęcia, że dawny agent DEA powrócił do ojczyzny. To odkrycie mocno go zdziwiło. Nie rozumiał, jak to w ogóle możliwe, że ktoś z własnej woli opuścił Stany Zjednoczone, by przyjechać tu i walczyć z kartelami narkotykowymi i łapówkarstwem na wszystkich szczeblach władzy. Czy w USA nie było wystarczająco dużo przestępstw i tym podobnego gówna, żeby Eddie mógł tam je zwalczać?

Wycieczka krajoznawcza do Meksyku wydała się Gentry'emu niepotrzebna.

Relację o śmierci Eddiego obejrzał podczas podróży do Tampico leżącego przy Zatoce Meksykańskiej. Wywiedziało się, że do tamtejszego portu zawija wiele statków towarowych pod europejską banderą, a on pragnął wrócić na półkulę wschodnią, aby zabić Grigorija Sidorenkę, człowieka, który – wraz z Centralną Agencją Wywiadowczą – aktywnie dążył do zniszczenia go.

Wydarzenia w Puerto Vallarcie przedstawione w kolejnym programie telewizyjnym zmieniły jego plany. Gentry dowiedział się, że Gamboa został pochowany w swojej rodzinnej miejscowości, czyli San Blas, półtorej godziny od miejsca, gdzie zginął.

Court stwierdził, że skoro już znajdował się tak blisko – bo tylko dzień jazdy autobusem – powinien pojawić się na grobie majora.

Tak też uczynił. Stał teraz na kamienistym zboczu dwa i pół kilometra od wybrzeża Pacyfiku. Stromo położony cmentarz był pełen osobliwych grobowców wykonanych z blachy, linoleum, plastiku i pustaków. Wśród większych pomników nagrobnych znajdowały się też skromniejsze, przystrojone świeczkami, plastikowymi figurkami i sztucznymi kwiatami. Tłuste iguany wygrzewały się na kamieniach bądź biegały wokół potężnych bananowców wyrastających dziko z niekoszonej trawy. Gorący popołudniowy wiatr przeczesywał długie włosy Gentry'ego, który spoglądał na ostatnie miejsce spoczynku starego kumpla.

Patrzył na nabazgrane na grobie wyzwiska i się zastanawiał, dlaczego mieszkańcy pałali taką nienawiścią do Eddiego.

LAOS
2000

Eddie Gamble miał rację – wojskowy ośrodek pod Ban Nam Phuong to było fatalne miejsce dla chorego na malarię. Od początku stan zdrowia Courta znacząco się pogarszał z każdym dniem marnego jedzenia i siedzenia na zimnej, pokrytej trocinami podłodze. Gdy został wrzucony za kraty, gdzie znajdował się cel jego misji ratunkowej, cała operacja stała się wręcz żalosna. Tym razem to Eddie starał się uratować Sally'ego.

Raz dziennie Gentry'ego wyprowadzano po schodach, wleczono na drugi koniec budynku i dalej, do niewielkiej drewnianej chaty. Tam rzucono go na podłogę

przed biurkiem. Był przesłuchiwany przez dwóch laotańskich wojskowych kiepsko znających angielski, którzy co chwilę zerkali na telewizor powieszony na ścianie, by śledzić przebieg walk muay lao. Demonstracyjnie popijali wodę z plastikowych butelek. Pytali, w jaki sposób dostał się do Laosu i z kim miał się spotkać. Zadawali dziesiątki pytań, z których wynikało, że nic o nim nie wiedzieli. Nie podejrzewali, że był agentem wywiadu Stanów Zjednoczonych. Court nie udzielał żadnych odpowiedzi, prosił tylko o leki, koc, poduszkę i świeżą wodę.

Codziennie mu odmawiano.

Poza kilkoma lekkimi uderzeniami w tył głowy właściwie go nie bili, choć wykorzystywali jego stan zdrowia przeciwko niemu – grozili, że nie dostanie żadnych leków na malarię dopóty, dopóki nie podpisze przyznania się do winy.

Po przesłuchaniach zaciągano go z powrotem do piwnicy i rzucono na trociny. Następnie brali na tapet Eddiego.

Po tygodniu zdrowie Gentry'ego tak się pogorszyło, że ledwo był w stanie doczołgać się do metalowego wiadra, które służyło jemu i Gamble'owi za toaletę. Eddie zaczął zajmować się swoim niedoszłym wybawcą. Pomagał mu podczas podstawowych zabiegów higienicznych, polewał go wodą, aby go umyć, a nawet oddawał mu połowę dziennej racji żywnościowej składającej się z ziemniaków, spleśniałego chleba, rzepy oraz czasami niewielkiej manierki zimnego rosółu. Zbijał Courtowi gorączkę, przemywając rozpalone czoło wilgotną skarpetką, a kiedy chorego nachodziły dreszcze, rozcierał mu ręce i nogi. Gentry nieustannie protestował i usilnie namawiał agenta DEA, żeby zajął się własną ucieczką z obozu.

Choć Court powoli przestawał panować nad własnym ciałem, jego doskonale wytrenowany umysł nie stracił zdolności kombinowania.

– Słuchaj, Eddie – stwierdził. – Jesteśmy pewnie tylko kilka kilometrów od Mekongu, a zarazem granicy z Tajlandią. Jeśli uda ci się stąd uciec, masz szansę dotrzeć do domu. Ale kiedy zawiozą nas do obozu pracy, wtedy będziemy w górach, kilka tygodni tułaczki od cywilizacji. To będzie koniec.

Eddie tylko kręcił głową.

– Nie ma mowy, żebym cię tu zostawił. Nie puszczę cię samego do obozu pracy. Wtedy na pewno zginiesz.

– Słuchaj, stary, ja już jestem właściwie martwy. Musisz się skupić na tym, co jest realne. Musisz się stąd wydostać.

Eddie był uparty. Zajmował się osłabionym współwięźniem i nawet nie myślał o samotnej ucieczce.

Spędzali w swoim towarzystwie dwadzieścia dwie godziny na dobę. Nie mając nic innego do roboty, godzinami rozmawiali. Prowadzenie dialogu znacząco utrudniało to, że Court kategorycznie odmawiał zdradzania jakichkolwiek informacji na swój temat, Eddie natomiast był gadułą.

Opowiadał o dorastaniu w niewielkiej miejscowości w Meksyku na wybrzeżu Pacyfiku, o nielegalnej przeprawie przez granicę w Teksasie, o kilku niezbyt chlubnych latach w gangu Chicanosów w Riverside w Kalifornii, a następnie o tym, jak postanowił zaciągnąć się do armii i otrzymać obywatelstwo amerykańskie.

Eddie wstąpił do marynarki wojennej głównie dlatego, że jego ojciec był rybakiem. Szybko się jednak zorientował, że nie chce spędzić całego życia na okręcie. Udało mu się zakwalifikować na wyjątkowo trudny kurs, na którym ujawnił swoje zalety i zyskał szacunek kadry i kolegów. Po dwu i pół roku szkoleń wstępnych i czterech latach służby w Oddziale Trzecim zrezygnował z wojska i wstąpił do Agencji Zwalczania Przestępczości Narkotykowej (DEA). Doświadczenia z Kalifornii Południowej sprawiły, że zapragnął walczyć z dilerami narkotykowymi. Wysyłano go na tajne misje w różne miejsca na świecie, oczywiście z fałszywą tożsamością.

Pewnego dnia, jakieś dwa tygodnie po tym, jak Court trafił do obozu pod Ban Nam Phuong, ledwo żywy leżał w ciemności i prawie tracił przytomność z powodu dreszczy. Eddie akurat opowiadał o swojej młodszej siostrze Loricie. O tym, jak za nią tęsknił i jak bardzo żałował, że wyjeżdżając do Stanów, musiał zostawić ją w rodzinnej wiosce rybackiej. Gentry w końcu przestał słuchać historii życia współwięźnia i zajął się roztrząsaniem swojej obecnej sytuacji. Skupił się na zapamiętywaniu wszystkiego, co widywał codziennie, gdy zabierano go z celi i ciągnięto na przesłuchania. Była pora deszczowa, więc furgonetki i dżipy stały zanurzone na kilkanaście centymetrów w błocie albo parkowały na zwirowych i przeważnie błotnistych drogach. Wokół kręciło się ponad dwudziestu strażników wyposażonych w chińskie podróbki kałasznikowów i SKS-y.

Czasami widywał też innych więźniów, przeważnie Hmongów pochodzących z mniejszości etnicznej gnębionej przez komunistyczny rząd laotański co najmniej od czasów Pathet Lao. Mieli zapewne tyle samo wspólnego z przemytem heroiny co on i pewnie narazili się miejscowym komuszkom.

Kiedy starał się ignorować paplaninę Eddiego – który właśnie planował, że po wydostaniu się stąd kupi sobie w nagrodę nowego forda – w głowie Gentry'ego zakiełkował pewien pomysł. Zaczął analizować mocne i słabe punkty planu, starając się znaleźć potencjalne wady. I natknął się na kilka – niektóre dało się zniwelować drobnymi zmianami taktyki, niektóre trzeba było zostawić. Podczas pięciu lat pracy w terenie doświadczył na własnej skórze – często wyjątkowo boleśnie – że nie istnieje nic takiego, jak „niezawodny plan”.

Gentry knuł, a Gamble cały czas opowiadał o swojej rodzinie.

– Co miesiąc wysyłam dwie trzecie wypłaty rodzicom. Robię tak, odkąd się zaciągnąłem. Ale chciałbym wspomóc też Loritę. Teraz ma już dziewiętnaście lat. Złota dziewczyna. I całkiem niebrzydka. Patrząc na nas, nie domyśliłbyś się, że to moja siostra. Planowałem, że sprowadzę ją do Stanów, ale ona nie chce. Twierdzi, że woli studiować i pracować w Meksyku.

Eddie zamilkł na tak długo, że Court podniósł wzrok, zdziwiony rzadką chwilą ciszy.

– Musimy się stąd wydostać, Sally. Za dużo osób na mnie liczy.

– Obiecuję, że wrócisz do domu.

– Mówiłem, *amigo*, że cię tu nie zostawię.

Court wrócił myślami do opracowywanego planu.

– Słuchaj, mówiłeś chyba, że potrafisz odpalić silnik każdego pojazdu, prawda?

Eddiego zdziwiła zmiana tematu, ale podciągnął się na łokciu, uśmiechnął szeroko i odparł z dumą:

– Nie bez przyczyny w Riverside wołali na mnie Szybki Eddie. Potrafiłem wszystko uruchomić w mniej niż minutę.

Gentry pokiwał głową.

– Szybki Eddie, pięknie. Wciąż to potrafisz?

– Jasne. To nie było aż tak dawno temu. Czemu pytasz?

– A nic, po prostu mnie to zaciekało. – Court zamilkł i wrócił do obmyślenia szczywanego planu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– *Señor?*

Court podskoczył, usłyszawszy za sobą kobiecy głos. Chwilę mu zajęło, zanim powrócił myślami z laotańskiej dżungli do ciepłego, wietrznego popołudnia w Meksyku.

Mówiła po hiszpańsku, w sumie nic dziwnego. Używała dialektu, który był dla Gentry'ego trudny do zrozumienia.

– Jeśli ma pan zamiar coś napisać, proszę zrobić to teraz, bo chcę to zamalować. Wolałabym nie wracać tu później. To kawał drogi od domu, zwłaszcza dla kogoś w moim stanie.

Court się odwrócił. Stała za nim, a zarazem poniżej, jako że znajdowali się na wzgórzu, na ścieżce, która kilka metrów niżej łączyła się z brukowaną drogą do San Blas.

Była sama. Ciemne włosy zaczesła do tyłu i związała. Biała bawełniana sukienka powiewała na ciepłym wietrze. W rękach trzymała puszkę białej farby i pędzel, przez ramię miała przewieszoną dość dużą torebkę.

Na oko trzydzieści pięć lat. Była bardzo ładna.

I w zaawansowanej ciąży.

– Przepraszam – odparł Court po hiszpańsku. Zszedł w stronę ścieżki. – Myślałem, że to grób znajomego. Pomyliłem się. – Próbował minąć kobietę, unikając jej spojrzenia, ona jednak podniosła głowę, odchyliła ramiona i zastąpiła mu drogę.

Court się zatrzymał.

– Kogo pan szuka? To mała miejscowość. Założę się, że mogę wskazać każdą osobę pochowaną na tym cmentarzu. – Najwidoczniej odkryła, że skłamał. Poznał też po zdeorientowanym wyrazie twarzy, że zwróciła uwagę na jego akcent.

Zawahał się. Przyłapała go. Nie było sensu łąć.

Westchnął i się poprawił.

– Znałem Eddiego. Tak się składa, że akurat byłem w okolicy. Stwierdziłem, że zajrzę na cmentarz. Strasznie mi przykro. Proszę wybaczyć, ale zaraz mam autobus. – Próbował ją wyminąć, ale znów zastąpiła mu drogę.

– Eddiego? Jest pan ze Stanów? – zapytała po angielsku.

– Tak – odparł.

Kobieta patrzyła na niego podejrzliwie. Nie uśmiechała się. Nawet nie pokiwała głową. Powoli jednak wyciągnęła ku niemu dłoń. Court ją uścisnął i zapytał:

– Pani była jego żoną?

– Nazywam się Elena. SÍ, Eddie to mój mąż.

– Ja jestem Joe – przedstawił się pierwszym imieniem, które przyszło mu do głowy.

Przez chwilę przyglądał się wdowie.

– Eddie miał zostać ojcem? – zagadnął, jednocześnie orientując się z zażenowaniem, jak idiotyczne zadał pytanie.

– Zostanie ojcem. Będzie miał synka.

Court milczał, kiwając tylko głową.

– Służyliście razem w marynarce?

– Nie.

– A więc znacie się z DEA?

– Nie.

Łagodnie oblicze koloru karmelu zmarszczyło się pytająco.

– A więc znaliście się jeszcze z Kalifornii?

Zawahał się. Nienawidził mówić prawdy. Nie taki był jego *modus operandi*. Postanowił unikać zbędnych szczegółów.

– Dawno, dawno temu pani mąż ocalił mi życie, i to ryzykując własne. Więcej niestety nie mogę powiedzieć.

Przez dłuższą chwilę czuł na sobie jej spojrzenie. Dwukrotnie podniósł wzrok, a ona za każdym razem wpatrywała się w jego twarz. Wówczas spoglądał na grób.

Usłyszawszy wyjaśnienie, Elena się uśmiechnęła.

– Wiem, że ocalił wielu ludzi. I tu, i w Stanach Zjednoczonych. Eduardo był dobrym człowiekiem.

– Bardzo mi przykro...

– Przyjechał pan na spotkanie?

– Proszę?

– Jutro w Puerto Vallarcie odbędzie się spotkanie upamiętniające ośmiu funkcjonariuszy, którzy zginęli w zatoce. Spodziewamy się liczego udziału mieszkańców, którzy przyjdą uczcić ich poświęcenie. Pojawi się pan tam?

Gentry się zawahał.

– Chciałbym. Niestety muszę już jechać.

– Wielka szkoda. – Elena zdawała się mu nie wierzyć, co oznaczało, że była niezła w wykrywaniu łgarstw. – Przepraszam, muszę znowu pomalować krzyż – powiedziała. Wspięła się do grobu męża i uklękła, chwając się lekko z powodu zmiany punktu ciężkości. Otworzyła puszkę z farbą, spojrziała przez ramię, uśmiechnęła i zwróciła się do Gentry'ego z kolejnym zaproszeniem.

– Ale musi pan ze mną teraz wrócić do domu. Przyjechała cała rodzina Eduarda, kilku przyjaciół oraz krewni trzech żołnierzy, którzy zginęli razem z nim. Dziś wszyscy zbierają się u nas na kolację, jutro jedziemy razem na spotkanie. Moi teściowie się ucieszą, że będą mogli poznać przyjaciela Eduarda ze Stanów.

– Bardzo bym chciał zostać, ale powinienem już...

– Tak daleko pan przyjechał. Przyjaźniliście się. Co by powiedział mój Eddie, gdyby – zerkając z nieba – zobaczył, że w podzięce za taką pielgrzymkę nie dałam panu nic do jedzenia? – spytała, po czym odwróciła się z pędzlem w kierunku krzyża, jakby sprawa już była postanowiona. Przykryła czarne napisy świeżą warstwą białej farby.

Court chciał zaprotestować, ale przyznał w myślach, że chętnie zjadłby coś pożywnego. Zostało mu tylko tyle gotówki, żeby dojechać autobusem do Tampico, żywiąc się *tostas* czy *tacos* w przydrożnych budkach. Postanowił posłuchać żony kolegi i dać się ugościć.

Wskazał ręką na graffiti.

– Kto to zrobił?

– *Cabrones* – odparła, po czym uśmiechnęła się do Courta przepaszająco. – To tylko fani Daniela de la Rochy.

– Lord narkotykowy ma własny fanklub? – zdziwił się Gentry.

– Oni utrzymują, że DLR to uczciwy biznesmen. Że tyle dobrego zrobił dla tego regionu. Mówią, że mój mąż działał bez upoważnienia. Ale Eduardo wiedział wszystko o ciemnych sprawkach de la Rochy. Nie ścigałby dobrego człowieka. – Skończyła malować. Kilka kropel białej farby kapnęło na ziemię wokół grobu. – Załatwimy mu ładny nagrobek. Ale dopiero wtedy, kiedy te napisy przestaną się pojawiać. Teraz to nie ma sensu – stwierdziła, po czym wstała. Pozwoliła Courtowi nieść farbę i pędzel. Ruszyli w dół, w stronę wyjścia z cmentarza.

LAOS

2000

Mdlący smród ludzkich fekaliiów sprowadził do celi muchy, robactwo i szczury. Z każdym dniem Court był coraz słabszy. Od pobytu w szpitalu schudł prawie dziesięć kilogramów, a z powodu odwodnienia i braku witamin jego skóra stała się sucha i szorstka. Poza codzienną „wizytą” w miejscu przesłuchań nie przebywał na świeżym powietrzu ani nie miał kontaktu z promieniami słońca. Pod koniec drugiego tygodnia pobytu Gentry’ego w celi strażnicy przekazali Eddiemu, że on i współwięzień zostaną wywiezieni do obozu pracy za trzy dni. Gamble raz jeszcze nalegał gniewnie, żeby jego towarzysza zawieziono do szpitala albo przynajmniej dano mu jakieś leki przeciw malarii, ale Laotańczyków nie obchodziło zdrowie młodego przemytnika narkotyków z Zachodu. To wyprowadziło Eddiego z równowagi. Rzucił się na wojskowych, w odpowiedzi oberwał dwiema kolbami wielkich SKS-ów w tył głowy. Gentry’ego zaś wyciągnęli na przesłuchanie.

Kiedy Court się dowiedział, że ma zostać wywieziony do obozu pracy, zaskoczył przesłuchujących.

– No dobra. Mam już tego dość. Podam wam nazwiska wszystkich moich kontaktów w Wientianie, numery kont bankowych. Zdradzę, skąd odbieramy makówki i jak przerzucamy je przez Mekong do Tajlandii.

Strażnicy odwrócili się od ekranu telewizora, gdzie po raz setny chyba walczyli zawodnicy muay lao, i spojrzeli na wychudzonego, spoconego mężczyznę.

– Mów natychmiast! – rozkazał starszy rangą.

– Nie. Lepiej będzie, jak zapiszę. Wtedy dokładnie mnie zrozumiecie.

Żołnierze przytaknęli.

– Ale chcę coś w zamian.

– Czego chcesz? – Podejrzliwość zastąpiła wyraz zadowolenia na twarzach wojskowych.

– Mój przyjaciel jest ranny. Chcę, żeby zabandażowano mu głowę. Ostrożnie i uważnie.

Starszy stopniem machnął ręką.

– Nie ma problemu.

– Do tego chcę dostać suchy koc. I taką wodę, jaką wy pijecie. – Wskazał na dwulitrową plastikową butelkę na stole. Wojskowy znów pokiwał głową.

– Coś jeszcze?

– Hm... Zdaje się, że przydałby się papier i coś do pisania.

* * *

Strażnicy zabandażowali Eddiemu głowę. Court leżał nieopodal i cały czas słabym głosem i mizernymi gestami ich upominał, żeby użyli więcej gazy i bandaża. Gamble z początku próbował ich odepchnąć, twierdząc, że rana na głowie nie wymaga zrobienia z niego mumii. Court jednak nalegał, więc Eddie dał spokój i pozwolił się opatrzyć.

Gentry dostał kartki z podkładką, długopis i wełniany koc. Pisał całe popołudnie i cały wieczór. W nocy otworzył otrzymaną w ramach umowy butelkę i wypił większość jej zawartości, zostawiając jedynie kilka łyków temu, który cały czas tak usilnie utrzymywał go przy życiu. Eddie wziął resztkę i skwapliwie ją wypił, ale dopiero wtedy, gdy Court zapewnił go, że już więcej nie chce.

Kiedy następnego ranka przyniesiono im posiłki, Gentry wprawił w osłupienie współwięźnia, oznajmiając:

– Dziś zjem całą twoją porcję.

– Nie, mój drogi. Oddam ci tylko pół. Uwierz mi, trzymanie twojego spoconego dupska nad sraczem powoduje, że spalam dużo kalorii, *amigo*.

– Słuchaj. Dziś potrzebuję więcej siły – oznajmił Court, przysuwając do siebie oba blaszane talerze.

– Po co? Co się dziś stanie?

– Mogłoby się nie udać, więc wolę, żebyś nie wiedział. Dla twojego dobra.

Eddie wyglądał na zrezygnowanego.

– Daj spokój, Sally. Jesteś w złej formie, żeby czeokolwiek próbować. Pogadam dziś ze strażnikami. Jeśli myślą, że przekazujesz im informacje, a potem ja też zaoferuję, że coś zdradzę, to może wtedy dadzą ci potrzebne leki.

– Nie... Tu nie chodzi o to, żebym dostał leki. Tu chodzi o to, żebyśmy stąd spieprzyli – powiedział Court, zabierając się do jedzenia. Gamble przyglądał mu się wyglodniałym wzrokiem. Pomiędzy gryzami rzepy i łykami rosółu Court mruknął: – A właśnie... Jeszcze jedno. Będę potrzebował twoich bandaży. Wszystkich.

Nie wiedząc, po co to właściwie robi, Eddie Gamble ściągnął gazę i bandaż elastyczny z głowy i przekazał Courtowi.

Następne pół godziny Court przeleżał na boku pod kocem, odwrócony plecami do współwięźnia. Eddie cały czas usiłował wyciągnąć z niego jakieś informacje.

O stałej porze strażnicy wzięli Eddiego na przesłuchanie. Court zawołał za nimi:

– Ej, powiedz im, że potrzebuję nowego długopisu! Ten się wypisał. Powiedz im, że jeśli go przyniosą przed moim przesłuchaniem, to dostaną gotową listę.

Eddie długo mu się przyglądał, zanim przekazał wiadomość. Zdał sobie sprawę, że wkrótce coś się zacznie. Jego postawa oznaczała, że był bardziej zmartwiony niż podekscytowany.

Kiedy Eddie i strażnicy się oddalili, Court przeczołgał się do drzwi celi. Wyciągnął otrzymany poprzedniego dnia długopis, rozkręcił go i wyjął wkład z tuszem z plastikowej osłonki. Wsunął rękę między kraty, wcisnął czubek długopisu do zamka, po czym pomajstrował chwiejną, acz wprawna ręką. Od kilku dni, gdy Eddie spał, bawił się zamkiem i poznawał jego tajemnice, wkładając do mechanizmu dłuższe źdźbła słomy. Teraz z długopisu zrobił napinacz, którym obrócił cylinder. Robił to tysiące razy w ramach programu szkolenia

samodzielnym agentów CIA w Harvey Point w Karolinie Północnej. Ten model był jednym z najprostszych, z jakimi kiedykolwiek przyszło mu się zmierzyć.

Po kilku sekundach drzwi celi były już otwarte.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Court szedł z Eleną przez San Blas ponad kilometr. Nie wydawała się zmęczona, choć jej śniadą twarz pokrywał pot. Minęli przydrożne knajpki, dworzec autobusowy, drzemiące na rynku dzikie psy oraz kurczaki wydziubujące robactwo wśród śmietników. Następnie skierowali się na północ. Elena poprowadziła ich przez targ warzywny, na którym kupiła kilka worków batatów i mango. Court nie mógł się powstrzymać i zaczął ją wypytywać o różne sprawy. Dowiedział się, że pochodziła z Guadalajary, tam też poznała Eddiego, którego oddelegowało DEA. Ponad pięć lat byli małżeństwem, pobrali się tuż przed jego powrotem do Meksyku, gdzie wstąpił w szeregi policji federalnej. Kupili dom w San Blas, aby mieszkać w pobliżu jego rodziny, bo ona nie miała krewnych.

Court i Elena opuścili targ, po czym skręcili w brudną i wąską uliczkę o dźwięcznej nazwie Calle de Canalizo. Choć nie była brukowana, wzdłuż niej zbudowano średniej wielkości domy otoczone ogrodzeniem. Po kilku minutach wędrowni Elena weszła przez jedną z otwartych bram. Court podążał za nią przez niedługi podjazd. Zmierzali w stronę budynku z nadbudowaną kondygnacją wzniesionego z szarych pustaków, porośniętego bugenwillą i winoroślą. Tak wyglądał dom Eddiego. W ogródku przed domem biegały psy. Po podjeździe i na trawniku przechadzali się policjanci i policjantki w żółtych koszulkach polo, z pałkami przy pasku.

Na podjeździe stał srebrny pikap – ford F-350 Super Duty. Miał przyciemnione szyby, duże reflektory i wyciągarkę z przodu, chromowaną karoserię, a na tylnej szybie znajdowała się wytarta naklejka US Navy. Nie było wątpliwości, że to pojazd Eddiego. Pamiętał, jak Gamble rozpływał się nad wielkimi fordami. Na widok auta Court posmutniał.

Elena wprowadziła go do skromnie urządzonego wnętrza. Z przodu znajdował się salon, w którym obecnie przebywało kilkanaście osób. Zgromadzeni rozmawiali przy akompaniamencie głośnej muzyki akordeonowej dochodzącej ze

stojącego na podłodze boomboksa. Elena przywitała się z kobietą i mężczyzną, których następnie przedstawiła Courtowi. Ernesto i Luz byli rodzicami jej męża. Jako że nie znali angielskiego, Court przedstawił się po hiszpańsku jako stary kumpel ich syna ze Stanów.

Matka Eddiego była po sześćdziesiątce. Niska, korpulentna i z szeroką twarzą. Uśmiechnęła się serdecznie, jednak w jej oczach widać było głęboki smutek.

Jej mąż był wyższy i chudszy, zapewne pięć lat starszy. Jego twarz pokrywały głębokie, ciemne zmarszczki. Praca na niewielkim kutrze rybackim, gdzie był smagany wiatrem i wystawiany na działanie promieni słonecznych, odbiła się na jego wyglądzie. Ernesto spojrział podejrzliwie na Amerykanina, który wszedł do salonu jego nieżyjącego syna, ale uścisnął dłoń „Jose” i powitał go w San Blas.

Elena wręczyła zrobione na targu zakupy szesnastoletniemu chłopakowi, którego przedstawiła jako bratanka Eduarda. Po przywitaniu się zniknął on w głębi skromnie wyposażonego, ale dość sporego domu. Następnie gospodyni oprowadziła gościa z Ameryki, przedstawiła go licznym ciotkom, wujom i stryjom Eduarda, kolejnym bratankom, bratanicom, dwóm braciom oraz licznym przyjaciółom i sąsiadom zmarłego.

Cesar Gamboa, jeden ze stryjów Eddiego, podał Courtowi zimną butelkę piwa Pacifico. Stali w korytarzu, rozmawiając na ogólne tematy. Elena zniknęła, by powitać kolejnych gości. Court przyglądał się wiszącym na ścianie fotografiom. Przeważały zdjęcia ze ślubu Eddiego i Eleny. Court pamiętał jego szeroki uśmiech z Laosu – dziwiło go wówczas, że nawet w najtrudniejszych chwilach z twarzy Eddiego nie zniknął uśmiech. Było też kilka jego zdjęć z siwym Amerykaninem na łodzi rybackiej. Na jednym trzymali dumnie potężnego marlina. Na ich opalonych twarzach malowały się uśmiechy, a oczy ukryli pod ray-banami.

Gentry przyjrzał się również fotografiom Eddiego z oddziałem SEAL. Żołnierze pozowali ze swoimi giwerami. Eddie wyróżniał się wysportowaną sylwetką. Choć jego towarzysze przewyższali go o głowę, młody Gamble wyglądał, jakby to on nimi dowodził.

Z rozmyślań wyrwała go Elena, która poklepała go po ramieniu. Court się odwrócił. Znalazł się twarzą w twarz z mężczyzną, którego przed chwilą widział na zdjęciach z Eddiem i marlinem. Był niski, na oko siedemdziesięcioletni, na głowie miał niebieską czapkę z logo US Navy.

„Kurwa mać” – pomyślał Court. „Gringo”.

– Jose, poznaj jednego z najserdeczniejszych przyjaciół Eddiego, kapitana Chucka – powiedziała Elena po angielsku.

– Chuck Cullen, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych, kapitan *emeritus* – wyrecytował mężczyzna, ściskając dłoń Courta. Uścisk miał długi i mocny, niezaprzeczalnie po to, aby budzić respekt. O jego oczach można było powiedzieć wszystko, poza tym, że były ufne. Był szczupły i w formie. Wyglądał, jakby dbał o swoją kondycję.

Elena, być może wyczuwszy wzajemną nieufność obu mężczyzn, dodała:

– Joe był przyjacielem Eduarda.

Na opalonej, pomarszczonej twarzy Cullena wykwitł kwaśny uśmiech.

– Cóż, każdy przyjaciel Eddiego jest moim przyjacielem – powiedział nieszczerze.

Gentry doszedł do wniosku, że biorąc pod uwagę swój obecny wygląd, zbyt przypominał hipisa, żeby zyskać jakikolwiek szacunek emerytowanego marynarza. Z już nieukrywaną podejrzliwością weteran zapytał:

– Joe, skąd znasz Eddiego?

– Poznałem go, kiedy pracował dla DEA.

– No proszę! A więc ty też jesteś z DEA czy może poznaliście się, kiedy cię aresztował? – zapytał Cullen. Uśmiechał się tak, jakby to miał być żart, ale Gentry wyczuł, że uznał stojącego przed nim długowłosego obdartusa za godnego wszelkiej podejrzliwości. Kapitan znów zaczął coś mówić, z pewnością coś obraźliwego, ale wróciła Elena i przerwała rozmowę.

– Prawie zapomniałam... Joe, chcę cię przedstawić jeszcze kilku osobom. Porozmawiacie sobie przy jedzeniu.

Przeszli wąskim korytarzem do kuchni. Sześć kobiet w różnym wieku przygotowywało posiłek. Kroiły owoce i warzywa, chłodziły piwo, mieszały w wielkich garnkach zupy, sosy i ryż, smarowały masłem chleb świeżo wyjęty z piekarnika. Elena powiedziała, że to ciotki Eddiego i jej szwagierka.

Przy zlewie stała kobieta z krótkimi, czarnymi włosami. Myła bataty. Miała na sobie fartuszek i stała tyłem do Courta i Eleny. Odwróciła się, żeby zapytać o coś bratową.

Court nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Była piękna, wręcz przepiękna, choć zupełnie inna niż Elena. Drobniejsza, jej jasnobrązowa skóra wydawała się ciut ciemniejsza niż wdowy po Eddiem. Miała ogromne, błyszczące brązowe oczy, prawie zasłonięte grzywką, którą zdmuchnęła, wycierając ręce. Budowę i ruchy miała prawie chłopięce. Na ramionach, spod prostej białej bluzki z ręcznym kwiatowym haftem widać było zarys mięśni.

Elena powiedziała:

– To Joe z *Los Estados Unidos*. Joe, to jest...

Court dokończył:

– Lorita, młodsza siostra Eddiego – powiedział cicho, wręcz nabożnie. Była bardzo podobna do brata. Courta załapała fala wspomnień, gdy przebywali w celi pokrytej fekaliami. Pamiętał, że Eddie ciągle o niej opowiadał. Jedyne, czego żałował po wyemigrowaniu do Stanów, było to, że musiał zostawić siostrzyczkę w Meksyku. Wysyłał większość żołnierskiej pensji do domu, utrzymując rodziców i Loritę. Miał wrażenie, że zostawiając ją w San Blas, nie spełnił swoich rodzinnych powinności.

Lorita skończyła wycierać ręce w ścierkę i podeszła, aby uścisnąć dłoń Courta. Poczul na sobie jej spojrzenie. Mruknął po hiszpańsku coś o tym, że jest kumplem jej brata z dawnych lat. Nie był zadowolony z tego lakonicznego wyjaśnienia.

Odpowiedziała mu po angielsku:

– Dawno nikt nie nazywał mnie Loritą. Jestem Laura. Miło cię poznać.

– *Igualmente*. – Court odparł „nawzajem” po hiszpańsku na znak, że jest gotowy kontynuować rozmowę w jej ojczystym języku, jeśli dziewczyna tego chce.

– Służyliście razem w marynarce? – spytała pośpiesznie.

Słyszając to, Elena wtrąciła się do rozmowy.

– Nie wolno mu mówić, skąd zna Eduarda. Chyba chodzi o jakąś ściśle tajną misję – wyjaśniła, mrugając do Courta. Jej oczy wypełnione smutkiem na chwilę rozbliły.

Court pokiwał głową:

– Poznaliśmy się dawno temu. Świetny był z niego facet.

Laura pokiwała głową.

– To prawda.

Spojrzał jej w oczy, po czym speszony spuścił wzrok. Przeszedł na hiszpański.

– Spędziłem... dużo czasu w towarzystwie Eddiego. Dużo o tobie opowiadał. Musiałaś być wtedy jeszcze dzieckiem... – wydukał. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nic oryginalnego nie przychodziło mu do głowy. – Tak, bardzo dużo o tobie opowiadał.

Laura się uśmiechnęła, ale po chwili zamknęła oczy, poczerwieniała i się rozplakała.

– *Lo siento* – przeprosiła. Uśmiechnęła się speszona, otarła łzy fartuchem, po czym wybiegła z kuchni.

Elena nie zwróciła uwagi na ten wybuch emocji, dalej obierała bataty przy zlewie.

Court stał teraz samotnie pośrodku kuchni, bojąc się cokolwiek powiedzieć.

„Cholera, Gentry”, pomyślał.

LAOS

2000

Przez dziesięć minut Court opierał się plecami o ścianę przy drzwiach na korytarz, trzymając plastikową butelkę po wodzie. Wypełnił ją meszkiem z wełnianego koca oraz gazą. Owiął butelkę kawałkiem koca i przewiązał bandażem. Był bardzo zmęczony i bał się, że zaraz zaśnie. Starał się przed tym obronić.

Zaczynał odpływać, kiedy usłyszał, że ktoś schodzi po schodach.

Zerwał się, wziął głęboki wdech, napełniając płuca zarówno tlenem koniecznym do nadchodzącego wysiłku, jak i stęchlizną oraz smrodem odchodów. Drzwi się otworzyły i do celi wszedł strażnik z długopisem. Zamarł na chwilę, gdy nie zobaczył w niej więźnia.

Gentry wyskoczył zza drzwi, rzucił się na mężczyznę, powalił go i przyspilił swoim ciałem do podłogi.

Podniósł się na kolana, chwycił oburącz głowę żołnierza i uderzył nią o kamienną posadzkę. Raz, dwa, trzy razy.

Oczy mężczyzny nawet po śmierci pozostały otwarte. Court upadł na niego wycieńczony.

Po kilku sekundach wyciągnął bosą stopę i zamknął nią drzwi. W końcu odzyskał siły, by wysunąć z pasa Laotańczyka chiński samopowtarzalny pistolet typ 77. Ten model strzelał dość słabymi nabojami, bo 7,65 na 17 milimetrów, i w idealnej sytuacji Gentry wolałby nie uzależniać od niego swojego życia. Ale to nie była idealna sytuacja. Z trudem przeczołgał się po ziemi, usiłując powstrzymać nadciągającą falę biegunki, która groziła mu przy każdym ruchu. W końcu udało mu się wrócić do drzwi. Podniósł butelkę i wsadził lufę pistoletu w jej szyjkę, po czym spróbował wstać.

Nic z tego. Był zdecydowanie za słaby i nie mógł utrzymać równowagi. Będzie więc walczyć na leżąco.

Stwierdził, że z butelki będzie całkiem sprawny tłumik do małego pistoletu, przynajmniej na kilka strzałów. Fakt, że je tylko przytłumi, ale nie wyciszy, bo na to nie miał szans. Mimo to spełni swoje główne zadanie tak, jakby był najlepszym modelem wojskowym – sprawi, że dźwięk wystrzału nie będzie z nim kojarzony.

Court spojrział na leżącego na ziemi martwego strażnika i zrewidował swój plan. Pierwotnie zakładał, że zaciągnie go do celi i nakryje kocem, żeby żołnierze, którzy przyprowadzą Eddiego, choćby przez chwilę nie zorientowali się w sytuacji. Jednak przyznał, że skoro nie jest w stanie ustać na nogach, na pewno nie da rady przeciągnąć ciała na drugi koniec pomieszczenia.

Leżał więc na podłodze pięć kroków od drzwi i czekał.

Zasnął. Ocknął się na dźwięk klucza wkładanego do zamka. Wolałby, żeby Eddie i strażnicy weszli do pomieszczenia, zamknęli za sobą drzwi, aby zwiększyć szansę, że przytłumiony wystrzał nie zostanie usłyszany na górze. Wiedział jednak, że z leżącym tuż przy drzwiach trupem to nierealne. Zatem gdy tylko klucz się obrócił i zamek puścił, Gentry usiadł, modląc się w duchu, żeby z Eddiem przyszedł tylko jeden strażnik, najwyżej dwóch.

Tymczasem wąskim korytarzem zeszło jeden za drugim aż pięciu mężczyzn. Wszyscy byli przemoczeni do suchej nitki przez hulającą na zewnątrz burzę i szli ciasno, każdy nie więcej niż dwa kroki za poprzednikiem. Gamble był trzeci. Pierwszy żołnierz przekroczył próg celi z ręką na klamce. Gentry trzymał pistolet

w prawej dłoni, a lewą dociskał prowizoryczny tłumik do lufy. Zanim pierwszy strażnik był w stanie zareagować, Court wycelował mu w twarz i strzelił.

Denko butelki eksplodowało z głośnym, ale nie tragicznym trzaskiem. Głowa żołnierza poleciała do tyłu. Strażnik się obrócił i upadł na plecy, podnosząc ręce do zakrwawionej twarzy.

Court nie wahał się ani chwili. Podniósł wyżej pistolet i dymiący tłumik, po czym zastrzelił żołnierza znajdującego się tuż przed Eddiem. Laotańczyk nie zdążył nawet sięgnąć po broń, kiedy oberwał kulką w prawe oko. Natychmiast padł martwy.

Wełna w tłumiku płonęła i dymiła, więc drugi wystrzał był dwa razy głośniejszy niż pierwszy. Court wymierzył w kierunku Eddiego, który przezornie padł na kolana, i trafił żołnierza za nim strzałem prosto w gardło dokładnie w chwili, gdy ten wyciągnął broń zaskoczony niespodziewanym zagrożeniem w piwnicy.

Tym razem dymiąca butelka Courta już całkiem się rozpadła, wystrzeliwując odłamek twardego plastiku prosto w jego lewy kciuk. Ten wystrzał był również przytłumiony, ale zdecydowanie mniej niż poprzednie dwa.

Tłumik spełnił swoje zadanie. Court odrzucił resztki butelki, po czym wymierzył w ostatniego strażnika. Ten jednak nie sięgnął po broń, tylko się odwrócił i ruszył z powrotem po schodach. Eddie Gamble podniósł się z kolan, przeskoczył nad wijącym się Laotańczykiem krwawiącym z tętnicy szyjnej i chwycił uciekającego za kostkę. Strażnik krzyknął, upadł i stoczył się ze schodów.

Court leżał na plecach. Pistolet wypadł mu z dłoni. Był za słaby, by brać czynny udział w toczącej się obok walce. Eddie i strażnik miotali się przez chwilę jak podczas zapasów. Gentry mógł tylko patrzeć z szeroko rozłożonymi rękami. W końcu Gamble'owi udało się wykorzystać swój wzrost, siłę i umiejętności do zyskania przewagi nad przeciwnikiem. Po pół minuty brutalnej walki Eddie walnął strażnika w twarz, aż tamten stracił przytomność.

Eddie stoczył się z Laotańczyka, dysząc ze zmęczenia. Szybko jednak doszedł do siebie. Pochylił się nad Gentrym. Pomiedzy oddechami i świstami wycedził:

– Wstawaj! Pora zwiewać!

Court nie był w stanie się ruszyć o własnych siłach. Pokręcił tylko głową i wyszeptał:

– Słuchaj uważnie. Weź spluwę któregoś z martwych strażników, włóż pelerynę i jak gdyby nigdy nic wyjdź na zewnątrz. Idź na parking znajdujący się po lewej stronie od chaty przesłuchań. Wybierz jakieś auto i uruchom silnik. No, biegnij!

– Nie bez ciebie, *amigo* – odparł Gamble, po czym wyjął spluwę jednego z martwych strażników i wziął Courta na plecy.

– Daj spokój! Nie uda ci się mnie stąd wyciągnąć!

Gamble jednak nie zważał na jego protesty. Powoli wspiął się po schodach, wspierając się oburącz o poręcz. Z trudem niósł chorego. Kilka razy się potknął, w końcu jednak dotarł na szczyt schodów. W pomieszczeniu na górze było pusto. Położył Courta na podłogę, po czym chwycił dwie peleryny wiszące na kołkach przy drzwiach. Jedną narzucił na Gentry'ego, drugą na siebie. Court podciągnął się na nogi, podpierając się o biurko. Obaj mężczyźni naciągnęli kaptury i wyszli. Gentry podtrzymywał się kolegi.

Deszcz lał prawie poziomo, utrudniając widoczność z wież strażniczych i tarasów innych zabudowań. Court się potknął, ale Eddie go chwycił. Tak przeszli pięćdziesiąt metrów aż do zaparkowanych pojazdów. W niewielkiej od nich odległości minęli nieduży magazyn. W środku obserwowało ich czterech żołnierzy. Nie ruszyli za nimi, ale też nie odwrócili wzroku.

Na parkingu stało kilkanaście dżipów, samochodów osobowych, pikapów i ciężarówek. Eddie wpakował Gentry'ego na tylne siedzenie niewielkiego chińskiego sedana, po czym wskoczył za kierownicę.

Court z trudem się podniósł. Słyszał, jak agent DEA majstruje przy plastikowej desce rozdzielczej. Klął po hiszpańsku, usiłując uruchomić pojazd rękami zgrabiałymi z zimna.

Mimo deszczu spływającego po tylnej szybie Gentry zobaczył dwóch żołnierzy zbliżających się od strony ogrodzenia. Z ich ramion zwisały karabiny z drewnianymi kolbami. Kaptury mieli naciągnięte na twarz niczym jeźdźcy apokalipsy. Szli prosto na Eddiego i Courta.

– Ej! – zawołał Court. – Szybki Eddie! Jeśli w ciągu piętnastu sekund nie odpalisz silnika, to będziesz Martwy Eddie!

– Pierwszy raz uruchamiam takie badziewie! Zaraz się uda!

– No, ruchy, ruchy! Mamy towarzystwo!

– Dobra, jeszcze tylko... – mruknął Gamble. Udało się. Silnik zawarczał. Court zobaczył, jak Eddie się przeżegnał, pocałował palce, po czym dotknął nimi deski rozdzielczej. Wrzucił bieg, obejrzał się na Gentry'ego i zawołał: – *Vamos!*

Chiński sedan ruszył przez żwir i ulewę.

Eddie skierował się ku głównej bramie, usiłując jechać powoli, nie wzbudzając podejrzeń. Gray Man znów spojrział przez tylną szybę. Dwaj żołnierze trzymali karabiny. Tylko przez chwilę zdawali się zdezorientowani. Nagle równocześnie wymierzili wprost w odjeżdżające auto.

– Gazu! – krzyknął Court.

Tylna szyba rozprysła się na kawałki, które rozsypały się po tylnej kanapie. Eddie Gamble wcisnął gaz do dechy. Pomknęli przez deszcz przy akompaniamencie wystrzałów. Na podstawie odgłosów domyślili się, że są już poniżej bliźniaczych wież po obu stronach bramy. Eddie krzyknął do pasażera, żeby ten się trzymał, po czym samochód przebił drewniano-drucianą bramę w chwili, kiedy kolejne strzały poharatały karoserię. Poślizg na ostrym zakręcie w lewo sprawił, że kierowca na chwilę stracił panowanie nad pojazdem, ale udało mu się je odzyskać w momencie, kiedy już mieli wypaść z drogi.

Samochód z dwoma amerykańskimi uciekinierami z każdą sekundą oddalał się od więzienia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy na meksykańskim wybrzeżu Pacyfiku zapadł zmrok, w sporym ogrodzie na tyłach domu Eddiego podano kolację na kilku złączonych stołach piknikowych. Na podjeździe za domem stała na ceglach stara siedmiometrowa motorówka firmy Boston Whaler. O tylną bramę opierało się kilka rowerów, a z haków przy niewielkim garażu zwisały błyszczące wędkę. To były rzeczy Eddiego. Gentry czuł się nieswojo, siedząc wśród nich bez starego przyjaciela. W Laosie jedyną własnością Eddiego – Courta zresztą też – był brudny kombinezon. Tylko tyle. Teraz Court znalazł się w świecie Eddiego. Zobaczył, co dawny towarzysz niedoli lubił robić, poznał tych, których kochał. Gentry czuł się, jakby bezprawnie wdarł się do tej rzeczywistości.

Naliczył przy stołach trzydzieści dwie osoby. Dużą część stanowiła liczna rodzina zmarłego, poza tym bliscy funkcjonariuszy poległych w zatoce, przyjaciele oraz kilka osób, które przedstawiono mu jako organizatorów spotkania w Puerto Vallarcie. Ochronę zgromadzeniu zapewniali widziani wcześniej nieuzbrojeni lokalni gliniarze, których było już ośmioro. Patrolowali podjazd, stali na ulicy przed domem, nawet czuwali w ogrodzie, przy stołach. Court nie wiedział, dlaczego właściwie tu byli. Czy uważano, że domownikom i gościom groziło jakieś niebezpieczeństwo? A nawet gdyby, to jak zachowałyby się policja?

Court nie spotkał jeszcze zagrożenia, z którym można by sobie poradzić za pomocą gwizdka i gumowej pałki.

Po ogrodzie przechadzały się trzy brązowe koguty. Ich patrol w dziwaczny sposób przypominał policyjny. Poza tym przy ucztujących kręciło się kilka kundli różnej wielkości, próbujących wyłudzić coś do zjedzenia. Prawdę mówiąc, Court się z nimi utożsamiał. Czyż nie robił tego samego?

Kapitan Chuck Cullen siedział na końcu rzędu stołów, plecami do kuchni. Za jego prawym ramieniem na tyłach domu stał potężny grill. Nad jego głową po pobielanej ścianie biegały smukłe czarne jaszczurki.

Courta posadzono po drugiej stronie, naprzeciw Cullena. Mężczyzna spędził sporą część wieczoru, patrząc w milczeniu na rodaka. Po prawej stronie Gentry'ego siedzieli Elena i jej teściowie. Amerykanin starał się nie wtrącać do rozmowy i delectował się przepysznym grillowanym marlinem. Zjadł więcej jarzyn, surówek i sałatek niż kiedykolwiek do tej pory. Wszystko popijał piwem tak doskonale schłodzonym, że od dotyku zimnej butelki aż piekły go palce.

Court wyobrażał sobie, że musiało tu być wiele podobnych uczt w towarzystwie Eddiego Gamble'a, który zapewne siedział wtedy tam, gdzie teraz Cullen.

Znów poczuł na sobie wzrok emerytowanego oficera, który przyglądał się mu ponad talerzami wypełnionymi jedzeniem. Próbował nie zwracać na to uwagi. Przyłapał się natomiast na tym, że nie spuszczał wzroku z jednej osoby. Laury.

Siedziała na prawo od niego, w połowie połączonych stołów, między dwiema ciotkami. Co chwila wstawiała i biegła do kuchni, po czym wracała z kolejnymi półmiskami, miskami, butelkami i innymi naczyniami wypełnionymi jedzeniem i piciem.

Raz czy dwa spojrzała w jego stronę. Musiała się zorientować, że Joe się jej przygląda. Miał nadzieję, że nie było to tak podejrzane i złowrogie, jak lustrowanie jego przez Cullena.

To nie była fiesta. Rozmawiano cicho, z powagą, ucztujący byli smutni lub zdenerwowani. Court przyglądał się po kolei biesiadnikom, wykorzystując umiejętność wyczytania z twarzy ludzi prawdziwych emocji, czego nauczył się podczas licznych szpiegowskich szkoleń. Starał się dociec, co myśli każdy z obecnych.

Był w tym dobry. Tak dobry, że tylko go to przygnębiło – widział wyrazy cierpienia, wściekłości i rozgoryczenia trzydziestu dwóch osób, z których większość właśnie straciła kogoś bliskiego, silnego i odważnego. Kogoś naprawdę wyjątkowego.

Court spuścił wzrok na talerz i nabił na widelec obfity kęs smażonych batatów. Obiecał sobie, że wypije jeszcze tylko jedno piwo, po czym ruszy w dalszą drogę.

– Co z tobą? – zapytał Eddie znad kierownicy.

Court sprawdził, czy nie jest ranny. Na szczęście żadna kula go nie dosięgła.

– W porządku – odparł. Następnie podniósł się na siedzeniu i wyjrzał przez pogruchotaną tylną szybę. – Pewnie są niedaleko, ale pogoda działa na naszą korzyść. Przynajmniej uniemożliwia latanie helikopterem.

Gamble jednak martwił się czymś innym.

– Błagam, powiedz, że miałeś pozwolenie na zabicie tych strażników. Nie chcę po ucieczce trafić prosto do Leavenworth.

– Miałem pozwolenie.

– Mówisz, że wolno ci, ot tak, sprzątnąć, kogo ci się podoba? – nie dowierzał Eddie.

– Nie narażaj mi się, to się nie przekonasz – mruknął Gentry, kładąc się na tylnym siedzeniu. Był tak zmęczony i osłabiony, że zrobiło mu się niedobrze. Nie dał rady siedzieć. Na tę ucieczkę zużył wszystkie siły, nawet biorąc pod uwagę, że część trasy przebył na plecach Gamble'a. Teraz czuł się bezużyteczny.

– Ale serio. Powiedz, że nic złego nie zrobiliśmy.

– Nic nam nie będzie. A ty nikogo nie zabiłeś.

– Powiem ci, stary, że wolałbym wiedzieć, dla kogo pracujesz. Miałem już do czynienia z CIA. Ci faceci nie wyglądają jak ty ani nie zachowują się w ten sposób.

– A ja uważam, że powinieneś się skupić na drodze. Armia laotańska na bank poustawia tu jakieś blokady.

Agent DEA westchnął zirytowany, ale posłuchał Gray Mana. Po pięciu minutach dojechali do rozjazdu. Gamble skręcił w prawo, w stronę Mekongu.

* * *

Court zdążył odpłynąć, ale obudził się, kiedy samochód się zatrzymał, a następnie zaczął się cofać. Po kilku sekundach Gamble zawrócił.

– Co jest?

– Blokada wojskowa. Jakies pół kilometra od nas. Cztery pojazdy. Będzie z piętnastu chłopów – odpowiedział Eddie grobowym tonem.

– No dobra. Znajdź miejsce, żeby porzucić auto. Będziesz musiał iść z buta. Ale to niedaleko. Kieruj się na południe, na pewno dojedziesz do rzeki. Znajdź kogoś

z łódką, pomachaj mu spluwą przed nosem i grzecznie poproś, żeby cię przeprawił do Tajlandii.

Przez kilka sekund w samochodzie panowała cisza.

– Wiesz, że musisz iść sam... – oznajmił Court.

Gamble niewątpliwie też to roztrząsał.

– Słuchaj, Sally... Może dałoby się...

– Nie ma mowy. Nie jestem w stanie iść, a ty nie dasz rady mnie nieść. Nigdzie się nie ruszam.

Widać było, że Eddie się waha, ale Court miał rację. W końcu Gamble pokiwał głową.

– Dobra. Znajdę ci kryjówkę. Tam się schowasz, a ja oznaczę to miejsce. Znajdę pomoc i wrócę po ciebie.

Gray Man wiedział, że Eddie nie wierzy, aby udało mu się przeżyć noc pod chmurką.

– Dostań się przez Mekong do Tajlandii. Powiedz swoim, gdzie mnie zostawiłeś. Wtedy moi po mnie przyjdą.

Gentry starał się być przekonujący, choć to nieprawda. Wiedział, że nikt się po niego nie zjawi. Eddie również miał podobne podejrzenia.

* * *

Po dwudziestu minutach dach chińskiego sedana był już pod powierzchnią wody. Z początku unosiły się na niej bąbelki powietrza, po chwili tafla się uspokoiła, a lotosy i lilie wodne wróciły tam, gdzie wjechało auto. Court Gentry leżał na plecach osiem metrów od jeziora i piętnaście metrów poniżej drogi, u podnóża stromego wzniesienia. Oślaniały go wysokie trawy, a Eddie przykrył go liśćmi bananowca i otoczył prowizorycznym murem z kamieni i badyli. Kilka metrów dalej wzdłuż brzegu ciągnęła się ścieżka prowadząca na południe, w stronę Mekongu.

Z biegnącej powyżej drogi nie było widać Gentry'ego, ale gdyby ktoś postanowił zboczyć z niej w tym miejscu, zapewne zauważyłby wybrzuszenie w trawie przypominające kształtem człowieka.

Eddie ukląkł nad Courtem. Ledwo się widzieli przez liście.

– Uważaj na niewybuchy – jęknął Court. – Podczas wojny w Wietnamie rzuciliśmy na ten kraj więcej bomb niż na Niemcy w drugiej wojnie światowej. Wiele z nich leży w dżungli i czekają, aż ktoś je kopnie. Naprawdę nie powinieneś tu zbaczać ze szlaku.

Eddie spojrzał na ścieżkę.

– Dzięki za radę. Wiedziałem, że warto było cię tachać. – Po chwili spoważniał. – Nie masz jedzenia, ale przynajmniej z H₂O nie będzie problemu. Wystarczy, że otworzysz usta, a deszczówka spłynie ci prosto z liścia bananowca.

– Okej.

– Dopilnuję, żeby ktoś po ciebie wrócił, przyrzekam.

– Jasne. Dzięki za wszystko. Kiedyś będzie z ciebie żoneczka prima sort.

Eddie pokiwał głową. Zawahał się. Nie podobało mu się to, że zostawia byłego współwięźnia. – Zobaczymy się za góra kilka dni. Będziesz podrywać pielęgniarki w szpitalu w Bangkoku, a ja wpadnę z jakimś przysmakiem. Masz jakieś życzenie?

Court się uśmiechnął. Stwierdził, że może trochę poudawać, jeśli miało to pomóc Eddiemu ocalić jego tyłek.

– Nie pogardziłbym zimnym root beerem.

– Masz to jak w banku – odparł i poklepał Courta. – Do zobaczenia, *homes!* – To mówiąc, wstał i ruszył na południe.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Court zerknął na zegarek, było po dwudziestej pierwszej. Część gości już wyszła, inni siedzieli grupkami w ogrodzie, obok łódki czy w domu. Policjanci wciąż krążyli na obrzeżach posesji. Laura i Elena przyniosły każdemu funkcjonariuszowi talerz jedzenia i kubek horchaty z lodem, tradycyjny cynamonowowaniliowy napój z gotowanego ryżu i sezamu. Policjanci jedli na stojąco, łypiąc znad talerzy na bramę.

Court pił już czwartą butelkę Pacifico. Zastanawiał się nad noclegiem. Z pewnością o tej porze nie jeżdżą tu autobusy, a nie miał forsy na hotel. Stwierdził, że przejdzie się kilka przecznic na północ do niewielkiego parku w środku miasta, a potem pojedzie pierwszym porannym autobusem do Puerto Vallarty.

Teoretycznie miał jeszcze jedną opcję, ale wołał z niej nie korzystać. Słyszał, że emerytowany kapitan Cullen mieszka właśnie w Puerto Vallarcie. Court rozważał, ale tylko przez chwilę, czy poprosić go o podwózkę. Półtorej godziny w towarzystwie tego chłodnego mężczyzny oznaczało poddanie się surowszemu i dokładniejszemu oglądowi, a tego ścigany międzynarodowym listem gończym Gentry wołał uniknąć.

Amerikanin z satysfakcją zauważył, że reszta zebranych chyba o nim zapomniała. Siedział samotnie przy niedużym stole z tyłu budynku, z dala od widocznych nad ogrodem świateł i płonących pochodni powtykanych gdzieś w ziemię i gości zajętych rozmową. Zerknął na bramę z tyłu posesji. Była przymknięta, ale można było przez nią przejść. Otaczała ją kusząca, wzywająca go ciemność.

Postanowił, że wymknie się niezauważony. Przyjechał tu uczcić pamięć zmarłego i to zrobił. Czas zniknąć. Dla Gray Mana to bułka z masłem.

Dopił piwo i powoli się podniósł.

– Mógłbyś mi wyjaśnić, co mnie tak w tobie intryguje?

Odwrócił się. Trzy metry od niego stał Cullen. W jednej ręce trzymał butelkę tequili z plastikowymi literatkami na zakrętce, a w drugiej dwie błyszczące limonki.

– Nie mam pojęcia.

– Napijemy się? – Nie czekając na odpowiedź, usiadł przy stole naprzeciw Courta i postawił przed sobą butelkę. Następnie wyciągnął z kieszeni spodni scyzoryk i ukroił po plasterku limonki.

Court się zawahał.

– Na mnie już pora.

– Dokąd zmierzasz, zuchu?

– Yyyy... Chcę wrócić do Puerto Vall...

– Raczej nie dzisiaj, no chyba że zamierzasz zapłacić sto dolców za taksówkę. Elena mówiła, że przyjechałeś autobusem.

– Tak... W takim razie znajdę jakiś hotel.

– Mogę cię podwieźć do PV.

Court usiadł. Cullen nalał do dwóch szklaneczek gęsty, przezroczysty trunk i podał mu literatkę. Court wypił, zagryzł limonką, po czym zmienił temat, chcąc odwrócić uwagę kapitana.

– Skąd znasz Eddiego?

Cullen oparł się wygodnie i się uśmiechnął. Zdjął czapkę z logo US Navy i zamachał nią. W świetle pochodni ustawionych w ogrodzie jego siwe włosy połyskiwały srebrzyście.

– Poznaliście się na okręcie?

Kapitan pokręcił przecząco głową.

– Nie. Nasze ścieżki nigdy nie zeszły się w trakcie służby. Poznałem go w PV jakieś cztery lata temu. Codziennie rano biegam po plaży, przynajmniej wtedy biegałem. Teraz to już raczej drepczę, choć wciąż szybciej niż inni stetryczali emigranci. W każdym razie pewnego dnia podbiegł do mnie na molo jakiś meksykański *hombre*, dość groźnie wyglądający. Myślałem, że zapragnął mojego portfela. Tymczasem on wskazał na tę oto czapkę. Zapytał mnie, kiedy służyłem. No i zaczęliśmy gadać. Potem powiedział, że też był w marynarce. Najpierw pomyślałem, że w tutejszej. Zaniemówiłem, kiedy się dowiedziałem, że był

w siłach specjalnych amerykańskiej marynarki. – Cullen zaśmiał się smutno i ciągnął: – No i się zaprzyjaźniliśmy. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do PV, płynęliśmy na ryby moją ślicznotką. Wiele razy siedziałem z Eddiem przy tym stole. Jego miejsce było tam, gdzie teraz siedzisz. – Cullen westchnął. W swoim długim życiu musiał doświadczyć wielu strat, jednak widać było, że bardzo bolała go śmierć młodszego przyjaciela.

– Miałem zaszczyt spędzić wiele czasu w towarzystwie tego fantastycznego młodego człowieka.

– Tak jest.

Kapitan włożył czapkę i pochylił się nad stołem.

– Ale przyznasz, że nieznajomy zjawiający się w jego domu tuż po tym, jak zginął... Nie zaprzeczysz, że wygląda to nieco podejrzanie.

Gentry wzruszył ramionami.

– Przyszedłem na grób, żeby się pożegnać. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby Elena nie należała.

Cullen pokiwał głową i w zamyśleniu sączył tequilę. Spojrzał przez ramię na dom wypełniony ludźmi.

– Nie będzie im łatwo. Dla wielu ludzi z okolicy Eddie jest teraz złem wcielonym. Prasa przedstawia go jako kolejnego *sicario*.

– *Sicario*?

– Zabójcę. Powszechnie uważa się, że Eddie i jego ludzie pracowali na zlecenie innego kartelu, konkurencji de la Rochoy. Gdy zginął, przyszli tu i *federales*, i policja stanowa, przeczesałi jego rzeczy, skonfiskowali komputer i broń. Na czas śledztwa nawet wstrzymali rentę dla Eleny. Te pomówienia to oczywiście gówna prawda. Zginął, wykonując rozkazy mające na celu ochronę lokalnej społeczności. A ta uważa, że to kolejny skorumpowany *federale*.

– Ale dlaczego tak uważają? W ogóle nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– A po co masz to rozumieć? Jutro już cię tu nie będzie. Po co masz się wgłębiać w zawile ścieżki wiejskiej mądrości?

Gentry czuł, że mężczyzna nim gardzi. Traktuje jak włóczęgę, marnego oszusta, który przyszedł napęłnić brzuch na cudzy koszt. Złościło go to. Oddałby życie za

Eddiego Gamble'a. Rzecz jasna, gdyby chodził jeszcze po tym świecie Eddie Gamble, za którego można by zginąć.

– Opowiedz więc, proszę.

– Dlaczego?

– Bo mnie to obchodzi. A podejrzewam, że masz na ten temat wyrobione zdanie. – Court sięgnął po butelkę i nalał tequilę do obu literatek.

Kapitan pokiwał głową i ukroił kolejne dwa plasterki limonki.

– Eddie stał na czele ośmioosobowego oddziału. Podlegali bezpośrednio prokuratorowi generalnemu w stolicy. Ten z kolei został wskazany przez samego prezydenta, żeby wyeliminować przywódców głównych karteli narkotykowych w tym kraju.

– Wyeliminować?

Cullen pokiwał głową.

– Czyli to był usankcjonowany oddział zabójców?

– Nie inaczej.

Court nawet nie mrugnął.

– Mów dalej.

– Eddie i jego drużyna byli rewelacyjni. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy udało im się zabić przywódców czterech z sześciu największych karteli działających w centrum kraju. Daniel de la Rocha miał być piątym.

– Ale tym razem w akcji zginął cały oddział.

– Niestety tak.

– Nie kumam tylko, czemu wysadzili ten jacht.

Kapitan pokręcił głową.

– Ja też nie. Wielu rzeczy w tej sprawie w ogóle nie rozumiem. Eddie nigdy nie zdradzał szczegółów operacji, po prostu gadaliśmy.

Court się napił.

– O co w ogóle chodzi z poparciem dla tego kutasa de la Rochy?

– Nie tylko tutaj. – Cullen wyciągnął dłoń, rysując w powietrzu szeroki krąg. – Jest dosłownie wszędzie. Znajdziesz filmy, książki, piosenki o nim. To celebryta, gwiazdor, prawie rockman. Jego ojciec to też człowiek legenda. Kartel Porfidio de

la Rocha w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych był sławny. Pracowali bezpośrednio z Kolumbijczykami, przemyśleli mnóstwo towaru do Stanów. Ale Daniel nie zrobił kariery dzięki tatusiowi. Wstąpił do wojska, potem do GAFES, Grupo Aeromóvil de Fuerzas Especiales, elitarniej jednostki do zadań specjalnych. Pożegnał się z armią, kiedy władze zabiły jego ojca, bodajże w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Daniel też siedział kilka lat. Kiedy wyszedł, otoczył się kumplami z wojska, byłymi komandosami z jednostki. To zwarta grupa, coś pomiędzy biznesmenami a bojówkarzami. Każdy ma taką samą fryzurę, taki sam garnitur. Każdy wyćwiczony i napakowany. Wszędzie jeżdżą w konwoju jak podczas operacji wojskowych. Media nazywają ich Los Trajes Negros, co po naszymu oznacza Czarne Garnitury. – Cullen zrobił krótką pauzę, po czym wrócił do opowieści: – Oficjalnie od wyjścia z więzienia de la Rocha ma czystą kartotekę. Jest właścicielem krajowej linii lotniczej, która zapewnia transport z miast na wybrzeżu do małych miejscowości, nawet wiosek, w całym paśmie Sierra Madre. Prowadzi tysiące innych biznesów: sady, farmy, tartaki. Wszystko oczywiście całkowicie na legalu. Twierdzi, że stąd ma tyle forsy. Na pewno przekupił wystarczająco wielu urzędników państwowych, żeby nikt nie zaglądał w jego zeznania podatkowe.

– Ale jesteś pewny, że sprzedaje kokainę?

Cullen dopił tequile, po czym pokręcił głową.

– Owszem, DLR sprzedaje trochę koki, trochę heroiny, nawet trochę marychy, ale to nie na tym tłucze większość kapuchy. Czarne Garnitury to drugi największy na świecie kartel specjalizujący się w *foco*.

– *Foco*?

– Metamfetamina, kryształ. Większość meksykańskich karteli raczej skupia się na kontrolowaniu konkretnego regionu czy tras dystrybucji. Zajmuje się, czym popadnie: gandzią, koką, lodem, porwaniami dla okupu, nawet piractwem płytek. De la Rocha natomiast wypracował własny model biznesowy. Zajmuje się i produkcją, i dystrybucją. Chodzą słuchy, że ma olbrzymie fabryki metamfetaminy, superlaboratoria gdzieś w Sierra Madre. Sęk w tym, że nie wiadomo dokładnie, gdzie. Poza tym nawet gdyby jakimś cudem zostały namierzone, wątpię, żeby dało się je powiązać bezpośrednio z nim.

– Dalej nie rozumiem powszechnego uwielbienia tego kolesia.

Court uznał, że Cullen choć trochę się do niego przekonał. W głosie mężczyzny nie słyszał już rezerwy.

– Cóż, większość tych *narcos* to duchy. Ale nie Daniel. On buduje swój wizerunek niczym gwiazda filmowa. Nie wpasowuje się w stereotyp *cartelero*. Ma dopiero trzydzieści dziewięć lat. Do tego szóstkę dzieci, nie zdradza żony, ubiera się jak księżę Walii i wspiera połowę legalnych organizacji charytatywnych w tym kraju. Tu, w stanie Nayarit, w Jalisco oraz w Michoacán oskarżano policję stanową o krycie go. Założę się, że to wiarygodne zarzuty.

Court sączył tequilę. Spojrzał na gwiazdy. Cullen nachylił się ku niemu.

– Jeśli chcesz to zrozumieć, nie myśl o Danielu jak o dilerze narkotykowym. Myśl o nim jak o Robin Hoodzie. Daje forszę biednym, chroni bezradnych, wspiera więcej zacnych celów w tym kraju niż ktokolwiek inny.

– A więc tutejszym nie przeszkadza to, co narkotyki robią z ludźmi?

– Nikogo, poza nielicznymi w całym Meksyku, nie obchodzi, że miliony narkomanów ze Stanów tworzą zapotrzebowanie na produkt. Nikomu tu nie jest żal ludzi, którzy nałogiem spieprzają sobie życie. Owszem, przejmują się morderstwami, które ciągną się za *carteleros*. Kto by się nie przejmował? Ale przeciętny Jose na ulicy wie, że ostatnia rzecz, którą można zrobić, aby przeciwstawić się *narcos*, to stanąć po stronie policji czy rządu w tej wojnie. Bo korupcja tutaj przybrała wręcz niewyobrażalną skalę. Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, wie, że są tylko dwa sposoby ochrony siebie i swojej rodziny. Można albo trzymać się od tego z daleka, albo wstąpić do kartelu. I wiesz co? To ostatnie jest znacznie bardziej opłacalne niż trwanie z boku. A do tego znacznie bezpieczniejsze.

Court się nie mylił: Cullen miał wyrobioną opinię na ten temat.

– Policja, sędziowie, wojsko, lokalne władze... Nikomu nie można tu ufać. Wiem, że wielu z nich zaczyna z najlepszymi intencjami. Ale potem *narcos* stawiają ich przed wyborem: *plata o plomo*.

– Srebro czy ołów... – mruknął Court.

– Lepszym tłumaczeniem jest „pieniądze albo kulka”. Wiadomo, że się dostanie jedno albo drugie. Trzeba tylko wybrać.

Court pokiwał głową, po czym wskazał na policjantów stojących z tyłu ogrodu.

– A te gliny? Zachowują się, jakby uważali, że Eddie był jednym z dobrych.

Cullen machnął ręką na znak, że ci się nie liczą.

– To *municipales*. Lokalne gliny z San Blas. Tak, ci są jak rodzina. Ernesto, ojciec Eddiego, mieszka tu od urodzenia. Ale gliny w Puerto Vallarcie? Ci są zepsuci do szpiku kości. Policja stanowa? Im też nie można ufać. Tak samo wielu spośród *federales*. Nawet stacjonujące w tych okolicach wojsko jest w dużej mierze skorumpowane. Nie wiem, co sądzić o oddziale Eddiego, a to była elitarna jednostka do zadań specjalnych. Według mnie to podejrzane, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy sprzątnięto praktycznie całą konkurencję de la Rochy w regionie, poza jednym wyjątkiem.

– Jaki to wyjątek?

– Facet z północy Sierra Madre. Constantino Madrigal Bustamante. Nazywają go El Vaquero, Kowboj. Jeszcze większy skurwysyn niż de la Rocha. Niektórzy twierdzą, że oddział komandosów Eddiego potajemnie pracował dla kartelu Madrigala. Wyeliminował konkurencję.

Court zmarszczył brwi.

– Ale skoro jest lista złych do zlikwidowania, to skąd wiadomo, że Madrigal nie był po prostu ostatnią pozycją?

– Meksykanie inaczej na to patrzą. – Cullen uśmiechnął się gorzko. – Aż się roi od teorii spiskowych.

Dla Courta nie była to nowość. Doskonale znał sytuację polityczną Ameryki Łacińskiej.

– No to, panie kapitanie, kto tu jest dobry?

Cullen zamyślił się, jak gdyby próbował rozwiązać trudne zadanie matematyczne.

– Wiem, że Eddie był dobry. Ani trochę nie wierzę w teorię, że pracował dla Madrigala. Nie podlega dyskusji, że część *federales* to dobre chłopaki.

– A jak rozpoznać *federales*?

– Od zwykłego gliny łatwo ich odróżnić. Noszą czarne mundury, kamizelki kuloodporne i kominiarki. Na ich autach, motorach, śmigłowcach i pojazdach opancerzonych widnieje PF, czyli *Policía Federal*.

Właśnie tego typu informacje zbierał Court wszędzie, gdzie podróżował czy pracował, czy to podczas misji, czy to z ramienia CIA, czy jako płatny morderca.

– A więc tutaj ci dobrzy zasłaniają twarz. Będę się musiał do tego przyzwycząić.

– Żli też często zasłaniają.

– Miodzio.

Court spojrział na czwórkę policjantów opierających się o podniszczone rowery górskie. Wśród nich stała Laura i dolewała napój z plastikowego dzbanka.

– Dlaczego gliny po naszej stronie to ci z pałkami i rowerami, a ci po drugiej mają spluwy i śmigłowce? – zapytał.

– Może trzeba było wybrać inną stronę?

Court jednym haustem wypił tequilę.

– Zaczynam myśleć, że Eddie powinien był wybrać inną...

Cullen przyjrzał mu się w zamyśleniu.

– Chciałbym wiedzieć, kim ty naprawdę jesteś, Joe. – Sposób, w jaki wypowiedział to imię, świadczył, że zdawał sobie sprawę, że to fałszywka.

Court doszedł do wniosku, że powinien zmienić temat.

– A wiesz, dlaczego Eddie postanowił tu wrócić? Rozmawialiście o tym?

Cullen machnął ręką.

– Ratować ojczyznę. Walczyć z *narcoterroristas*. Żeby umiejętności zdobyte w Stanach wykorzystać tam, gdzie są najbardziej potrzebne...

– Tylko że...?

– Tylko że tak naprawdę nie dlatego wrócił – odparł. Spojrział na podjazd i wskazał na Laure, młodszą siostrę Eddiego. – Dlatego tu wrócił. Dla niej. Na sto procent. Pięć lat temu na północy zabito męża Laury. Był pułkownikiem w armii. Wpadł w zasadzkę *matamilitares*, to taki specjalny rodzaj *sicarios*, specjalizują się w mordowaniu wojskowych. Pobili go, wykłuli oczy, a potem zastrzelili jak chorego psa. Ciało spalili w dwustulitrowej beczce, głowę nabili na ogrodzenie tuż przy granicy z Arizoną. Laura była zdruzgotana. – Mężczyzna westchnął i kontynuował: – Ma jeszcze dwóch starszych braci, ale obaj są do niczego, beznadziejne typy. Pijaki. Jeden z nich to bezrobotny mechanik, drugi to bezrobotny sprzedawca sprzętu AGD.

Cullen wskazał na dwóch grubasów stojących nieopodal drzwi do kuchni. Palili i popijali tequilę. Rodrigo i Ignacio. Obaj byli już wstawieni. Court przyglądał się im podczas posiłku. Ich zachowanie wskazywało, że woleliby być gdzie indziej.

– Kiedy zginął mąż Laury, Eddie porzucił DEA, wrócił do San Blas i zaciągnął się do *federales*. – Cullen wziął głęboki oddech. – Podejrzewam, że mała Laura obwinia się o śmierć Eddiego. Przeżywa to nawet bardziej niż Elena czy jego rodzice.

– O cholera... – Court pierwszy raz tego wieczoru zdał sobie sprawę, że bliskie więzi rodzinne mają nie tylko zalety, ale także wady.

W tej samej chwili, jak na zawołanie, w drzwiach pojawiła się Elena. Podeszła do stołu i powiedziała po angielsku:

– Słuchaj, Joe... Pościeliłam ci łóżko. Zaprowadzę cię, kiedy ty i *capitán* Chuck skończycie rozmowę.

– Wielkie dzięki, ale naprawdę muszę wrócić do Puerto Vallarty.

Elena pokręciła głową. Court znał ją zaledwie kilka godzin, ale wiedział już, że ma twardego charakter.

– Nie ma mowy. Śpisz dziś u nas. To tylko jedna noc. Francisco, stryjek Eddiego, skoro świt wraca do Sayulity. Poproszę go, żeby po drodze podwiózł cię na dworzec w Vallarcie. – To mówiąc, uściśnęła mu dłoń. Zdawała się szczerze urażona, że w ogóle przyszło mu na myśl opuszczać jej dom w środku nocy.

Court zerknął na Cullena, który się uśmiechnął, przewrócił oczami i pokiwał głową.

– W sumie mogę zostać – mruknął Gentry.

Kapitan zwrócił się do Eleny po hiszpańsku. Court nie był pewien, czy dlatego, że mężczyzna był dumny ze swoich umiejętności językowych, czy też chciał wykluczyć rodaka z rozmowy.

– Słuchaj, Eleno. Myślałaś, żeby darować sobie jutrzejszy protest?

Słyszając to, Court wtrącił się po angielsku:

– Jaki protest?

– Mówiłam, jutro w Puerto Vallarcie – odpowiedziała Elena.

– Mówiłaś o spotkaniu wspominkowym.

Wdowa wzruszyła ramionami.

– Dla mnie i dla reszty rodziny to po prostu okazja do powspominania. Będziemy mówić o naszych bliskich zmarłych. Chuck obawia się, że to się może zamienić w protest przeciwko Los Trajes Negros. – Spojrzała na kapitana. – Nie chce, żebym tam jechała.

– Zanosi się, że będzie tłum ludzi – wyjaśnił. – Uważam, że to nieodpowiednie miejsce dla kobiety w siódmym miesiącu ciąży. Jest dużo gniewu, dużo napięcia po.... – urwał.

– Po tym jak Eduardo zginął, walcząc z nimi. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, Chuck. Właśnie dlatego powinnam tam się pojawić.

Court nie mógł się powstrzymać od wyrażenia swojego zdania.

– A ja się zgadzam z kapitanem. Jesteś w ciąży. Ostatnie, czego potrzebujesz, to zamieszki, może być groźnie...

– Nie będzie żadnych zamieszek. Zresztą nawet nie będę w tłumie, tylko na scenie. Nic mi się nie stanie.

Cullen pokręcił głową.

– Nie podoba mi się to. Eddie na pewno nie chciałby, żebyś się w to pakowała.

– Doskonale wiesz, że Eddie sam by pojechał.

– Owszem – przyznał. – Eddie byłby tam z obstawą i karabinem. Ochraniałby protest przeciwko tym potworom, które wspierają DLR. Ale na pewno nie chciałby, żebyś ty tam była czy ktokolwiek z jego rodziny. Nie mówiąc o jego nienarodzonym synu. To zbyt niebezpieczne.

Elena się uśmiechnęła.

– Za bardzo się o mnie martwisz, kapitanie. Zawsze byłeś największym przyjacielem naszej rodziny.

Kapitan wyprostował się na krześle.

– I pozostanę nim do końca życia. Śmierć Eddiego niczego nie zmienia.

Court zdążył polubić kapitana, nawet jeśli on za nim nie przepadał. Chciał pomóc Elenie i reszcie rodziny, ale nie wiedział jak. Pożegnał się z Cullenem, który udał się do swojego auta. Elena zaprowadziła Courta do domu. Minęli kilkanaście osób układających się do snu. Wdowa zaprowadziła go na górę, do maleńkiej sypialni, gdzie rozłożyła dla niego materac i przygotowała pościel.

Ściany pokoju zostały niedawno pomalowane na jasny błękit. Court podejrzewał, że to było dzieło Eddiego. Przygotował pokój dla syna, którego nie dane mu było poznać.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

LAOS
2000

Popołudniowa wilgoć przylgnęła do skóry niczym skorupiaki do kadłuba statku. Aż do wieczora Gentry to tracił przytomność, to ją odzyskiwał, podczas dreszczy zrzucił z siebie kilka liści bananowca, ale udało mu się naciągnąć je z powrotem, tym samym osłaniając skórę przed skwarem.

Noc przyniosła wytchnienie od słońca. Wraz z nią powiało. Wiatr był na tyle duży, że zdmuchnął z niego prowizoryczne okrycie, ale na tyle słaby, że nie potrafił pozrzucić z niego komary. Court zgarnął błoto, które miał w zasięgu ręki, rozsmarował je grubą warstwą na twarzy i szyi, by zabezpieczyć je przed owadami, ale nie poprawiło to zbytnio jego sytuacji.

Owady atakujące jego ciało nie pozwoliły mu nawet zmrużyć oka. Biegały po nim pająki, a on bezradnie się temu poddawał. Był pozbawiony energii.

Gorączka sprawiła, że jego mózg zdawał się puchnąć. Court zaczął tracić kontakt z rzeczywistością, zaczynał mieć przywidzenia. Kilkakrotnie zdawało mu się, że umarł. Nie czuł ani bólu, ani gorąca, głodu czy osłabienia, tylko dziwną lekkość i spokój. Zjawy natomiast były okrutne niczym fatamorgana na pustyni. Tak samo jak ona rozplływały się w końcu, zostawiając po sobie wzmożone pragnienie i rozpacz.

W pewnej chwili wydawało mu się, że koło jeziora zaparkował wielki pikap chevy, z którego wyszli jego ojciec i młodszy brat Chase. Wołali, żeby się podniósł i wskoczył do wozu. Kusili, że wybierają się do miasta na naleśniki, namawiali go, żeby pojechał z nimi. Court im odpowiadał. Wraz z ruchem zeszywniałych strun głosowych wizje się rozmyły, zostawiając go tam, gdzie leżał od czternastu godzin.

Cholera.

Chciał umrzeć. Z niepokojem myślał o wschodzie palącego słońca.

Nagle w jasnym świetle księżycy nad jego głową pojawił się helikopter, który po chwili wylądował nieopodal. Ze śmigłowca wyskoczył Maurice, jego główny szkoleniowiec z CIA i wieloletni mentor.

– No, ruchy, Profanatorze! Ruszaj dupę z legowiska! – krzyknął weteran wojny w Wietnamie, używając kryptonimu Courta.

Grey Man nie odpowiedział, tylko pokręcił głową. Był zbyt zmęczony.

– Charlie ma gdzieś, że jesteś zmęczony!

– Ale psze pana, ja naprawdę nie mogę – odpowiedział głośno Court. – Naprawdę.

Kiedy wydał z siebie odgłos, nocna mara zniknęła. Znow był sam. Słaby, obolały.

Umierający.

* * *

A jednak nie umarł tej nocy. Dożył poranka. Najgorsze były trzy godziny światła dziennego poprzedzające burzę. Modlił się o deszcz. Kiedy w końcu nadszedł, ochłodził go i ugasił pragnienie. Niestety, rozrzedził też błoto, w którym leżał Court, i zmienił je w pogłębiającą się kałużę. Kilka razy czuł, że jego ciało się porusza i unosi się w wodzie. Bał się, że kałuża połączy się z jeziorkiem. Z przerażeniem myślał o tym, że utonie w tej mętnej wodzie.

Na szczęście w końcu deszcz ukołysał go do snu.

Obudził go świergot ptaków. Usłyszał też jakieś głosy. Wiedział, że jeszcze jest dzień. Deszcz ustał, zrobiło się parno. Ponownie miał wrażenie, że słyszy rozmowę ludzi, ale uznał to za omamy. Nie czuł ani radości, ani strachu. Był na granicy życia i śmierci.

Głosy na początku ciche stopniowo przybierały na sile, ktoś się zbliżał. Dotarło do niego, że tym razem to nie był sen czy iluzja. Zaniepokoił się, nie miał przy sobie broni. Nie żeby to cokolwiek zmieniło – i tak był za słaby, żeby odbezpieczyć pistolet czy pociągnąć za spust, nie mówiąc już o zidentyfikowaniu zagrożenia i wymierzeniu do celu.

Głosy otoczyły go ze wszystkich stron. Laotańczycy go znaleźli. Pomyślał z determinacją, że mogą go schwytać, a najlepiej by było, gdyby go zastrzelili. To

lepsze niż jazda ciężarówką po wertepach z powrotem do celi, w której przeżyje co najwyżej kilka godzin.

„Mam to w dupie”, zaklął bezgłośnie.

Postanowił jednak podjąć z nimi walkę.

Kiedy klęknięto przy nim dwóch mężczyzn, próbował jednego z nich uderzyć, ale był zbyt słaby – jego dłoń tylko zadrzała, po czym opadła.

Dołączyli do nich kolejni. Court poczuł, że podnoszą go z ziemi. Krzyczał – najpierw na znak niezgody, a następnie z bólu, kiedy jego lewą rękę ktoś pociągnął za mocno. Miał wrażenie, że zacierają w stronę drogi. Słyszał brzęk broni objijającej się o metalowe elementy pasków. W pewnej chwili niosący go się przewrócili, po czym nastąpiła wymiana wzajemnych oskarżeń. Urywany, niezrozumiały język brzmiał mu w uszach jak ułtucia szczypczyków do lodu. Podnieśli go i poszli dalej. Słyszał plaskanie butów w błocie.

W końcu wyszli na drogę i skierowali się do czarnej furgonetki. Jego głowa podskakiwała z każdym krokiem maszerujących. Otworzyli drzwi z tyłu pojazdu. Court zauważył, że mieli na sobie jakieś mundury, byli uzbrojeni w kałasznikowy i długolufowe SKS-y, podobnie jak tutejsze gliny i strażnicy w więzieniu.

Położyli go w ciemnej części furgonetki i zatrzasnęli drzwi. Pojazd podskoczył i ruszył, odbijając się od żwiru na utwardzonej drodze. Court próbował podnieść głowę, ale się poddał i leżał bezwładnie. Po pewnym czasie zorientował się, że żaden z żołnierzy z nim tu nie wszedł.

Był sam.

Czy na pewno? Ktoś wskoczył do tyłu z fotela obok kierowcy. Mięśnie szyi Courta osłabły, głowa stuknęła o twardą podłogę vana.

Ktoś dotknął jego czoła, sprawdzając temperaturę.

– Mam złą wiadomość, Sally. Nigdzie nie mogłem znaleźć root beera. Za to kupiłem ci beerlao. Tutejsze piwko. Może być?

Court się uśmiechnął, ale nawet to sprawiało mu ból. Jego spalona słońcem twarz piekła, jednak powoli całe ciało zaczęła ogarniać uśmierzająca ból fala ulgi. Przyływ nowej energii pozwolił mu odwrócić się w stronę Eddiego. Oczy wypełniły się łzami. Próbował z tym walczyć.

– A przynajmniej zimne? – odparł słabym i ochryplym głosem.

Eddie pokręcił głową. Patrzył na niego spokojnie. Kiedy mówił, usta rozciągnęły się w charakterystycznym, szerokim uśmiechu.

– Obawiam się, *amigo*, że gorące jak świeże siki jaka. Wybacz.

– A ci żołnierze? Tajowie?

– Nie, nie wydostałem się z kraju. Nie mogłeś czekać, aż przeprawię się przez Mekong i znajdę kogoś, kto po ciebie wróci, więc podreptałem do Wientianu. Upomniałem się o zaległą przysługę u zaprzyjaźnionych partyzantów. Nie są aż tak zarabiści, za jakich się mają, ale stwierdziłem, że podnieść poturbowanego faceta z błota i wrzucić go na tył vana potrafią.

Court wyciągnął ku niemu rękę. Gamble chwycił ją i potrząsnął.

– Dzięki, że po mnie wróciłeś.

Gamble wyszczerzył się i wyciągnął z przedniego siedzenia okazały plecak. Otworzył go, po czym zaczął wyjmować z niego worki płynów, strzykawki i leki.

– Jak zaczniesz ryczeć, to poskarżę się twoim kumplom z sam wiesz skąd. Nie dadzą ci o tym zapomnieć – mruknął, przygotowując kroplówkę. – Czas wracać do domu, *amigo*.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

O jedenastej Court stał w powolnie poruszającej się kolejce do okienka biletowego na Central Camionere de Puerto Vallarta, głównym dworcu autobusowym. Przed nim leżała zielona płócienna torba. Co minutę czy dwie kopał ją, gdy robił krok do przodu.

Obudził się wcześniej, zdjął i złożył pościel, po czym bezszelestnie zszedł na dół, przeszedł ponad wciąż śpiącymi na podłodze biesiadnikami i wyszedł kuchennym wyjściem. Złapał pierwszy poranny autobus z San Blas. Przez trzy godziny jazdy patrzył przez okno na Pacyfik. Myślał o Eddiem. O jego rodzinie. O jego siostrze. Próbował się skupić na czymś innym, ale było to trudne. Przebudziły się długo uśpione w nim emocje. Tęsknota. Samotność. Pożądanie.

To oznaczało, że czas się ulotnić.

Opracował więc plan. Postanowił kupić bilet do Guadalajary. Tam spędzi dobę lub dwie i pojedzie do stolicy kraju. Stamtąd przedostanie się do Tampico. W planowanym tempie dotarcie na drugi koniec kraju powinno mu zająć tydzień.

Na dworcu było tłoczno, w końcu jednak kolejka przyśpieszyła. Przed nim stały już tylko cztery osoby. Na ekranie za sprzedawcą zobaczył to, co nagrywała kamera bezpieczeństwa skierowana na wejście. Ten widok sprawił, że Court się wyprostował i wprowadził w stan gotowości.

Kątem oka dostrzegł, że do hali dworca zamaszystym, wojskowym krokiem wszedł Chuck Cullen. Kapitan wypatrywał kogoś w tłumie. Court nie miał wątpliwości, że właśnie jego. Instynktownie się odwrócił. Wiedział, że może wtopić się w tłum i stać niewidzialnym tak, że mężczyzna go nie znajdzie. Jednak jego uwagę zwrócił szybki krok i napięty wyraz twarzy. Coś jest nie w porządku. Wyszedł z cienia, zarzucił torbę na plecy, opuścił kolejkę i zbliżył się do swojego rodaka w zatłoczonej hali.

– Co jest? – zapytał niepewnie.

Cullen nie był w stanie ukryć zaskoczenia. Właśnie jakimś cudem zmaterializował się przed nim człowiek, którego bezskutecznie wypatrywał. Otrząsnął się jednak i powiedział:

– Dzwoniła Elena. Podobno się nie pożegnałeś.

Court wzruszył ramionami.

– No to przekaz jej pożegnanie.

Cullen przez chwilę przypatrywał się mu. Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. W końcu odchrząknął.

– Młody człowieku... Nie wiem, kim właściwie jesteś, ale coś mi się wydaje, że możesz mi się okazać wielce przydatny. W dodatku naprawdę wierzę, że obchodzi cię los rodziny Eddiego – oznajmił.

Court przechylił ze zdziwieniem głowę, po czym nią pokiwał.

– Oczywiście – odparł powoli.

Kapitan uśmiechnął się kwaśno i ciągnął:

– Elena i większość rodziny udają się dziś na protest w centrum.

Court nie był zaskoczony.

– Tak mówiła wczoraj.

– No właśnie. Ja mieszkam w centrum. Dziś rano obudził mnie jeżdżący po okolicy samochód z systemem nagłaśniającym. Wzywali wszystkich, żeby zebrali się na placu, aby oprotować opłacanych przez rząd zabójców. W radiu od rana też o tym bębnią. Lokalne stacje są krytyczne wobec próby zamachu ze strony *Policía Federal*, nawołują do wyjścia na ulicę i narobienia hałasu. Chodzi oczywiście o zwolenników de la Rochy i jego Czarnych Garniturów. Władze spodziewają się tysięcy ludzi na ulicach, planują blokady. To brzmi... podejrzanie. Wolę być na miejscu na wypadek, gdyby jednak coś miało się wydarzyć. Chciałbym, żebyś poszedł ze mną, bo mam już swoje lata.

– Naprawdę myślisz, że mogą być jakieś zamieszki?

– Raczej nic zorganizowanego na większą skalę. Prawda jest jednak taka, że DLR ma zdecydowanie więcej fanów w Puerto Vallarcie niż Eddie Gamboa. W zależności od wielkości tłumu, nastawienia glin kierujących ruchem, tego, jak poplecnikom de la Rochy uda się nakręcić publikę, oraz tego, ilu pijaczków

i innego elementu postanowi dotoczyć się na ten protest... Myślę, że to może szybko się wymknąć spod kontroli.

Court nie wahał się długo. Podniósł z ziemi zielony tobołek i klepnął kapitana po plecach.

– Masz rację, Chuck. Chodźmy!

* * *

Jechali na południe czerwonym dwudrzwiowym crossfoxem Cullena. Ruch był duży, ale siedemdziesięciodwuletni Amerykanin z wprawą przebijał się przez korki. Court stwierdził, że on tak dobrze nie potrafiłby manewrować na tych drogach.

W samochodzie Cullen przybliżył sytuację.

– Jest poniedziałek, więc na domiar wszystkiego do portu przybije wielki wycieczkowiec. Na Malecón, deptak wzdłuż plaży, wylegną tysiące turystów. Do tego trzeba doliczyć miejscowych przyjeżdżających do pracy. Nawet bez uczestników protestu byłoby tłoczno. Na szczęście znam miejsce na wschód od placu, gdzie uda mi się zaparkować. Na wzgórzu, powyżej miejsca imprezy.

– No właśnie. Co to za miejsce?

– Parque Hidalgo. To kiedyś rzeczywiście był park, ale władze miasta usunęły trawę, drzewa i rynek i teraz jest to rozległy betonowy plac na dachu podziemnego parkingu. Mniej więcej pół hektara powierzchni, jakieś trzy przecznice od plaży. Na lewo od placu zbudowano olbrzymie schody prowadzące na wzgórze nad nimi. Na nim stoi kościół Rosario del Talpa.

– Czy z kościoła można obserwować okolicę?

– Pewnie tak, choć nie dam sobie ręki uciąć.

– A co jest przed placem?

– Tylko dość ruchliwa droga. Trzy pasy, jednokierunkowa, o tej porze zawsze zakorkowana. Po drugiej stronie budynki, głównie lokale usługowe, choćby mój dentysta. O ile pamiętam, to jeszcze jakiś plac budowy. Wszystko ma ze cztery kondygnacje.

– Potrzebuję komórki – powiedział Court. W jego głowie już kiełkował plan.

– Weź moją. – Cullen sięgnął po przypięte do paska blackberry.

– Nie, potrzebuję własnej. Żebyśmy nie stracili kontaktu, gdy się rozdzielimy.

– Dlaczego mielibyśmy się rozdzielać? Powinniśmy trzymać się blisko Eleny i reszty rodziny. Jest w siódmym miesiącu ciąży. Gdyby ktoś rzucił butelką, może nie udać się jej odskoczyć. Ernesto i Luz są ode mnie ciut młodszy, ale w gorszej formie. Laura sobie poradzi, natomiast bracia Eddiego są do niczego. Ci wszyscy wujkowie i ciotki to górale, którzy pewnie nigdy wcześniej nie widzieli tylu ludzi naraz. Trzeba chronić rodzinę.

– I ochronimy. Zaufaj mi, wiem, co robię. Zrobimy to po mojemu.

Przedzierając się przez gęstniejący korek, Cullen spojrział na pasażera.

– A mógłbyś mi przybliżyć, jakie to umiejętności wnosisz w całe przedsięwzięcie?

Twarz Courta spoważniała.

– Gdybym był uzbrojony, wniósłbym więcej umiejętności.

Kapitan westchnął.

– Nie chcemy pogarszać i tak kiepskiej sytuacji. Wystrzał w blasku chwały nic nie...

– Nie chodzi mi o żadną chwałę. Jeśli nic się nie wydarzy, to nawet mnie tam nie zauważysz.

– Dobrze.

– A co do samego protestu... Myślisz, że będzie tam prasa?

– Z pewnością.

Słyszając to, Court zdjął czapkę z logo US Navy z głowy Cullena, włożył ją na swoją i nasunął na oczy.

Cullen zerknął na niego zza kierownicy.

– Nie lubię kamer i obiektywów – wyjaśnił Court.

– Czy chcę się dowiedzieć dlaczego?

Court pokręcił przecząco głową, spojrział na drogę i odparł:

– Uwierz mi, nie chcesz.

Cullen spojrział przed siebie. Bruzdy na jego twarzy się pogłębiły.

– Coś ty zrobił, synu?

– Jestem jak inni dobrzy ludzie tutaj wśród wielu złych ludzi. Wolę, żeby nie rozpoznali mojej twarzy.

Cullen pokiwał głową, ale to wyjaśnienie go nie uspokoiło. Sięgnął na tylne siedzenie, wymacał identyczną czapkę i włożył ją na swoją srebrzystą czuprynę.

Zaparkowali pod supermarketem. Cullen wszedł do środka. Po kilku minutach wrócił z komórką i czarnym plastikowym zestawem głośnomówiącym. Court zdążył rozpakować urządzenie, zanim Cullen wyjechał z powrotem na drogę.

* * *

Kiedy zatrzymali się kilka przecznic za bazyliką wznoszącą się na stromym wzgórzu za placem, spotkanie już trwało. Kierowali się w stronę zgromadzenia. Słyszeli patriotyczne pieśni płynące z niewielkich głośników. Gdy ucichły, głos zabrała jakaś kobieta. To nie była Elena, ale Court uznał, że to może być jedna z wdów po policjancie, które poznał poprzedniego wieczoru. Mówczyni potępiała dilerów narkotykowych i szerzącą się korupcję wśród lokalnych stróżów prawa. Wskazywała na brak perspektyw dla meksykańskiej młodzieży.

Gentry rozumiał mniej niż połowę wystąpienia, ale i tak wydawało mu się dość chaotyczne, mimo że było przekazywane z wielkim zaangażowaniem.

Minęli z Cullenem kilku policjantów z Puerto Vallarty stojących przy drewnianej barykadzie akurat w chwili, gdy przemawiająca zarzucała całemu wydziałowi policji metropolitalnej siedzenie w kieszeni terrorysty Daniela de la Rochy.

Gliniarze spoglądali złowrogo na protestujących, trzymając dłonie na kolbach pistoletów.

– Rzeczywiście może się zrobić paskudnie – stwierdził Court, gdy przeciskali się przez tłum ulicznych sprzedawców i kloszardów u szczytu schodów biegnących wzdłuż placu.

– Aha – przytaknął zdawkowo Cullen. Wyjrzał za balustradę w stronę podwyższenia, wypatrując rodziny Gamboa.

Zejsście po schodach wymagało zarówno zdolności dyplomatycznych, jak i determinacji. Court najpierw próbował dotykać ramion osób blokujących przejście i grzecznie prosić o usunięcie się z drogi, ale kolejnych delikwentów już przesuwiał, żeby utorować przejście sobie i kapitanowi. Plac rozciągający się po

jego lewej stronie był już równie zatłoczony, na stosunkowo niewielkiej powierzchni stało w ścisiku co najmniej dwa tysiące osób. Court bał się, że wśród zebranych może znaleźć się ktoś, kto przybył tu zrobić zamieszanie, podobnie chętna do włączenia się w przepychanki była banda awanturnicznych gapiów.

W końcu udało im się zejść.

– Zbliź się do rodziny – zwrócił się do kapitana Gray Man. – Przygotuj się, żeby w razie potrzeby wyprowadzić ich stąd.

– Jasne. A ty?

Court powoli obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, po czym spojrzął na Cullena.

– Ja zostanę na obrzeżach. Postaram się wybadać sytuację, poznać rozkład ulic. Wyczuć atmosferę.

– W jakim celu?

– Wzięłeś mnie na tę akcję, bo uznałeś, że będę w stanie pomóc. Więc pozwól mi działać.

Cullen pokiwał głową.

– Daj znać, jak coś zobaczysz.

– Nawiążmy łączność. Bądźmy cały czas w kontakcie.

Cullen zadzwonił do Gentry'ego i włożył słuchawkę w ucho. Court włączył zestaw głośnomówiący i odebrał.

– Powodzenia – mruknął do mikrofonu, po czym mężczyźni rozeszli się w przeciwne strony.

Court szedł przez tłum na zachód, oddalając się od sceny. Od razu zauważył potencjalnych awanturników. Gdziekolwiek stały grupki przeciwników protestu, usłyszał gniewne komentarze, kłótnie, nawet drobne przepychanki. Jakaś kobieta mruknęła, że *Policia Federal* nie powinna zajmować się wysadzaniem łódek w zatoce, na co inna krzyknęła, że DLR to skurwysyn i jedyne, co ją w całej sprawie wkurzyło, to to, że przeżył.

Minutę po rozstaniu z kapitanem Gentry wypatrzył kilku facetów, którzy zdecydowanie nie pasowali do zgromadzonych. Dobrze zbudowani, o kamiennych twarzach przyglądali się ludziom, zamiast skupić się na mówczyni.

Minął dwóch stojących kilka metrów od siebie. Poznał, że to tajniacy – pytanie tylko, czy pracowali dla policji, dla władz, czy dla któregoś z karteli.

Wybrzuszenia w okolicach paska dżinsów wskazywały, że mieli spluwy. Gliniarze ubrani w cywilne ciuchy podczas takich imprez to nic nadzwyczajnego w krajach Ameryki Łacińskiej. Court był tego świadkiem chociażby w Brazylii, Gwatemali czy Peru. Zdawał sobie sprawę, że ci funkcjonariusze nie zawsze byli tacy groźni, na jakich wyglądali, ale wiedział, że na podobnych lepiej uważać.

– Hej, Chuck, dotarłeś już do Eleny? – rzucił do mikrofonu.

– Prawie. Wejdę na podwyższenie. Po tej babeczce ma być jeszcze jeden mówca, a potem kolej na Elenę. Jak skończy, to zrobię, co w mojej mocy, żeby przyprowadzić wszystkich po schodach na wzgórze, z dala od zgromadzenia.

– Przyjąłem.

Kiedy Court dotarł do trójpasmówki na drugim końcu Parque Hidalgo, wzdłuż krawężnika parkowało kilka aut i ciężarówek, ale poza tym nie było ruchu. Od północy drogę przecinała blokada policji, a na środku jezdni i po obu stronach chodnika stało około dwustu osób. Oczy wszystkich były skierowane na scenę.

Gdy pierwsza z mówczyń skończyła, została nagrodzona aplauzem jednych i gniewnym gwizdaniem drugich. Gentry minął kolejnego twardego *hombre*, który ani nie klaskał, ani nie zwracał uwagi na przemówienie, tylko spojrział prosto w oczy brodatemu *gringo* idącemu na wschód, po czym skierował wzrok na zebranych.

Court popatrzył na gmach z widokiem na park znajdujący się za ulicą. Pierwsze dwie kondygnacje były już skończone. Znajdowały się tam przychodnia dentystyczna, biuro podróży, apteka i kilka biur. Prace nad budową dwóch kolejnych pięter trwały. Umieszczono tam metalowe słupy, pręty zbrojeniowe, pustaki, rozciągnięto kable, ustawiono chwiejne rusztowanie. Wielkie, ciemne okna wychodziły na tłum i scenę. Gentry uznał, że stanowią one idealne miejsce widokowe, z którego będzie mógł obserwować całą imprezę. Ruszył więc w stronę budynku.

Jako następny głos zabrał prokurator stanowy. Zapowiadając przemówienie wdowy po majorze Eduardzie Gamboa, przybliżył jego chwalebne dokonania.

Gentry w końcu wydostał się z gęstego tłumu i wszedł w uliczkę, która biegła na zachód, aż do plaży. Po lewej stronie ujrzał łuk, za którym rozciągał się korytarz

pod prawie skończonym budynkiem. Pod łukiem minął wejście do sklepu zoologicznego. Wzdłuż witryny wisiało kilkanaście klatek, więc musiał się schylić. Szedł powoli wąskim korytarzem i co chwila potykał się o drewniane klatki ze szczyglami, organkami i papużkami. Kiedy zbliżył się do lśniącego w oddali światła, o jego nogi otarły się gołębie. Na końcu ciemnego korytarza znajdowała się klatka schodowa. Nagle z lewej, mniej więcej dziewięć metrów przed nim mignął jakiś cień.

Court zamarł. W plamie światła dostrzegł mężczyznę, który przeszedł przez korytarz z pomieszczenia na lewo od klatki schodowej do lokalu na prawo. Był ubrany na czarno, twarz ukrył pod kominiarką.

To mógł być *federale* albo ktoś przebrany za niego. Jego strój i zachowanie nie wskazywały na policjanta, który miał strzec porządku.

Gentry stał nieruchomo. Próbował siłą woli sprawić, żeby nieznajomy nie zajrzał w głąb ciemnego korytarza, tylko udał się na schody.

Na szczęście mężczyzna się nie obejrzał, tylko poszedł prosto przed siebie. Zanim zniknął Courtowi z pola widzenia, Amerykanin dostrzegł, że nieznajomy trzyma w lewej ręce pistolet maszynowy.

Po chwili Gentry usłyszał, że w alejkę, z której przyszedł, wjechał jakiś pojazd. Odwrócił się i zobaczył czarny, uzbrojony wóz SWAT policji federalnej, który zaparkował pod łukiem, tuż przed sklepem zoologicznym, praktycznie tarasując mu drogę ucieczki, o ile nie uda mu się znaleźć innego wyjścia.

Court spędził na korytarzu prawie minutę, zastanawiając się, co robić. Przed nim gdzieś na schodach skradał się uzbrojony zakamuflowany mężczyzna mający wrogie zamiary. Za nim, przecnicę od zgromadzenia, zaparkował wóz wypełniony policjantami, co do których Court również miał zastrzeżenia.

– Ej, Cullen, Słyszysz mnie?

W korytarzu nie miał zasięgu. Słyszał w słuchawce tylko odbijające się echem przemówienie prokuratora, ale nie Chucka.

Cholera. Zaczął się skradać w stronę schodów.

Wejście na piętro było zamknięte. Court wątpił, żeby nieznajomy tam wszedł – usłyszałby przecież odgłos otwieranych drzwi. Znów szepnął do mikrofonu, usiłując się porozumieć z kapitanem, ale zasięg na klatce schodowej był jeszcze gorszy niż w korytarzu.

Zsunął ze stóp tenisówki, żeby jego kroki nie rozchodziły się echem po klatce, po czym boso zaczął się wspinać po betonowych schodach. Na drugim piętrze wyszedł z klatki schodowej na teren budowy, rozglądając się za samotnym *federale* z pistoletem maszynowym.

Okna niedokończonego piętra były otwarte na Parque Hidalgo i okoliczne ulice. Był pewny, że zastanie tu zamaskowanego policjanta, ale nikogo nie dostrzegł. Podeszedł do okna i spojrział w dół.

Rozciągający się poniżej plac był wypełniony ludźmi. Z tej wysokości lepiej widział gęstniejący tłum. Prokurator skończył właśnie przemówienie i przekazał mikrofon Elenie. Na jej widok rozległy się brawa i wiwaty, które zagłuszyły krzyki i przekleństwa. Na placu zebrały się dwie frakcje. Wśród tych, którzy przybyli uczcić pamięć poległych funkcjonariuszy, byli i tacy, którzy prowokowali przepychanki, wygrażali pięściami i pokazywali nieprzyzwoite gesty.

Nagle aplauz został zagłuszony donośnym odgłosem klaksonów dochodzącym z dołu, gdzieś po prawej stronie Courta. Tłum powoli zaczął się rozstępować przed wielkim, białym SUV-em, za którym jechały drugi, trzeci, czwarty i piąty.

Samochody sunęły pod prąd drogą jednokierunkową. Trąbiły, a kierowcy pojazdów wygrażali tłumowi. W końcu auta się zatrzymały i zaczęli z nich wysiadać jacyś ludzie. Ich wejście było tak efektowne, że nawet Elena Gamboa przerwała przemówienie i podniosła wzrok, aby sprawdzić, co się dzieje.

Court się zastanawiał, czy to planowana część programu, ale jedno spojrzenie na scenę rozwiało jego wątpliwości. Rodziny ofiar i inni prelegenci wyglądali na zdziwionych.

Policja miejska Puerto Vallarty wciąż tkwiła na obrzeżach tłumy. Funkcjonariusze nie podeszli do pojazdów czy pasażerów.

Elena Gamboa otrząsnęła się z zaskoczenia i kontynuowała przemowę. Podziękowała organizatorom za wysiłek włożony w przygotowanie spotkania, a potem zebranych za przybycie i uczczenie pamięci jej męża oraz jego zmarłych towarzyszy. Court jednak nie spuszczał wzroku z białych pojazdów. Z drugiego samochodu wysiadł mężczyzna z kocią bródką w czarnym garniturze i krawacie. Wziął megafon od faceta ubranego podobnie, po czym wspiął się na maskę SUV-a, którym przyjechał. Na ten widok, jeszcze zanim zaczął mówić, w tłumie rozległy się i wiwaty, i okrzyki przerażenia.

– *Damas y caballeros!* Panie i panowie! Słuchajcie, *por favor!* – powiedział przez megafon. Jego głos wydał się cichy w porównaniu z głosem Eleny.

Court szepnął do mikrofonu.

– Hej, Chuck... Słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie.

– Co to za dupek?

Nastąpiła chwila ciszy. Gentry wyrzął na drugą stronę placu. Na scenie wypatrzył Cullena. Stał z tyłu, wspinał się na palce, żeby lepiej przyjrzeć się białym samochodom i mężczyźnie na masce.

Nagle Amerykanin krzyknął:

– O kurczę! To on!

– Jaki on?

– Daniel de la Rocha!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

„Co za tupet”, pomyślał Court.

Celem spotkania było uczczenie pamięci policjantów, którzy zginęli, próbując go zabić, a on miał czelność się pojawić. Okazał brak szacunku dla poległych i ich rodzin.

– Co on tu robi?

– To, co zwykle. Widowisko.

Gentry był zdezorientowany i zaniepokojony. Pomyślał o tajniakach, których widział w tłumie. Czy to byli *sicarios*, czyli zabójcy należący do bandy de la Rochy? A może pracowali dla jego śmiertelnego wroga Constantina Madrigala? Czy dziś może się zdarzyć coś gorszego niż przepychanki pijaczków i potłuczenie kilku butelek po piwie?

– To mi się nie podoba – mruknął Gentry. – Czas ewakuować rodzinę. Teraz.

– Próbowałem. Elena powiedziała, że się nie ruszy, dopóki nie skończy przemowy.

– Cholera – rzucił Court, biegnąc w stronę schodów. Chciał sprawdzić, czy zamaskowany nieznajomy wciąż jest w budynku.

De la Rocha przemawiał przez megafon. Court słyszał każde jego słowo. Tego, czego nie rozumiał, łatwo domyślał się z kontekstu.

– Przybyłem tu dziś, aby pokazać ludziom i władzom, że się nie ukrywam. Nie mam żadnych tajemnic! Akcja na jachcie mająca pozbawić mnie życia się nie powiodła tylko dzięki ochronie mojej świętej obrończyni i opiekunki. Próba zamachu to sprawka rządowych *sicarios* wykonujących rozkazy el Vaquero, señora Constantina Madrigala Bustamante. To on jest *narcotrafficante*, prawdziwym zbrodniarzem, który zagraża bezpieczeństwu regionu i całego naszego narodu! Madrigal i opłacani przez niego policyjni gangsterzy życzą mi śmierci, gdyż jestem w posiadaniu dowodów na korupcję na najwyższych szczeblach władzy!

Mam listy nazwisk skorumpowanych urzędników pracujących dla Madrigala. – To mówiąc, de la Rocha odwrócił się od tłumu i skierował bezpośrednio do oniemiałej Eleny, która wciąż stała na scenie przy mikrofonie. – Proszę mi wybaczyć, *señora*, ale nazwisko pani męża także widnieje na tej liście!

– ¡*Mentiroso!* – krzyknęła przez mikrofon Elena.

De la Rocha nie zważał na jej słowa i ponownie zwrócił się do zgromadzonych.

– Przybyłem tu dziś, ryzykując życie, ponieważ według mnie to skandal, że zbierają się tłumy, aby popierać morderców, oprawców i nieuczciwych policjantów...

Reakcje tłumu na jego słowa zdawały się podzielone. Przyjazd Los Trajes Negros przestraszył jednych, dodał odwagi innym, a niektórych rozsierdził.

Court zignorował to, co się działo na placu. Wrócił na klatkę schodową. Podążał schodami na górę, wypatrując skradającego się *federale*. Dotarł na kolejne niedokończone piętro, wszedł w ciemny, brudny korytarz i ruszył w stronę okien z widokiem na park.

Wtedy go zobaczył. Przed nim, w cieniu, zamaskowany mężczyzna klęczał za ścianą z pustaków, z ukrycia patrząc na tłum. W rękach trzymał pistolet maszynowy.

Z głośników dobiegał teraz głos Eleny, która próbowała polemizować z DLR, co wywoływało głosy zarówno poparcia, jak i wrogości ze strony tłumu.

Mężczyzna zdjął z paska radio i zaczął coś szeptać do mikrofonu. Court jednak nie słyszał jego słów. Zdołał się do niego trochę zbliżyć, trzymając się blisko ściany. Wszedł właśnie do pomieszczenia, w którym stał zamaskowany osobnik. Skradał się na lewo, w stronę rogu i położył się na brzuchu za stertą desek na brudnym betonie.

Mężczyzna znów coś powiedział do krótkofalówki. Gentry wciąż nie słyszał jego słów, ale mu nie ufał. Dlaczego miałby się tu ukrywać i konspiracyjnie szeptać do kogoś przez radio? Nie wyglądał jak policjant na służbie.

W końcu nieznajomy powoli podniósł broń. Gentry rozpoznał kolta 635, czule zwanego „Shorty”, czyli „kurdupel”, pistolet maszynowy kaliber dziewięć milimetrów. *Federale* podniósł broń nad pustakami i skierował ją w dół, w stronę tłumu.

Gentry wciąż się nie ruszał. Nie miał pojęcia, czego jest świadkiem. Czy funkcjonariusz był tu w celu ochrony osób zebranych na scenie i właśnie zobaczył grożące im niebezpieczeństwo? A może planował zabić Elenę? Jego kolt to nie była broń snajperska, ale długa seria z pistoletu maszynowego mogła posłać trzydzieści dziewięćmilimetrowych naboju na czterdzieści pięć metrów, byłby więc w stanie dosięgnąć podium i zabić wszystkich stojących tam ludzi.

„Cholera”, pomyślał Court. Nie wiedział, co robić. Nie chciał wyeliminować funkcjonariusza, bo mógł to być jeden z dobrych. Ale mógł też być zły, a Court nie chciał beczynie patrzeć, jak morduje niewinnych ludzi.

Nie miał pojęcia, jaka jest prawda, ale instynktownie czuł, że coś tu śmierdzi. Lata w ciągłym niebezpieczeństwie wykształciły w nim trafną ocenę sytuacji. Podjął decyzję, wstał i przeszedł na palcach przez ciemne pomieszczenie w stronę mężczyzny. Dzielilo ich cztery i pół metra, potem trzy, wreszcie półtora. Poruszał się bezszelestnie – zresztą ciche odgłosy stąpania zagłuszał gwar dochodzący z zewnątrz.

Court ukląkł tak, że nikt nie mógł go dostrzec przez okno tuż za przyczajonym gliniarzem.

– Cześć.

Meksykański policjant federalny obrócił się na pięcie, nadziewając się na bolesny lewy sierpowy Gray Mana. Pod wpływem uderzenia spadły ciemne okulary. Jego rozszerzone z zaskoczenia oczy zamrugały, po czym mężczyzna zwiotczał i upadł na beton. Court położył nieprzytomnego na plecach i zabrał mu broń.

Spojrzał przez okno na przypominającą ugotowane spaghetti plątaninę kabli ciągnącą się aż do słupów na poziomie ulicy. Poniżej, tuż pod budynkiem, w którym się znajdował, dostrzegł kolejną grupę odzianych na czarno postaci przepychających się przez tłum. To też byli funkcjonariusze *Policía Federal*. Wyszli z uliczki, na której stał wóz SWAT. Byli ubrani tak jak mężczyzna leżący u jego stóp.

Na prawo de la Rocha wciąż przemawiał przez megafon. Elena dwukrotnie próbowała dokończyć swoją mowę, ale za każdym razem stojący na masce mężczyzna jej przerywał, zmuszając do poddania się i przysłuchiwania się mu. A on podkreślał, że nikt nie postawił mu zarzutów, napomknął o korupcji wśród

funkcjonariuszy służb specjalnych policji federalnej, dodał, że piosenki i filmy akcji to tylko forma rozrywki i że nie powinno się na ich podstawie decydować o czyjejs winie. Cały czas machał nad głową jakimis kartkami, rzekomo listą „wrogich mu spiskowców”, po czym piętnował podłość i okrucieństwo Constantina Madrigala i Los Vaqueros, jego „kowbojów”.

Court spojrzal w dól. Policjanci w kominiarkach szli przez tłum, a zgromadzeni próbowali się przed nimi cofać.

Było ich co najmniej pięciu.

– *Señor!* – Elena zawołała w stronę de la Rochy. – Przemawiam w imieniu mojego zmarłego męża. Pozwoli mi pan dokończyć?!

Court szepnął do mikrofonu:

– Co najmniej pięciu facetów przedziera się przez tłum w stronę sceny. To *federales*.

– Kurwa – zaklął Cullen. Court usłyszał, jak kapitan przekazuje informację Laurze. Zobaczył, że ta podchodzi do bratowej. Elena delikatnie odepchnęła szwagierkę i wciąż mówiła do de la Rochy.

Court spojrzal na *federales*. Teraz ludzie bez słowa ustępowali im drogi. Zamaskowani brutalnie rozpychali cywilów, a w końcu wyciągnęli spluwy! Gentry ujrzał w ich rękach kawałki błyszczącego, czarnego metalu. Sięgnęli po broń. Niektórzy mieli pistolety maszynowe Colt, inni czarne pistolety samopowtarzalne.

W jednej chwili wszystko, co zobaczył, wyczuł, zasłyszał czy wykrył od przybycia na plac, zaczęło układać się w całość. Miał już pewność.

Teraz rozumiał.

Nie będzie żadnych przepychanek.

To będzie masakra, a on ma na nią najlepszy widok.

– Spierdalaj z Eleną ze sceny, Chuck! Zaraz zrobi się gorąco!

– Dobra! – rzucił mężczyzna.

Court usłyszał w słuchawce, : „*Vamos! Idziemy!*”, i zobaczył, jak Amerykanin w granatowej czapce prowadzi kobietę pod ramię.

W tym momencie rozległ się strzał.

Court spojrział na grupę *federales*, ale po chwili zlokalizował źródło wystrzału. Poniżej, po jego prawej. Aż otworzył usta ze zdziwienia. Daniel de la Rocha upuścił megafon i rozłożył szeroko ręce. Rozległ się kolejny strzał, po którym gangster poleciał do tyłu i spadł z potężnego chevroleta suburban prosto w ramiona ochroniarzy w czarnych garniturach.

Z tłumu w pobliżu SUV-a uniosła się smuzka dymu z pistoletu.

– A niech mnie... – mruknął Gentry.

Tego się nie spodziewał.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Ktoś właśnie sprzątnął de la Rochę – rzucił Court do mikrofonu. Salwa z broni palnej sprawiła, że obrócił głowę w lewo. Ubrani na czarno *federales* przyśpieszyli w stronę sceny i zaczęli strzelać do cywilów blokujących im drogę.

Białe chevrolety trąbiły i z piskiem opon usiłowały wycofać się z tłumu.

Court musiał coś zrobić. Nie mógł beczynnie patrzeć na tę masakrę.

Stanął w otwartym oknie trzeciego piętra. Podniósł zakrzywiony, ponadpółmetrowy pręt zbrojeniowy ze sterty żelastwa i chwycił go prawą ręką. Lewą przewiesił kolt przez szyję, po czym bezszelestnie wdrapał się na parapet.

Rzucił tylko jedno pośpieszne spojrzenie na tłum, po czym skoczył z trzeciego piętra i poleciał w stronę ulicy ponad krzykami, klaksonami i odgłosem strzałów.

Po lewej słyszał serię z pistoletów maszynowych wypluwających kolejne pociski. Zahaczył zakrzywiony pręt o zwój kabli telefonicznych wijących się zaledwie metr poniżej okna. Poczul przejmujący ból w plecach, ale kable go utrzymały. Ręce i tors przemieściły się na prawo, aż prawie zrobił fikołka w powietrzu, w końcu jednak grawitacja zadziałała i Court zaczął zjeżdżać w stronę Parque Hidalgo. Metalowy hak zdzierał gumową izolację z kabli telefonicznych.

Mknął nad ulicą, chaosem i szaleństwem zebranych, gorączkowo usiłujących przebić się przez zwarty tłum i uciec od facetów ze spluwami.

Pędził dziesięć metrów nad ziemią, trzymając kurczowo pręt. Komórka i zestaw słuchawkowy spadły na jezdnię. Poniżej ludzie stojący u stóp betonowych schodów między chodnikiem a parkiem rozpięchli się przed docierającymi od północy i południa pociskami. W pobliżu schodów prowadzących do kościoła rozległy się kolejne strzały, więc część zgromadzonych zaczęła biec w przeciwnym kierunku niż pozostali, co wywołało chaos akurat pod metalowym słupem, do którego prowadził kabel ze zjeżdżającym na nim Courtem.

Właśnie tu postanowił wylądować. Puścił pręt, gdy znajdował się jakieś dwa metry nad ziemią, gdzieś w połowie trójpasmówki. Tuż pod nim stał dobrze

zbudowany mężczyzna ubrany po cywilnemu, który w jednej ręce trzymał radio, a w drugiej srebrny rewolwer.

Court ześliznął się prosto na jego plecy. Obaj upadli na ziemię i potoczyli się między uciekających.

Court podniósł się z trudem, ale i tak szybciej niż pozostali. Przebiegł po plecach jakiegoś chłopaka leżącego na betonie, po czym wskoczył na murek ciągnący się wzdłuż chodnika i ruszył w stronę schodów, którymi Cullen miał przeprowadzić rodzinę Gamboa.

Przed nim rozległy się kolejne strzały i krzyki. Mężczyźni, kobiety i dzieci uciekali w popłochu z miejsca rzezi. Court w biegu starał się wypatrzeć źródło strzałów i odpychając ręką skołowanych ludzi, zbliżał się do celu. Dobiegł w końcu do pierwszych ofiar – martwe, podziurawione pociskami ciała pośród wijących się rannych, o których potykali się usiłujący stąd zbiec. Court kierował się w stronę wielkich schodów prowadzących do drogi i kościoła wznoszącego się nad placem.

* * *

Chuck Cullen zdążył zepchnąć Elenę ze sceny i pośpiesznie skierował ją oraz Laure, Ernesta i Luz w stronę schodów wiodących na wzgórze nad Parque Hidalgo. Wraz z nimi – za, obok lub przed, w zależności od chaotycznego ułożenia tłumu – poruszała się pozostała ósemka: dwóch stryjów Eddiego, dwie ciotki, dwóch starszych braci, szwagierka i szesnastoletni bratanek. W tę stronę biegli też członkowie rodzin funkcjonariuszy, którzy zginęli na jachcie „La Sirena”. Jednak tłum był tak zwarty, że dojście do muru ciągnącego się wzdłuż schodów zajęło im dobrą chwilę.

W końcu dotarli do stopni i udało im się ruszyć do góry. Kapitan szedł pierwszy, trzymając Elenę za rękę. Co chwila spoglądał do tyłu, aby się upewnić, że nikogo nie brakuje, albo patrzył naprzód na kłębiący się tłum, i wypatrywał zagrożenia lub dodatkowych dróg ucieczki.

Za ich plecami z różnych miejsc na placu i ulicy rozległy się kolejne strzały. Laura szła za rodzicami, popychając ojca, który próbował złapać dech.

Tuż nad nimi słyhać było nawoływania Cullena: „Szybko, szybko, ruchy, ruchy!”. Choć doskonale mówił po hiszpańsku, tym razem wołał po angielsku pewny, że i tak zostanie zrozumiany.

* * *

Court parł naprzód, ale żeby przedostać się dalej, musiał walczyć z tłumem blokującym mu drogę – rozpychać się, drapać i kopać stojących mu na drodze, krzycząc: ¡Muevate! ¡Muevate! ¡Muevate! Ruchy! Ruchy! Ruchy!

Zbliżywszy się do schodów, przeskakując i depcząc martwe i poranione ciała, dogonił trzech *sicarios federales* zwróconych do niego plecami. Funkcjonariusze podążali przed siebie, w biegu przeładowując dymiące pistolety maszynowe, nieświadomi, że tuż za nimi czai się uzbrojony wróg.

Ponieważ mieli kamizelki kuloodporne, Court ukląkł na rozgrzanym chodniku, tworząc dla swoich kul ścieżkę lotu w taki sposób, aby przeszły przez cel, ale nie raniły przypadkowych ludzi. Wystrzelił krótką serię w tył głowy każdego z funkcjonariuszy, mierząc w miejsce tuż pod hełmem. Trafieni zachwiali się i padli w grupę cywilów. Kolty i beretty wyslizgnęły im się z rąk. Court strzelił do leżących na ziemi policjantów – po dwie kulki w czoło.

Podszedł do cywilów, którzy zamarli z przerażenia. Wyglądali jak rodzina: mężczyzna próbował osłonić kobietę i troje dzieci przed pociskami i wydostać wszystkich z placu. W chwili, kiedy wzrok Courta spotkał jego przestraszone spojrzenie, głowa Meksykanina odskoczyła na bok, a z jego zuchwy trysnęła krew. Gentry odwrócił się i zauważył jednego z agentów w cywilu. Pierwszym strzałem nie udało mu się trafić Courta, więc znów mierzył srebrnym rewolwerem w tłum. Court padł na ziemię i przetoczył się na bok. Przewrócił kilka osób niczym kula strącająca kręgle, ale uniknął pocisku, który niewątpliwie musiał trafić inną, niewinną ofiarę.

Gray Man opróżnił magazynek kolta. Z odległości ponad trzech i pół metra trafił w brzuch faceta, który w drgawkach padł na ziemię. Court porzucił pistolet maszynowy, po czym przeczołgał się po dymiący rewolwer zabitego. Następnie wstał i pobiegł w stronę schodów. Z broni kapłała krew, a on przepychał się przez tłum. Czasem nawet groził rewolwerem, torując sobie drogę, żeby jak najszybciej wydostać się z placu. Musiał dogonić Cullena i rodzinę Eddiego.

W pewnym momencie wspiał się na ławkę i wskoczył na barki i głowy przerażonych cywilów, którzy bali się poruszyć.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Chuck Cullen był jakieś dwadzieścia pięć metrów nad Courtem, mniej więcej w połowie schodów, wraz z rodziną Gamboa i krewnymi innych poległych agentów GOPES-u. Po prawej tłum się przerzedził, więc emerytowany kapitan postanowił tamtędy poprowadzić swoich towarzyszy. Pozwolił, żeby Elena go wyprzedziła, a sam podał rękę Luz, aby pomóc jej wejść ponad wijący się wokół tłum.

U szczytu schodów, mniej więcej dziesięć metrów nad nimi, trzech policjantów federalnych wjechało w tłum motocyklami suzuki. Wyciągnęli pistolety z kabur, po czym spojrzeli w dół. Następnie zamachali na uciekających, zachęcając ich, żeby się pośpieszyli. Wyglądało, jakby chcieli chronić zgromadzonych.

Kolejne wystrzały. Kolejne klaksony. Krzyki przerażonych ludzi.

I jęki cierpienia.

Teraz to Elena prowadziła rodzinę po schodach. Kiedy zauważyła *federales*, zwolniła. Dostrzegła, że mieli takie same motocykle jak Eduardo. Ich mundury, kominiarki i okulary też były takie jak jej zmarłego męża. Ruszyła więc w górę po zatłoczonych schodach.

Stojący nad nią policjant pomachał do niej, zachęcając, żeby podeszła. Jednocześnie gorączkowo wypatrywał w tłumie zagrożenia.

Za Eleną rozległo się więcej wystrzałów, a ona pobiegła, aby oddać się pod opiekę jednego z kolegów Eduarda.

* * *

Chuck Cullen pomógł Luz. Laura trzymała ojca w pasie i holowała go za mamą. Ciotki, wujkowie, bracia i bratanek Eduarda minęli Cullena po lewej. Emerytowany kapitan odwrócił się i zobaczył, że po prawej Elena przyspieszyła kroku. Zdażyła go wyprzedzić, kiedy pomagał jej teściowej. Ruszył więc biegiem,

żeby dotrzeć na szczyt schodów w tej samej chwili co ona na wypadek, gdyby trzeba ją było osłaniać i poprowadzić na kościelny parking, gdzie stał jego samochód.

Kiedy znajdował się kilka kroków za nią po lewej, dostrzegł policjanta na szczycie schodów, siedem stopni nad Eleną.

Po jego lewej stało dwóch *federales*. Każdy trzymał pistolet automatyczny. Nagle przestali mierzyć w dół schodów i wycelowali w podążające w ich kierunku rodziny poległych agentów GOPES-u.

Nie przyjechali tu, by zapewnić ochronę. To byli zabójcy.

Chuck widział jedną z luf wycelowaną w ciężarną Elenę.

Kapitan Cullen poruszał się szybciej niż kiedykolwiek od czterdziestu lat, pędził do góry, przeskakując po cztery stopnie, w końcu rzucił się między broń a kobietę.

Pistolet wystrzelił. Kapitan poczuł ból w podbrzuszu, ale i tak naparł na policjanta, zamykając go w uścisku.

Kolejni zamaskowani mundurowi zaczęli strzelać, spuszczając deszcz ołowianych kul na zbliżającą się do szczytu schodów rodzinę.

Kapitan Cullen został raz jeszcze postrzelony, tym razem w żebra, przez mężczyznę, którego usiłował powstrzymać. Poluzował uścisk i powoli opadł na kolana, a potem na klatkę piersiową. Elena krzyczała.

* * *

Aby ominąć tłum na schodach, Gentry wskoczył na stojący wzdłuż nich po prawej stronie długi, stromy kamienny murek. Biegł z rękami szeroko rozłożonymi dla równowagi. W prawej dłoni trzymał rewolwer zabrany otyłemu strzelcowi w cywilu. Spojrzał w stronę zamieszania u szczytu schodów. Zanim zdołał skupić wzrok, rozległy się strzały, a on dojrzał Elenę. Między nią a ubranym na czarno *federale* stał kapitan.

W jednej chwili Court wszystko zrozumiał. Gliniarz celował w żonę Eddiego i ich nienarodzone dziecko, a Cullen rzucił się, aby ją osłonić własnym ciałem.

Rozległy się kolejne strzały. Court zobaczył, jak dwóch funkcjonariuszy celuje w idące w ich kierunku rodziny zmarłych agentów. Popędził po kamiennym

murku. Podniósł srebrny rewolwer Smith & Wesson i wycelował w tył głowy Eleny, odsunął muszkę o ułamek stopnia na prawo, po czym wystrzelił nabój magnum kaliber .357.

Nabój opuścił lufę, przeleciał nad głowami kłębiącego się na schodach tłumu, minął zaledwie o pięć centymetrów ucho Eleny, po czym trafił zabójcę Chucka Cullena w prawy obojczyk, tuż nad brzegiem kamizelki kuloodpornej. Trysnęła krew z kawałkami kości i mięśni, mężczyzna potoczył się na dół. Pistolet wypadł mu z ręki i kręcił się w powietrzu niczym wiatraczek.

Court wciąż znajdował się dziesięć metrów poniżej szczytu schodów. Strzelanina nie ustawała, a tłum za rodziną Eddiego zawrócił. Wszyscy rzucili się na dół, uciekając od czyhającego na górze niebezpieczeństwa. Młodszy i sprawniejsi przeskakiwali przez murek i lądowali cztery, pięć metrów niżej na wybetonowanym placu, aby umknąć przed ołowianymi pociskami. Niektórzy wchodzili Gentry'emu na linię strzału, przeszkadzając w wyeliminowaniu pozostałych zabójców.

Court dotarł wreszcie prawie na szczyt. Udało mu się dostrzec cel. Dwaj policjanci klęczeli za motocyklami i przeładowywali broń. Gentry wymierzył w pierwszego. Już miał strzelić, zeskakując na stopnie, kiedy znów ktoś wszedł mu w drogę. W ostatniej chwili zdjął palec ze spustu.

To była Elena. Przechyliła się do tyłu. U szczytu schodów tłum się przerzedził, a ona spadała na beton. Gentry skoczył, upuszczając rewolwer, aby ją złapać. Wylądował tuż za nią, osłonił rękami jej głowę i brzuch, po czym razem polecili w dół. Court z impetem spadł na ziemię, ale udało mu się osłonić żonę Eddiego.

Rozległa się długa seria z karabinu automatycznego. Gentry pomógł Elenie wstać, wziął na ręce i z trudem ruszył do góry, starając się ignorować ból pleców i ramion. Następnie skierował się na lewo, chowając się przed strzelającymi napastnikami.

Kątem oka dostrzegł stryjów i ciotkę Eddiego wśród rannych znajdujących się na schodach.

Wciąż wspinał się z Eleną w ramionach. Wyczuł stopą upuszczony przed chwilą rewolwer i klęknął, żeby go podnieść. Uda drżały mu z wysiłku, gdy wstawał. Minęła go grupa cywilów biegnących na górę. Ludzie wpadli na stojących u szczytu

schodów napastników, powalając ich. Gdy Gentry znalazł się na górze, policjanci porzucili motory i odbiegli, przeładowując broń.

Court spojrział na Chucka Cullena. Leżał na ostatnich trzech stopniach twarzą do ziemi, nieruchomy, w nienaturalnej pozie. Czapka US Navy spadła mu głowy i leżała obok. Gentry ostrożnie posadził Elenę na ziemi i zaczął się rozglądać za bronią upuszczoną przez trafionego w obojczyk zabójcę, ale nie mógł jej dostrzec.

– Kurwa! – krzyknął otoczony przez martwych, rannych i przerażonych ludzi. Po chwili u dołu schodów znów rozległy się odgłosy strzelaniny.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Na drodze powyżej Parque Hidalgo, tuż przed kościołem, Gentry trzymał Elenę za rękę. Rozglądał się, wypatrując pozostałych przy życiu członków rodziny jej zmarłego męża. W oddali uciekali krzyczący z przerażenia cywile, ale wśród nich nie dostrzegł bliskich Eddiego.

Od strony kościoła usłyszał wołanie:

– Joe! *¡Estamos aquí!* – To Diego, szesnastoletni bratanek Eddiego, wzywał Amerykanina do środka. Gentry z Eleną wbiegli do kościoła.

Świątynia była wielka i ciemna. Po nawie, niczym bicie kościelnych dzwonów, odbijały się echem płacz i krzyki tych, którzy szukali tu schronienia. W starej budowli było około dwudziestu osób, w tym członkowie rodzin poległych funkcjonariuszy. Zebrali się nieopodal ołtarza, szlochali, tulili się i pocieszali nawzajem. Nad nimi stał ksiądz ubrany w białe szaty. Trzymał się pod boki, a na jego twarzy malował się strach. Gentry rzucił okiem na Elenę, żeby oszacować jej stan. Była w szoku. Nawet w delikatnym blasku świec i przyćmionym, wpadającym do środka przez witraże światło widział, że pobladła. Raczej nie była ranna. Wciąż trzymał ją za rękę, po czym ruszyli wzdłuż ławek. Diego coś do niego mówił, ale zbyt szybko, zbyt chaotycznie, żeby można go było zrozumieć.

– Czy jesteśmy już bezpieczni? – zapytała cicho Elena. – Czy to już koniec?

– Wątpię – odparł bez ogródek.

Zbliżali się do ołtarza. Nie było czasu na sporządzenie listy obecności. Court postanowił pomóc zebranych w kościele wydostać się stąd, ale nie było mowy o powrocie na dół, tam, gdzie trwała strzelanina. Był pewny, że większość rodziny Gamboa zginęła. Luz i Ernesto stali cali i zdrowi przed ołtarzem, podobnie jak Laura. Zobaczywszy ją, Court odetchnął z ulgą.

– Zabili moich rodziców! – krzyknął Diego.

To Gentry zrozumiał.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wydukał więc po hiszpańsku:

– Później będziemy się tym martwić.

Wyszło zdawkowo i oschle.

Spojrzał na ocalałych, którzy zebrali się przed ołtarzem. Wielu z nich klęczało w modlitwie. Nad nimi, w bezruchu, stał ksiądz. Nie brał udziału w ich modłach.

„Idioci!”, pomyślał Court.

– Hej! – przerwał modlitwy. – Co, do diaska? Musimy stąd spieprzać jak... – urwał i przeszedł na hiszpański: – ¡*No hay tiempo para eso!* Nie mamy na to czasu!

Klęczący odwrócili się w jego kierunku. Ich oczy wciąż były przerażone po koszmarnych przejściach.

Pobiegł środkiem kościoła w ich stronę. Laura wstała z kolan i się odwróciła. Court zauważył, że w prawej dłoni trzyma berettę. Prawdopodobnie była to broń gliniarza postrzelonego przez niego na szczycie schodów, której nie znalazł przy zabitym. Podniosła ją i wymierzyła w Courta. Gentry stanął jak wryty. Powoli podniósł rękę.

– Wszystko w porządku, Laura. Odłóż broń. Wszystko będzie dobrze.

Zobaczył, że mięśnie na jej szczupłym przedramieniu się napięły. Pociągnęła za spust. Court padł na podłogę pośrodku kościoła. Tuż nad jego głową przeleciały dwa naboje. Echo w świątyni i dzwonięcie w jego uszach nie zagłuszyły odgłosu upadku na posadzkę ciała gdzieś za nim, przy wejściu do bazyliki. Obejrzał się przez ramię i dostrzegł *federale*, który upadł na twarz w otwartych drzwiach, jakieś dwanaście metrów za nim. Obok niego leżał kolt SMG. Laura trafiła go prosto w głowę.

– Dobra... – wycedził Court, powoli podnosząc się z ziemi. – Może na razie zatrzymaj tę spluwę...

Laura pokiwała głową. Wciąż była w szoku tak jak Elena, ale strzelać potrafiła.

– Posłuchajcie! – zawołał Gentry po angielsku. Od razu się poprawił i przeszedł na hiszpański: – Gdzie są wasze samochody?

Ernesto Gamboa przemówił w imieniu grupy:

– Stoją na parkingu podziemnym pod Parque Hidalgo.

Court zaklął na głos. Równie dobrze mogli zatrzymać się po ciemnej stronie Księżyca. Jedno było pewne: nie wrócą po nie. A w dwudrzwiowym aucie Chucka,

które stało za kościołem, na pewno wszyscy się nie zmieszczą. Nawet gdyby miał do niego kluczyki, a ich nie ma.

Podszedł do księdza, nieruchomego niczym Jezus wiszący za nim na krucyfiksie.

– Obawiam się, *padre*, że musimy pożyczyć twój samochód.

Duchowny pokręcił przecząco głową.

– Nie ma mowy! Należy do moich parafian, jest im potrzebny!

Court bez wahania odbezpieczył rewolwer, który wciąż trzymał przy boku. Metaliczny brzdęk zadudnił w ciemnej świątyni.

– Parafianie mogą mieć albo samochód, albo duszpasterza. Wybór należy do księdza.

Ksiądz spojrział na broń. Powoli wsunął rękę do kieszeni i wyjął kluczyki. Podał je Amerykaninowi.

Gentry pokiwał głową.

– Świetna decyzja, *padre*.

Kątem oka Court pochwyił wściekle spojrzenie Laury. Podejrzewał, że w tej chwili religijność mogła przyćmiewać jej pragmatyzm. Nie było jednak czasu na uprzejmości. Nie zważając na nią, zabezpieczył rewolwer i wsunął go za pas, po czym poprowadził cywilów na tyły kościoła i do samochodu. Chciał wrócić po pistolet, który upuścił zastrzelony w drzwiach policjant, ale bał się, że lada chwila może przybyć kolejna ekipa zabójców.

Samochód księdza zappełnił się pasażerami. Court usiadł za kierownicą vana, Elena obok niego i ruszyli na północ.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Półtora kilometra na wschód od centrum Puerto Vallarty w równym rzędzie na zwirowej drodze na wzgórzu stało pięć białych chevroletów. Pięciu kierowców dyżurowało przy otwartych drzwiach. Każdy z nich miał na sobie koszulę, luźną piaskową kamizelkę kuloodporną oraz bojówki khaki. Każdy też był uzbrojony w czarny wojskowy pistolet maszynowy Mendoza HM-3. Obok pojazdów stało lub klęczało pięciu ochroniarzy. Ci mieli kałasznikowy, nazywane *cuernos de chivos*, „kozimi rogami”, ze względu na długie, zakrzywione magazynki. Oczy i lufy goryli były wycelowane poniżej, w stronę miasta.

Jakieś dwadzieścia metrów od aut, na polanie, Daniel de la Rocha klęczał na trawie. Głowę pochylił w błagalnym geście, a na jego młodej, przystojnej twarzy malowało się napięcie. Lewą ręką trzymał dłoń klęczącego obok Emilia Lopeza Lopeza, osobistego ochroniarza i szefa obstawy, prawą natomiast ścisnął dłoń Javiera „Pajaka” Cepedy Duarte, przywódcy sekcji Los Trajes Negros specjalizującej się w zabójstwach i porwaniach.

Wokół tej trójki zebrało się siedemnastu mężczyzn, z których część stała, część zaś klęczała. Każdy był ubrany w identyczny trzyczęściowy włoski garnitur, każdy był uzbrojony. W kaburach przy pasie czy pod marynarką mieli pistolety, a niektórzy – w tym „Pajak” – maszynowe micro uzi.

Cała dwudziestka stała tak blisko siebie, że mogli trzymać się za ręce, obejmować za ramiona czy się ścisnąć. W tym ciasnym kręgu braterstwa każdy z uczestników pochylał głowę przed jaskrawą przydrożną kapliczką.

Najbliżej niej znajdował się Daniel de la Rocha. Puścił na chwilę dłoń „Pajaka”, aby podnieść leżącą przy nim białą różę i położyć ją u stóp mierzącego metr osiemdziesiąt gipsowego szkieletu siedzącego na tronie ze sklejki. Na głowie kościotrupa znajdowała się czarna peruka nakryta przezroczystym welonem. Figurę odziano w długą fioletową suknię ślubną, lśniąca w promieniach słonecznych, mimo że wznosił się nad nią blaszany daszek mający chronić ją od

żywiolów. Koścista postać dzierżyła w prawej dłoni kosę, w lewej zapaloną świecę wotywną.

De la Rocha wcisnął samotną białą różę pomiędzy kilkanaście bukietów i świec. Niektóre z nich zdążyły się wypalić, pozostawiając kolorowe woskowe plamy na betonowym schodku poniżej tronu. Obok kwiatów i świec złożono innego rodzaju ofiary: papierosy, gotówkę, butelki tequili, naboje, płyty DVD czy jabłka.

Kostucha siedziała wśród darów z zimnym uśmiechem, wpatrując się w dal pustym wzrokiem.

Umieściwszy kwiat, Daniel ponownie chwycił dłoń przywódcy swoich *sicarios*. Następnie zacisnął powieki i rozpoczął modlitwę do Santa Muerte.

Święta Śmierć. W całym kraju były setki, jeśli nie tysiące podobnych kapliczek. Santa Muerte była czczona przez biednych i bezbronnych, a także przez wielu w biznesie narkotykowym.

Głos Daniela był niski i pełen uwielbienia:

– O wspomniała i potężna Śmierci... Dziękuję za dzisiejsze ocalenie, za zatrzymanie kul, które pędziły ku mojemu sercu i gardłu, za to, że ochroniłaś mnie przed ludźmi, którzy źle życzyli mnie i moim braciom. O Santa Muerte, ocaliłaś mnie dziś. Jesteś moim największym skarbem. Nigdy mnie nie opuszczasz. Jadłaś chleb i dałaś mi chleb. Jako że jesteś potężną właścicielką ciemnej posiadłości życia i cesarzową ciemności, zwracam się do ciebie. Spraw, aby moi wrogowie padli mi do stóp upokorzeni i pełni skruchy.

Członkowie Czarnych Garniturów trzymali się blisko de la Rochy, tymczasem dziesięciu mężczyzn przy autach pilnowało bezpieczeństwa i spoglądało na drogę ciągnącą się na dół, w stronę miasta, co chwila nerwowo zerkając na zegarki.

Pięćdziesięciosiedmioletni Nestor Calvo, najstarszy członek Los Trajes Negros i starszy o kilkanaście lat od reszty najbliższych współpracowników DLR, stał w ścisłym kręgu przy kapliczce, ale nawet on nie był w stanie powstrzymać się od spoglądania ukradkiem na roleksa. Od strony miasta dochodziło wycie syren, na zachód od nich latały helikoptery. Wiedział, że pojawi się armia policjantów i wojskowych gorączkowo usiłujących zapanować nad sytuacją po niedawnej rzezi. Wkrótce skierują się za miasto szukać dowodów czy strzelców po okolicznych wzgórzach. Prędzej czy później trafią i tu.

Calvo chciał być daleko stąd, kiedy to nastąpi. Co więcej, chciałby też wiedzieć, kiedy dokładnie to się stanie.

Niepewność była dla niego najgorsza. Jako szef wywiadu musiał znać odpowiedź, zanim jeszcze jego przełożony zada pytanie. Odkąd niecały kwadrans wcześniej zniknęli z Parque Hidalgo, otrzymał kilka informacji od swoich źródeł z miejsca zdarzenia. Dowiedział się, że wielu spośród bliskich agentów GOPES-u zostało zabitych, ale że ich głównemu celowi, najbliższej rodzinie majora Eduarda Gamboa, udało się zbiec.

Teraz z pewnością wiadomo już więcej. Odkąd de la Rocha nakazał uciekającemu konwojowi zatrzymać się przy pierwszej kapliczce ku czci Santa Muerte napotkanej na trasie, jego komórka bez przerwy wibrowała. Calvo miał robotę do wykonania i uważał, że postój przy kretyńskiej figurce, którą jego szef i większość kolegów czcili, był dowodem braku wyobraźni.

Ale nic nie mógł poradzić. Pozostało mu tylko czekać. Jego *patrón* był wręcz bałwochwalczo wierzący, a on wiedział, że nie należy rozdzielać bałwochwalczy od jego bałwana, zwłaszcza jeśli ten pierwszy podpisuje twoje чеки i zawsze nosi przy sobie pistolet.

* * *

Daniel de la Rocha poprosił Świętą Śmierć o znak. Doskonale wiedział, że nigdy nie spełniała prośby za darmo, a tego dnia już otrzymał od niej dar. Chciał się jej odwdziżyć. Musiał się jej odwdziżyć. Wiedział, że biała róża nie wystarczy. Czego Panienska od niego chciała? Jak mógł spłacić zaciągnięty u niej dług? Przez trzy minuty klęczał w milczeniu. Otaczający go ludzie też milczeli. Wiedział, że pozwolą mu spędzić tu tyle czasu, ile potrzebował. Nawet stary Nestor Calvo, który pewnie przez to opóźnienie srał w gacie z nerwów, wiedział, że nie należy mu przeszkadzać.

Cisza. Słyszał tylko ćwierkanie ptaków w okolicznych drzewach, raz na jakiś czas trzask w radiu od strony samochodów. Dobiegały go też, rzecz jasna, dochodzące z oddali wycie syren i warkot helikopterów.

Było tak cicho, że słyszał bicie własnego serca. W końcu skupił się na ranach, na sińcach na klatce piersiowej i na gardle, gdzie trafiły go kule, które nie przebiły kamizelki i innych zabezpieczeń.

Sí!

Powoli otworzył szeroko oczy. Obejrzał swoją klatkę piersiową. Zobaczył dziurkę w lewej klapie marynarki. Od razu spostrzegł, że wymodlił znak. Pośpiesznie ściągnął krawat i marynarkę, zrzucił kamizelkę, a następnie zabrał się za szytą ręcznie na zamówienie białą koszulę, ledwo mieszczącą jego umięśnione ramiona. Zaczął rozpinać guziki, ale z podekscytowania zbyt drżały mu palce. Machnął ręką i rozdarł koszulę. Guziki z kości słoniowej wystrzeliły niczym z wiatrówki. Otaczający go mężczyźni cofnęli się o krok, żeby zdołał zdjąć koszulę. Odsłonił umięśnioną klatkę piersiową i plecy. Na jego biodrach lśniły rękojeści dwóch bliźniaczych pistoletów kaliber .45.

Daniel Alonzo de la Rocha Alvarez zerknął na swoje ciało i tuż nad sercem wypatrzył pojedynczy czerwony siniak – ślad po pierwszej kuli. Tkwił idealnie pośrodku brzucha wytatuowanej na jego klatce piersiowej Santa Muerte – koścista panna młoda wyciągała groźnie dłoń do przodu.

Kobięcy brzuch.

W oczach de la Rochy zalśniły łzy.

A więc otrzymał znak. Już wiedział, czego jego święta pomocniczka od niego chciała. Wiedział, jak się jej odwdzięczyć.

– Nestor?

Nestor Calvo pośpiesznie odwrócił wzrok od zegarka i odpowiedział.

– *Sí, jefe.*

– Żona majora przeżyła, prawda?

– *Sí, jefe.*

– Ona jest w ciąży, prawda?

– *Sí, jefe.*

– „Pająk”?

– *Sí, jefe.*

Daniel de la Rocha powoli wstał, a za nim ci ze zgromadzonych, którzy też klęczeli, choć Emilio Lopez Lopez został na klęczkach, aby podnieść marynarkę, kamizelkę, krawat i koszulę z ziemi. Następnie wstał, rzucił ubrania innemu ochroniarzowi i podszedł do szefa.

De la Rocha stał teraz twarzą w twarz z pustymi oczodołami czaszki wyglądającej spod białego welonu. Pocałował czubki palców, po czym przycisnął je do wyszczerzonych w uśmiechu gipsowych zębów.

– „Pająk” ... Znajdź ją. Zabij dziecko. Santa Muerte przemówiła.

– *Sí, jefe.*

* * *

Po minucie siedzieli już w chevroletach i kierowali się na wschód. DLR zajął miejsce na środku tylnej kanapy w trzecim samochodzie. Miał już na sobie garnitur, choć nie włożył koszuli, kamizelki i krawata. Wraz z nim i kierowcą jechał jego osobisty ochroniarz Emilio, „Pająk”, szef zbrojnej części jego organizacji oraz kilku najlepszych strzelców z jego oddziału.

Towarzyszył im też Nestor Calvo, szef wywiadu DLR, a zarazem jego najbliższy doradca. Daniel czuł, że Calvo jest zaniepokojony. Odwrócił się i obdarzył swojego sędziwego *consigliere* uśmiechem.

– O co chodzi, Nestor? Nie podobają ci się moje odwiedziny u Świętej Chudzinki? Czyżbyś wciąż nie dostrzegał potęgi Santa Muerte?

Siwobrody pięćdziesięciosiedmiolatek wzruszył ramionami.

– To nie Dziewica Śmierci zatrzymała kule, tylko kevlarowy garnitur za sto dwadzieścia tysięcy pesos, który masz na sobie. To zasługa krawca w Polanco, który to zaprojektował, a poniekąd i moja, jako że to za moją radą cały wewnętrzny krąg naszej organizacji go nosi – odparł Nestor, po czym dorzucił sarkastycznie: – Z całym przeproszeniem świętej panienki, co siedzi sobie przy drodze obsrana przez gołębie.

De la Rocha roześmiał się głośno. Podenerwowany Calvo był taki zabawny. Daniel wiedział, że irytuje *consigliere*, i sprawiało mu to przyjemność. Prawdę mówiąc, przywódca Los Trajes Negros doceniał szczerść i otwartość swoich ludzi, choć naturalnie osobiste przekonania jego podwładnych rzadko wpływały w codziennej rozmowie. W końcu wielokrotnie zdarzało mu się zabijać pracowników i współpracowników, z którymi się nie zgadzał.

Nestor Calvo jednak stanowił wyjątek. Był najlepszym przyjacielem jego zmarłego ojca, a w dodatku prawdziwym geniuszem, jeśli chodzi o zarządzanie kartelem. Jako szef wywiadu Los Trajes Negros zazwyczaj pośredniczył między

DLR-em a władzami, policją czy wojskiem. Doskonale wiedział, że nie grozi mu brutalna kara za wyrażenie opinii. De la Rocha kochał zgreda tak samo, jak jego nieboszczyk ojciec – świeć, Santa Muerte, nad jego duszą – i zawsze chętnie wysłuchiwał Nestora, nawet jeśli ten bluźnił.

Daniel wskazał na siniak przy gardle:

– A to widzisz, Nestor? Widzisz, gdzie trafiła mnie druga kula?

– W węzeł krawata?

– ¡Sí!

– W węzeł kevlarowego krawata?

– Cholera jasna, Nestor! Wiem, że mój krawat jest kuloodporny. Ale patrz: dwa, trzy centymetry, a trafiłaby prosto w odsłonięte gardło.

Nestor wzruszył ramionami.

– Tak więc uznałeś, że gipsowy szkielet w damskich łaskach jakimś cudownym sposobem kontrolował lot kuli? Gdybyś się nie uparł, żeby pojawić się na proteście, gdybyś nie włożył na maskę samochodu z megafonem, tym samym robiąc z siebie łatwy cel, magia twojej kościstej dziewczuchy nie byłaby potrzebna. Nawet gdyby nikt nie targnął się na twoje życie, ekipy zabójców przygotowane przez „Pajaka”, mające na celu tych na scenie, stwarzały niebezpieczeństwo, na które nie powinieneś się narażać.

Słyszając te słowa, „Pajak” Cepeda się oburzył:

– Moi ludzie doskonale wiedzieli, gdzie zaparkujemy. Mieli przykazane, żeby strzelać wyłącznie w stronę sceny. Do don Daniela nie strzelał żaden z moich *sicarios*.

De la Rocha już miał się wtrącić, ale Nestor odebrał wibrującą od jakiegoś czasu komórkę, więc Daniel zwrócił się do Emilia, szefa swojej ochrony, który siedział po jego prawej stronie.

– Ten, kto do mnie strzelał... Zabiłeś go?

– Wygląda na to, że tak, *patrón*.

– Jak to „wygląda na to”?

– Byłem wtedy po drugiej stronie auta, ale jeden z moich ludzi przysięga, że zabił *el chingado cabrón*. Pierdolonego chuja.

– Nie zapominaj, że twoim zadaniem jest zabicie *los chingados cabrones*, zanim oni mnie zabiją lub zranią. Gdyby udało mu się mnie zranić, już byś nie żył. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– A więc obaj mamy dziś za co dziękować La Virgen de Muerte – odparł Emilio.

Daniel długi czas wpatrywał się w ochroniarza, po czym uśmiechnął się szeroko i go przytulił:

– W rzeczy samej, *amigo*.

Zabzyczała komórka de la Rochy. Spojrzał na ekran, po czym odebrał. Dzwoniła jego żona.

– *Hola, Mami!* Nie, nie, dzięki Bogu jestem cały i zdrowy. Tylko jakiś *pendejo* próbował mnie zabić, ale mu się nie udało. Emilio i jego chłopaki już się tym zajęli. Jak tam dzieci? *Exelente. Bueno, mi amor*, ucałuj je ode mnie. Niedługo będę w domu.

De la Rocha się rozłączył i wypił łyk wody. Posiniaczone gardło bolało go.

– *¿Jefe?* – odezwał się Calvo, wsuwając telefon do kieszeni.

– O co chodzi, mój niedowiarku? – zapytał z uśmiechem Daniel de la Rocha.

Calvo nie odwzajemnił uśmiechu.

– Dzwonił mój kontakt z lokalnych glin. Na Parque Hidalgo był jakiś *gringo*.

– Ach tak, widziałem. Starszy mężczyzna w niebieskiej czapce. Stał na scenie.

– Nie o niego chodzi. Był jeszcze jeden. Jakiś młody brodaty *hombre*, też w niebieskiej czapce. Zabił pięciu twoich *federales* i jednego z miejscowych gliniarzy, który dla nas pracował.

De la Rocha przez dłuższą chwilę patrzył w przestrzeń w milczeniu. Powoli jego twarz stawała się coraz bardziej czerwona. W końcu wrzasnął:

– Sześciu *sicarios*?! W ciągu dwóch lat walki z Constantinem Madrigalem i rządem nie straciłem sześciu ludzi naraz! Do kurwy nędzy, co to za *gringo*?!

„Pająk”, który skończył telefonować, włączył się do rozmowy:

– Właśnie się dowiedziałam, że uciekł z rodziną Gamboa. Nie wiem jeszcze, co to za jeden, ale na pewno się dowiem.

– Ja też nad tym pracuję – dorzucił Calvo.

– A co z rodzinami tych policjantów?

– Co najmniej dwudziestu nie żyje.

De la Rocha kręcił głową z niedowierzaniem. Jakim cudem cudzoziemiec znikąd zdołał wyeliminować cały oddział profesjonalnych zabójców „Pająka”? To nie powinno się wydarzyć. *Sicarios* z *federales* mieli zabić wszystkich zebranych na scenie, a potem się zmyć. Teraz tych pięciu martwych, skorumpowanych policjantów można było zidentyfikować. Część z nich nawet da się powiązać z jego organizacją. Wiedział jednak, że nie będzie wielkiego śledztwa. Miejscowe władze siedziały u niego w kieszeni, podobnie jak media i wielu żołnierzy stacjonujących na północy miasta. Owszem, zrobił się straszny bajzel, ale da się go posprzątać.

Tak czy inaczej, Nestor wiedział, jak się zająć policją. Tym de la Rocha nie musiał się przejmować. Przez kolejne kilka dni skupi się na public relations. I na tym, żeby udobruchać Santa Muerte, zabijając nienarodzone dziecko majora Gamboa i składając je w ofierze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Court Gentry podążał vanem na północ. Wyjechał ze stanu Jalisco do stanu Nayarit. Po drodze wysadzili ocalałych członków innych rodzin na lotnisku, na dworcu autobusowym i przy wypożyczalni samochodów. Każdy chciał znaleźć się jak najdalej od Puerto Vallarty.

W samochodzie zostali tylko Gentry i rodzina Eddiego: Elena, Laura, Ignacio, Diego oraz Ernesto i Luz.

Radio w aucie było włączone. Mówiono jedynie o strzelaninie w Puerto Vallarcie. Według pierwszych doniesień zginęło jedenaście osób. Wkrótce ich liczba wzrosła do dwudziestu dwóch, a w końcu do dwudziestu ośmiu. Wśród ofiar wymieniono znanego biznesmena i domniemanego barona narkotykowego Daniela Alonzo de la Rocha Alvareza, trzech policjantów metropolitalnych, pięciu policjantów federalnych, obywatela Niemiec oraz obywatela Stanów Zjednoczonych.

Podawano, że po zdarzeniu naliczono trzydziestu kilku rannych zarówno wśród cywilów, jak i policjantów. Początkowo przypuszczano, że gdy de la Rocha został zastrzelony – czy to przez agentów rządowych, czy przez *sicarios* pracujących na zlecenie kartelu Madrigala – zabójcy, policjanci i ochrona równocześnie otworzyli ogień, co skończyło się największą rzezią w ciągu ostatnich pięciu miesięcy.

Laura Gamboa siedziała za Courtem i instruowała go, gdzie i jak ma jechać:

– Tu skręć w lewo... Tu będzie za blisko bazy wojskowej, lepiej pojedźmy wzdłuż plaży... Pod Sayulitą będzie blokada policyjna, później wrócimy na autostradę...

Wydawała się wyjątkowo dobrze zaznajomiona z okolicznymi drogami, autostradami i warunkami jazdy. Była wręcz podejrzenie opanowana i zdolna wydawać polecenia, zwłaszcza w porównaniu do pozostałej piątki pasażerów, którzy jedynie szlochali. Court się zastanawiał, czy Laura była jeszcze w szoku, czy starała się wyprzeć traumatyczne zdarzenia tego dnia, czy może doświadczyła już

tylu zawirowań losu, niebezpieczeństw i tragedii, że nauczyła się panować nad emocjami.

Elena natomiast prowadziła już czwartą rozmowę telefoniczną. Gentry przez chwilę to ignorował, rozumiał, że pochłaniała ją potrzeba zorientowania się, kto zginął, a kto ocalał. Ale dłużej nie mógł pozwolić na łamanie procedur bezpieczeństwa.

– Wyłącz telefon – poprosił.

Elena nie zwracała na niego uwagi. Dzwoniła do przyjaciół i szpitali w Puerto Vallarcie w poszukiwaniu informacji o bracie, ciotkach i wujach Eddiego.

Na razie niczego się nie dowiedziała. Jediną możliwością zdobycia informacji była uważna analiza wydarzeń zapamiętanych przez piątkę pasażerów.

– Wiem, że zabili Rodrigo. Straciłam kolejnego syna!

– *Tío* Oscar dostał w brzuch! Chyba nie żyje!

– *Tía* Esperanza stała tuż przy mnie. Krzyczała. W pewnym momencie zamilkła i upadła.

– Wydaje mi się, że Ortegowie stali tuż przed nami, ale w kościele ich nie było. Mam nadzieję, że nic im...

– *Señor* Ortega leżał na ulicy. Miał nogę we krwi, ale żył.

– *Capitán* Chuck zginął. Widzieliście?

Court nie brał udziału w rozmowie. Ich gorączkowa wymiana zdań po hiszpańsku była dla niego niezrozumiała. Skupiał się na tym, żeby udało im się uciec.

I opracowywał własne zniknięcie. Wiedział, że musi odeskortować rodzinę Gamboa do domu, a następnie zmyć się, zanim pojawi się policja, żeby ich przesłuchać.

Elena zaczęła dzwonić do kolejnej krewnej. Nie wiedziała, czy kobieta będzie w stanie odebrać, nie wiedziała, czy w ogóle żyła.

– Rozłącz się! – Court podniósł głos.

Wdowa pokiwała głową, ale wciąż wsłuchiwała się w sygnał, jakby próbowała siłą woli sprawić, że ktoś wreszcie odbierze.

Court wyrwał Elenie telefon i położył go pod swoimi nogami.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Mogą śledzić twoje połączenia. Wciąż jesteś celem.

– Jak to celem?

– Oczywiście, że tak. Ci *federales* specjalnie strzelali do tych, którzy zebrali się na scenie. W strzelaninie w tym przypadku nie było niczego losowego.

– Przecież de la Rocha zginął. Dlaczego ktoś miałby to zrobić, a potem zabić rodziny agentów GOPES-u?

– Nie mam pojęcia. Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to to, że w tłumie było kilka frakcji. Jedna grupa próbowała zabić was, druga jego. – Court pokręcił głową.
– Jezu, co za popieprzone miejsce.

Elena zakryła twarz dłońmi i załkała.

– Musimy zmienić środek transportu – powiedział Court bardziej do siebie niż do pasażerów.

– Dlaczego? – spytała Elena. – Co jest nie tak z tym?

– Chodzi o wasze bezpieczeństwo. Tym samochodem uciekliśmy z miejsca zdarzenia. Musimy się przesiąść do czegoś czystego.

Elena rozejrzała się dookoła:

– Przecież tu jest w miarę czysto.

Z tyłu dobiegł ich głos Laury:

– Chodzi mu o pojazd, który nie był widziany na miejscu zbrodni. Dobra, Joe, ale skąd weźmiemy inny samochód? Przy lotnisku minęliśmy wypożyczalnię.

– Możemy wziąć każdy, jaki nam się zamarzy. Zapomniałaś, że mam spluwę?

W samochodzie na chwilę zapanowała cisza przerywana tylko cichym płaczem Luz Gamboa. W końcu Laura mruknęła:

– Nie ukradniesz kolejnej fury.

– Zakład?

– To niezgodne z prawem.

Słyszając to, Court się zaśmiał zaskoczony.

– A ty co, gliną jesteś?

– Sł.

– Jasne. – Court pokiwał głową z powątpiewaniem. W końcu jednak zerknął na jej odbicie w lusterku. – Mówisz serio?

– *Sí*.

Elena wtrącała się do rozmowy, wycierając nos chusteczką.

– Pracuje w policji turystycznej w Puerto Vallarcie, czyli nie jest prawdziwą gliną – dodała lekceważąco.

Laura zdenerwowała się na bratową.

– Jestem prawdziwą funkcjonariuszką policji, przeszłam takie samo szkolenie i mam takie same obowiązki, jak...

Elena krzyknęła coś do szwagierki, po czym kłótnia się zaogniła. Court powoli otrząsnął się z zaskoczenia i stwierdził, że fakt, iż Laura jest policjantką, tłumaczył jej znajomość układu dróg oraz wiedzę na temat rozmieszczenia blokad. Następnie stanął po stronie siostry Eddiego. Niczym nieszczęśnik wbiegający na oślep na pole minowe, włączył się w kłótnię kobiet.

– Cóż, ci tak zwani prawdziwi policjanci zabili dziś wielu niewinnych ludzi. Byłem świadkiem, jak Laura fantastycznie strzela, więc naprawdę cieszę się, że jest po naszej stronie – powiedział, po czym zerknął w lusterko na siostrę zmarłego kumpla. – Ale dlaczego nie powiedziałaś, że pracujesz w policji?

Wzruszyła ramionami.

– Nie pytałeś.

– Aha... – Jak zawsze miał problem, żeby oderwać od niej spojrzenie. Zmusił się, aby z powrotem spojrzeć na szosę.

– Tak czy inaczej – dodała Laura – kiedy Eduardo zginął, zostałam zawieszona. Niektórzy uważają, że działał bez pozwolenia, i niby dlatego musieli mnie sprawdzić, i oczyścić z zarzutów, zanim będę mogła wrócić do pracy.

– To jakaś popieprzona teoria.

– Wiem, ale tak mi powiedzieli. Kiedy zabierali broń Eddiego z jego domu, zabrali też mój pistolet.

– Ale dalej masz berettę, z której strzelałaś w kościele...

Pokręciła przecząco głową.

– Nie. Dałam ją *padre* do potrzymania. Nie mogę sobie pozwolić, żeby mnie przyłapano z bronią.

Court westchnął. On też nie, ale nie przeszkodziło mu to w zaopatrzeniu się w spluwę. Postanowił tego nie komentować. Podniósł wzrok. Na chwilę ich

spojrzenia spotkały się w lusterku. – Świetnie sobie poradziłaś w kościele – pochwalił.

– Ty też – odparła. – Dzięki.

Oczy Courta wróciły na szosę na ułamek sekundy, po czym znów spojrzął w lusterko. Laura Gamboa wciąż na niego patrzyła.

– Proszę, nie kradnij kolejnego auta – odezwała się.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w lusterku. W końcu Gentry spuścił wzrok.

– Rozkaz, pani władzo.

Następnie rodzina zaczęła się modlić. Laura przewodziła. Ernesto mówił najgłośniej, Ignacio mruczał, a Luz była w stanie tylko łkać. Po modlitwie rozmowa się nie kleiła. Szóstka ocalałych Gamboa patrzyła przez okno. Court cały czas prowadził, choć był wyczerpany wysiłkiem i zagrożeniem. Ogarnął go smutek z powodu śmierci kapitana. Gentry wiedział, że Cullen był dobrym człowiekiem. Żałował, że nie będzie kolejnej nocy wspólnego picia tequili i słuchania jego opowieści. Prawdę mówiąc, żałował też, że nigdy nie odczuje już cudownie złośliwej pogardy mężczyzny karcącego go za długie włosy i wymijające odpowiedzi.

Court jednak przyznał, że zginął jak bohater.

A to nie byle co.

* * *

Gdy dojechali do domu Eleny, Ernesto natychmiast włączył telewizor i usiadł, Luz natomiast udała się do kuchni po pozostałości z wczorajszej uczty. Potężnej postury Ignacio chwycił piwo z lodówki i wyszedł do ogrodu zapalić. Diego zaszył się w łazience, Elena i Laura natomiast miały się po domu, zażarcie dyskutując, co należy robić.

Court niczego nie rozumiał z ich wymiany zdań. Został więc w salonie w towarzystwie Ernesta i telewizora. Trwała relacja z Puerto Vallarty. Jakiś reporter stał z mikrofonem w miejskiej kostnicy wśród rzędów ciał ułożonych na podłodze, przykrytych zakrwawionymi prześcieradłami i kocami, spod których wystawały tylko stopy. Na każdej na lewym paluchu wisiała papierowa etykieta umocowana na czerwonym sznurku.

Nie było cienia wątpliwości, że lada moment w domu Eddiego pojawi się policja. Court nie miał pojęcia, czy przyjadą przyjaźni policjanci, czy kolejni wrogowie. Miał nadzieję, że pozostali przy życiu bliscy jego kumpla będą mieli na tyle oleju w głowie, żeby za chwilę stąd się ulotnić, może przeczekać u krewnych bądź znajomych w innej części kraju, gdzieś, gdzie nie sięgają wpływy Czarnych Garniturów.

Już w trakcie jazdy na północ obudził się w Courcie instynkt przetrwania. Wrócił myślami do swojej fatalnej sytuacji. Rodzina Eddiego znajdowała się w niebezpieczeństwie, ale i on miał się czym martwić. Do Meksyku przedostał się nielegalnie. Zastrzelił wielu ludzi, z których większość to funkcjonariusze. Nie wątpił, że każdy napotkany policjant przynajmniej go o to zapyta.

Tłumaczył sobie, że nie miał wyboru, ale teraz musi zniknąć. Nie może czekać, aż pojawi się policja. Tutejszy rząd uwielbia podkreślać, jak to Stany Zjednoczone fatalnie traktują nielegalnych imigrantów. Ci przebywający w Meksyku w najlepszym razie mogli więc liczyć na pobyt w zimnej celi.

Domyślił się, że lada moment przybędą tu dziennikarze. W końcu rodzina Eddiego stanowiła prawdopodobnie największą grupę ocalałych z masakry, która była na scenie w czasie protestu.

Court zamierzał podejść do Ernesta, żeby wyjaśnić, dlaczego musi się zmywać i życzyć szczęścia jemu i jego rodzinie, kiedy obraz w telewizorze się zmienił i pokazano ujęcia Parque Hidalgo.

Było to nagranie samego zdarzenia: cały plac był wypełniony ludźmi, kamerę ustawiono tuż nad poziomem ulicy. Operator uchwycił moment, w którym de la Rocha zostaje postrzelony i spada z maski chevroleta. Następnie kamera zadrżała, ludzie wbiegli przed obiektyw. Wydawało się, że operator się potknął, po czym odzyskał równowagę.

Court siedział na skraju kanapy i oglądał relację z tego, co niedawno przeżył.

Rozległa się salwa z broni palnej, nad tłumem ukazały się smugi szarego dymu, po czym... niemożliwe... a jednak...

„O kurwa”, pomyślał Court.

Zarejestrowali to na taśmie.

Gentry jęknął. Na ekranie ukazał się brodacz w niebieskiej czapce z daszkiem, pogniecionych spodniach khaki i brązowej koszuli. Uczepiony zakrzywionego

pręta zjeżdża po kablu telefonicznym na ulicę z krótkolufową bronią automatyczną przewieszoną przez klatkę piersiową. W następnym kadrze pokazano go, jak skacze i znika w tłumie.

Court Gentry nie miał najmniejszych wątpliwości, że w tej chwili w ciemnym pokoju w Langley w Wirginii to nagranie oglądają pracownicy CIA sączący lurowatą kawę. Właśnie teraz ktoś zapewne poprawia okulary, nachyla się i woła do pozostałych:

– Przecież to Profanator!

Court czuł, jakby siedział z nimi, a jego kryptonim rozbrzmiewał w przekazach agencyjnych. Każdy, kto kiedykolwiek miał szczęście lub nieszczęście z nim pracować, dostał powiększone jego zdjęcie, jak zjeżdża po kablu, żeby potwierdzić, że to ich były kolega, obecnie ścigany międzynarodowym listem gończym z nakazem strzelania bez ostrzeżenia.

Tylko patrzeć, jak z Sekcji Operacji Specjalnych, która życzy mu śmierci, wyruszy odpowiednia ekipa, która wie, gdzie go szukać. Samoloty agencji wylądują w Puerto Vallarcie za kilka godzin.

– Pora brać dupę w troki – powiedział na głos. To było jedyne zdanie po angielsku wypowiedziane tego dnia w tym domu.

Wstał gotów do wyjścia. Powstrzymywał się, żeby nie wystrzelić sprintem przez salon.

Wtedy obraz na ekranie telewizora ponownie się zmienił. Już nie pokazywano Parque Hidalgo.

Tym razem był to wywiad z DLR. Court założył, że to jakieś stare nagranie. Przystojny mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami i laserowo wygoloną kozią bródką miał na sobie znak rozpoznawczy – elegancki czarny garnitur i czarny krawat. Siedział na drewnianej ławce w skromnym katolickim kościółku. Przeprowadzająca z nim rozmowę kobieta podsuwała mu mikrofon. Mówiła cicho, z namaszczeniem. Była ładna. Starła się sprawiać wrażenie profesjonalistki, ale mowa ciała zdradziła doświadczonemu w jej odczytywaniu Gentry'emu, że dziennikarka była zauroczona rozmówcą.

– *Señor de la Rocha*, proszę powiedzieć nam o dzisiejszych zdarzeniach.

– Przybyłem do Parque Hidalgo, aby przeciwstawić się korupcji w kancelarii prokuratora generalnego. niesprawiedliwemu prześladowaniu mojej osoby.

Spotkanie mające upamiętnić zabójców, którzy zginęli, wykonując jego parszywe rozkazy, było absolutnie skandalicznym...

Ernesto siedział na kanapie, na prawo od stojącego Courta.

Jako że hiszpański był jego językiem ojczystym, zrozumiał sytuację szybciej niż Amerykanin. Court aż się wzdrygnął, kiedy Ernesto krzyknął:

– ¡*Chingado!* Ten potwór jednak żyje!

Court pomyślał, że to niemożliwe. Przecież oberwał dwie kulki w klatkę piersiową. Jak to możliwe, żeby trzy godziny później jak gdyby nigdy nic udzielał wywiadu? A jednak to była relacja na żywo. Wyglądało na to, że wyszedł z opresji cały i zdrowy.

A przecież Court widział na własne oczy, jak oberwał. Najpierw na żywo, potem relację w telewizji. Zauważył, że DLR nie miał na sobie żadnego zabezpieczenia, nawet kamizelki.

– Gdy mnie postrzelono, myślałem, że to już koniec. Co się stanie z moją żoną i dziećmi? Kiedy jednak wieźli mnie do szpitala, powiedziałem: „Ej, chłopaki, poczekajcie! Wydaje mi się, że kule nawet mnie nie drasnęły”. To był cud. Bogu niech będą dzięki. – Przeżegnał się pobożnie i otarł łzy. Dziennikarka podała mu chusteczkę, którą przyjął z wdzięcznym kiwnięciem głowy.

Court widział, że to ściema. De la Rocha sprawiał wrażenie doskonale grającego aktora – wiedział, jak wcielić się w osobę wierzącą, pokorną, bezbronną, a równocześnie uroczą. Uśmiechnął się przez łzy.

– *Gracias*. Najmocniej przepraszam, to był bardzo emocjonujący dzień.

Gentry się obejrzał. Luz, Elena i Laura także przyszły do salonu. Po chwili pojawił się Diego, nawet Ignacio oderwał się od peta przywołany przez ojca. Twarze wszystkich poczerwieniały z wściekłości. Court pragnął jakoś im pomóc. Okazało się, że znajdowali się w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż dotychczas.

No, ale... Cholera, on musi się zmywać!

Pod koniec wywiadu dziennikarka była pod wrażeniem de la Rochy.

– *Señor de la Rocha*, czy jest coś, co chciałby pan jeszcze powiedzieć naszym widzom? – zapytała zatroskana.

– Chcę, żeby wiedzieli, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni funkcjonariusze służb państwowych pracujący na zlecenie kartelu Madrigala dwukrotnie

próbowali mnie zabić. Rzecz jasna ubolewam, że dzisiaj w Parque Hidalgo tyle osób straciło życie, ale wiem, że to dopiero początek. Policjanci mogą bezkarnie zabijać, kogo chcą, są na garnuszku tego *narcoterrorista* Constantina Madrigala. Ani ja, ani zapewne władze w stolicy nie mamy żadnych wątpliwości, że dzisiejsza masakra w Puerto Vallarcie odbyła się na zlecenie *señor* Madrigala. To zemsta na GOPES-ie, kara za to, że dwa tygodnie temu nie zdołali mnie zabić. Dopóki Constantino Madrigal chodzi na wolności, dopóty nie będzie końca tragedii.

Podczas tej przemowy wszyscy oprócz Luz siedzieli w salonie i słuchali w napięciu. Matka Eddiego wyszła do kuchni. Po chwili wróciła, niosąc tacę ze smażonymi *empanadas*, fasolą, batatami i sałatką, które zostały z uczyty poprzedniego wieczora. Court jęknął w duchu, kiedy Luz wręczyła mu talerz.

Laura zwróciła się do Courta.

– To co teraz robimy?

Gentry obejrzał się przez ramię, aby sprawdzić, do kogo skierowała to pytanie. Nikogo za nim nie było.

– ¿Cómo? Ale że co? – zapytał.

– Co teraz? Jaki mamy plan?

– Dlaczego mnie o to pytasz?

Laura się zmieszala.

– Myślałam... Wydawało mi się, że będziesz wiedział, co robić.

– Nie mam pojęcia, co wy powinniście zrobić. Ja muszę zwiewać z Meksyku.

– Zwiewać? Zamierzasz nas tak po prostu zostawić?

– Wy tu mieszkacie.

– Uważasz, że powinniśmy tu zostać?

Court zdawał sobie sprawę z tego, że powinni stąd wyjechać, ale nie miał żadnych kontaktów ani przyjaciół w tym kraju. Prawdę mówiąc, prawdziwych przyjaciół nigdzie nie miał.

– Zapewniam, że ze mną nie chcecie się udać. Pojedźcie w jakieś bezpieczne miejsce. Skontaktujcie się ze znajomymi, którzy są w stanie wam pomóc.

Elena stanęła obok szwagierki.

– Nie wiemy, komu możemy zaufać – powiedziała.

– Ja też nie. Nie jestem stąd.

– Do śmierci Eddiego ufaliśmy GOPES-owi. Ufaliśmy kapitanowi Chuckowi. I ufamy tobie.

Cholera.

– Eddie musiał mieć jakichś przyjaciół tu, we władzach, w wojsku... Kogoś, kto jest w stanie was obronić – stwierdził Gentry.

Elena podniosła głos. Ogarnęła ją panika. Zaczęło do niej docierać, że ten, kto niedawno ocalił im życie, zamierza zrejterować.

– Nikt z oddziału Eddiego nie pozostał przy życiu. Wygląda na to, że są w to zamieszani jego przełożeni. Do kogo możemy się zwrócić o pomoc?

– A jego kontakty w Stanach?

Elena pokręciła przecząco głową.

– Eddie pracował pod przykrywką przez trzynaście lat. Głównie za granicą. Taka praca uniemożliwiała zawieranie przyjaźni. Miał jakichś kumpli z marynarki, ale ja ich nie znam. Nie mogę tak po prostu zjawić się w ciąży na progu domu obcej osoby, uciekając przed zabójcami, i jak gdyby nigdy nic poprosić o pomoc.

Court nie wiedział, co odpowiedzieć. Zapadło kłopotliwe milczenie. Odruchowo zrobił krok do tyłu i wpadł na ścianę.

– Ja... sam nie wiem. Moim zdaniem powinniście uciekać jak najdalej stąd. Ale naprawdę nie wiem dokąd... Co macie zrobić, komu zaufać? Nie mam pojęcia. Chciałbym wam pomóc, ale naprawdę nie jestem w stanie.

Nikt się nie odezwał. Gentry tęsknie spojrział w kierunku drzwi. Wydawały się daleko.

Diego potrząsnął głową ze wzgardą, po czym obrócił się na pięcie i zniknął w korytarzu. Nie zrozumiał całej wypowiedzi, ale dotarło do niego, że Joe postanowił zwiewać.

– Przecież możesz nam pomóc. Już nam pomogłeś. Przejąłeś inicjatywę podczas strzelaniny i tego... wszystkiego. Wtedy w Puerto Vallarcie dokonałeś... – Laura próbowała poruszyć jego sumienie.

– Chodzi o to, że ta cała strzelanina i to całe „wszystko” to moja specjalność. Poza tym niewiele potrafię. Skończyły mi się pomysły, kiedy przestępcy zniknęli. Wiem, że powinniście wiać z tego miejsca jak najdalej od Czarnych Garniturów. Ale w tym nie jestem wam w stanie pomóc.

Elena zaczęła błagać, żeby z nimi został.

– Zostaw go w spokoju! – krzyknęła Laura, przerywając bratowej. – Już nam nie pomoże! W porządku. Trudno. – Spojrzała na Courta. – Dzięki za wszystko. Damy sobie radę.

Court nie wiedział, czy powiedziała to szczerze, czy sarkastycznie. Miał pewne podejrzenia, że to drugie.

Pokiwał głową. Uścisnął wszystkim dłonie, życzył powodzenia, po czym wyszedł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Gentry szedł przez *mercado* ciągnące się wzdłuż drogi prowadzącej na północ od rynku, sprzed kościoła Świętego Błażeja. Czuł się podle, że nie został pomóc rodzinie Eddiego, ale wiedział, że musi stąd jak najszybciej uciekać. Groziła mu śmierć albo z rąk CIA, albo oprychów Grigorija Sidorenki. W najlepszym wypadku, choć dalej niezwykle złym, mógł liczyć na pobyt w celi meksykańskiego więzienia – czy to za brak dokumentów, czy za zabójstwo kilku funkcjonariuszy policji federalnej.

Próbował usprawiedliwić się przed sobą za pozostawienie rodziny Gamboa w potrzebie, wmawiając sobie, że jego obecność przyniosłaby więcej kłopotów niż korzyści. Ernesto miał dobre relacje z lokalną policją, ale mogły się one pogorszyć, gdyby władze się dowiedziały, że udziela schronienia człowiekowi ściganemu i przez Amerykanów, i przez meksykańską policję.

A gdyby do San Blas wpadła banda rosyjskich oprychów? Cóż, to rzeczywiście mogłoby wyprowadzić z równowagi nawet najbardziej przyjaźnie nastawiony posterunek.

Tłumaczył sobie, że Laura, Elena, Diego, Ignacio, Luz i Ernesto sobie poradzą. Tak jak poprzedniego wieczora, mogą liczyć na przyjaźnie nastawionych do nich miejscowych, którzy otoczą ich opieką i ochronią. W końcu de la Rocha postawił na swoim. Strzelanina w Puerto Vallarcie wystarczyła, żeby przekazał wszem wobec, co myśli o całej sytuacji. Poza tym rodzina Gamboa znajdzie się pod lupą mediów, w świetle reflektorów, powinna więc być bezpieczna.

Wy tłumaczył już Elenie i Laurze, że najbardziej pomocny mógł być podczas akcji na placu. Wmawiał sobie, że w większości innych sytuacji tylko przeszkadzał. No i pokazano go w telewizji.

A Gray Man nie występował w jebanej telewizji.

Przeszedł obok kościoła i zbliżył się do dworca autobusowego, swobodnie machając pustymi rękami. Płócienna torba została w aucie Chucka Cullena. Miał

jedynie portfel i ukryty rewolwer z trzema nabojami. Minął zakład fryzjerski i sklep z artykułami kosmetycznymi, szedł jeszcze chwilę, po czym przystanął.

Jego uwagę zwrócił żółty plakat wiszący na ścianie marketu spożywczego. Wyglądał jak inne afisze reklamujące jakieś kursy, ubezpieczenie samochodu czy napoje.

A jednak było to coś innego.

Coś zupełnie innego.

U góry widniał duży napis: „Wstąp w szeregi Kowbojów kartelu Madrigala”.

Niżej, trochę mniejszym drukiem można było przeczytać: „Oferujemy liczne benefity, ubezpieczenie na życie, dom dla rodziny, dodatki na dzieci. Koniec z mieszkaniem w slumsach i jazdą autobusem. Masz wybór: nowe auto osobowe albo furgonetka. Specjalne bonusy dla funkcjonariuszy policji, wojskowych i marynarzy”.

Na końcu umieszczono numer telefonu i zdjęcia uśmiechniętej rodziny.

Court stanął jak wryty. Przeczytał tekst raz jeszcze, aby się upewnić, że dobrze zrozumiał. Nie mylił się.

Co jest, kurwa? Kartel tak otwarcie ogłasza, że poszukuje ludzi?

Co za pojebany kraj.

– To się nazywa *narcobanderas*. Ogłoszenie o pracy w kartelach. ¿*Increíble, no?* – wyjaśnił staruszek siedzący na ławeczce przed sklepem. Zauważył, że plakat zrobił na Courcie wrażenie. Pewnie zauważył jego zdziwienie. W przeciwnym razie mógłby uznać, że brodacz rozważa podjęcie tej pracy.

– Madrigal tak sobie rozwiesza ogłoszenia, a policja na to pozwala? – zapytał Gentry.

– Czasem je zrywa – odparł.

Chwała Bogu. Czyli zostali tu jeszcze jacyś uczciwi gliniarze.

– Miło to słyszeć.

– *Sí*, czasem zrywają je psy na usługach DLR. Albo dopisują tylko, że Czarne Garnitury mają lepsze ubezpieczenie niż kowboje.

Court potrząsnął z niedowierzaniem głową.

Czyli *narcos* byli wszędzie, nawet w tej wiosce. Niczym złośliwy nowotwór kartele się rozrosły i zawładnęły każdym aspektem życia na meksykańskim

wybrzeżu Pacyfiku.

Nie mógł się już dłużej oszukiwać. Laura, Elena i inni nie mieli szans.

Tylko jak im pomóc?

Court spojrział w stronę dworca autobusowego, podszedł jeszcze kilka kroków, po czym się zatrzymał.

Nie wiedział, co robić.

Cholera, Gentry...

* * *

Po długiej rodzinnej kłótni w salonie Laura chwilowo przejęła dowodzenie nad pozostałymi przy życiu członkami rodziny, nawet nad wdową po bracie. Ogłosiła, że tego popołudnia wszyscy wyjadą z San Blas i udadzą się do przyjaciela rodziny mieszkającego w Tepic, jakąś godzinę jazdy w głąb lądu. Znajomy był znanym prawnikiem, miała więc nadzieję, że zdoła im pomóc.

Elena była już zmęczona kłótniami, więc poddała się woli szwagierki. Położyła się na kanapie, aby odciążyć obolałe plecy i rozprostować spuchnięte nogi. Ernesto i Luz próbowali protestować – przecież San Blas to był ich dom, w końcu jednak niechętnie zgodzili się wyjechać, kiedy Laura zagroziła, że bez nich i ona się nie ruszy.

Diego stracił właśnie rodziców. Teoretycznie znajdował się pod opieką dziadków, ale był na tyle dojrzały, żeby sam decydować o swoim losie. Gdyby tylko chciał, bez mrugnięcia okiem wskoczyłby na rower i odjechał. Postanowił jednak zostać.

Zdawał sobie sprawę, że *abuelo* Ernesto jest już stary, a na jego *tía* Ignacia nie można liczyć. Wiedział, że będzie musiał stanąć na wysokości zadania i chronić pozostałych członków rodziny. Nie była to łatwa decyzja. Dorabiał, dostarczając marychę ze stanu Sinaloa amerykańskim surferom i turystom z Puerto Vallarty i Sayulity, był więc poniekąd członkiem kartelu Madrigala, choć oczywiście na samym dole narkotykowej drabiny. Ale to już przeszłość.

Bo w gruncie rzeczy nie chodziło ani o pieniądze, ani o żadne poczucie zła czy dobra – chodziło o jego najbliższych i przetrwanie. Postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, aby rodzina czuła się bezpieczna.

W ciągu ostatniej godziny Ignacio zdążył już się prawie całkiem upić piwem i tequilą, więc bez szemrania zgodził się wyjechać. Nie miał własnej rodziny ani gdzie się podziać, a nie chciał wracać do domu pod Puerto Vallartą.

Nawet po czterech szotach tequili i kilku butelkach piwa był w stanie ocenić, że po wydarzeniach ostatniej doby to niemożliwe.

Laura była zadowolona, że mieli plan, ale i tak czułaby się lepiej, gdyby Joe został z nimi. Zawiodła się na nieznanym z Ameryki. Miała nadzieję, że ich nie opuści. W końcu zawdzięczali mu życie. Nie знаła szczegółów wydarzeń na Parque Hidalgo, ale z mediów dowiedziała się, że ktoś wyeliminował sześciu strzelających do tłumu *sicarios*. Ona zabiła tylko jednego, więc uznała, że zapewne tajemniczy *gringo* zajął się resztą.

Ponadto spodobał się jej. Oczywiście kiedy się ulotnił, postanowiła stłumić zauroczenie. Przez lata w ogóle nie zawracała sobie głowy facetami, nie szukała nikogo po śmierci męża zamordowanego po długich torturach przez *narcos* na północy kraju. Joe jednak przykuł jej uwagę, choć nie wiedziała dlaczego. Stwierdziła, że być może z powodu przyjaźni z Eduardem w czasach, kiedy jedyny kontakt między nią a jej bratem stanowiły sporadyczne telefony i kolorowe pocztówki z odległych zakątków świata. To sprawiło, że poczuła bliskość z Amerykaninem, jakby była jego przyjaciółką z dawnych lat.

A teraz tajemniczy *gringo* zniknął tak nagle, jak się pojawił, w ciągu doby usunął się z jej życia. Po wszystkim, co się tego dnia wydarzyło, nie wiedziała, czemu w ogóle zawraca sobie tym głowę.

Musiała przecież przygotować rodzinę do ucieczki. Zaplanowała, że całą szóstką pojedą fordem F-350 po Eduardzie. Ojciec zaczął się pakować, matka poszła do kuchni szykować prowiant, a Diego pojechał pikapem na najbliższą stację benzynową, żeby zatankować i uzupełnić olej.

Elena odpoczywała na kanapie, a Ignacio wrócił palić i pić w ogrodzie.

Nagle, po raz pierwszy od powrotu z Puerto Vallarty, zadzwonił znajdujący się w salonie telefon. Elena odebrała.

– ¿Buena?

– Dzień dobry, pani Eleno. Jak miewa się szanowna rodzina?

– Kto mówi?

– Nazywam się Daniel.

Elena wzięła głęboki oddech. Poznała ten głos.

– Daniel de la Rocha?

– Do usług. Niestety nie mieliśmy dzisiaj okazji poznać się osobiście. Tak samo jak nie miałem przyjemności spotkać się z pani mężem. Żal mi biednego Eduarda.

Teraz Elena miała problem ze złapaniem oddechu.

– Ale przecież... widziałam, że pan zginął.

W słuchawce rozległ się śmiech.

– Ach, *señora*, naprawdę myśli pani, że skoro nawet pani jakże utalentowany mąż, szkolony w sztuce mordowania przez *gringos*, nie zdołał mnie ukatrupić, to że dam się, ot tak, zastrzelić? Mnie nie da się tak łatwo zabić. Po dzisiejszych wydarzeniach nie mam nawet najdrobniejszego draśnięcia.

– Dlaczego pan do mnie dzwoni? Czego pan chce?

– Zaraz pani wszystko wyjaśnię, choć wiem, że się to pani nie spodoba. Chcę pani dziecka. Musi zapłacić za grzechy ojca. Odda mi pani dziecko, a daruję pani życie. Pani i pani rodzina będziecie bezpieczni.

– Moje dziecko? Zabije pan moje dziecko?

– Owszem, ale to nie będzie takie okropne, jak się wydaje. Zapewniam, że dołożę wszelkich starań, żeby poszło gładko. Może pani po prostu udać się do lekarza, ja w przychodni wszystko wyjaśnię, a oni się panią zajmą i wyjmą z pani to, czego potrzebuję. Spełniając to żądanie, uratuje pani życie i swoje, i reszty rodziny, a przy okazji tych, którzy próbowaliby przeszkodzić mi w dotarciu do pani, w tym waszego tajemniczego *gringo*.

– Chce pan moje... dziecko? Czy pan oszalał?

– Ależ nie, droga pani. Jestem rozsądnym biznesmenem. Proponuję korzystny dla obu stron *deal*. Tyle że oferta jest, jak to się mówi, limitowana. Musi się pani zgodzić natychmiast albo gorzko pożałuje.

– Pan naprawdę postradał zmysły! Proszę zostawić mnie, moją rodzinę i mojego nienarodzonego syna w spokoju! Musimy oswoić się ze stratą tych, którzy zginęli przez pana!

Uprzejmy ton DLR się zmienił. Przestał ukrywać wściekłość:

– Słuchaj, pierdolona suko! To twój mąż próbował mnie zabić! Ale jego życie nie było godziwą zapłatą za to, czego doświadczyłem! Bo było gównie warte! Oddasz

mi dziecko, bo jak nie, to zabiję każde...

Elena rzuciła słuchawkę, zakryła twarz dłońmi i zaczęła krzyczeć. Laura podbiegła do bratowej, objęła ją i przytuliła mocno.

– Boże miłosierny, miej nas w swojej opiece! – rzuciła w rozpacz.

Nagle drzwi się otworzyły. W progu stał Joe.

– Zapomniałeś czegoś? – wydusiła zdziwiona Laura.

Przybysz nerwowo przestępował z nogi na nogę.

– Pomyślałem, że mogę dziś nad wami czuwać. Jeśli jutro zjawią się gliny, to schowam się w łódce Eddiego.

Elena opowiedziała mu o telefonie de la Rochy. Luz, Ernesto, Diego i Laura otoczyli wdowę. Court zacisnął szczęki z przerażenia, słuchając żądań gangstera, który zamierzał zabić jej nienarodzone dziecko.

– Ale dlaczego? – zapytał. – Dlaczego akurat dziecko?

– Nie wiem. Może dlatego, że to jedyny potomek mojego męża.

– Jego dziedzictwo... – szepnął Court, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Ten popierdolony kutas urwał się z jesieni średniowiecza! – Zamyślił się, po czym dodał: – Musicie uciekać daleko stąd, i to natychmiast. Nie ma chwili do stracenia!

– Jedziemy do Tepic. Mamy tam znajomego prawnika. Na pewno... – wyjaśniła Laura.

– Nie ma mowy. Żadnych przyjaciół. Czarne Garnitury są w stanie dotrzeć do wszystkich znajomych mieszkających w pobliżu. Potrzebujecie jakiegoś miejsca na uboczu, gdzie można się zaszyć na dzień czy dwa, aż się zorientujemy, kto jest po waszej stronie – stwierdził, po czym się zawahał. – Jeśli jesteście w stanie wskazać takie miejsce... To pojedę z wami, aby mieć pewność, że dotarliście bezpiecznie.

Ignacio, który jakiś czas temu wszedł do salonu, podrapał się po brzuchu i spojrzął na Courta. – Nasi kuzyni mają chatę w Mazatlan. Może tam?

– Nie. Żadnych krewnych i znajomych.

– Ja znam takie miejsce – wtrąciła Laura.

– Gdzie?

– Stare gospodarstwo wysoko w Sierra Madre, jakieś trzy, cztery godziny w zależności, którą drogą pojedziemy. Należy do rodziców mojego zmarłego

męża, którzy na starość przenieśli się do miasta. O ile mi wiadomo, obecnie hacjenda stoi pusta.

– Tam pojedziemy – oznajmił Court.

Znów przejął dowodzenie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Gdyby Court był sam, wyruszyłby w góry w ciągu minuty. Jednak w tym przypadku towarzyszyło mu sześć osób. Gray Man miał wrażenie, jakby wyrósł mu długi ogon, który ciągnął się za nim, zwracając na niego uwagę innych, a przy okazji zahaczał o każdą napotkaną przeszkodę. Nie mógł więc tak po prostu wyjść przez furtkę na tyłach ogrodu i zniknąć. Musiał czekać, aż zbierze się grupka złożona z trzech kobiet, chłopaka, grubego pijaczyny i starszego mężczyzny. Usiłował ich pośpieszać, a ci przyznawali mu rację, powtarzali, że owszem, nie było chwili do stracenia, po czym wracali do bezsensownego przekładania rzeczy z miejsca na miejsce i plątania się po domu.

Court stanął na warcie. Miał rewolwer z trzema nabojami. Spluwa tkwiła wetknięta za pas spodni na plecach, zasłonięta koszulką. Gentry ustawił się przy fordzie Eddiego. Pojazd mógł pomieścić całą siódemkę. Miał napęd na cztery koła, więc w razie potrzeby można było zjechać nim z drogi. Na dachu kabiny lśniły potężne reflektory, które mogły się przydać na trudnych górskich drogach. Diego pokazał Courtowi, jak sterować światłami i wyciągarką, a także jak włączać silnik pilotem bez wkładania kluczyka do stacyjki.

Gentry nie był zachwycony, że przyjdzie mu prowadzić rzucający się w oczy pojazd, o którego istnieniu na pewno wiedzieli przekupieni przez DLR policjanci, ale za jego radą Diego zamienił tablice rejestracyjne forda na zdjęte z dwudrzwiowej hondy Laury. Miał nadzieję, że ta mała dywersja kupi im co najmniej kilka godzin na ucieczkę z San Blas.

Czekając z rosnącym zniecierpliwieniem na ewakuujących się, Court skupił się na obserwacji bramy otwierającej krótki podjazd. Już po minucie czy dwóch pojawiła się przy niej miejscowa policjantka w średnim wieku, która z zainteresowaniem zerknęła na Gentry'ego. Court widział ją poprzedniego wieczora. Była jedną z funkcjonariuszek pilnujących ogrodu z tyłu domu. Zauważył, że wówczas kilka razy współczująco przytuliła Laurę. Pamiętał to

zapewne dlatego, że większość czasu zajęło mu przypatrywanie się siostrze Eddiego. Court pomachał do kobiety. Nie odpowiedziała, tylko wciąż mu się przyglądała. Teraz jej zachowanie i mimika odbiegały od tego, co prezentowała podczas wieczornego spotkania. Ciekawe, czy wiedziała cokolwiek o jego udziale w wydarzeniach w Puerto Vallarcie.

– Pora się zwijać! – mruknął pod nosem. Doskonale wiedział, że kolejna próba ponaglenia członków rodziny Gamboa byłaby stratą czasu.

Policjantka oddaliła się od bramy, ale wkrótce pojawił się jej kolega. On również długo tu nie zabawił. Po chwili Court usłyszał dochodzący zza ogrodzenia charakterystyczny dźwięk policyjnego radia. Para gliniarzy wciąż tu była. Miał nadzieję, że chodziło im o ochronę rodziny Eddiego, choć trudno powiedzieć, jak właściwie mieliby kogokolwiek obronić przed ewentualną wizytą Czarnych Garniturów przy użyciu gumowych pałek.

Do patrolu dołączył obity biały pikap z dwoma kolejnymi gliniarzami, którzy wyszli z radiowozu i stanęli na ulicy. Tymczasem Diego wyszedł z domu z dwoma wielkimi plecakami, które Gentry pomógł mu włożyć na tył forda. Dwóch kolejnych nieuzbrojonych funkcjonariuszy podjechało na rowerach i zajrzało przez bramę. Court czuł się jak zwierzę w ogrodzie zoologicznym, zwłaszcza że patrzyli na niego przez żeliwne pręty. Policjanci zaczęli nerwowo się naradzać. Po chwili jeden z nich, być może najstarszy rangą, podszedł i wbił wzrok w Gentry'ego. Court uznał, że powinien znaleźć Ernesta i kazać mu z nimi porozmawiać.

Wszedł do środka i udał się do salonu. Tam, ku wielkiemu niezadowoleniu, zastał rodzinę zatopioną w kolejnej modlitwie prowadzonej przez Laurę. Ale Ernesta tam nie było. Zirytowany wybiegł do ogrodu na tyłach domu.

Mężczyzna siedział przy stoliku obok boston whalera, którego Eddie nigdy nie dokończy odnawiać.

Ojciec jego przyjaciela łkał.

„Kurwa, nie mamy czasu na takie zabawy” – pomyślał Court.

– *Perdóname*, Ernesto – powiedział cicho, lecz stanowczo. – Przy bramie wjazdowej ustawiła się policja.

Ernesto spojrział na Gentry'ego.

– Dziś straciłem kolejnego syna i dwóch braci – wykrztusił.

– Bardzo mi przykro. – Tylko to Court mógł odpowiedzieć.

– Moja córka...

– Laura?

– Dasz radę ją chronić?

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby ochronić was wszystkich.

Gamboa wyciągnął dłoń i pogłaskał śliski dziób łódki Eddiego.

– Błagam, Joe. Proszę, pomóż mi uratować to, co zostało z mojej rodziny.

– Obiecuję, zaopiekuję się Loritą. A ty sprawdź, czego chcą gliny.

Ernesto się podniósł, po czym przytulił Amerykanina. Court stał sztywno i czuł się nieswojo. Nawet nie był w stanie wyobrazić sobie bólu wypełniającego serce starego rybaka, ale wiedział, że w żaden sposób nie mógł nic na to poradzić.

* * *

Ernesto wszedł na chwilę do domu. Gdy z niego wyszedł, skierował się do bramy. Court poszedł za nim, przyglądając się jego ruchom. Mężczyzna szedł przygarbiony z pochyloną głową. Fizycznie był silny jak na swój wiek, emocjonalnie ojciec Eddiego się załamał.

Otworzył bramę. Korpulentny wąsaty policjant stanął tuż przed nim.

– Dzień dobry, panie sierżancie. Słyszał pan, co się wydarzyło?

– *Sí, señor Gamboa.* Proszę przyjąć kondolencje – rzekł funkcjonariusz, po czym obaj panowie uścisnęli się niezręcznie.

Court wciąż stał przy fordzie. Nie chciał, aby jego obecność czy jakiegokolwiek związane z nią podejrzenia sprawiły problemy.

– Tu nie jest dla nas bezpiecznie. Los Trajes Negros próbowali nas dziś zabić. Lada moment stąd wyjedziemy – powiedział Ernesto.

Sierżant rozejrzał się dookoła i oznajmił:

– Bardzo mi przykro, Ernesto, ale muszę prosić, abyście nie wyjeżdżali z San Blas.

– Dlaczego?

– Cóż... Prawdę mówiąc, nie wiem. Dzwonił do nas szef policji stanowej Nayarit. Otrzymałem rozkaz, żebyście tu zostali.

Ernesto pokiwał głową.

– Rozumiem.

Tymczasem reszta rodziny już wyszła na podjazd. Nieśli torby, pudełka i pakuneczki, wypełniając pikap Eddiego po sufit, a przecież miało się w nim zmieścić jeszcze siedem osób. Po zapakowaniu auta Laura i Elena podeszły do Ernesta. Wkrótce dołączyli do nich pozostali. Ernesto i sierżant wciąż rozmawiali.

Policjant był uprzejmy, ale nalegał, aby rodzina pojechała z nim i resztą funkcjonariuszy do pobliskiego komisariatu i tam czekała na dalsze decyzje jego przełożonych.

Ernesto podziękował za propozycję ochrony, ale nie zgodził się na eskortę lokalnej policji. Na rozgrzanej ulicy dwaj panowie, niczym wytrawni brydżyści ostro, acz uprzejmie, trwali w impasie.

Zniecierpliwiony Gentry ruszył w ich stronę.

„Kończcie już z tymi cholernymi uprzejmościami” – pomyślał.

Choć tutejsi policjanci nie byli niebezpieczni i nawet nie próbowali nikomu grozić, to opóźniali ucieczkę przed Czarnymi Garniturami, tym samym stanowiąc zagrożenie dla planu Courta.

Odezwał się więc po hiszpańsku:

– Panie sierżancie, poprosił ich pan, żeby zostali, a oni odmówili. Nie ma już nic do dodania. *Adios!* – Spojrzał na rodzinę Eddiego. – Wszyscy, do samochodu. Jedziemy.

– *Señor* może jechać, dokąd chce – odparł sierżant. – Nasze rozkazy nie dotyczą pana. Mamy sprowadzić *la familia Gamboa* na posterunek. – To rzekłszy, zwrócił się do seniora rodu: – Obiecuję, że was ochronimy. Zapraszam tędy. – Wąsacz się uśmiechnął i wskazał białego policyjnego pikapa, jak gdyby wszyscy mieli się zmieścić na naczepie.

– Aresztuje ich pan? – zapytał Court.

– Oczywiście, że nie. Po prostu chcemy przypilnować, żeby nic im się nie stało.

– Nigdzie się nie wybierają, chyba że ze mną. A teraz uprzejmie proszę o zejście nam z drogi.

– *Amigo*, jeśli zamierza pan przeszkadzać w działaniach policji, mogę pana aresztować.

– A spróbuj pan. – Court spojrział groźnie na korpulentnego gliniarza, ale nie przewidział rozmiarów jego *machismo*. Owszem, Gentry nie zmęczyłby się w konfrontacji z otyłym wąsaczem w średnim wieku, sęk w tym, że nie bał się on bójki i nie zamierzał dać za wygraną.

Mężczyźni łypali na siebie groźnie. W końcu sierżant Martinez powiedział:

– Poproszę o dokumenty.

Gentry nawet nie mrugnął.

– Tak się składa, że mam ich niezbyt wiele.

– Paszport? Albo kartę wjazdu?

Court tylko potrząsnął głową.

– *Nada*.

– Jak się pan dostał do Meksyku?

– Przekupiłem jednego z pańskich kolegów w Chiapas. Wpuścił mnie z Gwatemali. Nie wiem, czy pan sierżant wiedział, że macie tu strasznie dużo przekupnych glin.

Wąsy policjanta drgnęły, ale poza tym się nie poruszył. Dłuższą chwilę przyglądał się Gentry'emu. Court czuł, jak w głowie sierżanta przekręcają się trybiki. Na pewno się zastanawiał, ile kłopotów jeszcze narobi ten *gringo*.

Ernesto zrobił krok do przodu, zmuszając ich do przerwania rywalizacji o to, kto pierwszy mrugnie. Postanowił rozładować sytuację.

– *Bueno*, panie sierżancie. Wszystko w porządku. Przyjmujemy propozycję ochrony. Pojedziemy z wami.

– Nie wsiadaj do tego samochodu – burknął Court, ale Ernesto i Luz ruszyli już w stronę policyjnego pikapa. Court powtórzył przestrożę Elenie, która podążyła za teściami. Wyglądała na zdenerwowaną i zdezorientowaną, ale przyjęła z rezygnacją, że jednak nie będą natychmiast uciekać z San Blas.

Za nią ruszyła Laura. Szepnęła do Gentry'ego:

– Przecież to są nasi przyjaciele. Oni nie mają nic wspólnego z *narcos*.

– Ale nie są w stanie was ochronić. A jeśli zjawią się *sicarios* albo przyjadą po was *federales*? Przecież ich nie zatrzymają. Jeśli policja stanowa albo wojsko...

Nagle na drodze rozległ się hałas. Od strony pobliskiego placu w ulicę Calle Canalizo, przy której stał dom Eddiego, wjechały trzy oliwkowe ciężarówki. Na

platformie każdej z nich stało po dwóch opartych o kabinę żołnierzy w pękatych zielonych kurtkach, którzy trzymali w pogotowiu potężne czarne karabiny HK G3. Kolejnych dwóch wojskowych siedziało na ławkach i mierzyło ze spluw na ulicę. Court policzył, że wraz z kierowcą i pasażerem przyjechało osiemnastu uzbrojonych żołnierzy.

– ...albo wojsko – powtórzył Court bardziej do siebie niż do Laury.

Teraz jego trzy naboje magnum .357 wydały się nic niewarte.

Ciężarówka się zatrzymała. Żołnierze wysypali się na ulicę i zaczęli rozmawiać z szóstką policjantów, którzy – uzbrojeni w gumowe pałki i ubrani w błękitne koszulki polo – wydawali się wręcz komicznie nieprzygotowani do jakiegokolwiek obrony.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Pięć minut później nic się nie wyjaśniło – prawdę mówiąc, sytuacja stała się jeszcze bardziej niebezpieczna. Nadjechał kolejny pikap pełen miejscowych gliniarzy, których teraz było jedenaścioro. *Municipales* stali w linii naprzeciw żołnierzy Armii Obrony Narodowej. Sierżant i porucznik prowadzili ożywioną dyskusję. Na początku była uprzejma, wkrótce jednak zrobiło się gorąco.

Zaczęły się przepychanki. Jeden z żołnierzy oparł się o samochód policyjny. Młody policjant go odepchnął. Porucznik krzyknął coś do swoich ludzi, a ci wymierzili karabiny w miejscowych stróży prawa.

Na Calle Canalizo było tyle testosteronu i rozbujanego *machismo*, że lada moment mogła się rozpętać walka równie zażarta jak ta, która miała miejsce w Puerto Vallarcie.

Ignacio oparł się o ścianę domu. Kiedy pojawiło się wojsko, od razu podniósł ręce w geście poddania się. Kiedy spostrzegł, że nikt inny tego nie zrobił, powoli je opuścił.

Z wypowiedzi porucznika Court wywnioskował, że dostał on rozkaz, aby zabrać wszystkich Gamboa do Puerto Vallarty. Natomiast policja z San Blas miała zatrzymać rodzinę do czasu, aż przyjedzie policja stanu Jalisco, która przewiezie ich do Puerto Vallarty na przesłuchanie.

Bliscy Eddiego nie chcieli nigdzie jechać, a na pewno nie z wojskiem lub policją. Wydało im się podejrzane, że obie grupy twierdziły, iż wykonują rozkazy tej samej instytucji, choć były one sprzeczne.

Court był pewny, że co najmniej jedna z grup rywalizujących o przejęcie kontroli nad rodziną Eddiego kłamała. Nie zdziwiłby się, gdyby tak naprawdę obie pracowały czy to dla *narcos*, czy dla skorumpowanych jednostek wewnątrz swoich organizacji, bezpośrednio lub nieświadomie. Rywalizacja między wojskiem a policją szybko przybrała charakter osobisty, dyskusja przerodziła się w pogrożki, doszły do tego przepychanki i wymiana wściekłych spojrzeń. Z każdą mijającą

sekundą Gentry utwierdzał się w przekonaniu, że w tej popołudniowej walce o władzę na zakurzonej ulicy San Blas tak naprawdę wcale nie chodzi o ustalenie jurysdykcji, ale o nagrodę, którą de la Rocha wyznaczył za głowy krewnych Eddiego. Obie grupy – a na pewno przełożeni obu grup – usilnie starały się ją zdobyć.

Rodzina Gamboa i Gentry stali na ulicy przed domem. Ford był zapakowany i gotowy do drogi. Court zastanawiał się przez chwilę, czy uda się skorzystać z zamieszania i zapakować wszystkich do samochodu, a potem po prostu odjechać, jednak porzucił ten pomysł, kiedy żołnierze ustawili się na ulicy po obu stronach bramy. Przyjdzie im poczekać na rozwiązanie sporu, którzy szczęśliwcy zajmą się rodziną Eddiego.

Gołym okiem było widać, że lokalna policja nie miała szans na zwycięstwo, jednak wzburzony sierżant Martinez nie zamierzał odpuszczać.

Nagle od północy doszedł ich odległy szum silników. Hałas narastał. Różnił się od innych odgłosów w miasteczku, po którym jeździły przeważnie stare dryndy, zdezelowane pikapy z silnikami po przejściach oraz motocykle dymiące bardziej niż lokomotywa.

Strzelcy w ciężarówkach zwrócili lufy na północ, w kierunku nadciągających pojazdów, zerkając pytająco na dowódcę.

Court doszedł do wniosku, że gdyby nie był zaangażowany w to zajście, to mógłby uznać za dość komiczne, że policjanci i wojsko nie wiedzieli, kto nadjeżdża i jakie będą tego konsekwencje. Stali, usiłując sprawiać wrażenie twardych i zdecydowanych, choć zapewne zdawali sobie sprawę, że lada moment sytuacja może dramatycznie się zmienić.

Od strony Calle Sinaloa, ulicy odchodzącej od Plaza Mayor, wjechały w Calle Canalizo dwa motocykle. Nawet z odległości dziewięćdziesięciu metrów Court dostrzegł mundury, kaski, maski i ciemne gogle policji federalnej. Ich motory były białe z zielonymi akcentami. Gentry poznał, że to potężne suzuki crotch rocket. Funkcjonariusze zbliżali się w stronę zgromadzonych przed domem Eleny.

Sytuacja wydawała się klarowna. Choć *federales* było tylko dwóch, oni tu rządzą.

Gentry był niemal pewny, że te przebrane za ninja fagasy to członkowie oddziału, którego szeregi mocno przerzedził w Puerto Vallarcie. Ciekawe, czy to

była ta sama dwójka *sicarios*, która rozstrzelała rodziny agentów GOPES-u u szczytu schodów, uniemożliwiając im ucieczkę z Parque Hidalgo.

Uznał, że to prawdopodobne.

– Hurra! Jesteśmy uratowani... – mruknął sarkastycznie pod nosem.

Przez chwilę, naprawdę krótką chwilę, rozważał wycofanie się do domu i wymknięcie się cichaczem przez bramkę w ogrodzie. Dałby radę zostawić to wszystko, dałby radę uciec.

Ale nie uciekł.

Nowo przybyli zaparkowali na środku jezdni. Przez plecy lufą do dołu mieli przewieszane pistolety maszynowe kolt 635 SMG, a w dopinanych kaburach na udach tkwiły czarne pistolety. Ich czarne buty lśniły. Kopnęli podpórki i równocześnie zeszli z motocykli. Byli pewni siebie i dali zebrany do zrozumienia, że oni tu rządzą.

Policjanci federalni minęli żołnierzy i rodzinę Gamboa i ruszyli do sierżanta miejscowej policji. Jeden z motocyklistów szepnął coś korpulentnemu glinie. Martinez już chciał coś odpowiedzieć, ale *federale* go uciszył, kładąc po przyjacielsku dłoń w rękawicy na jego ramieniu.

Martinez raz jeszcze próbował się postawić, nawet wypiął buńczucznie pierś, *federale* jednak pokręcił głową i wciąż mówił cicho, ale dobitnie.

Po minucie rozmowy sierżant pokiwał głową, odwrócił się do swoich ludzi i wydał rozkaz odwrotu.

Sprawę przejęli federalni.

Gentry bynajmniej się nie zdziwił, że pierwsi wycofali się miejscowi gliniarze. Sierżant Martinez wydawał się nieco zawiedziony. Może martwił się tym, że jego przełożeni będą wściekli, albo tym, że nie dostanie nagrody, którą obiecywały Czarne Garnitury. Był jednocześnie wdzięczny, że wyżsi rangą wybawili go z impasu.

Jednak to, że słabo zmotywowana banda *municipales* uzbrojonych w pałki się wykruszyła, nie dodało Courtowi otuchy.

Policjanci się ulotnili. Teraz *federale* zwrócił się do porucznika. Żołnierz próbował dyskutować, nawet podniósł głos, ale jego rozmówca pozostał nieugięty. Court ledwo rozumiał wymianę zdań, jednak domyślił się, że ninja tłumaczy

wojakowi, że rodzina Gamboa i *gringo* zostaną zabrani do Puerto Vallarty nie przez wojsko, tylko przez policję federalną.

Koniec dyskusji.

Pozostając na miejscu, Court dużo ryzykował. Znalazł się w takiej samej sytuacji jak pozostali. Stanął obok Laury i oparł się o pobielany mur otaczający posiadłość Eleny i Eddiego.

Ernesto i Diego przynieśli ławkę z ogrodu, żeby Luz i Elena mogły odpocząć. Kobieta i jej ciężarna synowa usiadły i wachlowały się jakąś gazetą.

Laura nachyliła się do Courta i szepnęła mu do ucha:

– Rozumiesz, co mówią?

Od ponad minuty niczego nie pojmował.

– Nie, co się dzieje?

– Ten *federale* obiecał, że przekaże *La Araña*, że ten oddział zasłużył na nagrodę, ponieważ zaopiekował się naszą rodziną do czasu, aż przybyli *federales*.

Court się zamyślił.

– *La Araña*? Kim, do diaska, jest ten „Pająk”?

– To Javier Cepeda.

– Kim on jest?

– To jeden z najbliższych współpracowników DLR. Czarny Garnitur. Mówi się, że to przywódca *sicarios*, zabójców pracujących dla Daniela.

– Miodzio.

– Joe... Grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo.

Już miał mruknąć: „Co ty powiesz?”, ale spojrzał na dziewczynę, prosto w jej wielkie brązowe oczy i ugryzł się w język.

– Damy radę – szepnął.

– Co zrobimy?

– Jeszcze nie wiem.

– To dlaczego mówisz, że damy radę?

– Mam trzy naboje. Federalnych jest dwóch. Jedziemy z nimi i damy radę.

Oczy Laury rozszerzyły się jeszcze bardziej.

– Joe... Proszę, nie zabijaj ich... Możemy ich rozbroić, a potem...

– Nie zabiję ich, dopóki mnie do tego nie zmuszą – odparł Gentry, choć przeczuwał, że zostanie zmuszony.

Negocjacje *federales* z wojskiem zdawały się zmierzać ku końcowi. Court przyglądał się temu z niekłamanym zainteresowaniem. Dwóch lekko uzbrojonych federalnych przeciwko prawie dwudziestce uzbrojonych po zęby żołnierzy. Żaden z nich nie machał bronią, nie krzyczał do krótkofalówki, nie wzywał posiłków, nikomu nie groził. Court podejrzewał, że to dlatego, że gliniarze byli starsi i pewni siebie, a to musiało imponować młodemu porucznikowi.

Court był pewien, że to typy spod ciemnej gwiazdy, ale w tej drobnej potyczce im kibicował.

Ich pewność siebie i spokój poskutkowały. Porucznik kazał swoim ludziom wrócić do wozów. Po chwili trzy wojskowe ciężarówki odjechały i zniknęły za rogiem.

Dwójka *federales* odprowadziła żołnierzy wzrokiem, po czym odwróciła się w stronę domu Eleny.

Znaleźli się półtora metra od wycelowanej w nich lufy rewolweru *gringo*.

* * *

Funkcjonariusz, który prowadził negocjacje, podniósł ręce i odezwał się cicho doskonałą angielszczyzną:

– Radzę zabrać tę spluwę przed mojej twarzy, *amigo*.

– Gdybym był twoim *amigo*, nie celowałbym w ciebie. Na ziemię, obaj! Twarzą w żwir, ręce na zewnątrz!

– Proszę posłuchać, *señor*...

– Szanowny *señor* niech się zamknie, bo jak nie, to mu odpierdolę kaczy łeb. *Comprende?*

Federales powoli osunęli się na kolana i położyli na rozgrzanej brudnej ulicy.

– Nie rozumiesz... Nie jesteśmy zwykłymi *federales* jak ci, co zabili resztę rodziny.

Court zmarszczył brwi.

– Och, cudnie. Czyli jesteście po prostu zwykłymi mordercami na zlecenie. To sprawia, że zabicie was będzie mniej skomplikowane.

– Nie. Należymy do El Grupo de Operaciones Especiales. W skrócie GOPES. Major Gamboa był naszym dowódcą. Przybyliśmy, aby chronić jego rodzinę przed Czarnymi Garniturami.

Court wciąż trzymał ich na muszce.

– Gówno prawda. Przecież cały oddział Eddiego zginął na jachcie.

– Nie. My przeżyliśmy. Postanowiliśmy się ukryć, aby chronić nasze rodziny.

Court uklęknął nad mówiącym.

– Skoro tak, to jak wytłumaczysz krew na swoich portkach? – Court wskazał na czerwoną plamę na udzie *federale*.

Funkcjonariusz próbował się podnieść, ale Gentry przycisnął koniec lufy rewolweru do tyłu jego głowy. Zmusił go, żeby odpowiedział z twarzą zwróconą ku ziemi.

– Jechaliśmy tu moim autem. Przez radio na częstotliwości Czarnych Garniturów wyłapaliśmy wiadomość. Dwóch *sicarios* z *federales* rzeczywiście zostało tu wysłanych, żeby zabić panią majorową. Dopadliśmy ich piętnaście kilometrów stąd na południe, wyeliminowaliśmy, po czym zabraliśmy ich rzeczy i motory.

Court nie wiedział, czy może wierzyć w tę historię, ale musiał przyznać, że brzmiało to przekonująco, mimo że porozumiewali się mieszaniną dwóch języków. Gentry wychwycił nutę prawdy w ich relacji. Chciał jednak upewnić się jeszcze co do tego drugiego. Przyłożył koniec lufy do jego szyi.

– Mówisz po angielsku? – zapytał.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową, więc Court przeszedł na hiszpański.

– *Bueno*. A ty jak mi się wytłumaczysz, *cabrón*?

Mężczyzna nic nie odpowiedział, ale spojrzał na Courta, obracając nieco przy tym głowę. Przesunął prawą dłoń po rozgrzanym asfalcie aż do twarzy, po czym zdjął kask, okulary i maskę.

Jego policzek i szczęka były koloru czarnoniebieskiego, paskudny siniak od uderzenia pięścią rozlał się po twarzy. Court przypomniał sobie o *federale*, którego powalił w budynku koło Parque Hidalgo. O zamaskowanym mężczyźnie, któremu przywalił tak mocno, że tamten stracił przytomność.

– To moje dzieło?

– Sí – przyznał funkcjonariusz. Jego twarz była tak spuchnięta, że gdy mówił, brzmiało to tak, jakby w gardle ugrzęzła mu piłka tenisowa.

„Hm...” – zamyślił się Court. Czyżby ten człowiek rzeczywiście był tam po to, aby chronić przemawiających? Wtedy nie miał jak tego sprawdzić, przyłożył mu, zanim zaczęła się prawdziwa walka.

– Sorki – mruknął Court.

– *No hay problema*. Nie ma sprawy – odparł policjant federalny.

Gentry podejrzewał jednak, że szczęka da mu się we znaki przez kilka dni.

– Jak się nazywasz?

– Martin. Sierżant Martin Orozco Fernandez.

Court zerknął na pierwszego i zapytał:

– A ty?

– Sierżant Ramses Cienfuegos Cortillo.

– Gdzie się tak dobrze nauczyłeś mówić po angielsku, Ramses?

– Jako dziecko przez sześć lat mieszkałem w Teksasie, w El Paso.

– Jesteś obywatelem USA?

– Nie.

– Kumam. A więc byłeś nielegalsem?

Ramses spojrzał na klęczącego nad nim Amerykanina.

– Wolę termin „nieudokumentowany imigrant”.

– Nie wątpię.

Meksykanin się uśmiechnął.

– A ty to kto? Widziałem, coś nawyczyniał. Jesteś zawodowym zabójcą.

– Wolę określenie „nieudokumentowany egzekutor”.

Ramses pokiwał głową.

– Pracujesz dla rządu amerykańskiego?

– Nie. Jestem starym kumplem Eddiego, który przypadkiem znalazł się w samym środku tego szamba.

– I zostałeś, żeby pomóc? – Ramses przez chwilę rozmawiał z Martinem po hiszpańsku, po czym zwrócił się do Courta. – Możemy wstać?

– Tylko powoli. – Court wciąż nie opuszczał rewolweru. – Co robiliście w Parque Hidalgo?

Ramses zaczął tłumaczyć.

– Domyśliliśmy się, że może być gorąco. Przyjechaliśmy czuwać nad rodzinami zmarłych kolegów. Martin zajął się obserwacją terenu, ja wmieszałem się w tłum. Wypatrzyłem strzelców, gości od mokrej roboty na garnuszku Czarnych Garniturów. A potem pojawił się de la Rocha we własnej osobie.

– A wtedy...? – zapytał Court, choć domyślał się odpowiedzi.

– A wtedy... Wtedy strzeliłem. Dwa razy. – I dodał zdziwiony: – Wiem, że nie spudłowałem. Nie mam pojęcia, jakim cudem przeżył. A potem rozpętała się krwawa jatka.

Court mu uwierzył. Po oczach, głosie i mowie ciała poznał, że jest tak samo zszokowany sytuacją jak on. Schował rewolwer i zaprosił mężczyzn do domu Eddiego. Jego rodzina zdążyła już wejść do środka. Laura znów prowadziła rodzinną modlitwę, dziękując Bogu za szczęśliwe zakończenie zdarzenia sprzed domu.

Court zapytał agentów:

– Udajecie martwych i kręcicie się po okolicy? To nie brzmi jak dobry plan.

– Nie możemy wrócić do domów. Zależy nam, żeby nikt się nie dowiedział, że przeżyliśmy. Bo wtedy... wtedy nasze rodziny czekałby taki sam los jak innych. Wiemy, że długo nie pożyjemy. Ale przynajmniej nasze rodziny są bezpieczne. A jeśli przyjdzie nam zginąć, chroniąc rodzinę naszego majora, cóż, to będzie zaszczyt umrzeć taką śmiercią. Jeśli się stąd zmywacie, pojedziemy przed wami, żeby sprawdzić, czy droga wolna. W końcu będziemy musieli porzucić gdzieś motory, ale na razie chyba bezpieczniej będzie z nich korzystać.

Court pokiwał głową. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie wykorzystać sytuacji jako wymówki i się nie zmyć. Teraz Elena mogła liczyć na przyjaciół męża, dwóch sprawnych obrońców jej i rodziny. Ale stwierdził, że tym rozumowaniem próbuje się przed sobą usprawiedliwić. Owszem, ci dwaj są pewnie lepiej wyszkoleni niż cała banda zwykłych przekupionych glin czy zabójców pracujących dla karteli, ale problem polegał na tym, że skorumpowanych glin i zabójców były tu całe zastępy. Court nie mógł, ot tak, zmyć się tylko dlatego, że rodzina Eddiego zyskała dwóch sojuszników.

Postanowił, że zostanie dopóty, dopóki nie będzie już potrzebny, i że będzie współpracować z tymi dwoma.

Ale obiecał sobie uważać na nich. W końcu nikomu nie można ufać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Do hacjendy dotarli po dwudziestej pierwszej. Udało im się dojechać na jednym baku benzyny. Court ani razu się nie zatrzymał, a potężny napęd na cztery koła okazał się nieodzowny na kamienistych górskich serpentynach. Tak jak zapowiadała Laura, było to odludne miejsce. Dom znajdował się w dolinie. Pół godziny przed dotarciem na miejsce niewielki konwój przetoczył się przez miasteczko Tequila, a potem wjechał w pola agawy. Hacjendę otaczał las i nieuprawiane, częściowo zarośnięte tereny będące niegdyś polami uprawnymi. Court słuchał wskazówek Laury. Ford Eddiego jechał pierwszy, za nimi podążały dwa suzuki. Na znak prowadzącej zjechali z jednopasmówki na żwirówkę, którą zamykała pordzewiała żeliwna brama pod łukiem z pobielonego kamienia. Po obu jego stronach ciągnął się biały mur, którego znaczna część ginęła w ciemnościach. Court uznał, że otacza on całą posiadłość. Ramses zahamował, przeciął łańcuch oplatający pręty obcęgi znalezione w skrzynce z narzędziami w aucie Eddiego, po czym mocnym pchnięciem otworzył bramę. Gentry usłyszał przejmujące skrzypnięcie zardzewiałych zawiasów, mimo że szyby w oknach samochodu nie były opuszczone, aby nie wpuszczać do środka zimnego górskiego powietrza.

Policjanci wsiedli na motory i pojechali przodem długim podjazdem z kocimi łbami prowadzącym przez pagórkowaty teren. Pomiędzy kamieniami wyrastały gęste kępki chwastów. Pobocze drogi było zarośnięte, więc ford ocierał się o zarośla. Otoczenie wyglądało na od lat niezamieszkaną. W świetle reflektorów samochodu widzieli dziką przyrodę, pola na wzgórzach leżące odłogiem, zarośnięte sosnami, kaktusami, cyprysami, limetkami i drzewami pomarańczowymi, pnączami i wysokimi trawami.

Laura tłumaczyła, że posiadłość, zarówno to, co znajdowało się za murami, jak i pola rozciągające się wiele kilometrów wokół nich, stanowiły niegdyś rozległą hacjendę zbudowaną w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku. Była tu

plantacja agawy. Część posiadłości, w której teraz się znajdowali, to środek gospodarstwa. Wskazała ruiny kamiennych budowli otoczone drzewami, obrośnięte pnączami, geranium i azaliami.

Wkrótce dotarli do *casa grande*, „wielkiego domu” – głównego budynku mieszkalnego w kompleksie. Gentry stwierdził, że z potłuczonymi kafelkami, pobielanymi i pomalowanymi na różowo ścianami dom wyglądał jak nawiedzony. Porastał go gęsty bluszcz, który wił się wokół kolumnienek biegnących wzdłuż długiego ganku i wspinał po metaloplastyce aż na balkon na piętrze, skąd wplatał się w bryłę. Zaparkowali na okrągłym, wysypanym żwirem podjeździe, pośrodku którego stała fontanna. Nad nią wznosiła się ponadpółmetrowa kamienna rzeźba anioła. Skrzydła były połamane. Pustymi oczami wpatrywała się groźnie w Courta przez przednią szybę samochodu. Gentry wyłączył silnik i reflektory. W świetle księżycy dostrzegł, że fontanna była zarośnięta glonami i pełna śmieci.

Nagle w oknie na piętrze coś się zaświeciło.

Było to bardzo słabe światło, ruchliwe niczym płomień świecy.

– Ktoś tu jest – rzucił Court, spoglądając na Laurę, która miała oczy szeroko otwarte ze zdziwienia.

– Przecież to niemożliwe! Od trzech lat nikt tu nie mieszka.

Gentry wysiadł i ruszył przez żwirowy podjazd. Laura pobiegła za nim, po czym chwyciła go mocno za ramię.

– Musimy stąd odjechać. Nie możemy nikogo więcej narażać.

– A dokąd pojedziemy? Elena musi odpocząć po czterogodzinnej przejażdżce po wertepach. Musimy tu zostać, choćby na jedną noc.

Laura skrzywiła się zaniepokojona, ale zamilkła. Podeszła za nim i dwoma meksykańskimi funkcjonariuszami po kruszących się schodkach pod wielkie dębowe drzwi z żelaznymi elementami. Gentry zapukał, trzymając prawą rękę tuż przy kolbie rewolweru wetkniętego za pas.

Laura podeszła do niego.

– To może być dozorca albo ktoś z sąsiedniego pueblo, kto akurat tu wszedł. Spróbuję z nim porozmawiać.

– Jak chcesz.

Po chwili drzwi otworzyły się bardzo powoli. Oczom zgromadzonych ukazał się ciemny, wyłożony kafelkami korytarz, a w nim mężczyzna, który zrobił krok do

tyłu. Trzymał dwururkę wycelowaną w klatkę piersiową Courta. Światło księżyca sprawiało, że wyglądał jak zjawa.

Gentry nie sięgnął po broń. Rozumiał podejrzliwość tego człowieka. Miał nadzieję, że siostra Eddiego zdąży szybko wyjaśnić sytuację i udobruchać mężczyznę.

Laura pisnęła zaskoczona. Zasłoniła dłonią usta i powiedziała cicho:

– *Buenas noches, señor Corrales.* To ja, Laura, żona Guillerma.

– Guillerma?

– Tak, Guillerma, waszego syna.

Mężczyzna był znacznie starszy od Ernesta. Nad ustami zwisały długie białe wąsy. Zapewne dopiero się obudził, zmierzwiony zarost sterczał na wszystkie strony.

– *Sí, señor Corrales. ¿Cómo está Usted?*

– Guillermo tu jest? – zapytał starzec.

– *No, señor* – szepnęła Laura – Guillerma tu nie ma.

Nagle w struzce księżycowego światła za mężczyzną ukazała się kolejna postać. Szła z głębi domu w stronę drzwi.

– Lorita? – rozległ się głos starszej kobiety.

– Dobry wieczór, Inez. Jak się masz?

– W porządku, maleńka. – Kobieta podeszła bliżej i przytuliła mocno dziewczynę. – Luis, opuście wreszcie tę broń i pozwól im wejść do środka.

Mężczyzna opuścił dwururkę, przeszedł przez próg, po czym przytulił Courta. Po hiszpańsku zawołał:

– Guillermo, synu. Ale żem tęsknił.

Señor Corrales cierpiał na demencję.

Pięć minut później przybysze i mieszkańcy hacjendy siedzieli przy świetle świec w ogromnym salonie. Kręte schody prowadziły na górę, z pokoju widać było antresolę z balustradami otaczającą salon, ale w ciemności Gentry dostrzegł tylko zarys barierek. Inez, teściowa Laury, przyniosła butelkę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, rozlała go do nadtłuczonych szklanek i plastikowych kubków i postawiła na długim drewnianym stole. Po chwili pojawiła się butelka tequili, ale tylko Ignacio postanowił pić sok pomarańczowy z procentami.

Casa grande był ogromny, ale znajdował się w takim stanie, jakby miał lada moment zawalić się na głowy mieszkających w nim małżonków. W kątach zaciemnionego salonu rozciągały się pajęczyny, na podłodze było pełno kurzu, a solidne dębowe i cedrowe meble skrzypiały ze starości.

Sufit był wysoko, podłogę wyłożono kafelkami. W pomieszczeniu unosił się zapach wosku, kurzu i stęchlizny. Słowa odbijały się echem od ścian. W domu panowała prawie klasztorna atmosfera. Gentry nie mógłby mieszkać w tak mrocznym miejscu.

Po ścianach i suficie przemykały czarne i zielone jaszczurki, pojawiając się w świetle świec lub niknąc wśród długich cieni.

Court podejrzewał, że jedynym źródłem energii elektrycznej był mały gazowy generator trzeszczący tuż za kuchnią. Inez poświeciła latarką i podeszła do wiszącego w kącie pokoju olejnego kinkietu, który zapaliła zapalkami. W pokoju zrobiło się jaśniej.

Luis Corrales siedział w wielkim fotelu, przyglądając się niezapowiedzianym gościom. Gentry zauważył, że mężczyzna myślami przebywa gdzieś indziej. Szybko też się zorientował, że i z żoną Luisa nie wszystko jest w porządku. Kiedy Laura ostrożnie i szczerze wyjaśniła powód ich wizyty, Inez zdawała się na tyle poczytalna, żeby zrozumieć trudne położenie, w którym znalazła się jej synowa.

Kobieta zgodziła się, aby wszyscy zostali w hacjendzie tak długo, jak tego potrzebują, i oznajmiła, że ich los jest „w rękach Boga”, po czym poprowadziła gości w ciemny korytarz. Tam poprosiła, by złączyli ręce przed wbudowaną w ścianę wnęką, w której stał *Cristo*, drewniana figurka Chrystusa otoczona świecami wotywnymi. Ich zapalenie zajęło jej kilka minut. Kapliczka i twarze zgromadzonych otuliła czerwona poświata. Następnie kobieta poprosiła Laurę o poprowadzenie modlitwy. Court rozumiał niewiele słów, pewnie nie znałby większości, nawet gdyby były po angielsku. Pozostali modlili się, choć Gentry wyczuł, że z różnym przekonaniem.

Później Luz poszła z Inez poszukać wygodnego miejsca dla Eleny. Jazda po wybojach zmęczyła ją, ale wdowa nie narzekała, co Court doceniał. Przez całą drogę ani razu nie przemówiła się ze szwagierką.

Kiedy wypakowywali rzeczy z forda, Gentry wziął Laurę na stronę i spytał:

– Co z nimi jest nie tak?

– Z kim?

– Z twoimi teściami.

– Są tylko troszkę *loco* – odparła.

– Tylko troszkę?

– Hazienda jest w posiadaniu Corralesów od ponad dwustu lat. Luis całe życie tu mieszkał, był *jimadorem*, zajmował się uprawą agawy. Ale od pewnego czasu choruje na alzheimera. Natomiast Inez... Myślę, że też powoli traci kontakt z rzeczywistością. Po śmierci Guillerma się załamali. On był ich całym światem.

– To dlaczego myślałaś, że ich tu nie będzie?

– Przenieśli się do Guadalajary do domu starców. Ale Inez wyjaśniła mi, że skończyły im się pieniądze, więc wrócili. Gdybym tylko wiedziała, to przenigdy bym nas tu nie sprowadziła...

– Nic się nie stało.

– Ale może się stać. Zatrzymując się tutaj, wystawiamy ich na niebezpieczeństwo.

– Więc może oni daliby radę gdzieś wyjechać na czas naszego pobytu?

Laura pokręciła przecząco głową.

– Spójrz na nich, Joe... Dokąd mieliby wyjechać? Musimy ich bronić.

– Nie jestem w stanie obiecać, że sami będziemy potrafili się obronić. Jeśli DLR nas znajdzie, to przeprowadzi ostre natarcie. Jego *sicarios* są gotowi zabić wszystkich, byle tylko dotrzeć do Eleny.

Laura wyglądała, jakby miała się rozplakać. Spojrzała w stronę lasu.

– Przecież to jest ich dom. Jeśli ktokolwiek miałby stąd wyjechać, to my.

– Tak, ale to nas próbuje zamordować szef kartelu. Musimy tu zostać, dopóki nie wymyślimy, dokąd się udać.

Laura miała wciąż ten sam wyraz twarzy. W końcu spojrzała na Courta.

– I tak wszystko w rękach Boga.

– Być może. Ale jeśli ani ty, ani Bóg nie macie nic przeciwko, to wolę sprawdzić, czy dobrze zamknęliśmy drzwi.

* * *

Tuż przed dwudziestą drugą Court z Martinem i Ramsesem zrobili obchód posiadłości wewnątrz murów. Cała trójka była zgodna: ta wielka, opuszczona hacjenda na górzystym odludziu to wyśmienita kryjówka, ale gdyby przyszło co do czego, nie uda się im odeprzeć jakiegokolwiek ataku. Wprawdzie posiadłość otaczał mur wysoki na trzy metry, ale był porośnięty winoroślą i bez trudu dało się go sforsować. Ogromne patio na tyłach domu i ogród były doskonale widoczne z balkonu, lecz cały teren porastały krzewy i drzewa. Było tu wiele pomników, włącznie z czterechsetletnim akweduktem, długim ciągiem podcieni i wyłożonymi terakotą altanami, że nieprzyjaciel nadciągający do *casa grande* z każdej strony miał się gdzie ukryć.

Wewnątrz murów stało sporo budynków. Były tu prosta, pokryta dachówką kamienna kaplica, szopa ogrodowa, rozsypujące się drewniana obora i stajnie. Wszystko to sprawiało, że hacjenda wyglądała raczej jak mała osada za murami niż jak warowny zamek.

Court nie miał złudzeń – wiedział, że długo nie mogą tu zabawić. Jeśli Czarne Garnitury ich znajdą, łatwo zdołają ich otoczyć, przedostać się przez mur i zdobyć dom.

Kiedy kroczyli w ciemności, sprawdzając, czy wszystkie bramy są zamknięte i nie ma dziur w ogrodzeniu, co chwila potykali się o ostre wrzecionowate liście agawy. Podczas patrolu terenu Court zapytał Ramsesa:

– Jak właściwie udało wam się wydostać z jachtu DLR?

Meksykanin odpowiedział cichym, ledwie słyszalnym głosem:

– Naszym zadaniem było odcięcie mu drogi ucieczki na lądowisku helikopterów i wyeliminowanie ochroniarzy na górnym pokładzie. Major z ekipą byli poniżej, mieli zabić DLR w sypialni. Wiem jedynie, że w pewnym momencie usłyszeliśmy przez radio głos majora. Powiedział, żeby uciekać z łodzi, że to pułapka. Byliśmy na lądowisku, więc wskoczyliśmy do wody. Jacht eksplodował. Dziesięć godzin zajęło nam dopłynięcie do brzegu.

– A więc to nie wy podłożyliście bombę.

Ramses pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. To *mentira*... Jak to po waszemu... aha, kłamstwo. Owszem, naszym celem było zabicie de la Rochy. To prawda, że nie zamierzaliśmy pozostawić nikogo na pokładzie przy życiu. To bardzo trudna wojna. Nasi

przeciwnicy nie biorą jeńców, dlaczego więc my mielibyśmy ich brać? Ale nie, nie popłynęliśmy na „La Sirenę”, żeby podłożyć bombę. Gdyby taki był plan, to byśmy przyczepili ładunek do kadłuba i spieprzali. Nie byłoby sensu wchodzić na pokład.

Court mu uwierzył. To było jedyne sensowne wyjaśnienie. A to oznaczało, że ktoś doniósł gangsterowi o zamachu na jego życie.

– Kto wiedział o ataku na „La Sirenę”?

Ramses wzruszył ramionami. Dotarli do dużego stawu, który sięgał prawie granicy posiadłości. Szli pod wierzbnymi płaczącymi wąskim przejściem pomiędzy wodą a murem. Prawymi dłońmi trzymali się pnączy porastających ogrodzenie, starali się zachować równowagę i nie wpaść do wody.

– Poza naszą dwójką i majorem tylko pozostała piątka chłopaków z ekipy, a do tego dwóch naszych przełożonych, nie z GOPES-u, ale z rządu federalnego.

– Czyli kto?

– Tylko prokurator generalny i prokurator prowadzący tę sprawę.

– Więc donieść mógł jeden z nich?

Ramses zaśmiał się pod nosem.

– Mogę nawet bardziej zawęzić poszukiwania kapusia. Major Gamboa podejrzewał, że prokurator generalny pracuje dla Constantina Madrigala.

Court aż się zatrzymał z wrażenia.

– To Eddie wiedział, że jego szef kazał mu wykonywać rozkazy korzystne dla kartelu Madrigala?

Ramses znów wzruszył ramionami, jednak widać było, że zależało mu na tym, aby Court zrozumiał ich położenie.

– Major powtarzał, że nigdy nie uda nam się capnąć ostatniego, bo to on ustawił resztę zamachów... Miał, jak to się mówi... fatalne nastawienie.

– Fatalistyczne – poprawił Gentry.

– *Sí*. W każdym razie informacje, które pozyskaliśmy, okazały się tak dokładne, że major domyślił się, iż jacyś *carteleros* musieli w tym maczać palce. Wiedział, że Madrigal i jego kowboje byli ostatni na liście, więc doszedł do wniosku, że to Madrigal za wszystkim stoi. Wiedzieliśmy, że jego pewnie nie zabijemy, natomiast nigdy się nie spodziewaliśmy, że ktoś nam będzie przeszkadzał

w wyeliminowaniu de la Rochy. Jedyne wytłumaczenie jest takie, że pewnie prokurator prowadzący jest na garnuszku DLR.

– Chcesz mi powiedzieć, że prokurator generalny pracuje dla Madrigala, a prokurator prowadzący dla de la Rochy?

– Tak. A my znaleźliśmy się pośrodku tego towarzystwa – potwierdził Ramses.

– *Exactamente* – mruknął spuchnięty Martin. Był na tyle osłuchany z angielskim, że wiedział, o czym mowa.

– Więc nie można wierzyć nikomu, kto ma władzę... – powiedział Court bardziej do siebie.

Ramses zaśmiał się gorzko.

– Teraz to odkryłeś? Cóż, przyjacielu... Co mogę powiedzieć... To Meksyk właśnie...

„Cholera” – pomyślał Court.

Nieraz brał udział w dość podejrzanych operacjach, miał do czynienia z niejednym szemranym skurwysynem, który próbował w imię wolności, sprawiedliwości, honoru czy czegokolwiek innego zrealizować swoje nieczne cele, ale nigdy jeszcze nie spotkał się z korupcją aż tak bezczelnie przenikającą do każdej sfery życia publicznego. Jeśli to, co mówili Chuck Cullen i Ramses, było prawdą – a biorąc pod uwagę wszystko, czego doświadczył w ciągu tych trzydziestu godzin pobytu na zachodzie Meksyku, nie miał co do tego większych wątpliwości – Gamboa nie mieli nikogo, komu by mogli zaufać.

Court stwierdził, że to frustrujące nie wiedzieć, jak się sprawy mają, podjąć się zadania i opierać się na informacjach od skorumpowanych przełożonych, którzy grali we własne gierki. Ale Court to rozumiał. Takie były zasady gry. Były nie do przyjęcia, ale tak to właśnie wyglądało.

Eddie wiedział, że znajdował się w niebezpieczeństwie, ale zaszedł zbyt daleko, by się wycofać. Court był ciekawy, czy jego dawny kumpel spodziewał się dożyć spotkania z synem. Cóż, tego nikt nigdy się nie dowie, ale przygnębiła go świadomość, jaki ciężar musiał odczuwać jego niegdyś beztroski i wesoły kolega.

Court postanowił coś przynajmniej ocalić, żeby uczcić pamięć Eddiego Gamble'a. I pamięć Chucka Cullena. Odnieść choć jedno drobne zwycięstwo, dokonać drobnej zemsty. Włożyć palec w oko tym, którzy zabrali wszystko dwóm wspaniałym ludziom, i zadać im ból.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Wróciwszy z obchodu, Court, Martin i Ramses obeszlili jeszcze *casa grande* w celu zlokalizowania najlepszych miejsc obserwacyjnych. Stara architektura hiszpańska, a więc styl dominujący w Meksyku w latach siedemdziesiątych osiemnastego wieku, czerpał garściami ze stylu mauretańskiego. Jednym z elementów zapożyczonych z budownictwa Maurów był *mirador*, punkt widokowy – balkon lub atrium – zazwyczaj częściowo osłonięty i ozdobiony łukami, z którego można było podziwiać okolicę. W przypadku hacjendy Corralesów budynek powstał na planie podkowy, której wewnętrzna część skierowana była na południe, i otaczała rozległe patio, a w nim prostokątny basen. Na piętrze znajdowały się aż trzy *miradores* z widokiem na podjazd od frontu, patio i mur z tyłu posesji oraz zarośnięty sad rozciągający się aż do muru przy stawie.

Obserwacja nie będzie trudna.

Następnie panowie zrobili szybki przegląd posiadanej broni. Na jedenaście osób w hacjendzie przypadały dwa pistolety automatyczne kolt SMG należące do funkcjonariuszy GOPES-u, dwururka Luisa, dwie beretty kaliber 9 milimetrów z kilkoma zapasowymi magazynkami oraz magnum kaliber .375 z trzema nabojami.

Nie mieli noktowizorów, jedynie kilka tandetnych latarek, ani żadnej broni, z której można by strzelać z dystansu.

Gentry wiedział, że jeśli wróg nadejdzie, zrobi się niebezpiecznie. Przy odpowiedniej ekipie i z dobrym planem zdobędzie hacjendę w kilka minut.

O dwudziestej drugiej trzydziści wszyscy ponownie spotkali się w obszernym salonie.

Tylko Luis Corrales położył się spać. Elena leżała na kanapie z nogami na poduszce. Luz masowała jej spuchnięte stopy, pozostali albo opierali się o ścianę, albo przycupnęli na zakurzonych fotelach i taboretach. Court dał Laurze pistolet Martina. Dzięki nauce w akademii policyjnej i fantastycznemu, choć trochę

nadopiekuńczemu starszemu bratu dziewczyna potrafiła strzelać. Court widział ją w akcji i był pewny, że Lorita nie miała żadnego problemu z zabijaniem tych, którzy na to zasłużyli. Drugą berettę dostał Diego. Chłopak nigdy jeszcze nie strzelał, więc jego ciotka wzięła go na bok i wytłumaczyła podstawy: gdzie jest bezpiecznik oraz jak działa magazynek. Jako że Ignacio od dwóch godzin nie odrywał się od butelki tequili, Court i dwóch *federales* doszli do wniosku, że nie ma co na niego liczyć.

Zdenerwowany Ernesto wysłał czterdziestopięcioletniego syna spać do jednej z sypialni na piętrze.

Przez chwilę rozmawiali o sytuacji, choć większość członków rodziny Gamboa wątpiła, żeby tu, w hacjendzie, cokolwiek im groziło. Court jednak się upierał, że muszą się jak najlepiej przygotować na każdą ewentualność. Wypytał Inez o najbezpieczniejsze miejsca w posiadłości. Gospodyni pokazała im drzwi za kuchnią, które otwierały się na wąską i stromą klatkę schodową prowadzącą do podziemnego korytarza, na którego końcu znajdowała się długa piwnica wyłożona kamieniami, gdzie w czasach, gdy w gospodarstwie produkowano tequilę, przechowywano beczki tego trunku. Kobiety zaniósły tam pościel i maty, przygotowując posłania, ale tylko Elena, Luz i Inez położyły się od razu.

Court stwierdził, że piwnica to idealne miejsce na ostatnią linię obrony. Docenił to, że pomieszczenie było w miarę ukryte i że atakujący musieliby się przemieszczać wąskim korytarzem, w którym łatwo byłoby ich dopaść.

Minus stanowiło to, że nie było stamtąd innej drogi ucieczki.

Zaklął pod nosem i przestał roztrząsać sytuację. Zdawał sobie sprawę, że piwnica stanowiła najlepszą kryjówkę w tym wielkim, przerażającym domu. W końcu mieli niewiele pozycji obronnych do wyboru.

Court wziął dwururkę gospodarza i rewolwer. Przed udaniem się na spoczynek Luis krążył jeszcze przez chwilę po domu, kilkakrotnie nazywając Courta Guillermem. Kto wie, jak bardzo będzie zorientowany w sytuacji następnego dnia? Gentry nie mógł pozwolić, by po hacjendzie szwendał się zdezorientowany mężczyzna z naładowaną strzelbą. Wystarczająco dużo groziło im z zewnątrz.

Dwururka była bardzo stara i bardzo prosta. Loftki, którymi strzelała, były skuteczne jedynie z niewielkiej odległości, ale lepszy rydz niż nic. Gentry poprosił

Martina o użyczenie pistoletu maszynowego, ale Meksykanin popatrzył na niego z rezerwą.

– Nie ma mowy – wymamrotał przez spuchnięte usta.

Court nie miał mu tego za złe. Uznał, że nie ma sensu pytać o to samo Ramsesa.

Był jeszcze jeden problem dotyczący bezpieczeństwa, i to nie byle jaki. Co gorsza, Gentry nie widział sposobu na jego rozwiązanie. Aby sprowadzić dziennikarzy, uczciwych wojskowych czy kogokolwiek, kto w jakikolwiek sposób mógłby im pomóc, trzeba było skorzystać z telefonu. Elena powinna zadzwonić do znajomych, lecz wiele z tych połączeń mogło być przechwycone lub podsłuchane przez *narcos* czy to bezpośrednio, czy z pomocą skorumpowanych policjantów. Bał się, że ktoś przypadkiem mógłby powiedzieć coś, co naprowadziłoby wrogów na ich ślad, a ścigający ich domyśliliby się, że Elena gdzieś się ukrywa, a mroczna hacjenda teściów jej szwagierki może być właśnie tym miejscem.

To, że ktoś połączy fakty, mogło się wydawać mało prawdopodobne, jednak Court miał dużo doświadczenia w pracy dla karteli i przeciwko nim. Zdawał sobie sprawę, że w tej branży było tyle kasy i zabójstw, że ci, którzy w niej siedzą po uszy, mają wystarczająco dużą motywację, aby wypruć z siebie żyły i dokonywać rzeczy niemożliwych. Wiedział, że wcześniej czy później sprowadziliby wrogów rodziny Gamboa do rezydencji rodziny Corrales.

Gray Man zdawał sobie sprawę, że jego podopieczni nie mieli szans na wygranie dłuższej i bardziej zażartej potyczki, więc liczył, że uda im się stąd uciec, zanim wróg ich znajdzie.

Ale tym będą się martwić jutro. Na razie Court zakazał wszystkim używania komórek czy telefonu stacjonarnego przed wschodem słońca. Wiedział, że nocny atak na tę ciemną rezydencję skończy się rzezią.

* * *

Nestor Calvo spędził całe popołudnie i wieczór na patio zmienionym naprędce w tymczasowe biuro. Dwudziestka Czarnych Garniturów została odebrana przez dwa należące do ich szefa helikoptery i przetransportowana z Puerto Vallarty do rezydencji pół godziny na południowy zachód od Guadalajary. Tu, jak w przypadku kilkunastu innych budynków należących do kartelu, i dom, i otaczający go teren były strzeżone przez liczną, uzbrojoną po zęby ochronę,

a każdy goryl odbył szkolenie godne komandosa. Ponadto posiadłość otaczał zewnętrzny kordon bezpieczeństwa, składający się z zaufanych ludzi patrolujących w pikapach okoliczne drogi. Każdy z nich to były żołnierze, którzy wierność kartelowi udowodnił wieloletnią służbą.

Na dachu rezydencji rozstawiono wartowników dysponujących raketami przeciwlotniczymi na wypadek, gdyby ktokolwiek – policja, armia czy konkurencja – próbował przeprowadzić nalot.

Calvo kopcił kubańskie cygaro i sączył ciepły dominikański rum. Stukał w klawiaturę laptopa, cały czas pozostając w kontakcie telefonicznym ze swoimi źródłami w Puerto Vallarcie. Co chwila zerkał na wielki telewizor wyniesiony z sypialni i podpięty do satelity przez okno w łazience.

Szef wywiadu Los Trajes Negros śledził uważnie relacje zagranicznych mediów na temat masakry, oficjalną reakcję władz Meksyku i zbierał informacje z kularów za pomocą źródeł w wojsku, rządzie i policji.

To była robota dla dziesięciu osób, ale Calvo nie miał problemu z panowaniem nad sytuacją. Prawdę mówiąc, kochał tę pracę, intrygi, negocjacje, manipulację mediami i groźbę ludziom. To był jego świat, niegasnące źródło zawodowej satysfakcji.

Dziś jednak miał jeszcze jedno zadanie, w dodatku takie, które go irytowało. Jego szefa, młodego Daniela, zdecydowanie bardziej obchodziło znalezienie jakiegoś płodu i zakończenie jego nierozpoczętego żywota w celu spełnienia wydumanej zachcianki jakiegoś złotego cielca, a dokładniej przyozdobionego gipsowego szkieletu. De la Rocha niestety więcej uwagi przykładł do tego, co – jak mu się wydawało – wyczytał z pustego spojrzenia przydrożnej figury niż do raportów szefa własnego wywiadu, więc przykazał Calvowi, aby skupił się na spełnianiu żądań kościotrupa, zamiast wykonywać to, co do niego należało – to jest zarządzać drugim co do wielkości kartelem w tym regionie.

W ciągu ostatnich trzech godzin z powodu zachcianek gipsowego bóstwa Calvo musiał odbyć ponad pięćdziesiąt rozmów telefonicznych. Ale mimo że nie był przekonany do tego zadania, mimo że uważał je w istocie za nieprofesjonalne i nieodpowiedzialne marnowanie jego czasu, uwagi, ludzi, materiału i kapitału politycznego – zwłaszcza że chodziło o coś tak trywialnego, jak życie nienarodzonego dzieciaka – Nestor Calvo szczylił się profesjonalizmem i jak zawsze się przykładł do powierzonego mu zlecenia.

A szło mu doskonale. W krótkim czasie zdołał mniej więcej oszacować, gdzie teraz znajduje się poszukiwana rodzina.

Nagle na patio wbiegł de la Rocha. Była pierwsza w nocy, ale on wciąż miał na sobie garnitur i krawat. Jego twarz wokół wąsów i kocznej bródki została starannie wygolona przed kolacją, którą spożył w towarzystwie swoich ludzi, więc wyglądał tak samo świeżo jak wtedy, kiedy zobaczyli się o ósmej rano poprzedniego poranka.

– Emilio powiedział, że chciałeś pogadać.

– *Sí*, Daniel.

– Powiedz, że coś znalazłeś.

– Coś znalazłem.

Daniel zbliżył się do Nestora i usiadł na wiklinowym siedzisku pokrytym skórą, obok biurka. Nalał sobie szklankę rumu ze stojącej obok Calva karafki z serwisu firmy Waterford, rozsiadł się wygodnie i założył nogę na nogę.

– Co znalazłeś?

– Wiesz już, że dwóch *sicarios* z *Policía Federal*, którzy przeżyli spotkanie z *gringo* w Parque Hidalgo, zostali zabici w Nayarit, kiedy jechali wyeliminować wdowę po majorze Gamboa.

– Wiem.

– Świadkowie zdarzenia twierdzą, że widzieli dwóch umundurowanych *federales*, którzy zabili naszych ludzi.

– *Federales* zabili *federales*?

– *Sí*.

– Czy to sprawka ludzi Madrigala?

– Wątpię.

– A więc jeśli to nie Los Vaqueros, to kto?

– Mam pewną teorię.

– Nie wątpię, kochany *consigliere* – uśmiechnął się Daniel.

Calvo pokiwał głową.

– Ile osób liczył oddział majora Gamboa na „La Sirenie”?

– Osiem, wliczając majora.

– A ile ciał znaleziono?

De la Rocha pokiwał głową w zamyśleniu.

– Tylko sześć – odparł, sącząc ciepły rum z eleganckiej kryształowej szklanki.

– *Exactamente*. Dwóch nie znaleziono. A dziś nagle zmaterializowało się dwóch *federales*, którzy zabili naszych *sicarios*. Moje kontakty w policji federalnej meldują, że w stanie Nayarit nie odnotowano żadnych dezertów. Wszyscy będący dziś na służbie stawili się na dyżur. Niewykluczone, że to sprawka kogoś, kto akurat dziś ma wolne, pozostaje jednak pytanie, po co mieliby zabijać tamtych dwóch? Jediną osobą, która poza nami ma jakąkolwiek kontrolę nad policją czy wojskiem w tym rejonie, jest Constantino Madrigal. Trudno mi jednak uwierzyć, że tamci dwaj mieliby pracować dla Los Vaqueros... Co miałyby zyskać Madrigal, eliminując *sicarios* jadących zabić wdowę po jakimś funkcjonariuszu policji federalnej?

Teoria Calva wydała się przekonująca.

– To prawda, Constantino nigdy nie robi niczego, co nie przyniosłoby mu bezpośrednich korzyści.

– No właśnie. Dlatego uważam, że jest wysoce prawdopodobne, że dwóch ludzi majora jakimś cudem przeżyło wybuch na „La Sirenie”. To oni zabili naszych *sicarios*, wyswobodzili rodzinę Gamboa z rąk *municipales* i armii w San Blas, a teraz starają się ocalić pozostałych przy życiu członków rodziny majora.

– Wraz z jakimś *gringo*.

– Nie inaczej.

– No dobra... W takim razie co możemy z tego wywnioskować?

Calvo przesunął leżącą na biurku mapę drogową w stronę swojego *jefe*. Daniel pochylił się nad nią. Nestor położył starannie wymanikiurowany paznokieć na mieście mniej więcej w środku kraju.

– Tequila? Wytłumacz, dlaczego.

– Na szosie w okolicach tej miejscowości widziano dwa suzuki w barwach policji federalnej, takie same jak te, jakimi poruszali się zamordowani *sicarios*. A w ich towarzystwie jechał wielki ford podobny do tego, który należał do majora Gamboa.

– Czy *municipales* z Tequili mamy w kieszeni?

– *Por supuesto que sí*. Oczywiście, że tak – potwierdził Nestor.

DLR wstał i dopił resztkę rumu.

– *Perfecto!* No to niech wyjadą na szosy. Niech znajdą ich kryjówkę. Przekaż „Pająkowi”, żeby zebrał ekipę lokalnych zbirów i umieścił ich na odpowiednich pozycjach. Znajdziemy rodzinę majora i wykończymy ich tam, gdzie się ukrywają!

Nestor odchrząknął, stukając palcami o blat dębowego biurka.

– Posłuchaj, Danielu. Udało nam się dziś dobitnie przekazać naszą wiadomość. Owszem, jesteśmy w stanie znaleźć tę jego babę i ją zabić, ale co my na tym zyskamy? Dlaczego nie możemy odpuścić?

De la Rocha spojrział w rozciągającą się nad patiem noc. Westchnął ciężko.

– Już wyjaśniam. Wiemy, że Madrigal ma w kieszeni sporą liczbę *federales*, tak samo *municipales*, *judicales* oraz ludzi w policji stanowej. Z tym jestem się w stanie pogodzić. Ale jeśli chodzi o GOPES? Ci są zbyt uczciwi... Skoro zaczęli pracować dla Madrigala, to trzeba im pokazać, że...

– Nie mamy powodów przypuszczać, że major Gamboa wiedział, że rozkazy, które otrzymał, pochodzą tak naprawdę od Constantina Madrigala.

Daniel machnął lekceważąco ręką.

– Wiem, że Gamboa miał bystry umysł, ale uważał się za mądrzejszego, niż był. Wydawało się mu, że wykorzysta informacje pozyskane od kartelu Madrigala, a potem zabije Constantina na własną rękę. Nie podobają mi się mądrale, które nie przestrzegają zasad. I zależy mi na tym, żeby każdy następny, który uzna, że jest tak nieskazitelnie czysty, uczciwy i inteligentny, że może łamać zasady, wiedział, że jeśli to zrobi, to zabiję najpierw jego, a potem wykończę i pokroję wszystkich, których kiedykolwiek kochał.

Calvo nic nie powiedział.

– Więc ty namierzysz *señorę* Elenę. Ludzie „Pajaka” zabiją ją, jej dziecko i każdego, kto się napatoczy.

Calvo pokiwał głową. Wiedział, że *jefe* nie zmieni zdania.

– *Sí, patrón.*

De la Rocha już ruszył do domu, zatrzymał się jednak i zawołał do swojego *consigliere*:

– I pamiętaj, Nestor, nigdy więcej nie waż się próbować mnie od tego odwieść!

– *Sí, patrón.*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Hacienda nie miała doprowadzonego zewnętrznego źródła prądu, ale był w niej telefon. Zadzwoił o drugiej nad ranem, budząc tych, którzy zdołali zasnąć, i niepokojąc wszystkich. Laura akurat wyszła z piwnicy, więc pobiegła przez oświetlony świecami salon odebrać połączenie. Słuchawkę podniosła po sześciu dzwonek. W tej samej chwili Court wszedł z patia. Przez ostatnie dwie godziny przygotowywał się do ataku, mając nadzieję, że nigdy nie nastąpi.

– ¿*Bueno*?

– Dzień dobry. Proszę wybaczyć, że niepokoję o tak wczesnej porze. Czy mógłbym rozmawiać z *señorą* Eleną?

Laura pobladła i spojrzała na Courta.

– De la Rocha – wyszeptała.

Court bez wahania przebiegł po zakurzonej posadzce. Laura podała mu słuchawkę.

– Mam nadzieję, że mówisz po angielsku, dupku! – Jego głos rozniósł się echem po ciemnym korytarzu i odbił się od wiekowych okien.

Nastąpiła długa pauza, a następnie w słuchawce rozległ się tubalny śmiech.

– Ach, czyli mam przyjemność rozmawiać z tajemniczym *norteamericano*, który niczym małpison wywija fikołki w telewizji. Miło wreszcie pogadać jak mężczyzna z mężczyzną.

– Nie wiem, kim lub czym właściwie jesteś, ale trudno nazwać prawdziwym mężczyzną tego, kto wydaje wyrok śmierci na nienarodzone dziecko, popaprańcu.

– Wiedziałem, że *gringo* tego nie zrozumie. Pomiedzy naszymi nacjami istnieje gigantyczna przepaść kulturowa... Nasze systemy wartości są rozbieżne. Nie winię pana... Niestety, podejrzewam, że będzie mi pan utrudniał osiągnięcie celu, więc zginie pan z panią majorową.

Court zaśmiał się gniewnie:

– Masz pan gadane, papłasz lepiej, niż twoi ludzie walczą. Mam już na sumieniu szóstkę, pamiętasz?

– Ach tak, słyszałem o pańskich dokonaniach. Wiem, że jest pan dobry w tym, co robi. Wie pan, ile może pan u mnie zarobić? Słuchaj pan, nie jest już tajemnicą wasza kryjówka. W tej chwili moi ludzie stoją u bram hacjendy. Jesteście otoczeni.

– Jesteśmy świetnie uzbrojeni. Proszę dać znak ludziom i niech spróbują coś nam zrobić.

Rodzina zgromadziła się już w salonie. Nawet Ignacio stał na klatce schodowej. Opierał się o ścianę i przysłuchiwał rozmowie w języku, którego nie znał.

De la Rocha znów się zaśmiał.

– *Cálmate, amigo*. Nie ma co się denerwować. Słuchaj pan. Poddaj się. Puścimy pana wolno. Ba, puścimy wszystkich poza Eleną. Tylko na niej nam zależy.

– Nie ma mowy.

– A więc rozmawiamy po raz ostatni. Zanim wzejdzie słońce, już nie będzie was wśród żywych. Ale to pański wybór, nie będę nalegał.

De la Rocha się rozłączył. Court przez chwilę sprawdzał telefon, ale szybko się domyślił, że linia została uszkodzona.

– Sprawdźcie komórki – powiedział. Przez kolejne dwie minuty zgromadzeni szukali telefonów, a potem usiłowali złapać sygnał.

Bezskutecznie, ktoś wyłączył stację przekaźnikową.

Kurwa. Gentry zdawał sobie sprawę, że wymagało to posiadania solidnego zaplecza informacyjnego i rąk do pracy. Wiedział, że przyjdzie im się bronić nie przed garstką otyłych parobków w słomianych kapeluszach z widłami. Nawet na takim zadupiu de la Rocha był w stanie zebrać niezłą ekipę.

Martin i Ramses stali na górze, przy schodach. Nadeszli z przeciwległych stron *casa grande*, ze swoich pozycji. Jeden trzymał posterunek na północnym *miradorze*, drugi na południowym. Court pozostał na dole, w salonie, po czym powoli spojrzął na każdego członka rodziny Eddiego.

Nie zamierzał owijać w bawełnę.

– Zbliżają się – powiedział.

Nikt się nie poruszył.

– Gdzie jest Luis?

– W łóżku – odpowiedziała Inez.

– Czy uda się pani sprowadzić go do piwnicy?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Nie dam rady. Nie zrozumie. Nie zgodzi się.

Court pokiwał głową. Nie miał czasu martwić się w tej chwili Luisem.

Spojrzał na żalostną dziewięcioosobową brygadę. Westchnął ciężko. Dotychczas sam był siłą roboczą, nie komendantem. Wiedział, że żaden z niego dowódca. Chciałby w jakiś sposób dodać otuchy innym, ale nie wiedział, co powiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że cały ciężar walki spadnie na niego, Ramsesa, Martina i Laurę. Co do reszty... Miał nadzieję, że przypadkiem się nie pozabijają.

– Mamy przerąbane – mruknął pod nosem.

Elena wstała z sofy.

– Damy radę ich powstrzymać – rzekła.

Gentry spojrzał na nią bez słowa. Chciał powiedzieć coś krzepiącego, ale nic sensownego nie przyszło mu do głowy.

Inez oznajmiła, że musi wyjąć pieczywo z pieca. Luz poszła z nią do kuchni. Obie kobiety zniknęły za drzwiami, zanim Gentry zdążył przypomnieć, że teraz mają większy problem niż wypieki.

Court zwrócił się do pozostałych i spojrzał na stojących na górze *federales*.

– Mamy czterech wyszkolonych strzelców. Tylko dwóch ma broń. Ja dysponuję prawie pustym rewolwerem i leciwą dwururką. Jakbym był w pierdolonym Dodge City.

Nikt nie skojarzył odniesienia – zapewne nie byli fanami westernów. Patrzyli wyczekująco na Amerykanina.

Przez półmrok spojrzał na Elenę i Laurę, na Ernesta, Diega i Ignacia. W ich oczach ujrzał zaufanie i nadzieję.

Zobaczył naiwność.

Serce waliło mu jak młotem. Myślał o nadchodzącym ataku. Zastanawiał się, jak go odeprzeć.

Elena spróbowała dodać mu otuchy:

– Nie poddawaj się, Joe. Uwierz w nas. Może nie wszyscy jesteśmy żołnierzami, ale jesteśmy w stanie pomóc. Każdy może coś zrobić!

Z kuchni zapachniało świeżym pieczywem.

Court westchnął ciężko.

– Nie możemy, do cholery, rozwiązać tej sytuacji wypiekami.

Twarz kobiety zrobiła się czerwona ze złości.

Ramses zaśmiał się cicho.

– Czy poza rzucaniem chimichangami we wroga ktoś ma jakieś propozycje?

Laura wyciągnęła pistolet.

– *Sí*. Mam pomysł. Co powiesz na to, żeby powystrzelać wszystkich *pendejos*, gdy się zbliżą?

– Cóż, właśnie taki jest w sumie nasz plan – westchnął Court. Następnie wyprostował się i powiedział: – No dobra. Na stanowiska. Wiecie, co robić.

Podbiegł do najbliższych kinkietów i zdmuchnął palące się świece.

Znów minął zgromadzonych i ruszył do drzwi na tyłach domu.

– *Buena suerte*. Powodzenia – mruknął.

Trzymając już rękę na skoblu, przystanął, odwrócił się i po raz ostatni na nich spojrział. Stali w ciemności nieruchomo niczym posągi, wpatrzeni w niego. Wtedy z kuchni wróciły Luz i Inez z tacą pełną świeżych bułek.

– No weźcie się, do cholery! – krzyknął Court. Frustracja wzięła w nim górę. – Elena, Luz, Inez... Natychmiast do piwnicy! Ernesto, na stanowisko w połowie korytarza, osłaniać kobiety. Diego i Ignacio do kuchni bronić wejścia do piwnicy. Laura na antresolę na górze osłaniać ten pokój! Po drodze zdmuchnij świeczki. No, ruchy! Przecież to, kurwa, nic skomplikowanego! I trzymajcie się z dala od okien!

Słyszając to, każdy ruszył w innym kierunku. Court z pewną ulgą stwierdził, że w większości w odpowiednim.

– Kurwa – zaklął pod nosem.

Spojrzał na górę. Martin wrócił na posterunek, ale Ramses wciąż tam był i na niego zerkał. W końcu Meksykanin powiedział:

– Powodzenia, *amigo*.

– Przyda się – odparł Court.

Wyszedł na zewnątrz, prosto w ciemność.

* * *

Najpierw natarło szesnastu. To nie był elitarny oddział *sicarios*, ale banda bezwzględnych chłopów, którzy sprawnie władali bronią i zostali zachęceni sowitą nagrodą przez swoich przełożonych do spełnienia żądań szefa kartelu.

W nomenklaturze meksykańskich karteli narkotykowych takich jak oni nazywa się *soldaros*, żołnierzami albo – z lekką pogardą – *estacas*, kołkami w płocie. To oznaczało, że nie są najlepszymi z najlepszych, ale dają radę stać i strzelać.

Pod względem wieku była to zróżnicowana grupa – od siedemnastolatków po sześćdziesięciolatka. Byli wśród nich ojcowie z synami oraz dwie pary braci. Każdy z nich służył kiedyś w wojsku, jeden nawet w stopniu oficera, więc to on przewodził naprędce zebranemu oddziałowi zabójców.

Nie byli to najlepsi ludzie, którymi dysponowały Czarne Garnitury, ale ich atutem było to, że znajdowali się najbliżej hacjendy. Wszyscy zamieszkiwali pobliskie góry, większość miała już okazję współpracować kiedyś z Los Trajes Negros.

Trzech było *judicales*, pochodziło z policji stanowej w Jalisco, a sześciu *municipales* z pobliskiej Tequili. Z tyłu posiadłości, na zwirowej drodze pod murem stały auta policji stanowej i lokalnej, a obok nich dwa pikapy i trzy rozklekotane sedany.

Tuż po dwudziestej trzeciej „Pająk” porozumiał się z lokalnymi watażkami. Znalezienie odpowiednich okolicznych osiłków zajęło trzy godziny. Za pomocą ciężarówki i łańcucha udało im się powalić dwie wieże telefonii komórkowej, a następnie czekali na znak, że mogą przerwać połączenie telefonii naziemnej.

Większość była uzbrojona w policyjne strzelby albo karabiny M1, sześćdziesięcioletnie amerykańskie giwery, które wciąż często widuje się w Meksyku, zazwyczaj używane przez ochronę banków, centrów handlowych i tym podobnych instytucji. Choć to antyki w porównaniu ze współczesnymi karabinami stosowanymi na polu bitwy, strzelały okazałymi nabojami kaliber .30 z piętnastonabojowego magazynka. M1 dawało radę.

Gentry i dwóch funkcjonariuszy GOPES- u domyślili się, że napastnicy przejdą przez mur z tyłu posiadłości, skacząc prosto w ciemność.

Przez gęstą, wysoką trawę przemieszczali się parami, nie spuszczać oczu z budynku znajdującego się pięćdziesiąt metrów za patiem i basenem.

Przykucnęli za rosnącymi z tyłu posiadłości zdziczałymi drzewami limetkowymi i pomarańczowymi, po czym zygzakiem popędzili ukryć się za posągami.

Znajdowali się już blisko. Cała szesnastka przedostała się na skraj patia, dwadzieścia kilka metrów od kolumnady, za którą zapraszało wejście do salonu. Dwójki napastników próbowały przemieszczać się, stosując taktykę poruszania się naprzemiennie, jednak brak w skoordynowaniu sprawił, że niektórzy na siebie wpadali. Inni przykucnęli za donicami.

Kiedy znajdowali się mniej więcej w odległości piętnastu metrów, były oficer, czyli ten, który starał się dowodzić zgrają napastników, dał znak do natarcia. Nie spodziewał się, że uda im się zająć tak daleko bez napotkania jakiegokolwiek przeszkody. Nie planował też wtargnięcia do *casa grande* jednym wejściem, ale akurat drzwi na patio były najbliżej ich pozycji. Rozejść się mogli już w środku i tam dokonać rzezi.

Mężczyzna już zastanawiał się, co kupi za pieniądze otrzymane od „Pajaka”.

– ¡Ataque! – krzyknął.

Nagle na prawo od miejsca, gdzie stał, po drugiej stronie prostokątnego basenu, rozległ się warkot potężnego silnika. Okazało się, że przy zewnętrznej stronie kolumnady, z dala od głównego podjazdu, w niewidocznym miejscu, stoi wielki pikap, który pokryto pnączami. Szesnastu napastników skamieniało niczym otaczające ich posągi. Spędzili kilka cennych sekund w ostrym świetle reflektorów potężnego forda F-350, które zalały patio oślepiającym białym blaskiem.

Dowódca odwrócił się w tę stronę. Jedną ręką zasłonił oczy, drugą wymierzył z karabinu w jego źródło.

Już miał strzelić, kiedy jego uwagę przykuł odgłos i ruch dochodzący z brudnego basenu, jakieś trzy metry od czubków jego butów.

* * *

Gray Man spędził pod powierzchnią wody prawie trzy minuty. Przez poprzednie dziesięć tylko głowa i strzelba wystawały znad unoszącej się na tafli gęstej i oślizgłej warstwy zgniłych liści. Na cichy gwizd Martina – znak, że napastnicy są blisko – zanurzył się. Oddychał przez bambusową słomkę. Oczy miał

zamknięte. Czekał na warkot silnika, znak, że pora działać. Kiedy *sicarios* byli wystarczająco blisko, Ramses uruchomił pojazd pilotem.

Court się wynurzył, uważając, aby wypłynąć plecami do potężnych reflektorów. Ujrzał przed sobą cele ustawione jak na zawołanie. Nie okazał im litości. Podniósł się, wypłuł bambus, wymierzył w pierwszego napastnika i poczęstował jego brzuch porcją śrutu.

Trach!

Opróżnił strzelbę, wysyłając ponad setkę maleńkich metalowych kulek w dolną część torsu mężczyzny, który miał na sobie zielony policyjny mundur. Trafiony zachwiał się, po czym runął na patio.

Plusk wpadających do wody pocisków się zbliżał, więc Court zanurzył się pod nenufarem i przeładował broń pod wodą. Zapas nabojów trzymał w przednich kieszeniach spodni. Zamienił dwie zużyte łuski na dwie pełne, równocześnie podpływając do głębszej części basenu, żeby tym razem wynurzyć się w innym miejscu.

Znów wychynął z ciemnej toni prosto w chłód nocy. Namierzył dwa cele, które właśnie go minęły, zmierzając do *casa grande*. Obu strzelił w plecy i powalił ich na ziemię. Raz jeszcze schował się pod wodę, aby przeładować broń i przepłynąć w inne miejsce.

* * *

W dziesięć sekund poległo sześciu *matones*, a ci, którzy znajdowali się na tyłach, uciekli przed światłem reflektorów i ukryli się wśród wysokich traw. Gdy uruchomiono auto, dwóch zbirów, a równocześnie policjantów stanu Jalisco, akurat przemykało na prawo od wody, obok samochodu. Kiedy światło rozbłysło, zaczęli strzelać do niego z karabinków M1. Rozwalili kilka przednich reflektorów, ale nie górne, po czym zaczęli uciekać, ponieważ ich towarzysze otworzyli do nich ogień.

Dwóch dotarło pod biegnącą wzdłuż tyłu domu kolumnadę. Panowały tu egipskie ciemności, nie groziło im tu postrzelenie przez kolegów. Nie kierowali się w stronę drzwi, biegli wzdłuż ściany. Po minucie skręcili za południowo-zachodnim rogiem budynku. Wciąż mknęli przez mrok wzdłuż ściany porośniętej

pnąciami. Za nimi strzelanina powoli ustawała, tylko raz na jakiś czas było słychać trzask i strzał w odpowiedzi.

W końcu dotarli do okna na parterze. Było zamknięte, ale jeden z nich rozbił szybę kolbą karabinu. Wsunął rękę przez dziurę, otworzył okno, po czym wszedł do środka. Za nim wślizgnął się jego towarzysz.

Nie kierowała nimi chęć zyskania chwały ani żadne poczucie sprawiedliwości czy obowiązku. Chodziło tylko o pieniądze. O forszę, którą zarobią za to zlecenie, i wzrost ich notowań w wiosce za przysłużenie się Los Trajes Negros.

Znaleźli się w ciemnym pomieszczeniu. Ledwo dostrzegali potężne dębowe meble w sypialni gospodarzy. Naprzeciw okna znajdowały się duże drzwi. Zamknięte. Gliniarze byli prawie pewni, że dzięki wystrzałom na patiu rozbicie przez nich szyby musiało pozostać niezauważone. Ledwo zrobili kilka kroków po wyłożonej kafelkami podłodze w stronę drzwi, kiedy po ich lewej ktoś lub coś się poruszyło.

W ciemności rozległo się pytanie:

– Guillermo? Synek? Czy to...

Obaj gliniarze wystrzelili równocześnie z karabinów. W świetle wystrzałów zobaczyli starszego mężczyznę. Siedział na łóżku. Z jego klatki piersiowej trysnęła krew, a on spadł z łóżka.

* * *

Ramses i Martin spotkali się w salonie, dokąd obaj pobiegli, słysząc strzały dochodzące z domu. Martin szedł przodem. Poruszali się doskonale wyćwiczonym krokiem taktycznym, który pozwalał im zaatakować wroga z przodu, a jednocześnie nawzajem się osłaniać. Dotarli do zakrętu pod kątem prostym w korytarzu, kiedy usłyszeli dwa wystrzały z pistoletu i kobiecy krzyk.

Agenci służb specjalnych obrócili się tak płynnie, jakby byli złączeni biodrami: Martin do przodu i na lewo, Ramses tuż za nim na prawo. Skierowali lufy w stronę światła. Tam w otwartych drzwiach zastali Laurę. Klęczała na posadzce plecami do nich. Mierzyła z pistoletu gdzieś w ciemność spowijającą sypialnię gospodarzy.

W pokoju rozległ się głośny strzał. Rozbłysło. Ramses Cienfuegos padł na podłogę, wydając głośnie stęknięcie.

Martin Orozco otworzył ogień w stronę sypialni, zdołując łuk drzwiowy ponad głową Laury dziurami od naboju kaliber 9 milimetrów. Strzelając, przesunął się na prawo, aby osłaniać leżącego na podłodze kolegę.

Po trzech sekundach skończyły mu się naboje, więc przykucnął, by załadować broń.

Jednak z sypialni nie dochodziły już żadne odgłosy.

Martin minął Laurę i wbiegł do pokoju. W świetle przytwierdzonej do broni latarki zobaczył otwarte okno, pod którym leżało dwóch martwych policjantów stanowych, i podziurawioną nabojami ścianę. Na podłodze po drugiej stronie łóżka ujrzał ciało Luisa Corralesa.

Za nim do pokoju weszła Laura. Krzyknęła, po czym podbiegła i nachyliła się nad teściem.

Martin wrócił do leżącego w korytarzu kolegi. Z ulgą zobaczył, że Ramses podpira się na łokciach. Dotarł tu i *gringo*, który nachylał się nad leżącym funkcjonariuszem. Amerykanin był przemoczony do suchej nitki. Ciężko dyszał ze zmęczenia, ale nie był ranny. Mężczyźni wymienili spojrzenia i odetchnęli z ulgą.

Bitwa skończona. Przynajmniej na razie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Court siedział z Martinem i Ramsesem na południowym *miradorze*. Wszyscy trzej wpatrywali się w część posiadłości za domem. Court zdążył już zdjąć przemoczoną koszulę i przebrał się w dżinsową kurtkę z szafy Luisa. Niestety w całym domu nie było żadnych suchych spodni, w które mógłby się wbić. W powietrzu unosił się wciąż ostry swąd prochu, który wkrótce miał zostać zastąpiony przez smród martwych ciał leżących na patiu. Court stwierdził, że jeśli nie uda się wydostać stąd rodziny Gamboa przed wschodem słońca, to będzie trzeba wkrótce przywiązać ciała do kamiennych donic i wepchnąć je do basenu. Widok czy fetor rozkładających się ciał nie robił na nim większego wrażenia, wiedział jednak, że morale nieprzyzwyczajonych do takich widoków i woni cywilów w *casa grande*, łagodnie mówiąc, ucierpi, jeśli przyjdzie im funkcjonować wśród napuchniętych słońcem trupów oblażonych przez robactwo i iguany.

Kiedy wrócił do środka, najpierw usłyszał kobiecy płacz, a następnie odgłosy modlitwy i jeszcze więcej szlochów. Po znalezieniu ciała Luisa Laura się załamała. Obwiniła się o jego śmierć. Inez, Luz i Elena przykryły zwłoki kocem tam, gdzie zginął. Najprawdopodobniej wciąż znajdowały się w sypialni.

Zdawał sobie sprawę, że w południe ciało zacznie cuchnąć.

Gdy strzelanina się skończyła, a pozostali przy życiu *sicarios* zniknęli w mroku w okolicach południowego muru hacjendy, Court zrobił inspekcję auta Eddiego. Jego nadzieje, że może jednak uda im się w miarę szybko stąd zwać, spaliły na panewce. Odkrył, że aż trzy z czterech opon zostały przebite kulami tuż po tym, jak włączyło się światło. Maski, maskownica i lewy przedni panel nadwozia były podziurawione, ale silnik wciąż działał, przynajmniej na razie.

Co z tego, skoro tylko jedna opona była cała?

W przerwie między łkaniem, modlitwą a chwilami katatonicznego patrzenia w dal Inez powiedziała Courtowi, że w stodole na wschód od *casa grande* stoi stary rolniczy pikap. Od lat nikt nie uruchamiał silnika, ale pojazd powinien działać.

Tak się składało, że lubiący alkohol Ignacio był mechanikiem samochodowym. Ernesto wysłał syna, aby wybadał, czy stary klekot posłuży im do ucieczki.

Court umieścił młodego Diega na północnym *miradorze*, aby obserwował front posesji. Wyposażył chłopaka w karabinek jednego z martwych gliniarzy, pokazał, jak go oprzeć o ramię i jak mierzyć w cel, oraz wyjaśnił, że gdyby kogoś zobaczył, ma cały czas naciskać spust, aż przyjdzie któryś z zawodowców, żeby go zwolnić.

Ramses tłumaczył po cichu Amerykaninowi:

– Dobrze nam poszło. Straciliśmy jedną osobę na jedenaście, a oni stracili ośmiu z... no nie wiem, piętnastu, może nawet dwudziestu. Do tego zdobyliśmy spluwy i amunicję.

Court nie był aż tak optymistycznie nastawiony.

– Prawda. Tylko że ci, którzy ocaleli, dowiedzieli się wszystkiego, co im potrzebne. Wiedzą, że jest nas mało, że nie jesteśmy w stanie pilnować wszystkich wejść, znają mniej więcej rozkład pomieszczeń. Ci kolesie pewnie byli najbliżej. To w żadnym wypadku nie ich najlepsi ludzie – westchnął. – Musimy stąd jak najszybciej spieprzać. Kolejnego ataku nie przeżyjemy.

– Dokąd?

– Jestem otwarty na propozycje – przyznał Court.

Żaden z *federales* się nie odezwał.

Court był zmęczony i sfrustrowany. Dręczyło go, że nie miał planu. Znów się odezwał, dając ujście zdenerwowaniu.

– Czyli chcecie mi powiedzieć, że poza waszą dwójką w całym Meksyku nie ma ani jednego uczciwego Meksykanina?

Jego towarzysze milczeli przez chwilę.

W końcu odezwał się Ramses Cienfuegos. W jego głosie dominował gniew.

– Znam mnóstwo ludzi, którzy są godni zaufania. Żołnierzy, gliniarzy, cywilów, urzędników państwowych... Wielu moich rodaków jest skłonnych umierać w walce z *narcotraficantes*. Sporo z nich ginie! Jednak wciągnięcie ich w tę sprawę spowodowałoby na nich wielkie niebezpieczeństwo. To prawda, że korupcja istnieje na każdym szczeblu w każdej instytucji publicznej w tym kraju, i to w ogromnej mierze dzięki tym sześćdziesięciu miliardom dolarów, które wy, *gringos*, wydajecie rocznie, aby ją podżegać.

– Nie obwiniaj nas o waszą wojnę domową – odparł Court.

– Bo wy, dzielni Amerykanie, nigdy nie wpakowalibyście się w żadną wojnę domową, prawda?

Court postanowił zignorować tę uwagę, ale Ramses nie zamierzał kończyć wyводу.

– Uwierz, *amigo*, że gdyby nie popyt, de la Rocha i jemu podobni musieliby parać się uprawą pszenicy czy czymś w tym rodzaju. Pogadaj z pierdolonymi ćpunami ze Stanów Zjednoczonych. To oni ponoszą dużą część odpowiedzialności za te wszystkie morderstwa. Gdyby tylu twoich rodaków nie było zasranymi skurwysynami łamiącymi wasze prawa, destabilizując tym samym sytuację mojego narodu, to może więcej moich rodaków byłoby godne zaufania!

Court pokiwał głową. Dotarł do niego sens wypowiedzi Ramsesa. Zrozumiał, że właśnie zachował się jak kutas.

– Przepraszam, stary. Po prostu jestem wkurwiony.

Po chwili Ramses odparł:

– Spoko, wszyscy jesteście wkurwieni.

Cała trójka pogłaskała broń i wyjrzała w ciemną noc.

Czterdzieści pięć metrów po lewej od nich usłyszeli jakieś odgłosy. To Ignacio próbował poradzić sobie z gruchotem stojącym w szopie. Podchmielony brat Eddiego uruchomił rozrusznik, ale dalej nie szło mu już tak dobrze.

Court westchnął ciężko. Jeśli nie uda im się zapalić tego grata, będą mieli przesrane. Prawdę mówiąc, jeśli nawet jakimś cudem im się to uda, nie miał pojęcia, dokąd mogą uciec. Nie pochodził stąd... Zaraz... Nagle wpadł na pewien pomysł.

– O! Właśnie to!

– Hę? – zapytał Ramses.

– Powiedziałeś, że Stany Zjednoczone powinny poczuć się do odpowiedzialności. A gdyby udało nam się przemycić Elenę i jej rodzinę do USA? De la Rocha nie ma tam nikogo w kieszeni.

– No, nie ma.

– Dostać się do Stanów nie może być trudne... W końcu codziennie wielu waszym rodakom to się udaje.

Ramses pokiwał głową.

– W zeszłym roku służyłem w stolicy, przy Federalnej Agencji Śledczej. Odpowiednik waszego FBI. Natknęliśmy się na jakiegoś *gringo* pracującego w konsulacie waszej ambasady, który sprzedawał dokumenty umożliwiające przedostanie się do *Estados Unidos*. Mieliśmy już wszystkie dowody, żeby go zamknąć, ale akurat zawieszono naszą operację. Nie przekazaliśmy Amerykanom tego, czego się dowiedzieliśmy.

– Dlaczego nie?

– A jak myślisz? Meksyk zarabia krocie na tych, którzy przedostają się przez granicę. Nie mieliśmy powodu, żeby facetowi przeszkadzać. Stwierdziłem, że może nawet zaczniemy mu pomagać...

– No dobra, czyli kochani z was sąsiedzi. Ale jak miałyby to nam pomóc?

– Pamiętam, co to za gość. Skontaktujemy się z nim, wtedy możesz kupić wizy dla całej rodziny, a potem ich podwieziemy do przejścia granicznego.

Court podrapał się po głowie.

– A jeśli nie mamy kasy?

– Ja mam – odezwała się Laura. Nieco wcześniej weszła na punkt widokowy z korytarza na piętrze, po czym usiadła i przysłuchiwała się rozmowie trzech mężczyzn, których dwie doby temu w ogóle nie знаła. Słuchała, jak decydują o losie jej rodziny.

– Serio? – zapytał Court.

– Dostaję rentę wojskową po Guillermo. Co roku część, ale jestem w stanie wyciągnąć wszystko, choć po opłaceniu kary.

– Ile możesz wyjąć?

– Pięćset tysięcy pesos.

Court przeliczył w pamięci na dolary.

– Sześćdziesiąt tysięcy dolarów? Czy to wystarczy? – zapytał Ramsesa.

Ten wzruszył ramionami.

– Na osiem osób? Nie mam pojęcia. Ale na pewno taka kwota zainteresuje pana z ambasady.

Court spojrzał na Laurę.

– Naprawdę jesteś gotowa to zrobić? Oddać całą forszę Elenie, rodzicom...

– Oczywiście – obruszyła się Laura. – Przecież to moja rodzina. Zrobię dla nich wszystko.

– A ty wyjechałabyś do Stanów?

Pokręciła głową.

– Niech oni wyjadą. Mama, tata, Elena i Diego. Ale ja nie. Mój dom jest w Meksyku. Nie chcę wyjeżdżać.

– Dlaczego? – zapytał Court z niedowierzaniem.

– Nie potrafię tego wszystkiego zostawić.

– Dlaczego? – powtórzył, po czym dodał: – Ja cały czas to robię.

Laura przez dłuższą chwilę przyglądała mu się w półmroku.

– A więc nigdy nie zrozumiesz, co to znaczy mieć swoje miejsce.

Gdzieś z dołu doszedł ich odgłos charczącego silnika. Gentry słyszał, że z każdym nieudanym przekręceniem kluczyka bateria słabnie. Po trzeciej, długiej, daremnej próbie rozległo się głośnie przekleństwo Ignacia:

– *Hijo de puta!* A to skurwysyn!

– Cóż, wydostanie się stąd jeszcze trochę potrwa – podsumował Court.

Ramses i Martin ruszyli przez *casa grande*. Raz na jakiś czas trzeba było zrobić obchód zachodniego skrzydła wokół dziedzińca w stronę kaplicy, jako że tam nie sięgał *mirador*. Laura została na werandzie z Courtem. Pili mocną czarną kawę i spoglądali na patio.

Po pewnym czasie kobieta przerwała milczenie:

– Ten dom to dopiero coś, prawda?

Gentry zaśmiał się i rozejrzał po zapuszczonej posesji.

– No, wybitnie zasrana dziura.

Poczuł na sobie jej wzrok. W końcu siostra Eddiego spojrzała w dal.

– Kocham to miejsce. Planowaliśmy z Guillermo tu zamieszkać, gdy wrócił z wojska.

„Cholera jasna, Court!”. Gentry miał nadzieję, że kiedyś w cudowny sposób uda mu się powiedzieć coś, co go nie pogrąży.

– No... Yyy.. Jasne... Ładnie tu... Tylko trzeba by to doprowadzić do porządku...

Usłyszał, że Laura śmieje się cicho. Ten chichot nie pasował do jej melancholijnej i poważnej osobowości.

– Masz rację. Sam remont pewnie zająłby nam ładnych kilka lat. Ale Guillermo chciał się zająć rodzicami, ponownie rozkręcić gospodarstwo, wychować tu dzieci... Sprawić, żeby było tu naprawdę wesoło i szczęśliwie.

– Przykro mi, że tak się wszystko potoczyło – mruknął Gentry.

– Mnie też – odparła Laura.

* * *

Dwie godziny później Ignacio wciąż siedział w stodole i dłużył przy aucie.

Court zwolnił Diega z posterunku przy oknie na piętrze, tuż nad drzwiami wejściowymi z północnej strony domu. Leżał na brzuchu, spoglądając na linię poruszanych wiatrem drzew i na kamienisty podjazd, który wił się i znikał w nikłym świetle księżyca, pełzając w stronę bramy wjazdowej, jakieś sto metrów na północ od domu.

Wymacał leżącą przy nim dwururkę Luisa. Rozdał karabinki M1 pozostałym, wziął zapas naboju śrutowych ze strzelby zabitego *municipale* z Tequili. Zostawił jednak spluwę. Zauważył, że podczas strzelaniny jej lufa została uszkodzona. Znalazł jeszcze jedną strzelbę z ruchomym czółenkiem i systemem *pump action*, należąca do innego martwego gliny – tym razem z policji stanu Jalisco – ale wolał ciężar i solidność długiej, ciężkiej dwururki, więc policyjną giwerę potraktował jako broń zapasową.

Był senny, ale Luz przyniosła mu kolejną porcję diabelsko mocnej czarnej kawy, co na pewno utrzyma go na nogach przez kilka najbliższych godzin. Napój nie tylko go pobudził, ale także rozgrzał. Było około dziesięciu stopni Celsjusza, a on leżał wystawiony na muśnięcia nocnego wiatru, ubrany tylko w dżinsową kurtkę i wilgotne spodnie.

„Cholera” – pomyślał. Naprawdę chciał stamtąd uciekać gdzie pieprz rośnie.

Udało im się poczynić w tym temacie pewne postępy. Ernesto i Diego wyciągnęli baterię z forda i zanieśli ją do stodoły. Przelali też paliwo z jego baku do naprawianego auta. Court widział już oczami wyobraźni, jak wszyscy upchani w starym klekocie niczym sardynki w puszcze ruszają w stronę głównej bramy w obstawie Ramsesa i Martina na motocyklach. Zapewne przy akompaniamencie

wystrzałów z koltów. Court miał nadzieję, że dopisze im szczęście i odjadą stąd żywi.

Court przetarł piekące oczy, trzeci raz w ciągu minuty odganiając sen z powiek.

Spojrzał na zegarek. Była czwarta sześć. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Czarnym Garniturom udało się zebrać kolejną ekipę, to nadciągnie ona jeszcze przed świtem. Nie było powodu, żeby zwlekali. Nie musieli czekać na słońce.

Minął już najlepszy moment na atak. Court się z tego cieszył. Liczył, że odepchnąwszy pierwszą szarżę, zmusiwszy wroga do odwrotu i opuszczenia hacjendy, zyskają trochę czasu.

Uświadomił sobie jednak, że ta sytuacja była nadzwyczajna. Atak o trzeciej nad ranem zazwyczaj miał związek ze standardowymi zmianami warty.

W tym przypadku jednak wróg wiedział, że osaczonym brakowało ludzi, żeby rozstawić straż na całej posesji, a tym bardziej wprowadzić zmiany i przerwy na odpoczynek i jedzenie.

Court zdał sobie sprawę, że przyszło mu się zmierzyć z wyrachowanym przeciwnikiem, i to chytrzejszym niż on. Dopiero teraz się zorientował, że na pewno uderzą przed wschodem słońca. Nieważne, ilu ich jeszcze zostało.

„No, Ignacio, zasrany pijaku, uruchomże wreszcie ten samochód!” – pomyślał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W drugiej fali atakujących pojawiło się tylko dwunastu napastników, jednak byli lepiej wyszkoleni i wyposażeni. Dopracowali plan i opierali się na zdobytej przez poprzedników wiedzy. Nowa grupa to byli *marinos*, meksykańscy odpowiednicy amerykańskich *marines*. Przyjechali z bazy w Guadalajarze na rozkaz „Pajaka” Cepedy.

Byli w czynnej służbie, a po godzinach dorabiali jako *sicarios* u Czarnych Garniturów. Wszyscy doskonale wyszkoleni w taktykach działań ofensywnych małych pododdziałów, uzbrojeni w pistolety maszynowe HK MP5 i granaty błyskowo-hukowe. Mieli kamizelki kuloodporne. Ubrani w oliwkowe mundury doskonale wtapiali się w ciemnozielony pejzaż tej części gór Sierra Madre. Pierwsi atakujący, którzy pod koniec akcji ratowali się ucieczką przez mur, czyli nieliczni bez śrutu czy dziewięciomilimetrowych naboju w ciele, dostali rozkaz, żeby poczekać na kolejną ekipę i wyjawic im, czego mogą się spodziewać. *Marinos* szykowali się przy dwutonowym pojeździe, którym przyjechali, i słuchali relacji zdenerwowanych gliniarzy, którzy zaciągali się łąpczywie papierosami, żeby się odstresować.

Wojskowi sprawdzili broń i krótkofalówki, po czym podzielili się na trzy czteroosobowe ekipy, pożegnali z wyczerpanymi amatorami i ruszyli w stronę murów hacjendy.

Czwórka składająca się na ekipę A, czyli „Antonio”, w hiszpańskojęzycznym systemie literowania odpowiadającym „Alphie” w alfabecie NATO, dostała się na teren hacjendy, wspinając się przez spiętą łańcuchem bramę w zachodniej ścianie muru, obrośniętą wysoką trawą i dziką agawą niebieską. Do pogrążonego w ciemnościach domu zmierzali dwójkami tak, że każda para zabezpieczała drugą podczas ruchu. W końcu dotarli do ruin kamiennego silosu, po czym ruszyli w stronę kaplicy, która leżała tuż przy zachodniej ścianie *casa grande*.

Z kolei ekipa „Barcelona” sforsowała tylną część muru nieopodal miejsca, przez które ponad trzy godziny temu dostał się tu pierwszy zespół. Kiedy jej członkowie znaleźli się już na terenie gospodarstwa, skręcili w prawo, wspięli się przez drewniane ogrodzenie zagrody, przeszli za starą stajnię ze spróchniałych desek, stąpając ostrożnie, aby nie potknąć się o kamienie, drewno i śmieci.

Ekipa „Carmen” weszła na teren hacjendy od wschodu, trafiając na obszar za wierzbami nieopodal stawu. Stamtąd ruszyła najpierw bokiem, a następnie w stronę frontowej ściany budynku. Skupiła się na podejściu w stronę starej kamiennieo-drewnianej stodoły, skąd dochodziły odgłosy pracy silnika spalinowego.

W kilka minut „Barcelona” dotarła pod treliąz ciągnący się wzdłuż wschodniej granicy patia. Przez radio porozumiała się z ekipą „Antonio”, która była już na stanowisku na zachód od *casa grande*. Wysłała żołnierza do stojącej nieopodal domu kaplicy, by sprawdził źródło światła przebijającego się przez pęknięcia kamiennych ścian.

Siedem minut po przedostaniu się na teren posiadłości trzy czteroosobowe zespoły były gotowe do przypuszczenia ataku równocześnie z trzech stron.

* * *

Court ponownie przetarł oczy, poruszył się i zerknął na zegarek.

Gdzieś na drugim końcu domu rozległ się krzyk mężczyzny – czyżby Martin?

Wystrzał ze strzelby.

Gentry był tak zdyscyplinowany, że udało mu się utrzymać na pozycji i skupić wzrok na rozciągających się przed nim drzewach i podjeździe.

Poruszały się tylko czubki sosen. Poza tym z tej strony posiadłości nic się nie działo.

„Cholera, cholera, cholera...”. Nauczono go, by w takiej sytuacji nie opuszczać swojego terenu. Nie cofać się, trzymać się planu, ufać zabezpieczeniom i wierzyć, że towarzysze broni będą odpowiadać za własne terytorium.

Jeśli rzeczywiście zaatakowano sektor Martina, Ramses i Laura są po jego obu stronach. Oni lepiej wiedzą, co się dzieje, są też w lepszym położeniu, aby przyjść z pomocą niż Court, który czuwał po przeciwnej stronie budynku.

„Zaufaj im. Zostań na stanowisku. Uwierz w swój plan”.

Rozległ się kolejny strzał. Po nim nastąpiła seria z pistoletu maszynowego.

Gentry starał się skoncentrować na rozciągającej się przed nim ciemności. Nic. Żadnego ruchu, żadnego napastnika. Pusto.

„Uwierz w swój plan, Court”.

Za nim rozległy się kolejne strzały, usłyszał kolejne krzyki.

„Uwierz w swój plan, Court!”.

Wtedy nastąpił wybuch. Gdzieś w domu, najpewniej na piętrze, ktoś zdetonował granat błyskowo-hukowy.

„Kurwa! Trzymaj się planu, Court!”.

Wtedy usłyszał Laurę.

Krzyczała.

„Jebać plan”.

Gentry podniósł się na kolana i skoczył na równe nogi. Prawą dłońią dźwignął ciężką dwururkę, odwrócił się na pięcie i pobiegł na tył domu.

* * *

Pierwszego napastnika dostrzegł przez przypadek. Court wbiegł do ciemnego salonu, trzymając się zachodniej ściany. Po jego lewej był łuk prowadzący do kuchni, po prawej – do eleganckiej jadalni. Zamierzał przebiec przez salon, strzelając, następnie dostać się do schodów i ruszyć na górę, aby wejść w korytarz na piętrze, na stanowisko Laury.

Nagle mimo ciemności jakieś trzy metry od siebie ujrzał czarną końcówkę lufy wystającą z jadalni. Skoczył. Dał susa do przodu i upadł na zimną posadzkę niczym bejsbolista wślizgujący się na bazę. Przesunął się pod łukowatym przejściem do jadalni, mierząc długą lufą dwururki w stronę zagrożenia. Będąc już pod łukiem, dostrzegł w ciemności *sicario*. Mężczyzna niewątpliwie coś usłyszał, ale nie zdążył jeszcze wycelować w stronę źródła hałasu.

Court się zatrzymał, po czym zniemacka wcisnął koniec lufy prosto w klamrę paska napastnika. Pociągnął za spust, wstrzeliwując dziewięć pocisków kaliber .33 w podbrzusze mężczyzny, prawie go przepoławiając. Napastnik poleciał do tyłu przy akompaniamencie huków. Jego pokiereszowane ciało wylądowało na stole.

Tam drżało w śmiertelnych konwulsjach, kiedy ostatnie sygnały z jego systemu nerwowego trafiły do mięśni.

Gentry podniósł się do klęku, jeszcze zanim jego ofiara dotknęła blatu. Nie widział, gdzie poleciała jego broń, nie chciał też tracić czasu na szukanie jej po ciemku, więc wstał i pobiegł w stronę schodów, przeładowując potężną strzelbę.

Jednym skokiem pokonał trzy stopnie.

Rozległy się kolejne strzały, tym razem w dwóch miejscach. U szczytu schodów Gentry skręcił w prawo. W jednym z pokoiów w tej części korytarza rozległ się wybuch. Wśród dymu, wzburzonego kurzu i ciemności zobaczył Laurę, która pośpiesznie wycofywała się z sypialni. Miała przed sobą broń, ale Court zauważył, że skończyły się jej naboje.

Podbiegł do niej. Laura się potknęła i poleciała w jego stronę. Udało mu się ją złapać, zanim upadła na podłogę. W pierwszej chwili przestraszył się, że została trafiona, po chwili jednak poznał w jej zachowaniu nieomyślne skutki spotkania z granatem zaczepnym. Miała rozszerzone źrenice, kolana jej drżały.

– Ilu ich jest? – zapytał.

Laura była drobna, ale umięśniona. Pomógł jej stanąć na nogi.

Wkrótce się otrząsnęła:

– Nie wiem. To *marinos*. Nagle pojawili się w korytarzu!

– Są już w środku?

– ¡Sí! Są wszędzie!

Court mocno chwycił ją za rękę, obrócił, po czym pobiegli korytarzem w stronę wschodniego skrzydła domu, przez antresolę z widokiem na ciemny salon.

* * *

Wiedział, że bitwa w *casa grande* przybiera na sile. Coraz częściej rozbrzmiewały huki, trzaski i wystrzały z broni różnego rodzaju.

Ignacio obrócił się na pięcie i rzucił butelkę po tequili na koniec stodoły. Flaszka rozbiła się o kamienną ścianę i rozprysła na tysiące mokrych kryształków. Mężczyzna wsiadł za kierownicę starego dodge'a i sięgnął po kluczyk. Silnik od razu zareagował. Choć do jego pracy można było mieć zastrzeżenia, to mechanik wiedział, że może zaufać tej maszynie.

Ignacio zakrył twarz dłońmi i się rozplakał.

Już od co najmniej godziny był pewny, że uda mu się odpalić maszynę. Nie miał wątpliwości, że kiedy to się stanie, natychmiast wsiądzie za kółko, pchnie wajchę skrzyni biegów, po czym jak najszybciej spierdoli, zostawiając wszystkich w tej przerażającej hacjendzie.

Zostawi rodziców, siostrę, bratanka.

I nienarodzonego syna Eduarda.

No bo przecież nie był w stanie w żaden sposób im pomóc. Mógł sam ująć z życiem.

Włączył światła.

Nie da się przeżyć wyroku śmierci Czarnych Garniturów. Pozostanie u boku rodziny to samobójstwo, a ono wymaga swego rodzaju siły charakteru. Ignacio Gamboa doskonale wiedział, że tej siły nie posiada. Nie był młodszym bratem Eduardem, który dzielnie stawiał czoło wrogom i potrafił zapewnić byt rodzinie i przyjaciółom.

Nie był też taki, jak jego młodsza siostra Lorita, która poświęcała się wsparta niegasnącą wiarą.

Ignacio Gamboa nie został obdarzony ani odwagą, ani wiarą. Był zwykłym człowiekiem. Zwykłym, słabym człowiekiem. Był przerażony.

Z całego rodzeństwa najbardziej przypominał Rodriga. Dbał tylko o siebie i o to, co był w stanie uzyskać od innych.

Był świadkiem, jak w Parque Hidalgo Rodrigo dostał kulą prosto w czoło. Na własne oczy widział, jak mózg brata wypływa mu z uszu. Ignacio wiedział, że pod wieloma względami przypomina brata, ale nie chciał zginąć jak on.

Obiecał sobie, że nie umrze w tej hacjendzie. Ucieknie i będzie żył!

Ignacio nie wspomniał pozostałym, że zna miejsce, w którym Los Trajes Negros ich nie dorwą. Miał znajomych w Durango, na terenie Madrigala. Wiedział, że było tam kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset wiosek, do których DLR i jego przebrane za włoskich mafiosów żołnierzyki nie ważyły się wchodzić. Zdawał sobie sprawę, że jeśli uda mu się dotrzeć do Sierra Madre w stanie Durango, to będzie musiał pracować dla Los Vaqueros. Że albo przyjdzie mu uprawiać gandzię lub opium, albo przewozić gandzię, kokę, herę lub metę, albo zabijać w imię gandzi, koki, hery lub mety. Ale on nie miał z tym większego problemu.

Lepsze to niż skończyć jak Rodrigo czy Eduardo.

Specjalnie nie mówił rodzinie o tych znajomych. Wiedział, że i tak by z nim nie pojechali. Nawet teraz by z nim tam nie pojechali.

Postanowił więc udać się sam.

Otarł łzy tłustymi, spoconymi, owłosionymi przedramionami i ruszył.

Planował przebić się przez zamknięte drewniane drzwi stodoły. Nagle wierzeje się otworzyły. W świetle reflektorów stało dwóch mężczyzn. Wymierzili w niego lufy.

– Nie! – krzyknął Ignacio Gamboa, wciskając gaz.

Stojący przed nim *sicarios* puścili salwę z karabinków MP5, rozbijając przednią szybę, dziurawiąc maskę i kierownicę. Drżące w konwulsjach ciało przeszył ołów. Pojazd minął zabójców i skręcił w lewo. Twarz Ignacia padła na kierownicę. Martwa stopa zsunęła się z pedału gazu, po czym dodge delikatnie zatrzymał się tuż koło kamiennej fontanny, na środku ronda na podjeździe.

Zabójcy raz jeszcze strzelili do martwego Ignacia.

* * *

Inez nie była tam, gdzie miała się ukrywać. Jeszcze pół godziny temu, zgodnie z zaleceniami *gringo*, siedziały z Eleną i Luz w piwnicy. Leżały na przygotowanych posłaniach w świetle świeczki wotywniej, wokół której modliły się i rozmawiały o bliskich zmarłych w ostatnich dniach. Jednak po godzinie powiedziała, że musi skorzystać z toalety. Wyszła na podziemny korytarz i minęła drzemiącego na kamiennych schodach Ernesta. Na górze przeszła obok Diega, który leżał na kuchennej posadzce, ale nie spał. Powiedziała, że zaraz wróci. Kiedy jednak weszła do salonu, skierowała się nie w stronę łazienki, tylko długiego korytarza, który prowadził do zachodniego skrzydła *casa grande*.

Stamtąd udała się na niewielki dziedziniec, potem poszła wzdłuż zimnych, kamiennych ścian i kolumnady, aż na jej końcu dotarła do zakurzonego magazynu. Tam wymacała drzwi na zewnątrz.

Noc była spokojna. Wiał lekki, chłodny wiaterek. Kobieta szła rzadko ostatnio uczęszczaną kamienną ścieżką porośniętą chwastami i bluszczem aż do starej kaplicy. Powoli otworzyła spróchniałe drewniane drzwi. Starła się zachowywać cicho. Nie chciała robić hałasu, żeby Amerykanin lub dwaj policjanci się nie

zorientowali, że wyszła z domu. Nie chciała, żeby po nią przyszli i zaprowadzili z powrotem do piwnicy. Będąc już w środku, zamknęła drzwi, żeby nie było widać przez nie światła świec.

Wzięła ze sobą zapalniczkę. Zapaliła przyniesioną świeczkę wotywną, którą postawiła na niewielki ołtarz na końcu kaplicy. Tam powoli, uważając, żeby klęcznik nie skrzypiał, uklękła.

Przed ołtarzem zapaliła kilka kolejnych świec, tyle, żeby w ich świetle było widać mosiężny krucyfiks. Powietrze powoli wypełnił zapach wosku i palącego się knota, łącząc się z wszechobecną wonią pleśni i kurzu. Siedemdziesięciodziewięcioletnia Inez zaczęła się modlić.

Po chwili tuż za wejściem do kaplicy rozległy się odgłosy strzelaniny. Obejrzała się w stronę drzwi, ale się uspokoiła. Wróciła do przerwanej modlitwy.

Przyszła do kaplicy, aby pomodlić się za męża, który nie żył od trzech godzin. Chciała się modlić za jego duszę właśnie tu, gdzie jako dziecko został ochrzczony, w miejscu, w którym w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym przyszli zapalić świece dziękczynne tuż po swoim ślubie. W miejscu, gdzie jej syn Guillermo nauczył się kochać Pana Jezusa.

Dobiegające z zewnątrz odgłosy strzelaniny nie zmniejszyły ani piękna, ani wagi tego miejsca dla niej i dla jej rodziny. Spojrzała na krucyfiks, po czym zaczęła się modlić na głos, trzymając w dłoniach szklany świecznik maryjny. Drzwi do kaplicy za jej plecami otworzyły się z trzaskiem. Podmuch poruszył płomyki świec w niewielkiej świątyni. Długie cienie na ścianie drgnęły.

Kobieta zamarła z zaskoczenia i strachu. Nie odwróciła się jednak, tylko spuściła głowę i się przeżegnała.

Sicario trafił ją prosto w podstawę czaszki strzałem z kolta kaliber .45. Drobne, kruche ciało poleciało w stronę ołtarza i upadło tuż pod krucyfiksem. Z rąk Inez wysunęła się świeczka, gasnąc w powietrzu.

* * *

Diego i jego dziadek leżeli u szczytu schodów prowadzących do kuchni i mierzyli z karabinków do napastnika znajdującego się w salonie. Strzelił do nich pierwszy, dlatego Diego był pewny, że to nie mogła być ani *tía* Laura, ani brodaty *gringo* czy któryś z *federales*, którzy pracowali dla jego stryja. Wywnioskował, że

mężczyzna wyłaniający się co jakiś czas w świetle błysków wystrzałów musi być wrogiem.

Ani szesnastolatek, ani siedemdziesięciolatek nie byli nigdy szkoleni, co robić w takich sytuacjach. Nie ustawili się więc odpowiednio daleko od siebie – ich ramiona stykały się podczas walki, sprawiając, że przeciwnik mógł mierzyć do jednego celu. Poza tym nie wiedzieli, że skoro jeden przeładowywał, to drugi powinien go osłaniać. Strzelali więc wtedy, kiedy uznali za stosowne, przestawali, gdy wydawało im się, że tak trzeba, i przeładowywali wtedy, gdy było to konieczne. Robili długie, niebezpieczne przerwy umożliwiające przeciwnikowi zbliżenie się i znalezienie lepszej pozycji.

W pewnym momencie Ernesto podniósł się do klęku, żeby wyciągnąć z kieszeni trzeci magazynek do karabinka M1. Nachylił się, aby krzyknąć coś wnukowi do ucha. Nagle obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, upuścił broń, chwycił się mocno za prawe ramię. Zjechał na plecach po schodach, krzycząc z przerażenia. Czuł się tak, jakby muł kopnął go w ramię.

Na dole schodów pojawiła się jego żona ze świeczką w dłoni. Zaczęła się wspinać do niego, łkając. Ernesto krzyknął, żeby wracała do piwnicy, i zapewnił, że nic mu nie jest.

Jego ramię przeszył dreszcz ogarniający całe ciało niczym wysoka, chłodna fala przewalająca się przez mały kuter. Mimo to zaczął się wdrapywać z powrotem na górę. Po drodze sięgnął po broń, by walczyć obok wnuka.

* * *

Na południowym *miradorze* Ramses odpierał atak dwóch mężczyzn. Na początku walczył obok siostry majora, ale ktoś wrzucił granat, który wybuchł dokładnie między nimi. Laura chwiejnie wyszła na korytarz i poza jego pole widzenia, Ramses natomiast szybko otrząsnął się po eksplozji i zaczął nacierać, zamiast się wycofać. Dostrzegł dwóch napastników szykujących się do ataku. Udało mu się zaskoczyć ich, a ci uciekli, przeskakując z balkonu na patio poniżej. Kiedy *federale* dobiegł do balustrady i spojrzał w dół, zobaczył, że *marinos* znikają w ciemnościach. Nie miał wątpliwości, że tym razem będą próbowali wdrzeć się do domu na parterze, więc popędził na schody, zbiegł i skręcił w korytarz prowadzący do zachodniego skrzydła.

Mijał wiele drzwi, po czym ostro skręcił i wybiegł na dziedziniec, wokół którego ciągnęła się otwarta kolumnada. Pośrodku znajdowały się zarośnięta chwastami grządka i olbrzymia, wypełniona jakimś chłamem kamienna fontanna. Niewielką przestrzeń rozjaśniały gwiazdy, dzięki czemu widział drogę wyłożoną gresem. Pobiegł w stronę drzwi po drugiej stronie krużganków.

Z gotowym do strzału pistoletem maszynowym sprawdził pomieszczenie, w którym się znalazł. Miał wrażenie, że trafił do magazynu czy schowka. Po drugiej stronie zobaczył otwarte na oścież drzwi na zewnątrz.

Wiedział, że napastnicy są już w środku.

Gdzieś za nim.

Ramses Cienfuegos ostrożnie wycofał się po swoich śladach. Z końca domu wciąż dochodziły go odgłosy strzelaniny, zdawał sobie jednak sprawę, że widziani wcześniej mężczyźni nie daliby rady dostać się tak szybko w tamto miejsce. Wrócił na krużganki, przemknął na wschód pomiędzy kolumnami i skierował się na północ, aby przedostać się w korytarz prowadzący do głównej części *casa grande*.

W biegu obejrzał się w stronę ogrodu. Zastanawiał się, czy tam, pośród wysokiej trawy i wyrosniętych chwastów, ktoś się ukrywa.

Kiedy znów spojrzął przed siebie, zauważył kogoś dziewięć metrów od niego. Pędził w jego stronę po kamiennej posadzce pomiędzy kolumnami.

To był *marino* w bojowym rynsztunku z MP5 gotowym do strzału.

Obaj Meksykanie w tym samym momencie dostrzegli siebie. Obaj podnieśli broń, a ich oczy rozszerzyły się z zaskoczenia i strachu.

Marino wystrzelił serię naboju z pistoletu maszynowego w stronę *federale*. Ramses natomiast strzelił w stronę *sicario* ze swojego kolta 635.

Ramses Cienfuegos upadł pierwszy. W prawym bicepsie i w prawym ramieniu poczuł charakterystyczne gorące ukłucie. Obrócił się, nie spuszczać palca ze spustu. Supersoniczne pociski wyleciały z lufy prosto w prawe ramię zabójcy, trafiając go następnie w klatkę piersiową. Napastnik przewrócił się do tyłu.

Obaj padli plecami na zimne płytki, krwawiąc w ciemnych krużgankach. Dzielila ich odległość zaledwie siedmiu metrów. Obu skończyły się naboje w magazynkach. Podnieśli się równocześnie, aby przeładować broń, co nie było takie proste, ponieważ zostali ranni, a broń i zapasowe magazynki pokryła śliska krew.

– ¡*Cabrón!* – krzyknął Ramses, obracając się na prawe biodro i wyrzucając zużyty magazynek. Tą samą ręką z kamizelki bojowej wyciągnął zapasowy magazynek, po czym z trudem wepchnął go na miejsce.

– ¡*Chingado federale!* – wrzasnął *marino*. Jego głos odbił się echem na dziedzińcu. Zrezygnował. Wiedział, że nie uda mu się przeładować, więc odepchnął broń, po czym lewą ręką sięgnął do kabury na prawym udzie. Wyjął z bólu, wyciągnął pistolet. Walczył z ogarniającym go otępieniem. W końcu udało mu się przeturlać na prawo i wymierzyć.

Ramses zazgrzytał zębami z bólu, po czym raz jeszcze rzucił przekleństwo w stronę zabójcy. Zorientował się, że został pokonany. Sprawną ręką usiłował jeszcze pchnąć dźwignię napinacza. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że *sicario* wyczarowuje skądś czarny pistolet. Widział, jak zamachowiec kręci się w rosnącej kałuży własnej krwi, aby ustawić się do zabójczego strzału.

Cienfuegos wiedział już, że nie zdoła przygotować broni na czas. Jedną ręką nie uda mu się przepchnąć dźwigni. Do tego musiałby oprzeć kolbę o płytki, a na to nie wystarczy mu czasu. Nie miał zapasowego pistoletu, oddał go siostrze majora. Bez naładowanej broni nie mógł walczyć z przeciwnikiem, więc pozwolił koltowi upaść na zimną posadzkę. Siedział z wyciągniętymi nogami. Zaczął się odprężyć. Pomyślał o swojej rodzinie i czekał na śmierć.

Leżący na boku *marino* skrzywił się z bólu i podniósł broń. Wiedział już, że uda mu się dobić ранego *federale*. Na jego twarzy wykwitł uśmiech.

Ramses Cienfuegos wziął głęboki oddech i westchnął. Patrzył, jak jego morderca delektował się chwilą.

– ¡*Come mierda!* A żryj gównno! – zawołał.

Nagle, cicho i prędko niczym wiatr hulający przed świtem po hacjendzie, zza rogu wybiegł Amerykanin. Trzymał długą dwururkę i wpatrywał się w jej zamek. Usiłował załadować strzelbę w biegu. Kiedy zorientował się w sytuacji, otworzył szeroko oczy. Ramses zauważył, że Court wyrzucił za siebie dwa naboje śrutowe, a następnie rzucił przed siebie ciężką broń i popędził do przodu.

Marino nie zdawał sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwo nadciągało z tyłu. Nie śpieszył się, starał się wymierzyć ze swojego sig sauera w siedzącego przed nim ранego *federale*.

Gringo złapał strzelbę oburącz za lufę i zbliżył się do leżącego na ziemi, nieświadomego zagrożenia *marino*. Zrobił krok do tyłu, a następnie zamachnął się z całej siły – niczym pałkarz w bejsbolu wybijający piłkę w stronę trybun lub golfista z całej siły wywijający kijem. Orzechowa kolba dwururki uderzyła w tył głowy *sicario* w chwili, gdy ten miał nacisnąć spust.

Zderzenie twardego drewna z czaszką było widokiem makabrycznym. Towarzyszył mu odgłos przypominający plaśnięcie o ziemię arbuza spadającego na jezdnię z pędzącej szosą ciężarówki. Tuż obok miejsca, w którym czaił się *sicario*, płytki i kolumny były zbryzgane krwią.

Marino zginął jak pod uderzeniem gilotyny. Padł przed siebie na twarz, tryskając krwią. Zakrył pistolet ciałem.

Ramses odetchnął z nieklamana ulgą. Amerykanin rzucił strzelbę i podbiegł do niego.

Tymczasem za plecami *gringo* pojawiło się kolejnych dwóch napastników. Nieświadomie jednak popełnili śmiertelny błąd: popatrzyli w prawo, zamiast w lewo. Ramses zobaczył *sicarios*, zanim oni zauważyli ich. Po chwili zabójcy ruszyli w ich stronę z podniesionymi giwerami.

– ¡*Atrás!* Z tyłu! – krzyknął Ramses, ostrzegając Amerykanina. Równocześnie pchnął swoją broń po posadzce w jego stronę. – ¡*Cárgalo!* Naładuj! – wrzasnął. *Gringo* zrozumiał, o co chodzi, rzucił się do przodu i prześlizgnął, aby dosięgnąć broni.

W wąskim przejściu rozbrzmiały wystrzały dwóch pistoletów maszynowych. Tuż nad głowami obrońców hacjendy spadły odłamki stiuku i kamienia. Ostre fragmenty dwustuletniej budowli przecięły powietrze niczym szerszenie. Gentry chwycił zakrwawiony pistolet maszynowy Ramsesa, przeturlał się na plecy, ładując broń. Zaczął strzelać, nim spostrzegł cele.

Pociski *sicarios* trafiały ścianę coraz niżej, po obu stronach Courta i Ramsesa. Odpowiedź Gentry'ego zarysowała na posadzce pęknięcie niczym uskok górski zbliżający się w stronę zabójców, którzy byli już dwanaście metrów od niego. Terakota pękała wśród iskier i dymu, coraz bliżej *marinos*, aż obaj padli, trzęsąc się od licznych ran postrzałowych. W końcu wyzionęli ducha.

– Kurwa! – krzyknął Court, ale sam siebie nie słyszał. Piszczalo mu w uszach. Nie spuszczał oczu i celownika prawie pustego kolta z dwóch postaci leżących

w zadymionym świetle księżycy. Usłyszał, że Ramses pełźnie w jego stronę.

– Wszystko w porządku, *amigo*? – spytał Court.

Ramses doczołgał się do Gentry'ego i położył się po jego lewej stronie. Odpowiedział po angielsku, co brzmiało, jakby próbował nieudolnie kogoś naśladować:

– Spoko, ziom. To było zajebiste.

Court się zaśmiał. Wiedział, że wysoki poziom adrenaliny utrzyma go w gotowości pewnie dopóty, dopóki będzie mu piszczalo w uszach. A potem ogarnie go przerażająca fala zmęczenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kwadrans później większość pozostałych przy życiu obrońców hacjendy zebrała się w salonie. Pianie koguta podpowiadało, że świt jest blisko, jednak niebo wciąż było kruczoczarne.

Gentry wstał i podparł się pod boki. Na jego dżinsowej kurtce, na długości od klatki piersiowej do pasa, widniały plamy krwi. Broda błyszczała mu od potu. Właśnie wrócił z podjazdu, gdzie znalazł ciało Ignacia leżące na przednim siedzeniu pikapa. Ociągając się, oznajmił:

– Ignacio nie żyje.

– Zginął, usiłując nas ratować – westchnęła Luz.

– Na pewno – odparł Court, choć miał co do tego spore wątpliwości. Szybkie spojrzenie na Ernesta utwierdziło go w podejrzeniu, że nawet rodzony ojciec Ignacia nie wierzył, by jego syn mógł zginąć jak bohater.

Żaden z nich jednak nie wyraził na głos swoich wątpliwości.

Kobiety płakały. Ernesto wydawał się zagubiony. W oczach też miał łzy, ale nie wyrażał swojego żalu tak jak inni. Żona uważnie bandażowała mu ramię. Ernesto trzymał brodę do góry, nie zważając na ból, i wpatrywał się w zaciemniony kąt pokoju.

Court miał więcej złych wiadomości do przekazania. Mówił po angielsku, Elena tłumaczyła tym, którzy nie rozumieli:

– Ramses jest ranny. Dostał dwie kulki, ale to krzepki skurwysyn. W razie czego da radę walczyć.

Człowiek, o którym mówił, był akurat w kuchni i lał tequilę prosto z butelki na rękę i ramię. Piekło, jak diabli, ale była świetnym odkażaczem. Wiedział, że bandaże zrobione przez Elenę z podartych prześcieradeł wkrótce zatamują krew.

Court zerknął na Laurę i kontynuował:

– Inez też nie żyje. Znaleźliśmy ją w kaplicy – urwał. Próbował powiedzieć coś pogrzipiającego. – Zmarła natychmiast. Nie cierpiała.

Laura tylko pokiwała głową. Zmęczenie i oszołomienie sprawiły, że ta informacja była łatwiejsza do przyjęcia. Court zwrócił uwagę, że nawet już nie płakała.

Amerykanin ciągnął:

– Niestety mam więcej złych wieści. Obawiam się, że z pikapa nici. Jest podziurawiony kulami i uszkodzony. A na domiar złego...

– Na domiar złego co? – zapytał Diego. Trzymał się karabinka M1 jak koła ratunkowego. Wystrzelił z niego dwadzieścia razy do człowieka, który jeszcze niedawno czał się w salonie. Chociaż w pomieszczeniu nie było ani ciała, ani śladów krwi, chłopak czuł, że udało mu się obronić rodzinę.

– A na domiar złego, gdy byłem na zewnątrz, w oddali za murem hacjendy słyszałem nadjeżdżające ciężarówki.

– Ciężarówki?

– Tak. To brzmiało jak wozy opancerzone.

Laura spojrzała na niego przekrwionymi oczami. Zrozumiała. Pokiwała głową.

– *Federales...*

Court przytaknął.

– Owszem. Zakładam, że to nieprzyjaciele. Z sześć wozów. Szacuję, że za murem może się kryć pięćdziesięciu napastników.

Był zdezorientowany podobnie jak pozostali. Choć ludziom de la Rochy nie udało się dokończyć misji, zdołali w dużej mierze zdusić chęć przetrwania obrońców hacjendy.

Court szukał czegoś, co można by uznać za uśmiech losu. „Cholera” – pomyślał. Chciałby być urodzonym liderem, umieć przewodzić, motywować i podnosić na duchu. W takich momentach czuł, że był tylko, jak często nazywali go inni, „zwyczajnym wyważaczem drzwi”, „tępy męśniakiem” i „uzbrojonym gorylem”.

W końcu udało mu się przybrać nieco bardziej optymistyczny ton.

– A jeśli chodzi o dobre wieści, jest ich trochę. Po pierwsze, już prawie świta. Wątpię, żeby próbowali nas atakować za dnia. Wiedzą, że mamy zapas nowej

bronii, a z opancerzonych wozów wiele nam nie zrobią. Tak więc mamy czas aż do wieczora, żeby znaleźć wyjście z tej sytuacji. Coś wymyślimy.

Court zdawał sobie sprawę, że nie była to przemowa godna generała Pattona.

Laura pokręciła głową.

– Joe, przecież ty w ogóle nie spałeś... Nie jesteś w stanie...

– Nic mi nie będzie. – Court machnął ręką. Nie miał czasu rozprawiać, jak bardzo przydałaby mu się drzemka. – Przeszukałem zwłoki *marinos*. Poza pistoletami maszynowymi znalazłem radia, lornetkę i telefon komórkowy. Wygląda na to, że zdążyli zmienić kody radiowe. Podejrzewam, że komórka jest albo namierzana, albo na podsłuchu, nie mówiąc o tym, że i tak chwilowo nie ma sieci, ale zatrzymamy ją. Może się jeszcze przydać.

Przez kilka minut rozmawiali o wyjeździe do Stanów, a potem każdy wrócił na wyznaczone pozycje. Court wziął wartę na tylnym *miradorze*, jako że tyły wciąż były najbardziej prawdopodobnym punktem ewentualnego ataku. Przykazał Martinowi, Diego, Ramsesowi i Laurze, żeby chodzili po domu i wyglądali przez okna. Rannemu Ernestowi kazał się położyć w piwnicy, w której przebywały jego żona i synowa. Laura dała ojcu pistolet, aby czuł, że odgrywa jakąś rolę w obronie swojej rodziny.

* * *

Dwadzieścia minut później Court leżał na balkonie i patrzył na wschód. Łagodne światło przejrzystego poranka stopniowo spływało na las. Jego oczom powoli ukazywała się biel muru na tyłach posesji, jak gdyby ktoś właśnie malował ją na czarnym płótnie.

Choć Court nie przewidywał, aby przeciwnik zaatakował przed nocą, zdawał sobie sprawę, że za dnia groziły im inne niebezpieczeństwa. W końcu na otaczających posesję wzgórzach mogli się kryć snajperzy. Dlatego oświadczył wszystkim, że na balkon czy werandę należy wychodzić na czworakach i pod żadnym pozorem nie wolno się wychylać za balustradę.

Kogut wciąż piał. Przekłęte ptaszysko! W ciągu ostatniej doby Court doświadczył tylu skoków i spadków adrenaliny, że teraz, gdy nadszedł czas przywitać nowy dzień, najbardziej potrzebował snu.

Nagle z oddali, tuż po drugiej stronie muru, dobiegł go jakiś dźwięk. Znow poczuł przyływ adrenaliny. Wyostrzyło mu się widzenie. Jakiś mężczyzna coś krzyknął. Court skupił uwagę na części muru, zza której rozległ się hałas. Z tego stanowiska widział tylko białą ścianę znajdującą się w odległości pięćdziesięciu kilku metrów.

Wtem rozległ się kolejny krzyk i równocześnie przez mur przeleciało coś ciemnego. Minęło eleganckie liście jakarandy, wpadło w wysoką trawę, a następnie odbiło się wysoko i chwiejnie niczym podłużna piłka. Wróciwszy na ziemię, nieznaną obiekt przetoczył się po krótszych źdźbłach i zatrzymał jakieś dwadzieścia metrów od mętnego basenu.

Na balkonie koło Gentry'ego pojawili się Ramses i Martin. Akurat patrolowali dom. Też widzieli ów dziwny przedmiot.

– Co to może być? – zapytał Martin.

Court zerknął przez zdobyczną lornetkę. Dostrzegł leżący w trawie obły kształt, ale było za ciemno, żeby dojrzeć szczegóły.

– No sé – odparł. Nie miał pojęcia, co to.

– Może bomba? – zasugerował Martin.

– Jeśli to bomba, to nie jest źle – odparł Court. W końcu to coś leżało w sporej odległości od domu.

– Może to głowa? – zapytał Ramses, skubiąc zakrwawiony bandaż na ramieniu. Wszyscy wiedzieli, że *narcos* uwielbiali dekapitować.

Martin zachichotał.

– Widziałeś, jak to się odbiło? To na pewno nie głowa.

Ramses też się zaśmiał, krzywiąc się z bólu od piekących ran postrzałowych. – W sumie tak. To nie jest głowa.

Court przyglądał się murowi. Udzielił mu się wisielczy humor kompanów.

– No właśnie. Poza tym chyba wiedzielibyśmy, gdyby brakowało nam jakiejś głowy. Ale nie brakuje, prawda? A może powinniśmy zebrać wszystkich i policzyć łepetyny?

Ramses się zaśmiał, po czym przetłumaczył Martinowi, który też zachichotał.

Court zdawał sobie sprawę, że z powodu stresu i skrajnego wyczerpania wszyscy prawie odchodzili od zmysłów. Odłożył lornetkę i przetarł oczy. Dopił

resztkę kawy.

Po kilku minutach zrobiło się jaśniej, zza szczytów Sierra Madre wstało słońce. Court znów sięgnął po lornetkę, zmrużył oczy, przechylił głowę i modlił się w duchu, żeby tym razem dojrzeć, czym jest tajemniczy przedmiot. Wiedział, że *sicarios* zależało, aby zobaczyli to coś. Hałasowali, żeby ktoś w domu wyjrzał i zobaczył, jak tajemniczy obiekt przelatuje przez mur.

Wesoły nastrój prysł. Court miał złe przeczucie dotyczące tego czegoś leżącego w trawie. To nie mogło być nic dobrego.

Już prawie, prawie... W końcu po lewej stronie tajemniczego przedmiotu spłynęło trochę światła. Widoczność się poprawiała.

– To... To piłka futbolowa – zauważył, po czym odetchnął z ulgą. Część oddechu jednak zamarła mu w gardle. Czy rzeczywiście o szóstej rano przerzucono przez mur tylko zwykłą piłkę?

– Może przyczepili do niej jakąś wiadomość? – zasugerował Martin.

Court czekał, aż prawa strona piłki zostanie trochę lepiej oświetlona.

Laura wyszła na balkon na czworakach, tak jak wcześniej zrobili to trzej mężczyźni, i położyła się obok Courta.

– Czego tak wypatrujecie?

Martin wyjaśnił, że zza muru wleciała piłka. Zaczęli z Laurą i Ramsesem snuć domysły. Court nie brał udziału w tej rozmowie, tylko uważnie spoglądał przez lornetkę.

– A to, cholera, co?

W dolinie zrobiło się jaśniej. Otworzył szerzej oczy.

To pomogło.

To...

Nie, przecież to niemożliwe...

„O mój Boże...”.

Gentry zacisnął powieki. Teraz już dokładnie wiedział, co to jest. Mruknął pod nosem po angielsku:

– Czy was, kurwa, popierdoliło?

– ¿*Qué?* – spytała Laura.

Court opuścił lornetkę i spojrział na siostrę Eddiego.

– Laura. Znajdź jakiś duży plastikowy worek, ręcznik, butelkę z wodą i daj mi swoją komórkę.

– Nie ma sieci.

– Ale telefon ma aparat?

– Sł.

– No to daj.

– ¿*Por qué?*

– Po prostu daj! – warknął. Był zdenerwowany. Szybko jednak się opanował i dodał: – Proszę!

Laura wypęzła na czworakach z balkonu.

– Co to? Co zobaczyłeś? – zapytał Ramses.

– Nie... Nie jestem pewien.

– To tylko zwykła futbolówka, prawda? – upewnił się Martin.

Court podniósł się na kolana, wziął dwururkę, po czym na czworakach ruszył do środka.

– Chciałbym, żeby tak było...

* * *

Pięć minut później był już na patiu, gdzie krył się za krzakiem azalii. Trzymał się jak najbliżej ziemi, korzystając z wybujałych traw. Pod ich osłoną przemykał w stronę basenu, zatrzymując się co jakiś czas, aby sprawdzić, czy nikogo nie słyhać. Trochę uspokoiło go ćwierkanie ptaków, a bliżej basenu nawet kumkanie żab. Był w miarę pewny, że jest jedynym człowiekiem w tej części ogrodu. Ta odwaga pchała go naprzód. Wiedział jednak, że gdyby *sicarios* w tej chwili postanowili przedrzeć się przez mur będący jakieś trzydzieści siedem metrów od niego, byłby stracony. Na pewno wypatrzyliby go wśród traw. Miał przy sobie broń, którą trzeba było przeładować po każdym podwójnym strzale, co nie stanowiło praktycznego uzbrojenia do nagłej walki.

Oczywiście na wszelki wypadek wziął strzelbę, ale ostatnią rzeczą, w którą chciał się angażować, była strzelanina. Ramses i Martin osłaniali go z *miradoru* uzbrojeni w MP5 zabrane martwym *marinos*, ale poza tym mógł liczyć tylko na siebie.

Pod drodze minął kilka ciał pierwszych napastników nasłanych przez DLR. Court, Martin i Ramses wzięli wszystko, co było choć trochę przydatne. Obecnie trupy mogły posłużyć tylko jako osłona podczas czołgania się przez patio. Leżały wzdłuż otoczonego przez komary pełnego zab cuchnącego basenu, w którym Gentry miał wątpliwą przyjemność nurzać się przed pięcioma godzinami.

Zza ogrodzenia znów rozległy się jakieś głosy. Zatrzymał się, usłyszawszy głośny rechot przypominający śmiech szaleńca. Po kilku sekundach zorientował się, że nikt nie zamierzał go zaatakować. Po co ktoś miałby zdradzać przeciwnikowi swoje położenie przed przeskoczeniem muru? Court zrozumiał, że wydanie tego odgłosu miało na celu zwrócenie uwagi na to, co kwadrans wcześniej zostało wrzucone do ogrodu.

To niepokoiło Gentry'ego prawie tak samo jak bezpośredni atak.

Znów ruszył, tym razem szybciej sunąc po zimnych płytkach, choć wcale nie uśmiechało mu się dotarcie do celu. Wystarczająco naoglądał się tajemniczego obiektu przez lornetkę. Doskonale wiedział, co zastanie. Do pasa miał przyczepiony plastikowy worek z butelką w środku. W tylnej kieszeni był telefon z aparatem, którego zaraz przyjdzie mu użyć.

Wziął też ze sobą lornetkę, ale nie dlatego, że miałaby mu się w jakikolwiek sposób przydać, gdy sunął brzuchem po patiu niczym wąż. Zabrał ją dlatego, że nie chciał, by ktokolwiek inny jej użył, aby przyjrzeć się piłce. Żeby nikt nie oglądał jego poczynań. Postanowił sam zrobić to, co było do zrobienia, a po fakcie wyjaśnić sytuację pozostałym.

Wiedział, że podczas oblężenia najważniejsze to utrzymać wysokie morale. W tym domu było ono niskie, ale Gentry nie miał najmniejszych wątpliwości, że wkrótce całkiem się rozpadnie.

Wpełził w wysokie trawy, minął kolejne ciała skorumpowanych policjantów i miejscowych zabójców na zlecenie, po czym ruszył ku tajemniczemu przedmiotowi.

Court Gentry w ciągu niemal czterdziestu lat życia doświadczył i zobaczył tyle przeróżnych nieprzyjemnych rzeczy, że praktycznie trudno było wywołać w nim obrzydzenie. Kiedy jednak sięgał po piłkę, na jego twarzy pojawił się grymas. Wzdrygnął się lekko, zobaczywszy plamę krwi. Nie chciał jej dotykać, jednak ze wstrętem wyciągnął rękę, dotknął piłki czubkami palców i potoczył ją ku sobie.

Poczuł coś zimnego, a zarazem miękkiego. Prawie zwymiotował na trawę. Udało mu się jednak opanować nudności, chwycić piłkę i przyjrzeć jej się uważnie.

Grubymi, czarnymi rzemykami przyszyto do piłki twarz jakiegoś młodego człowieka. Była umorusana krwią i pobrudzona trawą. W jednym z pustych oczodołów ugrzązł kawałek ziemi ze sterczącymi zielonymi źdźbłami. Court nie miał pojęcia, do kogo ta twarz należała, ale był pewny, że ktoś w domu ją rozpozna.

Ta mrożąca krew w żyłach zabawka nie mogła zostać zrobiona z przypadkowo zabitej osoby. Twarz musiała należeć do człowieka bliskiego któremuś z obłązonych.

Do kogoś z rodziny.

To była wiadomość. Prosta informacja: poddajcie się, bo jak nie, to zginą ci, których kochacie.

Court schował piłkę do worka, podniósł się, po czym popędził do rozpadającej się szopy. W środku było ciemno i cuchnęło stęchlizną. Uchylił drzwi, aby mieć trochę światła, chwycił piłkę z przyszytą twarzą i obmył ją wodą z butelki, a następnie delikatnie wytarł ręcznikiem. Czynność ta przyprawiła go o mdłości, jednak nie widział innego wyjścia. Kiedy skończył, twarz była w miarę czysta, co nie zmieniało faktu, że nie dało się na nią patrzeć. Zmusił się jednak do uważnych oględzin. Z trudem można było uznać, że to fragment ludzkiego ciała. Część czoła była rozdarta i płat skóry dyndał na boki. Gentry wcisnął go z powrotem na miejsce. Brodę za bardzo rozciągnięto, zaburzając naturalne proporcje twarzy.

Gentry mruknął, opanował kolejną falę nudności, po czym wyciągnął telefon i zrobił zdjęcie.

* * *

Dziesięć minut później był już w salonie. Wysłał Martina na punkt widokowy na tyłach domu, a Ramsesa na wartę nad drzwiami frontowymi. Każdy *federale* odpowiadał teraz za rozległy teren, co było dalekie od ideału, ale Court wiedział, że nadeszła pora zebrać rodzinę Eddiego. Court usiadł na fotelu naprzeciwko Eleny, Laury, Ernesta, Luz i Diega.

Przyszło mu do głowy, żeby zachować przerażające odkrycie dla siebie, ratując w ten sposób choć trochę morale zebranych. Jednak w obecnym położeniu musiał

mieć jak najwięcej informacji. Trzeba było ustalić, kogo zabili *sicarios*. Czy to jakiś kapuś? Czy jego śmierć rzuci nowe światło na to, kto był wrogiem, a kto przyjacielem rodziny? Court stwierdził, że to zbyt ważna rzecz, by ją ukrywać.

Zdawał sobie sprawę, że nie potrafi odpowiednio przekazać tej informacji. Do opowieści o znalezisku nie dało się dopowiedzieć czegoś podnoszącego na duchu. Tłumaczył sobie, że nie szkolono go do tego. Że nie ma co owijać w bawełnę, kiedy chodzi o kwestię życia i śmierci. Że to wszystko wymówki, które stosował, aby usprawiedliwić przed sobą chęć unikania normalnej, pełnej współczucia rozmowy z innymi ludźmi.

Postanowił, że dla dobra operacji przynajmniej spróbuje przekazać tę tragiczną wiadomość możliwie najdelikatniej.

– Otrzymaliśmy pewną informację.

– Jaką? – zapytała Elena.

Court obawiał się, że zmarły, którego twarz była teraz przyszyta do piłki, to ktoś jej bliski i że szok wskutek tego odkrycia zaszkodzi jej ciąży. Ale wiedział, że nic na to nie poradzi. Czuł, że jego ciało się napina i powoli porzuca plan łagodnego przekazania informacji.

– Słuchajcie, bardzo mi przykro. *Sicarios* zabili jakiegoś *hombre*, po czym wycięli jego twarz i przyszyli ją do piłki, którą przerzucili przez mur. Znajduje się teraz w worku w szopie, położyłem ją wysoko, żeby nie dorwały jej żadne zwierzęta. Zrobiłem zdjęcie na wypadek, gdyby ktoś z was mógł ją zidentyfikować – powiedział, po czym się poprawił: – Go zidentyfikować.

Zgromadzeni milczeli i tylko patrzyli na niego.

– Obawiam się, że to ktoś, kto wiele znaczy dla kogoś z was. A może dla was wszystkich. Bardzo mi przykro.

Zebrani zrozumieli powagę sytuacji. Ich twarze, i tak pełne bólu i przerażenia, przyoblekł smutek. Ernesto pokiwał głową i szepnął:

– Zacznijmy ode mnie. Jeśli nie rozpoznam nieszczęśnika, przekażę zdjęcie dalej, ale jeśli jest szansa, że mi się uda, to nie ma sensu zmuszać reszty do patrzenia.

Court pokiwał głową, po czym znalazł zdjęcie w komórce i podał ją ojcu Eddiego.

Mężczyzna zmarszczył czoło, ale na jego twarzy nie odmalowały się gwałtowniejsze uczucia. Lewą ręką obracał telefon, przez ranę postrzałową ramienia jego prawa ręka była bezużyteczna. Dość długo zajęło mu doszukanie się twarzy na pilce. Przez dłuższą chwilę próbował ją rozpoznać, chcąc oszczędzić reszcie tego widoku. W końcu jednak wzruszył ramionami.

– *Lo siento* – przeprosił, po czym dodał: – Nie znam tego młodego człowieka.

Następnie telefon wziął Diego. Z przerażeniem przyłożył dłoń do ust, po czym ją opuścił. Starał się nie okazywać tego, co zapewne jako młody *macho* uważał za oznakę słabości. Po dziesięciu sekundach wyszeptał:

– Nie rozpoznaję.

Babcia chłopaka zerknęła na zdjęcie, po czym szybko podała je dalej. Uwydatnione przez kilka dni smutku, stresu i bezsenności worki pod oczami się pogłębiły, ale pokręciła głową.

Nadeszła kolej Laury. Kobieta się nie rozpląkała, choć poczerwieniała. Przeżegnała się i wyszeptała krótką modlitwę za zmarłego. Ona też go nie rozpoznała.

Na końcu była Elena. Każdy chciał ją ochronić, ale ona wzięła komórkę i spojrzała. Załkała cicho, ale pokręciła przecząco głową.

„Kurwa” – pomyślał Court. Przecież to musiał być ktoś im znany. Po co tyle zachodu, jeśli byłby to jakiś obcy? Poprosił wszystkich, aby zerknęli raz jeszcze, by się upewnić, że nie wiedzą, kto to. Wręcz się zdenerwował, że ta banda nawet nie rozpoznaje człowieka, który zginął tylko po to, żeby ich zastraszyć. Ale nikt z zebranych go nie rozpoznał.

Wtedy przyszło mu na myśl, że przecież to może być ktoś z bliskich właścicieli hacjendy. Przecież Czarne Garnitury nie wiedzą, kto dokładnie zginął, może po prostu...

Nie, to nie mogło być to.

Prawda dotarła do niego powoli. Od razu pożałował, że nie wpadł na to wcześniej, zanim zmusił tych nieszczęśników do oglądania makabrycznego zdjęcia. W końcu jednak znalazł rozwiązanie. Wysłał Laurę i Diega, aby zastąpili Ramsesa i Martina. Elenie, Luz i Ernesto przykazał, aby wrócili do piwnicy i spróbowali odpocząć.

Po chwili naprzeciwko Courta siedziało dwóch funkcjonariuszy GOPES-u. Gentry wyjaśnił sytuację. Obaj zrozumieli. Ramses wyrwał komórkę z dłoni Amerykanina sprawną ręką i przyglądał się zdjęciu. Martin zerkał mu przez ramię. Court tylko patrzył na ich twarze. Złapał się na tym, że chciał, aby na twarzy któregoś z twardych żołnierzy ukazał się grymas bólu.

Jego życzenie zostało spełnione. Martin Orozco poczerwieniał, zamrugał i spuścił wzrok. Widać było, że myślami skupia się na jakimś wspomnieniu. Gentry wyczytał to z jego miny. Twarz na piłce musiała należeć do kogoś bardzo mu bliskiego, kogoś, kogo znał bardzo długo.

Kogoś bardzo kochanego. Z wyrazu twarzy Martina Gentry domyślił się prawdy.

– To twój brat – wyszeptał. – Pablito... – Łzy popłynęły strumieniem, a on mówił po hiszpański: – O mój Boże... Te skurwysyny zabiły mojego braciszka. – Na twarzy komandosa mieszały się wściekłość, przerażenie i załamanie. – Przecież on jest... był... on był sprzedawcą w Cuernavaca. Nawet nie był żołnierzem... Nie miał z nimi nic do czynienia, nie mogli mieć nic do niego.

Ramses Cienfuegos przytulił kompana zdrową ręką, po czym potrząsnął głową na znak smutku i obrzydzenia.

– Ale do ciebie coś mają – powiedział Court. – A ty tu jesteś.

Martin pokiwał głową. Myślami był daleko stąd.

– Wiedzą, że żyjesz – dodał Gentry, po czym zwrócił się do Ramsesa: – Co oznacza, że pewnie...

– ...że pewnie wiedzą, że i ja żyję – dokończył Ramses grobowym tonem. Court mógł tylko zgadywać, o czym pomyślał. Pewnie martwił się o żonę, braci, siostry, rodziców, może dzieci.

W takich chwilach Court Gentry doceniał to, że był sam.

– Ci *pendejos* mi za to zapłacą – poprzysiągł Martin, wciąż wpatrując się w skórę zdartą z twarzy brata.

Gentry wziął komórkę i się zamyślił. Delikatnie położył dłoń na ramieniu Martina.

– Posłuchaj uważnie, *amigo*. Musisz stąd uciec i ochronić resztę swojej rodziny.

Meksykanin stanowczo pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Moim obowiązkiem jest chronienie rodziny majora...

– Wiedzą, że tu jesteś. Jeśli byli w stanie dorwać jednego członka twojej rodziny, mogą się zabrać za wszystkich. Nie możesz tu sterczeć i się zamartwiać, co się z nimi dzieje. Nie możemy sobie pozwolić na to, żebyś zrobił coś...

– Przecież nigdy, przenigdy bym...

– Wierzę ci. Wierzę, że ty w to wierzysz. Ale nie mogę pozwolić, żebyś był zaangażowany w tę operację. Najbardziej nam pomożesz, jeśli się oddalisz i tym samym uniemożliwisz wrogowi szantaż. Wiem, że to rozumiesz, przyjacielu.

Martin rozumiał. Pokiwał powoli głową.

– Musisz od razu spróbować uciec – stwierdził Court.

Martin przytaknął. Myślami był już daleko stąd.

– Dzięki.

– Ty też, *amigo*. – Gentry zwrócił się do Ramsesa. – Skoro wiedzą, że Martin przeżył wybuch na jachcie, to pewnie wiedzą, że ty też żyjesz. Nie są w stanie obserwować całego muru. Jeśli uda wam się przeskoczyć go niepostrzeżenie i ruszycie w różnych kierunkach, to powinniście ulotnić się przez pola agawy.

Ramses pokręcił głową.

– Przecież wiesz, Joe, że nie przeżyjecie tu sami nawet godziny po zmroku. Nikt inny nie potrafi...

– To już nie ma znaczenia. Zrozum, jeśli tego jeszcze nie zrobili, to w końcu zabiorą się i za twoją rodzinę. Będą ich torturować i zamordują. Wiesz przecież, jak te pojeby funkcjonują.

– Nie zostawię was na pewną śmierć.

– Musisz stąd zwiewać.

– A ty co zrobisz?

– Mam plan – wyznał Gentry. – Ale nie mogę wam go zdradzić na wypadek, gdyby was złapali.

Ramses pomyślał chwilę, po czym pokiwał głową. Z kieszeni kamizelki wyjął telefon i podał go Gentry'emu.

– Miej go zawsze przy sobie. Jak już stąd prysnę, skontaktuję się z facetem z waszej ambasady, który może zdobyć wizy do Stanów dla rodziny majora. Jeśli uda wam się dostać do stolicy, to zaaranżuję spotkanie.

– Świetnie.

– Ale najpierw musicie jakoś wyrwać się z tej hacjendy. Nie mam pojęcia, jak miałbyś...

– Dam radę.

Martin nie brał udziału w rozmowie. Wpatrywał się pustym wzrokiem w podłogę. Court był pewny, że myślał o swoim młodszym bracie. W końcu Gentry włączył agenta Orozco do rozmowy i zaproponował kilka sposobów wymknięcia się w świetle dnia z hacjendy. Wątpił, aby obaj dali radę tego dokonać, ale stwierdzili, że jeśli spróbują w tym samym czasie i pobiegną w przeciwnych kierunkach, to jeden z nich ma szansę.

Skorzystanie z motocykli nie wchodziło w rachubę. Z *casa grande* do bramy było około dwustu metrów, a hałas silnika zaalarmowałby wroga.

Musieli zdać się na siłę własnych nóg. Podjęli decyzję, że wyruszą natychmiast.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Dwóch komandosów GOPES-u uściskało się na podjeździe. Pożegnali się już z *gringo* i pozostałymi członkami rodziny majora i życzyli im szczęścia. Zaopatrzyli się w butelki z wodą i prowiant na drogę, wzięli broń zabitych *marinos*. Zsynchronizowali zegarki i przedyskutowali co do sekundy moment, w którym mieli przeskoczyć mur. Zgodnie z planem Martin ruszy na wschód, a Ramses na zachód. Minęli motocykle, po czym rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Court wszedł do środka.

Była dopiero dziewiąta, ale Court już czuł się zmęczony. Wpadł na pewien pomysł, choć sam wiedział, że ma on luki, postanowił więc jak najdłużej zwlekać, zanim podzieli się nim z rodziną Gamboa. Nie miał wątpliwości, że gdy usłyszą jego propozycję, będą przerażeni. Wiedział jednak, że była to szansa na przetrwanie.

Court zatrzymał się w kuchni po świeżą kawę, którą zabrał ze sobą na *mirador*. Usiadł na podłodze i zaczął ją pić. Zerknął na zegarek. Według planu za dziesięć minut Ramses i Martin mieli być przy murze, na przeciwległych krańcach hacjendy.

Z tego miejsca Court nie widział żadnego z nich. Mógł tylko siedzieć i czekać. Miał nadzieję, że nie usłyszy żadnych strzałów. Jeszcze pięć minut.

Tymczasem przysłała do niego Laura z pytaniem, czy może się zdrzemnąć w piwnicy. Court odparł, że kilka godzin snu dobrze jej zrobi. Siostra Eddiego podziękowała mu za wszystko, co zrobił dla jej rodziny. Popatrzyli na siebie przez chwilę, po czym Laura zeszła na dół.

Nie spuszczał z niej wzroku. Cholera, ależ ona ładna. Twarda i zdecydowana, a jednocześnie dobra i delikatna. Gdyby mógł jej dotknąć, a ona by to odwzajemniła. Byliby razem w jakimś cichym, bezpiecznym miejscu.

„Kurwa, naprawdę mi odpierdala”.

Court pokręcił głową, próbując odpędzić myśli. Teraz już wiedział, że Eddie się nie mylił – jego siostra to naprawdę wyjątkowa osoba.

Spojrzał na zegarek. Godzina zero. W tej chwili obaj funkcjonariusze GOPES-u powinni być przy murze, jeden od wschodu, drugi od zachodu, wypatrując miejsca wolnego od patroli skorumpowanych *federales*, modląc się o uśmiech losu i szansę na wolność.

Na razie cisza. Dobry znak. Nikt nie strzela...

Nagle z drugiej strony *casa grande* rozległo się ostre warknięcie silnika motocykla. „Co jest, kurwa? Kto, do diabła...”.

Court skoczył na równe nogi, wpadł do sypialni, z niej na korytarz, w ekspresowym tempie zbiegł ze schodów i minął kuchnię. Wyskoczył z niej Diego i razem popędzili do przedsiionka. Otworzyli drzwi wejściowe.

Martin Orozco Fernandez z impetem zjechał z ronda, wzbijając chmurę pyłu i żwiru. Minął rozwalone auto, w którym leżało ciało Ignacia, w mgnieniu oka przejechał przez podjazd, trzymając w lewej dłoni gotowy do strzału pistolet maszynowy MP5. Suzuki podskakiwało na kamieniach, ale komandos panował nad maszyną. Wjechał w las i zniknął z pola widzenia. Zmierzał do bramy prowadzącej na posesję. Kierował się na pozycję przeciwników, którzy z pewnością już go usłyszeli i przygotowali się do powitania go serią z karabinów maszynowych.

Ten manewr Martina może dać Ramsesowi czas i umożliwić bezpieczną ucieczkę z zachodniej strony posesji.

W oddali, z okolic bramy wjazdowej rozległy się strzały słyszalne mimo głośnego rżenia motoru. Court stał na ganku z dubeltówką w dłoni i kręcił głową. Martin poświęcił życie, żeby jego *compadre* miał trochę więcej czasu na ucieczkę.

Gentry wiedział, że gdzieś tam, po jego lewej stronie, kilkaset metrów dalej, Ramses z pewnością usłyszał odgłos motocykla, a następnie strzelaninę przy głównej bramie. Na pewno się zorientował, co przyjaciel dla niego zrobił. Oczami wyobraźni widział, jak Ramses Cienfuegos z dwoma ranami postrzałowymi przetacza się przez mur i biegnie przez żwirową drogę na pole agawy. W oczach na pewno ma łzy.

W oddali trwała strzelanina. W końcu dźwięk silnika umilkł. Odgłosy strzałów stały się rzadsze, wreszcie ustały.

Court miał nadzieję, że Martin zabił choć kilku w odwecie za tortury i zamordowanie brata.

Gentry i Diego bez słowa wrócili do środka. Z miejsca, gdzie mógł przebywać Ramses, nie dochodziły żadne odgłosy. Ostatnia misja Martina zakończyła się powodzeniem. A Ramsesowi udało się uciec.

* * *

W południe nie spali tylko Court i Laura. Luz i Elena drzemały w ciemnej piwnicy, Diego zasnął na kanapie w salonie, a Ernesto pochrapywał w fotelu na balkonie nad drzwiami frontowymi. Na jego kolanach leżał MP5 po *marino*. Rana postrzałowa wciąż mu dokuczała, ale dostał od żony tyle aspiryny i tequili, że ból aż tak mu nie przeszkadzał. Mężczyzna się upierał, że też chce bronić hacjendy. Zdecydowanie odmówił ukrywania się w piwnicy z kobietami.

Court wciąż pełnił wartę na balkonie na tyłach domu. Siedział w cieniu na zimnej podłodze. Kilka razy zdarzyło mu się na chwilę zasnąć, ale nie dłużej niż na minutę. Zastanawiał się, jak wydostać stąd wszystkich, ale nie miał dobrego pomysłu. Jego uwagę zwrócił odgłos dobiegający z patia. Pochylił się i klęknął pomiędzy kamiennymi kolumnkami, które ucierpiały podczas pierwszego ataku, gdy Ramses strzelał do zebranych poniżej mężczyzn oświetlonych reflektorami forda.

Teraz ukochane auto Eddiego znajdowało się w krzakach niczym martwa zwierzyna. Było przechylone na lewo i podziurawione niczym sito seriami z karabinów.

Wtem na patiu pod balkonem dostrzegł Laurę. Przyklęła nad ciałem mężczyzny w mundurze policji miejskiej z Tequili. Court na początku myślał, że przeszukuje zwłoki w poszukiwaniu broni, gotówki lub czegokolwiek, co mogłoby im się przydać.

Zamierzał do niej krzyknąć, że zabrał już trupowi wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. W ostatniej chwili ugryzł się w język, zauważywszy, że Laura przeżegnała się, ściskając w dłoni różaniec, i zaczęła się modlić. Modliła się za dusze tych, którzy zabili jej brata i próbowali pozbawić życia ukrywających się

w *casa grande*. Gentry pokręcił z niedowierzaniem głową. Nie potrafił zrozumieć tak głębokiego współczucia czy tak wielkiej mocy przebaczenia.

To nie była jego bajka, postanowił więc się pożegnać.

* * *

W kuchni zastał Elenę nalewającą wodę z dzbanka. Poprosił, aby przyszła do salonu. Ernesto stał na warcie, a Luz przebywała w piwnicy, Gentry jednak chciał porozmawiać tylko z Eleną, Laurą i Diegiem.

– Posłuchajcie – zaczął. – Nawet jeśli Ramsesowi uda się dotrzeć do jakiejś miejscowości, znaleźć telefon czy nawet środek transportu, nie ma szans, żeby zdołał to zrobić przed północą. Wiemy, że *federales* uderzą, gdy tylko zajdzie słońce.

– To co zrobimy? – zapytała Elena.

– Muszę spróbować przedostać się za mur, poszukam pomocy lub jakiegoś samochodu...

– Idź, Joe. Zrobiłeś już wszystko, aby nam pomóc. Bez ciebie nie przeżylibyśmy tak długo. Naprawdę gorąco za wszystko dziękuję – odezwała się Laura. Nie wydawała się w najmniejszym stopniu zdziwiona takim rozwojem sytuacji, jakby oczekiwała, że ich opuści.

Court się oburzył.

– Opuuszczasz nas – stwierdziła Elena. Nie łudziła się, iż bez jego pomocy ona i jej dziecko przeżyją.

– Nie opuszczam was, po prostu nie możemy...

– Nie przejmuj się. – Bez wątpienia ani trochę mu nie wierzyła.

Court zwrócił się do Laury.

– Jeśli uda mi się dotrzeć do najbliższej miejscowości, może znajdę jakieś auto. Wróć tak szybko, że nawet nie zauważycie, że mnie nie było.

– Jak zamierzasz minąć patrole *sicarios*?

Gentry nie był przygotowany na tłumaczenie swojego planu. Prawdę mówiąc, kończył się on na przeskoczeniu przez mur. Wierzył jednak mniej więcej w swoją zdolność improwizacji. Ufał, że zdoła coś wykombinować, gdy tylko się stąd wydostanie, i uda mu się wybadać teren za murem.

– Ramsesowi się udało. Spróbuję wymknąć się z tej samej strony co on.

Elena stawiała się coraz bardziej buńczuczna. Court rozumiał, że zależy jej tylko na ocaleniu swojego nienarodzonego dziecka.

– Udało mu się, bo Martin poświęcił swoje życie, odciągając uwagę wroga. Czy chciałbyś, żeby któreś z nas...

– Oczywiście, że nie. Sam dam radę się wymknąć. – To powiedziawszy, zawahał się i spojrzał w zmęczone i przerażone oczy wdowy. – Nie po raz pierwszy robię coś takiego.

– Wymykasz się? – zapytała wściekle Elena.

– Tak – przyznał Court. – Ale obiecuję, że wrócę.

Ani Elena, ani Diego mu nie wierzyli. Gentry spojrzał w duże brązowe oczy Laury. Ujrzał w nich serdeczność, zrozumienie i współczucie, ale nie mógł odgadnąć, o czym myśli.

* * *

Court zdjął podkoszulkę moro z jednego z zabitych *marinos* leżących przy wyjściu. Ten został trafiony w głowę, więc jego T-shirt był przy szyi poplamiony krwią, ale Gentry'emu to nie przeszkadzało. Ściągnął dzinsową kurtkę i włożył jego odzież.

Minęła godzina czternasta, gdy Court kierował się w stronę zachodniego skrzydła. Popołudniowe promienie słońca świecącego wysoko nad górami gdzieniegdzie przesłaniały chmury. Elena wróciła do piwnicy bez pożegnania, Laura i Diego natomiast ruszyli za nim korytarzem.

– Zostańcie tutaj. Trzymajcie wartę, ale jeśli *sicarios* uderzą, to zamknijcie się do piwnicy i stamtąd się brońcie. W tym wąskim korytarzu można wyrządzić dużo szkody nacierającym.

Court pominął drugą stronę medalu: nacierający stanowili ogromne zagrożenie obłożonym ukrytym w małej dziurze pod ziemią.

– Nie bierzesz żadnej broni? – zdziwił się Diego, widząc, że Joe jest nieuzbrojony.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo to wam potrzebna jest każda splota, każdy nabój. A po co mi broń? Jeśli zacznę strzelać tam, po drugiej stronie, to dorwie mnie pięćdziesięciu uzbrojonych facetów.

Diego pokręcił głową sfrustrowany.

– Nie wierzę. To nie dlatego. Myślę, że ci głupio. Bierzesz nogi za pas, ale chcesz się usprawiedliwić: przynajmniej zostawiłem tym frajerom broń, co jeszcze mogłem zrobić?

Court już miał powiedzieć chłopakowi, że powinien bardziej ufać ludziom, ale się powstrzymał. Prawdę mówiąc, to nie Diego musiał się tego uczyć. Court też nie ufał ludziom i miał ku temu równie dobry powód.

I Laura, i Diego zostali już wielokrotnie okłamani i zdradzeni. Jak miał im wytłumaczyć, że tym razem będzie inaczej, że jemu mogą zaufać? Będzie musiał to udowodnić.

Obrócił się na pięcie i zostawił ich w korytarzu.

* * *

Przezołgiwanie się zajęło mu większość popołudnia. Sunąc brzuchem po trawie, wsłuchiwał się w odgłosy wystrzałów, które mniej więcej co dziesięć minut rozlegały się z *casa grande*.

Spodziewał się, że ludzie Daniela zaatakują dopiero po zmroku, wiedział jednak, że i w ciągu dnia mogą wysyłać zwiadowców czy saperów, aby rozeznac się w sytuacji. Jedynym sposobem na zaradzenie temu, a przynajmniej na spowolnienie działań wroga, jaki mu przyszedł do głowy, było przykazanie Laurze i Diegowi, żeby przez cały dzień strzelali w różne strony. Jeśli będą to robili w miarę regularnie, może się zdarzyć, że skradający się *federales* stwierdzą, że zostali zauważeni, i albo się ukryją, albo uciekną za mur hacjendy.

Court żałował, że nie był w stanie poruszać się szybciej. Wiedział, że nie było chwili do stracenia. Sęk w tym, że hacjendę otaczały wzgórza, które mogły kryć snajperów. Nie mógł popędzić przez ogród, bo na pewno go wypatrzą i zastrzelą. Aby tego uniknąć, musiał się czołgać.

Gdy dotarł do muru, ukrył się pod wierzbami, wyciągnął butelkę wody i wypił ją do dna. Był wyczerpany i przypieczony słońcem. Jego kolana, przedramiona i dłonie były podrapane i krwawiły, a ramiona i plecy niemiłosiernie bolały. Blizna

na jego lewej łopatce, w miejscu, gdzie siedem miesięcy temu oberwał strzałą z łuku, zdawała się napięta. Rozmasował je, łapiąc oddech. Po zaledwie kilku minutach spędzonych w cieniu wstał i ruszył wzdłuż stawu, kilkakrotnie wchodząc w błoto i przedzierając się w głąb wierzbowego zagajnika. W zamulonej wodzie dostrzegł węża, który mknął w jego kierunku. Zignorował go, przeszedł nieco dalej, a następnie wspiał się na drzewo, którego konary wychodziły za mur.

Z tej wysokości widział resztę doliny. Dostrzegł też drogę, która biegła po drugiej stronie tuż obok muru.

Był w takim punkcie, że zapewne zdołałby się rozhuścić na gałęzi i skoczyć na trakt, następnie przebiec przez niego i trzymając się blisko ziemi, zanurzyć się w morze wysokich niebieskich agaw wyrastających pomiędzy chwastami.

Już miał to zrobić, kiedy z prawej wyjechał czerwony pikap wiozący ośmiu mężczyzn z karabinami. Auto podskakiwało na wertepach tuż pod gałęzią, na której siedział, a następnie zniknęło za rogiem po lewej, niecałe sto metrów od Courta.

Byli to miejscowi *campesinos*, rolnicy ubrani w dżinsy i kapelusze słomkowe. Nie jechali jednak do pracy w polu. Zapewne wynajęto ich do ochrony.

Po kilku sekundach z drugiej strony nadjechał *federale* na motocyklu. Ledwo motocyklista zniknął za południowym skrajem muru, do uszu Courta dobiegł dźwięk silnika kolejnego pikapa, który po chwili wyjechał zza rogu. Był czarny i miał symbole policji federalnej. Z tyłu stało dwóch funkcjonariuszy, którzy jedną ręką trzymali się pręta na kabinie, a drugą przytrzymywali ułożone na jej dachu karabinki M4. Na tej wiejskiej drodze na pewno nie było takiego ruchu od czasów, kiedy hacjenda była czynną plantacją agawy i destylarnią tequili.

Court oparł się plecami o pień, chowając się pomiędzy liśćmi. Znalazł w miarę wygodną pozycję i postanowił poczekać, aż zacznie się ściemniać. Miał nadzieję, że wtedy nastąpi zmniejszenie aktywności wokół muru. Zamierzał je wykorzystać.

Jednak jeśli poczeka aż do ataku, nie będzie miał szansy dotrzeć do głównej drogi i znaleźć jakiegoś podjazdu czy innego sposobu, aby na czas pomóc oblężonym w *casa grande*. No właśnie, zwlekanie do ostatniej chwili spowoduje, że będzie musiał ich ratować już w trakcie walki.

Mógłby jednak ocalić własną skórę. Wystarczyło poczekać do natarcia na hacjendę, a następnie skoczyć w ciemność za murem, skierować się na pola agawy

i ukryć w lesie. Mógł przecież machnąć ręką na tę beznadziejną sytuację i przygotować się do kolejnej walki. Wróciłby na przykład do Europy i wziął na celownik Grigorija Sidorenkę, rosyjskiego gangstera, przed którym uciekł aż do amazońskiej dżungli. Zabicie Sida zwróciłoby mu odrobinę wolności. Znalazłby robotę, a Daniel de la Rocha i meksykańska wojna domowa przestałyby go interesować.

Mógł uciec i nie oglądać się za siebie.

Pragnął tak zrobić, lecz nie potrafił zapomnieć o pozostawionej w hacjendzie piątce. Wiedział, że na niego liczyli. Nikogo poza nim nie mieli, ale co z tego? Nic to. Musi im pomóc. Był gotów zginąć w ich obronie.

Jedno było pewne: nigdy ich nie opuści.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

O zmroku patrole wokół hacjendy stały się rzadsze. Oczami wyobraźni Gentry widział odbywające się nieopodal głównej bramy spotkanie: dowódcę tłumaczącego szczegóły operacji grupie mężczyzn obwieszonych spluwami.

Musi się pośpieszyć. Z pewnością plan ataku zakładał, że z każdej strony muru pojawią się patrole, aby zatrzymać potencjalnych uciekinierów.

Zauważył, że teraz cała wschodnia ściana muru była niestrzeżona. Zsunął się po drzewie, zawisł na gałęzi, po czym skoczył na żwirową drogę. Następnie przetoczył się, chroniąc kostki, kolana i kręgosłup. Przebiegł po twardej nawierzchni i dał nura w wysokie trawy porastające dziczące pole agawy. Skulony nasłuchiwał. Nie usłyszał jednak nic niepokojącego, więc wstał i ruszył wzdłuż traktu poprzez trawy. Kierował się na północ. W każdej chwili był gotów rzucić się w zarośla.

Kiedy skręcił za północno-wschodni róg posiadłości, zapadła już ciemność. Gdy przedzierał się przez zarośla, zorientował się, że po prawej stronie przejechało kilka pikapów prowadzonych przez cywilów. Na naczepach siedzieli mężczyźni z karabinami i strzelbami. To byli *granjeros*, pracownicy miejscowych gospodarstw rolnych, ogorzali od słońca, z wąsami i kowbojskimi kapeluszami na głowach. Dodatkowe ręce do pracy z okolicy, którym pewnie zaproponowano równowartość tygodniówki za ten wieczór.

To była niewyszkolona banda, która najprawdopodobniej nie będzie nawet brała udziału w bezpośrednim ataku. Wynajęto ich zapewne do pełnienia warty w okolicy, może do ustawienia kilku blokad na drodze. Mieli dopilnować, żeby każdy, kto zdoła się wymknąć z obleżonej hacjendy, został zatrzymany i zlikwidowany, zanim wydostanie się z doliny.

Court wiedział, że to nie byli zawodowi zabójcy ani ludzie źli do szpiku kości. Być może myśleli, że pracują dla *federales*, a nie dla Czarnych Garniturów, choć co do tego nie miał pewności. Na pewno jednak nie zarabiali znaczących kwot na

handlu narkotykami w tym kraju. To byli robotnicy sezonowi, którzy chcieli sobie dorobić. Czarne Garnitury dysponowały imponującym zapleczem. Court musiał to uwzględnić, jeśli chciał się wydostać z tej doliny. Nie miał też wątpliwości, że choć to nie są źli ludzie, to jeśli staną mu na drodze, zabije ich bez wahania.

Około dwustu metrów od niego, przy bramie do hacjendy, dostrzegł błysk reflektorów kilku pojazdów stojących wzdłuż drogi. Były tam wozy pancerne typu SWAT, pikapy, poobijane auto osobowe oraz potężne i opancerzone mobilne centrum dowodzenia policji federalnej wielkości autokaru. Gentry postanowił się zbliżyć, może udałoby mu się znaleźć jakąś broń czy samochód, a może nawet wziąć jakiegoś zakładnika. Przemknął przez pastwisko i zanurzył się w zagajniku niskich sosen coraz bliżej celu.

Na drodze stało kilkudziesięciu uzbrojonych facetów. Zbliżał się do nich w ciemności. Słyszał poszczekiwanie psów, ale tym się nie przejął – zapach pozostałych przywiezionych tu mężczyzn i psów sprawi, że nie można będzie polegać na ich ostrzeżeniach.

Czterdzieści pięć metrów od bramy zaczął się czołgać. Był tak blisko, że widział *federales* w mundurach SWAT. Podzielili się na mniejsze oddziały szturmowe. Kilkudziesięciu facetów przygotowywało broń i przyczepiało do kamizelek paski z amunicją. Court usłyszał, że sprawdzają łączność. W chłodnym powietrzu wieczoru rozległa się seria pisków i trzasków z kilkudziesięciu krótkofalówek.

W końcu oddziały się podzieliły na około dziesięcioosobowe zespoły. Część żołnierzy wsiadła do dwóch pojazdów należących do policji federalnej. Były to fordys BATT, bojowe transportery opancerzone. Czarne pojazdy z warkotem uruchomiły silniki. Kolejna dwunastoosobowa grupa weszła na tył dwóch pikapów. Nawet z oddali Gentry widział, że podwozia białych samochodów znacznie się obniżyły pod ciężarem mężczyzn i ich sprzętu.

Oba pikapy skręciły w prawo na drogę wokół hacjendy i zniknęły Courtowi z oczu. Jeden z potężnych opancerzonych fordów skręcił w lewo i zaczął powoli zmierzać w stronę jego kryjówki.

Drugi BATT stał z włączonym silnikiem przy bramie. Court patrzył, jak *federales* pakują się do środka. Gdy zajęli miejsca w aucie, zamknięto i zabezpieczono drzwi. Następnie ustawił się za nim kolejny oddział w formacji bojowej. Opancerzone mobilne centrum dowodzenia znajdowało się na końcu kawalkady. Przez boczne drzwi cały czas ktoś wchodził i wychodził.

Auto kierujące się na wschód przejechało niecałe pięćdziesiąt metrów od Courta. Kierowca obserwował tylko to, co znajdowało się w świetle reflektorów, i nie mógł zauważyć ukrywającego się Gray Mana. Mniej więcej domyślał się już planu *federales*. Trzy dwunastoosobowe jednostki miały zaatakować równocześnie hacjendę od południa, wschodu i zachodu. Natomiast większa siła, czyli ponad dwudziestu żołnierzy, nadjedzie od frontu. Uzbrojeni w broń myśliwską tutejsi farmerzy w kowbojskich kapeluszach stali w grupkach wzdłuż muru na całej jego długości, tworząc naprędce sformowaną blokadę mającą zatrzymać ewentualnych uciekinierów.

Reasumując, sześćdziesięciu uzbrojonych po zęby, doskonale wyszkolonych funkcjonariuszy meksykańskiej policji federalnej oraz dwudziestu kilku uzbrojonych miejscowych do pomocy. Ta armia występowała przeciwko ciężarnej kobiecie, starszej pani i rannemu starszemu mężczyźnie, szesnastolatkowi oraz dziewczynie, która z różańcem w ręku użalała się nad losem tych, którzy zginęli, próbując zarobić na swoje zasrane życie, zabijając ją.

„A niech to diabli! Chyba czas zginąć w blasku chwały” – pomyślał Court.

* * *

Gentry był jakieś dwadzieścia metrów od BATT-a stojącego przy bramie wjazdowej, kiedy pojazd ruszył i wbił się na teren hacjendy. Za nim policjanci ruszyli truchtem w dwóch kolumnach. Podjazd do *casa grande* stanowiła wyboista kręta droga długości około dwustu metrów. Pancerna maszyna powoli sunęła pod górę, po czym zniknęła w lesie, z którego co jakiś czas widać było błyski reflektorów i złowrogie mignięcia teatru cieni. Wraz z nimi spod bramy zniknęły też psy.

Court podniósł się na kolana i na czworakach ruszył przez krzaki, zarośla i rozrośnięte zdziczałe agawy. Posuwał się coraz wolniej i ciszej. Spodziewał się, że zastanie jakiś patrol wokół mobilnego centrum dowodzenia. Choć nikogo jeszcze nie zauważył, wiedział, że najdrobniejszy wydany przez niego odgłos będzie niósł się echem.

Wkrótce znalazł się na drodze między dwoma pikapami.

Był około czterdziestu metrów od bramy. Słyszał głosy dobiegające przez warkot przenośnego generatora podłączonego do potężnego, opancerzonego

monstrum.

Spojrzał przed siebie, na drugą stronę drogi. W płytkim rowie zobaczył rozebrane do pasa ciało. Nawet w nikłym świetle księżyca widział duży siniak na zuchwie nieboszczyka.

Poznał sierżanta Martina Orozco. Nogi, ręce i klatka piersiowa były podziurawione kulami. Pośrodku czoła tkwił pocisk.

– Przykro mi, *amigo* – westchnął Court, po czym ruszył na czworakach.

Wyglądając zza pikapa, za mobilnym centrum dowodzenia, w stronę bramy, zobaczył kilku farmerów ze strzelbami opartymi kolbami o biodra.

Większość stała tuż przy wjeździe na posesję i próbowała dostrzec, czy coś się dzieje po drugiej stronie lasu. Wydawali się podekscytowani. Tak naprawdę byli gapiami. Żaden z nich nie przypuszczał, że grozi mu niebezpieczeństwo. Najwyraźniej nikt nie podejrzewał, że zostanie wezwany, aby wspomóc atakujących siłą swoich starych dwururek.

Court wiedział, że może uruchomić którykolwiek z pikapów w niecałą minutę. Mógłby ruszyć po podjeździe, minąć wóz pancerny i piechurów, zapakować rodzinę Eddiego do samochodu, po czym wyjechać z hacjendy, na przykład przez którąś z mniejszych bram w zachodnim murze, omijając czyhających tam *sicarios*.

To by była bułka z masłem, gdyby nie około tysiąca kawałków ołowiu, który które z pewnością polecą wówczas z prędkością dziewięćdziesięciu metrów na sekundę w stronę jego oraz tych, których usiłował chronić. Nawet jeden pocisk mógł zmienić ludzką głowę w różową mgielkę.

Plan z pikapem zakończyłby się porażką.

Gdyby jednak stał tu jeszcze któryś z opancerzonych fordów, gdyby akurat kierowca wysiadł i zostawił otwarte drzwi i kluczyki w stacyjce... Wtedy sprawa wyglądałaby inaczej. Lecz oba fordy już odjechały, a wraz z nimi zniknęła okazja na...

Nagle przez boczne drzwi potężnego mobilnego centrum dowodzenia wyszedł młody funkcjonariusz policji federalnej. Drzwi się za nim zamknęły. Mężczyzna poszedł w krzaki po drugiej stronie drogi, po czym rozpiął rozporek, by sobie ulżyć.

Gentry spojrzał na drzwi pojazdu. Ciekawe, czy ten, który musiał wyjść za potrzebą, miał ze sobą kluczyki. Żałował, że samochód nie był nieco mniejszy, ale

był opancerzony. Niestraszna mu seria z broni maszynowej, a potężna szyba wytrzyma kilkanaście trafień, zanim pęknie. Wiedział, że niełatwo prowadzi się taki pojazd, jednak w tej chwili nie mógł ominąć żadnej okazji.

Po drugiej stronie drogi funkcjonariusz zapiął rozporek i włożył rękę do kieszeni. Gentry dostrzegł błysk kluczyków. Natychmiast skoczył na równe nogi i natarł niczym kobra. Gdy policjant ruszył ku centrum dowodzenia, nisko pochylony Court przebiegł przez drogę. Od śmiejących się kowbojów i parobków dzieliło go niecałe osiem metrów. Grupa wciąż wpatrywała się w pojazd prowadzący do *casa grande*. Gentry przemknął niczym cień, wyciągnął nóż i wbił ostrze pod żebra mężczyzny, drugą ręką zakrył mu usta. Wepchnął nóż aż po rękojęść, po czym pociągnął gliniarza w stronę zarośli i padł wraz z nim na ziemię, przekręcając nóż niczym klucz.

Court użył własnego ciężaru ciała, którym stłumił kopnięcia mężczyzny. Zapewne ten *hombre* musiał grywać w piłkę nożną. Był w dobrej formie, jego ciało nie chciało się poddać. Gray Man miał nadzieję, że mężczyzna zwiotczeje po pięciu sekundach, ale przestał wierzyć dopiero po dwudziestu. Court był wyczerpany, jakby próbował utrzymać się na skaczącym byku, równocześnie starając się, by zwierzyna pozostała cicho do końca rodeo.

Sięgnął ręką w zarośla w poszukiwaniu kluczyków. Macał przez chwilę i znalazł dwa, które mogły pasować do zamka pojazdu. Drugą ręką zgarnął broń trupa. Wstał i ruszył w stronę auta.

Po kilku sekundach był już w środku. Zatrzasnął za sobą drzwi, skręcił w prawo i skierował na tył pojazdu. Siedzący za kierownicą żołnierz zadał jakieś pytanie swojemu partnerowi. Court już wyciągnął nóż i prawie się obrócił, żeby uciszyć kierowcę, ale zamarł, zauważywszy metalowy stojak ciągnący się wzdłuż jednej ze ścian wozu. Wisiały na nim wszelkiego rodzaju giwery, a obok leżała amunicja.

Gentry otworzył szeroko oczy. Na jego twarzy pojawił się okrutny uśmiech.

– Oj, w mordę... – mruknął.

Odwrócił się i ruszył do kabiny kierowcy, aby go wyeliminować.

* * *

Commendante prowadził swoich ludzi po podjeździe w stronę *casa grande*. Jadący przed nimi opancerzony wóz chronił ich przed ewentualnym ogniem z okien czy

werand hacjendy, ale mimo to im bliżej budynku byli, tym bardziej rozstawieni szli. Poruszali się powoli i ostrożnie. Wreszcie kierowca forda zwolnił, zatrzymał wóz i oświetlił reflektorami drzwi wejściowe.

W zwykłych okolicznościach *commendante* nie brałby udziału w ataku od frontu, w sam środek bronionego budynku. Rano jednak wysłał kilku zwiadowców. Wiedział, że podjazd nie był dobrze widoczny z hacjendy. Po obu stronach drogi ciągnęły się bujne zarośla i drzewa, a drzwi były osłonięte łukami, dzięki czemu nawet w samo południe dwudziestu pięciu ludzi maszerujących od głównej bramy mogło niepostrzeżenie przemknąć tą trasą. Mimo to postanowił poczekać do zmroku. Teraz, o dwudziestej pierwszej, nadszedł wreszcie czas, aby zaatakować.

Postanowił porozumieć się z oddziałami, które powinny już zbliżyć się z innych stron. Okazało się jednak, że jakiś kretyn wcisnął do oporu przycisk nadawania na swojej krótkofalówce, przez co *commendante* nie był w stanie wydawać rozkazów ani odbierać meldunków. Poczekał trzydzieści sekund, licząc na to, że *el chingado cabrón* spostrzeżł swój błąd i naprawił radio, ale nic się nie zmieniło.

Jeszcze dwadzieścia sekund, a nadejdzie moment, żeby dać znak do ataku. *Commendante* pomyślał, że jeśli do tego czasu ten *hijo de puta* nie odblokuje nadajnika, to wtedy własnoręcznie chwyci skurwysyna za jego *chingado*.

Nagle z lasu za nim coś błysnęło i zaczęło mknąć podjazdem w stronę domu.

Spojrzał na otaczających go ludzi, po czym dał nura za niski kamienny murek otaczający kolisty parking przed *casa grande*. Musiał uciec z podjazdu, zanim dosięgną go nadciągające światła. Obrócił się i spojrzał w reflektory. Nie wierzył własnym oczom. Po kocich łbach prosto na niego szaleńczo pędziło mobilne centrum dowodzenia.

Wiedział, że w pojeździe zostało dwóch kierowców, ale przecież nie było najmniejszego powodu, aby włączyć silnik, nie mówiąc o tym, że mieli w ogóle nie brać udziału w akcji.

Choć jego radio nie działało, wcisnął przycisk i wrzasnął:

– *Cabrones!* Co wy, kurwa, odpierdzielacie?

Czterdzieści metrów od niego opancerzony potwór zaczął pokonywać ostre zakręty wąskiego podjazdu.

Commendante odwrócił się w stronę domu. Nie wiedział, co robią kierowcy, ale zdawał sobie sprawę, że wyeliminowali jakąkolwiek szansę na atak z zaskoczenia.

Wstał więc i zaczął strzelać w stronę domu z karabinu M16. To był jedyny sposób, aby dać sygnał do natarcia bez radia. Znajdujący się po obu jego stronach funkcjonariusze poszli za jego przykładem. Strzały z ich broni podziurawiły fasadę domu i drewniane drzwi. Wśród odgłosów strzelaniny dowódca wychwycił dziwny hałas. Odwrócił się, a potem zszokowany opuścił lufę karabinu.

Po kamienistym podejździe coraz szybciej mknęło potężne mobilne centrum dowodzenia, w dodatku tyłem! Potężna niebieska kolubryna skakała i się trzęsła, podwozie uginało się pod ciężarem stali bojowej.

Commendante wielokrotnie jeździł takimi wozami. Doskonale wiedział, że widok w lusterku wstecznym nie był czytelny. Ten porąbany kierowca musiał na ślepo przyśpieszać w stronę *casa grande*, przy czym osiągał prędkość, nad którą już nie panował.

– *Alto!* Zatrzymaj się! – krzyknął przez radio, które teraz zdawało się już działać. Co z tego, skoro wszystko inne zamieniało się na jego oczach w jedno wielkie *mierde?*

Pojazd sunął tyłem w stronę opancerzonego forda. BATT stał na środku podjazdu i oświetlał pogrążony w ciemnościach dom. Robił więc to, co do niego należało! Natomiast potężne mobilne centrum dowodzenia sprawiało wrażenie, że lada chwila się przewróci. Mknęło sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Kilka centymetrów brakowało, a rozwaliby forda, jednak oba pojazdy tylko straciły lusterka.

Nagle stojący przy murku dowódca zdał sobie sprawę z trzech rzeczy. Po pierwsze, choć wcześniej kierowca mógł mieć duże problemy z widocznością, to teraz, kiedy jego pęknięte lusterko dyndało na kablu, nie mógł nic widzieć. Po drugie, facet za kierownicą to nie był jego kierowca! Po trzecie, uznał, że pędzące opancerzone monstrum rozbije się na schodach domu.

* * *

Court puścił przycisk transmisji, po czym rzucił krótkofalówkę na podłogę. Wcisnął gaz. Niezdarny, sunący tyłem pojazd powoli nabrał prędkości, podskakując na wertepach. Był w stanie utrzymać nogę na pedale tylko dlatego, że wcześniej ciasno zapiął pasy. W potężnym pojeździe tak trzęsło, że czuł się jak

szmaciana lalka potrząsana przez olbrzyma, mimo to udało mu się nie spuścić ani na chwilę stopy z pedału gazu.

Celował – jeśli w ogóle można to tak nazwać – mniej więcej w drzwi wejściowe *casa grande*. Kiedy jednak stracił lusterko, zaprzestał dążenia do jakiegokolwiek precyzji. Wcisnął gaz do dechy, trzymał się z całych sił kierownicy i oparł głowę o zagłówek. Nie miał pewności, czy przeżyje zderzenie. Po chwili poczuł uderzenie, które mocno nim wstrząsnęło i wcisnęło w siedzenie. Stopa zsunęła się z pedału gazu. Wiedział jednak, że jeszcze nie wjechał w budynek. Dół maszyny szorował o jakieś kamienie. Domyślił się, że właśnie demoluje fontannę z aniołem stojącą pośrodku podjazdu. Wiedział już, że skierował się za bardzo na lewo, żeby trafić bezpośrednio w drzwi.

Obrócił kierownicę w prawo i ponownie wcisnął gaz. Wokół rozbrzmiewały odgłosy strzelaniny z broni automatycznej, z której seria trafiła w grubą szybę wozu. Minął wrak auta z ciałem Ignacia Gamboa za kierownicą. Opancerzone centrum mobilne z impetem wjechało w schody prowadzące do głównego wejścia. Zniszczyło zachodni fragment podcieni i zmieniło dwustuletnie dębowe drzwi w stertę desek i drzazg.

Wreszcie zatrzymało się z podskokiem. Court zaciągnął ręczny, rozpiął pasy i się odwrócił. Niepewne strzały oddane do potężnego auta przybrały na sile – policja federalna szybko się zorientowała, że to nie pomyłka, tylko próba uwolnienia obłąkanej rodziny.

Gentry wstał, potknął się i przewrócił. Kręciło mu się w głowie. Zahaczył nogą o broń, która spadła ze stojaka. Po kilku sekundach doszedł jednak do siebie, znalazł to, czego szukał, i otworzył tylne drzwi pojazdu.

Diego klęczał w salonie za kanapą i strzelał na oślep w stronę patia. Dziadek poszedł na górę, żeby ubezpieczać ich z balkonu, jednak od ponad minuty chłopak nie słyszał karabinka M1.

Nagle kanonada pocisków rozdarła fasadę domu. Diego skulił się za kanapą, jak gdyby mogła go przed czymkolwiek ochronić. Podniósł głowę zza mebla dopiero wtedy, gdy usłyszał warkot silnika. Na jego oczach przez drzwi przebił się tył ogromnego niebieskiego pojazdu, który wjechał jeszcze kilka metrów do środka. Spanikowany chłopak wstał i zaczął strzelać, ale naboje nie były w stanie przebić pancerza. W końcu skończyła mu się amunicja.

Szesnastolatek drżącymi rękami chciał zmienić magazynek, ale ten wypadł na podłogę i poturlał się pod fotel. Podniósł go szybko i włożył na miejsce. Tymczasem tylne drzwi pojazdu otworzyły się z hukiem. Diego zobaczył jakiegoś faceta trzymającego dwie potężne giwery.

– Diego! To ja! To... – Z wrażenia Court zapomniał, jakim imieniem im się przedstawił. – To ja, *gringo*! Leć po resztę i sprowadź ich do tej fury! *Ándele!*

Chłopak potrzebował aż pięciu sekund, aby zrozumieć, co się właściwie dzieje, w końcu jednak pokiwał głową, obrócił się na pięcie i popędził do kuchni. W biegu zawołał:

– *Mi abuelo* na górze!

Court pokiwał głową, ale nie ruszył na piętro. Odwrócił się w stronę rozwalonych drzwi. Było niewiele miejsca między potężną ciężarówką a odłamkami kamieni i stiuku, ale Gentry znalazł pozycję do strzału i podniósł prawą rękę. Trzymał w niej granatnik Hawk MM 1, w którego magazynku czekało dwanaście nabojów artyleryjskich. Była to ciężka giwera, w normalnych okolicznościach Court pewnie trzymałby ją dwiema rękami, ale tu nie było to konieczne. Nacisnął potężny spust. Pierwszy granat opuścił lufę, wydając odgłos, jakby ogromny korek wystrzelił z wstrząśniętej butelki szampana.

Czterdzieści metrów dalej nastąpiła eksplozja. Widać było ogień, dym, kurz i oszołomionych *federales*. Court strzelił jeszcze trzykrotnie w mur, na którym pojawili się napastnicy, i dopiero wtedy opuścił lufę, po czym podniósł identyczną broń trzymaną w lewej ręce. Z niej wystrzelił trzy pociski pełne CS, gazu łzawiącego stosowanego do rozpędzania tłumów. Następnie wymierzył z obu broni w drugą stronę. Pociski przeleciały przez dom i zbite szyby. Poszybowały nad basenem i wybuchły w ogrodzie.

Court miał szczęście, czyli coś, na czym często przyszło mu polegać, nie oczekiwał jednak, że uda mu się trafić choć jednego z nacierających na tył domu *sicarios*. Chodziło tylko o to, żeby pokazać napastnikom, że reguły gry się zmieniły – ich tchórzliwy atak na cywilów zaowocował pociskami artyleryjskimi, które leciały teraz w ich kierunku.

Wystrzelił gaz w korytarz prowadzący z salonu do zachodniego skrzydła. Miał nadzieję, że uda mu się ewakuować stąd wszystkich, zanim chmura specyfiku trafi do środka.

Odrzucił granatnik z pociskami gazowymi i wspiał się po schodach. Dwa ciężkie pistolety utrudniałyby mu szybkie przemieszczanie się. Skręcił w prawo, wołając Ernesta. Miał nadzieję, że mężczyzna ma jakąś broń. Coś, czego można użyć w zamkniętych pomieszczeniach.

Skręcił w stronę *miradoru* na tyłach budynku. Tam zobaczył Ernesta. Leżał na plecach w kałuży krwi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Ernesto zamrugał i odetchnął z trudem. Spojrzał na stojącego nad nim Amerykanina.

W świetle księżyca Gentry zauważył jakiś ruch przy stodole. Wychylił się przez balustradę i wystrzelił dwa pociski w jej kierunku. Jakies sześć metrów dalej nastąpił wybuch, wzbijając odłamki drewna i kamieni.

Court ukląkł obok Ernesta i zapytał:

– Jesteś w stanie cho... – urwał. Lewa noga mężczyzny była zakrwawiona i wykręcona nienaturalnie. Trzymała się tylko dzięki resztkom mięśni i dżinsom. Podłogę na balkonie barwiły plamy krwi.

Ojciec Eddiego został trafiony w kość udową.

Court spojrział na twarz mężczyzny. Oczy rannego powędrowały do tyłu i wydał z siebie ostatnie tchnienie.

Gentry nachylił się nad nim i szepnął mu do ucha:

– Zaopiekuję się nimi, zawiozę ich w bezpieczne miejsce. Wszystkich.

Następnie wstał i wrócił do domu.

* * *

Krztusili się gazem, kiedy Gentry prowadził wszystkich do opancerzonego pojazdu. Znów chwycił granatnik miotający pociski z CS-em i wystrzelił w stronę pojazdu i rosnących wokół drzew. Miał nadzieję, że strzela tam, gdzie ukrywają się atakujący. Kiedy magazynek był pusty, odrzucił broń i wsiadł do mobilnego centrum dowodzenia.

– A gdzie Ernesto? – spytała zaniepokojona Luz.

Mimo przerażających okoliczności w jej głosie nie było już słycać paniki. Court delikatnie poprowadził ją do środka, położył granatnik na siedzeniu obok Eleny, po czym zamknął drzwi.

– Przepraszam, muszę iść i... – Court dodał: „Prowadzić”, akurat w chwili, kiedy rzuciło nim w stronę drzwi. Luz wpadła w jego ramiona. Zdał sobie sprawę, że pojazd już ruszył, a potężne tylne opony zsuwają się ze schodów *casa grande*. Kierowca, kimkolwiek był, niewątpliwie wcisnął gaz.

Ruszył w stronę kabiny. Strzelano do nich z obu stron. Przejazd odbywał się przy akompaniamencie dźwięków przypominających ulewę z piekła rodem. Za kierownicą siedziała Laura. Kulila się, próbując dostrzec cokolwiek przez szybę, która – choć jeszcze nie pękła – była już całkiem biała. Przecinała ją wielka szrama.

– Nic nie widzę! – krzyknęła.

Court zapiął jej pasy i odkrzyknął:

– Nie przejmuj się tym! Po prostu jedź! Wszędzie jest lepiej niż tu!

* * *

Potrącili jeden z opancerzonych fordów, po czym zjechali na chwilę z drogi. Laura usiłowała wyrównać i skręciła kierownicą tak mocno, że pojazd na chwilę stanął na dwóch kołach. Po chwili odzyskał równowagę i wjechali na kamienisty podjazd. Policyjny ekwipunek ślizgał się i podskakiwał tam i z powrotem w tylnej części wozu. Laura wjechała na niewielkie drzewo, co spowodowało, że pojazd przechylił się w lewą stronę, a Court uderzył w deskę rozdzielczą.

– Jesteś w tym gorsza niż ja! – krzyknął, wspinając się przez siedzenie pasażera i otwierając ciężkie drzwi, przez które wychylił się na zewnątrz. Musiał poznać kierunek jazdy, nawet jeśli miałby przy tym oberwać.

– Prawo! Jedź w prawo! – polecił po angielsku. Laura przekreśliła kierownicą w lewo. – ¡Derecha! ¡A la derecha! – wrzasnął.

Kobieta się poprawiła, tym razem bez zbędnych manewrów.

– Przepraszam!

Court wciąż patrzył na zewnątrz, choć słyszał świst przelatujących w pobliżu kul, które odbiły się od tylnych drzwi i boku. Ukrył się przed nimi, wracając do środka, by po chwili znów wystawić głowę na zewnątrz. Musiał pilotować Laureę długą, krętą drogą biegnącą przez zagajnik.

Po dwudziestu sekundach wyjechali spomiędzy drzew. Byli już poza zasięgiem *sicarios* szturmujących *casa grande*, Court jednak zdawał sobie sprawę, że jeszcze

nie wydostali się z tarapatów. Pozostawione za nimi oddziały były wyposażone w krótkofalówki i na pewno dały znak pozostałym, więc stojące przed główną bramą pikapy i wóz pancerny ustawiały się w szyku, żeby zablokować wyjazd z posesji.

Court cofnął się do środka. Laura zauważyła, że w rogu szyby pozostał mały przezroczysty fragment, który nie oberwał od kul. Nachyliła się, żeby przez niego patrzeć, mocno napinając pasy bezpieczeństwa.

– Diego, podaj mi wyrzutnię granatów! – krzyknął Court. Użył angielskiej nazwy, bo nie wiedział, jak powinien powiedzieć po hiszpańsku.

– Ale że co?! – zawołał Diego z ciemnego wnętrza pojazdu.

Laura przetłumaczyła. Po kilku sekundach pojawił się Diego z wielkim, szarym cylindrycznym sprzętem. Court chwycił go i wychylił się z pojazdu, tylko jego stopy pozostały w środku. Lewą ręką trzymał wyrzutnię, prawą przytrzymał drzwi. Pojazd podskakiwał na wertepach, uniemożliwiając Gentry'emu celowanie.

Zbliżali się do głównej bramy. Laura kierowała się w jej środek.

– Zrobię nam inny wyjazd! – zawołał Court.

– Słucham?

Court wiedział, że strzelanie z wyrzutni granatów o wzmocnionym działaniu w auta blokujące przejazd musiało narobić trochę szkód. Ale to nie Hollywood: pojazdy nie zostaną zbyt odzrucone od pędzącej maszyny.

Na to nie można liczyć. Court postanowił więc zrobić w murze wyrwę, przez którą mogliby przejechać. W idealnych warunkach wyrzutnia MM-1 była skuteczna z odległości stu pięćdziesięciu metrów. Gentry strzelał w warunkach najdalszych od optymalnych, ale nie miał wyboru – musiał zaryzykować. Owca

Zgodnie z jego przewidywaniami policyjny BATT stał w otwartej bramie, a jego reflektory typały wrogo niczym ślepią bestii.

Gentry wycelował granatnik jakieś dziewięć metrów na wschód od bramy.

Rozległo się najpierw ciche pyknięcie, a potem wielkie bum! Pierwszy pocisk trafił za nisko. Granat wybuchł kilka metrów przed murem.

– Spudłowałeś! – krzyknęła Laura.

Court się zdziwił, że dostrzegła to przez szybę.

Wystrzelił jeszcze raz, tym razem trafiając idealnie w mur. Wymierzył ponownie. Znow trafił, choć trochę dalej niż poprzednio. Dostrzegł dwie wielkie dziury w murze, między którymi pozostała półtorametrowa „kolumna”. Wymierzył w nią i nacisnął spust. Wyrzutnia była pusta.

Court rzucił granatnik, usiadł na fotelu i zapiął pasy.

– Wal w to! – zawołał do Laury.

– Serio? – spytała z niedowierzaniem.

– W samiutki środek, z całej siły! – potwierdził, po czym krzyknął do pasażerów:
– Trzymajcie się mocno!

Najpierw usłyszeli strzały. Kilku stojących na warcie przy bramie *campesinos* ostrzelało zbliżający się wóz. Pociski odbiły się od pancerza.

Laura wjechała rozpędzonym sześciotonowym pojazdem w dwustuletni mur, który rozpadł się na drobne kawałki. Została wyrwa, chmura kurzu, sterta kamieni i porwane pnącza. Autem szarpnęło. Nadtłuczona szyba tym razem nie wytrzymała, pękła i zsunęła się po masce. Wreszcie Laura mogła zobaczyć, co się wokoło dzieje i dokąd jedzie, a to ułatwiło jej prowadzenie pojazdu. Przekręciła kierownicę na lewo, przejechała przez krzaki, a następnie wjechała w lewy tylny błotnik pikapa datsuna. Uderzenie sprawiło, że auto zakręciło się na drodze niczym blaszana zabawka. Najemnicy ze strzelbami rzucili się w poszukiwaniu kryjówki. Podmuch zwiął z ich głów kapelusze słomkowe.

Gentry odpiął pas, padł na kolana i przeczołgał się na tył pojazdu. Chwycił granatnik i skierował się na czworakach do pojemnika z granatami.

– Laura, zwolnij! – zawołał po chwili.

– Zwariowałeś?

– Zrób to!

Siostra Eddiego wcisnęła hamulec, a Court otworzył tylne drzwi. Prawie przez nie wypadł.

Jakieś sto dwadzieścia metrów za nimi w rozciągającej się ciemności kilkudziesięciu *sicarios* pozostawionych w *casa grande* ruszyło w pościg. Gentry podniósł wyrzutnię, zerknął przez celownik, po czym wypuścił pięć granatów wypełnionych gazem łzawiącym w stronę napastników. Zanim ostatni pocisk dotarł do celu, Court wyrzucił granatnik na drogę i wrócił do środka.

– ¡*Vamos!* – zawołał do Laury. Dziewczyna dodała gazu. Ich pojazd trząsł się i pyркаł. Pomiatali nim, narażając go na przejścia, z których mógł się nie wykaraskać, lecz uratował im życie.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Laura, kiedy Gentry wrócił na fotel obok kierowcy. Court usiadł i zapiął pas.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia – przyznał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Courtowi było żal porzucać ford Eddiego. Teraz, kiedy przyszedł czas pożegnać się z wielkim, choć mocno pokiereszowanym wozem pancernym, był wręcz w żałobie. Maszyna była poobijana, a z każdym przejechanym kilometrem opony były coraz bardziej zdarte. Po przedniej szybie nie było śladu, ale pojazd wciąż wydawał się jako tako solidny i w miarę bezpieczny. Gentry wiedział, że to auto zwraca uwagę. Już próba zatankowania monstrum zebrałaby pewnie tłum gapiów pragnących z bliska przyjrzeć się podziurawionemu centrum dowodzenia policji federalnej.

Pół godziny przed północą dojechali na złomowisko w miejscowości La Venta del Astilero, na peryferiach Guadalajary. Udało im się w miarę unikać jazdy głównymi drogami.

Brak szyby sprawił, że w aucie było bardzo zimno, zwłaszcza Laurze, która prowadziła. Jej ręce pokryły się gęsią skórką i drżała, nawet kiedy wysiedli na złomowisku.

Szłochała. Śmierć ojca okazała się kolejnym ciosem, który złamał jej serce. Courtowi było jej żal. Chciał ją pocieszyć, wziąć za rękę, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Ale tego nie zrobił. Bo nie wiedział, czy może dotknąć tej smutnej, przepięknej dziewczyny. I nie wierzył, że wszystko skończy się dobrze.

* * *

Członkowie rodziny Eddiego stali na skraju drogi i czekali na Gentry'ego, który wspiał się na ogrodzenie i przedostał na złomowisko. Luz rozcierała ramiona córki, żeby ją ogrzać, a Elena przestępowała z jednej spuchniętej nogi na drugą, podtrzymując brzuch w nadziei, że uda jej się odciążyć obolałe plecy. Diego pełnił wartę, chwyciwszy się pod boki.

Po dziesięciu minutach usłyszeli warkot silnika. Po chwili Court otworzył bramę i wyjechał starym, zgniłozielonym volkswagenem busem. Zaparkował i zaprosił wszystkich do środka. Diego zamknął bramę.

Court wrócił na chwilę do opancerzonego wozu i przyniósł dwa pistolety kaliber 9 milimetrów z zapasowymi magazynkami. Jeden podał Laurze, a drugi wsunął za pas.

Spojrzał na Diega.

– Wiem, że to nie najpiękniejsza fura, ale silnik od razu zapalił. Doczepiłem pasujące tablice rejestracyjne, nie powinniście mieć problemów z drogówką. Jedźcie na północ, prosto do granicy. Śpijcie na zmianę. Kiedy dojedziecie do Tijuany, znajdźcie hotel i poczekajcie na nas. Za dwa dni o dziesiątej rano przyjedźcie na przejście graniczne. Poczekajcie pół godziny. Jeśli nas nie będzie, to zmyjcie się i wróćcie o trzeciej. I tak kolejnego dnia, aż się spotkamy. Nie możemy się komunikować. Żadnych telefonów. Jeśli zostaniemy złapani, nikt z nas nie będzie wiedział, gdzie jesteście i jak się z wami porozumieć.

Chłopak pokiwał głową. Court widział, że do Diega dotarło, że teraz to on jest jedynym mężczyzną, na którego rodzina może liczyć. Przyjął tę odpowiedzialność. Gentry to docenił, choć wiedział, że prędzej czy później przyjdą szok i smutek. O ile tego dożyją.

– Laura i ja poszukamy Ramsesa. Jeśli przeżył i skontaktował się z facetem z ambasady, pojedziemy do stolicy po forszę i dokumenty.

– A co jeśli za dwa, trzy dni nie pojawicie się w Tijuanie?

– Wtedy będziecie musieli sami przeprowić się przez granicę. – Wszyscy spojrzeli na Courta z niedowierzaniem. Wzruszył ramionami. – Nic innego nie przyszło mi do głowy. Nie twierdzę, że to dobry plan.

Elena otarła łzy, zrobiła krok do przodu i mocno go przytuliła. Gentry poczuł, że dziecko, syn jego starego kumpla, kopie w jej brzuchu. Szepnęła mu do ucha:

– Tyle dla nas zrobiłeś, Joe. Eduardo byłby szczęśliwy, że miał przyjaciela, na którego można liczyć.

Luz też go uściskała i odmówiła modlitwę. Nie rozumiał i nie był w stanie nawet spojrzeć jej w oczy. Bezmiar tragedii, jaka dotknęła tę nieszczęsną kobietę w ciągu ostatnich dwóch tygodni, był niewyobrażalny nawet dla kogoś tak doświadczonego przez los jak Gentry.

Następnie wszyscy przytulili Laurę. Polały się łzy i rzecz jasna odmówiono kolejną modlitwę. Court przyglądał się temu z oddalenia.

– Mało im tego cholernego przytulania? – mruknął pod nosem, patrząc na przeciągające się pożegnanie.

W końcu volkswagen odjechał. Court miał nadzieję, że jego pasażerowie bezpiecznie dotrą do celu, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Trzeba było zająć się stojącym przed nimi zadaniem.

* * *

O wpół do drugiej jechali już w stronę stolicy.

Court ukradł motocykl z szopy w dzielnicy mieszkalnej kilka przecznic od złomowiska. Laura chciała zostawić liścik, w którym przeprosza za zabranie pojazdu. Miała też obiecać, że w ramach zadośćuczynienia wyśle odpowiednią kwotę, ale Gentry kategorycznie się temu sprzeciwił. Siostra Eddiego zapamiętała adres i powiedziała towarzyszowi, że i tak znajdzie sposób, żeby wynagrodzić stratę właścicielowi motocykla.

Znajdowali się jakieś pięćset dwadzieścia kilometrów od stolicy. Mieli przed sobą co najmniej sześć godzin ciągłej jazdy, ale przy odrobinie szczęścia powinni zdążyć na dziesiątą do banku. Kilka kilometrów za Guadalajarą Court stanął na poboczu i zadzwonił do Ramsesa z telefonu, który od niego dostał. W tym czasie Laura opatulila się brudnym kocem znalezionym przez Luz w volkswagenie i zdrzemnęła się w trawie.

Ramses Cienfuegos odebrał po pierwszym sygnale. Gentry poczuł ulgę, gdy się dowiedział, że funkcjonariusz GOPES-u wy dostał się z hacjendy. On jednak od razu zapytał o Martina i odgłos motocykla, który usłyszał, przeskakując przez mur. Court niechętnie potwierdził, że Orozco oddał życie, aby jego przyjaciel uciekł.

Komandos przyjął to ze spokojem. Powiedział, że udało mu się skontaktować ze skorumpowanym pracownikiem ambasady amerykańskiej i przekazać mu, że zna kogoś, kto potrzebuje dokumentów na cito. Amerykanin zgodził się na spotkanie o drugiej po południu w stolicy. Ramses podał Gentry'emu adres.

Po kolejnych dwóch godzinach jazdy Court i Laura zatrzymali się na stacji benzynowej. Gentry wyczerpany ostatnimi wydarzeniami zataczał się ze

zmęczenia. Laura zaproponowała, że to ona usiądzie za kierownicą. *Machismo* Courta nie pozwalało mu jechać na tylnym siodełku motocykla i trzymać się mierzącej niewiele ponad metr pięćdziesiąt dziewczyny. Zdawał sobie sprawę, że męska duma to durna rzecz, wiedział też, że Laura w ciągu ostatnich dwóch dni spała równie mało co on. Przejechali kilka kilometrów autostradą, po czym skręcili na żwirową drogę biegnącą wzdłuż pastwiska. W gęstych zaroślach Court ukrył motor.

– Możemy się zdrzemnąć półtorej godziny i ani minuty dłużej – oznajmił, nastawiając budzik.

Położyli się obok siebie wśród chłodnych źdźbeł trawy. Siostra Eddiego przykryła Gentry'ego kocem i się do niego przytuliła, aby się ogrzać.

– Jest mi okropnie zimno – powiedziała, po czym położyła głowę na jego ramieniu, a rękę na jego klatce piersiowej. – Court milczał. – Nie masz nic przeciwko? – zapytała.

– Nie – odparł, patrząc w rozgwieżdżone niebo i starając się zapanować nad przyspieszonym rytmem serca.

Mimo że był zmęczony, zasnął dopiero po trzech kwadransach.

* * *

Dystrykt federalny Meksyk, nazywany przez miejscowych „el DF” – *el de-effe* – to jedno z największych miast na świecie. Szacuje się, że mieszka tu od piętnastu do dwudziestu milionów ludzi, wielu w skrajnej biedzie w slumsach na peryferiach.

Laura i Court dotarli na obrzeża stolicy o dziesiątej, ale w rozrastającej się metropolii mieli przed sobą jeszcze co najmniej godzinę jazdy do celu. Kiedy wjechali do centrum, było już po jedenastej. Pośpiesznie umyli się w toalecie restauracji szybkiej obsługi. Następnie Court zostawił Laurę pod bankiem w cieniu drzew rosnących wzdłuż bulwaru Paseo de la Reforma. Nie podobało się mu, że musieli się rozdzielić, uznali jednak, że gdyby wszedł z nią do banku, zwróciłby na siebie uwagę obsługi. Postanowili więc, że Laura wejdzie do środka sama, pobierze rentę po mężu, a następnie usiądzie w pobliskim parku i poczeka, aż Court załatwi sprawę.

Gentry dał jej na wszelki wypadek komórkę Ramsesa, ale nie mieli przy sobie tyle gotówki, żeby kupić telefon dla niego. Nie wiedział, do kogo mogłaby

zadzwoić w razie problemów, ale wydawało się to właściwym rozwiązaniem. Laura miała w torebce berettę i doskonale wiedziała, jak jej użyć. To go trochę uspokajało. Patrzył, jak zniknęła za lustrzanymi drzwiami, następnie spojrzął na zegarek i niechętnie obrócił się na pięcie.

Gentry miał sporo do załatwienia podczas pobytu Laury w banku. Najpierw chciał sprawdzić miejsce spotkania z pracownikiem konsulatu, zatankować, a potem znaleźć odpowiedni hotel.

Pokój mógł zarezerwować dopiero wtedy, gdy Laura weźmie pieniądze, ale już teraz chciał znaleźć bezpieczną miejscówkę.

Zrobił rekonesans i zatankował motocykl. Dotarł w okolice banku po półtorej godziny. Laura siedziała na ławce na biegnących wzdłuż bulwaru plantach. Piła kawę. Zauważył, że kupiła też dla niego, więc podszedł, usiadł i sięgnął po kubek.

Kobieta podskoczyła i chwyciła kubek. Jego nagłe pojawienie się ją zaskoczyło. Po chwili się uspokoiła.

– Zjawiłeś się znikąd jak duch. Gdzie się tego nauczyłeś?

Court zignorował to pytanie. Nie zamierzał opowiadać o prawie dwudziestu latach szkoleń i doświadczenia operacyjnego, dzięki którym potrafił wiele rzeczy.

– Miałaś jakieś problemy w banku?

– Zupełnie. Trochę się zdziwili, że chcę wziąć wszystkie pieniądze, ale byli uprzejmi i nikt nie zadawał żadnych pytań.

– Gdzie forsa?

Laura wyciągnęła z torby na zakupy niewielki płócienny plecak. Podała mu go.

– Proszę, ty go teraz noś. Ufam ci.

Court zarzucił tobolek na ramię. Uśmiechnął się i ruszyli do motocykla.

– Cóż, gdybym chciał cię okraść, to wydarzenia ostatnich trzech dni nie były najlepszą okazją.

Zaśmiała się lekko.

Ambasada Stanów Zjednoczonych znajdowała się w odległości pięciu minut drogi od Paseo de la Reforma. Budynek był oddzielony od ulicy i ciągnącej się wzdłuż niej promenady wielkim metalowym płotem i betonowymi barierami, na których co kilka metrów widniały znaki w językach angielskim i hiszpańskim zakazujące fotografowania. Miejscowi stróże prawa patrolowali okolicę na

skuterach i pieszo. Mieli przewieszane skórzane pasy, a w nich pistolety maszynowe uzi ze złożonymi kolbami.

Wyglądało, że naród meksykański nie przepada za ambasadą Stanów Zjednoczonych. Budynek też mógł się miejscowym wydawać niezbyt zachęcający do złożenia wizyty.

Przed spotkaniem Court i Laura kupili dwa telefony komórkowe i zjedli lunch w jakiejś knajpce. Siedzieli na końcu niewielkiej sali plecami do ściany. Byli zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. Pili przesłodzoną kawę i skubali pieczoną wieprzowinę z ryżem i fasolą, czekając, aż nadejdzie czternasta.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Z pracownikiem konsulatu mieli się spotkać w centrum handlowym mieszczącym się przy bulwarze kilka minut piechotą od ambasady. Court zostawił Laurę na piętrze w strefie gastronomicznej i zszedł na dół w stronę toalet obok Starbucksa. Doskonale znał tę trasę – sprawdził ją przed dwiema godzinami.

Wszedł do łazienki z pięciominutowym opóźnieniem. Jego kontakt już na niego czekał. Ramses przekazał, że nazywa się Jerry Pfleger. Gentry zastał go pochylonego nad umywalką i przypatrującego się sobie w lustrze.

Był młody, trzydziestokilkuletni, wysoki i szczupły, z krótkimi, jasnobrązowymi kędziorkami. Jego podłużna twarz była blada. Miał na sobie czarne spodnie na gumce i białą koszulę z krótkimi rękawami. Do tego wąski krawat, wyraźnie z większą zawartością poliestru niż bawełny.

– Romeo? – zapytał młodzian.

– Julia – mruknął Gentry w odpowiedzi.

Hasło i odzew to był pomysł Pflera. Court uważał go za infantylny.

Pracownik ambasady wyciągnął rękę, którą Court niechętnie uścisnął. Czuł, jakby machał w powietrzu sflaczałą rybą.

– No dobra. – Pfleger wybałuszył oczy. – Muszę zaznaczyć, że to strasznie dziwne.

– Co jest dziwne?

– Niby cały czas to robię, to jest... cały czas załatwiam papiery tym, którzy nie chcą stać w kolejce. To akurat bułka z masłem i chleb powszedni. Ale kiedy tamten *hombre* powiedział, że spotkam się w tej sprawie z jakimś *gringo*... No, przyznasz pan chyba, że to dziwne.

– Potrzebuję zdobyć dokumenty dla rodziny, która natychmiast musi się dostać do Stanów.

– A skąd mam mieć pewność, że to nie jakaś akcja policji czy inna kontrola moich przełożonych?

– Czy ja wyglądam, jakbym pracował w ambasadzie? – zapytał Court. Jego włosy były brudne, a broda skołtuniona.

Pfleger pokręcił głową.

– Tylko tyle? Naprawdę nie możesz mnie jakoś uspokoić? Słuchaj, stary...

– Słuchaj, Jerry. Znam gościa, który nas umówił. Znam rodzinę, która potrzebuje papierów. Naprawdę jestem tylko pośrednikiem. Wyluzuj. Jeśli dasz radę szybko nam pomóc, to będzie najłatwiejsza transakcja w twoim życiu.

Pfleger powoli pokiwał głową, potem zaczął kiwać coraz szybciej. Court się zorientował, że ruchy i tiki młodego człowieka wynikają najpewniej z zażycia jakichś substancji odurzających.

Jerry coś ćpał.

Court jęknął w myślach. No, super. Robił interesy z kolesiem na haju.

Pracownik ambasady kontynuował, gestykulując.

– No bo zrozum, kolego. Zwykle pracuję bezpośrednio z Meksykanami, którzy po prostu chcą wyemigrować. Zwykle żaden rodak nie widzi tego, co robię. – To mówiąc, się wzdrygnął, po czym postanowił wykonać marną parodię Richarda Nixona: – „Szanowni rodacy, bracia Amerykanie”. Czaisz, he, he! To Tricky Dick! Co nie?

– Aha – odparł Court, przeklinając w myślach. – A więc mając papiery od ciebie, mogą spokojnie przejść przez granicę?

Młody pokiwał głową.

– Dostaną wszystko, co trzeba, żeby przejść w Tijuanie lub Mexicali, omijając przejścia dla ubogich.

– Co to są przejścia dla ubogich?

Pfleger machnął ręką i odparł:

– No wiesz, pustynia, Rio Grande, skok o tycze przez mur, ewentualnie bawienie się w szczura. Mam kolegów po fachu w Juarez, Tijuanie i Matamoros, którzy przeprowadzają pracowity meksykański naród przez granicę, żeby zasilał naszą rodzimą ekonomię, ale tylko ja potrafię ustawić wszystko tak, aby mogli przejść przez kontrolę z wysoko podniesioną głową. Nawet dorzucę za friko wizy

z pozwoleniem na pracę i kilka zielonych kart. A wszystko wygląda na stówę legitnie, bo jest na stówę legitne.

– Za ile?

– Cała, że tak powiem, *enchilada*? – Jerry uśmiechnął się chytrze. – Dzisiaj akurat promocja. Wszystko taniutko, za jedyne piętnaście tysięcy od fasolarza.

Court skrzywił się, słysząc i cenę, i rasistowską obelgę.

– To czteroosobowa rodzina.

– Czyli sześćdziesiąt tyśiaków.

– Dasz jakąś zniżkę?

Jerry się zaśmiał, przyklasnął, po czym przechylił głowę na bok. Po chwili pokiwał w zamyśleniu. Court spoglądał na niego złowrogo, choć nie wiedział, czy to cokolwiek pomoże.

– W sumie czemu nie. Dla rodaka pięćdziesiąteczka.

A więc spojrzenie odjęło dziesięć tysięcy. Nieźle. Ciekawe, czy wyciągnięcie spluwy nie zdjęłoby jeszcze z pięć tysięcy.

– Damy radę. Jak to wygląda?

– Potrzebuję od każdego dokumencik ze zdjęciem. Wezmę info i wygeneruję wszystko, co trzeba.

Court sięgnął do plecaka i wyjął plik dokumentów. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że było wśród nich prawo jazdy Ernesta. Wyłowił je i z grymasem wsunął do tylnej kieszeni spodni. Resztę podał Pflegerowi.

– Ile to zajmie?

Mężczyzna przejrzał dokumenty. Court nie spuszczał z niego oka. Zdawał sobie sprawę, że jego rodak pewnie się domyśli, że chodzi o członków rodziny, którą usiłowano zabić w Puerto Vallarcie. Ale jeśli nazwisko Gamboa wydało się Jerry'emu znajome, nie dał tego po sobie poznać.

– Na jutro. Jestem w stanie dostarczyć ci papierki jutro w porze lunchu. Znaczą się tutejszego lunchu. Druga po południu. Spotkanie w tym samym miejscu, o tym samym czasie.

– Może być.

– A masz pan telefon? Może się zdarzyć, że będę potrzebował więcej danych.

Gentry się zawahał:

– Jakich danych?

– Uwierz, stary, w tutejszych dokumentach zawsze czegoś brakuje. Nie chcę improwizować. W końcu zostaną z tymi tożsamościami w Stanach, wszystko musi być na tip-top.

Court wyciągnął komórkę i podyktował numer Pflegerowi.

– Dobra – mruknął Jerry. – Potrzebuję zadateczku. Połoweczkę kwoty.

Court wyciągnął z plecaka torbę i odliczył dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Wręczył je młodemu Amerykaninowi, który je przeliczył i wepchnął do kieszeni.

W tej chwili do łazienki weszło dwóch chłopaczków, którzy, nie zważając na parę *gringos*, podeszli prosto do pisuarów.

Amerykanie pożegnali się kiwnięciem głowy. Court wyszedł pierwszy, natomiast Jerry nachylił się ponownie do lustra i wrócił do oględzin nosa.

* * *

Court prawie dostał zawału, kiedy po powrocie na piętro nie zastał Laury w strefie gastronomicznej. Rozejrzał się, a następnie ruszył w stronę ruchomych schodów.

Chwycił komórkę i już miał do niej dzwonić, kiedy dostrzegł, że niewysoka dziewczyna z krótkimi czarnymi włosami stoi w kolejce do kasy w sklepie z męską odzieżą. Spozrzęła go, uśmiechnęła się lekko i pomachała.

– Kupiłam nam nowe ciuchy. Mam nadzieję, że ci się spodobają – powiedziała po wyjściu ze sklepu.

Już chciał ją zbesztać, ale zdał sobie sprawę, że Laura mądrze wykorzystała ten czas. Rzeczywiście potrzebowali nowych ubrań. Spisała się na medal, co jej zresztą przyznał.

Uśmiechnęła się, a potem ruszyli w stronę wyjścia z galerii handlowej.

* * *

Gentry wybrał hotel przy ulicy Donceles, przecnicę na północ od Katedry Metropolitalnej w historycznym centrum stolicy.

Hotel był mały i oddzielony od ulicy strzeżoną bramą. Miał też niewielki parking, gdzie Court mógł zostawić skradziony motocykl. Recepcjonista przyjął

gotówkę, po czym wręczył im klucze do pokoju na drugim piętrze, w którym stały dwa pojedyncze łóżka. Court poprosił o pokój z widokiem na ulicę.

Laura była wyczerpana, jednak teraz wyraźnie się ożywiła. Zachwyciła ją lokalizacja hotelu, jako że znajdował się na wprost Iglesia de Nuestra Señora del Pilar, barokowego kościoła, przy którym dawniej znajdowała się szkoła dla dziewcząt. Gdy znaleźli się w pokoju, oznajmiła Gentry'emu, że chce iść na drugą stronę ulicy się pomodlić. Amerykanin przewrócił oczami i nawet chciał z nią pójść, ona jednak zasugerowała, że lepiej będzie, jeśli pójdzie sama, a on odpocznie. Court sięgnął po właśnie odłożony pistolet, wepchnął go z powrotem za pas i zakrył koszulą.

– Powinniśmy trzymać się razem.

– Dobrze. Pomodlisz się ze mną?

Dotarli do schodów. Court wzruszył ramionami.

– Pomódl się za nas oboje. Postoję na warcie.

Przeszli przez ruchliwą ulicę i weszli do kościoła. Court usiadł w ławce. Laura uklęknęła z pochyloną głową. Court rozglądał się dookoła, choć poza nimi w świątyni było tylko kilka osób, które wyglądały na bardziej zainteresowane zbawieniem własnej duszy niż Gentrym i jego towarzyszką.

Ołtarz zachwycał wysoką, pozłacaną konstrukcją. Po obu stronach nawy znajdowały się pokryte złotem zdobienia i rzeźby. Z głośników płynęły łagodne dźwięki. Wnętrze było chłodne i ciemne, rozjaśniane światłem wpadającym przez kolorowe witraże, które odbijało się od złocień.

Court zaczął przysypiać. Ocknął się dopiero wtedy, gdy Laura się podniosła i usiadła obok niego. Z rękami skrzyżowanymi na kolanach wpatrywała się w krucyfiks na ołtarzu. Po chwili odezwała się cicho:

– Nie jesteś wierzący, prawda?

– Ja... Nie, nie dorastałem w religijnym domu, nie jestem katolikiem. Nie wiem, jak to wszystko działa.

Spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Ich ramiona się dotykały.

– Mogę ci pokazać.

– Dzięki, ale nie dzisiaj. Jestem potwornie zmęczony.

– Wiara doda ci energii.

– Myślę, że teraz potrzebuję raczej snu.

Dziewczyna zdawała się zawiedziona.

– To może kiedy indziej?

– Pewnie.

Laura wstała i podeszła do żeliwnego stanowiska ze świecami wotywnymi. Wrzuciła kilka monet do skarbonki. Zaczęła zapalać świece, modląc się przy każdej. Dopiero przy trzeciej Court się zorientował, że odprawia modły za dusze swoich niedawno zmarłych krewnych.

Stanął obok niej plecami do ściany. Przyglądał się głównemu wejściu, zerkał na chór i modlących się. Laura miała wiele świec do zapalenia.

W drodze do hotelu dziewczyna wypatrzyła niewielki sklep spożywczy. Postanowili zaopatrzyć się w prowiant, żeby nie musieć wychodzić przed spotkaniem następnego dnia. Kupili chleb, sok, wodę i kilka kanapek. Tuż przed piątą po południu byli już w pokoju.

Laura natychmiast położyła się na jednym z łóżek i zamknęła oczy.

Court zgarnął torbę z ubraniami ze sklepu z odzieżą męską i wszedł do łazienki. Najpierw wziął długi prysznic, zmywając kilkudniową warstwę potu i brudu. Na dnie wanny zebrały się strużki zabarwione na czerwono. Czyja to krew? Do której z jego licznych ofiar należała? Następnie umył włosy. Z nich również spłynęła krwistoczerwona woda, żdźbła trawy, kamyki i odłamki szkła, które zebrały się u jego stóp. Były to swego rodzaju pamiątki, dziennik ostatnich dni. Wspomnienie protestu w Puerto Vallarcie. Pobyt w hacjendzie, ucieczka pojazdem opancerzonym i jazda motocyklem do stolicy.

Wspomnienie tych wydarzeń zmęczyło go.

Zakręcił wodę, wyszedł z wanny, wytarł się i zajrzał do torby.

Były w niej spodnie koloru khaki, kremowa lniana koszula, czarny pasek ze srebrną klamrą, czarne skarpetki i czarne tenisówki. Buty były pół rozmiaru za duże. Ubrał się w pośpiechu. Z przyjemnością włożył świeżą odzież na czyste ciało. Wciąż był senny, ale poczuł się jak nowo narodzony.

Wrócił do sypialni i wyciągnął się na łóżku. Berettę położył na piersi, po czym spojrzał na Laurę. Siostra Eddiego spała na plecach, ręce położyła na brzuchu. Z każdym oddechem jej drobne piersi wznosiły się i opadały.

Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

Zmusił się do odwrócenia głowy i oderwania od niej wzroku. Przewrócił się na bok i po minucie zasnął.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Tuż przed dwudziestą przed ekskluzywną restauracją w dzielnicy Zapopan w Guadalajarze zaparkowały dwa białe opancerzone GMC yukony XL denali. Kierowcy zostali w samochodach. Na ulicę wyszło czterech mężczyzn, którzy zaczęli bacznie obserwować przechodniów oraz zaparkowane przy krawężniku auta. Mężczyźni byli ubrani w czarne garnitury. Poruszali się szybko i sprawnie, ale z galanterią, nawet podczas przemykania przez tłum na chodniku. Przy wejściu do restauracji stanęli plecami do ściany i rozpięli marynarki. Rozglądali się na wszystkie strony.

Obok zaparkowały dwa policyjne radiowozy. Światła kogutów odbijały się od szyb okien w okolicznych budynkach. Z każdego samochodu wyszła para policjantów, którzy zaczęli kierować ruchem w taki sposób, żeby nikt nie mógł zbliżyć się do restauracji. Przez kilka najbliższych godzin parkowanie w pobliżu będzie niemożliwe.

Z potężnych białych GMC wysiadło czterech mężczyzn, którzy skierowali się do restauracji. Mieli na sobie czarne garnitury. Trzymali krótkofalówki i plastikowe worki. Menedżer i kierownik sali wyszli do holu przed barem, aby ich powitać. Po krótkiej rozmowie szóstka mężczyzn podzieliła się na dwie ekipy.

Kierownik sali w obstawie dwóch Czarnych Garniturów podchodził po kolei do każdego stolika oświetlonego blaskiem świec i szeptał coś do gości. Zaczęto konfiskować telefony komórkowe. Mężczyznom polecono wstać i rozpiąć marynarki, po czym każdy został sprawnie przeszukany. Niektórzy wiedzieli, co się dzieje, większość jednak była zaskoczona. Wkrótce telefony wszystkich znajdowały się już w workach. Kierownik sali zaproponował gościom, żeby jedli i pili, nie zwracając uwagi na ceny. Dodał, że ich rachunki zostaną uregulowane przez hojnego klienta, który zjawi się lada moment. Kilka osób wyraziło zadowolenie, niektórzy nerwowo spojrzeli na zegarki.

Przed nimi długa noc.

W tym czasie druga trójka dokonała oględzin kolejnej sali. Zajrzeli pod wszystkie stoły. Sprawdzili, czy nie ma podsłuchów, po czym przedyskutowali plan wieczoru z obsługą. Następnie menedżer zaprowadził ich do kuchni. Cała załoga ustawiła się w rzędzie i przeszła szybką kontrolę.

Przeszukano spiżarnię, chłodnię, magazyny i zamrażarkę. Każdy w kuchni doskonale znał tę procedurę.

Przed restaurację podjechały kolejne dwa yukony XL denali, z których wyszła kolejna szóstka Czarnych Garniturów. Dwóch przemaszerowało przez jadalnię. Pozostali goście zastanawiali się, czy któryś z nich jest tajemniczym sponsorem ich kolacji. Wkrótce nowo przybyła para skręciła do kuchni i wyszła drzwiami na zaplecze. Mężczyźni rozpięli marynarki i stanęli na warcie w uliczce na tyłach lokalu. Pozostali czterej zostali w sali, gdzie – poruszając się z wojskową precyzją – ustawili się w narożnikach pomieszczenia. Ci też rozpięli marynarki i zaczęli wpatrywać się uważnie w nieokreślony punkt. Jeden z obstawy szepnął coś przez radio.

Po pięciu minutach przed restauracją zatrzymały się trzy kolejne białe auta. Do środka weszła grupa mężczyzn, z których każdy miał na sobie identyczny garnitur. Szli szybko i nikt nie był w stanie ocenić, ilu ich właściwie było, z pewnością jednak kilkunastu. Wyglądali identycznie – mieli takie same ubrania, fryzury, przystrzyżone podobnie krótkie bródki i wąsy. Przemknęli przez jadalnię. Pozostali goście wyciągali szyje z zaciekawieniem. Jedna z kobiet wylała wino, próbując dojrzeć tajemniczą gwiazdę wieczoru.

Kto to mógł być? Czyżby jakiś sławny torreador? A może wokalista występujący tego wieczoru w Auditorio Telmex?

Nikt jednak nie wiedział, który z wchodzących był tą sławną osobą, ponieważ mężczyzn trudno było rozróżnić. W kilka sekund nowo przybyli rozsiedli się w drugiej sali. Zamknięto do niej drzwi, przed którymi stanęło kolejnych dwóch ochroniarzy w garniturach.

Zebrani w głównej sali zaczęli snuć domysły. Kilka razy padło nawet określenie Los Trajes Negros, jednak żaden ze stojących w sali facetów w garniturach nie zareagował.

Wkrótce zaczęto zamawiać wino, które kelnerzy hojnie dolewali do wyciągniętych kieliszków. Wokół słyhać było wystrzały korków od szampana.

Spokojna dotychczas jadalnia zamieniła się w salę balową.

* * *

Daniel de la Rocha siedział na końcu długiego stołu. Sączył whisky i wpatrywał się w niedużą świeczkę stojącą na wykrochmalonym białym obrusie. Wyjął kawałek ciasta ze środka chrupiącej bagietki, uformował z niego kulkę i włożył ją do ust. Stół nakryto na dwanaście osób, ale poza nim siedziało tylko pięć. Pozostali mężczyźni przemierzali nerwowo pomieszczenie, rozmawiając przez komórki lub krótkofalówki. Dwóch ulokowało się z laptopami w kącie przy dodatkowym stoliku.

Emilio Lopez Lopez, osobisty ochroniarz DLR oraz szef jego ochrony, stał przy ścianie, jakieś półtora metra za przełożonym.

Kelner w białym uniformie podał DLR kartę, ten jednak ruchem dłoni odmówił jej przyjęcia. Poleciał, żeby szef kuchni przygotował mu jakiś lekki posiłek, po czym ponownie wbił wzrok w świeczkę. To nie był dobry dzień. Wdowa przeżyła szturm na hacjendę leżącą w górach nieopodal Tequili. Co gorsza, uciekła.

Zginęło dziewiętnastu spośród dowodzonych przez „Pajaka” *Cepedę marinos, federales*, policjantów stanu Jalisco oraz miejscowych gliniarzy z Tequili, nie żyło też kilku *campesinos*. Było wielu rannych.

Calvo nie próżnował i udało mu się zaczarować rzeczywistość. Media donosiły, że mężczyźni zginęli bohaterską śmiercią w walce z pozostałymi przy życiu najemnikami z kartelu Madrigala, którym przypisano winę za atak na protest w Puerto Vallarcie. Problem w tym, że podobnego bałaganu nie da się naprawić ani szybko, ani tanio, ani do końca. Bez wątplenia czekała ich reakcja Constantina Madrigala, władz w stolicy oraz wścibskich zagranicznych dziennikarzy, na których Calvo miał niewielki wpływ.

Po chwili do stołu dosiadło się kilku mężczyzn. De la Rocha rozchmurzył się nieco. Był w towarzystwie swoich braci, trzymali się razem. Będą się wspierać. W końcu znajdą i zabiją rodzinę majora, a kolejna fala „bohaterów” pracujących dla GOPES-u dwa razy się zastanowi, zanim zacznie przeszkadzać im w interesach.

Gangsterzy zaczęli wspominać stare czasy, kiedy razem służyli w wojsku. Daniel uwielbiał chwile, gdy choć na moment był znów jednym z nich. Lubił się bawić

z dala od swoich posiadłości, odwiedzać restauracje, nawet jeśli wymagało to dwudziestu czterech ochroniarzy i kilku godzin współpracy z miejscową policją.

De la Rocha wstał. Pozostali poszli za jego przykładem, ale dał im znak, aby usiedli. Podeszedł do znajdującej się w rogu kapliczki, ukląkł przed figurą Santa Muerte postawioną tam na jego życzenie i pogrążył się w samotnej modlitwie.

Skończywszy, nalał dwie szklaneczki whisky dla La Virgen i postawił szklanekę przy figurze patronki. Następnie wrócił do stołu.

Nestor Calvo cały czas nerwowo chodził po sali z telefonem przy uchu. Na chwilę opuścił jadalnię. Po kilku minutach wrócił, usiadł po prawej stronie Daniela i nachylił się do jego ucha.

– Rozmawiałem z człowiekiem z ambasady amerykańskiej. Co jakiś czas korzystamy z jego usług, załatwia nam to i owo.

W tej chwili przyniesiono półmisek Daniela. Filet z soli, odrobina masła. Do tego salsa z mango i szparagi. DLR pokiwał z aprobatą i wziął widelec. Kelner odszedł z wyraźną ulgą.

– „To i owo”? „Co jakiś czas”? Dobra. Wiele mi to nie mówi. No i co z tym *gringo* z ambasady?

– Zazwyczaj pomaga „Pająkowi” zdobyć papiery dla jego ludzi, jeśli trzeba kogoś sprzątnąć w Stanach.

Daniel pokiwał głową, po czym zjadł kawałek ciepłej ryby. Jego twarz była nieprzenikniona.

Calvo kontynuował:

– A więc zadzwonił dziś po południu do jednego z moich pomagierów. Powiedział, że jest w posiadaniu niezwykle cennych informacji, ale przekaze je tylko osobiście DLR. Oddzwoniłem i powiedziałem mu, żeby poszedł do diabła. Ale on przyleciał prosto ze stolicy, żeby z nami pogadać. Zadzwonił z lotniska. W końcu udało mi się przekonać go, aby powiedział, o co chodzi. Wysłałem ludzi, żeby go odebrali i tu przywieźli.

– A więc zamiast pójść do diabła, przyjechał do mnie.

Nestor wzruszył ramionami.

– Wierz mi, chcesz posłuchać tego, co ma do powiedzenia.

– Przeszukano go?

– Najpierw na lotnisku, a przed chwilą tu, w łazience. Od stóp do głów.

De la Rocha pokiwał głową i wciąż nie podnosząc głowy znad talerza, mruknął:

– Niech go wprowadzą.

Nestor kiwnął na stojącego przy drzwiach mężczyznę. Tamten wyszedł i po chwili wrócił z Jerryem Pfliegerem.

Amerykanin był rozczochrany, zapewne po przeszukaniu, którego przed chwilą doświadczył w toalecie. W pomiętej białej koszuli z krótkimi rękawami i wąskim czarnym krawacie wyglądał wyjątkowo niechlujnie, zwłaszcza w tej eleganckiej restauracji pełnej zadbanej mężczyzn w drogich garniturach. Daniel wstał i uściskał Amerykaninowi dłoń.

– To dla mnie przyjemność, ekscelencjo – oznajmił Jerry, uśmiechając się szeroko.

Daniel westchnął głęboko. Cóż, *gringo* to *gringo*.

– Niech mnie pan tak nie nazywa. Proszę usiąść.

Obaj zajęli miejsca przy stole. De la Rocha spojrzał na stojącego przy ścianie kelnera.

– Angelo, przynieś mojemu *blanco Americano* trochę *vino blanco*.

Nalano kieliszek białego wina. Jerry od razu wypił połowę.

Daniel zajął się swoim daniem. Pomiedzy kęsami zapytał:

– Cóż mogę dla pana zrobić?

– Pragnę zaznaczyć, że bardzo się cieszę, że nic się panu nie stało w Puerto Vallarcie.

– Też mnie to cieszy.

– Potem widziałem w wiadomościach... Chodzi o tego człowieka, co próbował pana zabić na jachcie. Jego żona była wtedy na proteście, prawda?

De la Rocha przerwał jedzenie. Spojrzał na Jerry'ego.

Pflieger ciągnął:

– Pan Calvo mówił, że może zainteresować pana informacja na temat tego, gdzie się teraz znajduje rodzina tamtego człowieka.

– A i owszem, może mnie to zainteresować.

– Dziś przyszedł do mnie pewien Amerykanin. Chce, abym zdobył podrabiane wizy do Stanów dla trzech kobiet i chłopaka.

De la Rocha spojrział na niego.

– A kim są ci *mojados*? – Użył obraźliwego określenia „zamoczonych”, czyli tych, którzy przepływają Rio Grande, aby się dostać do Stanów Zjednoczonych.

– Waszym zwyczajem mają różne kombinacje nazwisk, ale powtarza się wśród nich nazwisko Gamboa. Imiona to Luz Lozario, Elena Maria, Laura Maria oraz Diego Rodrigo.

– „Pająk”! – zawołał de la Rocha tak nagle, że Pfleger aż podskoczył i się wyprostował. Javier „Pająk” Cepeda podniósł głowę znad komputera i błyskawicznie znalazł się przy szefie.

Daniel kazał Jerry’emu powtórzyć wszystko dowódcy *sicarios*.

– A więc są w stolicy? – zapytał Cepeda z nadzieją w głosie.

– Tego nie wiem. Wiem tylko, że *gringo* tam jest.

– Kiedy się z nim będziesz widział?

– Jutro, o drugiej po południu.

De la Rocha pokręcił głową.

– Siedemnaście godzin. Czy jest jakiś sposób, żeby dorwać go wcześniej?

– Tak. Mam numer jego komórki. Myślę, że może dałoby się namierzyć...

– Esteban! – Teraz to Cepeda wszedł w słowo Pflegerowi, wołając Estebana Calderona, technika Czarnych Garniturów. W wojsku był ekspertem od łączności, miał też wyższe wykształcenie z zakresu telekomunikacji i elektroniki. Podbiegł do stołu, gdzie rozgorzała dyskusja na temat technicznych problemów związanych z namierzeniem komórki w tak gęsto zaludnionym miejscu jak Distrito Federal.

W końcu stwierdzono, że przy odpowiednim sprzęcie i wystarczająco licznej załodze powinno się udać namierzyć komórkę *gringo*. Dopiero wtedy de la Rocha zajął się Pflegerem. Przez ostatnie kilka minut wszyscy zapomnieli o Amerykaninie, z wyjątkiem czujnego Emilio i ochroniarzy.

Tymczasem Jerry wypił półtora kieliszka chardonnay.

De la Rocha zwrócił się do niego:

– Jak mogę się odwdzięczyć, *amigo*?

– Okazując mi dozągonną wdzięczność.

Daniel przyjrzał się mu. Po gestach i zachowaniu Amerykanina poznał, że używa substancji, których handlem i rozprowadzaniem zajmują się Czarne Garnitury.

Jako że nie doceniono jego żartobliwej odpowiedzi, Jerry spoważniał:

– Prawdę mówiąc, to nie chcę wiele. Zależy mi tylko na Amerykaninie.

– Na Amerykaninie? Zaprowadzisz nas do rodziny majora, a w zamian chcesz wziąć Amerykanina?

– Tak.

– A co w nim jest takiego pociągającego?

– Wygląda na to, że to człowiek od kilku lat poszukiwany przez służby Stanów Zjednoczonych. W ambasadzie aż wrzało. Wszyscy byli podjarani, że odnalazł się w Meksyku. Jeśli to ten sam, a mam podejrzenia, że tak właśnie jest... Cóż, za jego głowę wyznaczono niezłą nagrodę. Pomyślałem, że dam wam cynk, a w zamian wy... no, zorganizujecie grupkę, która schwyta tę gromadkę. Weźmiecie rodzinę majora, a mojego rodaka podrzucicie do ambasady. Jako wyraz wdzięczności przekażecie nagrodę w moje ręce.

De la Rocha napił się wina.

– Dlaczego wasi go szukają?

– Nie wiem. Szczegóły są niejawne. Dziś po południu w ambasadzie zjawił się jakiś agent z CIA. Podobno pan szpieg i *gringo* pracowali kiedyś razem. Przyjechał, żeby go zidentyfikować, gdy zostanie zatrzymany przez *federales*.

Daniel pokiwał głową. Spojrzał na Calva i wymienił z nim znaczące spojrzenie. Obaj wstali i odeszli od stołu, aby naradzić się na osobności.

– Jeśli CIA tak bardzo zależy na tym *gringo*, to może zechcą dać nam coś w zamian – szepnął Nestor.

– To samo pomyślałem. Co mogą nam zaoferować?

– To Centralna Agencja Wywiadowcza... Mogą mieć przydatne informacje na temat Madrigala.

DLR pogładził kocią bródkę.

– Powinni znać jego kontakty w rządach w Peru, Ekwadorze i Kolumbii.

– To prawdopodobne.

– Myślisz, że za tego *gringo bandito* są gotowi przekazać je nam?

– Spróbuję się tego dowiedzieć. Poszukam pośredników, którzy ułatwią kontakt z ambasadą i pozwolą nam dotrzeć do CIA. Sprawdzę, jak bardzo zależy im na tym człowieku.

– Tak czy inaczej, potrzebujemy kolegi Jerry'ego, żeby nas doprowadził do Eleny.

Nestor był podekscytowany wizją wymiany *gringo* na informacje CIA. Zdobycie ich byłoby znaczącym krokiem na drodze do pokonania narkotykowego rywala Czarnych Garniturów. Znacznie mniej entuzjastycznie przyjął do wiadomości, że jego szef się upierał, żeby kontynuować plan zabicia ciężarnej żony majora. Jednak Calvo posłusznie wyjął komórkę. Zanim skontaktuje się z amerykańskim wywiadem, musi zbudować sieć pośredników nie do namierzenia, a to zajmie trochę czasu.

– Natychmiast wyjeżdżamy do stolicy! – De la Rocha rzucił do swoich ludzi.

Jerry Pflieger wstał i podniósł kieliszek. Poczul się zignorowany. Ochroniarze otoczyli szczerze szefa, utrudniając ewentualny zamach na życie swojego *patróna*.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

O dwudziestej drugiej Court i Laura już nie spali. Siedzieli naprzeciwko siebie na łóżkach i jedli kolację, słuchając delikatnych uderzeń deszczu o szybę.

Laura niedawno wzięła prysznic. Teraz mokra grzywka wpadała jej do oczu. Przebrała się w czarną koszulkę polo i niebieskie dżinsy. Na szyi miała różaniec.

Court stwierdził, że to doskonale dobrany strój i że dziewczyna wygląda w nim przepięknie.

Czekała ich noc. Gentry wyłączył telewizor z kontaktu i ustawił go wraz z szafką i dębową komódką przy drzwiach. Ktoś, kto by próbował wejść do ich pokoju, potrzebowałby nie tylko klucza, ale także silnego barku do odsunięcia blokady.

Prawie nie rozmawiali. Gdy resztki posiłku znalazły się w koszu, Laura zaczęła opowiadać o swojej rodzinie i dorastaniu w San Blas. Court nie wiedział, czy oczekiwała, że w zamian zdradzi jej jakiś szczegół ze swojego życiorysu, ale nie zamierzał rewanżować się w ten sposób.

Wreszcie opowieści dobiegły końca i dziewczyna zapytała go:

– Powiedz mi, proszę, czy mój brat... Czy był taki jak ty?

– Pod jakim względem?

– Pod jakimkolwiek. To jest... Widać, że potrafisz walczyć. To, jak nas broniłeś. Czy Eduardo też tak potrafił?

– Eddie był dobrym człowiekiem. I mocnym. Ale wtedy, kiedy go znałem? Nie, nie był do mnie podobny. Nie był zabójcą.

– Ty też nie wyglądasz na zabójcę – odparła.

– A więc pewnie niezbyt uważnie się przyglądałaś.

– A właśnie że uważnie. Rozumiem, że zabiłeś ludzi. To oczywiste. Ale tylko dlatego, żeby ocalić nas i siebie. Robiłeś to, co było konieczne. W tych stronach mamy wielu zabójców, ale oni nie zabijają ze szlachetnych pobudek.

Court nie odpowiedział, sączył wodę z butelki.

– Bóg przez ciebie przemawia. Powinieneś to wiedzieć – oznajmiła Laura.

Z ust Courta wydobyło się coś pomiędzy chichotem a jękiem. Woda pociekła mu po brodzie.

– Nie byłbym tego pewny.

– Ja jestem. Wysłał cię, abyś nad nami czuwał.

– Upraszczaś sprawę.

Laura się zamyśliła. Patrzyła mu prosto w oczy z takim zaangażowaniem, że Gentry spuścił wzrok.

– Rzeczywiście, to wszystko nie jest takie proste. Ale uważam, że zostałeś nam zesłany w potrzebie.

– Na początku tej przygody było około dwunastki potrzebujących. Została czwórka. A co z innymi?

Laura się rozplakała. Gentry spojrzał na sufit. „Po co, do cholery, to powiedziałem?” – pomyślał.

Po chwili szloch ustał. Laura wstała, podeszła i usiadła po turecku naprzeciwko niego.

– Czy wierzysz w dobro i zło? – zapytała.

Gentry poczuł, że jej bliskość przyspiesza bicie jego serca. Spojrzał na koniec pokoju.

– Wierzę w to, co widziałem na własne oczy.

– A więc?

– Na pewno wierzę w zło.

– Nie widziałeś na tym świecie dobra?

Court spojrzał na nią. Krew zaczęła mu szybciej krążyć, rozpalając jego twarz i dłonie.

– Jasne, że widziałem trochę dobra. Ale zdecydowanie za mało.

– Cóż, ja też wierzę w to, co widzę na własne oczy. A w tobie, Joe, widzę dużo dobra. Jesteś naprawdę dobrym człowiekiem.

– Cóż, myślę, że powinniśmy spróbować się przespać. Jutro cały dzień spędzimy w drodze, więc...

Laura przysunęła się do niego i weszła mu w słowo:

– Masz kogoś?

– Co proszę?

– Żonę? Dziewczyne?

– Nie.

– Nie możesz do końca świata żyć samotnie.

Uśmiechnął się i odwrócił wzrok.

– Nie dożyję końca świata.

– Chodzi mi o to... Do końca swojego życia. Bóg nie chce, aby ludzie żyli samotnie.

Court nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Od pięciu lat jestem sama. Od śmierci Guillerma. Dobrze wiem, co to samotność. Jak trudno wytrzymać z samym sobą, kiedy nie ma się z kim dzielić życia. Ja mam wiarę, która mi pomaga. Gdybym jej nie miała... Cóż, Joe, nie wiem, jak twoje serce to wytrzymuje.

– Z moim sercem wszystko w porządku – odparł Court. Wiedział, że jest na miejscu, bo w tej chwili było mocno.

– Wiedz, Joe, że na tym świecie jest nie tylko ciemność. Jest jeszcze dużo dobra.

– Widać obracam się w niewesołych kręgach.

Laura niezupełnie go zrozumiała.

– Wykonujesz wolę bożą.

– Uwierz, jestem tylko zwykłym facetem.

– Wcale nie. Jesteś wyjątkowy. Diabeł próbuje zdobyć tę ziemię. Robi to za pomocą zła. A ty walczysz przeciwko złu. Walczysz z diabłem – oznajmiła, po czym powtórzyła: – Wykonujesz wolę bożą.

– Dzięki – odparł. Czasami się zastanawiał, co właściwie robił. Ta dziewczyna miała swoją teorię, Court wiedział, że wadliwą, ale miło było ją usłyszeć.

– Powinniśmy się zdrzemnąć – powtórzył. Ona jednak nie ruszyła się z jego łóżka.

– Czy mogę zostać przy tobie? Możemy spać razem jak wczoraj?

– Jasne – odparł z fałszywą nonszalancją. Był pewien, że Laura go przejrzała.

Zgasił światło, położył się, nie zdejmując ani butów, ani ubrania. Na szafce nocnej czuwał pistolet.

Laura położyła dłoń na jego klatce piersiowej i oparła wilgotną głowę na jego ramieniu. Choć była drobniutka, ich połączone ciała zajmowały całe łóżko. Wkrótce podniosła nogę i przełożyła ją przez jego łydki. Mimo zgaszonego światła oczy Courta były szeroko otwarte. Wpatrywał się w sufit, którego nie widział, i próbował oddychać powoli i płytko.

– Boisz się? – zapytała dziewczyna.

Stwierdził, że pewnie nawiązywała do tego, jak mocno biło mu serce.

– Nie – zaprzeczył. – W ogóle się nie boję.

– Twierdzisz, że przy tylu ludziach, którzy usiłują nas zabić, w ogóle się nie boisz? Ja jestem przerażona.

– A, o to ci chodzi. Jasne, że się boję. Tyle że... Nauczono mnie, jak wykorzystać strach na swoją korzyść. Jasne, że się boję podczas walki czy ucieczki... Ale wiem, jak użyć tej energii i nie skamienieć z przerażenia.

– To brzmi jak jakaś teoria naukowa.

– Poniekąd nią jest. – Court chętnie by o tym porozmawiał. Odwracało to jego uwagę od zgrabnej nogi, która właśnie zgięła się w kolanie i leżała na jego udzie.

– Mam szczęście, że tu jesteś, by mnie bronić.

– Widziałem, jak walczysz. Jesteś nieźle wyszkolona.

– Kiedy mój brat żył, często zabierał mnie na strzelnicę. Twierdził, że choć pracuję tylko w policji turystycznej, powinnam być gotowa na wszystko. Poza tym trenowałam kick-boxing.

– Zauważyłem, że jesteś w formie.

– Czyżby? – uśmiechnęła się.

Gentry poczuł, że się zarumienił.

Laura zaczęła powoli głaskać go po klatce piersiowej.

– To jest... Widać po tobie, że regularnie ćwiczysz. I dobrze. Zanim to wszystko się skończy, może ci się to przydać. Jeśli po drodze natkniemy się na Czarne Garnitury, to musimy się spodziewać, że...

– Joe?

– Tak...

– Mogę cię pocałować?

„Jak najbardziej!” – pomyślał. Powiedział jednak:

– To chyba nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego?

Court nie wiedział dlaczego. Coś mruknął o Eddiem, o tym, że muszą się wyspać, że tak naprawdę ona nie ma pojęcia, kim on jest i czym się zajmuje.

– To bez sensu, Joe. Co ma do tego mój brat? Eduardo chciał, żebym była szczęśliwa. Żebym znalazła sobie jakiegoś dobrego faceta.

– Posłuchaj, Lauro. Ja nie jestem dobrym facetem. Jestem tylko facetem, który próbuje ci pomóc.

– No to pomóż.

– Ale...

– No, pomóż mi.

Mówiąc to, wspięła się na niego, nachyliła nad jego twarzą, po czym delikatnie pocałowała go w usta. Court otworzył szeroko oczy. Nie odpowiedział pocałunkiem, ale też się nie odsunął. Laura jeszcze raz go pocałowała. Ciało Gray Mana zeszywniało. Dopiero przy trzecim pocałunku powoli zamknął oczy.

Szybko je jednak otworzył i powiedział:

– Zaczekaj.

– Nie zamierzam – odparła, kładąc się na nim. Owinęła ręce wokół jego szyi i obdarzyła namiętym pocałunkiem.

Widział ją. Otwarte oczy przywykły do ciemności panującej w pokoju.

Jej oczy były zamknięte. Z każdym ruchem jej głowy wilgotna grzywka delikatnie się kołysała. Całowała go w usta, policzki, oczy, szyję...

Nagle przerwała i usiadła. Court się zorientował, że jego ręce powędrowały na jej biodra i przytrzymał ją. Spojrzała na niego z góry. Przez okno wpadało światło, dzięki czemu widział ją wyraźnie.

– Tylko ty tak naprawdę nie jesteś Joe.

Gentry pokręcił głową.

– Powiedz mi, proszę, jak się nazywasz. Nie chcę nazywać cię nie twoim imieniem, gdy będziemy się kochać.

Court zamrugał. „A więc będziemy się kochać?” – pomyślał. Znów pokręcił głową.

– Powiedz mi, jak do ciebie zwracają się przyjaciele. Jak na ciebie wołano, gdy byłeś młodszy. Daj mi jakieś imię, jakieś przydomko, byle coś dla ciebie znaczyło.

Court prawie zdradził jej swój pseudonim, Profanator. Ale nie chciał być tak przez nią nazywany. Zamyślił się, po czym wyszeptał:

– Możesz do mnie mówić Szóstka.

– Szóstka? *Seis*? – upewniła się. W jej oczach zdziwienie mieszało się z pożądaniem.

– Właśnie tak.

– *Bien. Seis...*

Usatysfakcjonowana Laura zdjęła koszulkę, rozpięła stanik i rzuciła go na podłogę. Potem zaczęła rozpinać koszulkę Courta. Gentry na chwilę chwycił jej dłonie, jakby usiłował ją powstrzymać, ale tak naprawdę pragnął, by kontynuowała.

Pomyślał o Eddiem i Erneście, mężczyznach, którzy zrobiliby wszystko, aby ratować tę dziewczynę. Następnie pomyślał o tych, którzy chcieli ją skrzywdzić. Od kilku dni starał się ją chronić, teraz jednak nie był pewien, czy przystając na ten flirt, jej nie krzywdzi. Laura się pochyliła i go pocałowała. Tym razem zamknął oczy i otworzył usta.

Wtedy zadzwonił jego telefon komórkowy.

Court nie zwrócił na to uwagi.

Laura też nie.

Komórka wciąż dzwoniła.

Przestała.

Znów zadzwoniła.

„Kurwa, czemu akurat teraz” – pomyślał Gentry.

Laura nie zwracała uwagi na uporczywy dźwięk.

– To musi być ten gość z ambasady – wykrztusił Court. Wyciągnął rękę po telefon, Laura jednak trzymała go mocno i nie przestawała całować. Prawie musiał ją z siebie zrzucić.

– Halo?

– Ahoj, rodaku! Wybacz, że niepokoję o takiej porze, ale właśnie ślęczę nad papierami i pojawiło się kilka pytań.

– Jasne, pytaj.

Jerry zadał Courtowi kilka pytań o wykonywane zawody i ewentualne wykształcenie osób, którym podrabiał papiery. Wyjaśnił, że aby wypełnić wizę o pracę, trzeba podać jakiś zawód. Można było, co prawda, coś wymyślić, ale im dokładniejsze i bliższe prawdy informacje się teraz wpisze, tym łatwiej będzie przekonać do nich podczas kontroli granicznej i po drugiej stronie.

Court w porozumieniu z Laurą odpowiedział na pytania.

Poniekąd miał nadzieję, że ten telefon ostudzi emocje. Nie czuł się komfortowo, że tak bardzo pożądał młodszej siostry kumpla, wciąż jednak liczył, że uda im się dokończyć miłosne igraszki.

Po pięciu minutach Gentry i Lorita wrócili do przerwanych pocałunków. Ona wciąż leżała na nim. Całowała jego twarz, jakby był to nie lada skarb, on trzymał ją mocno.

Kiedy próbowała zsunąć jego koszulę, Court zaczął się denerwować. Doskonale wiedział, jak dawno nie był w łóżku z kobietą. Szepnął bardziej do siebie niż do Laury:

– W tym nie jestem... wytrenowany.

– Wytrenowany? O co ci chodzi?

– A... Nie, nic – odparł.

„Stul pysk, Gentry” – zrugął siebie.

– Myślisz, że większość osób się w tym szkoli?

– Nie... Chodzi o to, że ja...

– Myślisz, że ja jestem jakąś niebywałą ekspertką?

– Nie o to...

– Straszny z ciebie dziwak. Lubię cię, *Seis*, ale jesteś bardzo dziwny.

– Wiem.

Court jeszcze przez chwilę się wstydził. Trochę rozproszyły go dochodzące z korytarza odgłosy kroków. W końcu jednak ucichły, a wraz z nimi zniknęły jego zahamowania.

Poczuł, że Laura majstruje przy jego pasku. Rozpięła mu spodnie. Nie przeszkadzał jej w tym, tylko się przyglądał. Kiedy nie miał już na sobie spodni, przesunęła się w kierunku jego twarzy. Położyła prawą dłoń na jego lewym udzie. Court jęknął głośno.

– Oj, przepraszam – powiedziała, po czym przyjrzała się jego nodze. Koniuszkiem palca przejechała po głębokiej ranie.

– Co ci się stało?

– Spotkałem krokodyla – odparł Gentry, wracając myślami do wydarzeń w amazońskiej dżungli.

Laura się zaśmiała:

– *Crocodilo!* Nie wierzę. Masz tyle tajemnic. – To mówiąc, położyła dłoń na jego sercu. Następnie odsunęła ją i zaczęła całować jego klatkę piersiową. – Możesz sobie je mieć w tym serduszku. Ale proszę, zrób w nim miejsce też dla mnie. Dobrze?

– Dobrze – odpowiedział. Nie mógł już dłużej się powstrzymać. Powoli usiadł, pocałował ją namiętnie i ostrożnie położył na plecy.

Jej ciało było ciepłe. Napięte mięśnie pod delikatną, rozpaloną skórą. Mocne bicie jej serca dodało mu otuchy. Zrozumiał, że kochają się, że nie przygląda mu się beznamiętnie, nie ocenia go.

Kiedy na chwilę się odsunął, przyciągnęła go do siebie. Wziął głęboki oddech, a ona dotknęła ustami jego warg. Gdy odwracał głowę w stronę drzwi czy okna, ona chwyciła ją i kierowała na siebie. A gdy skrzywił się z bólu, ona przyciągnęła go ku sobie i całowała.

W końcu Court zapomniał o drzwiach i oknie, o niebezpieczeństwie i bólu. Liczyła się tylko Laura, tylko ich dwoje. Na wąskim łóżku byli bezpieczni od wszelkiego złego.

Kochali się kilka godzin.

* * *

Gentry obudził się z najgłębszego snu, jakim dane mu było spać od lat. Łóżko ogrzewały wpadające przez okno promienie słońca.

Laura leżała obok, mocno przytulona do niego. Głowę oparła na jego ramieniu. Lewą dłoń trzymała na jego klatce piersiowej. Jej rytmiczny oddech, ciepło jej ciała, zapach jej skóry – wszystko to było cudowne.

Court nie wiedział, że skóra może pachnieć.

Laura się nie poruszała. Spojrzał na jej twarz, na pełne usta i czubek noska. Jej krótkie, czarne kosmyki były rozczochrane.

Nagle pomyślał o Eddiem. Ogarnęła go fala paniki. Czy to, co zrobili, było złe? Niespodziewanie poczuł wyrzuty sumienia. Nigdy tego nie doświadczył. Przyszedł na grób starego kumpla, aby się z nim pożegnać. Nie przewidywał, że trzy dni później będzie kochał się z jego młodszą siostrą – osobą, którą jego zmarły przyjaciel chciał chronić.

Laura otworzyła oczy. Spojrzała na niego.

– Wszystko w porządku? – zapytała ostrożnie. Pocałowała go. Od razu zapomniał o panice. – Która godzina?

– Późno już. Trzeba się zbierać.

– Dokąd idziemy?

– Najpierw musimy zdobyć samochód. Zatankować do pełna i przygotować do drogi. Gdy tylko odbierzemy dokumenty od Pfliegera, ruszamy w stronę granicy. Będziemy spać na zmianę, żeby jechać bez przerwy całą noc. Powinniśmy dołączyć do twojej rodziny jutro o trzeciej po południu.

– Znowu ukradniemy auto? – zapytała, wzdychając. – Kiedy dojedziemy do Stanów, będziesz musiał mi pomóc znaleźć jakąś pracę, żeby zapłacić tym wszystkim ludziom za ukradzione pojazdy.

Court zdał sobie sprawę, że Laura założyła, iż będzie towarzyszył jej rodzinie po drugiej stronie granicy. Powiedział im, że nie ma przy sobie dokumentów, ale zapewne uznała, że załatwił je u Jerry'ego.

„Kurwa” – pomyślał. Nie chciał wprowadzać jej w błąd, lecz nie mógł jej wyjawić, że w Stanach Zjednoczonych znalazłby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, takim, jakie groziło jej w Meksyku. Ogarnęła go kolejna fala wyrzutów sumienia. A jeśli ona kochała się z nim tylko dlatego, że wierzyła, iż po wszystkim będą mogli być razem?

Czy w ogóle istniała jakakolwiek możliwość, żeby mógł z nią być po zakończeniu tej przygody?

Laura przytuliła się do niego, po czym ziewnęła i się przeciągnęła.

– Naprawdę musimy od razu wstawać? – zapytała kokieteryjnie.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków. Court je zignorował i odpowiedział:

– A i owszem. Wyobraź sobie, że kradzież pojazdów w nieznanym mieście trochę trwa.

– A możemy jeszcze wstąpić do la Iglesia de Nuestra Señora? Tylko na kilka minut.

Court westchnął. Powinien był to przewidzieć. Zapomniał o jej umiłowaniu kościołów.

– Ale tylko na kwadrans, ani minuty dłużej. Bo inaczej...

Nagle Court urwał.

– ¿Qué?

Gentry poderwał się i chwycił leżący na szafce nocnej pistolet.

Wymierzył berettą w drzwi zastawione komodą. Przechylił nieco głowę, ale nic nie powiedział. Przez kilkanaście sekund panowała grobowa cisza. Laura zamilkła, nawet jej oddech był niesłyszalny. Wpatrywała się w umięśnione plecy siedzącego na łóżku Amerykanina. Zauważyła, że na lewej łopatce miał paskudną bliznę, ale była zbyt przerażona, aby wydusić z siebie cokolwiek. Czyżby coś usłyszał?

Court ani drgnął. Mierzył z pistoletu w drzwi i nasłuchiwał. Wstał powoli, zerknął w prawo, aby wyrzucić przez okno na ulicę. Cały czas nie spuszczał lufy z drzwi.

Spojrzał na Calle Donceles. Przy chodniku stało kilka samochodów, ale poza tym było pusto. Żadnych aut, żadnych przechodniów. Było cicho. Zdecydowanie za cicho...

Nagle za oknem zobaczył czarne buty. Już podnosił broń, gdy za drzwiami rozległ się wybuch. Nie wiedział, w którą stronę strzelać.

Usłyszał brzęk rozbijanego szkła, odłamki prawie trafiły go w twarz i nagi tors. Właściciel czarnych buciorów wskoczył do środka i wymierzył mu kopniaka. Gentry przewrócił się do tyłu i stracił pistolet. Przez ułamek sekundy udało mu się dostrzec *federale*, który wskoczył przez okno. Mężczyzna upadł na plecy, ale szybko wstał i wycelował w leżącego na podłodze Amerykanina z pistoletu maszynowego MP5.

Po lewej stronie Courta doszło do drugiej eksplozji. Komoda ze stojącym na nim telewizorem nie stanowiły przeszkody i do pokoju wbiegli mężczyźni. Było ich sześciu. To *federales* w kominiarkach, goglach, kamizelkach kuloodpornych i z pistoletami maszynowymi. Grozę sytuacji potęgowały kłęby szarego dymu.

Laura zaczęła krzyczeć.

Court podniósł dłoń i powiedział:

– Nie ruszaj się! Rób, co mówią! Mają nas!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Z tyłu w sedanie było bardzo gorąco. Court leżał na brzuchu między siedzeniami, przytrzymywany przez trzy pary stóp w czarnych buciorach. Usta miał zaklejone grubą taśmą. Ręce skute na plecach kajdankami, na głowie czarny worek, który utrudniał oddychanie. Oczy bolały go tak bardzo, że kilka razy zaskowytał mimo knebla w ustach. Gdy wydawał z siebie ten odgłos, uciszano go kopniakiem w tył głowy. Piekły go zadrapania od odłamków szkła na klatce piersiowej, czuł ciepłą wilgoć krwi i potu spływających na wykładzinę. Usiłował przenieść ciężar ciała w stronę ramion, aby trochę sobie ulżyć, ale osiągnął jedynie to, że worek zsunął się na jego twarz.

Na lędźwiach czuł czubek tłumika przytwierdzonego do MP5, który z każdym wertepem mocniej wbijał się w jego kręgosłup.

Z głośników na pełny regulator leciała muzyka w wykonaniu kilkusobowej orkiestry biesiadnej. Piski akordeonów i walenie w perkusję zagłuszały rozmowy porywaczy. Court podejrzewał, że Laurę wrzucili do innego pojazdu. Kiedy jeszcze w pokoju skuwano go i kneblowano, udało mu się dostrzec przez okno, że przed hotelem zatrzymało się kilka czterodrzwiowych aut. Zanim napastnicy nałożyli mu worek na głowę i zgasili światło, zdołał spojrzeć na siostrę Eddiego.

Ogromne oczy Laury zdawały się jeszcze większe z przerażenia. Porywacze przewrócili ją na brzuch na łóżku i skuli kajdankami.

Była naga.

Gentry nie miał pojęcia, czy to były prawdziwe gliny, a jeśli tak, to czy to byli „ci dobrzy”, czy „ci źli”. Nie wiedział, dokąd go wieźli. Zapewne i rodowity mieszkaniec stolicy miałby problemy ze zorientowaniem się w topografii miasta po tyłu zakrętach, zwłaszcza gdyby leżał na podłodze z workiem na głowie.

W końcu auto się zatrzymało. Mężczyźni chwycili go za ramiona i wywlekli z auta. Był tak spocony, że rękawice na dłoniach napastników ślizgały się na jego ciele. Zaciągnęli go do jakiegoś pomieszczenia, w którym słyszał echo kroków

swoich oprawców. Po chwili weszli do czegoś, co wydało mu się windą towarową, po czym zjechali co najmniej trzy piętra.

Wyprowadzili go z windy, popchnęli jeszcze kilka metrów do przodu i okręcili wokół własnej osi. W końcu zdjęli mu z rąk kajdanki. Gwałtownie przycisnęli go do metalowych prętów. Czyżby jakieś ogrodzenie? Kilku facetów chwyciło go za ręce. Rozłożyli je szeroko i przykuli do prętów. Zaczęli kopać go po nogach, aż szeroko je rozstawił. Kostki też unieruchomili.

Czuł chłód metalu.

Następnie ktoś wsunął zimne nożyce w jego bokserki. Court usiłował odsunąć się od ostrzy, ale nie mógł. Rozciągli mu slipki. Był teraz zupełnie nagi, przykuty do metalowych prętów.

Trzął się z zimna.

Dopiero wtedy zdjęli mu z głowy worek. Przez chwilę widział tylko parę unoszącą się z włosów i zarostu. Z powiek skapywały krople potu i spływały po policzkach i brodzie.

Znajdował się w niskiej wyłożonej kamieniami piwnicy, o powierzchni około czterdziestu metrów kwadratowych. Na środku sufitu sterczała żarówka oświetlająca większość pomieszczenia. Poczował stęchły odór wilgoci i pleśni, lecz wyczuł coś jeszcze.

W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach śmierci. Znajdował się w rzeźni, sali tortur z prawdziwego zdarzenia. Ściany były obryzgane krwią, która zdążyła już zaschnąć, na posadzce widniały jej czarne ślady prowadzące do odpływu pośrodku pomieszczenia.

Naprzeciw Courta znajdowały się drzwi windy towarowej.

Obok dostrzegł wąską klatkę schodową.

Otaczało go czterech facetów, z których dwóch miało na sobie mundury policji federalnej. Zdążyli zdjąć kominiarki, ochraniacze na oczy i hełmy, ale wciąż mieli przy sobie pistolety maszynowe.

Pozostała dwójka była ubrana w skórzane fartuchy. Meksykanie, ale zdecydowanie nie policjanci. Jeden był niski i gruby. Jego łysa, spocona głowa odbijała światło żarówki. Był czymś zajęty. Stał nad stolikiem na kółkach, jakieś dwa metry na lewo od Courta. Drugi około dwudziestoletni był ubrany tak jak starszy.

Gentry nie miał złudzeń, że czekają go tortury.

W pomieszczeniu nie było Czarnych Garniturów. Court uznał, że to dobry znak, ale było to marne pocieszenie. Kilka metrów od żelaznej kraty, do której przykuto jego nagie ciało, na wsporniku stał akumulator samochodowy. Od niego aż do metalowego ustrojstwa na stole z kółkami biegły kable. Z przerażającej maszyny wychodziły kolejne druty zakończone zaciskiem przyczepionym do kraty.

Court bywał już w takich sytuacjach. Wiedział, jak wygląda narzędzie do tortur elektrowstrząsami. Dokładnie tak, jak to coś, co właśnie stykało się z jego nagim ciałem.

– Witaj w piekle – powiedział po hiszpańsku łysy grubas. – Dziś będę twoim przewodnikiem po przerażającym, bolesnym i powolnym końcu twojego żywota. – Gentry milczał. – Nazywają mnie El Carnicerito – dodał. Miał ksywę „Rzeźnik”.

Mężczyzna wydawał się zaabsorbowany swoim zadaniem. Rozkładał na stoliku narzędzia: piły, wiertarki oraz lśniący w świetle nagiej żarówki stalowy młotek. Na blacie znajdowały się także noże, kleszcze, szczypce i inne przyrządy chirurgiczne. Nie spuszczać oczu ze swojego arsenału, ciągnął:

– Pracuję dla don Daniela. Specjalizuję się w zadawaniu bólu, wydobywaniu informacji od tych, którzy nie są skorzy do ich udzielenia. Muszę nieskromnie przyznać, że jestem wyjątkowo dobry w swoim fachu.

– Twoja mamusia musi być dumna – mruknął Court, starając się przybrać postawę *macho*, co mu się w tej chwili nie uśmiechało. Kopał i miotał się w kajdankach, ale szybko pojął, że o własnych siłach się z nich nie uwolni.

El Carnicerito odpowiedział z uśmiechem:

– A to jest mój protegowany. – Wskazał tłustym łapskiem młodziana w fartuchu, po czym wrócił do majstrowania przy stole. Powoli przekręcił nieznacznie jakieś pokrętło w tajemniczym sprzęcie. Court poczuł, jak prąd łaskocze go w kręgosłup. Grubas spojrział na regulator z przodu czarnej maszyny. Zapewne wykonał próbę urządzenia: nie zadał jeszcze bólu. Następnie przekręcił gałkę z powrotem do pozycji startowej i spojrział na swoją ofiarę.

– Prąd to tylko jeden z licznych środków w moim repertuarze. W ciągu najbliższych kilku godzin doświadczysz niewyobrażalnego cierpienia.

El Carnicerito podszedł do Courta i dłonią w gumowej rękawicy zaczął wyciągać kawałki szkła z klatki piersiowej Amerykanina, które tkwiły tam, odkąd *federale* wskoczył do pokoju hotelowego, rozbijając okno. Court w pierwszej chwili skrzywił się z bólu, próbował jednak zachować spokój. Nie chciał zachęcać sadysty, pokazując, jak go boli.

Łysy uśmiechnął się złowieszczo. Court uznał, że „Rzeźnik” wpadł na jakiś niecny pomysł. Rzeczywiście, mężczyzna obrócił się na pięcie i podszedł do swojego ucznia, któremu szepnął coś na ucho. Tamten pokiwał głową i wyszedł z pomieszczenia na klatkę schodową. Wbiegł na górę po schodach. Kiedy tylko ucichło echo jego kroków, rozległy się kolejne. Tym razem ktoś schodził. Gentry stwierdził, że były to dwie osoby. Jedna nosiła ciężkie buciory, druga jakieś lekkie obuwie na cienkich podszewkach. Po kilku sekundach do piwnicy weszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich niewątpliwie należał do Czarnych Garniturów. Był młody i zadbany. Jak wielu na wyższych szczeblach tej organizacji miał krótko przycięte włosy, elegancko ukształtowaną kozią bródkę, wąsiki i przewieszony przez prawe ramię pistolet maszynowy HK UMP.

Elegancki garnitur i twarz przybysza nie pasowały do przerażających widoków i obrzydliwych zapachów unoszących się w podziemiu.

Drugi mężczyzna też nie pasował do otoczenia. Amerykanin, blady, chudy, na głowie czupryna brązowych kędziorków, pognieciona koszula z krótkimi rękawami i piaskowe spodnie.

Court przewrócił oczami.

Jerry Pfleger!

Kiedy pracownik ambasady pojawił się w świetle żarówki, Court łypnął na niego złowrogo.

– Witaj, kochany rodaku – mruknął pogardliwie.

Jerry rozglądał się dookoła. Pomieszczenie zrobiło na nim duże wrażenie. Był w szoku, czuł się jak ryba wyjęta z wody. Sprawiał wrażenie porażonego strachem. Usiłował zamaskować przerażenie, ale Court dostrzegł je w jego oczach.

– A on jeszcze cały i zdrowy? – zapytał Pfleger po hiszpańsku.

Wciąż rozglądał się wokół. Niewątpliwie czuł woń śmierci, widział plamy krwi na ścianach i posadzce. Zdawał sobie sprawę, co to za miejsce. Widać było, że starał się o tym nie myśleć.

– Cóż, stary. Jestem przede wszystkim biznesmenem. W końcu to takie amerykańskie. Chciałem do ciebie zejść, żeby... żeby przypilnować swoich interesów – zwrócił się do Courta.

– Zabiją tę dziewczynę. Chcą też zabić jej szwagierkę i jej nienarodzone dziecko – rzucił Court.

Jerry pokiwał głową. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę albo przynajmniej podejrzewał, że coś takiego może się zdarzyć.

– Cóż, nie chciałbym być w ich skórze.

– Robisz to dla kasy?

– Prawdę mówiąc, nie tylko. Mam coś do udowodnienia i chcę ci coś powiedzieć – odparł.

– Niby co?

– Mianowicie to, stary, że nienawidzę tego zasranego miejsca.

– Nienawidzisz Meksyku?

– Oczywiście. Ty nie?

Gentry nie odpowiedział.

– Podejrzewam, że jak się rucha zgrabną tutejszą dupeczkę, to musi się podobać, co nie?

– I ty pracujesz w dyplomacji? Chryste Panie...

– Byłeś kiedyś w Danii?

– Nie – skłamał Court.

– Dania to prawdziwy kraj. Studiowałem tam. Nawet mówię po duńsku. Kopenhagę znam jak własną kieszeń. Zatrudniam się w służbie naszemu kochanemu państwu i zgadnij, gdzie postanawiają mnie wysłać geniusze z Foggy Bottom? Do Danii? Do Finlandii? Do Norwegii? A chuj! Do jebanego Meksyku! Kurwa, to chyba jakiś żart! Cztery lata nic tylko muszę wbijać wizy dla jebanych fasolożerców. Mam to w dupie! Stwierdziłem, że skoro mam tu przebimbać parę lat, to przynajmniej zarobię trochę prawdziwej kapuchy.

– Więc chesz prawdziwą kapuchę, oddając dziewczynę DLR?

– Oj... To ty jeszcze nie kumasz? – uśmiechnął się Jerry.

– Czego?

– Owszem, oddaję twoją metaforyczną dupę DLR. Ale w ramach gratisu. Kasę mam z oddania twojej faktycznej dupy w ręce CIA.

Gentry pokręcił głową, po czym wycedził przez zęby:

– Oj, Jerry, Jerry, Jerry... Zastanów się chociaż przez chwilę. A jak myślisz, co zrobi Langley, kiedy się dowie, że pracownik konsulatu przy ambasadzie Stanów Zjednoczonych pracuje dla Czarnych Garniturów? Zapomnij o cieplej posadce w Kopenhadze.

Jerry uśmiechnął się ponownie przekonany, że jest tysiąc razy mądrzejszy od skutego łańcuchami byłego agenta CIA.

– To Los Trajes Negros przekażą cię CIA, a potem oddadzą mi nagrodę. A jak tylko ją dostanę, to spierdalam i z Meksyku, i z Departamentu Stanu.

– Wszystko doskonale obmyśliłeś.

– Mam układ z samym szefostwem. Z DLR.

– Pamiętaj, młody, że na dłuższą metę układy z diabłem nie kończą się dobrze.

– DLR to szczywany biznesmen, tak jak ja. Wszystko jest na tip-top. – To powiedziawszy, spojrział na „Rzeźnika”, który czekał cierpliwie, aż skończą rozmowę po angielsku. Następnie zapytał po hiszpańsku: – Czy to jakaś maszyna do elektrowstrząsów?

El Carnicerito pokiwał głową.

– No to może pan starszy porazi dla mnie trochę tego *pendejo*?

„Rzeźnik” uśmiechnął się, po czym podniósł leżący na stoliku sfatygowany skórzany portfel.

– Otwórz z łaski swojej buziuchnę. Nie możemy pozwolić, abyś odgryzł sobie język. Wciąż liczymy na to, że nam co nieco wyśpiewasz.

Court posłusznie wykonał polecenie. Wiedział, co go czeka. Zdawał sobie sprawę, że przygryzienie skóry pomoże. Odsunął język i zagryzł portfel z całej siły. „Rzeźnik” włączył sprzęt.

Przez ciało Courta popłynęła fala prądu. Najpierw od stóp, przez odbył, aż do szyi. Gentry wygiął plecy, a jego oczy prawie wyskoczyły z oczodołów. Z głębi gardła wydobył się wibrujący jęk. Po kilku sekundach oprawca wyłączył maszynę. Twarz i tors więźnia błyszczały od potu.

Ale tortury zostały przerwane tylko na chwilę. Kat wyrwał skórzany knebel z ust Gentry'ego i zapytał:

– Gdzie jest Elena?

– *Cómo se dice*, „wal się”.

Do usta Gentry'ego ponownie trafił knebel, a on znów zagryzł portfel. Po raz kolejny jego ciało przeniknął strumień prądu. Court nie był w stanie panować nad ruchami, jego głowa poleciała do tyłu i uderzyła w kratę.

Kolejna przerwa. „Rzeźnik” wyjął z jego ust portfel i powtórzył pytanie:

– Gdzie jest Elena?

– Pocałuj mnie w...

Kat włożył portfel do ust Gentry'ego i przekręcił gałkę w maszynie. Kolejne fale były coraz mocniejsze, coraz bardziej bolesne. Jego ciało zaczęło drżeć tak bardzo, że uderzał raz po raz o metalowe pręty.

Czarny Garnitur i dwóch *federales* przypatrywali się Courtowi. Jerry Pfleger już dawno odwrócił wzrok.

Po kilku minutach maszyna przerwała pracę, co dało mu chwilę wytchnienia. „Rzeźnik” zaczął grzebać w niej. Tymczasem młody pomocnik oprawcy wrócił z torbą zakupów. Gentry jak przez mgłę widział go, gdy kładł na stół plastikowy dzbanek, worek soli, butelkę taniej tequili i okazałą siatkę limonek.

Court jęknął i wypuścił z ust portfel, czego od razu pożałował. Wiedział, że pokazanie strachu, jedynie zachęci grubasa do dalszego znęcania się nad nim. „Rzeźnik” przestał na chwilę dłubać przy maszynie i zaczął kroić limonki. Jego pomocnik robił to samo. Wyglądali jak para barmanów w jakimś plażowym kurorcie. Wycisnęli zawartość cytrusów do dzbanka.

Młody zalał zielonkawy sok alkoholem, a El Carnicerito otworzył zębami worek soli.

Court zdobył się na żart:

– Ja poproszę bez soli.

Pozostali przyglądali się tej scenie z zaciekawieniem.

Meksykanie zaczęli żartować. Court jednak nie był w nastroju, aby wsłuchiwać się w ich rozmowę i usiłować ją zrozumieć.

„Rzeźnik” wziął dzbanek pełen tequili, podejrzanie dużej ilości soli i soku limonkowego, po czym podszedł do więźnia. Przyłożył naczynie blisko twarzy Courta, kilka razy spoliczkował Amerykanina, aby się upewnić, że ten na niego patrzy, po czym zaczął kręcić kawałkiem szkła tkwiącym tuż pod prawym sutkiem Gentry’ego.

– Wyobrażasz sobie, jak będzie piekło, kiedy poleję tym twoje rany? – uśmiechnął się.

Gentry milczał.

– Chyba że powiesz mi, gdzie przebywa wdowa po majorze Gamboa. Ale błagam, nie mów tego od razu. Naprawdę chcę cię tym polać.

Stojące przy windzie zbiry się zaśmiały. Jerry znów odwrócił wzrok.

Court pokiwał głową, wziął głęboki oddech, a następnie plunął prosto w twarz kata. Czeladnik „Rzeźnika” podbiegł i przyłożył Gentry’emu w nos.

Grubas nawet nie wytarł śliny z twarzy. Uśmiechnął się i odparł:

– Sprawiasz, że ta robota staje się coraz przyjemniejsza. Tym milej będzie mi za kilka godzin, kiedy odpiję łeb od twojego żywego, jeszcze dychającego, miotanego konwulsjami cielska. Owszem, będzie mi żal. Żal, że ten dzień się skończy.

To mówiąc, podniósł dzbanek i go przechylił. Powoli polewał nagie, pokaleczone ciało Gray Mana pachnącą miksturą. Wmasowywał płyn w jego otwarte rany. Jego śmiech był prawie tak samo głośny, jak jęki bólu torturowanego.

Po chwili winda ruszyła do góry. Dwaj *federales* dotknęli uszu, poprawiając zestawy słuchawkowe. Czarny Garnitur spojrział na telefon. Zauważył nieodebrane połączenie. Jęki w komnacie tortur musiały zagłuszyć sygnał. Zanim zdążył sprawdzić, kto dzwonił, jeden z gliniarzy stanął na baczność, spojrział na El Carnicerito i zameldował:

– DLR już jest.

Court wciąż jęczał z bólu.

Po kilku sekundach winda ruszyła na dół i zatrzymała się głośno. Otworzyły się drzwi, przez które wyszło trzech mężczyzn w czarnych garniturach. W tym świetle wydawali się lekko wyblakli.

Court zwijał się z bólu. Pozostali natomiast zdążyli zapomnieć o jego istnieniu. Dopiero po kilku sekundach udało mu się na tyle opanować drżenie mięśni, by zorientować się, że wśród przybyłych jest Daniel de la Rocha.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

DLR zmierzył *gringo* wzrokiem. Po jednej stronie ciemnego, chłodnego pomieszczenia stali Jerry, El Carnicerito, jego pomagier i Carlos, człowiek „Pajaka”. Byli tu też policjanci, którzy przywlekli Gentry’ego. Daniel, Emilio i „Pająk” podeszli bliżej więźnia.

Daniel stanął niecały metr od Gray Mana.

– To ma być on? Serio?

Gringo tylko na niego spojrział.

Następnie elegancki mężczyzna powiedział po hiszpańsku:

– No proszę... Sam nie wiem, kogo się spodziewałem... Może Rambo? – Zebrani się zaśmiali. Następnie DLR zwrócił się do Courta po angielsku: – Oj, *amigo*, przysporzyłeś mi niemało kłopotów. Zastanawiam się tylko dlaczego.

Court milczał. Nie był pewien, czy będzie w stanie mówić. Miał wrażenie, że lada moment wypadną mu zęby.

De la Rocha wzruszył ramionami, spojrział na wózek tortur z zestawem narzędzi chirurgicznych, a następnie znów popatrzył na więźnia.

– Opowiedz mi, tłuściutki, jak się zabawiałeś z moim nowym przyjacielem?

– Na razie to tylko trochę nim trzepaliśmy, szefie. Wykorzystałem to, że jest cały poharatany przez kawałki szkła – powiedział „Rzeźnik”, podając szefowi pusty dzbanek do powąchania. DLR zmarszczył brwi, po czym się uśmiechnął.

– *Gringo margarita!*

– *Sí*, don Daniel.

– *Muy bien...* – mruknął mężczyzna z aprobatą. – Nie korzystałeś jeszcze z poganiacza?

– Jeszcze nie. Chce pan popatrzeć?

Daniel wywrócił oczami i zwrócił się do swoich ludzi.

– Czy chciałbym popatrzeć? – zapytał z przekąsem i spojrzął na *gringo*. – Tylko *maricón* chciałby coś takiego oglądać. Przecież dlatego tyle płacę tłuszczoszkowi, żebym nie musiał patrzeć, jak kopią cię po *huevos* poganiaczem bydła.

Court przygryzł dolną wargę, aby opanować drgawki.

– Jakies wieści o ciężarnej? – DLR spytał „Rzeźnika”.

– Nie. Coś mówił do drugiego Amerykanina po angielsku, ale nic nie zrozumiałem. Mnie na razie nie wyśpiewał nic wartościowego. Twarda sztuka.

Daniel spojrzął na Pflęgera, po czym zerknął na Carlosa.

Carlos mówił po angielsku, był też świadkiem rozmowy Amerykanów.

– Nic ciekawego nie mówił, *jefe*.

DLR po raz kolejny przyjrzał się Gray Manowi.

– Podziwiam bliznę na twoim barku. A na udzie dostrzegam starą ranę postrzałową – powiedział, po czym podszedł przyjrzeć się więźniowi. – Tak na oko to ma mniej niż rok – stwierdził, po czym czubkiem palców przychylił głowę Courta na lewo. – A to na szyi to jakies oparzenie. Starsze. Sprzed pięciu lat, nieprawdaż?

Gentry wciąż milczał.

– A te rany na rękach i twarzy? Te sińce na kłacie? Widzę, że ból nie jest ci obcy. Wiem już, że będziesz opierał się naszym próbom wydobycia informacji. – Westchnął, po czym kontynuował: – Nic to. Pamiętaj, że mamy też szwagiereczkę poszukiwaną. Doszły mnie słuchy, że zeszłej nocy uprawialiście seks. Czyżbyś zasmakował w naszej kulturze, *amigo*? Nasze kobiety potrafią być naprawdę gorące i namiętne, czyż nie? Cóż, jeśli ty nie puścisz pary z ust, to zabierzemy się za nią. Mamy pod ręką środki, które w kilka minut pozbawią ją wszelkiej namiętności. W godzinę zostanie z niej zombie. – De la Rocha się uśmiechnął. – Gdzie obecnie przebywa pani majorowa? – zapytał.

Court próbował wzruszyć ramionami. Wciąż milczał.

– Wiemy oczywiście, że próbowałeś pomóc jej przedostać się do Stanów Zjednoczonych.

Gentry nic nie odpowiedział.

– Ale ona nie opuści Meksyku – oznajmił przystojniak w czarnym garniturze, po czym zapytał: – Dlaczego ci na niej zależy? Przecież nie jesteś z nią nawet

spokrewniony. Masz jakąś rodzinę? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, gangster powiedział: – Uważam, że w życiu najważniejsza jest rodzina. Zgodzisz się ze mną?

Gentry próbował ze wszystkich sił opanować wściekłość. Starał się wytrzymać. W końcu syknął:

– Twoja rodzina zatęskni za tobą, jak wreszcie zdechniesz.

– Cha, cha! Urocze! Czyżbyś mi groził? W końcu raczyłeś przemówić i pierwsze, co wydobywa się z twoich ust, to groźba?! El Carnicerito!

– Sí, patrón.

– Strasznie tu zimno. Włącz kaloryfer z łaski swojej.

– Sí, patrón. – Grubas chwycił za pokrętło, tym razem nie wsuwając skórzanego portfela w usta ofiary.

Gentry stracił panowanie nad ciałem, które wpadło w konwulsje. W jego głowie została jedna myśl: pełna desperacji nadzieja, że uda mu się uciec przed bólem i znaleźć ukojenie. Serce waliło mu w piersi tak mocno, jak wówczas, gdy znajdował się w wodzie pod cielskiem krokodyla, szukając strzelby. Przypomniawszy sobie nadciągającą otwartą paszczę pełną potężnych zębisk...

Nagle „Rzeźnik” wyłączył maszynę.

Głowa Courta opadła na klatkę piersiową. Był wyczerpany. Spojrzał w dół i spostrzegł, że oddaje mimowolnie mocz. Wraz z nim z jego nagiego ciała spływały pot i krew. Odetchnął z ulgą, że wciąż nie odgryzł sobie języka.

Kiedy w końcu podniósł głowę, zobaczył, że przyprowadzono Laurę. Dłonie trzymała skute przed sobą, Czarny Garnitur popchnął ją do pomieszczenia i przekazał „Pająkowi”, po czym ruszył z powrotem po schodach.

Mimo cierpienia Court poczuł wstyd, że Laura była świadkiem jego poniżenia.

Miała na sobie niebieskie bawełniane spodnie dresowe i białą koszulkę na ramiączkach. Pod prawym okiem wykwitł siniak, wargi były spuchnięte. Choć stała w miejscu słabo oświetlonym, to Court dostrzegł jej posiniaczone pięści.

A więc walczyła. Dzielna dziewczyna.

– Prawie obszczałeś mi garnitur. Ciesz się, że ci się nie udało. Miałbym ci to za złe – mruknął mu do ucha DLR, po czym zwrócił się do mężczyzny trzymającego

Laure. – Dobra, „Pająk”... Niech nasza dama klęknie przed swoim *gringo*. Zaraz się przekonamy, jak silne łączy ich uczucie.

Mężczyzna posłusznie pchnął ją na posadzkę, półtora metra od Gentry’ego, a następnie wyciągnął pistolet powtarzalny kaliber .45 i podał go przełożonemu. Daniel de la Rocha wziął spluwę i wsunął lufę pod włosy Laury.

– Jeśli w tej chwili nie powiesz, gdzie moi ludzie znajdą Elenę, rozwalę tę śliczną główkę. Nie będę liczył do trzech. Nie będę groził, że ją zranię, po prostu ją zabiję tu i teraz. Chyba że powiesz, gdzie ukrywa się wdowa po majorze Gamboa!

– Nic nie mów! – krzyknęła Laura.

De la Rocha uderzył ją kolbą pistoletu w tył głowy. Laura upadła na brudną posadzkę. Po chwili z trudem podniosła się na kolana. Widać było, że kręci jej się w głowie.

Court spojrział na Daniela de la Rochę.

Wycedził:

– No dobra, dobra... Słuchaj uważnie.

De la Rocha odbezpieczył pistolet i przycisnął lufę do głowy dziewczyny.

– Słucham, *amigo*.

Court pokiwał głową, po czym prychnął:

– Możesz sobie zastrzelić tę sukę. W dupie ją mam!

De la Rocha rozchylił usta ze zdziwienia. Oniemiał na chwilę. W końcu zwrócił się do stojącego za nim „Pajaka”:

– Ale z niego zimny skurwysyn, prawda? Zupełnie jak ty. – Następnie zwrócił się ponownie do Gentry’ego: – Blefujesz. Bardzo dobrze blefujesz, ale ja i tak cię przejrzałem. Wiem, że ci na niej zależy. – Gangster się zamyślił. Nie spodziewał się takiej reakcji.

Gentry mruknął:

– Słuchaj, ja się na całe to gówno nie pisałem. Ten stary Amerykaniec Cullen zapłacił mi pięć tysiaków, żebym przez kilka dni opiekował się rodziną jego zmarłego kumpla. Dostałem dwa z góry, resztę miał mi dać po powrocie z Puerto Vallarty. Zapomniał tylko nadmienić, że jakiś jebany kartel będzie ich ścigać.

De la Rocha zmarszczył ciemne brwi. Myślał nad tym, co właśnie usłyszał.

– A więc jesteś ochroniarzem na wynajem? Gorylem?

– Byłem. Dziś postanowiłem odejść na emeryturę.

DLR przez chwilę naradzał się z „Pajakiem”. Court nie słyszał, co mówili. W końcu de la Rocha odwrócił się i pokręcił głową.

– Oj nie, *señor*. Nie wierzę ci. Pomysł na przykrywkę dobry, ale ludzie „Pajaka” donieśli, że najpierw wymknąłeś się z hacjendy, a następnie, ryzykując życie, wróciłeś, żeby uratować pozostałych członków rodziny majora. Mam duże doświadczenie z osiłkami na wynajem. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

Court już miał coś powiedzieć, ale Daniel nie zamierzał mu na to pozwolić. Nie przywykł, żeby mu przerywano.

– Wiesz co? Myślę, że może jednak na razie jej nie zabiję. Zamiast tego może każę moim najbardziej popieprzonym, najbardziej parszywym *sicarios* gwałcić jej *puta culo*, aż wyzionie ducha. Owszem, potrwa to dłużej, ale przynajmniej moi ludzie będą mieli rozrywkę. Albo może to El Carnicerito ją przeleci na twoich oczach.

Court zerknął na łysego grubasa w skórzanym fartuchu, który obleśnie się oblizał.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Emilio wyjął komórkę z kieszeni, spojrzął na wyświetlacz i podał ją szefowi. DLR wziął aparat do ręki, westchnął i otworzył klapkę.

– Halo, Nestor? Czy to sprawa niecierpiąca zwłoki? – Zamilkł na chwilę, po czym odparł: – *Está bien*.

Odsunął pistolet od głowy Laury i kopnął ją w głowę eleganckim włoskim mokasynem. Upadła na podłogę prosto w kałużę moczu, a on obrócił się i skierował ku schodom.

„Rzeźnik” naradzał się z „Pajakiem”. Court próbował spojrzeć w oczy Laurze, ona jednak nie odwróciła się do niego. Chciał jej wyjaśnić, że jedynym sposobem, aby mogła przeżyć, było udawanie, że mu na niej nie zależy. Nie był to najlepszy plan, ale nie miał innego. Musiał być oziębły. Udawać, że jej los jest mu obojętny.

Laura podniosła głowę i wreszcie spojrzała na Courta. W jej oczach dostrzegł zdezorientowanie, rozpacz, nawet zawód. Chyba nie zrozumiała, że powiedział to, aby ją uratować. Uwierzyła, że mu na niej nie zależy.

Court odwrócił wzrok od jej smutnych oczu i spojrzął na stojącego po drugiej stronie pomieszczenia barona narkotykowego. Do jego uszu dochodziły urywki

tego, co DLR syczał do telefonu, mówił bardzo szybko albo używał slangu nieznanego Gentry'emu. Udało mu się jednak co nieco wychwycić.

– Nie ma mowy – warczał do słuchawki de la Rocha. – Potrzebuję trochę czasu, żeby wydobyć z niego informacje... Tak, dwadzieścia cztery godziny... No dobra, niech go tu przysła, może rzucić na niego okiem, ale nie mogą go... Ale że zabić? Nie mam z tym problemu... Okej, ale ciało dostaną dopiero wtedy, kiedy my wydobędziemy z niego, co trzeba. Niech to będzie jasne!

W końcu DLR odłożył słuchawkę, po czym podszedł do „Pajaka” i przez chwilę się z nim naradzał. Court widział, że mieli drobną różnicę zdań, ale szybko doszli do porozumienia. Daniel odezwał się do więźniów:

– Nastąpiła drobna zmiana planów. Zaraz zjawi się ktoś, kto chce zidentyfikować tego *mierda*.

– Kto? – odezwał się Jerry.

– Jakiś *gringo* z CIA.

Usłyszawszy to, Pfleger wydał żaloszny jęk:

– CIA? Tutaj? Teraz?

De la Rocha pokiwał głową.

– Owszem. Chcą się upewnić, czy to ten *cabrón*, którego szukają. Jeśli się okaże, że tak, to zaraz *el hombre* z CIA pójdzie, a my będziemy mogli spokojnie wydobywać z tego *pinche gringo* potrzebne informacje – odparł, po czym zerknął na Courta. – Powiedzieli, że mamy go zabić, a potem podrzucić jego zasrany łeb gdzieś koło ambasady.

Spanikowany Pfleger wyskoczył z ciemnego kąta, w którym się ukrywał.

– Ale zaraz! Jeśli ten gość ma się tu zjawić, to ja muszę spierdalać! Nie możecie pozwolić, żeby mnie zobaczył! Za współpracę z wami grozi mi więzienie!

De la Rocha wzruszył ramionami. Miał gdzieś losy Jerry'ego Pflera. Odparł jednak:

– Upierałeś się, że chcesz przypilnować swojej nagrody. Sam się tu wprosiłeś. No dobra, niech ktoś da koledze coś do zakrycia twarzy.

Jeden z *federales* wyjął z kieszeni bojówek kominiarkę i rzucił ją Amerykaninowi, który pośpiesznie, lecz z trudem naciągnął ją na twarz. Kiedy w końcu udało mu się znaleźć dziury na oczy i umieścić je tak, że w miarę widział, spojrzał

z przestraczem na Gentry'ego. Zorientował się, że więzień może zdradzić szpiegowi jego tożsamość, a wówczas kominiarka mu nie pomoże. Drżącym głosem wymamrotał przez materiał:

– Panie de la Rocha, a co jeśli...

– Stul pysk! – Daniel skierował lufę pistoletu na Jerry'ego, który natychmiast zamilkł, podniósł ręce i powoli wycofał się pod ścianę. Następnie zwrócił się do Courta: – Ty to potrafisz narobić sobie wrogów, co nie? CIA wręcz błaga, żebym cię zabił.

– A co dostaniesz w zamian? – zapytał Gentry.

– Dostarczą nam informacje wywiadowcze od DEA na temat kontaktów kartelu Madrigala z władzami w Ameryce Południowej.

– No i kasę, prawda? Ja wciąż dostanę... – wtrącił się Jerry.

DLR znów wymierzył ze spluwy w Pflęgera.

– *Plata o plomo?*

– Forsa, jefe! Zdecydowanie *plata!* – wycofał się prędko.

De la Rocha kontynuował:

– Tak więc na razie się żegnam. Moi doradcy upierają się, że ma mnie tu nie być, kiedy przyjedzie *hombre de la CIA*. Ta mała *puta* pojedzie ze mną. Pan szpieg tu przyjdzie, zidentyfikuje cię i grzecznie się pożegna. Następną dobę spędzisz w towarzystwie „Rzeźnika”, który postara się wyciągnąć z ciebie wszystko, co wiesz o pani majorowej. Ja natomiast mam mnóstwo czasu, żeby dowiedzieć się od słodkiej panienki, co wie o swojej bratowej.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

Przerwał ją DLR:

– Ciekawe, kto z nas będzie się lepiej bawił?

„Pająk” chwycił Laurę za włosy i brutalnie zmusił do wstania. Krzyknęła z bólu. Ruszając w stronę drzwi, DLR obrócił się jeszcze do Gentry'ego i rzucił:

– Bardzo dużo mnie kosztowałeś. Teraz za to wszystko zapłacisz. – Wszedł na klatkę schodową i zawołał: – El Carnicerito! Bądź tak dobry i zlituj się nad nieszczęsnym Jerrym! Potorturuj naszego więźnia tak brutalnie, żeby kolega Pflęger zaniemówił z przerażenia i nie zdradził się przed gościem z CIA.

– *Sí, jefe* – odparł grubas, po czym włączył urządzenie do elektrowstrząsów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Czarne Garnitury przyjechały po agenta CIA w okolice parku Chapultepec. Zgodnie z umową miał czerwony krawat i czekał na schodach Narodowego Muzeum Antropologicznego. Był przy kości. Jego blond włosy sięgały za kołnierzyk. Przy odrobinie wysiłku udawało się jednak wypatrzeć podbródek wśród fałd tłuszczu na szyi. Kiedy podjechało auto Czarnych Garniturów, właśnie skończył kupiony w budce przed muzeum rożek lodów, zdążył nawet wytrzeć lepkie dłonie. Przed kilkoma laty był umięśnionym agentem, ale ostatnio przestał dbać o siebie. Jego obecna fucha nie wymaga sprawności fizycznej.

Szary van zatrzymał się tuż przy nim, rozsunęły się drzwi i facet z CIA wgramolił się do środka.

Gdy auto ruszyło na południe w stronę Paseo de la Reforma, czterech mężczyzn sprawdziło jego teczkę, nałożyło mu worek na głowę i dokładnie przeszukało. Wysłannicy DLR wyciągnęli portfel z kieszeni popelinowych spodni, podnieśli białą koszulę w poszukiwaniu podsłuchu.

Szpieg doskonale wiedział, że gdyby szef kartelu postanowił, że trzeba go zabić, to zapewne zginąłby. Mimo że miał zakryte oczy, zorientował się, kiedy samochód skręcił w lewo, wiedział jednak, że wkrótce straci orientację w terenie.

To nie była jego pierwsza wizyta w tym mieście, ale nie znał zbyt dobrze okolicy. Całą drogę przesiedział między pilnującymi go gorylami. Już tyle razy jeździł z workiem na głowie w towarzystwie uzbrojonych oprychów, że stracił rachubę. W Bejrucie, Kosowie, Tajlandii, Somalii i tysiącach zasranych dziur na tej przeklętej planecie. Tyle że zazwyczaj w takich sytuacjach był wrzucany jak tobołek do bagażnika i wieziony w tajemne miejsce, żeby pogadać z jakimś kontaktem operacyjnym. Teraz było inaczej. To, że właśnie on, a nie inny żaloszny nieszczęśnik z agencji, znajdował się akurat w Meksyku, zawdzięczał posiadaniu czegoś, czym mogło się poszczycić niewielu jego kolegów po fachu.

Chodzi o umiejętność zidentyfikowania równo w sekundę Courtlanda Gentry'ego, kryptonim Profanator, znanego również jako Sierra Sześć, a ostatnio Gray Man.

Dlaczegoż miałyby go nie rozpoznać? W końcu pracowali razem przez pięć lat.

* * *

Tęgi pracownik CIA ostatnie dwa dni spędził w Puerto Vallarcie, czekając na wieści od lokalnych agentów. Podejrzał, że sprowadzono już na miejsce grupę bojową Sekcji Operacji Specjalnych, wiedział jednak, że zgodnie z procedurami nie będą mieli ze sobą kontaktu. Poleciał więc do ambasady w stolicy. Tam miały do niego spływać informacje o poszukiwanym przez Langley byłym agencie CIA.

Ambasada była wręcz wytapetowana zdjęciami faceta, który podczas strzelaniny w Puerto Vallarcie zjechał po kablach telefonicznych. Na podstawie tych fotografii trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy to na pewno Profanator, ale korpulentny szpieg przyznał, że to w jego stylu.

Doskonale wiedział, że w każdej bójce najbardziej opłacało się postawić na Courtlanda Gentry'ego. Czy chodziło o walkę, czy o wejście przez zamknięte drzwi i wyeliminowanie złych, czy o akcję małego tajnego oddziału przeciwko liczniejszym siłom wroga Sierra Sześć był najlepszy. Korpulentny szpieg uznał więc, że tajemniczy *gringo* z nagrania to właśnie Court, który z jakiegoś powodu prowadzi walkę z miejscowymi *narcos*.

„Jeśli to prawda, to niech Bóg ma ich w swojej opiece” – pomyślał.

CIA połączyła też dodatkowe fakty. Gentry znał dowódcę oddziału GOPES, który zginął w wybuchu na jachcie. Wiadomo było, że Eduardo Gamboa wiele lat pracował w DEA, odnotowano też, że ponad dziesięć lat temu Gamboa i Profanator siedzieli w jednej celi w laotańskim więzieniu.

Nie były to mocne przesłanki, okazały się jednak wystarczające, aby Langley zadzwoniło do niego, wyciągnęło z ciepłego wyrka, wsadziło do agencyjnego samolotu i wysłało do Meksyku, by tam czekał na możliwość zidentyfikowania celu. Dlatego teraz podskakiwał na wertepach w szarym vanie pełnym zbirów Daniela de la Rochy. Dobrze wiedział, że Czarne Garnitury to banda parszywych skurwysynów. Tak się jednak złożyło, że właśnie twierdzili, iż dorwali Profanatora albo przynajmniej kogoś do niego podobnego i więżą go w stolicy. Wiedział, że

mieli forsy jak lodu, więc nie chodziło im o kasę. Musiało chodzić o jakieś *quid pro quo*, ale do szczegółów nie miał dostępu. Nie podobało mu się, że Langley postanowiło współpracować z gangiem, zdawał sobie jednak sprawę, że Denny Carmichael, obecny dyrektor do spraw operacyjnych CIA, na samą myśl o Profanatorze dostawał białej gorączki, więc tylko Bóg mógł wiedzieć, co był w stanie zrobić dla DLR za oddanie Courta.

Były współpracownik Gentry'ego się zamyślił.

„Court. Profanator. Sierra Sześć. Gray Man...”.

Dla niego jednak był to przede wszystkim ten dupek, który zrujnował mu życie.

Samochód się zatrzymał. Amerykanin myślał, że dotarli na miejsce, ale po chwili znowu ruszyli i skręcili tak ostro w prawo, że aż upadł na pilnujących go zbirów.

Jeśli przewidywania agencji się sprawdzą i okaże się, że mają Profanatora, będzie mieć wreszcie sposobność wylać wszystkie swoje żale.

Otrzymał szczegółowe rozkazy. Owszem, jego głównym zadaniem było zidentyfikowanie Profanatora, ale to nie było wszystko.

Kazano mu, żeby – o ile Los Trajes Negros na to pozwolą – poczekał i zobaczył, jak Courtland Gentry umiera.

* * *

Były takie chwile, że Court tęsknił za elektrowstrząsami. W końcu aż dwa razy podczas dziesięciominutowych sesji z „Rzeźnikiem” i jego zabawką strzeliły korki. Staremu ustrojstwu wysiadały bezpieczniki, które co prawda od razu wymieniano, ale okazało się, że Gentry był wyjątkowo mocny. El Carnicerito jeszcze nie widział, żeby ktoś tyle wytrzymał. Postanowił więc darować sobie prąd i pobawić się nową zabawką. Poganiaczem bydła.

Najpierw przyłożył dwa ostre kolce do zakrwawionego torsu Gentry'ego. Porażenie było mocniejsze i bardziej bolesne niż dłuższe tortury maszyną do elektrowstrząsów. Nowy sprzęt ukłuł go i poparzył. Było to okropne, ale nie umywało się do długiego cierpienia wywołanego prądem biegnącym od kraty. Potem jednak „Rzeźnik” zaczął przykładac poganiacz w bardziej wrażliwe na ból rejony ciała Gentry'ego, skupiając się, rzecz jasna, na jego genitaliach. Aż dwa razy poraził go prosto w to miejsce, ale za pierwszym razem źle przycisnął kolce, więc

zabawka tylko zawibrowała. Za drugim podejściem zrobił to już dokładnie, mocno przyłożył końcówki do gonad więźnia i wcisnął guzik. Court zwymiotował prawie na dwa metry. Piątka zgromadzonych Meksykanów aż skręcała się ze śmiechu.

Gringo szybko zemdłał, *ocucono* go jednak, by nie przegapił najlepszych momentów dalszych tortur.

Jerry Pflieger stał z boku, opierając się o ścianę. Już dawno przestał oglądać ten okrutny spektakl. Od dłuższego czasu gapił się na zagrzybione cegły. Cały się trząsał. Wmawiał sobie, że było tu zimno jak w psiarni, ale on drżał przede wszystkim ze strachu.

Zaczynał wątpić, czy nagroda miliona dolców była tego warta. Spojrzał przez ramię. Zobaczył, że kat podszedł do stojącego na ziemi wiadra i wyciągnął z niego żelazny pręt. Pflieger się skrzywił, po czym wrócił do oglądania cegieł. Słyszał, jak oprawca szepce do więźnia, przygotowując kolejne narzędzie tortur:

– Och, *amigo*... Tyle już wycierpiałeś... Możesz jednak przerwać te cierpienia, jeśli tylko powiesz, gdzie znajdziemy panią majorową.

Z długiego pręta kapał czarny smar. „Rzeźnik” trzymał go w górze, niczym mroczne trofeum.

Głowa Courta zwisała prawie bezwładnie, zdołał jednak spojrzeć na nowe narzędzie. Pflieger się odwrócił i ujrzał, jak mięśnie więźnia spinają się ze strachu.

Zdawał sobie sprawę, gdzie to się miało znaleźć.

Winda znów ruszyła i zaczęła zjeżdżać na dół.

Pręt powędrował z powrotem do wiadra, ale kat obwieścił Gentry’emu:

– Nie przejmuj się, zaraz wrócimy do naszych igraszek. Masz chwilę, aby przemyśleć sprawę.

Drzwi windy się otworzyły. Dwóch *federales* wprowadziło do pomieszczenia okazałego mężczyznę w lekkim tropikalnym garniturze. Na głowie miał worek, ale jego ręce nie były związane. Na środku pokoju ściągnięto mu worek. Skrzywił się porażony nagłym światłem, po czym się rozejrzał. Spojrzał na więźnia, który był nagi, zakrwawiony i mokry. Łańcuchami przykuto go do przytwierdzonego do ściany metalowego ogrodzenia. Do prętów doczepiono kable, które biegły do akumulatora.

Blondyn rozglądał się przez chwilę w milczeniu. Zmierzył wzrokiem pozostałych i wciągnął powietrze. Poczul woń torturowanego ciała. Przez kilka

sekund patrzył beznamiętnie, jak gdyby takie miejsca nie robiły na nim wrażenia.

W końcu się odezwał. Mówił spokojnie jak ktoś, kto czuje się w takich okolicznościach jak ryba w wodzie.

– Ojej! Widzę, że zaczęliście beze mnie! – powiedział po hiszpańsku.

* * *

Court wiedział, że czeka go wizyta starego znajomego z agencji. Spodziewał się, że przyjdzie mu spotkać się z Zackiem Hightowerem, byłym dowódcą Bandy Zbirów.

To jednak nie był Zack. To był Hanley. Matthew Hanley.

Gentry nie widział go od ponad pięciu lat, a i wtedy rzadko się spotykali. Hanley był szefem Sekcji Operacji Specjalnych, zarządzał jego dawnym oddziałem Golf Sierra w Langley, ale głównie przysyłał polecenia przez dowódcę oddziału operacyjnego Zacka Hightowera, który przekazywał rozkazy pozostałym.

Court widział się ostatnio z Zackiem na wiosnę. Od niego się dowiedział, że Hanleya wyrzucono z Sekcji Operacji Specjalnych i skazano na pracę za biurkiem w jakimś kraju rozwijającym się. A upadek jego kariery podobno nastąpił z winy Gentry'ego.

A teraz, w tajnej sali tortur kartelu narkotykowego gdzieś w stolicy Meksyku znów przyszło im się spotkać.

Hanley zwrócił się do grubasa stojącego przy stole na kółkach.

– Ty tu rządzisz?

– Owszem. Można rzec, że to mój gabinet – odparł z dumą łysy.

Hanley pokiwał tylko głową i podszedł do Gentry'ego.

– Obawiam się, że muszę pana prosić o niedotykanie więźnia – odezwał się jeden ze stojących z tyłu Czarnych Garniturów. Dwaj *federales* zrobili już nawet krok do przodu, ale cofnęli się, widząc potakiwanie Hanleya.

Korpulentny Amerykanin trzymał ręce przy sobie, ale podszedł jeszcze bliżej. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

Court wyglądał na zbyt pokiereszowanego, żeby rozmawiać. Miał spuchnięte oczy. Na jego zakrwawionych wargach zalegały resztki wymiocin. Hanley

w pierwszej chwili pomyślał, że więzień stracił przytomność.

W końcu jednak Court się odezwał. Szeptał, ale na tyle wyraźnie, że każdy mówiący po angielsku mógł go usłyszeć i zrozumieć.

– Zrób ze mną, co chcesz, Matt, ale chyba powinieneś wiedzieć, że ten wysoki w kącie to kapuś z naszego Departamentu Stanu, który dorabia u Czarnych Garniturów.

Matt Hanley odwrócił się i spojrział na stojącego w kącie mężczyznę. W czarnej kominiarce, piaskowych spodniach i białej pomiętej koszuli z krótkimi rękawami Pfleger wyglądał kuriozalnie. Zwłaszcza że trzech inni zamaskowani faceci w tym pomieszczeniu byli uzbrojeni po zęby i ubrani od stóp do głów w stroje szturmowe. Pracownik ambasady ani się nie poruszył, ani nie odezwał, tylko przerażony wytrzeszczył oczy. Hanley wzruszył ramionami.

– A co mnie to obchodzi?

Court odezwał się znowu, choć wypowiadał słowa z trudem targany drgawkami:

– On... On prowadzi siatkę przestępczą... Sprzedaje na lewo wizy.

Hanley spojrział na więźnia.

– Czyżby? – mruknął, po czym odwrócił się do Pflera i zapytał: – Jak interesy?

– Yyy... Ale ja... Ja wcale nie... Ja po prostu...

– Patrz na mnie, kiedy do mnie mówisz! – Hanley wrzasnął tubalnie z charakterystycznym akcentem z Wirginii Zachodniej. Jego słowa rozbrzmiały echem po betonowym lochu.

– Yyyy... tak jest.

– I natychmiast ściągnij tę debilną skarpetę z kaczego łba!

Pfleger spojrział błagalnym wzrokiem na Carlosa, licząc, że ten go wesprze, następnie na obu policjantów, „Rzeźnika”, w końcu na jego młodego pomagiera w skórzanym fartuchu. Nikt jednak nie zamierzał stanąć w jego obronie. Jerry powoli zdjął kominiarkę i wetknął ją do kieszeni.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto pracuje dla inspektora generalnego? – zapytał Hanley.

Jerry nieznacznie pokręcił głową:

– Nie, psze pana.

– No właśnie. Spokojnie, nie pracuję w Departamencie Stanu i nie zamierzam zawracać sobie głowy jakimś gówniarzem – powiedział, po czym spojrzał na Gentry’ego. – Interesują mnie tylko grube ryby.

Jerry odetchnął z ulgą.

– A więc to rzeczywiście ten koleś, którego szukacie?

– To on – potwierdził Hanley.

– Super. I jest za niego nagroda?

– Owszem.

– Ale czad – powiedział Pfleger. – A co on takiego zrobił?

Hanley spojrzał prosto w oczy więźnia. Przyglądał się mu uważnie z bliska.

– Co on takiego zrobił? No, co ty właściwie takiego zrobiłeś, Profanatorze?

– Tylko wypełniałem rozkazy. Twoje.

– A kiedy odpierdoliłeś samowolkę?

Pierwszy raz od przybycia Matta Court podniósł głowę, jak gdyby gniew dodał mu sił.

– Nigdy, przenigdy nie odpierdoliłem samowolki. Wykonywałem rozkazy Zacka co do joty. Zawsze! A potem wydałeś chłopakom rozkaz, żeby mnie zabili!

– Cóż, stare dzieje.

– No to co ty tu robisz?

Hanley się uśmiechnął. Następnie cofnął się i rozejrzał po pomieszczeniu. Spojrzał na narzędzia kata na stoliku i odezwał się po hiszpańsku:

– Urocze. Prymitywne, ale urocze.

– Prymitywne? Co pan przez to rozumie? Przecież to najlepsze...

– Nie unoś się, grubasku. Takimi rzeczami bawiliśmy się w latach osiemdziesiątych. – Następnie Hanley spojrzał na Courta i przeszedł na angielski.

– Pamiętam, jak podobną zabawką potraktowałem grupkę koleśków Noriegi w Panamie podczas operacji „W słusznej sprawie”.

– Czy mógłbym? – zapytał po hiszpańsku, sięgając po pokrętko.

„Rzeźnik” uśmiechnął się półgębkiem.

– Oczywiście. Uprzedzam jednak, że to twarda sztuka. Ten *gringo*... pardon, ten *Norteamericano* przepalił dwa bezpieczniki.

Hanley spojrział na Courta i przekręcił pokrętło, posyłając falę prądu elektrycznego przez ciało swojego byłego podwładnego. Gentry miotał się w konwulsjach. Napinał się każdy mięsień, ścięgna zuchwy prześwitywały przez skórę niczym napięte struny gitary.

Matt wyłączył sprzęt i zachichotał.

– To mi się nigdy nie znudzi – powiedział, po czym zwrócił się do łysego: – Trochę słaba ta maszyna, co nie?

– Akumulator się wyczerpał. Ten facet prawie go zniszczył.

– Cóż, rzeczywiście twarda sztuka.

Do Hanleya podszedł Carlos, człowiek „Pajaka”, i odezwał się po angielsku:

– No dobra. Teraz, kiedy pan wie, że mamy tego, kogo szukacie, zawiozę pana z powrotem do parku. Zgodnie z umową po wszystkim podrzucimy zwłoki niedaleko ambasady.

Hanley pokiwał głową.

– Czy on naprawdę wie coś, czego bardzo chcecie się dowiedzieć, czy to wszystko tylko heheszki?

Carlos nie zrozumiał tego ostatniego.

– Yyy... hehe co?

– Chodzi mi o więźnia. Zależy wam, żeby wydobyć z niego jakieś informacje?

Carlos pokiwał głową.

Hanley dostrzegł stojące na ziemi wiadro, z którego wystawał metalowy pręt.

– Rozumiem. Znosi się na sceny bardzo... intymne...

Popatrzył na rozłożone na blacie narzędzia chirurgiczne, na półkę z pojemnikami, więzami, taśmą izolacyjną i gadżetami tego typu. Następnie przyjrzał się zgromadzonym.

Wszyscy milczeli.

– Chciałbym zostać podczas przesłuchania.

Carlos pokręcił głową.

– To niemożliwe. Nie wiemy, ile czasu to zajmie.

– Straszna szkoda – odparł. Następnie zwrócił się do Courta: – Ej, dupku zbolały! Pobudka! Czy ty sobie w ogóle zdajesz sprawę, ile bólu mi przysporzyłeś?

Court wciąż miał spuszczoną głowę. Uśmiechnął się:

– Słyszę to nie pierwszy raz.

– Zapowiadało się, że będę miał świetlaną przyszłość. Cały świat stał przede mną otworem.

– I co się stało?

– I to się stało, że pewnego dnia powiedziano mi, że jeden z moich kochanych osiłków wszystko spierdolił. Że było to, kurwa, spierdolenie, które mogło poważnie zaszkodzić Stanom Zjednoczonym. A już mieliśmy wszystko dogadane z pewnym ważnym dla nas narodem. Wszystkie świstki podpisane! A tu nagle taki blamaż... Ale okazało się, że jeszcze nie wszystko stracone. Że potencjalny sojusznik był skłonny wybaczyć tę wpadkę, pod warunkiem że weźmiemy sprawy w swoje ręce i pozbędziemy się winowajcy. – Hanley westchnął: – No i wtedy dostaję rozkaz z góry, że Gentry musi kopnąć w kalendarz. No i co, kurwa, miałem robić? Wysłałem Zacka z chłopakami, żeby złożyli ci wizytę pożegnalną. Podle się z tym czułem, ale rozkaz to rozkaz. No i zaraz dostaję wiadomość, że wybiłeś w pień cały oddział.

– Wyobraź sobie, że doskonale znam tę historię.

– No i od tamtej pory wszystko poszło w pizdu. Ze świetlanej kariery nici. I co teraz? Teraz mam pięćdziesiąt jeden lat i haruję jako zastępca szefa centrali na jebanym Haiti. Nawet nie wysłali mnie na wcześniejszą emeryturę, tylko oddelegowali na zasraną ciemną stronę Księżyca. Nienawidzę tego pieprzonego gorąca. Tych chorób, tego robactwa, tych huraganów, burz i prochów. Nienawidzę, do kurwy nędzy, wszystkiego w moim zasranym życiu! A to wszystko twoja wina! Bo nie mogłeś być grzeczny i, kurwa, zginąć jak żołnierz! – Matt się nakręcał. Perorował coraz głośniej, aż z tłustych warg tryskały krople śliny: – Ty jebany, zasrany kutasie! Zatrueś mi, do kurwy nędzy, życie!

Carlos podszedł do niego:

– Wystarczy! Auto już na pana czeka.

Hanley spojrział na niego, jakby na chwilę zapomniał, że ktoś jeszcze jest w pomieszczeniu. Podniósł ręce i odparł:

– Dobra. *Lo siento, amigo...* – Następnie obrócił się plecami do Gentry'ego i rzucił:

– Chciałbym, jebany skurwysynie, zostać i patrzeć, jak zdychasz, ale na mnie już czas. – Już miał ruszyć do wyjścia, ale raz jeszcze odezwał się do więźnia: – Na

pożegnanie, zostawię cię z powiedzonkiem, którego nauczyłem się od moich przodków w kraju ojców... – Spojrzał Gentry'emu prosto w oczy i powiedział powoli: – *Tolko zakroj rot i dierzi jewo za szej*.

Court zmarszczył spocone brwi.

Matt mówił po rosyjsku. To dziwne. Gentry doskonale wiedział, że rodzina Matta Hanleya pochodziła ze Szkocji.

Były agent ruszył ku windzie. Minął policjantów. Gdy przechodził obok stołu z arsenałem tortur „Rzeźnika”, wyciągnął lewą rękę i sięgnął po długi, cienki skalpel.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Carlos stał zwrócony w stronę windy, *federales* natomiast szykowali się do założenia Hanleyowi worka na głowę.

Stal chirurgiczna błysnęła, odbijając światło żarówki. Hanley wbił ostrze skalpela w szyję stojącego przed nim ochroniarza, przecinając tętnicę szyjną. Krew trysnęła prawie poziomo. Mężczyzna dotknął rany, Hanley natomiast obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni w stronę policjantów. Chwycił obu mniejszych od siebie mężczyzn za kamizelki i pchnął z całej siły w stronę wiszącego na żeliwnej kratce Courta. Ci się tego nie spodziewali: polecili do przodu i wpadli na metalowe pręty po obu stronach Gentry'ego. Choć Court był przypięty do żelastwa nadgarstkami, Matt rzucił nimi tak, że udało mu się ich złapać: jednego za kołnierz, drugiego za pasek karabinu.

Hanley odepchnął „Rzeźnika”, a następnie włączył na maksimum maszynę do elektrowstrząsów. Gentry zdążył chwycić jednego *federale* za szyję. Natychmiast wstrząsnął nimi prąd. Drugi próbował uciec, ale Gentry nie puszczał paska karabinu. Tamten potknął się i uderzył w kratę. Przez jego centralny układ nerwowy popłynął prąd. Jego ciało drżało w konwulsjach. Hanley wyłączył elektrowstrząsy.

Na twarz pomagiera „Rzeźnika” trysnęła krew z tętnicy Czarnego Garnituru, więc odwrócił się, aby wytrzeć oczy. Sięgnął pod fartuch po broń. Hanley to zauważył, chwycił chłopaka za ręce, przycisnął do zakrwawionej ściany i wyciągnął mu z drżącej dłoni mały argentyński pistolet kaliber .380. Obrócił lufę, przycisnął ją do czoła pomagiera i pociągnął za spust. Następnie dwukrotnie strzelił do El Carnicerito, który upadł na zimną posadzkę, chwytając się za krwawiący brzuch.

Hanley wyłączył światło i odwrócił się w stronę kraty. Dwóch *federales* leżało nieprzytomnych na podłodze. Stał nad nimi, po czym strzelił każdemu w głowę.

Jerry Pflieger padł na kolana w kącie pomieszczenia. Plecami opierał się o ścianę przy martwym asystencie „Rzeźnika”. Przepocona, niegdyś biała koszula teraz była upstrzona plamami krwi i wyglądała jak własnoręcznie barwiona hipisowska tunika. Jego twarz była śmiertelnie blada. Prędko mrugał. Patrzył przerażony na Hanleya.

Meksykanie leżeli na ziemi w nienaturalnie wykrzywionych pozach. „Rzeźnik” miał fartuch na twarzy. Żył, ale krwawił obficie.

W pomieszczeniu byłoby ciemno, gdyby nie słabe światło z klatki schodowej. Matthew Hanley uklęknął na ziemi koło Gentry’ego i zdjął pistolet maszynowy z szyi jednego z *federales*. Przeładował broń pociągnięciem wajchy, po czym wymierzył lufę w schody.

– Ilu ich jest? – zapytał. W skupieniu przygotowywał się na kolejne zagrożenie.

Gentry był ledwo przytomny. Ostatnia dawka prądu prawie go zabiła. Mimo to udało mu się wydusić:

– Nie wiem. Kilku, może kilkunastu.

– Dobra.

Usłyszeli odgłos kilku par stóp zbiegających po schodach.

Hanley czekał. Court wciąż był przywiązany do kraty. Mógł tylko być bezwolnym obserwatorem.

Do pomieszczenia wbiegło kilku funkcjonariuszy. Matt Hanley najpierw strzelał im w nogi, żeby się przewrócili, a potem w twarz czy szyję, celując nad kamizelką kuloodporną. Padło dwóch, potem trzeci. Czwarty oberwał w gardło, potknął się o próg i wylądował na środku piwnicy. Upuścił broń, która potoczyła się po betonie i wpadła na kolana Jerry’ego Pfliegera. Kiedy pracownik konsularny zorientował się, co to takiego, wybałuszył oczy i natychmiast zrzucił ją, jak gdyby strącał z kolan grzechotnika. Broń upadła, a on kopnął ją i podniósł ręce.

Nie zamierzał mieć nic wspólnego z tą spluwą. Chciał, żeby wszyscy tu obecni to zrozumieli. Nie zamierzał walczyć. Nie chciał dać Hanleyowi powodu, żeby go zastrzelił.

Hanley chwycił broń i wszedł na klatkę schodową.

Nie widział ani nie słyszał nikogo. Wrócił do sali tortur i włączył światło. „Rzeźnik” jęknął. Trzymał się za krwawiący brzuch. Patrzył na uzbrojonego Amerykanina wzrokiem pełnym przerażenia i dezorientacji.

– Potrzebny ci jeszcze? – Hanley spytał Gentry’ego, wskazując tłustego kata lufą MP5.

– Ani trochę. – Gentry pokręcił głową.

Hanley bez wahania wystrzelił trzy kulki w klatkę piersiową łysego oprawcy. Jęki ustały.

Po kilku sekundach ciszy Court szepnął:

– Dzięki, Matt.

Hanley załadował broń nowym magazynkiem.

– Chuj ci w dupę, Profanatorze – mruknął. – Nie pałam do ciebie wiele cieplejszym uczuciem niż do tych kutasów.

– Spoko.

Zaczął uwalniać Gentry’ego

– Ale cieszę się, że zdołałeś nie odgryźć sobie ozora. Bałem się, że zapomniałeś rosyjskiego.

– Kazałeś mi zamknąć mordę i chwycić koleśki za gardło.

– Dokładniej za szyję.

Hanley uwolnił ręce Courta i zabrał się do oswobodzenia nóg. Gentry poleciał do przodu, po czym podniósł się na kolana i usiadł na zimnej posadzce. Mięśnie go bolały. Nie był w stanie opanować drgawek. Prawa noga się trzęsła, więc musiał ją przytrzymać i przycisnąć do podłogi.

Matt zaczął ściągać buty i spodnie z martwego policjanta. Przerwał na chwilę, sięgnął po zabraną pomocnikowi kata bersę 380 i popchnął do Courta. Następnie kiwnął na Jerry’ego Pflęgera, który wciąż siedział w kącie, trzęsąc się ze strachu.

– Tego pacana ci zostawiłem. Jak chcesz, to go zabij, mam to gdzieś.

– Powstrzymam się, jest mi potrzebny.

W oczach Pflęgera pojawiła się nadzieja. Zaczął szaleńczo kiwać głową.

– To prawda, to prawda, panie kolego! Jestem ci potrzebny!

– Ale nie do tańca.

– Jak to do tańca? Co przez to, do kur...

Court wziął pistolet od byłego szefa i postrzelił Jerry’ego Pflęgera w lewą stopę, dziurawiąc brązowy mokasyn. Ten przez kilka sekund gapił się w krwawy but,

zanim zaczął krzyczeć.

Hanley się skrzywił, słysząc jego pisk, i rzucił Gentry'emu parę czarnych bojówek.

– Czy to naprawdę było konieczne?

Court wciąż ciężko dyszał. Leżał na plecach na zimnej posadzce i odpoczywał.

– Nie chcę, żeby mi uciekł. Naprawdę nie chce mi się go teraz gonić.

Jerry krzyczał z bólu. Z ust tryskała mu flegma na zmianę ze strumieniem przekleństw.

– Do kurwy nędzy, zabiję cię, ty chory, jebany skurwy...

Gentry podszedł do niego na czworakach, stukając trzymanym pistoletem o posadzkę. Usiadł, po czym przyłożył lufę do prawej dłoni Pfliegera i przycisnął ją do betonu.

– W sumie nie potrzebuję, żebyś mi coś napisał...

– Nie!

Court się zawahał.

– Będziesz już grzeczny? – zapytał.

– Nie! To znaczy tak! Tak! Będę grzeczniusieńki!

– No dobra. Zatamuj krwawienie. Do wesela się zagoi – mruknął Gentry, powoli wstając na trzęsących się nogach. Podszedł do szafki, z której wyjął ręcznik i rolkę grubej taśmy izolacyjnej. Rzucił je wijącemu się na podłodze mężczyźnie, który musiał się po nie podciągnąć na łokciach, krzycząc, płacząc i przeklinając.

Court włożył bojówki na nagie ciało. Wciąż targały nim drgawki i miał zawroty głowy. Hanley ściągnął koszulkę polo ze strażnika i mu ją podał.

Po chwili wspinali się po schodach.

Udało im się dostać na górę. Była godzina dwudziesta, nie natknęli się na nikogo poza kilkoma psami oddzielonymi od nich długim płotem. Court doskonale wiedział, że DLR już dawno odjechał z Laurą. Wzdłuż ściany stał rząd beczek z kwasem. Na wierzchu unosiły się ludzkie włosy – tylko to pozostało po poprzednich gościach tego przybytku.

Court kuśtykał z Pfliegerem. Wydostali się na ulicę, gdzie Hanley włamał się do samochodu. Udało mu się uruchomić silnik. Po kilku minutach odjechali fordem kombi. Hanley prowadził – Court nie był w stanie, wciąż drżały mu mięśnie.

Pfleger leżał w bagażniku z rękami na plecach owiniętymi taśmą. Zbliżali się do ruchliwego skrzyżowania. Matt przyglądał się drogowskazom i nazwom ulic.

– Dobra – powiedział. – Wiem, gdzie jesteśmy. W Tepito. Parszywa dzielnica, ale w miarę niedaleko do cywilizacji.

– Dokąd zmierzamy?

– Zaraz znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będzie można spokojnie pogadać. Potem ty weźmiesz auto, a ja złapię taksówkę do ambasady. Ludzie DLR zaraz się zorientują w sytuacji. Może już wiedzą. Naprawdę nie chcesz zbyt długo zabawić w stolicy.

Jazda upłynęła im w ciszy przerywanej co jakiś czas przytłumionymi jękami dochodzącymi z bagażnika. Gentry starał się zapanować nad mięśniami. Ręce i nogi miał jak z waty. Bolały go mięśnie brzucha, ale najbardziej piekły poparzone plecy i szyja. Miał też poparzone pośladki, nadgarstki i kostki. Włożył to, co dostał od Matta, przykrótkie spodnie i za małą koszulkę poplamioną krwią przy kołnierzyku. Stopy pozostały bose.

Był uzbrojony w pistolet bersa thunder kaliber .380, wyposażony w świeży magazynek znaleziony w kieszeni martwego pomocnika kata. Nie była to broń potężna, ale przynajmniej mała i łatwa do ukrycia. Umysł Courta walczył o odzyskanie panowania nad ciałem i równocześnie starał się opracować jakiś plan. Jedno było pewne, nie mógł się rzucać w oczy. A paradowanie po mieście z potężnymi pistoletami MP5 czy nawet z berettami *federales* nie zapewniało dyskrecji. Bersa była łatwa do schowania.

Hanley wziął berettę na wypadek, gdyby natknęli się na *narcos* lub jakichś tutejszych rzezimieszków. Ku zdziwieniu Courta zatrzymał się przed niewielkim sklepem spożywczym przy República de Ecuador i bez słowa wyskoczył z samochodu. Wrócił po chwili z butelką tequili. Następnie włączył się do ruchu, umieścił butelkę między nogami, zdjął zakrętkę i pociągnął haust. Potem podał ją Gentry'emu.

– Dzięki, ale nie.

– Strzel se banię. To uśmierzy skurcze.

Court wziął butelkę i napił się niechętnie. Skrzywił się, po czym wziął jeszcze większy łyk. Oddał butelkę Hanleyowi.

– Gdybyś jeszcze kupił sześciopak Tecate, to byśmy mieli fajną bibkę.

Matt ponownie napił się tequili, zaśmiał się i pociągnął kolejny łyk.

– E tam. Gorzała działa lepiej. Nie mamy czasu na piwko, Profanatorze.

Skręcił z głównej drogi i wjechał w alejkę za budowę. Znalazł zjazd prowadzący na kryty parking pod niedokończonym hotelem. Wskoczył zza kierownicy, przesunął dwie zagradzające trasę pomarańczowe beczki i wjechał do ciemnego garażu.

Zaparkował, Gentry otworzył bagażnik, żeby Jerry łyknął świeżego powietrza. Uchyłili drzwi, aby lampka dawała trochę światła. Pfleger leżał na plecach z podniesioną stopą. Z przerażeniem spoglądał na amerykańskich szpiegów patrzących na niego z góry w półmroku.

– Błagam, nie zabijajcie mnie. Przysięgam, zrobię wszystko, co...

Hanley ponownie napił się tequili.

– Przestań gadać, bo jak nie, to zamknę bagażnik.

Jerry zamilkł.

Hanley chwycił Courta za ramię i poprowadził w głąb parkingu podziemnego oświetlanego poświatą z forda. Stali przez jakiś czas. Court napił się jeszcze tequili w nadziei, że uspokoi drżenie mięśni.

Oddał butelkę Mattowi. Postawny blondyn wziął kolejny łyk, po czym spytał:

– Wyjaśnisz, do kurwy nędzy, jak wpakowałeś się w wojnę z *narcos* w Meksyku?

– Cóż, w sumie przypadkiem...

– Nie było to najmądrzejsze z twojej strony. Masz przesrane. Gorzej niż w Kolumbii. Widziałeś kiedyś coś równie pojebanego?

– Cóż... W sumie tak...

Hanley spojrzał na Gentry'ego i pokiwał głową.

– Zdaje się, że pracowałeś w Bośni...

– Pewnie tak... – mruknął Court, poniekąd przyznając mu rację.

Hanley nie drażył tematu. Nie wiedział wiele o historii Courta w CIA, zanim poznali się w Bandzie Zbirów. Nie musiał i nie chciał jej poznać.

– Langley twierdzi, że znałeś majora Gamboa z GOPES-u.

– Tak. Dawno, dawno temu.

– A teraz DLR szuka jego rodziny.

Court pokiwał głową.

– W tej sprawie tu jestem.

– Naprawdę chciałbym ci jakoś pomóc. Niestety, mówiąc oficjalnie, mój pracodawca ma gdzieś rodzinę Gamboa. Ciebie nie ma w dupie, ale tylko dlatego, że chce cię zabić.

– To dlaczego mi pomogłeś?

Matt wzruszył ramionami.

– Cóż... Owszem, skurwiłeś mi żywot, ale dzięki temu jest tak skurwiony, że już niewiele mogą mi zrobić.

Court nie wiedział, co Hanley ma na myśli. Jego były szef dostrzegł to, więc zaczął tłumaczyć.

– Owszem, spierdoliłeś mi karierę. Ale w Bandzie Zbirów pracowałeś dobrze, wręcz świetnie. Nic dziwnego, że kiedy wysłaliśmy po ciebie ludzi, to się broniłeś. To ci muszę przyznać. Poza tym nie mogłem beczynnym patrzeć, jak pierdolone oprychy z kartelu Daniela de la Rochy zarzynają cię na moich oczach. Wiem, że jesteś dla grubych ryb w Langley *persona non grata*, ale wyobraź sobie, że nie wybrałem tego zawodu po to, żeby oglądać, jak meksykańscy baronowie narkotykowi mordują amerykańskich patriotów.

Gentry pokiwał głową i oparł się plecami o chłodny beton.

– Wiesz, że nie pierwszy raz Denny mnie wysłał, żebym cię zidentyfikował? – zapytał Matt.

– Serio?

– To było kilka lat temu. Pracowałem wtedy w Paragwaju – zaśmiał się. – Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak mi tam było dobrze. Pierdolone Haiti... Nawet, młody, nie masz pojęcia, jak tam jest parszywie.

– Nie wiem, czy mamy czas na wspominki.

– W każdym razie ktoś odpierdolił niezłą manianę w Kijowie. Carmichael szybko mnie wsadził do samolotu z Asunción do Kijowa. Chcieli, żebym stwierdził, czy to twoja sprawka, jak gdyby to mogło być dzieło jednej osoby. Obaj wiemy, że to nie mogłeś być ty.

Gentry pokiwał tylko głową. Doskonale wiedział, że jego rozmówca usiłował wyczytać z jego twarzy jakąkolwiek reakcję na to ostatnie zdanie. Twarz Gray

Mana wciąż drżała od wielokrotnego rażenia prądem. W tym stanie był niewiarygodny.

Hanley się poddał.

– Tak czy inaczej, przynajmniej przeleciałem się do Europy za pieniądze amerykańskich podatników.

Gentry wciąż nic nie mówił.

– Ty to zawsze byłeś milczek – uśmiechnął się Matt. – Ten, który zawsze najwięcej robił, a najmniej pieprzył. Co innego Hightower... On to był pyskacz.

– Wiesz, co u Zacka?

– Co u Zacka? Jaja sobie robisz? Przecież nie żyje. Wszyscy nie żyją.

– Jacy wszyscy?

– Cała Banda Zbirów. Zabiłeś ich, młody. Dwa magazynki z derringera prosto w klatkę piersiową Zacka Hightowera, aż fiknął przez okno. Zginął na miejscu.

„Hanley rzeczywiście nie jest w temacie” – pomyślał Court.

Doskonale wiedział, że Zack przeżył tamtą strzelaninę. Siedem miesięcy temu znów działali razem na misji w Sudanie. Pod koniec operacji Zack został ciężko ranny i Gentry nie był pewien, czy udało mu się wyjść cało. Zorientował się jednak, że sam wie znacznie więcej o losach ich dawnego oddziału niż Matt.

Przedziwne, Gray Man, ścigany przez CIA listem gończym, z nakazem strzelania do niego bez ostrzeżenia, był bardziej wtajemniczony niż Matthew Hanley, do niedawna cudowne dziecko Sekcji Operacji Specjalnych.

– Wiesz, kto odpowiada za nakaz strzelania do mnie?

Hanley spojrzął na flaszkę tequili, jakby chciał oszacować, ile wypił.

– Ja się dowiedziałem od Denny’ego Carmichaela. Powiedział, że trzeba cię sprzątnąć.

– Ale dlaczego?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Serio.

– Gówny prawda.

– Carmichael wie. Inni w dowództwie też. Mnie powiedziano tylko, że jesteś teraz naszym wrogiem i że mam wykonać rozkaz. Pokazali mi nawet podpisaną zgodę prezydenta z uzasadnieniem. Było w tym coś o działaniach państw trzecich, a w zasadzie jednego. Zapytałem Denny’ego, o co właściwie chodzi. Powiedział, że

ludzie na szczycie się dogadali, że nie mam uprawnień, aby to wiedzieć, żebym po prostu zamknął ryj i zrobił, co trzeba. Odparłem, że jeśli chcą mieć pewność, że cię zabili, to muszą spuścić ci na głowę jakąś bombę, ale on się uparł, żeby nasz oddział się tobą zajął. Przekazałem rozkaz Zackowi, on reszcie i teraz wszyscy gryzą piach. – Hanley pociągnął potężny łyk przejrzystej cieczy, aż się wzdrygnął. Zaśmiał się, po czym dodał: – Ale ja ci tego nie mówiłem! – Następnie zachichotał i mruknął: – Cóż, teraz to mnie wyleją.

Court spojrział na byłego przełożonego z niedowierzaniem.

– Matt... Przecież wiesz, że za to, co odwaliłeś w tej piwnicy, to nie tylko mogą cię wylać z roboty?

– Myślisz, że trafię do więzienia? Albo że zapuka do mnie oddział wesołych chłopaczków jak do ciebie? E tam! Jakoś mi się uda wyłgać. Wyobraź sobie, że mam doświadczenie w pierdoleniu krewnym, znajomym, a przede wszystkim współpracownikom! – Hanley mówił to z uśmiechem, ale Court widział, że się boi. – Poza tym zabicie tych *carteleros* było tego warte.

– Matt... Za uratowanie mi życia Langley cię wyeliminuje.

Hanley wzruszył ramionami:

– Wcale nie, ale trzeba będzie się postarać, żeby im to jakoś sprzedać. Z tej zasranej piwnicy wydostałeś się sam. Wziąłeś mnie jako zakładnika, następnie pobiliś i zostawiłeś na skraju szosy, a sam uciekłeś z tym fagasem z ambasady. – Zamyślił się, po czym dodał: – Ale trzeba będzie naprawdę dobrze to zaaranżować. Podbij mi oczy. I złam zebro.

Court pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Masz lepszy pomysł? – prychnął Hanley.

– Sam mówiłeś, że musi to wyglądać przekonująco.

Hanley westchnął ciężko. Spodziewał się takiej odpowiedzi. Wziął trzy szybkie łyki tequili, po czym podszedł do ściany garażu podziemnego. Rzucił pustą butelką, która roztrzaskała się w ciemności. Następnie wskazał na swoje ramię.

– No dobra, Profanator! Strzelaj tutaj!

Court wyciągnął z kieszeni bersę thunder. Zrobił kilka kroków do tyłu, po czym podniósł broń. Hanley patrzył na niego ze zmrużonymi oczami, czekając na ból i cierpienie.

– Błagam cię, młody, traf tam, gdzie trzeba.

Court spuścił wzrok z muszki i spojrzął mu prosto w oczy.

– Bardzo mi przykro – powiedział.

– Za co?

Nieznacznie opuścił lufę.

– Nie!

Court strzelił Hanleyowi w brzuch. Matthew dotknął miejsca po prawej stronie. Grubymi palcami poczuł ciepłą krew.

– Na miłość boską, Court... – jęknął. Potężny mężczyzna padł na kolana, a potem na wznak.

Court strzelił raz jeszcze, tym razem trafiając Hanleya od tyłu w prawe ramię.

– Jezu! – wrzasnął Jerry Pflieger. Usiadł w bagażniku, skąd miał doskonały widok na to, co działo się pod ścianą. Court odwrócił się do niego i podbiegł do auta z podniesioną bronią. Pflieger położył się z powrotem w bagażniku. Gentry zamknął go tam, po czym wrócił do wijącego się na betonie mężczyzny. Hanley leżał już na plecach. Próbował odsunąć się od Gray Mana, ale nie dał rady.

– Wiesz przecież, że nikt nie łyknałby podręcznikowego strzału w ramię. Nie ode mnie – wyjaśnił, klękając nad byłym przełożonym.

– Ja bym ich przekonał, chuju głupi! Wyłgałbym się!

– Oj, nie becz! Przez ramię kulka przeszła pięknie, a kulka w brzuchu zagnieździła się w wałku tłuszczu. Jak można w dzisiejszych czasach tyć na Haiti?

– Wykrwawię się na śmierć!

– Wcale nie. Posłuchaj, teraz nikt w Langley nie będzie cię podejrzewać o pomaganie mi. Nie po tym, jak oberwałeś ode mnie trzy razy.

Hanley otworzył z przerażenia oczy:

– Jak to trzy razy?

Court wstał i znów podniósł broń. Tym razem strzelił Hanleyowi w lewe udo.

– Kurwa zajebana! – wrzasnął tamten, przewrócił się na bok i chwycił za nogę.

– Słuchaj, Matt. Naprawdę robię ci przysługę. Carmichael wie, że nie mam w zwyczaju jedynie walić po mordzie tych, którzy usiłują mnie zabić. Spokojnie, ominąłem narządy i tętnice, wykaraskasz się. Na pewno jesteś w lepszej sytuacji, niż byłbyś, gdyby Denny się skapnął, że byliśmy w zмовie. Uciskaj bandzioch. Nie przejmuj się nogą i ramieniem. Wiem, że nic ci nie pogruchołałem.

– Łatwo ci mówić, kurwa! Profanatorze zasrany! Przecież dupę ci z troków śmierci ocaliłem!

– A ja tobie! Dobra, Matt... Na mnie już czas.

– Tak po prostu? Przecież ja, kurwa, wykrwawiam się tu na śmierć!

– Gdzie tam! Pomyśl tylko, jakim teraz będziesz bohaterem w Langley! Przeżyłeś strzelaninę z Gray Manem! Przecież to szpan!

– Szpan-sram, pierdolony skurwy...

Court pochylił się nad nim i pogłaskał po czuprynie.

– Jeszcze mi podziękujesz, przysięgam. Na mnie czas. Jeszcze raz dziękuję. – Wyjął z kieszeni komórkę Jerry'ego i sprawdził, czy ma zasięg. – Okej... Dwie kreski. Zadzwoń do ambasady – rzucił Hanleyowi telefon, po czym ruszył do samochodu i wyjechał z parkingu podziemnego.

Hanley leżał w ciemności, trzymając się za brzuch i ramię, i co sił w płucach wrzasnął:

– Pierdolony Profanator!

Okrzyk odbił się echem po pustym garażu.

Następnie zdjął dłoń z ramienia i zakrwawionymi palcami zaczął wystukiwać numer telefonu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Tuż po dwudziestej pierwszej Daniel de la Rocha siedział na sofie w salonie swojego domu w Cuernavaca, mieście leżącym jakieś czterdzieści pięć minut jazdy od stolicy. Na jego kolanach i obok siedziały dzieci, a u stóp na podłodze żona. Rodzina oglądała na ekranie olbrzymiego telewizora plazmowego mecz dwóch najlepszych drużyn piłkarskich w kraju, Chivas de Guadalajara oraz Cruz Azul.

Nagle ku irytacji DLR w kieszeni jego czarnych spodni dresowych rozległ się dzwonek telefonu komórkowego. A przecież polecił swoim ludziom, aby pod żadnym pozorem nie zwracali mu głowy dziś wieczorem.

Jego żona też zwróciła na to uwagę i spojrzała gniewnie na męża.

– Obiecywałeś, że nikt nam dzisiaj...

Daniel spojrzał na ekran.

– Przepraszam, *mi amor*, ale to Nestor. To musi być coś ważnego.

– Prosiłam o jeden spokojny wieczór w gronie rodziny...

Dziewięcioletnia Gabriella, najstarsza córka, uciszyła rodziców. Ich rozmowa przeszkadzała jej w oglądaniu meczu.

Odebrał.

– Słuchaj, Daniel... Amerykanin nam uciekł. Zabił Carlosa, El Carnicerito, do tego sześciu czy siedmiu *federales*. Potem postrzelił tego gościa z CIA i uciekł z Pfliegerem. Wygląda na to, że jeden z nich jest ranny. Wokół budynku były ślady krwi...

– Czekaj, Nestor... – Daniel wstał tak gwałtownie, że dziewięciomiesięczny syn prawie spadł z jego kolan. De la Rocha przytrzymał malucha, a następnie podał żonie, po czym w skarpetkach pobiegł do gabinetu i zamknął drzwi. – Chcesz mi powiedzieć, że ten *chingado gringo*, którego widziałem ledwo żywego w mordowni

w Tepito, przyczepionego jak kawał mięsa do kraty, znajdującego się w obstawie dwunastu uzbrojonych facetów, zdołał jakimś cudem uciec?

– *Sí, patrón.* Właśnie badam sprawę. Sprzed domu Pfliegera zniknęło jego auto. Zakładam, że to nim odjechali. Wszyscy moi ludzie w stolicy szukają...

– Co tu się, kurwa, dzieje? Sam się przecież nie mógł uwolnić. Ktoś musiał mu pomóc.

– Być może.

– Nie być może, tylko na pewno to Madrigal mu pomógł! To musieli być Los Vaqueros!

– Sprawdzę to, *patrón.*

– W tej chwili skontaktuj się z CIA i powiedz im, że Vaqueros postrzelili ich kolesia!

– Tego jeszcze nie wiemy, Daniel.

– Ja to wiem! Wiem, że za tym stoi Constantino Madrigal!

Calvo westchnął do słuchawki.

– Zbadam wszystkie poszlaki i sprawdzę, czy mamy do czynienia z siatką Madrigala.

– Przynajmniej wiemy, dokąd się udać. Do Tijuany!

– Ale Jerry Pflieger nie przygotował wiz dla rodziny Gamboa.

– A jeśli on jednak z nimi współpracuje? Może jednak je wystawił, tylko ci o tym nie wspomniał?

– Prawda, don Daniel – odparł niechętnie Calvo. – Skupimy siły na granicy i wszystkich prowadzących tam autostradach.

– Doskonale. A ty zajmij się Madrigalem, Nestor. Zrozumiałeś?

– *Sí, mi patrón.*

De la Rocha się rozłączył, po czym przycisnął guzik na biurku.

– Emilio? Przygotuj samochody. Wyjeżdżamy natychmiast.

Następnie skierował się do salonu. Jego żona stała już wyczekująco w drzwiach.

– Co to ma być?

– Praca. Zawsze tylko praca, *mi amor.*

– Znowu wyjeżdżasz?

Daniel pokiwał twierdząco głową.

– *Sí*. Przykro mi, ale muszę.

* * *

Court siedział w Iglesia de Nuestra Señora del Pilar w tej samej ławce, co dzień wcześniej. Tym razem jednak Laury nie było obok. Patrzył na ołtarz, krucyfiks, świece. Czuł woń kadzidła i wosku.

Myślał o niej.

Jerry Pflieger leżał związany w bagażniku swojego auta. Spędzili dwie godziny, porzucając forda, łapiąc taksówkę do Zona Rosa, gdzie znajdowało się mieszkanie Pfliegera, skąd wzięli ubrania, równowartość dwudziestu pięciu tysięcy dolarów w pesos, które Court dał Jerry'emu jako zaliczkę za wizy, zapasową komórkę i kilka innych przydatnych przedmiotów.

Wszystko to spakowali do auta Jerry'ego. Court przyczepił taśmą worek z lodem do stopy pracownika ambasady, żeby zmniejszyć opuchliznę. Pflieger jednak tak bardzo kuśtykał, że Gentry był zmuszony cały czas go podtrzymywać.

Court zamierzał udać się na północny wschód autostradą numer osiemdziesiąt pięć, jednak najpierw zjechał do kościoła. Z operacyjnego punktu widzenia był to ruch niepotrzebny, wręcz niebezpieczny, choć wątpił, by Czarne Garnitury kręciły się wokół ulicy Donceles.

Sam nie bardzo wiedział, dlaczego tu przyjechał i co właściwie chciał zrobić. Zależało mu jednak, żeby znaleźć się w tym miejscu, posiedzieć, pomyśleć – choćby tylko kilka minut.

Myślał o Loricie. Zastanawiał się, co się z nią dzieje, co jest zmuszona znosić. Był ciekawy, co o nim myśli.

Wciąż czuł ból mięśni, ale przynajmniej drgawki ustały. Miał poparzone i poranione kostki i nadgarstki, ale wiedział, że się z tego wykaraska. Z kolei rany na klatce piersiowej piekły. Przydałoby się coś z nimi zrobić, stwierdził jednak, że skoro są na tyle płytkie, że nie grozi mu utrata krwi, to może wykorzystać to na swoją korzyść. Pomoże mu się skupić, a przede wszystkim nie zasnąć w ciągu najbliższych kilku godzin. Potem... Potem pomyśli o jakimś lekarstwie.

Zdołał opracować coś w rodzaju planu. Na razie miał jego szkic, ale przynajmniej zajmował jego umysł. W takich sytuacjach Gentry wolał działać, niż

siedzieć i mieć nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży.

Znów pomyślał o Loricie. Czy był w niej zakochany?

Potem pomyślał o Eddiem, Elenie i ich dziecku, o tym, ile jego kumpel po sobie pozostawił. I zastanawiał się, czy on też potrafi kochać.

Rozejrzał się po świątyni. Było tu tylko kilkoro wiernych. Przyjrzał się im i zastanowił, czy oni potrafią kochać. Stwierdził, że jest inny niż oni. Nikt go nie uczył kochać. Uczono go nienawidzić.

A teraz był gotowy zabijać. Powoli wstał i wyszedł z ławki. Nie modlił się. Nie przeżegnał. Nie uklęknął przed ołtarzem. Spojrzał jednak na krucyfiks i zanim wyszedł, szepnął kilka słów. Ale to nie była modlitwa, to było żądanie. Żądanie wyszeptane groźnym tonem przez kogoś, kto jeszcze wczoraj tłumaczył Laurze, że nie ma pojęcia, jak się modlić.

– Ona ci ufa. Jest twoją owieczką. Musisz jej pomóc. Opiekować się nią. Sam nie dam rady.

* * *

Po krótkim postoju w kościele Gray Man skupił się na planie. Pojechał na lotnisko międzynarodowe Benito Juárez. Kilka minut przed dotarciem na miejsce kazał Pflegerowi zadzwonić z kupionej po drodze komórki i zamówić na swoje nazwisko auto w wypożyczalni Herz przy lotnisku.

Zaparkowali samochód Jerry'ego na długoterminowym parkingu i odebrali auto, którym przejechali w inną część lotniska. Tam zamówili taksówkę i wrócili do miasta, do dzielnicy Reforma, skąd pojechali autobusem miejskim na plac Zócalo. Stamtąd z trudem – Court wciąż musiał podtrzymywać Jerry'ego – przeczłapali dwie długie przecznice od placu, gdzie znaleźli niestrzeżony parking przy jakimś hotelu, z którego Gentry ukradł forda mustanga.

O świcie, kwadrans przed trzecią opuścili stolicę i ruszyli w stronę Pachuca, miasta położonego jakieś półtorej godziny jazdy. Tam porzucili mustanga, przeczekali na ławce w parku do szóstej rano, poszli na dworzec autobusowy i wsiedli do pierwszego porannego autokaru jadącego na północ Juárez. Mieli wyjść gdzieś po drodze i do Tijuany dojechać liniami regionalnymi.

Dwadzieścia cztery godziny w drodze.

Kiedy już siedzieli na końcu autobusu, Jerry się odezwał. Po raz pierwszy z jego ust wydobyło się coś, co nie było jękiem czy przekleństwem:

– Dlaczego to wszystko robiliśmy?

– Co wszystko?

– Od pół doby skaczemy z pojazdu do pojazdu. Słuchaj, stary... Noga mnie strasznie boli. Potrzebuję lekarza.

– Gubiliśmy trop. Nie ma szans, żeby Czarne Garnitury nas teraz znalazły. Jestem pewien, że pierwsze, co zrobią, to poszukają twojego auta. Znajdą je na lotnisku. Dojdą do wniosku, że chcieliśmy ich zmylić, by pomyśleli, że wsiedliśmy do jakiegoś samolotu, ale wyczają, że przecież wynająłeś samochód, który znajdą z drugiej strony lotniska. Wtedy mogą uznać, że może jednak wylecieliśmy z Meksyku. Jeśli są sprytni, to na wszelki wypadek sprawdzą taksówki i odkryją, że i tu próbowaliśmy wyprowadzić ich w pole. A jeśli są naprawdę dobrzy i dopisze im szczęście, to może się zorientują, że mustang skradziony kilka kilometrów od miejsca, gdzie podjechaliśmy taksówką, to nasza sprawka, ale w to akurat wątpię.

Pfleger pomasował spuchniętą łydkę. Krzywił się z bólu.

– A nawet gdyby to im się udało – ciągnął Gentry – to żeby prześledzić trasę mustanga do Pachuca, musieliby być lepiej zorganizowani niż FBI. Założmy, że go tam znajdą, ale na dworcu nie było monitoringu i płaciliśmy gotówką, więc będą w ciemnej dupie.

– Ale chyba się domyślam, że jedziemy do Tijuany?

– Jasne – odparł, jakby to było oczywiste. – Kiedy dojedziemy, oni już tam będą sprawdzać przejście graniczne i przygotowywać się do ukatrupienia nas.

– Super – mruknął Pfleger. – A nawet jeśli oni nas nie zarzną, to po wszystkim ty i tak mnie zabijesz.

– Nie, jeśli będziesz mnie słuchał.

– Gówno prawda. Widziałem, co zrobiłeś temu kołesiowi z CIA, a on przecież ocalił ci dupę. Zamordowałeś go, do kurwy nędzy, z zimną krwią!

Court wzruszył ramionami i uśmiechnął się nieznacznie:

– To była wyższa konieczność.

– Jasne. Za parę dni to samo powiesz o mnie.

– Tylko jeśli będziesz próbował zrobić coś głupiego. – Gentry wyciągnął z kieszeni dwie trytytki kupione w stolicy. Zrobił z nich dwuogniowy łańcuch: jedną opaskę okręcił wokół swojej lewej ręki, drugą założył na prawą rękę Jerry'ego. Zacisnął prowizoryczne kajdanki. Wziął leżący na siedzeniu obok koc i przykrył nim siebie i Jerry'ego. Wyglądali, jak mężczyźni trzymający się za ręce. Siedząca niedaleko staruszka dostrzegła to, wzięła za publiczne okazywanie uczucia i mlasnęła językiem zgorszona.

– Skoro wiemy, że oni będą czekać na granicy, aż rodzina majora tam się pojawi, po co tam jedziemy?

– Pozwól, Jerry, że ci wyjaśnię. Jedziemy na granicę. Konkretnie do Tijuany. Kiedy tam dotrzemy, Elena, Luz i Diego przejdą do Stanów. I ty to załatwisz po stronie meksykańskiej. Potem posiedzimy sobie w pokoju hotelowym, gapiąc się na siebie do czasu, aż Elena zadzwoni, że są już na terenie USA. Jeśli się ze mną nie skontaktuje, to będzie znaczyło, że nie udało się im przedostać, Jerry, to ty zginiesz powolną i bolesną śmiercią w tymże pokoju. Masz jedno podejście, żeby załatwić im bezpieczny transfer przez granicę, więc radzę ci, żebyś już zaczął opracowywać plan.

Zaczął kręcić głową, jeszcze zanim Court skończył.

– Nigdy nie ma się pewności, że komuś się uda. Owszem, gdybyśmy mieli te papiery, to byłaby praktycznie pewna sprawa. Ale tak na wariata jest za dużo zmiennych. Wciąż powtarzam ludziom, by liczyli się z tym, że to zajmie ze dwa, trzy podejścia.

– Ale oni nie mają dwóch lub trzech podejść. Jeśli ich złapią i zostaną aresztowani po tej stronie, to de la Rocha ich dorwie i ślad po nich zaginie. Masz jedno podejście.

– Tłumaczę ci przecież, że nie jestem w stanie niczego obiecać!

Court wzruszył ramionami. Zamknął oczy i oparł głowę na podglówku. Podciągnął koc aż do ramion i mruknął:

– W takim razie, Jerry, szykuj się na śmierć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Diego Gamboa Fuentes siedział na ławce w parku, niecałe trzysta metrów od przejścia granicznego między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi. Lustrował wzrokiem wszystkich przechodniów powyżej dziesiątego roku życia. Bał się, że zostanie zauważony przez wrogów. Był pewien, że czają się w pobliżu.

Trzeci dzień koczował w tym miejscu. Za każdym razem był coraz bardziej przekonany, że Jose i *tía* Laura jednak po niego nie przyjdą, a wszyscy spacerowicze tak naprawdę pracują dla Czarnych Garniturów. Temperatura wynosiła jedynie dwadzieścia jeden stopni Celsjusza, jednak ostrzyżona prawie na łyso głowa Diega była mokra od potu. Wielkie okulary przeciwsłoneczne osłaniały podkrążone oczy.

I on, i jego *tía* Elena, i *abuela* poszli za radą Joego i postarali się w miarę możliwości zmienić swój wygląd. Babcia i ciotka zostały w hotelu, kilka kilometrów na południe od parku. Ukrywały się tam, bo były przekonane, że Czarne Garnitury depczą im po piętach.

Dzień wcześniej uśmiechnęło się do nich szczęście. Członkowie tutejszego kartelu zorientowali się, że w ich rewirze pojawili się obcy. Uznali, że to ich rywale mieli chęć zrobić im konkurencję, więc zareagowali w jedyny znany im sposób: otworzyli do nich ogień. Cudem nie ucierpieli cywile, ale liczba strzelanin na ulicach Tijuany wzrosła, jako że tutejszy kartel wysłał więcej *guerreros*, by przegonili konkurentów z ich terenu.

Diego i jego rodzina słyszeli strzały, jednak o przyczynie starć ulicznych dowiedzieli się dopiero z wieczornych wiadomości. Mieli nadzieję, że tym samym miejscowi *narcos* nieświadomie zapewnią im ochronę i utrudnią Los Trajes Negros pobyt na północy kraju.

Diego nie chciał tego dnia pójść do parku na umówione spotkanie o trzeciej po południu. Nie spodziewał się spotkać ani ciotki, ani *gringo*, wolałby nie ruszać się z hotelu. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie sam będzie musiał

skontaktować się z miejscowym przemytnikiem ludzi i spróbować przejść z babcią i ciotką przez granicę, jednak wolał poczekać z tym kilka dni. Zostało im niewiele pieniędzy, nikogo tu nie znali i byli przerażeni, że Czarne Garnitury ich wywęszą.

Wiedział, że przekroczenie granicy nie będzie łatwe.

Nagle koło jego ławki przeszedł jakiś mężczyzna. Diego zauważył go dopiero wtedy, gdy mężczyzna znalazł się tuż przy nim. Miał włosy ostrzyżone na jeża, czapkę z daszkiem, gęste, elegancko przystrzyżone wąsiki i kozią bródkę, na nosie okulary lustrzanki. Był ubrany w bawełnianą koszulę z długimi rękawami i workowate dżinsy – zwykły strój roboczy, a nie bardziej szpanerski ubiór typowy dla *carteleros*. Kiedy jednak zwolnił przy nim, chłopak skamieniał ze strachu.

– Idź za mną – szepnął do niego po hiszpańsku mężczyzna.

Diego rozpoznał ten akcent. Ten głos. To był Joe. Ich Amerykanin!

Wyglądał zupełnie inaczej! Diego się zawahał. Mężczyzna przeszedł przez park, usiadł na vespie i odwrócił się do niego. Dopiero wtedy chłopak ostrożnie wstał z ławki. Zastanawiał się, jak mógł wcześniej nie zauważyć skutera i mężczyzny. Zupełnie jakby się przed nim zmaterializował.

Kiedy Diego podszedł do vespy, Joe włączył silnik i dał mu znak, żeby usiadł za nim. Odjechali, nie zamieniając ani słowa.

* * *

Court zwrócił skuter do wypożyczalni, z której odebrał go wczesnym popołudniem Jerry, i wraz z Diego pojechał taksówką do hotelu, w którym ukrywały się Luz i Elena. Wygląd Amerykanina zrobił na obu kobietach ogromne wrażenie. Stwierdziły, że brakowało mu tylko szpanerskiego garnituru, a można by go wziąć za członka Los Trajes Negros.

One też próbowały zmienić wygląd. Luz ufarbowała włosy na rudo. Nie wyglądały naturalnie, ale nie dziwiło to u kobiety w jej wieku. Elena miała na sobie białą sukienkę w kwiatki i włosy do ramion. Włożyła wielkie okulary przeciwsłoneczne i buty na obcasach.

Nie dało się jednak ukryć, że była w ciąży. Court docenił wysiłek, który włożyła w próbę zmiany wyglądu, jednak wątpił, aby wysłani przez Czarne Garnitury zabójcy nie zwrócili uwagi na ciężarną tylko dlatego, że ma krótsze włosy niż na zdjęciu.

Zamówioną taksówką podjechali pod supermarket, a tam przesiedli się do kolejnej, którą udali się na południe na przystanek autobusowy. Kiedy auto odjechało, Gentry poprowadził ich sto metrów wzdłuż głównej ulicy, skąd skręcili w lewo w wąską alejkę i w końcu dotarli do odrażającego motelu na godziny.

Przed wejściem kręciły się cherlawe prostytutki. Gentry minął je i poprowadził rodzinę majora na tyły budynku. Weszli na piętro. Court przekręcił klucz i otworzył drzwi do pokoju bez okien.

W środku było ciemno. Gentry nie pozwolił im odzywać się podczas podróży, więc gdy wreszcie zamknęły się za nimi drzwi, Elena zapytała:

– Dlaczego tu jesteśmy?

W odpowiedzi Court włączył światło. Pośrodku pokoju stało pojedyncze łóżko z nieobleczoną kołdrą, na której leżał plecak. Ruchem głowy wskazał im, by zajrzeli do łazienki.

Jerry był przywiązany kablem telefonicznym oraz taśmą izolacyjną do rur w małej zapuszczonej łazience. Opierał głowę o brudną muszlę klozetową, a ranną stopę o brzeg pokrytej pleśnią wanny.

– Co tak długo? – zapytał Gentry’ego.

Court zwrócił się do rodziny majora:

– Znaleźli nas.

– Gdzie Laura? – odezwała się Elena.

Court westchnął i odpowiedział po hiszpańsku, aby Luz i Diego też zrozumieli:

– Jest w rękach Czarnych Garniturów.

Luz się rozplakała, usiadła na łóżku i zaczęła zawodzić.

– Jak to? – Elena też była bliska płaczu.

– Możecie podziękować temu kutasowi. – Wskazał na Jerry’ego.

Elena spojrzała na Pflęgera, który odwrócił wzrok i zaczął intensywnie przyglądać się brudnemu linoleum.

– To co... Co my teraz zrobimy? – Chciał wiedzieć Diego.

– Przerzucimy was do Stanów. A potem wrócę i uwolnię Laurę.

– Nie! Nie wyjadę bez niej! – zawołała Elena.

– A właśnie że wyjedziesz. Żeby ją uwolnić, potrzebuję, abyście byli bezpieczni poza krajem.

– Ale jak ją uwolnisz? – zapytał Diego.

Court usiadł na łóżku obok Luz.

– Zmuszę de la Rochę, żeby to zrobił. Zacznę mu naprawdę uprzykrzać życie i nie przestanę, aż nie wypuści Laury. A kiedy tak się stanie... To zwiejemy.

– Nie zabijesz go? – zdziwił się Diego.

– Moim jedynym celem jest ocalenie Lority.

– Ale de la Rocha zabił mojego Eduarda – powiedziała Elena.

– Wiem. I uwierz mi, chciałbym go pomścić, ale wątpię, żeby mi się to udało. Zamierzam skupić się na uwolnieniu Laury.

Elena długo przyglądała się Courtowi. Na początku nie wiedział, o co jej chodzi, ale powoli zrozumiał, że musiał w jakiś sposób zdradzić się ze swoimi uczuciami do Laury. Odwrócił się, a ona podeszła do niego, chwyciła jego dłonie i ścisnęła je mocno. Court uciekł wzrokiem najpierw na ścianę, a następnie na drżącego przy kiblu Pfliegera.

Usłyszał, że wdowa po jego kumplu pociąga nosem. Wiedziała już, że teraz to dla niego sprawa osobista. Rozszyfrowała jego słowa i czyny.

Musiała się w końcu zorientować, że Court czuje się nieswojo, więc odwróciła się bez słowa i usiadła przy teściowej. Kobiety przytuliły się mocno. Obie płakały. Luz spojrzała na Amerykanina, którego prawdziwego imienia nawet nie знаła.

– Dziękuję, Joe – szepnęła. – Dziękuję ci z całego serca.

– Jeszcze nie ma za co – odparł po hiszpańsku.

* * *

Jerry spędził dwudziestoczwierogodziną podróż autobusem i cały kolejny poranek w Tijuanie na opracowywaniu planu przedostania rodziny majora Gamboa do Stanów. Nie był jeszcze gotowy, kiedy Amerykanin zabrał Pfliegera do wypożyczalni skuterów, a następnie przywiązał w toalecie i zostawił tam na kilka godzin.

Jebany skurwysyn.

Poprzedniego wieczora, jeszcze w autobusie, Jerry'emu udało się skontaktować ze znajomym kryminalistą z Tijuany, aby dał mu namiar na doświadczonego *coyote*. Od niego z kolei dowiedział się, że właśnie załatwia przeprowadzenie

blisko czterdziestoosobowej grupy przemytników ziola do Stanów w okolicach Tecate. Miało to się odbyć wieczorem dwa dni później. Jerry uzgodnił, że jego ludzie mogą do nich dołączyć pod warunkiem, że na czas „wycieczki” przyczepią sobie kilka paczek marihuany. Dostał dokładne dane dotyczące pory i miejsca zbiórki. Następnie zadzwonił do kumpla w Nogales, który wisiał mu przysługę. Otrzymał od niego informacje o punkcie zlokalizowanym na miejscowym placu. Tam z kolei dostał cynk, że jest trasa, którą cały czas szmugluje się ludzi pomiędzy Nogales a Arizoną. Cały poranek w Tijuanie spędził, dzwoniąc do kogo trzeba. W końcu, kiedy przyjechała rodzina majora, a on został uwolniony z brudnej łazienki, wykonał kilka telefonów do Nogales i Tucson po drugiej stronie granicy. Obiecywał swoim rozmówcom gruszki na wierzbie.

Wiedział, że kłamstwa, które naopowiadał w ciągu ostatniej doby, wcześniej czy później sprawią, że wiele osób będzie chciało skrócić go o głowę. Jego plan zakładał wystawienie do wiatru kilku parszywych, mściwych i niebezpiecznych osobników w północnym Meksyku, którzy nie zawahają się go zabić. Znali jego imię i nazwisko, wiedzieli, z kim się zadawał i gdzie pracował. Jerry zdawał sobie sprawę, że już nie wróci do dawnych interesów.

W tej chwili bardziej niż typów spod ciemnej gwiazdy bał się *gringo*. Typami postanowił się martwić dopiero wtedy, gdy uda mu się przeżyć.

Na razie miał zadanie do wykonania.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Wczesnym rankiem Court, Jerry, Luz, Elena i Diego wyjechali kradzionym fordem lobo do Nogales, gdzie dotarli jeszcze przed południem. Tam wynajęli pokój w niewiele lepszym motelu niż ten w Tijuanie.

Całe popołudnie spędzili na czekaniu, jedzeniu i rozmowie. Rodzina majora się modliła, Court i Jerry natomiast opatrywali rany, czekając na nadejście nocy.

Jerry opracował plan tak, żeby zmaksymalizować szansę na uratowanie swojego życia. Miał w ostatniej chwili dać cynk DEA o planowanym przejściu przemytników narkotyków koło Tecate, wskazując między wierszami, że poza marychłą przemycana jest też heroina, oraz wyolbrzymiając liczbę szmuglerów z czterdziestu do setki.

Miał nadzieję, że to powinno odwrócić uwagę amerykańskich służb od granicy z Arizoną w pobliżu Nogales na czas przeprawy rodziny Gamboa do Stanów.

Ten manewr powinien zapewnić im bezpieczne przejście, a od tego zależał los Jerry'ego Pfliegera.

* * *

O dwudziestej Court znów przywiązał Jerry'ego do rur w toalecie, po czym opuścił motel z rodziną Eddiego. Pojechali fordem w stronę granicy, skręcili w prawo i zjechali z niewielkiego wzgórza. Po lewej stronie ciągnął się mur graniczny składający się z porzewiałej blachy oraz kilku warstw łańcucha i drutu kolczastego, po prawej natomiast na zboczach wzgórza stały domy o prostej konstrukcji. Asfaltowa szosa się skończyła, jechali więc kilkadziesiąt metrów żwirówką, aż zaparkowali pod drewnianą chatą. Czyżby to miało być wejście do tunelu?

Przed nim stał jakiś mężczyzna. Zanim Court puścił kierownicę, zorientował się, że pod kraciatą koszulą nieznajomy ukrywa splotę.

To był ich przemytnik. To on miał przeprowadzić się z rodziną przez granicę i pomóc jej dostać się do Tucson.

Mężczyzna nic nie mówił, tylko nieufnie zerkał na *gringo*. Courtowi się to nie podobało. Nie w smak mu było, że życie tej trójki – czwórki, wliczając nienarodzone dziecko Eddiego i Eleny – było w rękach faceta trudniącego się na co dzień przemytem narkotyków.

Nie było jednak innej opcji. Musieli zaufać Jerry'emu. Na pewno jednak nie mogli liczyć na jego uczciwość czy lojalność, bo nie tym się kierował. Od powodzenia tej misji zależało też jego życie. Court stwierdził, że to dobra motywacja.

Nieznajomy wskazał bliskim Eddiego, by weszli do chaty. Zanim to zrobili, Court postąpił z nimi przez chwilę.

– Jak ci się odwdzięczę? – zapytała Elena. Płakała.

– Po prostu przeżyj to przejście. Na miejscu znajdź jakichś dawnych kumpli Eddiego z marynarki czy z DEA... To dobrzy ludzie. Na pewno wam pomogą. No i zajmij się dzieckiem.

– Tak zrobię – uśmiechnęła się. Przytuliła go ze łzami w oczach.

– Błagam, uratuj Laurę. Tylko na ciebie może liczyć. I uważaj na siebie – powiedziała, po czym weszła do chaty.

Court uściskał dłoń Diega.

– Teraz ty się nimi opiekujesz. Rozumiesz to, prawda?

– Tak jest!

– Twój stryj Eddie jako młody człowiek wyjechał do Stanów. I dobrze to wykorzystał. Zdobył wykształcenie, umiejętności, zawód... Odniósł sukces. Nieważne, jak zginął, ale żył tak, jak trzeba.

Diego pokiwał głową i spojrzał w rozgwieżdżone niebo.

– Wezmę przykład z *tío* Eduarda – przyrzekł, po czym wszedł do środka.

Luz długo tuliła Courta. Pomodliła się krótko, przeżegnała, po czym weszła do chaty.

Gentry próbował zrozumieć, co do niego powiedziała. Może jej słowa dodadzą mu otuchy? Chciał czuć się wzmocniony na duchu jej modlitwą. Ale nie rozumiał ani słowa. Nie czuł otuchy ani wzmocnienia.

Kiedy został sam, odwrócił się. Widział teren po drugiej stronie granicy. Stało tam kilka budynków przemysłowych. Paliło się w nich światło, ale poza tym było cicho i spokojnie. W świetle księżyca i gwiazd dostrzegł drogę, która wiła się na wzgórzach w kierunku północnym, prosto w ciemną, odległą noc.

Tam właśnie były Stany. Tak blisko, prawie na wyciągnięcie ręki.

Court nie był w ojczyźnie już pięć lat. To już nie był jego dom, a raczej miejsce, w którym groziło mu największe niebezpieczeństwo.

Może drugie po Meksyku.

Mimo to patrzył na porośnięte krzewami wzgórze z utęsknieniem, jak gdyby była to kraina mlekiem i miodem płynąca.

Zazdrościł tym, których właśnie odprowadził na granicę.

Kochał ojczyznę, mimo że wielu wysoko postawionych oficjeli w agencji nie uważało go za lojalnego pracownika i obywatela. W imieniu tego kraju przelewał krew i zabijał.

* * *

Telefon odebrał o siódmej rano. Dzwoniła Elena – udało się.

Cała trójka pożegnała się już z przemytnikiem. Byli w Tucson, kupili bilety autobusowe do San Francisco. Elena podała Courtowi numer nowej komórki, w którą zaopatrzyła się na dworcu.

Przed rozstaniem Court ustalił z nimi kod, za pomocą którego mieli się porozumiewać. Jeśli byli bezpieczni, miała mu powiedzieć, że zaraz idą znaleźć jakiś hotel. Jeśli w niebezpieczeństwie, to motel. Powiedziała „hotel”. Court odetchnął z ulgą. Poprosił, żeby podała słuchawkę Diegowi. Gentry uważnie wsłuchał się, czy aby na pewno wszystko w porządku. W głosie chłopaka wyczuł jednak zmęczenie, nie przerażenie.

Court się rozłączył i spojrzał na Jerry'ego. Pfleger siedział na drugim łóżku w małym pokoju w motelu. Całą noc nie spał. Stopa go bolała, a lęk o własne życie nie pozwalał mu zmrużyć oka.

Jerry spojrzał na Gray Mana.

– I tak mnie zabijesz, prawda? – zapytał.

– Nie. Zrobiłeś to, o co cię prosiłem. Nie zabiję cię. – Pokręcił głową Court.

Ten mu jednak nie uwierzył.

– Akurat. Jak tylko wstanę i odwrócę się do ciebie plecami, to mnie zastrzelisz.

Gentry ponownie pokręcił głową.

– Nie, Jerry... Ja wychodzę, a ty tu zostań. Uregulowałem rachunki do jutra.

Pfleger był zdziwiony.

– Skoro tak mówisz – mruknął. Wciąż mu nie wierzył.

– Ale pozwolę sobie postawić kilka warunków – dodał Court. – Masz już nigdy, przenigdy nie pracować dla Stanów Zjednoczonych. Rozumiesz?

Jerry zaczął pośpiesznie kiwać głową. Wciąż był zdziwiony, ale w jego oczach błyskała iskra nadziei.

– Jasne. I tak nie mogę wrócić na stare śmieci. Teraz wszystkie kartele będą się licytować, który mnie zabije. Tylko... Tylko co mam teraz robić?

Gentry wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie pokuśtykać na piechotę do Kopenhagi. Ważne, bym nigdy się nie dowiedział, że pracujesz na jakiejś państwowej posiadce.

– To się rozumie, stary. Już z tym skończyłem.

– I jeszcze jedna, ostatnia przysługa.

– Dobra.

– Chodzi o Madrigala.

– Co z nim?

– Muszę z nim pogadać. W cztery oczy.

Jerry Pfleger oparł głowę o ścianę za łóżkiem.

– Jezu, stary. Nikt nie gada z Vaquero w cztery oczy.

– Gówno prawda. Załatw mi to.

– Słuchaj, mam kontakty z wieloma kowbojami. Część z nich to nawet wysoko postawieni *carteleros*. Nie znam jednak nikogo, kto jest w stanie załatwić ci prywatną audiencję z Madrigalem. To duch. Zjawia.

– Muszę z nim porozmawiać. Koniecznie w cztery oczy.

Jerry kręcił głową, jakby to nie wchodziło w rachubę. Powoli jednak przestał się stawiać. Spojrzał na Courta.

– Niech zgadnę... – jęknął. – To kolejna z tych rzeczy, które muszę zrobić, bo jak nie, to mnie zastrzelisz?

– Miło, że zaczynasz czaić bazę, Jerry.

Pfleger spojrział pustym wzrokiem w przestrzeń i zastygł na kilkadziesiąt sekund. W końcu się odezwał:

– Muszę zadzwonić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Gentry siedział na krawężniku. Upał był nie do wytrzymania. Miał wrażenie, że każde mijające go auto czy autobus osadza kolejną warstwę kurzu na jego skórze.

Minął go chłopak na koniu. Spojrzał z siodła na siedzącego na chodniku mężczyznę. Zdziwił się, że ktoś pojawił się w jego mieście.

Court przyjrzał się swoim dłoniom. Drżały to mało powiedziane, trzęsły się. A przecież zazwyczaj ręce miał spokojne mimo licznych skoków adrenaliny. Nauczył się panować nad strachem, nie myśleć o przerażeniu, tylko skupiać się na najistotniejszych kwestiach i znaleźć wyjście z trudnej sytuacji. Pojął, że grunt to wierzyć w siebie. Wiara, że jest się w stanie pokonać wszystkie przeciwności losu, jest niezbędna.

Teraz jednak wiara została zachwiana.

Czuł gulę w gardle.

„To tylko nerwy, Gentry, pierdolone nerwy. Spokój, tylko spokój cię uratuje” – tłumaczył sobie.

Wypił łyk coli i wgrzył się w kanapkę. Była z aromatyczną wieprzowiną, jednak ostre słońce w połączeniu ze stresem praktycznie odebrały mu apetyt.

A do tego wkurwiali go przechodnie.

Pierwszego spotkał tuż po wyjściu z autobusu z Hermosillo. Nawet nie zabawił tu pięciu minut, kiedy podszedł do niego młody mięśniak w słomkowym kapeluszu.

– Coś ty za jeden? – zapytał typek.

Court nie odpowiedział, spokojnie szedł w stronę centrum.

– Jak się nazywasz?

Court nawet na niego nie spojrzał.

– Co tutaj robisz?

Gentry nie odpowiadał. Zdawał sobie sprawę, że skoro już zwraca na siebie uwagę miejscowych osiłeków, to wiadomo, jak zareagują na jego amerykański akcent.

Mięśniak nastąpił Courtowi na stopę. Gentry się zatrzymał. Odwrócił się i spojrzał groźnie na zaczepnego młodzieńca. Już miał cztery sposoby, żeby go zabić w mniej niż dwie sekundy. Powstrzymał się jednak. Chciał jak najszybciej i w miarę niezauważony dojść do celu. Eliminowaniem upierdliwych koleśki tego nie osiągnie.

Court ruszył. Mięśniak został w tyle, ale wkrótce przyczepiła się do niego grupka miejscowych. Wielu było uzbrojonych. Jeden strącił mu czapkę z daszkiem i rzucił nią w stronę szosy niczym frisbee. Jakiś nastolatek podbiegł do Courta i kopnął w tyłek czubkiem kowbojskiego buta. Court potknął się, ale utrzymał równowagę i szedł dalej.

W końcu usiadł na krawężniku przed sklepem spożywczym w centrum miasteczka. Nękający go niedawno mężczyźni gdzieś się ulotnili. Court podejrzewał, że ktoś dostał SMS lub telefon, rozkaz rozszedł się w błyskawicznym tempie wśród miejscowych. Nie słyszał żadnej wymiany zdań. Stwierdził, że aby pozbyć się tych dupków, wystarczył gest lub spojrzenie.

Drżącymi rękami podniósł butelkę coli do ust. Poparzenia po torturach nie piekły go bardziej, niż gdyby przysmażył się na słońcu, jednak jeszcze nie otrząsnął się psychicznie z tego przerażającego doświadczenia sprzed czterech dni. Jego obecne zdenerwowanie potęgowała świadomość, że lada moment będzie zdany na łaskę bezwzględnych ludzi.

Powoli nadjechało jakieś brązowe auto. Skręciło na stację, minęło stanowiska, po czym się zatrzymało. Wysiadło z niego dwóch osiłeków. Każdy trzymał kałasznikowa. Wyglądali jak kowboje: nosili spiczaste buty z grubej strusiej skóry z cholewkami i białe koszule z czerwoną lamówką. Mieli wąsy, ale żaden nie miał brody.

To byli kowboje. Oprychy Constantina Madrigala.

Para strzelców przeszła przez ulicę w stronę *gringo*, który powoli wstał, podnosząc lekko ręce. Przejechało koło nich auto lokalnej policji. Zwolniło, ale się nie zatrzymało.

Tak to tutaj wyglądało. Faceci z bronią automatyczną mogli swobodnie przechodzić przez ruchliwą ulicę z lufami skierowanymi w gościa z podniesionymi rękami.

Takie zachowania tutejsza policja ignorowała.

W końcu byli w stanie Sonora, w miejscowości Altar – na terenie wpływów kartelu Madrigala.

Los Vaqueros niby trzymali broń przy biodrach, jednak lufy wyraźnie skierowali w klatkę piersiową Courta. Został dokładnie przeszukany, zanim wsiadł do auta. Wywieziono go na południe, w pobliże wąwozu. Tam kazano mu wysiąść. Posłuchał. Auto odjechało z piskiem opon, pozostawiając po sobie tuman kurzu.

Po chwili zatrzymał się przy nim cadillac escalade, który niewątpliwie jechał za nimi. Miał przyciemniane szyby. Ktoś w środku uchylił okno. Court pomyślał, że zobaczy Madrigala, jednak się mylił: to był jakiś młody kowboj z nadwagą. Na nosie miał ray-bany, kapelusz trzymał na kolanach. Machał koltem tak, żeby Gentry to zauważył.

Odezwał się po angielsku:

– Pochwal się opalenizną, *gringo!*

– Co proszę?

– Zdejmuj ciuszki. Wszystko.

Court westchnął zrezygnowany.

– Tak jest – mruknął i rozebrał się do slippek. Grubas skierował na niego lufę. Gentry ponownie westchnął i je zdjął. Stał na rozgrzanej ziemi w samych skarpetkach. Facet w samochodzie wskazał na niego. Court przeskakiwał z jednej stopy na drugą. Miał już wystarczająco poparzone nadgarstki i kostki. Nie zamierzał przysmażyć sobie pięt.

Z potężnego cadillaca wyszło trzech facetów, którzy dokładnie przetrzepali jego ubranie. Kiedy jakaś część garderoby została obejrzana i wymacana przez każdego osiłka, rzucali mu, żeby ją włożył. Robili to chaotycznie – slipki zwrócili na końcu.

W końcu się ubrał. Czuł, że przypiekl sobie czerep. Minusy fryzury na jeża. Usiadł na tylnym siedzeniu cadillaca obok grubasa, który dźgnął go lufą rewolweru pod żebra.

Gentry milczał i patrzył przed siebie. Samochód ruszył na południe.

Zajecharli na niewielki pas startowy na skraju przysiółka bez nazwy. Teren wokół był płaski i suchy. Otoczenie stanowiły gospodarstwa z idealnie kwadratowymi polami, na których pracowały osły i tania siła robocza. Na pokrytym żwirem pasie startowym stał samolot, który miał co najmniej czterdzieści lat. To była cessna 210, niewielka awionetka idealna do dystrybucji narkotyków. Jej solidna budowa i wysoko umocowane skrzydła sprawiały, że mogła lądować na najbardziej zdezelowanych nielegalnych pasach startowych, karczowanych w dzikim terenie przez *carteleros*.

Court i grubas weszli do samolotu. Pilot miał na głowie czapkę z daszkiem. Obok jego fotela leżała skórzana kabura ze spluwą. W awionetce siedziało jeszcze dwóch typów, każdy trzymał na kolanach kałacha. Court się zastanawiał, czy zdawali sobie sprawę z tego, jak wyglądałaby strzelanina w tym małym wnętrzu.

Gentry nie miał powodu przypuszczać, by podczas lotu znalazł się w bezpośrednim niebezpieczeństwie, jednak gdy tylko zapięli pasy, a pilot włączył silnik, już opracowywał plan na wypadek, gdyby trzeba było zabić, unieszkodliwić lub rozbroić pasażerów. Szacował, że zajęłoby mu to około trzech sekund. Postanowił oszczędzić pilota. Rozbroiłby go, ale zachował przy życiu w nadziei, że będzie posłusznie wykonywał jego polecenia. Gdyby się stawiał, może go zastrzelić i wylądować bez pomocy. Court był niezbyt dobrym pilotem. Owszem, udało mu się parę razy w karierze pilotować kilka samolotów, ale żaden z nich nie nadawał się już potem do latania. W jednym przypadku nawet nikt by nie rozpoznał, że wrak kiedykolwiek był latającą maszyną.

Miał jednak nadzieję, że wszyscy współpasażerowie podczas lotu nad górami „krajny kowbojów” będą grzeczni.

Awionetka podskakiwała na pasie startowym, a następnie koślawo odbiła się od ziemi. Gentry zorientował się, że lecą na południe. Po jakimś czasie po prawej stronie zobaczył Pacyfik.

Lot przebiegł bez komplikacji. Wylądowali wczesnym popołudniem na kolejnym nielegalnym lotnisku, tym razem na niewielkiej polanie otoczonej przez chatki z blaszanymi dachami wśród zachodnich Sierra Madre. Court nie był pewien, czy wciąż znajdują się w stanie Sonora, czy są już w Sinaloa, czy w Nayarit, w którym to przy grobie Eddiego Gamboa zaczął się meksykański koszmar Gray Mana.

Nieważne, gdzie byli. Podejrzewał, że otaczała go armia Vaqueros Constantina Madrigala.

Nie mylił się.

Gdy tylko on i grubas wysiedli z samolotu, przywitał ich wielki pikap pełen facetów w kowbojskich kapeluszach. Każdy trzymał kałasznikowa. Court wszedł na naczepę i usiadł wśród najemników. Minęli jakąś wioskę, a następnie wjechali w gęsty las. Gentry zwrócił uwagę, że droga – choć nie pokryta asfaltem – była w zadziwiająco dobrym stanie. Rzuciło nim nie dlatego, że auto wjeżdżało w dziury, tylko dlatego, że był popychany przez Los Vaqueros, którzy musieli popisać się swoim *machismo* przed *gringo*.

Droga została zbudowana i była utrzymywana przez kartel Madrigala. To stało się oczywiste, kiedy minęli umocnienia, za którymi dwóch facetów strzegło przejazdu, trzymając karabiny maszynowe kaliber .30. Z gęstwiny zaczęły się wyłaniać budynki o prostej konstrukcji, wokół których widać było pracujących bądź patrolujących ludzi. Niektórzy chodzili z nagim torsem, inni byli w koszulkach i dżinsach. Każdy uzbrojony.

Wbrew przewidywaniom Courta nie przywieziono go do jakiegoś laboratorium czy magazynu narkotyków. Raczej przypominało to bazę rebeliantów, fortecę w środku dżungli, choć nie było ani murów, ani wież strażniczych. Lokalizacja z dala od jakiegokolwiek cywilizacji oraz liczba uzbrojonych ochroniarzy sprawiały, że aby zdobyć to miejsce, trzeba by sprowadzić batalion rangersów.

Nagle się zatrzymali. Court uderzył barkami siedzącego obok kowboja, który rzucił w jego kierunku stek niezrozumiałych przekleństw, po czym wysiadł z wozu.

Znowu rozebrano go do rosołu, tym razem na oczach gapiących się na niego dzieci, kobiet i starców. Nagi *gringo* wywołał nie lada poruszenie. Obok niego wałęsały się psy i kręciły się kury, a on spokojnie czekał, aż odzyska odzież.

Ubrał się na oczach osiłków w kowbojskich kapeluszach, z których każdy trzymał *cuernos de chivos*. Następnie poprowadzono go długą ścieżką. Mijał stanowiska z bronią i uzbrojonych facetów na osłach i koniach. Każdy napotkany przyglądał się mu z zainteresowaniem. Dotarli do bramy z drutem kolczastym, strzeżonej przez trzech mięśniaków. Court rozejrzał się po okolicy. Ujrzał jeszcze więcej broni i kowbojskich kapeluszy. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie bramy,

wśród drzew dostrzegł budynki okazałych rozmiarów. Proste betonowe bryły z dachami pokrytymi blachą ciągnęły się po obu stronach drogi. W drzwiach stali uzbrojeni najemnicy. Przy słupkach i poidłach Court widział konie i kilka osłów. Poprowadzono go do dużego budynku w środku kompleksu wyglądającego jak magazyn.

Przy drzwiach wejściowych ochroniarz stojący po prawej stronie przyłożył koniec lufy do skroni Courta. Analogicznie postąpił ten po lewej. Podszedł do niego trzeci najemnik, który przyłożył mu koniec lufy do czoła. Wkrótce poczuł czwartą lufę z tyłu głowy.

– *Bueno* – powiedział dowódca. Stał z przodu. Mówił po hiszpańsku: – Wchodzimy powoli, kroczonek za kroczonekiem. – To mówiąc, zrobił krok do tyłu. Court poczuł się jak odwłok pająka poruszający się w otoczeniu okazałych kończyn.

Kiedy przekroczyli próg, Court został lekko uderzony w głowę wymierzonymi w niego lufami.

– Jesteście najbardziej cykornymi goryłami, jakich kiedykolwiek widziałem – mruknął Gentry.

Mężczyzna na czele bandy uśmiechnął się i odparł:

– Gdybyśmy naprawdę byli cykorami, to wpakowalibyśmy kilka kul w twoje amerykańskie ciało w Altar.

Szli jak procesja w głąb pomieszczenia. Kroczonek tyłem dowódca rzucił:

– Błagam, nie zmuszaj nas, żebyśmy musieli cię zastrzelić podczas obiadu *señora* Madrigala. On strasznie tego nie lubi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Court spojrział ponad ramieniem strażnika. Zorientował się, że dotarli do sali spotkań. Wzdłuż ściany z tyłu pomieszczenia stał rząd stołów piknikowych, na których znajdowało się mnóstwo jedzenia i napojów bezalkoholowych. Wokół stało dwunastu facetów i przyglądało się im. W końcu szczytu jednego ze stołów, twarzą do Courta, siedział mężczyzna nad talerzem fasolowej brei, którą jadł, pomagając sobie kukurydzianą tortillą. Skończył placek, po czym napił się piwa Tecate prosto z puszki.

Za nim stało sześciu facetów. Każdy miał na głowie albo prosty słomkowy kapelusz, albo czapkę z daszkiem.

Na Amerykanina otoczonego przez goryli przykładających mu lufy do głowy spojrział dopiero wtedy, gdy odstawił puszkę. Kowboj na czele pochodu odsunął się na bok, nieznacznie opuścił broń, którą tym razem skierował w serce Gray Mana.

Court w końcu mógł się przyjrzeć przywódcy gangu. Constantino przypominał bardziej wieśniaka niż barona narkotykowego. Był po pięćdziesiątce, wysoki, potężnie zbudowany. Jego czarne wąsy i czupryna były gdzieś poprzetykane siwizną. Miał na sobie rozpiętą koszulę dzinsową. Wśród spoconych włosów na klatce piersiowej lśnił prosty krzyżyk na łańcuszku. Na głowie miał czapkę z daszkiem. Łapczywie sięgnął po kolejną tortillę, którą zanurzył w fasoli. Wgryzł się w wilgotny placek i z pełnymi ustami powiedział:

– A więc to ty jesteś ten *gringo*. – Podniósł puszkę i machnął nią w stronę Gentry'ego. – Ja z nikim się nie spotykam. Z nikim! Ale teraz wszyscy tylko o tobie gadają. Pytają mnie, czy widziałem w telewizji tego *gringo*, co tak hulał w Puerto Vallarcie. Jesteś jak gwiazda Hollywood! Jak mogłem sobie odmówić tego spotkania?

Madrigal zanurzył wilgotny palec w leżącej koło jego obiadu kupce białego proszku, po czym włożył go do ust i z lubością wessał kokainę. Następnie popił

piwem.

– Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać – powiedział Court.

– Cóż, udało ci się zabić wielu *sicarios* Czarnych Garniturów. Więcej niż wszystkim moim ludziom razem wziętym. – To powiedziawszy, napił się piwa i spojrzał na zgromadzonych, jakby oczekiwał wyjaśnień. Wszyscy ludzie Madrigala milczeli.

Court spojrzał na prawo i lewo. Na obu policzkach poczuł zimną stal luf.

– Czy mógłby pan kazać swoim ludziom opuścić broń? Cały czas się boję, że któryś kichnie. Zjawiłem się tu, okazując panu szacunek. Proszę tylko o to, aby pan mi się odwdzieczył.

Madrigal uśmiechnął się i złożył kolejną tortillę.

– Jak to, *gringo!* Przecież okazuję ci dużo szacunku. Możesz sobie wyobrazić, jak traktuję ludzi, których nie szanuję. Ale wiem, do czego jesteś zdolny. A może i mnie chcesz zabić?

– Nawet gdybym chciał, nie dałbym rady. – Court postanowił przypochlebić się gangsterowi.

– Skoro nie po to tu przyszedłeś, to co mogę dla ciebie zrobić?

– Przyszedłem zaoferować panu moje usługi. W dodatku za darmo.

– Twoje usługi?

– Owszem. Przyszedłem prosić o pomoc i błogosławieństwo. Chcę załatwić Los Trajes Negros.

Madrigal machnął na swoich osiłków, żeby się wycofali. Ci opuścili broń i odeszli na bok. I tak w pobliżu Amerykanina stało dwunastu gości ze spluwami. *Narco* postukał grubymi paluchami w stół piknikowy.

– Jak słyszałem, cały tydzień nieźle sobie radziłeś bez mojej pomocy.

– Mam na myśli działania na znacznie większą skalę.

Baron narkotykowy wzruszył ramionami i zachęcił Gentry'ego, żeby usiadł. Court ulokował się na metalowym krześle naprzeciw gospodarza. Jeden z osiłków z kałachem otworzył puszkę Tecate i postawił ją przed Amerykaninem.

– Ale przecież ja nie toczę wojny z de la Rochą – rzekł Madrigal. – Co więcej, wcale jej nie pragnę. I tak mamy za dużo wojen i walk na głowie. DLR ma swoje podwórko, ja mam swoje. Mam wystarczająco dużo problemów, bo walczymy

z wojskiem. Wolę patrzeć, jak na własną rękę mordujesz jego ludzi, a ja nie muszę kiwnąć palcem – zaśmiał się. – To znacznie przyjemniejsze – powiedział, na co jego ludzie wybuchnęli gromkim śmiechem.

Court nie zrozumiał całej przemowy Madrigala, który mówił z silnym góralskim akcentem i używał nieznanych mu sformułowań. Gentry hiszpańskiego uczył się w Hiszpanii i w Ameryce Południowej.

Madrigal się zorientował, że przybysz nie pojął niczego z jego wystąpienia, więc przywołał młodego chłopaka, który stał po drugiej stronie pomieszczenia. Ten usiadł obok gospodarza.

– Mój syn przetłumaczy. Wołamy na niego Chingarito.

Court zrozumiał dosłowne znaczenie tej ksywy. Kto nazywa własne dziecko „małym skurwielem”? Nie zadał jednak tego pytania na głos.

Dzieciak miał z szesnaście lat. Na głowę włożył czapkę z daszkiem z liściem marihuany wyhaftowanym złotą nicią. Wydawał się podekscytowany tym, że został przywołany do pomocy. Wytłumaczył wątpliwości ojca co do wchodzenia w wojnę z Czarnymi Garniturami.

Court przeszedł na angielski:

– A wiedział pan, że DLR dostał od Centralnej Agencji Wywiadowczej informacje na temat pańskich kontaktów w Ameryce Południowej?

Chłopak przetłumaczył. Madrigal pokręcił głową.

– Nie. A ty skąd to wiesz?

– Wiem to od faceta, który pracuje dla CIA, i bezpośrednio od de la Rochy. Chce zyskać dojścia do pańskich producentów.

– Nie uda się mu.

– Może i nie. Może tylko zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby wam zaszkodzić. Bo to by go wzmocniło, prawda?

Constantino Madrigal przywołał jakiegoś mężczyznę, któremu przez dłuższą chwilę szeptał coś na ucho. Następnie zwrócił się do Gentry'ego:

– Ojciec Daniela de la Rochy był bardzo mądry. Owszem, był moim konkurentem, ale i porządnym biznesmenem. Daniel natomiast jest szalony. Próbował wmieszać mnie w próbę zabicia go przez GOPES na jachcie, potem chciał zwalić na mnie winę za zamach na rodziny poległych funkcjonariuszy. Ale

to jego metody działania na wielką skalę, dużo trupów. Mnie to nie pociąga. Wojna psychologiczna. A to dlatego, że za długo był w wojsku. Mózg sobie w hełmie ugotował. Postradał zmysły. Teraz to morderca. Co więcej, nierozsądny morderca. Słyszałem, że wielbi jakiś gipsowy posążek, złotego cielca prostego ludu. – Pokręcił głową z obrzydzenia. – Interesami i jego, że tak powiem, wywiadem zajmuje się jego *consigliere*, niejaki Calvo. Jego szanuję, choć to też mój wróg. Mądrzejszy niż dziesięciu moich *pendejos*. – Pokazał na swoich ludzi. Kilku z nich zachichotało.

Chłopak przetłumaczył przemowę ojca, który kontynuował:

– Gdyby Calvo się dowiedział, z kim współpracuję w Ameryce Południowej, od kogo mam zaopatrzenie i jak to przewożę do Meksyku... Gdyby do tego de la Rocha postanowił wypowiedzieć mi wojnę... Kosztowałoby mnie to dużo czasu i pieniędzy. O pieniądze nie muszę się martwić, ale wolałbym inaczej spędzać czas.

– Jestem w stanie temu zapobiec – odpowiedział Court, zanim jeszcze młody skończył tłumaczyć.

– Zabijając kilku garniaków?

– Nie. Z pańską pomocą mogę znacznie bardziej uprzykrzyć mu życie. Mogę zwrócić jego uwagę na siebie tak, że przestanie się zajmować panem, a wtedy pan będzie mógł podjąć kroki, aby zabezpieczyć swoje interesy w Ameryce Południowej. Nawet się nie zorientuje, że współpracujemy.

Kiedy wypowiedź Courta została przetłumaczona, Madrigal przez chwilę się nie odzywał. Mężczyzna, z którym *narco* się naradzał, wciąż za nim stał. Nachylił się do przełożonego, jednak tamten machnął na niego ręką na znak, że chce pomyśleć.

Syn Constantina też milczał.

W końcu Madrigal spojrział na Gentry'ego.

– Wiem, że pracujesz na własną rękę. Wiem, że na pewno nie pracujesz dla Stanów Zjednoczonych.

Court pokiwał twierdząco głową.

– No to na co ci to?

– DLR ma coś, na czym mi bardzo zależy.

– Chodzi o tę kobietę? Siostrę majora?

Gentry się ucieszył, że ci kowboje, przypominający bandę górskich rozbójników i ukrywający się w oddalonych od cywilizacji kryjówkach w Sierra Madre, wiedzieli o Laurze. To oznaczało, że Los Vaqueros mają rozwiniętą siatkę informatorów, także wśród Los Trajes Negros.

Pokiwał głową.

– Tak. Zależy mi tylko na jednym: na zmuszeniu, żeby DLR wypuścił Laurę. Chcę sprawić, że więzienie jej będzie dla niego kosztowne i niebezpieczne.

– Młody Daniel potrafi być uparty.

– Ja też – odparł Gentry.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytał Constantino.

– Informacji i wsparcia materialnego.

– Ludzi?

– Nie, pracuję sam.

– Co rozumiesz przez „wsparcie materialne”?

– Broń i pikap.

Słyszając to, Madrigal uśmiechnął się szeroko. Kolejny raz zanurzył mokry paluch w kokainie, zażył jej, po czym popił piwem.

– Pomyślałby kto, żeś jest chłopcem z Sinaloa – zaśmiał się.

Court też się uśmiechnął.

– To co, umowa stoi?

– Urodziłem się w małej wiosce w stanie Sinaloa. Nazywa się Mátalo – zaczął gangster.

Court zrozumiał, że nazwa miejscowości brzmiała jak hiszpańskie wyrażenie „zabij go”.

– Czarne Garnitury to armia wojskowych, mieszczuchów po studiach – ciągnął Madrigal. – Pochodzą przede wszystkim ze stolicy i innych większych miast. Są okrutni. Bardzo okrutni. Ale de la Rocha i jego zbiry to nie są prawdziwi awanturnicy. Natomiast my, Los Vaqueros? Jesteśmy ludźmi gór, to my jesteśmy prawdziwymi rozbójnikami. Walkę i zabijanie wyssaliśmy z mlekiem matki. Pochodzimy od złodziei bydła, jesteśmy potomkami przydrożnych rabusiów. Nasi pradziadowie napadali na indiańskie wioski, żeby porwać kobiety. Z baraków

wojskowych wykradali broń, dzięki której potem rabowali banki. – Madrigal napił się piwa. Z jego ust nie schodził rozmarzony uśmiech.

Gentry widział, że wielkolud był zadowolony z siebie.

– Teraz oczywiście – ciągnął Constantino – zajmujemy się zaopatrywaniem twojej ojczyzny w narkotyki, więc obracamy deczko większymi pieniędzmi. To jednak nie ma dużego znaczenia. Ja jestem przede wszystkim hersztem górskiej bandy. Nie kocham pieniędzy, kocham walkę.

– Z radością w pańskim imieniu podejmę walkę z DLR.

Samozwańczy herszt podkreślił wąs i napił się piwa.

– Ale my... to znaczy przywódcy meksykańskich, jakby to powiedzieć... przedsiębiorstw... My nie tykamy swoich rodzin.

– Nie zamierzam nic zrobić jego rodzinie. Proszę tylko o informacje o jego interesach narkotykowych. Owszem, poleje się krew, ale jego najbliżsi nie ucierpią.

Chingarito tłumaczył. Madrigal sączył tecate w zamyśleniu. W końcu wskazał głową na stojącego za nim mężczyznę.

– To jest Hector Serna. To on kieruje moim wywiadem. Uważam, że powinniście współpracować. Mniejsze ryzyko, że trafimy na *ratones*.

– Na „szczury”?

– Na kapusiów – odezwał się Serna doskonałą angielszczyzną. – W każdej organizacji znajdują się kapusie. W naszej też pewnie są.

– A więc macie też własne „szczury” w Czarnych Garniturach? Ludzi, którzy donoszą wam o ich poczynaniach?

– Śledzimy, rzecz jasna, ruchy i poczynania dowództwa Los Trajes Negros. A oni nasze.

– Więc zawsze wiecie, gdzie się znajdują?

– Nie zawsze. Jeśli jednak przekazują informacje o swoim położeniu komuś, kogo i my mamy w kieszeni, to owszem, dowiadujemy się o tym. Wiemy na przykład, że Czarne Garnitury będą jutro w Puerto Vallarcie. Skontaktowali się ze swoimi informatorami w tamtejszej policji. Jeśli spotkają się, dajmy na to, w jakimś hotelu, zażądają, aby gliny pomogły im zamknąć ruch na pobliskich ulicach. Jeśli będą chcieli zjeść w jakiejś restauracji, zażądają zwolnienia miejsc na

parkingu... W obu wypadkach obije nam się to o uszy. My też mamy przyjaciół w tamtejszej policji.

– Ciekawe – odparł Gentry, po czym spojrział na Madrigala. – Czy mógłby mi pan pomóc w dostaniu się do Puerto Vallarty?

– Oczywiście. – Madrigal wstał i wyciągnął ku niemu rękę.

Court uścisnął dłoń mordercy mężczyzn, kobiet i dzieci. Mężczyzny, który przyczynił się do tortur setek osób, którego każdy prawy człowiek uznałby za uosobienie zła.

– *Gracias, amigo.*

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

O ósmej następnego dnia Court Gentry siedział w starej czarnej maździe. Pikap stał na parkingu nieopodal mariny w Puerto Vallarcie. Niecałe dwadzieścia metrów od jego brudnej szyby na turkusowych falach unosiły się luksusowe jachty i łodzie. Para iguan wygrzewała się w promieniach porannego słońca na kamieniach wzdłuż promenady. Po lewej stronie wznosił się elegancki, pięciokondygnacyjny apartamentowiec, po drugiej ciągnął się rząd ciemnych sklepików i punktów usługowych, które o tej porze były jeszcze zamknięte.

Gentry rozmawiał przez telefon z Ramsesem Cienfuegosem Cortillo, który skontaktował się z zaufanymi osobami w stolicy. Wciąż się ukrywał. Kiedy Court zadzwonił na jego starą komórkę, usłyszał nagraną wiadomość z nowym numerem, na który następnie zadzwonił. Po kilku minutach Ramses oddzwonił.

Court skontaktował się z nim przede wszystkim po to, aby go ostrzec. Powiedział mu, że zdobywa informacje i otrzymuje wsparcie z kartelu Madrigala, ale zapewnił przyjaciela z policji federalnej, że nie pracuje dla Los Vaqueros.

Court Gentry musiał jak najszybciej uwolnić Laurę.

– Słuchaj, Ramses – powiedział. – Zrobi się naprawdę paskudnie. Nie wiem, czy i co mówiłeś ludziom w swoim otoczeniu o mnie, o tym, co razem robiliśmy...

– Nic im nie powiedziałem. Udało mi się wyekspediować moją rodzinę do kumpla w Miami. Ci, z którymi teraz pracuję, wiedzą tylko, że ja i Martin przeżyliśmy wybuch na jachcie i że Martin zginął w Tequili. Nie zadają pytań.

– Ufasz im?

– Bez dwóch zdań. Los Trajes Negros dali się im we znaki.

– Dobrze.

– To uczciwi goście. Możemy pomóc ci uwolnić Laurę.

Court milczał przez chwilę. Wyrzwał przez brudną szybę. Z apartamentowca wyszedł jakiś łysol w średnim wieku, trzymając na smyczy małego pudła.

Wyprowadził go na spacer wzdłuż trawnika otaczającego centrum handlowe tuż przy marinie. W końcu Gentry się odezwał:

– Jeśli znasz jakichś uczciwych koleś, to nie przeszkadzajmy im w pozostaniu uczciwymi. Bo to, co planuję... Nie chcę ich w to mieszać.

– Co ty właściwie szykujesz, Joe?

– Będę palił ziemię. Będę mordował, torturował, znieważał. Ze skurwysynami, którzy wazyli się porwać Laure, będę się obchodzić bez zahamowań! Odbiję ją, choćbym miał zabić wszystkich na swojej drodze! Będę łamał wszelkie zasady.

– Tu nie ma zasad, *amigo!*

– Chodzi mi o zasady człowieczeństwa. Jestem gotowy złamać każdą.

– *Dios Santo...* – jęknął Ramses. – Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, kto nie byłby... Jak to powiedzieć? Cóż, kto nie byłby po drugiej stronie.

– Od większości naszych kolegów „po dobrej stronie” różnię się tym, że nie boję się zniżyć do poziomu wrogów. Więc jeśli znasz naprawdę dobrych koleś, takich, którzy są w stanie spać spokojnie w zgodzie z własnym sumieniem... Lepiej ich w to nie mieszaj. Wolę, aby w tym, co zamierzam zrobić, pomagał mi Madrigal, niż żeby zmuszać do tego naprawdę dobrych ludzi. Rozumiesz?

– Ale przecież ty też stoisz po dobrej stronie mocy.

– Cieszę się, Ramses, że tak uważasz, ale jak skończę, to na pewno znajdę się wśród tych złych. I ty uznasz, że jestem najbardziej posranym skurwysynem, jakiego dane ci było poznać.

– Cóż, masz mój numer. Pomogę ci, jak tylko będę mógł, bez angażowania kogoś innego. Dzwon, jak będziesz czegoś potrzebował.

– Dzięki.

Court się rozłączył i przez chwilę przyglądał się facetowi z pudlem. Następnie otworzył drzwi mazdy.

Po czterdziestu sekundach samotny pudel czekał szaleńczo. Jego smycz była przywiązana do słupa naprzeciwko jeszcze nieotwartego sklepika.

* * *

W wilgotnej, ciemnej, ciasnej komórce cuchnęło pleśnią. Po ścianach biegały jaszczurki i pająki. Niektóre zapuszczały się nawet na sufit, rzucając przerażające

cienie, przemykając przed lampką, którą Court przyczepił w rogu tak, aby świeciła na środek pomieszczenia.

Tam właśnie siedział kapitan Xavier Garza Guerro z policji miejskiej Puerto Vallarty. Szef wywiadu Madrigala twierdził, że Garza dorabiał jako *sicario* u Czarnych Garniturów, że to właśnie on zajmował się operacjami kartelu na zachodnim wybrzeżu Meksyku, od granicy z Gwatemalą po granicę ze stanem Sinaloa. Był kluczową postacią w dbaniu o interesy de la Rochy w tym rejonie. Zajmował się ochroną dostaw narkotyków, placówkami produkcyjnymi, kryjówkami, zapewniał nawet obstawę policyjnych aut na sygnale, kiedy Daniel przejeżdżał przez miasto.

Gentry zerwał grubą taśmę z jego ust razem z włoskami wąsów. Lewe ucho kapitana było spuchnięte od zderzenia z chodnikiem przed budynkiem. Ręce miał związane na plecach, a jego ubranie zostało pocięte nożem do filetowania z długim, cienkim ostrzem.

Przez pierwszą godzinę przesłuchania Garza usiłował zachowywać się rozsądnie. Zdradził adresy laboratoriów metamfetaminy we wschodniej części Sierra Madre. Spodziewał się, że kupi tym wolność. Uznał, że porywacz pracuje dla jakiegoś kartelu. Sądził, że jeśli uda mu się pokazać, że zamierza być posłuszny, to tamten uzna, że jest zwykłym gliną z dobrymi źródłami informacji i wiedzą na temat tajników przedsięwzięć de la Rochy. Postanowi zachować go przy życiu i korzystać z jego usług. Wtedy jednak *gringo* wszedł w krąg światła. Nawet nie próbował ukryć przed porwanym swojej twarzy.

Skorumpowany policjant pojał, co to oznacza. Doskonale wiedział, że jedyną szansą na przeżycie było wyznanie, że należy do Los Trajes Negros, mając nadzieję, że przestraszony porywacz go wypuści.

– Jeszcze raz mnie tkniesz, to DLR wyśle za tobą „Pająka”! – krzyknął.

Amerykanin wyciągnął rękę i wbił z całej siły palec w spocone czoło Xaviera Garzy, po czym go popchnął. Następnie obejrzał się przez ramię na drzwi do komórki.

– Kiedy mogę się go spodziewać? Bardzo chciałbym się z nim zobaczyć.

– Oj, zobaczysz go, *gringo*! – Garza próbował trzymać nerwy na wodzy. – Słuchaj, jeśli teraz mnie puścisz, to jestem skłonny zapomnieć o całej sprawie, ale...

– Oj, Xavier, Xavier... Nigdy tego nie zapomnisz. Do końca życia będziesz pamiętał tę chwilę – odparł Court, po czym spojrział na zegarek. – No bo przez trzy minuty chyba mnie nie zapomnisz, prawda?

– Czego ode mnie chcesz?! – wrzasnął.

– Od ciebie nic – mruknął Court.

– Nic? To co to ma być? Po co to robisz?

– Jestem po prostu siłą natury, Xavier. Kto mieczem wojuje... – *Gringo* się odwrócił i zniknął w ciemnym kącie. Po chwili wrócił z wielkim metalowym tasakiem. – ...od miecza ginie – dokończył. – Ale ty zginiesz od tasaka.

– Jesteś z Los Vaqueros?

– Nie.

– No to skąd?

– Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Garza przechylił z niedowierzaniem spoconą, łysą głowę.

– Pracujesz dla DEA? Niemożliwe.

– Nie pracuję dla DEA.

Policjantowi wydawało się, że wreszcie zrozumiał. Ten człowiek musiał być jakimś mścicielem.

– Słuchaj, jesteśmy zwykłymi biznesmenami, tylko zapewniamy dostawy towaru. To wy jesteście odpowiedzialni za popyt. My tylko na niego odpowiadamy.

– A więc gość, który kręci pornosy z dziećmi, też nie odpowiada za pedofilię, skoro tylko zaspokaja popyt?

Garza spojrział na porywacza.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Jesteś tylko bogatym Amerykańcem. Nie rozumiesz naszej kultury!

– Tak się składa, że zaczynam ją całkiem dobrze kumać. Odetnę ci łeb i wrzucę do worka. To też jest element waszej kultury, prawda?

– A idźże do diabła!

– Zapewne tam skończę. Ale na razie... – Gentry usiadł naprzeciw porwanego na skrzynce.

– Nazwiska i numery.

– Co?

– Nazwiska i numery. Ty mi podasz namiary na swoich kolegów, a ja załatwię to szybko i sprawnie.

– Zabijesz mnie szybko i sprawnie?

– To najlepsze, co mogę ci zaproponować.

– A jeśli nie podam?

Court zerknął na zegarek.

– Nie przejmuj się, stary. Mam dużo czasu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

O dwudziestej pierwszej na ulicę przed elegancką restauracją nad morzem podjechały auta miejskiej policji. Wyszli z nich funkcjonariusze i zaczęli kierować ruch do następnego skrzyżowania. Po minucie pod budynek zajechał pierwszy z kilku białych opancerzonych SUV-ów.

W restauracji już od jakiegoś czasu przebywała ochrona Czarnych Garniturów. Bezkompromisowy, choć uprzejmy mężczyzna podchodził z szefem sali do każdego stolika. Zbierał telefony komórkowe od zdziwionych klientów, dając im do zrozumienia, że ich rachunek – włącznie z tym za alkohol – zostanie uregulowany przez anonimowego dobroczyńcę. Czterech ochroniarzy wraz z menedżerem restauracji sprawdzało kuchnię. Zaglądali do chłodni i zamrażalek, badali każdy fragment pomieszczenia i każdą spizarkę, sprawdzali toalety i drzwi na zapleczu. Przeszukali obsługę od stóp do głów. W każdym przejściu stało dwóch zbirów uzbrojonych w pistolety maszynowe MAC-10 kaliber .45, a tylne wyjście obstawiała kolejna para, tym razem z kałasznikowami.

Daniel de la Rocha siedział w pancernym aucie wraz z szefem swojej ochrony, a zarazem osobistym ochroniarzem. Emilio Lopez Lopez otrzymał właśnie informację, że restauracja jest już zamknięta i przeszukana, dał więc znak szefowi. Kierowca otworzył tylne drzwi. DLR jak zwykle otoczony przez najlepszych goryli wszedł do środka. Emilio prawą rękę trzymał na spluwie wewnątrz marynarki, lewą położył na plecach przełożonego. Na bieżąco kontrolował sytuację. Był gotowy, by w razie potrzeby osłonić szefa i wepchnąć go z powrotem do pojazdu.

Tuż za głównym wianuszkiem ochrony szedł Nestor Calvo Macias, który rozmawiał przez bezprzewodowy zestaw słuchawkowy. Javier Cepeda, dowódca *sicarios*, kręcił się w tłumie wraz z miejscowymi dilerami, poganiaczami i specami od logistyki, jak również pilotem prywatnej floty powietrznej Daniela oraz kilkoma szefami lokalnych jednostek wytwórstwa i zaopatrzenia.

W lokalu było czternastu ochroniarzy strzegących bezpośrednio szefa, poza tym w niewielkiej sali w centralnej części restauracji znajdowało się jeszcze dziewiętnastu członków Czarnych Garniturów.

Przy stolikach na patio czuć było chłodną bryzę od Pacyfiku. Daniel de la Rocha siedział przy stole na końcu za wysoką fontanną. Nad jego głową wiła się bugenwilla. Pozostali członkowie jego gangu siedzieli przy czteroosobowych stolikach rozstawionych na dziedzińcu. To nie była kolacja biznesowa, tylko zwykły posiłek. W planie była pośpieszna konsumpcja, a następnie przedostanie się do kryjówki kilka kilometrów w głąb lądu. To była pierwsza wizyta de la Rochy w Puerto Vallarcie po rzezi sprzed dziesięciu dni. Miał w okolicy parę spraw do dopilnowania. Cały dzień konsultował się z pracownikami swojej prywatnej linii lotniczej, z wytwórcami i ludźmi od transportu.

Wśród zebranych panował grobowy nastrój, ponieważ taki właśnie miał ich przywódca. De la Rocha wiedział już, że rodzina majora i *gringo* zdołali uciec z Meksyku. Był wściekły. Zakładał, że wszyscy znajdowali się już po drugiej stronie granicy. Nie oznaczało to jednak, że zaniechał polowania. Obecnie wszyscy jego ludzie w Stanach – a miał ich w Atlancie, Chicago, Dallas, Los Angeles i kilkunastu innych miastach – ciężko pracowali, żeby namierzyć rodzinę majora Gamboa oraz tajemniczego *gringo*.

Na razie zawiódł go i Calvo, i „Pająk”, i reszta pięćdziesięciotysięcznej organizacji przestępczej. Ale nie to było najgorsze. Najistotniejszą dla Daniela, wręcz jedyną rzeczą, którą się martwił, było to, że zawiódł Ją.

DLR zerknął w róg dziedzińca, gdzie jego ludzie ustawili prawie metrową figurę La Virgen odzianą w bogatą suknię ślubną uszytą na zamówienie u mistrza krawieckiego ze stolicy, który zajmował się wyłącznie projektowaniem strojów dla Santa Muerte wysokiej jakości i w niebotycznej cenie. Posąg umieszczono na stole przystrojonym świecami, których płomienie podrygiwały na wietrze. Gra cieni sprawiała wrażenie, jakby rzeźba się poruszała.

DLR spojrział w oczy Dziewicy. Nie widział w nich pustych dziur w woskowej figurze – dla niego były to okna prowadzące do tajemniczej otchłani – do duszy rozgniewanej patronki.

Kelner w białym stroju postawił obok Daniela butelkę srebrnej tequili Gran Patrón Platinum. Obok stały kryształowy półmisek świeżo pokrojonych limonek, salaterka z solą oraz pasujący do kompletu kieliszek.

De la Rocha nie zważał na dodatki, chwycił butelkę i pociągnął z gwinta haust przejrzystego napoju. Wpatrywał się w figurę i obiecał jej bez skrępowania, że złoży na jej ołtarzu ofiarę. Nienarodzonego syna majora Gamboa.

Kelner stał niezręcznie z menu w ręku, czekając, aż DLR się pomodli. Zanim Daniel skończył, mężczyzna chrząknął.

Emilio Lopez Lopez stał przy ścianie tuż za *jefe*. Podszedł do kelnera i chwycił go za rękaw. Właśnie miał nim rzucić o podłogę za brak manier, kiedy Daniel podniósł butelkę.

– Daj spokój, Emilio, nie przejmuj się – powiedział, po czym spojrzał na kelnera.
– Poproś szefa kuchni, aby przygotował dla mnie coś lekkiego, na przykład tilapię z grilla.

– *Muy bien, don Daniel* – odrzekł tamten, po czym szybko wrócił do kuchni szczęśliwy, że udało mu się ująć z życiem po popełnieniu nietaktu.

Do stolika podszedł Nestor i przez chwilę rozmawiał z szefem o interesach. DLR jednak nie był w stanie się skupić i poprosił *consigliere*, aby pozwolił mu zjeść posiłek w samotności. Pozostali Los Trajes Negros rozumieli, jak należy się zachowywać. Jedli przy swoich stolikach, porozumiewając się jedynie szeptem. Wszyscy wpatrywali się w komórki bądź laptopy – każdy chciał być tym, kto znajdzie poszukiwanych.

Na patio wszedł kolejny kelner niosący chłodnik arbuzowy. DLR sącył zupę, pogrążony w melancholijnych rozmyśleniach. Pił na zmianę tequilę, wodę i zupę. Raz na jakiś czas zerkał na ciemny dziedziniec, to na swoich ludzi, to na fontannę, to na stojącą w rogu figurę Świętej Kostuchy. Nad głowami zebranych eleganckie papierowe lampiony kołysały się na wietrze.

Po kilku minutach do stolika DLR podszedł jeszcze jeden kelner w wykrochmalonym białym fartuchu. Pchał przed sobą przykryty obrusem wózek, na którym stało zamówione danie. Skłonił się uprzejmie, zabrał pusty talerz i położył nowe nakrycie.

– *Buen provecho* – powiedział, po czym zdjął pokrywkę i odłożył ją na wózek.

De la Rocha nawet na niego nie spojrzał, nic nie odpowiedział. Chwycił widelec, po czym roztargnionym wzrokiem spojrzał na talerz, aby zacząć jeść.

W ostatniej chwili cofnął rękę.

Na talerzu znajdowały się oślizgłe, nadpsute wnętrzności. Martwym okiem spoglądał na niego cuchnący łeb na szkielecie ryby. De la Rocha wzdrygnął się z obrzydzenia

– Cóż to ma być, do diabła! – krzyknął.

Kelner odezwał się po angielsku:

– To, proszę szanownego pana, są jakieś ochłapy, a to... – to mówiąc, otworzył dłoń tuż przed nosem DLR, ukazując jakiś przyrząd – ...to wygląda mi na zabawkę do zabijania.

Nikt nie miał wątpliwości, że trzymał w ręku detonator. Kciuk kelnera znajdował się na czerwonym guziku. Wzdłuż jego dłoni biegły kable, które znikwały pod jego fartuchem.

Dopiero wtedy de la Rocha spojrzał na mężczyznę.

Miał krótkie włosy i przystryżoną brodę. Jego skóra była ciemniejsza, nosił okulary w czarnych oprawkach. DLR jednak go poznał.

To był „znajomy” *gringo*.

Amerykanin rozpiął fartuch i pokazał kamizelkę, do której były przyłączone dwa żółte pakunki oblepione plastikiem. Przypominały worki z piaskiem.

– Jeśli puszczę ten czerwony guziczek nawet na ułamek sekundy, wtedy bomba saletrowo-paliwowa wybuchnie i wszyscy zginą. Nawet ty – szepnął.

* * *

Emilio stał oparty o ścianę. Widział tylko plecy kelnera. Kiedy tamten wszedł, upewnił się tylko, że to nie był ten mały, który ważył się chrząknąć podczas modlitwy szefa. Zadowolony, że przysłali kogoś innego, być może bardziej obytego, nie zwrócił na niego uwagi, aż ten postawił na stoliku danie. Zdziwił się, że Daniel i kelner rozmawiają. Jego szef nieczęsto odzywał się do obsługi.

Emilio zrobił kilka kroków w bok. Dopiero wtedy pochwycił spojrzenie Daniela. Natychmiast sięgnął za pazuchę i podbiegł do stolika. W ułamku sekundy rozpoznał *gringo*. Wyciągnął wenezuelski pistolet zamorano kaliber 9 milimetrów, kopnął krzesło na bok, po czym przyłożył lufę do głowy *gringo*.

De la Rocha podniósł ręce. Bał się, że jego ochroniarz zastrzeli Amerykanina.

– ¡No! ¡Tranquilo! Tranquilo! – zawołał, aby uspokoić wszystkich.

W jednej chwili ochroniarze na dziedzińcu wyciągnęli broń: pistolety, karabiny maszynowe, nawet kilka strzelb. Niektórzy podeszli do stołu, inni zrobili krok do tyłu i uważnie mierzyli w kelnera. Nikt nie wiedział, co należy zrobić, jednak wszyscy na rozkaz szefa zastygli.

– A teraz niech każdy zrobi krok do tyłu – powiedział Daniel. – Emilio, opuść lufę, ale bądź w gotowości. „Pająk”, nie spuszczaaj oka z *pinche gringo*. Jeśli coś mi się stanie, zabij go.

„Pająk” Cepeda trzymał Mac-10 jedną ręką. Stał trzy metry od szefa, mierzył prosto w twarz Courta.

– Nie wyjdiesz stąd żywy, *pendejo* – wycedził.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Gentry'emu cały czas było zimno. Spędził trzy godziny w chłodni. Miał na sobie ciepłe ponczo, ale siedział w kącie, schowany za zwisającymi z sufitu ogromnymi półtuszkami wołowymi. Do restauracji wsunął się o piętnastej wraz z dostawą jarzyn i owoców. W skrzynkach ukrył dwa plecaki. Najpierw spędził kilka godzin w spiżarni, a kiedy obsługa udała się na popołudniowe spotkanie połączone z degustacją nowego menu w głównej sali, przemknął do chłodni.

Tam czekał na SMS od policjanta patrolującego teren przed restauracją, któremu płacili nie tylko Los Trajes Negros, ale także Los Vaqueros.

Po otrzymaniu go posiedział jeszcze pół godziny, drżąc z zimna i szcękając zębami, po czym opuścił chłodnię, ubrał się w ukradziony z wieszaka fartuch, znalazł wózek i rybne bebechy, z których skomponował swoje popisowe danie. Wciąż zmarznięty udał się na patio w poszukiwaniu Daniela de la Rochy.

* * *

– Powiedz swoim ludziom, żeby się wycofali – powiedział cicho Gentry.

DLR dał znak, aby pozostali Los Trajes Negros cofnęli się kilka kroków.

Court podniósł rękę i powiedział tak głośno, aby wszyscy go usłyszeli:

– Który z was tak naprawdę jest mózgiem organizacji? – zapytał.

Dostrzegł oburzony wyraz twarzy de la Rochy. Meksykanin był wściekły, na szyi pulsowała mu tętnica. Wycodził przez zęby:

– To ja podejmuję wszystkie decyzje.

– Oczywiście, panie Mądraliński. Ale tak się składa, że musimy poważnie porozmawiać o interesach. Założę się, że jest tu ktoś, kto chciałby wziąć udział w tej dyskusji. Chyba że... – Court wolną ręką wskazał na stojącą wśród świec figurę. – Chyba że twoja Barbie będzie robić notatki. Gentry potrząsnął głową i się

uśmiechnął, pokazując zgromadzonym, że się nie boi i to on rozdaje tu karty. – Serio? – dodał, zerkając na kapliczkę. – Co to, kurwa, ma być?

Wściekłość Daniela weszła na nowy poziom. Jego twarz poczerwieniała, co było widać nawet w słabym świetle lampionów. Wahał się przez chwilę.

– *Nestor, sientate*. Usiądź – powiedział.

Nestor Calvo przysiadł się do stolika obok de la Rochy. Jego poprzetykana siwizną broda lśniła od potu, który zaczął spływać mu po twarzy.

Court zmierzył starszego mężczyznę wzrokiem.

– Super, przyda się tu ktoś dorosły – rzucił i także usiadł. Wózek postawił po prawej stronie.

– Co zrobiłeś z tym koleśkiem z CIA? – zapytał de la Rocha.

– Zabiłem go – odparł Gentry, jak gdyby to była błahostka.

– A ten *gringo* z ambasady? Jerry? To on pomógł ci uciec?

– Nie zwracaj sobie nim głowy. To nasz, amerykański chujek. Ty masz wystarczająco dużo własnych kutasiarzy. Naprawdę nie musisz brać ich od nas. Chyba zbyt serio traktujesz ruch bezcłowy.

– Myślałem, że jesteś już daleko stąd. Gdybyś miał trochę oleju w głowie, zwałbyś. Czemu jeszcze tu jesteś?

– Pozwól, że ci wyjaśnię, co się z tobą stanie. Nestor, ty też słuchaj uważnie. Liczę, że chociaż ty wykazesz się rozsądkiem. A więc, Danielu, rozpierdolę ci cały biznes. Doprowadzę cię do ruiny. Spalę wszystkie dragi, zabiję pośredników, wystraszę dostawców, rozpierdzielę każdą twoją łódkę, każdy samolot, każde auto, każdą furgonetkę. Ziarnko po ziarnku pozbawię całą twoją organizację źródła dochodu.

De la Rocha się uśmiechnął.

– Jeśli to zrobisz, to ja zabiję twoją małą lafiryndę.

– Nie. Teraz ci wyjaśnię, dlaczego tego nie zrobisz. Bo nie tknę twojej rodziny. Na to możesz liczyć. Chcę jedynie uwolnić Laurę. Cały ten rozpierdziel ma ci tylko udowodnić, że jestem w stanie dostać się tam, gdzie zapragnę, że mogę robić, co chcę i kiedy chcę. Zastanów się dobrze, co w takim razie jestem skłonny zrobić, jeśli skrzywdzisz Laurę. Jeśli naprawdę mnie wkurzysz.

– Wszystko dla tej dziewczuchy? *¿En serio?*

– A i owszem. Przestanę uprzykrzać ci życie, gdy mi ją oddasz. Wtedy możesz sobie produkować i sprzedawać metamfetaminę, ile dusza zapragnie. Nie zamierzam ci dalej przeszkadzać.

De la Rocha wciąż był czerwony na twarzy. Po dłuższej chwili milczenia w końcu wykrztusił:

– Już po tobie, *maricón*. Jesteś trupem.

Gentry wzruszył ramionami.

– Lepiej powiedz to swoim pomagierom. Już możesz zacząć dzwonić. Obiecuję, że w ciągu trzech dni większość z nich przeniesie się na tamten świat.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, kim jesteśmy? Byliśmy najlepszym oddziałem armii meksykańskiej. Tak się składa, że byliśmy szkoleni przez wasze wojsko. Nie jestem byle jakim *calterlero* z gór, który stroi się w botki ze strusia i nosi *cuerno de chivo*, jak ten *cabrón* Madrigal. Brałem lekcje w Fort Benning i w Fort Bragg.

– A czy podczas pobytu w Bragg miałeś okazję przyjrzeć się trenującym tam oddziałom paramilitarnym?

– Oczywiście. Sam brałem udział w szkoleniu. Najlepsi komandosi na świecie.

– Przyznam, że to zdolne chłopaki. Pamiętaj jednak, że jednym z głównych zadań każdej z tych ekip od operacji specjalnych jest zabicie mnie... Szukają mnie od ładnych kilku lat, a ja, jak widać, wciąż mam się dobrze. Wierz mi, jeszcze nigdy nie miałeś do czynienia z kimś takim jak ja. Radzę ci o tym pamiętać.

Do tej pory Nestor Calvo się nie odzywał. Teraz jednak pokręcił głową i pochylił się w stronę Courta.

– Ale, *señor*, ty jesteś tylko jeden!

Court nachylił się do Nestora i spojrzał mu prosto w oczy:

– I nie mam nic do stracenia!

DLR spojrzał na detonator trzymany przez Amerykanina.

– Myślisz, że się ciebie boję?

Gentry uśmiechnął się szeroko. To pytanie go ucieszyło.

– Myślę, że, kurwa, srasz pod siebie ze strachu. Przejrzałem tę twoją maskę *macho*. Boisz się o swoją rodzinę. Wiem, że się zastanawiasz, czy zdążysz zadzwonić do gości pilnujących Laury i zakazać im robienia czegokolwiek

paskudnego, zanim się do niej dobiorą. Bo dobrze wiesz, co już zrobiłem. Wiesz, do czego jestem zdolny. W twoim życiu w tej chwili wszystko się zmieniło. Niewiele się różnisz od tysięcy innych kutasów na tym świecie. Twoje wpływy, twoje sukcesy zawodowe, twoja władza... Za tym wszystkim kryje się strach. Jeśli nie jesteś w stanie wzbudzać lęku, stajesz się bezsilny. Jakbyś przestał istnieć. Wiesz co, *amigo*? Właśnie przestałeś być najgroźniejszym człowiekiem w tych okolicach.

Nestor postukał palcami w stół. Nachylił się w stronę Amerykanina.

– Podejrzewam, że masz plan, jak się stąd wydostać – powiedział.

– Oczywiście. – Court wsunął dłoń do kieszeni fartucha i wyjął niewielką komórkę. – Pod jednym ze stołów mam jeszcze dwa kilo ANFO. Wystarczy, że wcisnę przycisk, wychodząc z restauracji, i wszyscy zginiecie. Gdy tylko zniknę wam z pola widzenia, radzę stąd zwiewać, bo w sumie jeszcze nie jestem pewien, czy chce mi się w to bawić. Może dojdę do wniosku, że od razu zrobię z was karmę dla psów w nadziei, że po nagłej zmianie sił twoi ludzie puszczą Laurę.

De la Rocha wyglądał, jakby miał wybuchnąć. Gentry nie zważał na niego, zwrócił się bezpośrednio do Calva, jakby szefa Los Trajes Negros tu nie było.

– Radzę ci mocno trzymać młodego na smyczy. Wiem, że będzie chciał rozpieprzyć wszystko na swojej drodze, aby mnie znaleźć. Jeśli o mnie chodzi, to może marnować czas i energię. Ale nie pozwól mu zapomnieć, ile te jego rządy terroru będą kosztować całą organizację. Ile on za to zapłaci. Zależy mi tylko na dziewczynie. Uwolnienie jej nic was nie kosztuje. Wiem, że rozumiesz, że to się wam najbardziej opłaca, nawet jeśli ten zasrany kretyn tego nie widzi. Mam nadzieję, że ciebie posłucha, a nie... – Court wstał i wskazał na stojącą w rogu figurę Santa Muerte – ...a nie tego czegoś. – Gentry podniósł ręce, żeby wszyscy widzieli detonator w jego lewej dłoni, a komórkę w prawej. – Każ swoim dupkom mnie wypuścić.

De la Rocha kiwnął głową. Nie spuszczał oczu z Amerykanina. Calvo wstał od stołu, minął fontannę i podszedł do uzbrojonych najemników na dziedzińcu. Nakazał im, żeby zostawili *gringo* w spokoju.

– Jeszcze się zobaczymy – szepnął de la Rocha.

– Jeśli tak się stanie, skończysz jak twój nieszczęsny kumpel.

De la Rocha miał coś powiedzieć, ale Gentry się odwrócił i wyszedł, mijając falangę ochrony. Trzymał ręce w górze jeszcze kilka sekund po wyjściu z restauracji.

* * *

– Co on powiedział, kiedy wychodził? – zapytał Calvo, który wrócił do stołu i usiadł obok Daniela.

Pozostali członkowie najbliższego kręgu DLR otoczyli szefa.

– Mruknął, że skończę jak jakiś kumpel.

De la Rocha i Calvo wymienili spojrzenia.

– Co mógł mieć na myśli? – zwrócił się Daniel do starszego mężczyzny.

Wtem obaj spojrzeli w stronę wózka.

– Emilio, sprawdź, co tam jest.

Emilio podszedł do wózka, po czym podniósł róg obrusu lufą pistoletu. Zmrużył oczy i zajrzał na dolną tacę.

– *Jefe...* To głowa.

– Dekapitujący *gringo* – zdziwił się Calvo. – Chce nam pokazać, że potrafi grać według naszych zasad.

– Czyja? – zapytał DLR.

Emilio zajrzał ponownie, tym razem schylając się niżej.

– Wygląda na... To chyba Xavier Garza Guerro.

Garza był najwyższym rangą policjantem w Puerto Vallarcie na garnuszkach Czarnych Garniturów, a zarazem kumplem z wojska DLR. De la Rocha znał jego żonę, jego dzieci, jego rodziców.

– Weź ją stąd! – wrzasnął, po czym szybkim krokiem podszedł do „Pająka” i chwycił go za pazuchę. – Słuchaj! Macie go śledzić, złapać i zafundować mu takie tortury, jakich jeszcze nigdy nie odważyliście się na nikim wypróbować!

– *Sí, jefe.* Mam już na ulicy ludzi w pogotowiu. Gdy tylko się stąd wydostaniemy, złapiemy go.

– Masz mieć koszmary o tym, co mu zrobisz. Masz rzygać na samą myśl o tym!

– *Sí, jefe.*

– A teraz won stąd! I nie pokazuj się, dopóki go nie dorwiesz. Zrozumiano?

– ¡Sí! ¡Sí! – „Pająk” Cepeda wybiegł z restauracji, trzymając komórkę przy uchu. DLR rozejrzał się po patio. Zobaczył Emilia.

– Co z ekipą zabezpieczającą miejsce przed naszym przyjazdem?

Emilio Lopez Lopez podniósł głowę.

– Już ich rozbroiliśmy i przymknęliśmy. Dziś sfajczymy ten lokal, a menedżer i szef sali dostaną po kulce.

– Dobra. Pamiętaj, że to też twoja porażka – powiedział DLR, wbijając palec prosto w splot słoneczny szefa ochrony.

– Rozumiem, *mi jefe*. – Emilio pochylił karnie głowę.

Teraz de la Rocha zwrócił się do Calva, który już rozmawiał przez telefon.

– Zadzwoń do domu. Niech trzymają łapska z dala od tej kurwy.

– Gotowe – odparł Calvo, wkładając komórkę do kieszeni.

Tymczasem de la Rocha nie mógł dłużej powstrzymać furii. Wył, chwycił na oślep talerze i kieliszki i ciskał nimi o ścianę.

Calvo podbiegł do niego.

– Daniel! Posłuchaj mnie! Uspokój się! Przecież *gringo* wszystko mówił i robił po to, żeby wywołać taką reakcję! Jemu właśnie chodzi o wytrącenie cię z równowagi! Nie wpadaj w jego pułapkę! Zastanów się!

– Naszczam mu na jego wyrwane krwawiące serce!

– ¡Tranquilo!

– Uspokoję się dopiero wtedy, kiedy ktoś z was w końcu, do kurwy nędzy, zrobi to, co do niego należy! Mam już dość waszych porażek, *cabrones!* – krzyknął, rzucając butelkami i przewracając stoły. Nikt z obecnych w sali, poza Nestorem, nie miał odwagi, aby z nim rozmawiać.

– Słuchaj, Daniel! Przecież my to możemy od razu skończyć!

De la Rocha przestał ciskać przedmiotami i odwrócił się do swojego doradcy.

– Wiem, że chcesz oddać dziewczynę *gringo*. Że chcesz, abyśmy przestali szukać majorowej.

Nestor pogładził klapę garnituru Daniela de la Rochy.

– Zależy mi przede wszystkim na zakończeniu tego szaleństwa. Chcę wrócić do zarabiania pieniędzy dla wszystkich. Skupić się na rozwijaniu naszej organizacji, na umacnianiu się względem wrogów, chronieniu się przed łapami państwa, a do tego...

– Cicho! Zamknij się, Nestor, zanim zacznę wątpić w twoją lojalność.

– Wiesz, że zrobię wszystko, o co prosisz. Jednak jako twój doradca zmuszony jestem ci przypomnieć, co jest naszym celem. Dlaczego podejmujemy konkretne ryzyko. Nie robimy tego, żeby pokazać jakiemuś *gringo*, którego nawet CIA nie jest w stanie schwytać ani zabić, kto tu rządzi. Nie musimy zabijać jakiegoś nienarodzonego bachora gliny, którego w piękny sposób udało nam się załatwić kilka tygodni temu.

DLR jednak pokręcił głową.

– Nestor. Dostałeś już rozkazy. *Gringo* musi zginąć, a ciężarna ma być znaleziona.

Nestor Calvo Macias pokiwał głową. Nie westchnął, nawet się nie skrzywił, tylko powiedział:

– Jak już mówiłem, wykonam wszystkie twoje rozkazy.

– Dobrze – mruknął de la Rocha, po czym zwrócił się do dowódcy swoich ludzi. – Roberto, przewieźcie gdzieś dziewczynę. Podwój strażę.

– *Sí, señor.*

– Emilio! – Daniel zawołał do ochroniarza, który stał tuż za nim. – Podwój też moją ochronę.

– Już to zrobiłem, *jefe.*

– No to zmywajmy się stąd, zanim Amerykanin naciśnie przycisk na komórce.

* * *

Court nie wcisnął niczego na komórce, jako że nie ukrył na dziedzińcu nadmorskiej restauracji żadnego materiału wybuchowego. Udało mu się zgubić ogon Czarnych Garniturów w tłumie na Melecónie, tutejszej promenadzie nadmorskiej. Wyrzucił fartuch w ciemnej uliczce, przeszedł przez kilka barów i garkuchni, po czym wspiał się na tył pikapa, z którego wskoczył na znajdujący się

na pierwszym piętrze balkon apartamentowca tuż przy plaży. Tam spędził noc, skulony na fotelu. Bryza muskała jego twarz.

Czarne Garnitury szukały go na ulicach Puerto Vallarty. Żołnierze DLR jeździli SUV-ami po deptaku, wyłapywali wszystkich krótkowłosych *gringos* z kozimi bródkami. Ciskali nimi o ścianę i świecili im prosto w oczy latarkami, a przekonawszy się, że to nie ten, kogo szukali, popychali ich z powrotem na promenadę.

Miejscowi stróże prawa również zostali włączeni do akcji i na prośbę kartelu rozpoczęli poszukiwania. Gentry uznał, że CIA zdążyła już usłyszeć o jego ostatnim wyczynie i zapewne każda węsząca za nim po Meksyku ekipa komandosów mknęła właśnie w stronę centrum Puerto Vallarty.

Był ciekaw, czy Grigorij Sidorenko też wysłał za nim kogoś do Meksyku. Skoro jego ludzie znaleźli go nawet w amazońskiej dżungli, to mogą go szukać i tutaj. Jednak żadna z tych ekip nie była w stanie skontrolować każdego mieszkania w mieście. Tej nocy był bezpieczny. Rano natomiast ścigający go poddadzą się i stwierdzą, że znów im się wymknął.

Court przeglądał e-maile na komórce. Wszystkie nowe wiadomości pochodziły od Hectora Serny, szefa wywiadu kartelu Madrigala. Każda była krótka, ale zawierała najważniejsze informacje. A to adres banku w stolicy, a to numer samolotu towarowego, którym Czarne Garnitury przewoziły metamfetaminę i czarną heroinę, adresy czy namiary GPS na kryjówki, magazyny, parkingi używane przez organizację de la Rochy.

Miał aż zbyt długą listę potencjalnych celów – nie wiedział, od czego zacząć. Wysłał do Serny SMS z prośbą o kilka gadżetów, które będą mu potrzebne następnego dnia. Gdy otrzymał informację zwrotną co do szczegółów przekazania zamówienia, schował komórkę do kieszeni i spojrzał w gwiazdy.

Z ulicy dobiegły go odgłosy kolejnego zajścia, jacyś wściekli kolesie wrzeszczeli na zdezorientowanych przechodniów.

Zdawał sobie sprawę, że *sicarios* „Pajaka” musieli śmiertelnie się go bać. Ich szef natomiast z pewnością trząśł się przed Danielem.

Court pracował w pojedynkę. Nie musiał być podejrzliwy wobec innych członków swojej organizacji, ponieważ nie miał takiej. Był samotnym strzelcem, bez przyjaciół czy bliskich współpracowników. Oczywiście musiał być podejrzliwy

wobec każdego. Nie mógł sobie pozwolić na zaufanie komukolwiek. Wolał jednak ten tryb pracy niż harowanie w jakiejś grupie, która w każdej chwili może go zdradzić. Doświadczył tego na własnej skórze. Cenił też samotną pracę w porównaniu ze współpracą z jakimś agentem prowadzącym, w końcu jak takiemu zaufać? Court został zdradzony przez swojego prowadzącego aż dwa razy.

Gentry leżał na tekowej sofie balkonowej i patrzył w rozciągającą się nad jego głową noc. Nie zważał na trąbienie klaksonów, nie myślał o ścigających go zabójcach. Wiedział, że to ostatnia chwila na odpoczynek.

Myślał o Laurze.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Największa i najbardziej przypominająca pałac posiadłość Daniela de la Rochy leżała na dnie kanionu u stóp Sierra del Tigre. Nazwał ją Hacienda Maricela na cześć najmłodszej córki. Tym razem jego żona i dzieci zostały w domu w Cuernavaca. Daniel uważał, że było to lepsze miejsce dla dzieci. Była to też ich jedyna rezydencja bez podobizn Santa Muerte na życzenie jego żony, która była gorliwą katoliczką i nie pochwałała jego religijnej obsesji.

Hacienda Maricela została zbudowana na początku dwudziestego wieku jako baza na wypady myśliwskie. Otaczała ją dwieście hektarów prywatnego lasu. Kiedy do rezydencji zjeżdżało dowództwo Czarnych Garniturów, stuosobowa ochrona DLR była wspomagana przez policjantów z pobliskiego miasteczka Mazamitla. Posiadłość była wyposażona w prywatny pas startowy oraz lądowisko helikopterów. Prowadziła do niej droga poprzetykana budkami strażniczymi, która wiała się za kanion i łączyła z autostradą do Guadalajary, stanowiąc wygodne połączenie dla Daniela i jego ludzi.

Udało im się też zorganizować stację na przebiegających przez las torach, dzięki czemu z łatwością można było dostarczać tu wagonami towarowymi nawet duże zamówienia.

To tutaj Daniel urządzał szkolenia dla siebie i swoich ludzi. Miejsce to było pełne ścianek wspinaczkowych, torów przeszkód, wież zjazdowych, strzelnic przystosowanych do testowania strzałów długodystansowych, dojo na japońską modłę oraz innych udogodnień, aby byli wojskowi mogli wciąż doskonalić formę. Daniel sam pilotował swój eurocopter przez kaniony. Podniebne akrobacje niemal przyprawiły jego ludzi o atak serca.

Następnego ranka po pamiętnej kolacji w Puerto Vallarcie DLR trenował wraz z „Pajakiem” w krytej strzelnicy. Przyglądało się temu kilku *sicarios*. Tuż za szefem stał Emilio Lopez Lopez, który nie odstępował przełożonego na krok nawet w jego własnym domu.

Javier i Daniel strzelali z nowych pistoletów maszynowych FN P90 do gumowych manekinów wielkości człowieka, przytwierdzonych hakami na ruchomych stalowych szynach przymocowanych do dachu strzelnicy. Cele wyłaniały się pojedynczo zza metalowych drzwi wahadłowych na tyłach pomieszczenia, trzydzieści sześć metrów od trenujących. Manekiny mknęły na szynach niczym biegnący napastnicy, niektóre nawet przystawały i „kryły się” za ustawionymi w tym celu ściankami z sosnowych desek.

Cepeda i de la Rocha strzelali na zmianę do ruchomych celów. Co kilkanaście strzałów stawiano kolejne manekiny, które wyskakiwały z boku albo zza betonowych ścian.

Strzelnica została wykonana z najwyższej jakości materiałów. Do opieki nad nią Daniel zatrudniał na pełny etat dwóch pracowników, którzy cały rok mieszkali na terenie posesji.

De la Rocha błyskawicznie opróżnił magazynek pistoletu, strzelając do manekina nadciągającego z lewej. Następnie puścił broń, która zawisła na taśmie przewieszanej przez jego ramię. Sięgnął za pazuchę marynarki, wyciągnął podręczny pistolet P90 kaliber .45 i wystrzelił cztery naboje w gumową głowę, zanim zniknęła z pola widzenia.

Jeden ze stojących za nim Czarnych Garniturów krzyknął:

– To był właśnie Amerykaniec, *jefe!*

Reszta klaskała i wiwatowała.

Daniel się uśmiechnął i zsunął z głowy słuchawki.

– Chciałbym. Ale to właśnie zrobię, kiedy następnym razem go spotkam! Wczoraj „Pająk” mnie zawiódł i pozwolił temu *chingado gringo* wymknąć się z Puerto Vallarty. Wszyscy mnie zawiedliście!

Sicarios wlepili wzrok w podłogę albo sufit.

– Gdy tylko ludzie Calva wyczają, gdzie on jest, wypuścimy was, frajerzy, na niego. Mam nadzieję, że będziecie trafiać tak jak ja teraz!

Skarceni mężczyźni pokiwali głowami w milczeniu.

„Pająk” podniósł P90 ze stołu i podszedł na stanowisko. Emilio Lopez Lopez jednak poklepał przełożonego po plecach.

– Skoro już się rozgrzałeś, Daniel, to następni też są twoi.

„Pająk” opuścił broń i się wycofał. De la Rocha wzruszył ramionami i załadował obie sploty.

Emilio kiwnął na szefa strzelnicy, który siedział w budce z boku. Ten kliknął przycisk. Otworzyło się dwoje drzwi na tyłach. Do sali wjechały haki z celami. Tym razem nie były to manekiny, tylko ludzie. Twarze obu mężczyzn były mocno obite, ich usta zakneblowane. Ręce mieli związane na plecach. Wisieli na hakach, ramiona mieli skrępowane linami. Wili się z bólu i strachu.

– *Jefe* – powiedział Emilio. – Ta dwójka odpowiadała wczoraj za wstępne oględziny restauracji w Puerto Vallarcie. Po kilku godzinach przesłuchań doszliśmy do wniosku, że rzeczywiście nie wiedzieli, że *gringo* był w budynku. Ale i tak to ich wina, że go nie znaleźli. Tę pomyłkę przypląć życiem.

De la Rocha opuścił broń i pokiwał głową.

– A co z resztą ich ekipy?

– Dwóch zmarło podczas przesłuchania. Kolejna dwójka to była para młodziaków, których wysłano tylko do sali jadalnej, nie brali udziału w sprawdzaniu całego lokalu. Uznałem, że nic nie zawinili.

Haki z podwieszonymi ochroniarzami zatrzymały się na środku toru. Ich stopy dyndały trzydzieści centymetrów nad podłogą.

– Uważasz, że to dowódcy zawinili?

– Oczywiście!

– Emilio, to twoi ludzie. To ty ich wybrałeś i przeszkoliłeś. To ty ich wysłałeś do restauracji. To ty tu dowodzisz.

Lopez zaczął coś mówić, ale zająknął się i urwał.

– Wierzysz w ponoszenie odpowiedzialności?

– Oczywiście. Uważam, że powinni ponieść...

– A ja uważam, że to ty powinieneś za to odpowiedzieć i wisieć razem z nimi.

Emilio spojrzał na szefa. Odłożył, co prawda, pistolet maszynowy, ale wyciągnął podręczną splotę i trzymał ją w gotowości. Wydawało się, że dowódca zabójców Czarnych Garniturów usiłował sprowokować szefa ochrony własnej organizacji.

Emilio zerknął na „Pająka”. Otrząsnął się.

– To nie jest konieczne. Mam pod marynarką kaburę z pistoletem. Mam sam ją zdjąć czy wolisz, żeby to zrobił któryś z *sicarios*?

„Pająk” przywołał jednego ze swoich oprychów. *Sicario* stanął za Emiliem, sięgnął pod jego marynarkę i wyjął broń.

– Bardzo proszę, *mi jefe*, o przemyślenie tej decyzji – powiedział Emilio. Mówił spokojnie, ale widać było, że drżą mu wargi.

– Dobrze mi służyłeś, mój przyjacielu.

– To był zaszczyt...

– Wielka szkoda, że jakiś *pinche gringo* musiał wszystko popsuć.

– *Mi jefe*, proszę o ostatnią szansę...

Daniel de la Rocha trafił Emilia w środek czoła. Obrócił się, kucnął i wystrzelił dwa naboje z podręcznego pistoletu, po jednym do każdego z wiszących na hakach mężczyzn. Ich drganie ustało, ciała zaczęły kołysać się na boki.

Emilio Lopez Lopez leżał skulony na posadzce.

Daniel wstał.

– Ostatnią szansę? Ochroniarz nie dostaje ostatniej szansy. Aż dwa razy groziła mi śmierć.

Wszyscy *sicarios* milczeli.

W końcu DLR schował pistolet do kabury.

– „Pająk” ...

– *Si, jefe*...

– Jesteś moim osobistym ochroniarzem.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Widziałeś, co się stanie, jeśli mnie zawiedziesz?

– Nigdy cię nie zawiodę, szefie.

* * *

Bankier wyszedł z dwusilnikowego samolotu Fairchild Metroliner w Manzanillo, nadmorskim mieście dwie godziny na południe od Puerto Vallarty. Jako że słońce prażyło, mężczyzna zsunął z czoła na oczy okulary przeciwsłoneczne marki Moss Lipow, za które swego czasu wybulił prawie pięć tysięcy dolarów.

Na niego i jego dwóch goryli czekała już limuzyna. Byli jedynymi pasażerami samolotu. Bankier uścisnął dłonie obu pilotów, zszedł po schodach na płytę

i skierował się w stronę auta. Poza luksusową skórzaną aktówką marki Pineider nie miał bagażu.

Podszedł do limuzyny. Kierowca otworzył przed nim tylne drzwi. Bankier schylił się, by wsiąść, ale nagle się przewrócił. Jego klatka piersiowa wybuchła na elegancką skórzaną tapicerkę. Krew trysnęła na przygotowane kryształowe szklanki i spryskała przyciemnione szyby od wewnątrz.

Okulary spadły pod siedzenie. Aktówka wyslizgnęła mu się z rąk i odbiła od opony. Korpulentne ciało zsunęło się ze śliskiej skóry i upadło twarzą na asfalt. Ochroniarze bankiera skoczyli, aby go osłonić, ale było za późno.

Nie mieli już kogo chronić, chyba że trupa.

* * *

Trzysta sześćdziesiąt pięć metrów dalej Gray Man złożył składaną kolbę karabinu sako. Po kilku sekundach spluwa leżała już w płócienniej torbie na podłodze czarnego pikapa.

Bankiera zabił jednym strzałem. Wiedział, że nabój .338 lapua magnum to zbyt duży kaliber jak na strzał z takiej odległości – takim czymś można zabić człowieka znajdującego się nawet sześć razy dalej – ale, po pierwsze, szafas na wzgórzu obok lotniska to była najlepsza lokalizacja, a po drugie tylko taką długodystansową broń dostał od Hectora Serny.

Nieważny kaliber. Obchodził go tylko rezultat. A ten był widoczny.

Niecałe trzydzieści gramów ołowiu wyeliminowało kolesia z szesnastoletnim doświadczeniem w praniu brudnych pieniędzy.

Owszem, Daniel de la Rocha miał też innych bankierów. W Meksyku roiło się od doświadczonych w tym zakresie ludzi, którzy byli w stanie zastąpić leżące na asfalcie trupa, bezskutecznie reanimowanego przez przerażonego ochroniarza. Gentry jednak wiedział, że jego śmierć to cios w finanse Czarnych Garniturów.

Court nie tracił czasu na wyrzuty sumienia. Zerknął na zegarek i wdepnął pedał gazu.

Tego dnia miał jeszcze dwie sprawy do załatwienia.

* * *

– Dzisiaj w południe Gilberto Moreno zginął od strzału snajperskiego.

Brakowało pół godziny do północy. De la Rocha klęczał przed figurą Santa Muerte w przyciemnionej kaplicy w Hacienda Maricela. Modlił się tam w skupieniu, aż Nestor Calvo wszedł do pomieszczenia i wymieniwszy spojrzenia z „Pajakiem”, podzielił się złymi wieściami.

– To sprawka *gringo*?

– Bez wątplenia. Ale to był dopiero początek. O wpół do szóstej w jednym z naszych magazynów w Colimie nastąpił niewielki wybuch. Spowodował pożar, który zniszczył całą dostawę efedryny z Indii. Opóźni produkcję *foco* o tydzień.

– Cholera – mruknął DLR, nie spuszczać oczu ze stojącej przed nim figury. – Szybki jest.

– To nie wszystko. Kilka minut temu znowu zaatakował.

– Gdzie?

– Nadal w Colimie. Porwał ciężarówkę z opium. Zabił kierowcę, a auto zrzucił z klifu.

– Ile tego było?

– Z heroiną nie będzie tak źle, jak z *foco*... Nadrobimy to w dwa dni – odparł Calvo.

DLR pochylił głowę i modlił się jeszcze przez chwilę. Calvo powstrzymał jęk. Udało mu się zachować kamienną twarz. Wiedział, że „Pajak” na niego patrzy, a nie chciał, żeby doniósł szefowi, jak bardzo drażnią go wyrazy oddania dla tej durnej lali.

W końcu de la Rocha znów spojrział na Santa Muerte.

– Jest wściekła.

Calvo pokręcił głową.

– Nie, Danielu. To on jest rozwścieczony. Pamiętasz, że mówimy o *gringo*?

Daniel wstał i podszedł do swojego *consigliere*.

– Twierdzisz, że jeden człowiek jednego dnia zdążył popsuć mi i finanse, i produkcję heroiny, i produkcję metamfetaminy?

– *Sí*, Danielu.

– Nasi oczywiście go już szukają w Colimie?

– Zajmuje się tym cała policja plus dodatkowe oddziały. Podejrzewam jednak, że już go nie ma w okolicy.

– A gdzie jest?

– Nie wiem – przyznał Calvo. – Podejrzewam, że może się dostać do naszych pozostałych przedsięwzięć. Marihuana, logistyka, samoloty, transport, porwania... Dopóki on żyje, dopóty nie będziemy wiedzieć, gdzie uderzy.

– Skąd czerpie informacje o naszej działalności?

– Musi mu pomagać ktoś, kto wie wszystko o naszych interesach. Podejrzewam, że to ktoś z policji federalnej albo nawet od Madrigala.

– Wiem, że to on.

– Co do tego nie mamy pewności.

De la Rocha wyszedł z kaplicy, tuż za nim ruszył „Pająk”. Calvo podążał za nimi.

– To Madrigal – powtórzył de la Rocha.

– Ona ci to powiedziała?

Daniel zatrzymał się na korytarzu i zwrócił do Nestora. „Pająk” stanął za szefem.

– Jej cynk okazał się lepszy niż twój, *consigliere* – powiedział. – Radzę ci, abys postarał się być bardziej przydatny – mruknął, po czym wraz z ochroniarzem ruszyli korytarzem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Gentry znalazł schronienie w opuszczonej kopalni srebra koło La Rosa Blanca, górniczej miejsciny w niewielkiej odległości od Guadalajary, z łatwym dostępem do wybrzeża i dróg prowadzących do stolicy. Do obu miast dojeżdżało się stamtąd w kilka godzin. Na noc Court wjeżdżał starą mazdą od Hectora Serny do poziomego szybu wydrążonego w zboczu góry. W sklepie turystycznym w Guadalajarze kupił sprzęt za kilka tysięcy dolarów, aby zapewnić sobie wygodne i ciepłe noce. Zaopatrzył się w kuchenkę turystyczną na gaz, niewielki namiot, suchy prowiant i baniaki wody pitnej. Nowiutkie generatory ładowały jego liczne komórki i GPS, podpinał też do nich lampy, aby móc pracować wieczorami.

W tej kopalni udało mu się zaplanować kilka posunięć.

Na zachodzie Meksyku miał wiele do załatwienia. Ostatnie dwa dni były pracowite: zabił przywódcę Czarnych Garniturów w stanie Nayarit, rozwalił dwa samoloty de la Rochy na lotnisku w Tepic, spalił magazyn na północny wschód od Magdaleny.

Właśnie zaczynał się czwarty dzień jego wojny z Czarnymi Garniturami. Położył się o trzeciej nad ranem, ale i tak udało mu się zyskać kilka godzin niespokojnego snu w śpiworze na naczepie mazdy. Aż dwukrotnie budził go jakiś odgłos. Za każdym razem chwycił jeden z leżących przy nim kałachów i świecił przed siebie przyczepioną do lufy lampką, ale dostrzegł tylko jakieś zwierzęta futerkowe biegnące w głąb kopalni.

Tego dnia nie musiał się zrywać skoro świt, ale i tak miał plany. Dostał od Serny namiary na różne placówki Czarnych Garniturów w okolicy. Wpisał współrzędne do GPS-u. Na tej podstawie ustalił trasę, która zaprowadzi go etapami do najdalej położonego celu. Przy odrobinie szczęścia uda mu się wykonać aż pięć misji. Stwierdził, że do bazy wróci dopiero w środku nocy, choć nie miał pewności, czy na każdym z przystanków znajdzie coś do zniszczenia lub kogoś do wyeliminowania. Przed każdym atakiem musiał rozważyć prawdopodobieństwo,

czy zostanie schwytany bądź zabity. W każde miejsce udawał się tylko wtedy, gdy mógł stamtąd łatwo i szybko się wydostać.

Przed południem pojechał do dzielnicy przemysłowej w Guadalajarze. Tam śledził wyładowywanie kilku wagonów. Serna zapewniał go, że towar to marihuana ze stanu Chiapas i z Gwatemali. Court obserwował przez lornetkę. Wyglądało na to, że Serna miał dobre źródła. Niestety ciężarówki, do których pakowano towar, znajdowały się za dobrze strzeżonym ogrodzeniem i od ponad godziny stały. Usiłował przechwycić jakieś transmisje radiowe, ale faceci przy tirach korzystali z szyfrowania, z którym Court nie mógł sobie poradzić. Planował napaść na nie na autostradzie, jednak kiedy o drugiej po południu auta dalej nie wyruszyły, dał za wygraną i niechętnie zrezygnował z tej części planu. Chciał przejść do następnego punktu i przed wieczorem coś zniszczyć.

W drugim miejscu też spotkał go zawód. Tym razem była to kryjówka Czarnych Garniturów, jednak kiedy wdarł się do pomieszczenia i obejrzał je przez celownik kałasznikowa, nie zastał tam nic: żadnych prochów, żadnej broni, żadnej kasy. Na początku rozważał podpalenie tej mety, jednak znajdowała się w środku dzielnicy mieszkalnej w Guadalajarze i bał się, że mogą spłonąć również domy na całej ulicy, więc wsiadł za kółko i pomknął na wschód.

Na liście zadań były jeszcze trzy cele. Miał nadzieję, że przynajmniej w jednym znajdzie coś, co jest dla gangu cenne. Zerknął na GPS.

Następny postój to też była kryjówka, tym razem w Chapali.

Miał nadzieję, że tym razem uda mu się coś zniszczyć.

* * *

Tej nocy de la Rocha spał na szezlongu na przewiewnym balkonie obok swojej sypialni. Lubił nocować na zewnątrz. Przypominało mu to czasy z wojska, choć wtedy bynajmniej nie sypiał na balkonie bogato zdobionej sypialni w hacjendzie we własnej posiadłości o powierzchni dwustu hektarów.

„Pająk” siedział na ustawionym przy drzwiach fotelu z wysokim oparciem, tuż za szezlongiem. Na kolanach trzymał karabinek M4, a przy jego nodze leżał worek pełen magazynków.

Nestor Calvo Macias wszedł na balkon bez zapowiedzi. „Pająk” odruchowo zerwał się na nogi i wyciągnął broń. Mężczyzna jednak nawet nie raczył na niego

spojrzeć. Minał go i krzyknął do drzemiącego de la Rochy:

– *Gringo* napadł na kryjówkę w Chapali!

Usłyszawszy to, de la Rocha podniósł się ospale i przetarł oczy.

– Chapala? *Madre di dios!* – Przebudził się, kiedy się zorientował, o co chodzi. – Ukradł nasze zapasy?

– Nie ukradł. Spalił.

DLR przeklął po hiszpańsku i chwycił się za głowę.

– *¡Qué chingado!* Ile?

– Wszystko. Mieliśmy tam mniej więcej siedemnaście milionów dolarów amerykańskich, wszystko spakowane i gotowe do przewiezienia do banku. Dokładną wartość szkód poznam wkrótce, po konsultacji z księgowością.

– I on to tak po prostu spalił? Zaproszył ogień i uciekł?

– *Sí.*

– A co ze strażnikami?

– Jeden nie żyje. Drugiego szukamy, ale najprawdopodobniej...

– A reszta? Mieliśmy chyba więcej ludzi do pilnowania takiej fortuny?

– Mieliśmy tam kilkunastoosobową ekipę. Reszta żyje. Nawet się nie zorientowali, że coś jest nie tak, dopóki nie wybuchł pożar. Podpalacza nie widzieli.

– No to trzeba, do kurwy, pozabijać tych durnych *pendejos!*

– *Sí!* – mruknął „Pająk”, który natychmiast wychylił się na korytarz i zaczął wydawać rozkazy, aby zakończyć żywot ekipy z kryjówek w Chapali.

– Daniel... – Nestor Calvo jęknął błagalnym tonem. – W ciągu ostatnich czterech dni *gringo* dokonał jedenastu ataków na nasze placówki, ludzi i konwoje. Szacuję, że wartość strat kapitałowych i produkcyjnych wynosi, w najbardziej optymistycznym dla nas scenariuszu, mniej więcej pięćdziesiąt milionów dolarów.

– Czyli ten chujek kosztuje mnie ponad dwanaście milionów dolców dziennie?

– Co najmniej.

– Ale jak długo jest w stanie to ciągnąć?

Tym razem odezwał się „Pająk”, który postanowił nie owijać w bawełnę.

– Szefie... Nasza organizacja została zbudowana tak, aby walczyć z wojskiem, policją federalną i konkurencyjnymi kartelami. Nie jesteśmy jednak przygotowani na walkę z samotnym napastnikiem pokroju tego *gringo*, z jego możliwością szybkiego przemieszczania się i umiejętnościami. Trudno powiedzieć, jak długo jesteśmy w stanie funkcjonować, zanim go złapiemy.

– Naszym zdaniem – wtrącił się Calvo – prawdopodobne jest to, że przynajmniej część jego informacji pochodzi od Madrigala, ale nie wiemy na pewno, czy dla niego pracuje.

– Przypomnij mi, jak nazywa się twój odpowiednik z Los Vaqueros...

– Hector Serna Campos.

– Skontaktuj się z nim. Powiedz, że mamy wojnę.

– W naszej obecnej sytuacji wypowiedzenie wojny Madrigalowi przyniesie nam wyłącznie dodatkowe straty. Nie możemy sobie pozwolić...

De la Rocha z wściekłym wrzaskiem wbiegł do sypialni.

– Nie mów mi, czego nie możemy! To oni wypowiedzieli nam wojnę, wysyłając tego skurwiela!

– Ale co do tego nie mamy pewności!

– Ja mam pewność! – wrzasnął de la Rocha, aż plunął śliną. Wydał kolejny krzyk pełen złości i zdenerwowania. Próbował znaleźć ujście gotującej się w nim od kilku dni furii. – Przecież już go miałem! Stał przede mną w łańcuchach! Mogłem po prostu pociągnąć za spust i skończyć z tym wszystkim! Dlaczego tego nie zrobiłem? Dlaczego nie zabiłem tego *pendejo*? Tylu ludzi straciłem, i to tylko dlatego, że wtedy nie pociągnąłem za spust...

– Jeśli postanowisz go ścigać, on wciąż będzie zabijał twoich ludzi! Jest za dobry! – stwierdził Calvo.

De la Rocha odzyskał panowanie nad sobą. Wziął kilka głębszych oddechów, rozmasował szyję, po czym machnął ręką.

– Co z tego? Ludzi mogę tracić. Co innego дума. Z nią nie lubię się rozstawać. – To powiedziawszy, zwrócił się do „Pajaka”: – Podjąłem decyzję. Od tej chwili jesteśmy w stanie wojny z Los Vaqueros.

– *Entendido, señor.*

– Gdziekolwiek natrafimy na ich ślad, gdziekolwiek ich zobaczymy...

– ...tam ich zabijamy – dokończył „Pająk”, spoglądając przelozonemu prosto w oczy.

– Otóż to.

Calvo wciąż nie dawał za wygraną.

– Błagam, posłuchaj mnie, Danielu. „Pająkowi” zależy na wojnie z Madrigalem, bo chce popisać się tym, jak jego ludzie potrafią się naparzać. I co z tego, skoro nie są w stanie zabić *gringo*? Co z tego, że mogą wymordować gromadę jebanych Los Vaqueros w ciemnej uliczce, skoro Amerykaniec i tak ich przechytzy, i tak jest od nich lepszy?

Javier „Pająk” Cepeda spojrział wrogo na Nestora. Wielu widziało tę minę, nim „Pająk” odrąbał im głowę.

– Nie słuchaj go, szefie! On chce uniknąć wojny z kowbojami dlatego, że na starość mu się zmięкло! A tymczasem od dawna zbyt pobłażliwie traktowaliśmy Madrigala. No i jak nam się kowboj z Sinaloa odpłaca? Będziemy z nimi walczyć dopóty, dopóki oni nie zabiją *gringo* albo przynajmniej go nam nie przekażą. Kiedy przy pomocy moich chłopaków w ich rewirze poleje się krew, to w tydzień stwierdzą, że *gringo* tylko szkodzi ich operacji. Wtedy, jeśli zechcesz, możemy się wycofać.

DLR zaczął potakiwać, jeszcze zanim Cepeda skończył przedstawiać swój plan. Następnie zwrócił się do Calvo:

– Posłuchaj, Nestorze. Jak już mówiłem, masz się skontaktować z tym Serną. Powiedz mu, że wiemy, że *gringo* pracuje dla nich i odbieramy to jako wypowiedzenie wojny. To ich obwiniamy o stratę dobytku i ludzi. Dopóki ten facet żyje, będziemy ich karać za jego ataki.

Nestor był wściekły i sfrustrowany, ale już się nie odezwał. Posiadał doskonały barometr nastrojów swojego przelozonego i wiedział, że tym razem przeciwstawienie się mu nie zadziała.

– Dobrze, Danielu. Natychmiast skontaktuję się z Hectorem Serną. Powiem mu, że mamy wojnę. Przedstawię mu warunki pokoju.

* * *

Pierwszy atak miał miejsce już trzydzieści trzy minuty później. Para *sicarios* niższego stopnia w Mazatlan śledząca od kilku dni wiceszefa lokalnej siatki

Madrigala dostała SMS z informacją o wszczęciu polowania na Los Vaqueros. Odczytawszy go, natychmiast wstali od stolika przed knajpką, gdzie siedzieli, przelknęli ostatnie kęsy *tamales*, po czym wyrzucili do kosza papierowe talerzyki rozmiękle od sosu. Weszli do sklepu jubilerskiego po przeciwnej stronie ulicy i zabili gościa, za którym łazili, a także jego żonę i dwóch ochroniarzy.

Dziewięć minut później auto, którym jechało czterech Vaqueros, zostało zatrzymane przez policję stanu Jalisco na autostradzie z Puerto Vallarty do Guadalajary. Kowboje zostali ustawieni w rzędzie, a następnie rozstrzelani przed samochodem. Ich ciała porzucono na rozgrzanej górskiej autostradzie, gdzie leżały niczym rozjechane ryjówki.

Do końca wieczoru zamordowano jeszcze dwunastu kowbojów, siedmiu zostało rannych. Oberwało przy tym czterech Los Trajes Negros. W stolicy przypadkowy przechodzień został postrzelony podczas strzelaniny pomiędzy policjantami pracującymi dla tych organizacji.

Trzydzieści dwie ofiary w ciągu pierwszych dwunastu godzin wojny. A to był dopiero początek.

* * *

Przez kolejne dwa dni Court funkcjonował jak na haju. Informacje od Serny były wartościowe, ale bladły w porównaniu z tym, co udawało mu się odkryć podczas napaści. W Colimie wykradł smartfon ze stróżówki, w którym znalazł adres podpisany *foco*. Wiedział, że w tutejszym slangu oznacza to kryształ, więc postanowił tam zawitać. Na miejscu znalazł ogrodzony magazyn pełen kontenerów. Pilnowała ich spora grupa strażników, ale Gentry zdołał wślizgnąć się tam i umieścić w nim kilka bomb z ANFO, które zmajstrował w opuszczonej kopalni. Każda z nich została wyposażona w prosty radiowy detonator. Kiedy Court wyjechał ze strefy rażenia, zadzwonił z jednej ze swoich licznych komórek pod odpowiedni numer, po czym sześć kontenerów metamfetaminy wyleciało w powietrze w chmurze dymu.

Przystanął na pobliskim wzgórzu, aby podziwiać swoje dzieło. Dostrzegł odjeżdżające stamtąd czarne bmw. Court wcisnął gaz do dechy i zepchnął sportowe auto z drogi swoją mazdą, schwytał gramolącego się z wraku gangstera i wziął go na zakładnika. Zmarł on z powodu odniesionych ran cztery godziny

później, ale zdążył zdradzić Amerykaninowi cenne informacje o działaniach Czarnych Garniturów w zakresie produkcji i rozprzestrzeniania kryształu w Nayarit i Jalisco.

Court postanowił przez najbliższe kilka dni skupić się na metamfetaminowej gałęzi Los Trajes Negros. Konający gangster twierdził, że to ona przynosiła największe dochody DLR. Jego produkcja jest kosztowna, więc wyeliminowanie wykwalifikowanych pracowników czy niszczenie infrastruktury produkcyjnej musiało być dla organizacji najbardziej bolesne. Court wolał to, niż palić plantacje marychy lub maku. Gdyby jakaś się napatoczyła, toby się nią zajął, ale skupienie się na *foco* znacznie szybciej wywoływało największe szkody.

Idąc tym tropem, Gentry trafił do Acoponety, niewielkiej miejscowości na nizinie w drodze do Mazatlan. Przed śmiercią człowiek de la Rochy podał mu kilka adresów, które zamierzał odwiedzić przed skierowaniem się w góry, aby zająć się jednym z największych laboratoriów Los Trajes Negros.

Przed obiecująco zapowiadającym się wieczorem siania zniszczenia Gentry wstąpił do sklepu po zapasy fasoli, napojów, kawy rozpuszczalnej i wody. Następnie wszedł do mieszczącej się obok jadłodajni, aby skorzystać z toalety na zapleczu. Gdy już miał wyjść z łazienki, spojrzał na ścianę. Wisiał na niej plakat ze zdjęciem poszukiwanego przestępcy.

Przez jego ciało przeszła fala niepokoju, jakiej nie doświadczył od kilku lat.

To był on!

POSZUKIWANY MORDERCA

AMERYKAŃSKI ZABÓJCA NA USŁUGACH KARTELU MADRIGALA

Poniżej widniał numer telefonu, pod który należało zgłaszać wszelkie informacje.

Gentry zdał sobie sprawę, że nawet jeśli uda mu się przeżyć, nawet jeśli zdoła uciec z Meksyku, Amerykanie z radością przylepią mu łatkę mordercy na usługach meksykańskiej mafii. Już nie ma szans na powrót do USA. Czy ta dziewczyna była tego warta?

Court pokręcił głową wściekły, że to pytanie przyszło mu na myśl. Oczywiście, że była tego warta. Zerwał plakat ze ściany i wrzucił go do kosza na śmieci. Po

lewej stronie skrzypnęły drzwi. Gentry się odwrócił, wyciągając broń. Ukląkł przed umywalką. Wycelował prosto w środek klatki piersiowej mężczyzny i automatycznie odbezpieczył glocka.

Przybysz wyciągnął ręce nad głowę.

– ¡*Madre de dios!* – zawołał przerażony.

Court zerknął zza muszki i palec zamarł mu na spuście. Zobaczył przed sobą otyłego mężczyznę w kowbojskim kapeluszu, rolnika, który chciał skorzystać z pisuaru. Zdjął palec ze spustu, wstał i schował broń do kabury. Wyszedł z toalety, nawet nie zerkając na przestraszonego mężczyznę.

„Cholera, Gentry! Weź się w garść” – pomyślał.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Dotarcie na miejsce i ustawienie się na odpowiedniej pozycji zajęło Courtowi cały dzień. Większość czasu – jadąc mazdą w góry, wspinając się i czołgając, ukrywając się pod kładką przed przechodzącymi *guerreros*, sprawdzając współrzędne GPS według informacji od Czarnego Garnituru, którego martwe ciało spoczywało teraz na dnie przepaści nieopodal jego kryjówki przy kopalni – rozpaczał z powodu opóźnienia. Pragnął zadawać ciosy Los Trajes Negros każdego dnia, najlepiej kilka razy dziennie. Bał się, że dwadzieścia cztery godziny, podczas których poruszał się niezauważony przez Sierra Madre w kierunku laboratorium, które może nawet nie istnieje, obniży walory szokowe jego operacji, od których przecież zależało jej powodzenie.

Court nie wiedział, że dzień wcześniej Daniel de la Rocha wypowiedział wojnę kartelowi Madrigala. Gdy on był w drodze, połała się krew, a Los Trajes Negros nie zauważyli, że tym razem *gringo* w tym nie uczestniczył.

Biorąc pod uwagę liczbę starć, ofiar śmiertelnych i rannych, napaści na konwoje czy kryjówki, Czarne Garnitury były coraz bardziej poszkodowane.

Court poruszał się pod osłoną nocy, posiłkując się noktowizorem drugiej generacji od Hectora Serny. W porównaniu z podobnym sprzętem, którego używał w przeszłości, był to antyk, jednak spełniał swoje zadanie. Gentry przeszedł dolinę i zbliżył się do wioski, w której roilo się od ludzi de la Rochy. Był tak blisko, że czuł zapach gotowanych potraw i słyszał szczekanie psów. On jednak pozostał niezauważony. O pierwszej nad ranem znalazł się nad strumieniem w miejscu, o którym mówił gangster. Podniosło go to na duchu. Szedł wzdłuż potoku, aż dotarł do ciemnego kanionu. Z oddali dochodził go szum wodospadu.

Noktowizor i GPS ułatwiały wędrówkę, ale przeżył ją głównie dzięki wrażliwemu słuchowi, czułemu węchowi, znajomości dzikiej przyrody i tego, jak się po niej bezszelestnie poruszać. O piątej nad ranem był na miejscu. Zsunął się

po skale do niewielkiego wąwozu, a następnie schował na półce skalnej osłoniętej koronami drzew.

Słońce miało wzejść dopiero za dwie godziny, nozdrza Courta jednak wyczuły aromat świeżych tortilli i kawy. Rozległo się pianie koguta. Szczekały psy, beczały kozy. Dochodziły go wszelkiego rodzaju odgłosy typowe dla osad. Co jakiś czas do jego kryjówki trzy metry nad zwirową drogą dolatywała woń palonej marihuany. Wkrótce do odgłosów dołączyły dźwięki silników, potężnych generatorów na gaz. Zaczęło się przejaśniać. Poza naturalnym światłem powoli spływającym z drzew zauważył oświetlenie elektryczne na polanie jakieś czterdzieści pięć metrów dalej. W świetle reflektorów nadjeżdżającego dżipa ukazał się szeroki, metalowy budynek pomalowany oliwkową matową farbą. Po kilku sekundach auto przejechało tuż pod Courtem. Siedzieli w nim uzbrojeni po zęby mężczyźni.

Court Gentry, wciąż pozostający w ciemności, szykował się do ataku.

* * *

Tego samego dnia o godzinie siódmej Nestor Calvo odłożył słuchawkę w swoim gabinecie w hacjendzie Maricela. Za biurkiem siedział od piątej trzydzieści. Był w koszuli i w krawacie, marynarkę powiesił na stojącym w rogu pokoju skórzanym fotelu. Pił sok z mango i sączył kawę, nie przestając dzwonić i pisać e-maili do swoich kontaktów w Stanach Zjednoczonych. Z każdą godziną wojna Los Trajes Negros z Constantinem Madrigalem stawała się coraz bardziej zażarta, lecz on zmuszony był spędzać ranki na poszukiwaniu wdowy po majorze Gamboa. Udało mu się pozyskać informacje pozwalające przypuszczać, że rodzina zmarłego opuściła Tucson autobusem, być może jadącym na północny wschód. Na podstawie tych niepewnych danych Calvo przez półtorej godziny próbował skontaktować się ze swoimi źródłami w Chicago i Bostonie, zmuszając wszystkich do wykorzystania siatki informatorów w poszukiwaniu ciężarnej, trzydziestopięcioletniej Meksykanki.

Nestor zdawał sobie sprawę z tego, że było to szukanie igły w stogu siana. Niestety, do jego obowiązków zawodowych należało wykonywanie wszystkich, nawet najmniej sensownych rozkazów przełożonego.

Nagle zadzwonił telefon. Pierwsze połączenie przychodzące tego dnia. Otworzył klapkę komórki i powiedział:

– ¿Bueno?

Pięć minut później wybiegł z gabinetu, trzaskając drzwiami i wkładając kevlarową marynarkę.

* * *

Daniel de la Rocha walił w worek treningowy niczym doświadczony bokser wagi średniej. Nie był jedynym człowiekiem w sali gimnastycznej. Nieopodal stali dwaj mężczyźni, którzy dopingowali go podczas sparingu z trenerem i potem, gdy uderzał rękawicami w ciężki worek. Teraz instruktor stał w rogu ringu i wykrzykiwał wskazówki.

Nieopodal był też Javier Cepeda. „Pająk” od kilku dni nie odstępował szefa na krok, mimo że równocześnie był zajęty wydawaniem rozkazów swoim podwładnym, którzy co chwila zjawiali się po kolejne wskazówki co do wojny z Los Vaqueros.

Nestor Calvo Macias swoim nowym zwyczajem wparował do sali gimnastycznej, nie zważając na ochronę i innych mężczyzn, i żwawym krokiem skierował się do przełożonego.

DLR zobaczył go w lustrze zajmującym całą ścianę naprzeciwko. Opuścił ręce i odwrócił się do Calva:

– Coś czuję, Nestor, że przynosisz mi kolejne złe wieści...

– Zniszczono superlaboratorium numer sześć.

– Jak to „zniszczono”?

– Całkowicie. Było, a teraz go nie ma. Zostały płonące zgliszcza. Powyginane blachy. Trupy. Straciliśmy cały kompleks wraz z zawartością.

Daniel kiwał tylko głową. Jego trener ocierał mu czoło rękawicami.

– Amerykanin zniszczył dwie pełne partie towaru – dodał Calvo. – Do tego cały sprzęt produkcyjny. Zabił kilku ludzi. Niektórzy pracownicy zagraniczni zniknęli. Nie mamy pojęcia, czy to on ich zabił, czy zginęli, czy może zwiali.

De la Rocha napiął mięśnie klatki piersiowej i ramion, po czym z całej siły uderzył prawą pięścią w worek.

– Jeszcze jedno... – mruknął ciszej Calvo. – Z biura administracji laboratorium zniknął laptop. Kierownik twierdził, że wszystko było zamknięte i zaszyfrowane,

z wyjątkiem jednego pliku, który w momencie kradzieży akurat był otwarty. Plik ten zawiera dane wrażliwe. Musimy założyć, że są one obecnie w rękach *gringo*.

Szef Czarnych Garniturów po raz kolejny uderzył w worek, po czym zwrócił się do swojego doradcy:

– Co to za dane?

– Adresy wszystkich naszych nieruchomości w Meksyku.

– Kurwa! – krzyknął DLR. – Czyli Madrigal zna adresy naszych nieruchomości?

– Jeśli *gringo* rzeczywiście dla nich pracuje, to tak...

– ¡*Hijo de puta!* – wrzasnął de la Rocha, po czym z impetem grzmotnął w worek. Po chwili przerażony zwrócił się do swojego *consigliere*: – A Cuernavaca? Czy nasz dom był na...

– *Sí, jefe.*

– Nestor... Tam są moje dzieci... Moja żona... To, kurwa, mój dom!

– Wiem.

– Mówił przecież, że nie tknie mojej rodziny!

– Na razie nie tknął twojej rodziny.

De la Rocha puścił ostatnią uwagę Nestora mimo uszu.

– To co teraz robimy? – zapytał i rozłożył ręce, by trener ściągnął z nich rękawice.

– Dwa dni temu narzekaliśmy, że *gringo* pozbawił nas pięćdziesięciu milionów dolarów. A teraz? Teraz trzeba opracować nowe trasy, nowe kryjówki, musimy zmienić wszystkie kanały dystrybucji, łącznie z tymi do Stanów... Stracimy co najmniej dziesięć razy tyle – podsumował Calvo.

„Pająk”, który dotychczas milczał, wtrącił się do rozmowy.

– Szefie! Musimy cię stąd natychmiast ewakuować!

– Moja rodzina... – szepnął DLR. – Ją też gdzieś ukryjcie.

Słyszając to, jeden z Czarnych Garniturów wybiegł z sali gimnastycznej i sięgnął po telefon, aby zadzwonić do ochrony w Cuernavaca z poleceniem, by natychmiast zabrali stamtąd żonę de la Rochy i szóstkę ich dzieci.

Daleko jednak nie zaszedł. Po chwili wsunął głowę do pomieszczenia i zapytał:

– Wybaczcie, panowie. – Rozejrzał się po zebranych, nie bardzo wiedząc, kogo pytać. – Ale dokąd mamy zabrać rodzinę szefa?

– Do naszej rezydencji w Portugalii. Niech natychmiast jadą na lotnisko w stolicy, a stamtąd wieczorem polecą naszym samolotem do Europy – rzucił de la Rocha.

Calvo jednak pokręcił głową.

– Nie tam. Plik zawierał również adres rezydencji w Faro.

– Skurwysyn! – Tym razem szef kartelu zaklął po angielsku. Nauczył się tego, będąc na ćwiczeniach wojskowych w Stanach Zjednoczonych.

– On nas zniszczy...

– Ależ nie – odparł Calvo. – Bo ty do tego nie dopuścisz. Natychmiast wypuścisz siostrę majora...

– Nie! – DLR chwycił Nestora za poły marynarki i pchnął go na lustrzaną ścianę. – Ani mi się śni!

– Posłuchaj! Ta cała sprawa kosztuje nas zdecydowanie za dużo forsy, za dużo czasu, za dużo...

– Mam to gdzieś! Mnie to nie obchodzi! Jedyne, na czym mi zależy, to żeby Elena i ten cholerny *gringo* wreszcie zginęli! A teraz ma czelność grozić moim dzieciom?

Słyszając to, Calvo pokręcił głową. Nawet fizyczne zagrożenie ze strony przełożonego nie zrobiło na nim większego wrażenia.

– Na razie nikt nie grozi twojej...

„Pająk” natychmiast stanął między nimi.

– Posłuchaj, jefe. Przecież mamy wielu przyjaciół, a wśród nich licznych właścicieli sieci hoteli, domów na wynajem, wszelkiego rodzaju nieruchomości. Jesteśmy w stanie ukryć twoją rodzinę gdziekolwiek. Możemy wynająć całe piętro, cały budynek! Podwoję obstawę, dzieciom powiemy, że to wakacje.

Calvo i de la Rocha wciąż spoglądali na siebie groźnie. Młodszy mężczyzna w końcu puścił marynarkę starszego. Nie spuszczać oczu z doradcy, Daniel odpowiedział „Pająkowi”:

– Nie podwój, tylko potrój. I powiadom wszystkich o zmianie planów. W ciągu godziny pojedziemy do Puerto Vallarty, tam mamy więcej gliniarzy w kieszeni niż

gdziekolwiek indziej. Sam będę pilotował helikopter. Weźmiemy ze sobą Laurę Gamboa. Wynajmiemy największą chatę, jaką da się tam znaleźć. Wojna z Madrigalem niech trwa do czasu, kiedy *gringo* zostanie zgładzony, a żona majora znaleziona.

Calvo bez słowa wybiegł z sali gimnastycznej i wrócił do gabinetu. Po drodze postanowił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby zakończyć to szaleństwo, nie zważając już na rozkazy szefa. W końcu to jego Amerykanin nazwał „dorosłym”. Nestor wiedział, że chodziło mu głównie o upokorzenie DLR, ale przyznał, że *gringo* miał poniekąd rację.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Court stawiał się w umówionym miejscu, z którego miał odebrać sprzęt od kartelu Madrigala. Kończyły mu się detonatory, azotan amonu i olej napędowy. Do tego przydałoby się kilka nowych telefonów komórkowych, odrobina gotówki i amunicja do sako.

Kiedy jednak przyjechał do miejsca, w którym miał znaleźć zapasy, zauważył przed budynkiem jakiegoś mężczyznę. Gentry został w maździe, sto metrów od punktu odbioru, i spojrział przez lornetkę.

To był Serna. Sam.

Czekał.

Court podjechał i zaparkował. Wszedł i spojrział na szefa wywiadu Los Vaqueros.

– Co tu robisz?

– Kowboj chce z tobą pogadać.

– Osobiście?

– *Sí*. I to natychmiast.

Gentry zdziwił się i odparł:

– Nie mam czasu na pogaduszki w cztery oczy. Nie możemy się po prostu zdzwonić?

– Nie. Pojedziesz z nami.

– Z jakimi „wami”?

– Nie chciałem cię spłoszyć, więc moi ludzie się ukryli. Ale jest ze mną dwudziestu chłopów.

– O czym Madrigal chce ze mną pogadać?

– Nie wiem.

Court spojrział na *narco* ze stanu Sinaloa, ale nie potrafił stwierdzić, czy mówi prawdę, czy kłamie. Gentry doszedł do wniosku, że choć mógłby pogrozić Sernie i zwiać, to nie miało sensu. Przecież Madrigal nie miał powodu gniewać się na niego. Wręcz przeciwnie – Court poważnie zaszkodził jego głównemu konkurentowi na rynku. Constantino powinien śpiewać na jego cześć ballady sławiące wyczyny Gray Mana i podwoić pomoc.

Court pokiwał głową i podniósł ręce. Pozwolił, aby Serna go przeszukał. Hector znalazł cztery spluwy, a następnie zadzwonił po swoich ochroniarzy z krótkofalówki. W kilka sekund ze wszystkich wjazdów na parking przy skrytce wjechały potężne pikapy. Serna i Gentry weszli do jednego z nich, po czym konwój ruszył na północ.

W południe Serna i Gentry siedzieli już w niewielkiej awionetce lecącej na północny zachód. O wpół do pierwszej wylądowali na porośniętym trawą lotnisku w górach. Tam weszli do potężnych chryslerów, które przewiozły ich przez całkiem spore miasto. Court spytał towarzysza, gdzie się znajdują, ale usłyszał tylko, że na południu stanu Sinaloa.

Po najwyżej dwudziestu minutach wjechali główną bramą na rozległy cmentarz. Niebo było bezchmurne, panował chłód. Wokół bogato zdobionych mauzoleów stojących na elegancko przyszyżonym trawniku kręcili się uzbrojeni faceci w kapeluszach kowbojskich. To zdecydowanie nie przypominało cmentarzyka, na którym pochowano Eddiego Gamboa. Tutejsze grobowce były wielkie, bogato zdobione, pokryte rzeźbami z betonu i marmurowymi płytami. Niektóre miały nawet połączane dachy albo pomniki wielkości człowieka.

Serna odpowiedział na pytanie, którego Court nie zdążył nawet zadać:

– Ten cmentarz to miejsce pochówku ludzi Madrigala. Szef często odwiedza tu swoich starych przyjaciół. To, że cię tu zaprosił, potraktuj jako wyróżnienie.

Gentry miał wątpliwości, czy aby na pewno został tu „zaproszony”, ale nie zamierzał się spierać. Chrysler jechał szeroką aleją pomiędzy kilkunastoma kryptami, z których część była rozmiaru niewielkich domów. Nad wejściami do niektórych wisiały żeliwne tarcze z oprawionymi fotografiami spoczywających w nich, inne były przyozdobione oryginalnymi detalami, takimi jak kamienne kałasznikowy, marmurowe kapelusze kowbojskie czy naturalnej wielkości konie z brązu. Na niektórych grobowcach przytwierdzono różne części pikapów, zazwyczaj cadillaców i dodge’ów. Na dachu jednego, wyjątkowo okazałego

nagrobka stał naturalnej wielkości stalowy model dwusilnikowej awionetki piper. Cmentarz był przystrojony morzem czerwonych, żółtych i niebieskich kwiatów.

Chrysler zatrzymał się przed wejściem do stosunkowo niewielkiej krypty. Wyglądała na w miarę nową. Była strzeżona przez dwunastu uzbrojonych kowbojów. Wśród nich stał Madrigal z nastoletnim synem, Chingarito. Szef Los Vaqueros miał na sobie czerwoną koszulę i błękitne dżinsy, tenisówki i słomkowy kapelusz kowbojski. Poza prostym krzyżykiem na szyi jedyną ozdobą stroju była klamra paska w kształcie głowy konia.

Kowboj przywitał się z Courtem, gdy ten tylko wyszedł z samochodu, i uściśnął mu dłoń. Jego wąsy częściowo zasłaniały uśmiech.

Madrigal się odezwał, a Chingarito tłumaczył:

– Siedem dni, *amigo*... Poznaliśmy się dokładnie tydzień temu. Obiecałeś mi wtedy, że narobisz problemów Los Trajes Negros. Muszę przyznać, że spodziewałam się, że zabijesz kilku facetów, zniszczysz trochę towaru, a następnie zginiesz. Udowodniłeś jednak, że jesteś prawdziwym rozbójnikiem.

– Dziękuję.

– Jesteś pewien, że nie urodziłeś się tu, w Sinaloa?

Court nie odpowiedział. „Mały skurwiel” nie musiał tego tłumaczyć.

Madrigal ciągnął:

– Zdobyłeś mój szacunek. W siedem dni udało ci się dokonać więcej niż tym zasranym idiotom – wskazał na swoich ludzi – w siedem lat.

Chingarito zaśmiał się, tłumacząc.

– Dopiero zaczynam – mruknął Gentry. – Za parę dni zostaną mu...

– Właśnie dlatego cię tu sprowadziłem – przerwał mu Madrigal. Chingarito zaplątał się w tłumaczeniu.

– Wczoraj w Puerto Vallarcie zarżnięto dziewięciu moich *sicarios*. W Guadalajarze zniknęło pięciu policjantów ze stanu Jalisco, którzy dla mnie pracowali. Podejrzewam, że za kilka dni znajdziemy ciała z ich kutasami w ustach. Przedwczoraj zabito dwunastu moich ludzi, zabrano też całą dostawę towaru.

Gentry przyjrzał mu się uważnie, po czym mruknął:

– Szczerze powiedziawszy, mam gdzieś, co się dzieje z twoimi zabójcami.

Chingarito przetłumaczył, a jego ojciec odpowiedział:

– To sprawka DLR. Podejrzewa, że współpracujemy, a teraz mnie za to karze. Mówiłem, że to ma sens dopóty, dopóki jesteśmy w stanie ukryć naszą współpracę.

– Wiadomo było, że może was podejrzewać o moje działania. Jestem pewien, że macie pod dostatkiem zabójców i dragów.

– Oczywiście. Na lata wystarczy. Ty szkodzisz mu bardziej, niż on szkodzi mnie. Nastąpiła jednak pewna zmiana planów. Nie zamierzamy ciągnąć tej wojny.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przestałeś być mi potrzebny. Doszliśmy z Danielem do porozumienia. My przekazemy twoje ciało Czarnym Garniturom, a oni przestaną nas atakować. Obiecano mi kilka naprawdę przyjemnych rzeczy. Przystałem na ich propozycję.

– Dogadałeś się z Nestorem Calwą – zauważył Gentry. Wiedział, że DLR nie zaproponowałby żadnego układu ze swoim arcywrogiem. Wolałby walczyć i grozić, ale na pewno nie wyszedłby z jakąkolwiek propozycją ugody.

Chingarito tłumaczył wypowiedź ojca.

– Owszem. Nestor Calvo Macias to najważniejsza osoba w Los Trajes Negros. Wie więcej niż de la Rocha, przez co de facto ma więcej władzy od niego. Zaproponował mi jedno z ich ocalałych superlaboratoriów *foco*. To prezent wartości kilku miliardów dolarów – uśmiechnął się Madrigal. – Powinieneś być dumny z ceny rynkowej, którą udało ci się osiągnąć.

– Nie posiadam się ze szczęścia.

Kowboj wzruszył ramionami.

– Wybacz, przyjacielu. Niestety będę musiał cię zabić. Ale zamierzam uczcić twoje zasługi. Popatrz, w jakiej pięknej krypcie cię pochowamy!

Pozostali kowboje zaczęli ich otaczać. Court gorączkowo szukał wzrokiem Serny. Szef wywiadu był wyraźnie niezadowolony z rozwoju sytuacji, ale milczał.

Gentry zerknął na Chingarita.

– Mogę mu zaoferować więcej niż Calvo! Powiedz mu to!

Chłopak przetłumaczył.

– Ale dzięki tobie zyskuję to, na czym mi zależy. Bardzo chcę tego laboratorium – odparł Madrigal.

Ktoś za Gentrym zarzucił mu worek na głowę.

– *Mátalo* – rozkazał Kowboj. Tego jego syn już nie tłumaczył.

Court wiedział, że jest to zarówno nazwa rodzinnej miejscowości Constantina, jak i rozkaz „Zabić go!”.

Przy swojej głowie usłyszał trzask odbezpieczania pistoletu.

Court krzyknął jedno słowo.

Madrigal zarządził:

– *¡Espera! Czekaj!* – Po czym zapytał: – *¿Qué dijiste?* Co powiedziałeś?

Court odpowiedział po hiszpańsku:

– Powiedziałem „Calvo”. Złapię dla ciebie Nestora Calva. Dobrze wiesz, że jeśli on trafi w twoje ręce, to będzie koniec Daniela de la Rochy i jego Czarnych Garniturów. – Court nie widział Hectora Serny, ale zawołał do niego: – Prawda, Hectorze, że chciałbyś wziąć na spytki Nestora? Dowiedzieć się wszystkiego?

Court się spocił. Wszystkie mięśnie twarzy i szyi miał napięte, jakby oczekiwały na strzał, którego i tak nawet by nie poczuł. Nie myślał jednak o swojej śmierci, tylko o Laurze. Oczami wyobraźni widział ją samotną i przerażoną. Bał się tego, co się z nią stanie, kiedy pilnujący ją mężczyźni się dowiedzą, że już nie muszą trzymać się od niej z daleka.

Tak bardzo chciał jej pomóc.

Poczuł, że ktoś chwyta go za ramiona i plecy. Wepchnięto go do mauzoleum. Za nim wykrzykiwano jakieś rozkazy, w końcu drzwi się zamknęły. Wewnątrz krypty było chłodno i ciemno.

Zdjęto mu worek z głowy. Po bokach stali kowboje, każdy przyciskał do jego skroni lufę rewolweru. W świetle przedostającym się do wnętrza przez niewielkie witrażowe okienko z tyłu dostrzegł Madrigala, jego syna oraz Sernę.

– Calvo jest dobrze strzeżony – powiedział Hector.

– A ja jestem doskonale zmotywowany – wydusił przerażony Court.

– Teraz obiecasz wszystko, żeby się uratować – mruknął Madrigal. – Nie wierzę, że jesteś w stanie nam go dostarczyć.

– Jak macie mu udowodnić, że nie żyje? – zapytał po angielsku Court.

Chingarito znów zaczął tłumaczyć.

– Mam mu powiedzieć, w której krypcie cię umieściliśmy – odparł Kowboj. – Zamierza przysłać kogoś, zanim ją zaplombujemy.

– Powiedz mu, że chcesz się z nim spotkać osobiście na cmentarzu – zwrócił się Court do Hectora Serny.

– Dlaczego miałby się na to zgodzić?

– Musi się na to zgodzić. Przecież nie może wyjawić swojemu szefowi, że się dogadaliście. Przystanie na każdą sensowną prośbę, żeby tylko utrzymać tę transakcję w tajemnicy. Poza tym założę się, że go to zaintryguje. Na pewno będzie próbował wyciągnąć ze spotkania jakąś korzyść.

Madrigal potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Nie zgodzi się. To dla niego zbyt niebezpieczne.

– To powiedzcie mu, że może przyjść z obstawą. Niech przywlecze z sobą setkę *sicarios*, gdyby to miało go uspokoić. Zapewnijcie go, że może przysłać koleśia dzień wcześniej na przespīgi i obejrzenie miejscówki.

– Dasz sobie radę z setką?

– Oczywiście, że nie, ale na pewno aż tylu nie weźmie. Pracuje potajemnie, dogadał się z wami bez wiedzy DLR. Zrobi wszystko, żeby Daniel wciąż żył w błogiej nieświadomości co do waszego układu. Jasne, że przyjdzie z jakąś obstawą, głupi nie jest, ale założę się, że to będzie obstawa, z którą jeździ na co dzień. Jakaś wygodna, posłuszna gromadka, która nie wygada się przed organizacją.

– A z nimi sobie poradzisz?

– Chyba będę musiał, nieprawdaż?

– Ale co ty zyskasz na tym, że dostarczysz mi Calvo? – zapytał Madrigal. – Zapewniam, że nie wymienię go na twoją dziewczynę.

Chingarito przetłumaczył wypowiedź ojca. Gentry poruszył wściekle nozdrzami, ale się opanował.

– Kiedy schwytam Calva, to go wam dostarczę, ale powiem DLR, że ja go mam i że go wymienię na Laurę. Ustalimy szczegóły transakcji. Przez ten czas wydobędziecie z Nestora to, co chcecie wiedzieć, zanim Czarne Garnitury zaczną go szukać, a ja będę mógł się zbliżyć i odbić Laurę.

Madrigal dłuższą chwilę przyglądał się Gentry'emu, po czym się uśmiechnął.

– Myślisz jak prawdziwy rozbójnik. Knujesz lepiej niż ktokolwiek, kogo dane mi było spotkać, *amigo*.

– Już kilka lat siedzę w tym fachu.

– Twoja propozycja jest intrygująca, lecz widzę pewien drobny problem. Zdajesz sobie sprawę, o czym mówię?

Gentry wiedział, o co mu chodzi.

– Chodzi o to, że kapusie z waszej organizacji mogą uprzedzić Calva o spisku.

Constantino pokiwał głową.

– Wiem, jak temu zapobiec.

– Jak masz temu...

Nagle na oczach Madrigala *gringo* zmienił się w rozmytą w ruchu postać. Padł na ziemię, poza linię strzału wymierzonych w niego rewolwerów. Obrócił się, machnął rękami i wytrącił broń obu strażnikom. Następnie chwycił rewolwer. Wrócił do poprzedniej pozycji i skierował lufę prosto w klatkę piersiową Constantina Madrigala.

Wszystko to trwało sekundę. Rozbrojeni mężczyźni się cofnęli. Madrigal, Chingarito i Serna patrzyli na niego osłupiali.

Po chwili milczenia Court zakręcił rewolwer na palcu, po czym podał go Madrigalowi.

– Proszę – powiedział. – Możesz mnie od razu zastrzelić albo pozwolić mi raz na zawsze rozwiązać twój problem z de la Rochą. Jeśli nie ufasz nikomu z zebranych, to ich zabij, wtedy nie będziesz musiał obawiać się przecieku. Ja zostanę tutaj, w krypcie. Możesz powiedzieć, że tamci zginęli w bójce, a ty mnie dobiłeś.

Constantino otworzył usta ze zdziwienia. Spojrzał na syna, czekając na tłumaczenie, jednak chłopak wydawał się sparaliżowany. Odezwał się dopiero po kuksańcu od ojca. Kiedy powtarzał słowa Amerykanina po hiszpańsku, Madrigal spoglądał na zebranych w mauzoleum, jakby chciał się upewnić, że widzieli to, co on.

Kowboj wziął rewolwer. Powoli wskazał straż.

– Tym dwóm... Tym dwóm ufam.

Następnie spojrział na Serne.

– Hectorowi też. No i oczywiście Chingarito. To rodzina i jest zbyt mądry, żeby mnie oszukać, prawda, *mi hijo*?

Mały Skurwiel przyznał, że nie jest na tyle głupi, by próbować przechytrzyć tatkę.

Jeden ze strażników podniósł spluwę z ziemi, drugi odebrał swoją od szefa. Obaj wyglądali na wstrząśniętych i upokorzonych.

Wkrótce Kowboj się otrząsnął.

– To było naprawdę dobre, *amigo*. Piękne. Mogłeś mnie zabić tu i teraz, ale tego nie zrobiłeś. Daję ci więc dwa dni. Poza mną i Hectorem nikt nie pozna planu. Obiecuję jednak, że jeśli nie dostarczysz mi żywego Nestora, wyślę wszystkich moich ludzi, żeby cię zabili.

– Będzie twój – przyrzekł Court. – Obiecuję.

Drugi raz w ciągu tygodnia Court Gentry musiał zdusić resztki przyzwoitości i uścisnąć dłoń Constantina Madrigala. Tym razem przyszło mu to tym trudniej, że zdawał sobie sprawę, iż to, co właśnie mu obiecał, było wierutnym kłamstwem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Czterdzieści sześć godzin później trzy opancerzone czarne chevrolety suburban pędziły po dwupasmówce biegnącej dnem kanionu w południowo-wschodniej części stanu Sinaloa. Pierwsze auto w konwoju miało na masce czerwonego koguta. Przejeżdżali przez miejsciny i skrzyżowania, nie bacząc na światła czy znaki drogowe.

Kierowca wiedział, że trzeba jechać szybko. Jak najszybciej.

Na tylnej kanapie w środku auta numer dwa, pomiędzy dwoma z trzynastu ochroniarzy, których wziął ze sobą, siedział Nestor Calvo Macias. Rozmawiał przez komórkę ze swoim asystentem będącym już w nowej rezydencji DLR pod Puerto Vallartą. Miał on zająć DLR, żeby nie pytał o Calvo. Nestor był profesjonalistą. Konieczność okłamywania przełożonego nie dawała mu satysfakcji. Wiedział jednak, że w tej chwili potrzebna jest interwencja dorosłego. Nie mógł pozwolić, aby kudłaty *gringo*, gipsowa kostucha w ślubnej sukience czy obłąkańcze poszukiwanie płodu zniszczyły wszystko, nad czym tak długo pracował.

Wiedział, że sprzeciwiając się rozkazom szefa i spotykając z Hectorem Serną z Los Vaqueros, zakończy kosztowną wojnę gangów. Będzie mógł złożyć przełożonemu w darze zwłoki jego amerykańskiego wroga i spowolnić trwające od tygodnia szaleńcze tempo utraty majątku i zasobów ludzkich.

To prawda, że cena, którą postanowił zapłacić za rozejm z Madrigalem, była wysoka: w zamian za zawieszenie broni i wydanie zwłok *gringo* obiecał oddać kowbojom superlaboratorium metamfetaminy mieszczące się na północnym zachodzie stanu Jalisco. Jednak decyzja, aby zaoferować właśnie tę placówkę, była dokładnie przemyślana. Owszem, wybudowanie laboratorium było kosztowne i czasochłonne, otwarto je trzynaście miesięcy temu. Jednak po uruchomieniu produkcji okazało się, że nie przynosi oczekiwanych dochodów. Ba! Sprawiało liczne kłopoty. Infrastruktura w okolicy była w opłakanym stanie, brakowało

wykwalfikowanych pracowników. Ponadto w Jalisco trwała akcja zwalczania upraw marihuany prowadzona przez armię i Czarne Garnitury żyły w strachu, że laboratorium zostanie odkryte przez jakiegoś młodego porucznika, ambitnego wykształciucha po studiach za granicą, którego nie uda im się przekupić. Dlatego Calvo doszedł do wniosku, że najlepiej będzie oddać tę potencjalnie problematyczną placówkę w zamian za życie człowieka, który pozbawiał jego organizację milionów dolarów dziennie i był źródłem licznych zmartwień i bólu głowy.

Podjęcie tej decyzji bynajmniej nie było trudne.

Nestor najbardziej martwił się tym, że aby osiągnąć swój cel, zgodził się na spotkanie z Serną. Doszedł jednak do wniosku, że niepotrzebnie hamletyzuje. Jego ochrona wysłała ekipę na przeszpiegi w umówione miejsce, gdzie zastała kryjówkę strzeżoną przez garstkę ludzi Madrigala, w tym Sernę. Poza nimi w okolicy nie było Los Vaqueros.

Nestor wziął ze sobą niewielką grupę. Chodziło o to, aby nie wzbudzić podejrzeń szefa i ograniczyć prawdopodobieństwo, że dowie się o tym spotkaniu. Ta część intrygi musi na zawsze pozostać tajemnicą. Zdawał sobie sprawę, że w myśleniu jego przełożonego nie było miejsca na logikę i zdrowy rozsądek. Że za żadne skarby nie zgodziłby się na jakikolwiek układ z Madrigalem.

Podczas szybkiej jazdy trzech aut przez wąski wąwóz w stronę górskiej kryjówki Calvo wciąż naradzał się telefonicznie z asystentem.

– DLR upiera się teraz, że CIA też współpracuje z Madrigalem. Chce, żebyśmy wysłali naszych *sicarios* na polowanie na agentów w stolicy! Nawet omawia z „Pająkiem” plany ataku na ambasadę USA! Kompletnie wariactwo!

Niecałe dwieście metrów przed konwojem, ze zwirowni po lewej stronie, na dwupasmówkę wjechała wielka betoniarka. Trzy czarne auta szybko zbliżały się do pojazdu, który z trudem usiłował się rozpędzić. Czerwono-biały bęben się kręcił, a powolny pojazd zatarasował drogę.

Kierowca w pierwszym chevrolecie wcisnął klakson i zamrugał światłami, widząc, że za chwilę zbliży się do betoniarki.

Jednak Calvo tego nie zauważył – był pogrążony w rozmowie telefonicznej.

– Ta laska nigdy nie była tego warta. Cholera, cała ta pieprzona rodzina jest nam potrzebna jak tysemu grzebień!

Pierwszy chevrolet dogonił betoniarkę na zakręcie w zwężeniu wąwozu. Po obu stronach szosy leżało kilka metrów ziemi, poza tym wznosiły się ostre, praktycznie pionowe skały uniemożliwiające wyprzedzanie. Kierowca nieustannie mrugał światłami i naciskał klakson. Betoniarka przyśpieszała, ale nie na tyle, żeby zadowolić kierowców ochrony Calva, którzy przez krótkofalówki przerzucali się obelżywymi określeniami pod adresem kierowcy betoniarki.

Nestor wciąż pozostawał w błogiej nieświadomości.

– Natychmiast daj mi znać – mówił swojemu zastępcy – jeśli Daniel będzie wypytywał, gdzie jestem. W każdej chwili mogę do niego zadzwonić i sprzedać mu jakąś historyjkę. Ale sam nie próbuj mu niczego wciskać! On jest zupełnie jak jego ojciec: wywęszy, kiedy ktoś kłamie w żywe oczy.

Wąwóz coraz bardziej się zwężał, a ciężarówce przed nimi ledwo udało się osiągnąć sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Kierowca pierwszego chevroleta prawie leżał na klaksonie i rzucał się to w prawo, to w lewo za betoniarką. Siedzący z przodu pasażer opuścił szybę, wystawił karabinek M4 przez okno i pomachał nim, by kierowca betoniarki zobaczył go w lusterku.

Calvo podczas rozmowy zerkał rozpraszany ciągłym trąbieniem.

– To nic, zwykle korki – mruknął i spojrzął na leżący na kolanach notes. – Tak, podam im wtedy współrzędne laboratorium. Tak, jak tylko zobaczymy ciało tego *gringo*, dam znać...

Pasażer pierwszego chevroleta rozpiął pas i wychylił się po biodra przez okno, wściekle wymachując splotką. Kierowca mrugał światłami i głośno przeklinał. Właśnie dojechali do najwęższej części wąwozu. Chwycił radio, żeby uprzedzić pozostałych, aby szykowali się na...

Nagle tuż przed nim betoniarka zahamowała z piskiem opon. Z półtorametrowej rynny, pod wielkim ciśnieniem, wylała się fala mokrego betonu. Pierwszy suburban wjechał w rozlaną maź, zanim zdążył zahamować. Auto z całej siły wbiło się w tył gruszki, aż uruchomiły się poduszki powietrzne. Maski i przednia szyba zostały zalane betonem, który wciąż płynął na wąską drogę.

Ochroniarz wychylający się przez okno chevroleta wypadł z samochodu. W jego plecach trzasnęło, upuścił broń, która poleciała za przednie koła betoniarki.

Tuż za kierowcą drugiego auta rozległ się krzyk Calva:

– Hamuj!

Nestor podniósł wzrok znad telefonu i wyjrzał w końcu przez przednią szybę. W blasku poranka zobaczył, jak jego auto wpada w tył pierwszego samochodu w konwoju.

Komórka wypadła mu z dłoni, a on uderzył w tył fotela przed nim. Siedzący po jego bokach goryle też polecili do przodu.

Szef ochrony Nestora Calvo siedział na miejscu pasażera w aucie numer dwa. Kiedy otrząsnął się po uderzeniu, spomiędzy kolan wyciągnął karabin, a następnie chwycił krótkofalówkę i przekazał wiadomość do ostatniego chevroleta:

– Trójka! W tył! Uwaga! Cofać się!

Kierowca trzeciego auta wrzucił wsteczny, to samo zrobił kierowca dwójki.

Nestor zdążył wrócić na siedzenie, ale kiedy zaczęli cofać, znowu padł do przodu. Ochroniarz siedzący po jego prawej chwycił go i osłonił swoim ciałem. Nagle obaj zobaczyli, że na skale wznoszącej się prawie bezpośrednio nad nimi, nieco z tyłu, coś błysnęło. Ułamek sekundy później rozległ się huk. Calvo i jego ochroniarz dostrzegli, jak w wyniku wybuchu w kierunku konwoju spadają kamienie i odłamki skalne, zabierając ze sobą drzewa i grudy ziemi.

Ktoś w aucie Calva krzyknął:

– Uwaga!

Lawina kamieni i pyłu nie trafiła w auto Nestora. Kierowca wcisnął hamulec, szef wywiadu Czarnych Garniturów uderzył ramieniem w skórzany zagłówek i został przygnieciony przez ochroniarza. Calvo wyjrzał przez tylną szybę w momencie, gdy ostatnie auto w konwoju zostało zasypane stertą kamieni, ziemi i roślinności. Chevrolet oberwał kilkoma tonami odłamków skalnych, które obróciły pojazd o sto osiemdziesiąt stopni, a następnie przykryły go wraz z szóstką znajdujących się w środku mężczyzn.

Pierwsze auto wciąż zalewał płynny beton. Kierowca otrząsnął się po zderzeniu, odepchnął sflaczałą poduszkę powietrzną i wrzucił wsteczny. Koła się kręciły, w końcu udało im się odzyskać przyczepność i auto ruszyło. Pasażerowie krzyczeli wniebogłosy. Samochód z całej siły wbił się w przód dwójki. Po kilku sekundach betoniarka też zaczęła się cofać, przebiła się przez kilogramy szarej brei i wpakowała w pierwsze auto.

Z jej rynnny wciąż wylewał się beton, teraz bezpośrednio na maskę.

Ochroniarze siedzący po bokach Nestora Calva wystawili karabinki przez okna, czekając na rozkaz, aby wyjść z samochodu. Siedzący z przodu szef ochrony wahał się jednak.

– Czekać! – wrzasnął. – Nie wiemy jeszcze, ilu ich jest! W środku Calvo jest bezpieczny!

Przez kilka sekund siedzieli w ciszy, którą przerwała transmisja przez radio. Nadawał jeden z zasypanych w aucie numer trzy.

– Mamy rannych – jęczał. – Część chyba nie żyje. Pomocy!

Szef ochrony przełączył kanał radiowy i dał sygnał lokalnym policjantom.

Za nim roztrzęsiony, ale skupiony na wydostaniu się z tej sytuacji Nestor Calvo zdążył znaleźć komórkę, rozłączyć połączenie sprzed wypadku i zacząć wydzwaniać do swoich kontaktów w okolicy.

Kierowca pierwszego auta zauważył faceta w brudnych dżinsach, czarnej skórzanej kurtce i czarnym kasku motocyklowym z przyciemnianą szybką. W prawej ręce trzymał czarną spluwę, w lewej – czarny plecak.

– ¡A la chingada! – zaklął. – Gringo! – wrzasnął, poznawszy Gray Mana. Natychmiast chwycił krótkofalówkę i ostrzegł pozostałych.

Ci w drugim samochodzie już go jednak zauważyli.

– To ten gringo! – krzyknął ochroniarz siedzący na lewo od Calva, po czym otworzył drzwi i wystawił przez nie krótką lufę swojej giwery.

Chwilę później wpadł z powrotem do środka, praktycznie na kolana Nestora. W jego czole i lewym policzku były dziury, z których lała się krew, plamiąc garnitur Calva.

Nestor wypchnął zwłoki na jezdnię, po czym rzucił się, by zamknąć drzwi, równocześnie gorączkowo usiłując zadzwonić po pomoc.

Szef ochrony próbował otworzyć drzwi, aby wyskoczyć i strzelić do Gray Mana przez maskę. Nie było to jednak możliwe, gdyż zablokowała je gęsta fala stygnącego betonu.

Obrócił się do ochroniarza siedzącego po prawej stronie Calva i zawołał:

– Spróbuj, może uda ci się wysiąść! – I zaczął otwierać okno przy drzwiach.

Kierowca pierwszego chevroleta przeciskał się przez deskę rozdzielczą w stronę siedzenia pasażera i gorączkowo próbował zamknąć okno otwarte przez kolegę,

który wyleciał przez nie przy zderzeniu z betoniarką. Siedzący z tyłu pasażerowie klócili się, próbując ustalić, co należy zrobić, równocześnie wrzeszcząc przez radio i usiłując dogadać się z szefem, zagłuszając jęki i błagania o pomoc ocalałych pasażerów trójki.

Mężczyzna w kasku motocyklowym przystanął przy oknie kierowcy pierwszego auta. Z plecaka wyciągnął jakiś przedmiot i z całej siły uderzył nim w pancerną szybę. Uderzenie przypominało plaśnięcie. Przedmiot przyczepił się do gładkiej powierzchni. Uzbrojeni pasażerowie przestali na chwilę się przekrzykiwać i spojrzeli. Wyglądał jak czarny metalowy pojemnik. Był pokryty gęstą smolistą cieczą. Następnie mężczyzna podniósł z ziemi plecak i wycofał się za betoniarkę.

– Bomba! – wrzasnął kierowca.

– Jesteśmy bezpieczni? – zapytał jeden z siedzących z tyłu ochroniarzy.

– Oczywiście – odparł inny pewny, że pancerna szyba ich zabezpieczy.

Kolejny pasażer raz jeszcze próbował porozumieć się z szefem ochrony, aby otrzymać instrukcje, jeszcze inny wyraził obawę, że szyba może nie wytrzymać wybuchu.

Kierowca pięć sekund przyglądał się przyczepionemu do szyby mechanizmowi i wydał rozkaz:

– Z wozu!

Trzy dłonie chwyciły za klamki potężnego czarnego suburbana.

W tej chwili bomba wybuchła. Do wnętrza SUV-a wdarła się fala ognia, odłamki metalu i kawałki szyby pancерnej. Fala uderzeniowa poruszała się szybciej niż dźwięk. W osiem setnych sekundy wszyscy w chevrolecie zamienili się w miazgę. Wstrząsnęło potężnym pojazdem. Przednia szyba prysnęła, wystrzeliwując na zewnątrz serię szklanych odłamków w stronę betoniarki. Ciała pasażerów stanęły w płomieniach.

Czwórka pozostałych przy życiu mężczyzn w drugim chevrolecie, w tym Calvo, mogła tylko się temu przyglądać. Kiedy stało się jasne, że pancerny wóz przed nimi, prawie identyczny z tym, w którym się znajdowali, nie przetrwał wybuchu, szef ochrony wydał rozkaz ucieczki.

Pierwszy wydostał się kierowca. Chwiejnym krokiem wyszedł na jezdnię, wyciągając broń.

W kłębach dymu z okien pierwszego suburba wyłonił się mężczyzna w kasku. W lewej ręce wciąż miał plecak, natomiast prawą rękę trzymał w górze. Miał w niej potężną giwerę.

Kierowca podniósł broń, aby strzelić do napastnika, ale nie zdążył – oberwał trzy kule prosto w klatkę piersiową. Jego ciało wywinęło piruet, broń wyslizgnęła się z dłoni. Po czwartym strzale, w bok czaszki, padł martwy na asfalt. Drzwi po obu stronach SUV-a się otworzyły i natychmiast zamknęły.

W środku Calvo krzyczał do ostatnich dwóch ochroniarzy:

– No, walczcie z nim! Wyłaźcie i walczcie!

Mężczyźni drżeli ze strachu. Osłupiali patrzyli, jak facet w kasku motocyklowym podchodzi do ich auta i wyciąga coś z plecaka.

– Druga bomba! – krzyknął jeden z nich.

Okazało się, że tym razem napastnik wyciągnął tylko karton. Następnie przycisnął go do przedniej szyby tak, aby pasażerowie mogli przeczytać widniejący na nim, nabazgrany wielkimi literami napis. Było to jedno słowo: CALVO.

Cała trójka siedziała w milczeniu. Ciszę przerwał odgłos przyczepiania żeliwnego, pokrytego smołą prostopadłościanu do szyby od strony kierowcy chevroleta. Mężczyzna w czarnym kasku odsunął się od pojazdu, wystawił broń i czekał.

Po chwili drzwi samochodu pancernego się otworzyły i wypchnięty z niego przez ochroniarzy Calvo padł twarzą w mokry beton. Zaklął, próbując się podnieść. Mężczyzna w kasku podszedł do niego, wciąż mierząc w chevroleta, chwycił *consigliere* za krawat i zepchnął go na pobocze. Szedł tyłem w stronę betoniarki, ciągnąc doradcę de la Rochy w brudnym czarnym garniturze, wciąż mierząc z broni w pancerny wóz. W końcu zniknęli za ciężarówką.

Tam puścił Calva i sięgnął do plecaka, z którego wyjął czarny telefon komórkowy. Podał go Meksykaninowi.

– Wciśnij czwórkę. A teraz wyślij – powiedział po hiszpańsku.

Calvo wykonał polecenie. Kiedy przycisnął ostatni guzik, wężozem wstrząsnął wybuch. Wokół rozprysły się odłamki metalu.

Pół minuty później betoniarka ruszyła, kierując się na zachód. Jedyni, którzy przeżyli wypadek, znajdowali się pod kilkoma tonami kamieni i ziemi.

* * *

O trzeciej po południu agenci Czarnych Garniturów nagrali podsłuchaną rozmowę telefoniczną, którą dwadzieścia minut później odtworzyli Danielowi i „Pająkowi”. Ustalono, że dzwoniło z telefonu komórkowego, a dzwoniącym był amerykański *gringo*, który przedstawił się jako Gray Man. Połączenie zostało odebrane na telefonie stacjonarnym w kryjówce Los Vaqueros w Mazatlanie, a następnie przekierowano je na telefon komórkowy Hectora Serny, szefa wywiadu tej organizacji. Rozmowa odbyła się po angielsku.

– Halo! Kto mówi?

– To ja.

– Dlaczego dzwonisz na ten numer? Skąd go masz?

– Ten, który mi podałeś, jest podsłuchiwany przez Czarne Garnitury. Wiem to od Calva. Ten numer dostałem kiedyś od Jerry’ego Pfliegera. Wiedziałem, że ktokolwiek odbierze, w końcu mnie z tobą połączy.

– Czyli masz Calva?

– Tak.

– Niesamowite. Ale zachowajmy ostrożność, ta linia też może być podsłuchiwana.

– Ta jest czysta.

– Skąd wiesz?

– Calvo o niej nie wie.

– A jeśli kłamie?

– Jest zbyt przerażony, żeby kłamać.

Chwila ciszy.

– No dobrze. Kiedy nam go dostarczysz?

– Calvo twierdzi, że Czarne Garnitury wiedzą o kryjówce w Tepic. Musimy zmienić miejsce.

Po chwili ciszy:

– W porządku.

– Mogę go zabrać do tej kryjówki, do której dziś jechał.

– Nie ma mowy. O niej też z pewnością wiedzą...

– Tylko tę miejscówkę znam. Nie spodziewają się, że chcemy go oddać. Nie ma powodów przypuszczać, że tam pojedą.

– Nie podoba mi się to.

– To chcecie go czy nie?

– Pewnie, że go chcemy...

Rozmówca urwał. Po chwili dodał:

– O której?

– O północy.

– Dlaczego tak późno?

– Obawiam się, że ktoś mnie śledzi. CIA albo ruscy. Trochę mi zejdzie na zacieraniu śladów i dotarciu na miejsce.

– To my po was przyjedziemy. Powiedz tylko dokąd...

– Północ. Ranczo w Concordii. Będę tam. Weź ze sobą dużo ludzi, mnóstwo broni.

Połączenie zostało przerwane.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Zebranie dowództwa Czarnych Garniturów odbyło się o piątej po południu w ogromnej sali w Casa de las Olas. Modernistyczna willa z widokiem na plażę liczyła tysiąc metrów kwadratowych. Mieściła się dwadzieścia minut jazdy autostradą na południe od Puerto Vallarty.

Zebranych strzegło dwudziestu czterech *sicarios* pilnujących czterohektarowej posiadłości. Nad ich bezpieczeństwem czuwała opłacana przez DLR policja miejska Puerto Vallarty. Po okolicy jeździły patrole, a wzdłuż wybrzeża pływały policyjne motorówki.

Główną część spotkania prowadził „Pająk”. DLR stał obok.

– Pięć minut po północy na ranczo w Concordii uderzą cztery ekipy. Z każdej strony nadjedzie van. Piąta ekipa pojawi się po pierwszym natarciu. Jej celem jest znalezienie Nestora i uwolnienie go. Wszyscy spotkamy się tu o świcie.

De la Rocha sączył wodę z butelki i patrzył przez ogromne okna wychodzące na zatokę Banderas. Z wielu powodów był rozkojarzony. Po pierwsze dlatego, że nie wybierał się na misję ratunkową, aby odbić swojego doradcę. Uznano, że szykowałą się strzelanina i nieroztropnie byłoby ryzykować życie szefa organizacji.

Na wyraźne życzenie Daniela w Casa de las Olas miał zostać też „Pająk”, szef zbrojnego ramienia Los Trajes Negros. Cepedzie się to nie uśmiechało, ale spodziewał się tego rozkazu: od egzekucji Emilia Lopeza Lopeza był też osobistym ochroniarzem DLR, więc logiczne, że musi pozostać u boku przełożonego.

Obaj mężczyźni nieraz już dowodzili natarciem, żaden z nich nie chciał zostawać w nadmorskiej willi, gdy ich żołnierze mieli walczyć, krwawić, ginąć i mordować sto kilometrów na północ. Jednak tym razem przeważyły względy praktyczne.

Poza tym DLR czuł, że zostając tu w stosunkowo niewielkiej obstawie około dwudziestu ochroniarzy, prawdopodobnie też nie będzie się nudzić.

Kiedy dyskusje na temat czekającej ich misji się skończyły, a ci, którzy wkrótce mieli stanąć do boju, zaczęli szykować się do natarcia, de la Rocha wyszedł z pomieszczenia i udał się do sąsiadującej z salonem jadalni. Po przyjeździe do wynajętej willi kazał usunąć długi stół i postawić największą ze swoich figur Santa Muerte, która siedziała teraz na tronie pośrodku pokoju. Za nią z wysokiego sufitu spływały białe zasłony. Wokół tronu stały świeczniki. Daniel uklęknął przed swoim bóstwem, pomodlił się o zdrowie rodziny, a następnie odmówił modlitwę błagalną o śmierć Gray Mana.

Pod koniec tej ostatniej zerknął prosto na twarz Santa Muerte, po czym zawołał „Pająka”. Cepeda wbiegł po stopniach do jadalni.

– *Sí, don Daniel?*

– Myślisz, że ten *gringo* naprawdę dostał numer, na który dzisiaj dzwonił, od Jerry’ego Pfliegera?

– Nie. Uważam, że dał mu go Calvo, bo wiedział, że jego ludzie go podsłuchują. Nestor to szczerwane bydło. Na pewno coś knuje.

– Tak. Na pewno – przytaknął mu DLR.

„Pająk” posłusznie stał przy przełożonym.

Szef spojrzał mu prosto w oczy.

– Chcę, aby wszyscy, którzy z nami zostają, byli gotowi do walki.

„Pająk” się zdziwił, ale powiedział:

– Oczywiście.

Daniel wstał i poszedł do swojego apartamentu na tyłach rezydencji.

* * *

W zatoce Banderas znajduje się archipelag niewielkich, niezamieszkaných wysepek, kilkaset metrów od wioski Mismaloya. Nazywane są Los Arcos, łuki, ze względu na kształty formowane przez morskie fale uderzające w skały przez kilkaset lat. W ciągu dnia rezerwat morski w zatoce był pełny nurków, pływaków i turystycznych łódek, jednak godzinę przed północą jedynymi stworzeniami w wodach wokół wysepek były ryby, homary, drzemiące głuptyki niebieskonogie i inne ptactwo morskie.

Czterdzieści pięć metrów dalej na wodzie unosiły się dwie prywatne łódki. W każdej siedziało czterech mężczyzn uzbrojonych w karabiny M16. Dwóch członków załogi każdej łajby miało przytwierdzony do spluwy granatnik M203.

Każda jednostka pływająca miała radio i potężną latarkę, którą można było przeskanować spokojną morską przestrzeń w każdym kierunku. Nie były to okręty wojenne, jednak byłyby w stanie zablokować próby dostania się do Casa de las Olas od strony Pacyfiku.

Court Gentry klęczał po pas w wodzie wpływającej do niewielkiej, ciemnej groty przy jednej z wysepek. Patrzył nad łódkami, w stronę plaży z białym piaskiem, gdzie błyskały latarki dwuosobowego patrolu. Przez lornetkę zobaczył, że mężczyźni mają karabiny przewieszane przez plecy. Ściana białych głazów i pas brązowych łupków ciągnęły się po prawej stronie niewielkiego kąpieliska.

Wyjrzał na wzgórze, na którym wznosiła się rezydencja. Przypominała stację kosmiczną. Współczesna bryła – zbudowana głównie ze szkła i stali – miała metalowe ostre kanty, a ściany przeważnie przeszklone. Centralnym punktem był balkon ciągnący się wzdłuż wielkiego okna. Court dostrzegł w środku delikatne światło. Czyżby świece? Teren wokół posiadłości był na ogół dobrze oświetlony i zapewne doskonale strzeżony. Z tej perspektywy jednak dom wyglądał, jakby był pograżony we śnie. W najwyższym punkcie południowego skrzydła rozległej budowli stał czarny eurocopter EC135, schowany w ciemności – jego sylwetka było ledwo widoczna, wyłaniała się w światłach nielicznych latarni i położonych powyżej budynków.

Court wypuścił powietrze z niewielkiego, dmuchanego pontonu, który ukrył w grocie, w suchej, niewidocznej z wybrzeża szczelinie. Następnie zajął się sprzętem, który przygotował na skalistej półce tuż nad wodą. Włożył kombinezon do nurkowania i płetwy, podłączył zbiornik z tlenem, przyczepił glocka do kamizelki ratowniczo-wypornościowej i przypiął do paska nieprzemakalną torbę z ubraniem, zapasową amunicją i innym ekwipunkiem. Wyjął telefon komórkowy z etui, włączył go i zadzwonił. Wyłuszczył swoją kwestię i nie zważając na wrzaski i przekleństwa z drugiej strony, się rozłączył.

Telefon wrócił do etui, a etui – do torby.

Dwadzieścia minut po dwudziestej trzeciej Court zanurzył się powoli pod wodę w grocie, odepchnął się od kamieni i popłynął w stronę wybrzeża.

* * *

Dwadzieścia minut później przepłynął osiemnaście metrów pod obiema łódkami. Oddychał przy tym powoli i płytko, aby ograniczyć do minimum wypuszczanie bąbelków. Po kolejnych dwudziestu minutach zobaczył, jak dno morza zaczyna unosić się w stronę plaży. Z każdą falą, która pchała go do przodu, prąd powrotny ciągnął go w przeciwnym kierunku. Próbował się temu przeciwstawić mocnymi machnięciami nóg. W końcu, po dziesięciu minutach wysiłku udało mu się dotrzeć do brzegu. Pozwolił, aby prąd pchnął go na południe, z dala od świateł budynku, minął plażę i ostrożnie wynurzył się przy skałach.

O północy zaczął wspinać się po stromych skalnych ścianach, uważając, aby nie wejść w zasięg świateł łódki, w pole widzenia patrolu na plaży ani ochroniarza, który mógłby wyglądać przez okno.

Poruszał się powoli i z trudem, w końcu jednak dotarł do południowego skrzydła willi, a następnie przemknął w stronę wejścia.

* * *

Daniel de la Rocha klęczał przed siedzącą na tronie figurą w oświetlonej blaskiem świec jadalni. Potężny salon obok był pusty. Oba pokoje oświetlały setki płomieni oraz delikatne, dochodzące z zewnątrz światło latarni. Porozstawiane na podłodze, stolikach, kinkietach i podłużnych stojakach płonące świece roztaczały wokół nie tylko blask, ale także zapach topniejącego wosku.

DLR miał goły tors. Jego smukłe, muskularne ciało pokrywały tatuaże. Z przodu widniała okazała rozmiarów Santa Muerte narysowana czerwonym, czarnym i błękitnym tuszem, na plecach ozdobnym pismem wytatuowano imiona szóstki jego dzieci. Na bicepsach widniały tatuaże karabinów, na brzuchu odznak wojskowych. Tam, gdzie pozostało miejsce, umieszczał nazwiska zmarłych kolegów z Czarnych Garniturów.

Klęczał samotnie w blasku świec pogrążony w modlitwie. Wtem powoli podniósł głowę.

– Powiedziała mi, że przyjdiesz – powiedział po angielsku, nie spuszczać wzroku z figury. – Nie otrzymał odpowiedzi, więc dodał: – Wiedziałeś, że

pod słuchujemy tamtą linię. Chodziło ci o to, żebyśmy wysłali *sicarios* do Concordii. Chciałeś się ich stąd pozbyć.

Dopiero wtedy otrzymał odpowiedź pewnym siebie, zdecydowanym głosem:

– Ruszysz choć jebanym mięśniami, a twój mózg poplamie kieckę twojej lasencji.

* * *

Gray Man poruszał się bezgłośnie po białych płytkach, mierząc z glocka w tył głowy Daniela de la Rochy. Gdy się zorientował, że na drugim piętrze znajduje się antresola z widokiem na tę salę, obrócił się i prędko przeciągnął wzdłuż niej lufę w poszukiwaniu zagrożeń. Na górze jednak było ciemno i cicho, podobnie jak tu, gdzie zapewne mieściła się jadalnia, zanim DLR zamienił ją na salę tronową dla swojego bóstwa.

– Mogę wstać?

– Tylko powoli. Najpierw zapleć palce z tyłu głowy.

DLR posłuchał. Court się zbliżył, był już niecałe dwa metry od niego. Cały czas jednak rozglądał się na boki zdziwiony, że szef kartelu był bez obstawy.

– Mogę się odwrócić? – zapytał. Wydawał się niezwykle spokojny.

Court się rozejrzał, wycelował za siebie, potem znowu wymierzył w balkon za sobą.

Ciemność. Cisza. Pustka.

Skierował broń na Daniela i odpowiedział:

– Powoli.

Tamten odwrócił się i spojrzał w oczy Gray Mana:

– Powiedziała mi, że nas odwiedzisz.

– Skoro tak twierdzisz. Gdzie Laura?

– Wcale nie przekazałeś Nestora Madrigalowi.

– Nie.

DLR uśmiechnął się nieznacznie:

– Oj, Kowboj będzie się gniewał.

Courtowi zależało tylko na jednym.

– Gdzie jest dziewczyna? – zapytał, po czym znów przeskanował pomieszczenie zza lufy.

– Podejrzewam, że chcesz wymienić mojego Nestora na swoją Laurę, czyż nie?

– Właśnie tak. Możesz go dostać. Wtedy ja odejdę z Laurą. Wszyscy wygrywają.

De la Rocha wzruszył ramionami. Court zaczął się cofać w nadziei, że wkrótce dotrze plecami do ściany. Nie chciał być w zasięgu kogoś, kto mógłby stać na balkonie. Pośrodku pomieszczenia natknął się na sofę.

– Nestor ci powiedział, że jego ludzie mają podsłuch na tamtej linii. Właśnie dlatego na nią zadzwoniłeś – powiedział de la Rocha.

Court nic nie odpowiedział.

– Ten adres też masz od Nestora. Muszę przyznać, że stary mnie zawiódł. Nie powinien był z tobą knuć. Przede wszystkim jednak rozsierdziła mnie jego współpraca z Madrigalem i to, że się z nim dogadał w twojej kwestii. Dowiedziałem się o tym wszystkim dziś po południu. Obawiam się, że twoja karta przetargowa straciła na wartości.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– A to, że gdybyś przyprowadził mi Calvo, sam bym go zabił.

Court zaczął poruszać się wzdłuż długiej kanapy.

– Tak więc, *amigo*, nie masz mi już czego zaoferować w zamian za dziewczynę.

– Mam jeszcze coś – mruknął.

– Mianowicie?

– W zamian za jej życie możesz mieć moje. Wypuść ją, ona odjedzie, a my możemy tu stać, aż będę miał pewność, że jest bezpieczna. Wtedy opuszczę broń. Wypuść ją, dostaniesz mnie. Okej?

– Jest pewien problem.

– Co masz na myśli?

– Ja już cię mam.

Na górze i za nim rozległ się tupot stóp. Na balkon wyszło dwunastu ochroniarzy. Szóstka skierowała się na lewo, inni zostali na górze. Musieli śledzić rozmowę na monitoringu.

Każdy z nich trzymał karabinek M4.

„Kurwa”.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

– Wyobraź sobie, że wcale nie wysłałem wszystkich *sicarios* do Concordii. Ci tu to zaledwie garstka... Zatrzymałem przy sobie dowódcę moich, że tak powiem, sił zbrojnych, tak na wszelki wypadek. – Spojrzał na lewo i zawołał: – Pokaż się, „Pająk”!

Kotara po lewej stronie tronu się uchyliła. Za nią stał facet w czarnym garniturze. W podniesionych rękach trzymał błyszczącą maczetę. Poniżej klęczała Laura Gamboa. Była skuta kajdankami i zakneblowana. Spojrzała na Courta, po czym zaczęła się wić, jakby chciała się wyswobodzić.

Court wymierzył broń w czoło Cepedy.

– Jeśli tylko ruszysz ostrzem, zastrzelę cię! – zagroził drżącym głosem.

DLR zaśmiał się ironicznie.

– Na twoim miejscu głęboko bym się zastanowił! Zastrzelisz „Pająka” i zostaniesz nafaszerowany kulkami! A kiedy będziesz leżał martwy albo konający, własnoręcznie odetnę dziewczuszcze główkę! – Daniel opuścił dłonie. – Wiem, *gringo*, co obecnie stanowi dla ciebie największy problem. I nie jest to uratowanie jej ani zabicie mnie, ani nawet ujście z życiem. Nie, panie Gray Man, w tej chwili największą trudność sprawia ci niemyślenie o zaistniałej sytuacji jako o meksykańskim standoffie! – urwał i się roześmiał, zadowolony ze swojego żartu.

– Jeszcze możemy się dogadać, Daniel. Za kilka minut cała ta...

– Zamknij się! – krzyknął DLR, po czym się obrócił, rozsunął zasłonę i wyciągnął niewielką skrzynkę.

Otworzył ją i wyjął czarną plastikową torbę. Court się domyślił, że zawiera ludzką głowę. Nie mylił się. Daniel wyciągnął ją i podniósł. Court spojrzał.

Czy to Elena?

Nie, głowa należała raczej do mężczyzny.

Ramses?

Nie, włosy były jasne...

Blask z setek świec nie zdołał przywrócić błysku otwartym, martwym oczom. Court zacisnął szczękę. Poznał. Głośno powiedział:

– Jerry...

– *Sicarios* „Pajaka” złapali twojego rodaka, kiedy próbował wczoraj wejść na wycieczkowiec w Cancun. Wyciągnęliśmy z niego, że rodzina majora przekroczyła granicę w Nogales i dostała się do Tucson. Mądrze zrobiłeś, że nie wtajemniczyłeś go w ich plany. Pfleger to mięczak. Mimo to moi chłopcy pracowali nad nim całą noc, zanim stwierdzili, że naprawdę nie wie, gdzie jesteś.

DLR spojrział w twarz nieboszczykowi.

– Tak więc Jerry nie wiedział, dokąd pojechała Elena. Okazał się bezużyteczny. – Rzucił głowę Amerykanina na koniec pokoju, w stronę jednego z ogromnych okien po prawej Courta. Potoczyła się w ciemny kąt i zniknęła z pola widzenia.

– Potrzebna mi pani majorowa. Owszem, zaoferowałem La Virgen małą Laurę, ale Święta tylko się zaśmiała. Zaoferowałem złożenie ofiary z ciebie, ale odpowiedziała, że twoja śmierć uszczęśliwi mnie, ale nie ją, więc to marna ofiara.

Podczas przemowy DLR Court uważnie rozglądał się po pokoju. Poza drzwiami, przez które wszedł, widział tylko jedno przejście. Był to łuk po lewej stronie, który z pewnością wiódł do frontowej części budynku. Domyślił się, że za zasłoną znajduje się podobny, zapewne prowadzący do południowego skrzydła rezydencji.

Nie był pewien, czy ta wiedza mu się przyda. Gdyby się ruszył do któregoś z wyjść, zostałby natychmiast podziurawiony jak sito przez dwunastu najemników mierzących do niego z karabinów.

– Tak więc mam dla ciebie ostatnią propozycję. Powiesz mi, gdzie jest Elena. Ja wyślę po nią moich ludzi. Kiedy ją schwytają, wypuszczę Laurę.

– Puść ją, zostaw mnie, to ci powiem.

De la Rocha pokręcił głową. Wydawał się zmęczony tą słowną przepychanką.

– Nie ma mowy. – Następnie zwrócił się do „Pajaka”: – Nie bolą cię ręce?

„Pajak” wciąż trzymał je uniesione.

– *Sí, jefe* – odpowiedział.

– Jeszcze trochę, przyjacielu – odparł, po czym spojrzął na Courta. – Decyzja należy do ciebie: zginie czy przeżyje?

Laura spojrzała wielkimi brązowymi oczami na Courta. Usta miała zakneblowane czarnym materiałem, który usiłowała wypluć. Spróbowała wstać. „Pająk” powstrzymał ją jedną ręką, wciąż trzymając nad dziewczyną maczetę. W każdej chwili mógł ją opuścić na szczupłą szyję LORITY.

Z zewnątrz dobiegły odgłosy strzałów z kałasznikowa. Zamarli. Kilka sekund później usłyszeli odpowiedź z innej broni. Na razie strzelanina była kilkaset metrów od nich, ale sądząc po coraz głośniejszej kanonadzie, zbliżała się do domu.

Odezwały się alarmy samochodowe.

– Kto to? – spytał de la Rocha. – Ludzie Madrigala?

Court wzruszył ramionami. Wiedział, że to oni, ale uznał, że im bardziej przestraszy gangstera, tym lepiej.

– Podejrzewam, że CIA albo ruska mafia.

Court wiedział, że to Los Vaqueros, bo z grotty zadzwonił do Hectora Serna, podał mu namiary na Casa de las Olas, nałgawszy, że tam znajduje się Calvo. Gdy Serna dowiedział się o zmianie adresu, zdenerwował się, ale Gentry się rozłączył, zanim popłynął potok przekleństw.

Kanonada nie ustawała. DLR zaczął się niepokoić.

– Niech piątka zostanie z nami, resztę wyślij na pozycje obronne. Niech pilot przygotuje helikopter! – polecił „Pająkowi”.

Cepeda wydał rozkazy ludziom na balkonie i powiedział coś do przypiętej na pasku krótkofalówki. W pomieszczeniu została szóstka ochroniarzy, którzy ustawili się na balkonie, nie spuszczając luf z Gray Mana.

DLR podszedł do skrzynki, z której wyjął głowę Pfliegera. Teraz wziął z niej pas z kaburami z dwoma srebrnymi pistoletami maszynowymi. Założył go, przyczepił kabury do ud, a następnie spojrzął na Gray Mana.

– Nie pozostawiasz mi wyboru, głupcze!

Court przestał celować w „Pajaka” i wymierzył w szefa Czarnych Garniturów.

– Jeśli wydasz rozkaz „Pająkowi”, to najpierw zabiję ciebie.

Daniel się zaśmiał.

– Typowy pyskaty *gringo*! Przecież jesteś sam! Jeśli wydam rozkaz, to nie dasz rady zastrze...

W tej chwili przed domem nastąpił wybuch. Z sufitu spadły odłamki stiuku. Wszystkie głowy skierowały się w stronę eksplozji.

Wszystkie poza jedną. Mimo niepokoju Court był skupiony na swoim celu.
„Cholera...”.

Nie był zadowolony z tego, co właśnie miał zrobić, ale nie widział innego wyjścia. Został mu jeszcze jeden as w rękawie. Nadeszła pora, aby go wyciągnąć. Trzymana przez niego spluwa wyglądała jak popularny samopowtarzalny pistolet glock 17. De la Rocha, „Pająk” i ochroniarze na balkonie na pewno uznali, że to właśnie siedemnastka, tymczasem był to glock 18. Na oko oba modele wydają się identyczne, z jednym istotnym wyjątkiem. Osiemnastka to rzadkość w swojej klasie, jeden z nielicznych pistoletów tych rozmiarów będących równocześnie bronią automatyczną. Jego lufa potrafi wypuszczać dziewięćmilimetrowe kulki z częstotliwością tysiąca dwustu na minutę.

Court zaczął się głowić, jak wykorzystać to na swoją korzyść.

Wiedział, że najpierw trzeba wyeliminować „Pająka” z maczetą. Co do tego nie miał wątpliwości. Lecz faceci na balkonie i „Pająk” mieli na sobie kevlarowe kamizelki, których dziewięćmilimetrowe naboje nie są w stanie przebić. Musiał więc albo trafić idealnie w środek czoła, albo ich zranić, a potem dobić po przeładowaniu.

W przeciwieństwie do *sicarios* DLR nie mierzył w Courta ze spluwy, ale potrzebował dwóch sekund, aby uruchomić dwie srebrne ślicznotki przy pasie. Gentry musiałby sprawnie przeładować glocka, unikając serii poślanych przez ochroniarzy na balkonie.

W magazynku było osiemnaście nabojów. W trybie automatycznym, przy wystrzeliwaniu tysiąca dwustu pocisków na minutę skończą się w pół sekundy.

Co gorsza, Gentry musiał wziąć pod uwagę jeszcze jedno. Wiedział, że gdy tylko zacznie strzelać, pozostali instynktownie będą walić tam, gdzie stoi. Aby się uratować, musi wykonać precyzyjny manewr strzelecki i jednocześnie błyskawicznie zejść z linii ognia. Wiedział, że nie ma drugiego człowieka, który mu dorówna w wykonywaniu tego zadania. Oceniał, że jego szanse na przeżycie wynoszą jakieś dwadzieścia pięć procent.

Jak to się mówi? Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi?
Gentry zamierzał robić swoje i liczył na Wszechmogącego.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

– Gdzie jest Elena?! – wrzasnął de la Rocha.

Rozległa się kolejna eksplozja, tym razem tuż obok rezydencji. Los Vaqueros zapewne mieli ze sobą kilka granatników.

– „Pająk”, jeśli w ciągu pięciu sekund nie usłyszysz odpowiedzi, zabij ją! – rozkazał.

Court wziął głęboki oddech, spojrzał na Laurę i przeniósł wzrok na Daniela. Opuścił lufę i przestał mierzyć w wytatuowaną klatkę piersiową de la Rochy, który zaczął sięgać po srebrne ślicznotki przy pasie. Nadeszła chwila prawdy. Jeśli gangster zdąży w niego wymierzyć z obu luf, będzie po wszystkim.

W półmroku pomieszczenia Court podniósł pistolet, wycelował na prawo. Przycisnął spust glocka 18, który wystrzelił w chwili, gdy lufa była skierowana bezpośrednio w nos „Pająka” Cepedy. Court nie wahał się ani chwili. Nie tracił czasu na upewnienie się, czy trafił. Natychmiast obrócił się w lewo i rzucił się na kolana koło sofy. Przez ułamek sekundy lufa była wycelowana w nagą pierś Daniela de la Rochy, ale nie wystrzelił. DLR nie stanowił największego zagrożenia – nie zdążył nawet wyciągnąć broni z kabur – trzeba było załatwić tych po lewej.

Zanim zaczął strzelać w trybie automatycznym, usłyszał wystrzał w pomieszczeniu. Court wcisnął spust, siadając na zimnej posadzce. Wypuścił z glocka serię w pięciu *sicarios* na balkonie.

Zza chmury szarego dymu wydobywającego się z lufy widział, jak mężczyźni padają jeden po drugim. Amunicja jednak skończyła się szybciej, niż szacował, akurat w momencie, kiedy Court usuwał się na lewo od strzałów. Ukryty za kanapą, przeładował broń, wyrzucił pusty magazynek i lewą ręką wyciągnął nowy z kieszeni bawełnianych spodni. Ten mieścił trzydzieści dwa naboje. Gentry przetoczył się dwa razy i podniósł się na pięty. Nie wyprostował się jednak. Cofnął się, wciskając magazynek na miejsce. Rozejrzał się, aby ocenić skalę zniszczenia.

Usłyszał kolejny strzał, a więc nie udało mu się wyeliminować wszystkich. Podniósł broń, wciąż sunąc do tyłu. Na podłodze obok Laury zobaczył „Pajaka”. Leżał pomiędzy dziewczyną a tronem Santa Muerte. Po lewej, pomiędzy kotarami wokół kościstej Panny Młodej, mignęły wytatuowane plecy uciekającego de la Rochy. Strzelił w jego stronę. Gdy naciskał spust, z balkonu rozległ się dźwięk wystrzału. Gentry obrócił się w tamtą stronę i padł na kolana. Opróżnił zawartość magazynka w kierunku Czarnych Garniturów. Ciągle zmieniał pozycję, aby utrudnić przeciwnikom trafienie.

Pistolet znów był pusty. Tym razem Court skoczył, równocześnie wciskając w glocka ostatni magazynek. Przebiegł po oświetlonym świecami pokoju, tym razem wzdłuż okien. Kierował się w stronę Laury, cały czas mierząc do zabójców stojących na balkonie. Jeden z nich leżał przewieszony przez balustradę. Sznur jego karabinu zaplątał się w marynarkę, która zsunęła mu się na głowę. Court nie dostrzegł już nikogo – czy to martwego, czy jeszcze przy życiu – ale na wszelki wypadek strzelił w stronę antresoli.

Mknąc przez pokój, poczuł na plecach chłodny powiew. Zasłony i płomień świec drgnęły. Strzały *sicarios* rozbiły szyby w oknach wychodzących na zatokę Banderas. Teraz nocna morska bryza wpadła do pomieszczenia, poruszając jedwabnymi zasłonami, które zapaliły się od świeczek.

Gentry spojrzał na Laurę, nie spuszczając lufy z antresoli. Leżała na boku. Udało jej się dosięgnąć maczety „Pajaka” i – nie bardzo widząc, co robi – usiłowała przeciąć sznur, którym miała skrępowane ręce. To, że cały czas nie dawała za wygraną, zaimponowało Courtowi.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział.

Wokół nich jasnobrazowy parkiet był wilgotny od krwi. Court miał nadzieję, że to krew „Pajaka”, a nie Laury. Albo jego.

Nie sprawdził, czy był ranny. Nie miał na to czasu. Pomógł Laurze wstać. Miała bosa stopy. Uścisnęła go mocno. W jednej chwili przestał skupiać się na pilnowaniu, czy ktoś do nich nie strzela, przestał zważać na trwającą na zewnątrz strzelaninę czy płonące wokół kotary. Przytulił ją i spojrzał w oczy, szeroko otwarte i przekrwione, ale pełne życia.

Dziewczyna uwolniła się z jego objęć, wyjęła knebel z ust, po czym przeszukała „Pajaka”. W kaburze znalazła uzi, które wyjęła.

- Trzymaj się mnie – mruknął Court. – Ukryłem sprzęt do nurkowania w...
- Musimy zabić de la Rochę!
- Wcale nie musimy. Przyszedłem tylko po to, żeby cię uratować! Mam cię, więc chodźmy!

Patrzyła na niego wielkimi, pełnymi emocji oczami. Court nie miał pojęcia, co jej chodziło po głowie. Kanapa i fotele zajęły się od ognia, wiatr tworzył małe tornada ogników i dymu.

- Nie wyjdę stąd, dopóki on żyje! – oznajmiła i zniknęła za zasłoną.
- Kurwa... – jęknął Court, ale poszedł za nią.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Dogonił Laurę u szczytu schodów. Było tu ciemno i – nie licząc wystrzałów z zewnątrz – stosunkowo cicho. Dochodziły ich przytłumione odgłosy syren policyjnych i wyjących alarmów samochodowych, a także wystrzały toczącej się poniżej walki gangów. Wydawało się, że dym z płonącej jadalni podążał za nimi, wijąc się wokół ich kostek. Laura wyjawiała, że odkąd została tu przywieziona, trzymano ją w piwniczce na wino, więc nie miała pojęcia, dokąd ich prowadzi.

Odgłosy broni automatycznej rozległy się echem, tym razem w domu. Ludzie Madrigala zapewne zmusili żołnierzy de la Rochy do wycofania się do środka. Laura poprowadziła go na klatkę schodową. Court zauważył na stopniach ślady krwi. Być może udało mu się jednak trafić Daniela w plecy... Na początku szli powoli i ostrożnie. Kiedy jednak usłyszeli odgłos silników helikoptera, przyspieszyli i pobiegli w stronę ciemnego wyjścia na dach.

Otworzyli drzwi i natychmiast zaczęli strzelać. Przed czarnym śmigłowcem stał człowiek w uniformie pilota z bronią w ręku. Laura spudłowała, ale Gentry zastrzelił go trzema strzałami z glocka. Kiedy ciało mężczyzny dotknęło ziemi, śmigło przyspieszyło, maszyna wzniosła się kilka centymetrów i zaczęła się obracać nosem w stronę zatoki.

– To de la Rocha! – krzyknęła Laura, rzucając się w stronę helikoptera.

– Uciek! – wrzasnął Court, próbując przekrzyczeć warkot silnika.

Laura jednak nie pozwoliła się zatrzymać i popędziła ku wznoszącemu się helikopterowi.

Court zaklął i pobiegł za nią.

* * *

Daniel de la Rocha oberwał w lewe ramię od tego *pinche gringo*. Stwierdził jednak, że nic to – jeśli tylko uda mu się stąd wydostać, to się wyliże. Był w końcu

doświadczonym pilotem śmigłowców, eurocopterem wylatał ponad sto godzin. Musiał tylko oddalić się od Los Vaqueros. Zorientował się, że Gray Man i dziewczyna ścigali go, wyrzucił więc pilota z helikoptera, wręczył mu jedną ze swoich srebrnych spluw, po czym rozkazał, że dopóki się stąd nie zmyje, ma strzelać do każdego, kto pojawi się na dachu.

Gdy tylko skierował elegancką maszynę w lewo i zaczął się wznosić, podskoczył przerażony: ktoś otworzył drzwi helikoptera! Wrzasnął przez huk silnika i łomot wirników, choć wiedział, że i tak zostanie zagłuszony.

– Mówiłem, żebyś czekał na dachu...

Wtem poczuł z tyłu głowy ciepłą lufę izraelskiego pistoletu maszynowego.

– Ląduj natychmiast! – usłyszał głos dziewczyny.

Niemożliwe!

Spojrzał przez ramię. Zobaczył siostrę majora, z nią Gray Mana, który za dziewczyną wspiał się do helikoptera. DLR wcisnął dźwignię przepustnicy i pchnął drążek sterowniczy do przodu, prawie wyrzucając Amerykanina z maszyny. Ten jednak chwycił się troku bagażowego przy ścianie. Laura też mocno trzymała się siedzenia pilota. Na chwilę straciła Daniela z muszki, ale szybko znów przyłożyła mu lufę do głowy.

– Ląduj, bo strzelam!

– Głupia kurwo! Pilota chcesz zastrzelić? – wrzasnął, zanosząc się śmiechem. Nie miał pojęcia, czy Gray Man potrafił pilotować śmigłowiec. Pewnie potrafił, więc de la Rocha kierował tak, aby maszyna rzucała nieproszonymi pasażerami na prawo i lewo. Gdyby *gringo* spróbował zabrać mu stery, ryzykowałby rozbicie śmigłowca.

Daniel zamierzał lecieć do centrum Puerto Vallarty. Tamtejsze gliny miał w kieszeni, wiedział, że policja ochroni go przed tymi *pendejos locos*.

Helikopter wystrzelił na północ zygzakiem, kilka metrów od morskich fal. DLR skupił się na pilotowaniu, jednak lewą ręką sięgnął po srebrną giwerę. Trzymał ją tak, żeby Laura i Gray Man jej nie widzieli. Przełożył broń pod lewe ramię, aby w mgnieniu oka móc ją chwycić.

* * *

Laura mierzyła z uzi w głowę de la Rochy.

– Potrafisz tym latać? – zapytała Gentry'ego.

Court cały czas próbował utrzymać się w pionie. Wdrapanie się na pokład odlatującego helikoptera, a następnie obijanie się po pokładzie mocno go pokiereszowało. Podejrzewał, że złamał żebra. Już w kabinie z całej siły uderzył w coś metalowego prawym kolaniem, które teraz bolało go niemiłosiernie.

Dziewczyna powtórzyła pytanie, tym razem prawie zdzierając sobie gardło:

– Potrafisz latać helikopterem?

Gentry przeczołgał się w stronę otwartych drzwi, trzymając się uchwyty za siedzeniem drugiego pilota, aby nie wypaść, i z trudem je zamknął. Nagle w kabinie zrobiło się cicho, mogli rozmawiać.

– Co z tobą, Sześć? Powiedz, mogę zabić tego *cabrón*? Potrafisz latać helikopterem? – zapytała Laura, wciskając lufę uzi w krótkie włosy Daniela, który krzyknął i rzucił jej kilka przekleństw. Wciąż kierował maszynę na południe, wywijając sterami, że rzucało nią na prawo i lewo.

Court szkolił się w lataniu śmigłowcami, ale to było bardzo dawno temu. Nieliczne jednostki, którymi sterował, miały zdecydowanie prostszą konstrukcję niż ta maszyna. Spojrzał na deskę rozdzielczą, ekrany ciekłokrystaliczne, przyciski i tajemnicze wajchy i wiedział, że Laura nie będzie zadowolona z odpowiedzi:

– Nie! Nie zabijaj go!

De la Rocha roześmiał się w głos i pchnął drążek sterowniczy do tyłu. Helikopter wznosił się coraz wyżej.

– Słyszysz, maleńka? Jeśli ja zginę, to i wy zginiecie! – Wyszczrzył się w diabelskim uśmiechu.

Laura nie odrywała lufy od jego głowy. Wznosili się coraz wyżej, z każdą sekundą DLR był coraz spokojniejszy i pewny siebie. Wleciał nad zatokę i kierował się w stronę światła centrum Puerto Vallarty.

– Przecież nie możesz mnie zabić! – zawołał, jakby chciał się upewnić, że dziewczyna rozumie. – Jeśli ja zginę, to i wy zginiecie!

Znajdowali się sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią.

Laura spojrzała na Courta. Gentry dostrzegł w nich niepokojący błysk. Dziewczyna zmrużyła oczy.

„Kurwa” – pomyślał.

Laura znów spojrzała na Daniela de la Rochę.

– W takim razie i my zginiemy, *pendejo!*

– Niiieeee! – krzyknął DLR.

– Niiieeee! – krzyknął Court.

Krzyki zagłuszyła krótka seria z uzi.

Głowa de la Rochy rozprysła się po podświetlonych przyciskach, ekranach i przedniej szybie. To, co zostało z ciała gangstera, zwiotczało w pasach. Z jego lewej dłoni wysunęła się srebrna spluwa.

Helikopter przestał się wznosić. Zaczął powoli kierować się w prawo. Ujrzeni światła promenady Malecón w Puerto Vallarcie. Następnie przechylił się do przodu. Przez zakrwawioną przednią szybę nie było już widać deptaku, tylko zbliżające się ku nim fale ciemnego oceanu.

Laura przeżegnała się i zaintonowała jakąś modlitwę.

Court skoczył niczym dzikie zwierzę na siedzenie drugiego pilota. Przez chwilę poczuł nieważkość. Zaparł się na siedzeniu i chwycił drążek pośrodku konsoli. Pociągnął go mocno, jak się okazało, za mocno – maszyna wypoziomowała za szybko i Gentry poleciał z impetem na sterowniki radiowe między siedzeniami. Z trudem złapał oddech, ale udało mu się chwycić dźwignię skoku i mocy. Obrócił ją, poprawił nachylenie wirników i ciąg. Helikopter przestał spadać. Znów zaczęli się wznosić.

Kolejny raz nim rzuciło. Wylądował twarzą w siedzisku pilota. Siła odśrodkowa utrudniała mu zmianę pozycji. Puścił na chwilę drążek i wychylił się, aby wcisnąć lewy pedał do zmiany kierunku lotu w osi pionowej. Maszyna zamarła, a Gentry przetoczył się w fotelu. Leżał teraz, trzymając nogi na zagłówku fotela.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Laura, która przerwała modlitwę i zaczęła się przyglądać akrobacjom Amerykanina.

– Pomocy! – jęknął.

Dziewczyna chwyciła jego stopy i położyła je na kolana de la Rochy. Maszyna znów straciła pęd i siłę nośną. W końcu Courtowi udało się usiąść, chwycić, co trzeba, i skierować maszynę tak, aby leciała prosto, równoległe do wybrzeża, od którego dzieliło ich mniej więcej osiem metrów.

Przelecieli na północ nad zatoką Banderas. Po prawej stronie zniknęły światła promenady i wyłoniły się nadmorskie hotele.

Court oddychał chłodnym nocnym powietrzem.

Obok niego leżało bezgłowe ciało de la Rochy. Naga wytatuowana klatka piersiowa tonęła we krwi.

Laura siedziała z tyłu.

– Mówiłeś, że nie potrafisz pilotować helikoptera – uśmiechnęła się.

– Myślę, że powinniśmy wylądować na wodzie.

– A kiedy lądowanie na wodzie jest pewniejsze niż na lądzie?

– Kiedy pilot jest do dupy – westchnął Court.

Laura spojrzała na niego podejrzliwie.

– Żartujesz?

– Obawiam się, że nie.

– No dobra – odparła i zaczęła się modlić.

Pięć minut później na północ od miasta eurocopter EC135 zawisł nad oceanem.

Nieliczni bawiący się o tej porze na pokładach jachtów byli świadkami dziwnego zdarzenia. Maszyna niepewnie zawisała, przechylając się na prawo, potem przechyliła się na lewo. Zaczęła spadać, a następnie zatrzymała się kilka metrów nad wodą. Wydawało się, jakby ktoś wyłączył silniki.

Śmigłowiec wpadł do morza, wirniki rozpadły się w chwili zderzenia z taflą wody, maszyna zaczęła tonąć.

Kilka sekund po tym, jak eurocopter zniknął w ciemnych falach, z odmętów wyłoniły się dwie głowy. W stronę brzegu zaczęły płynąć dwie postacie. Gdy tylko rozległy się syreny policji portowej, tajemniczy pływacy zniknęli w ciemności.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Nestor Calvo Macias leżał na boku w opuszczonej kopalni. Drżał zarówno z zimna, jak i ze strachu. Całą noc wokół niego i po nim biegały wielkie szczury. Nie bały się go, w sumie im się nie dziwił. Nie był w stanie nic im zrobić. Nie dość, że jego ręce i nogi były skrępowane, to miał zakneblowane usta. Noc spędził w ciemności, na zimnie. Biegały po nim *pinches ratones*.

Zakładał, że właśnie tu przyjdzie mu zejść z tego świata. Albo umrze z głodu, albo z pragnienia, albo z jakiegoś choróbka przyniesionego przez te cholerne gryzonie. A jeśli Gray Man wróci? Pewnie czeka go kulka.

Nestor leżał, trząsał się i rozmyślał o szczurach i zarazie, o umieraniu z głodu lub długim konaniu z odwodnienia. W końcu zaczął się modlić, żeby Gentry wrócił i wreszcie wpakował mu kulkę.

Nagle na końcu korytarza błysnęło światło. Usłyszał odgłos silnika. W końcu do szybu wjechała mazda. Gdy się zatrzymała, wysiadł z niej Gray Man. W świetle reflektorów Nestor stwierdził, że Amerykanin wyglądał jak siedem nieszczęść: ubranie miał podarte, przy każdym ruchu wykrzywiał się z bólu. Dokuśtykał do niego, uklęknął przy nim i wyciągnął spluwę.

„No to koniec” – pomyślał Calvo i zacisnął mocno powieki.

Na skroni poczuł chłód lufy.

Gringo wyciągnął szmatę kneblującą mu usta.

– De la Rocha nie żyje – oznajmił. – „Pająk” nie żyje. Co to zmienia w twoim położeniu?

– Nie... Nie wiem... – Calvo wciąż nie odważył się otworzyć oczu.

– A mnie się wydaje, że teraz to ty dowodzisz Czarnymi Garniturami.

Nestor otworzył oczy, ale patrzył przed siebie na ścianę szybu.

– Prawdę mówiąc, nie wiem.

– Z przywódcą Czarnych Garniturów jestem skłonny się dogadać.

- Serio? – zaskrzeczał Calvo i spojrzął na Gray Mana.
- Puszczę cię, jeśli odwołasz poszukiwania pani majorowej.
- Ależ oczywiście! Zaraz odwołam! Nigdy nie interesowało mnie...
- Jeśli jej lub komukolwiek z jej rodziny coś się stanie tu czy w Stanach, wrócę.
- Ro... Rozumiem

Gray Man uwolnił Calva, po czym wsiadł do mazdy i odjechał bez słowa.

Nestor Calvo Macias stał wciąż osłupiały. Powoli strzepnął brud z czarnego garnituru, przygładził siwe włosy i ruszył powoli do wyjścia z szybu kopalni.

* * *

Court siedział na drewnianej ławce w sanktuarium Najświętszej Marii Panny z Gwadelupy w Puerto Vallarcie. Rozglądał się i nerwowo przebierał nogami.

Czekał i martwił się przed spotkaniem.

W końcu w bocznych drzwiach świątyni pojawiła się Laura. Rozejrzała się po jasnej nawie. Uśmiechnęła się na jego widok. Podeszła i przytulili się na powitanie. Wzięła go za rękę i poprowadziła do niewielkiej zakrystii. Tam usiedli na drewnianej ławce.

Przez pierwsze kilka minut rozmawiali o obrażeniach odniesionych tydzień wcześniej pod Puerto Vallartą. Oboje wyglądali lepiej niż wtedy, gdy widzieli się ostatni raz: kiedy po pożegnaniu na przystanku autobusowym ona płakała, a on odjechał autem. Od tego czasu zdołali dojść do siebie i zastanowić nad przyszłością.

Court był zdenerwowany czekającą go rozmową. Wiedział, że – choć bardzo tego pragnął – nie mógł się związać z tą kobietą. Jego życiu wciąż groziło niebezpieczeństwo. Mimo że udało mu się usunąć zagrożenie z jej życia, jego problemy w najbliższym czasie nie zostaną rozwiązane. Nie wiedział, jak jej powiedzieć, że z troski o nią będzie zmuszony ją opuścić. Bał się, że zabrzmiałoby to jak tania wymówka.

Laura szybko przeszła do sedna sprawy. Zrozumiał, że zaraz przyjdzie mu zawieść jej oczekiwania. Postanowił, że musi zrobić to w sposób możliwie najłagodniejszy.

– Słuchaj, Seis... – zaczęła. – Ostatnio dużo myślałam, dużo się modliłam, myśląc o swojej przyszłości.

– Rozumiem – odparł. – Chcę, abyś wiedziała...

– W końcu zajrzałam w głąb siebie i wiem, czego chcę. Wiem już, czego mi trzeba do szczęścia.

„Krucyfiks, zaczyna się” – pomyślał Court.

Po krótkiej pauzie Laura oznajmiła:

– Postanowiłam wstąpić do klasztoru i zostać zakonnica. To bardzo długa procedura, ale w głębi serca wiem, że to dla mnie właściwa droga. Czuję powołanie.

– Krucyfiks! – Court powiedział to głośno.

– Bardzo bym chciała, żebyś mógł mnie odwiedzać, ale niestety nie będę w stanie się z tobą widywać, bo to klasztor klauzurowy. Byłabym szczęśliwa, gdybyś raz na jakiś czas przysyłał mi jakieś wieści.

Court starał się ochłonąć. Tego nie przewidział.

– Fajnie by było...

– Chciałabym się też za ciebie modlić.

– Nie krępuj się – mruknął.

– Proszę?

– To znaczy: jasne, módl się za mnie, jeśli chcesz. Bardzo proszę.

– Niezbadane są wyroki boskie. Ty, Szóstka, jesteś najbardziej niezbadanym wyrokiem, z jakim się spotkałam. Ale Pan działa poprzez ciebie.

Court chciałby wierzyć, że to Bóg, a nie diabeł nim kieruje. Nie miał co do tego pewności. Nie pojmował tych spraw. Ani przez chwilę nie żałował żadnej kropli krwi uronionej w celu uratowania tej kobiety.

Była piękna. Była dobra. Była doskonała.

I przede wszystkim żyła.

– Z Bogiem, przyjacielu – powiedziała Laura. Przytuliła go, spojrzała mu głęboko w oczy, wstała i wyszła.

Zniknęła.

Court siedział sam jeszcze przez kilka minut. Chciał zostać chwilę w sanktuarium, by pomyśleć. Nawa była wielka i pusta, ale w jakiś sposób przytulna. Wielokrotnie bywał w kościołach na całym świecie, ale dotychczas wyłącznie w celach operacyjnych. Jego myśli wówczas były skupione na pracy. Teraz się rozejrzał i być może pierwszy raz w życiu zaczął się zastanawiać nad sensem tego miejsca. Czy w ogóle istniał?

Spojrzał na krzyż i szepnął:

– Dziękuję.

Wtedy zadzwonił jeden z jego telefonów. Ten, którego numer podał Hectorowi Sernie.

Wyszedł ze świątyni prosto w chłodne, ale słoneczne popołudnie.

– Halo?

To nie był Serna. To był Madrigal. Mówił górskim dialektem. Court miał trudności ze zrozumieniem go.

– Nie zabiłeś Calva?

– Nie.

– Dlaczego?

– Doszedłem do wniosku, że przyda wam się konkurencja.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Powinienem był cię zabić, kiedy dałeś mi spluwę!

– Owszem – przyznał Court. – Powinieneś.

– Teraz cię zabiję!

– Ustaw się w kolejce, Kowboju!

– Jesteś marnym, chujowym, skurwysyńskim matkojebcą!

– Jestem rozbójnikiem.

Madrigal odezwał się po kolejnej długiej pauzie.

– Jeśli ludziom kiedykolwiek przyjdzie żyć na innych planetach, uważam, że to ciebie pierwszego powinno się przegnać z tej. Każdy chce, żebyś gryzł piach.

– Nie zaprzeczę.

– Ktoś w końcu cię dopadnie. Musisz sobie z tego zdawać sprawę.

– Zdaję. Pociesza mnie fakt, że wielu ludzi będzie sobie pluć w brodę, że nie oni pierwsi mnie dopadli – odparł Court, po czym się rozłączył i wrzucił komórkę do śmietnika kilka przecznic od kościoła.

EPILOG

San Blas wydało się teraz Gentry'emu zupełnie innym miejscem. Przybył o ósmej rano. Było chłodniej, niż kiedy dotarł tu niedawno. Wiatr znad Pacyfiku hulał po ulicach, turlając śmieci, a mieszkańcy śpieszyli się do swoich spraw.

Court wyglądał jak miejscowy. Wyszedł z autobusu odziany w dzinsowe spodnie i kurtkę. Jedyńm bagażem był zarzucony na ramię tani plecak. Gentry był opalony. W okularach przeciwsłonecznych, z przyszczyżonymi włosami i z kocią bródką wyglądał zupełnie jak jego meksykańscy rówieśnicy. W uszach miał słuchawki. Były podpięte do telefonu, ale nie słuchał muzyki.

Słuchawki były elementem przebrania. Jedyne, czego Gray Man słuchał, to rytm kroków mijanych przechodniów i szum toczonych obok niego rozmów. Teraz w San Blas był bardzo ostrożny, znacznie bardziej, niż gdy pierwszy raz odwiedził tę rybacką osadę.

Wiedział, że był ścigany, i wiedział, że pogoń jest blisko.

Przestał się zastanawiać, kto tym razem go ściga... To nie miało znaczenia.

Szedł wzdłuż drogi aż do wzgórza, minął chatki rybackie, kościółki oraz kilka ciężarówek pełnych uzbrojonych *marinos* patrolujących teren, po czym skierował się na drogę prowadzącą pod górę. Wybrał tę, którą podążał, szukając grobu Eddiego, i którą schodził ze stromego wzgórza z jego ciężarną żoną. Tyle się od tamtej pory zmieniło, Court jednak czuł się jak wtedy. Owszem, nabawił się kilku zadraśnień, siniaków, otarć i poparzeń, ale cel jego podróży pozostał ten sam.

Meksyk to tylko krótka przerwa w tułaczce.

Kierował się ku wejściu do nekropolii. Po lewej zobaczył szereg tanich grobowców z blachy, plastiku i betonu. Przez drogę przebiegła iguana. Kury gdakały przy ostatnim domu przed cmentarzem, obok zabytkowego kościoła.

Nie wszedł jednak na cmentarz, poszedł dalej drogą. Automatycznie stosował zasady bezpieczeństwa, nie wynikało to z poczucia zagrożenia. Zazwyczaj

obchodził wszystko dookoła, cofał się i zatrzymywał, czekał w cieniu, czy aby na pewno ktoś go nie śledzi, poruszał się niczym widmo.

Spory kawałek za cmentarzem, wysoko na wzgórzu, skręcił w prawo i wszedł w zagajnik. Wśród niskich traw dzikie bananowce wznosiły się na wysokość dwóch kondygnacji. Podążał przez las w stronę cmentarza. Trzygodzinną podróż autobusem odbył wyłącznie w celu odwiedzenia grobu Eddiego. Rozwazał nawet, żeby zostawić prezent dla zmarłego kolegi.

Ale niewiele mógł mu dać.

Court nie był człowiekiem sentymentalnym. Można rzec, że był wręcz przeciwieństwem osoby sentymentalnej. Tym razem czuł w głębi duszy, że musi tu przyjechać. Potrzebował wrócić do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło.

Przedarł się przez zarośla.

Powrót do San Blas to była właściwa decyzja, choć nie potrafił wytłumaczyć dlaczego. Wdrapał się na stertę pobielonych kamieni, które były częścią hiszpańskiej fortecy.

Wiedział, że nie zapomni ani Eddiego, ani Laury, ani Eleny, ani Daniela de la Rochy. Zdawał sobie jednak sprawę, że musiał ich zostawić za sobą i ruszać w dalszą drogę.

Zszedł po zboczach, przedarł się przez kolejną gęstwinę i wyszedł tuż nad cmentarzem, który rozciągał się kilka metrów niżej. Wiedział, że będzie musiał porzucić marzenia o Laurze, sny o miłości i wspomnienia pełne pożądania – nadszedł czas, aby skupić się na walce z Grigorijem Sidorenką. Nagle stanął jak wryty i powoli położył się w trawie.

„Kurwa” – pomyślał, ale się nie odezwał.

Kiedy miał już pewność, że nikt go nie zauważył, wczuł się z powrotem do zagajnika bananowego pełnego zarośli i pnączy. Następnie przemieścił się dziewięć metrów na prawo. Po dziesięciu minutach udało mu się dotrzeć do białych kamieni, za którymi wyjął z plecaka małą lornetkę. Sprawdził położenie słońca, a następnie przyłożył ją do oczu.

„No... Gdzie jesteś?”

Czuł, że poniżej coś, a może ktoś się rusza. Że rząd na południe od mogiły Eddiego nie jest pusty. Wszędzie biegały iguany, ale Gentry wyczuł jakiś nietypowy ruch. Dostrzegł też błyski, coś szklanego odbijało promienie słoneczne.

Tylko tyle udało mu się zauważyć, zanim rzucił się na ziemię. Teraz szukał za pomocą lornetki przyczyny tego, co kilka minut wcześniej wzbudziło jego niepokój.

„Tu cię mam! Kurwa”.

Mniej więcej siedemdziesiąt metrów od grobu Eddiego stał jakiś mężczyzna. Był profesjonalnie zamaskowany i prawie wtapiał się w zarośla. Pokryty siatką z gałązkami i liśćmi tutejszych roślin, spod których wystawała lufa karabinu snajperskiego i celownik optyczny. To stąd te błyski.

Niewiele dalej czyhał drugi. Był lepiej zakamuflowany, nie wystawała mu żadna odbijająca światło luneta czy lufa, Court go jednak zauważył, gdy tamten obrócił głowę.

Gray Man przyglądał się cmentarzowi, przeklinając w duchu. Niemożliwe, żeby wysłano po niego tylko tę dwójkę. Żadna szanująca się organizacja – czy wywiadowcza, czy przestępcza – nie wyeksponowałaby zaledwie dwóch ludzi do zabicia Gray Mana. Court nie mógł wypatrzeć innych, ale wiedział, że gdzieś tam są. Może nawet wraz z nim w tych zaroślach. To by była świetna kryjówka.

Przez chwilę się zastanawiał, kto to może być. Oprychy Sidorenki? Agenci CIA? Delta Force? Los Vaqueros? Los Trajes Negros?

Czy to ważne? Stwierdził, że właściwie nie.

Spojrzał przez lunetę na prosty krzyż w miejscu spoczynku Eddiego.

Teraz, z góry, widział tylko jego tył. Nie miał pojęcia, czy widniały na nim jakieś wyzviska. W plecaku miał puszkę białej farby i pędzel. Chciał dokończyć to, co robiła Elena, kiedy ją tam spotkał. Chciał zrobić coś, aby naprawić reputację Eddiego, zanim raz na zawsze opuści to miejsce.

Ale te skurwysyny wszystko popsuky.

Samotny krzyż jego zmarłego kumpla był niecałe pięćdziesiąt metrów od niego. Wiedział, że już nikt z mieszkańców nie będzie go bronil ani odwiedzał. Wiedział, że prędzej czy później – raczej prędzej – nikt z mieszkańców tej wioski nie będzie pamiętał, kim naprawdę był Eduardo Gamboa. Będzie dla nich wyłącznie kolejnym *cartelero*, kolejnym zabójcą, jednym z wielu.

A Court nie mógł nic na to poradzić. Nawet nie dane mu było się pożegnać.

Leżał wśród zarośli przez godzinę, obserwując snajpera, człowieka tak nieruchomego i cierpliwego jak on. Następnie wycofał się głębiej w zagajnik

i wyszedł na drogę. Zszedł ze wzgórza, minął chatki i złapał pierwszy autobus wyjeżdżający z wioski.

PODZIĘKOWANIA

Bardzo dziękuję Karen Mayer, Jamesowi Rollinsowi, Marcie Silvie, Marleni Gonzales, Devinowi Greaneyowi, Mireyi Ledezmie, Svetlanie Ganea, Jamesowi Yeagerowi, Jayowi Gibsonowi, Paulowi Gomezowi, zespołowi Tactical Response i GetofftheX.com, Mystery Mike'owi Bursaw, CoverttoCoverBookstore.com, Devonowi Gillilandowi, Bobowi Hetheringtonowi, Patrickowi O'Danielowi, rodzinom Andersonów i Leslie, Alexowi Slaterowi z Trident Media, Caitlin Mulrooney-Lyski i Amandzie Ng z wydawnictwa Penguin oraz Jonowi Cassirowi i Matthew Snyderowi z Creative Artists Agency.

Ponadto bardzo dziękuję mojemu agentowi Scottowi Millerowi z Trident Media oraz mojemu redaktorowi Tomowi Colganowi z wydawnictwa Penguin.

MarkGreaneyBooks.com